

Q

Taniec
śmierci

Seria π

W sprzedaży m. in.

MARTHE BLAU
W jego dłoniach
JUNG CHANG
Dzikie łabędzie: Trzy córki Chin
JOSEPH HELLER
Paragraf 22
Ostatni rozdział, czyli paragraf 22 bis
Paragraf 23
WENDY HOLDEN
Fatalna sława
LAURENT JOFFRIN
Zapomniana księżniczka
KEN KESEY
Lot nad kukułczym gniazdem
SUE MONK KIDD
Sekretne życie pszczoł
STEPHEN KING
Dolores Claiborne
Gra Geralda
Desperacja
Regulatorzy
JERZY KOSIŃSKI
Pasja
Wystarczy być
RICHARD MASON
Wiatr nie potrafi czytać
MELISSA NATHAN
Niania w Londynie
KIEN NGUYEN
Gobelin
TONY PARSONS
Mężczyzna i żona
ALLISON PEARSON
Nie wiem, jak ona to robi
MARIO PUZO
Mroczna arena
Dziesiąta Aleja
HERMAN RAUCHER
Prawie jak w bajce
ALICE SEBOLD
Nostalgia anioła
Szczęściara
ERICH SEGAL
Opowieść miłosna
Opowieść Olivera
Mężczyzna, kobieta i dziecko
D. L. SMITH
Cuda w Santo Fico
NICHOLAS SPARKS
Anioł stróż
Ślub
ALAN TITCHMARSH
Kocham tatę
LAUREN WEISBERGER
Diabeł ubiera się u Prady

W przygotowaniu

NADEEM ASLAM
Mapy dla zagubionych kochanków
ERIC GARCIA
Naciągacze
WINSTON GROOM
Taka śliczna dziewczyna
JOSEPH HELLER
Bóg wie
WEI HUI
Wychodząc za Budę
KAZUO ISHIGURO
Nie pozwól mi odejść
STEPHEN KING
Rose Madder
NICOLA KRAUS, EMMA McLAUGHLIN
Pracująca dziewczyna
JOHN LANCHESTER
Hongkong
ANDRÉ LE GAL
Sajgon
ANDREA LEVY
Mała wyspa
MARC LEVY
W innym życiu
STEVE MARTIN
Cała przyjemność po waszej stronie
IAN McEWAN
Sobota
Dziecko w czasie
CARSON McCOLLERS
Serce to samotny myśliwy
GUILLAUME MUSSO
Potem...
MELISSA NATHAN
Kelnerka
IRÈNE NÉMIROVSKY
Francuska suita
TONY PARSONS
Kroniki rodzinne
MARIO PUZO
Ojciec Chrzestny
Sycylijszyk
Omerta
INDRA SINHA
Śmierć w Bombaju
NICHOLAS SPARKS
Trzy tygodnie z moim bratem
Wiara czyni cuda
PLUM SYKES
Małe księżniczki w wielkim mieście
MARK WINEGARDNER
Powrót Ojca Chrzestnego
TOM WOLFE
Nazywam się Charlotte Simmons
MU ZIMEI
Popioły miłości

LUTHER BLISSETT

Q

Taniec
śmierci

Z włoskiego przełożył
JAN JACKOWICZ



WARSZAWA 2005

Tytuł oryginału:

Q

Zezwala się na kopiowanie oraz powielanie w wersji elektronicznej fragmentów lub całości niniejszej książki do celów niekomercyjnych i użytku osobistego, pod warunkiem podania źródła tekstu oraz wiernego zreprodukowania noty copyrightowej i niniejszej noty
Partial or total reproduction of the content of this book in electronic form is consented to for non-commercial purposes, provided that the original copyright notice and this notice are included and the source is clearly acknowledged

Copyright © Giulio Einaudi editore s.p.a., Torino 2000

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Jan Jackowicz 2005

Redakcja językowa: Barbara Nowak

Redakcja historyczna: prof. Zbigniew Mikołajko

Ilustracja na okładce: Bridgeman/BE & W
Albrecht Altdorfer (1480–1538) *Bitwa Aleksandra*
Alte Pinakothek, Monachium, Niemcy

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-7359-171-0

Dystrybucja



Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557
www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy
Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk
tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa
www.merlin.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ
adres dla korespondencji:
skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Wydanie I/wersja 1
Skład: Laguna
Druk: OpolGraf S.A., Opole

*Marco Morriemu
poświęcam*

Prolog

Poza granicami Europy, rok 1555

Na pierwszej stronie znajdują się słowa: Na fresku jestem jedną z postaci stojących w głębi.

Pismo jest drobne i dokładne, bez zacieków atramentu. Imiona, miejsca, daty, refleksje. Zapiski z ostatnich, gorączkowych dni.

Litery pożółkłe i postarzałe, pokryte kurzem minionych dziesięcioleci.

Moneta z królestwa szaleńców kołysze się na piersi, przypominając mi o wiecznej huśtawce losów ludzkich.

Notatnik, być może jedyny ocalały egzemplarz, nie został już więcej przez nikogo otwarty.

Imiona, to imiona umarłych. Moich bliskich i wszystkich tych, którzy przebyli kręte ścieżki.

Lata, które przeżyliśmy, na zawsze pogrzebały niewinność świata.

Obiecałem wam, że nie zapomnę.

Uratowałem was w ludzkiej pamięci.

Chcę od samego początku trzymać się ściśle wszystkiego, szczegółów, głównego wątku, toku wydarzeń. Zanim upływ czasu zaciemni spojrzenie, które kieruje się w przeszłość, uśmierając zgiełk ludzkich głosów, szczęk broni, tupot maszerujących wojsk, śmiechy, okrzyki. Wszakże tylko oddalenie pozwala wrócić do początku, odtworzyć go w prawdopodobnym kształcie.

Rok 1514. Albrecht Hohenzollern zostaje arcybiskupem Magdeburga. W dwudziestym trzecim roku życia. Złoto znowu płynie do papieskich skrzyń — Albrecht kupuje także arcybiskupstwo Halberstadt.

Rok 1517. Moguncja. Najrozleglejsze księstwo kościelne Niemiec oczekuje mianowania nowego biskupa. Jeśli Albrecht otrzyma tę

nominację, położy rękę na jednej trzeciej całego niemieckiego terytorium.

Składa swoją ofertę: czternaście tysięcy dukatów za arcybiskupstwo, plus dziesięć tysięcy za papieską dyspensę, która pozwoli mu piastować wszystkie te godności.

Transakcja zostaje przeprowadzona za pośrednictwem banku Fuggerów w Augsburgu, który wyklada potrzebną kwotę. Po zakończeniu operacji Albrecht jest winien Fuggerom trzydzieści tysięcy dukatów.

Bankierzy określają warunki zapłaty. Albrecht ma zorganizować na swoich ziemiach wygłaszanie kazań zachęcających do kupowania odpustów udzielanych przez papieża Leona X. Wierni wniosą swój wkład w zbudowanie Bazyliki Świętego Piotra, a w zamian otrzymają świadectwo, że papież udzielił im odpuszczenia grzechów.

Tylko połowa wpływów zasili budowniczych w Rzymie. Albrecht przeznaczy resztę na zwrócenie długu Fuggerom.

Misja wygłaszania kazań zostaje powierzona Johannowi Tetzlowi, najbardziej doświadczonemu kaznodziei na tych terenach.

Tetzel wędruje przez wsie i miasteczka przez całe lato 1517 roku. Zatrzymuje się na granicy Turynгии, która należy do Fryderyka Mądrego, księcia Saksonii. Nie może postawić tam nogi.

Fryderyk ciągnie dochody z odpustów na własny rachunek, poprzez sprzedaż relikwii. Nie będzie tolerował konkurentów na swoich ziemiach. Ale Tetzel to stary wyga — wie, że poddani Fryderyka chętnie pokonają te parę mil, żeby znaleźć się poza granicą księstwa. Warto podjąć wysiłek w celu usunięcia przeszkód z drogi do rajy.

Wędrowni dusz pragnących zapewnić sobie wiekuiste szczęście śmiertelnie oburzają młodego augustiańskiego zakonnika, doktora uniwersytetu w Wittenberdze. Nie jest w stanie tolerować bezwstydnego handlu podjętego przez Tetzla, otwarcie wykorzystującego papieski herb i pieczęć.

31 października 1517 roku zakonnik przybija na północnych drzwiach kościoła w Wittenberdze dziewięćdziesiąt pięć napisanych własną ręką tez wymierzonych przeciwko handlowi odpustami.

Zakonnik ten nazywa się Marcin Luter. Jego wystąpienie rozpoczyna Reformację.

Punkt wyjścia. Zapiski, które ożywią na nowo szczątki pewnej epoki. Mojej epoki. I epoki mojego wroga — Q.

Tajne oko Carafy
(1518)

List wysłany do Rzymu z saksońskiego miasta Wittenbergi, adresowany do Gianpietra Carafy, członka rady teologicznej Jego Świątobliwości Papieża Leona X, z datą 17 maja 1518 roku.

Do najdosłojniejszego i najczcigodniejszego Pana, przewielebego Giovanniego Pietra Carafy w radzie teologicznej Jego Świątobliwości Leona X w Rzymie.

Najdosłojniejszy, Wielmożny Panie, dobrodzieju mój najczcigodniejszy!

Najwierniejszy sługa Waszej Wielmożności ośmiela się przesłać sprawozdanie z tego, co dzieje się na tych dalekich, zatraconych ziemiach, które od roku zdają się ogniskiem najgwałtowniejszych zaburzeń.

Od czasu gdy osiem miesięcy temu augustiański mnich Marcin Luter wywiesił swoje osławione tezy na drzwiach kościoła katedralnego, nazwa Wittenbergi znalazła się na ustach wszystkich mieszkańców, wzdłuż i wszerz całego kraju. Studenci z sąsiednich księstw zbiegają się do tego miasta, żeby słuchać na żywo kaznodziei głoszącego te niewiarygodne teorie.

W szczególności kazania przeciwko sprzedaży odpustów zdają się zyskiwać największy oddźwięk w młodych umysłach, otwartych na nowe idee. To, co jeszcze wczoraj było przyjętą, niebudzącą sprzeciwu praktyką, polegającą na odpuszczaniu grzechów w zamian za pobożną ofiarę na Kościół, dziś staje się przedmiotem powszechnej krytyki, tak jakby była to rzecz siejąca haniebane zgorzenie.

Tak wielka i natychmiastowa sława sprawiła, że Luter triumfuje w swej zarozumiałości; czuje się niemal kimś, kogo obarczono nadziemskim zadaniem, i to popycha go do jeszcze śmielszych poczynań, do przekraczania wszelkich granic.

I w rzeczy samej, wczoraj, jak w każdą niedzielę, wygłaszając z ambony kazanie na temat ewangelii przepisanej na ten dzień (chodziło o słowa Jana 16, 2 „Wyłączą was z synagogi”), dodał do „hańby” handlu odpustami następną tezę, moim zdaniem jeszcze bardziej niebezpieczną.

Stwierdził mianowicie, iż nie należy obawiać się nadmiernie skutków niesprawiedliwej ekskomuniki, ponieważ odnosi się ona tylko do zewnętrznej jedności z Kościołem, a nie do wewnętrznej. A w istocie jedynie ta ostatnia dotyczy więzi Boga z Jego wyznawcą, więzi, której żaden człowiek, nawet papież, zerwać nie może. Tym bardziej zatem niesprawiedliwa ekskomunika nie jest w stanie zaszkodzić duszy, a jeśli znosi się ją z synowską uległością wobec Kościoła, może się nawet stać cenną zasługą. Jeśli więc ktoś zostaje niesprawiedliwie ekskomunikowany, nie musi wypierać się słowami i uczynkami przyczyny, z powodu której go wyklęto, i powinien cierpliwie znosić ekskomunikę, nawet gdyby miał umrzeć jako potępiony i nie zostać pogrzebanym w poświęconej ziemi, ponieważ te rzeczy mają o wiele mniejszą wagę niż prawda i sprawiedliwość.

Zakończył wreszcie tymi słowami: „Szczęśliwy i błogosławiony ten, kto umiera w stanie niesprawiedliwego ekskomunikowania; albowiem dlatego, że poniósł tę surową karę w imię umiłowania sprawiedliwości, której nie chciał ani przemilczeć, ani porzucić, otrzyma z wiekuistej łaski koronę zbawienia”.

Łącząc z pragnieniem służenia Waszej Wielmożności świadomość zaufania, jakim Wasza Wielmożność obdarzyła swojego sługę, ośmielię się teraz wspomnieć, co sam myślę o opisanych wyżej rzeczach. Pokornemu obserwatorowi Waszej Przewielebnej Wysokości wydało się sprawą oczywistą, że Luter wyczuwa w powietrzu zapach ekskomuniki dla samego siebie, tak jak lis wyczuwa zapach ogarów. Ostrzy on już swój doktrynalny oręż i poszukuje sprzymierzeńców na najbliższą przyszłość. W szczególności myślę, że stara się zyskać oparcie w osobie swego pana, księcia elektora Fryderyka Saskiego, który nie okazał jeszcze publicznie swojego nastawienia względem brata Marcina. Nie przypadkiem nazywają go Mądrym. Władca Saksonii posługuje się zręcznym pośrednikiem, którym jest Spalatin, bibliotekarz i radca dworu, aby z jego pomocą rozważyć i ocenić zamiary tego mnicha. Osobnik to niebudzący zaufania i przebiegły, ten Spalatin, którego opisałem już pobieżnie w ostatnim liście.

Wasza Wielmożność lepiej od swego niegodnego sługi pojmie powagę twierdzenia wygłoszonego przez Lutra: chciałby on pozbawić Świętą Stolicę Apostolską jej najpotężniejszej podpory, oręza ekskomuniki. A zarazem jest oczywiste, że Luter nigdy nie ośmielił się przedstawić tej tezy na piśmie, świadom potworności, jaką ona

niecie, i grózb, jakie mogłoby to sprowadzić na jego osobę. Po-
stanowiłem przeto zrobić to sam, ażeby Wasza Dostojność zdążył
zastosować wszelkie środki, jakie uzna za konieczne do powstrzyma-
nia tego diabelskiego mnicha.

Całując dłoń Waszej Najczcigodniejszej Wielmożności,
polecam się Jego nieustającym łaskom.

Z Wittenbergi, 17 maja 1518 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z saksońskiego miasta Wittenbergi, adresowany do Gianpietra Carafy, członka rady teologicznej Jego Świątobliwości Papieża Leona X, z datą 10 października 1518 roku.

Do najdostojniejszego i najczcigodniejszego Pana, przewielebnego Giovanniego Pietra Carafy w radzie teologicznej Jego Świątobliwości Leona X w Rzymie.

Najdostojniejszy, Wielmożny Panie, dobrodzieju mój najczcigodniejszy!

Jako sługa Waszej Wielmożności poczułem się niezmiernie zaszczycony wspaniałomyślnością, jaką Wasza Wielmożność zechciał mnie obdarować; już samo słuzenie Waszej Wielmożności jest dla mnie wielkim przywilejem, a prawdziwą radością napęlnia mnie myśl, że mogę być użyteczny. Oficjalne oskarżenie brata Marcina Lutra o herezję — na podstawie przesłanki, której dostarczyło jego kazanie na temat ekskomuniki — powinno było skłonić księcia elektora Fryderyka do zajęcia wreszcie jakiegoś stanowiska wobec tego mnicha, zgodnie z życzeniem Waszej Wielmożności. Fakty, z których spieszę zdać Waszej Wielmożności relację, są być może pierwszą reakcją elektora na nieoczekiwany rozwój wypadków: w rzeczy samej, jest on gotów wzmocnić szeregi teologów swojego uniwersytetu.

25 sierpnia przybył do Wittenbergi w charakterze wykładowcy greki Filip Melanchton, przenosząc się z cieszącego się uznaniem uniwersytetu w Tybindze. Myślę, że na żadnym uniwersytecie cesarstwa nie widziano nigdy młodszego profesora od niego. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, a jego słabowita, wychudzona powierzchowność sprawia, że wygląda tak, jakby miał ich jeszcze mniej. Ale mimo pewnej sławy, która go poprzedziła i która towarzyszyła mu

w drodze, doktorowie z Wittenbergi przyjęli go zrazu bez wielkiego entuzjazmu. Ich postawa, a w szczególności stosunek Lutra, zmieniła się jednak trochę od czasu, gdy ten fenomen klasycznej nauki wygłosił swój inauguracyjny wykład, w którym przedstawił konieczność surowych studiów nad oryginalnymi tekstami Pisma. Od tej chwili między nim i Lutrem zawiązało się natychmiastowe i mocne porozumienie. Od momentu, w którym stali się solidarni pomimo tak wielkich różnic, ci dwaj profesorowie są z pewnością potężną bronią w rękach elektora saskiego. Uzupełniają się wzajemnie w taki sposób, żeby mogli stać się prawdziwym zagrożeniem dla Rzymu: Luter jest śmiały i energiczny, choć nieokrzesany i impulsywny, podczas gdy Melanchton jest światły i subtelny, ale młodszy i spokojniejszy, nadający się raczej do dysput doktrynalnych niż do otwartej walki. Pierwszym groźnym plodem tej unii będzie z pewnością Biblia po niemiecku, nad czym, jak się mówi, pracują wspólnie; w dziele tym uczoność Melanchtona będzie niczym manna z nieba.

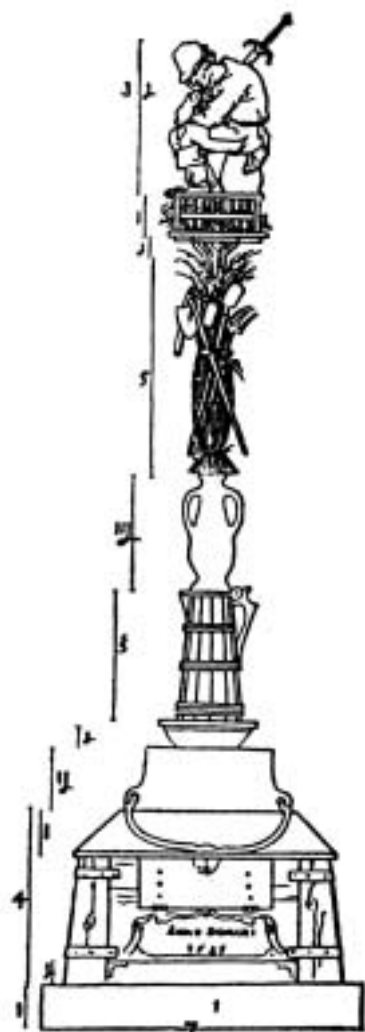
Ponieważ Wasza Wielmożność życzy sobie, abym dołożył starań w zbieraniu szczegółowych informacji o rzeczach ważnych, w najbliższej przyszłości będę śledził z uwagą obu doktorów i przekazywał wszystko Waszej Wielmożności, w jedynej nadziei, że w dalszym ciągu pozostanę Waszym użytecznym sługą.

Całuję pokornie ręce Waszej Najczcigodniejszej Wielmożności.

Z Wittenbergi, 10 października 1518 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

CZEŚĆ PIERWSZA

Mincerz



Frankenhausen
(1525)

Rozdział 1

Frankenhausen, Turynia, 15 maja 1525 roku.
Popołudnie

Prawie na oślep.

Oto co muszę zrobić.

Ryki w uszach i tak już ogłuchłych od armat, ciała, o które się potykam. Krople zaschniętej krwi i pot zatykają gardło, kaszel rozsadza mi płuca.

Przerażenie w spojrzeniach uciekających. Obwiązane głowy, potrzaskane kończyny... Oglądam się bezustannie, Elias podąża za mną. Jego ogromna postać toruje sobie drogę w ludzkiej ciżbie. Na ramionach dźwiga bezwładnego Magistra Thomasa.

Gdzie jest wszechobecny Bóg? To jest rzeź jego owczarni.

Oto co muszę zrobić.

Torby, przycisnąć do siebie. Bez przystawania. Krótki miecz objiła się o biodro.

Elias ciągle za mną.

Z naprzeciwnika biegnie niewyraźna postać. Pół twarzy okryte bandażami, poszarpane ciało. Kobieta. Poznaje nas. Oto co muszę zrobić — nie dopuścić, żeby rozpoznano Magistra. Chwytam ją za ramię, nakazuję milczenie. Za moimi plecami wołania:

— Żołnierze! Żołnierze!

Odsuwam ją na bok, dalej, trzeba się ratować. Zaułek na prawo. Biegiem, Elias za mną, na łeb na szyję. Oto co muszę zrobić — bramy domów. Próbuje pierwszej, drugiej, trzecia się otwiera. Do środka.

Ryglujemy za sobą drzwi. Wrzawa cichnie trochę. Przez jedyne okno sączy się słabe światło. W kącie, w głębi pomieszczenia siedzi na potrzaskanym, plecionym krześle staruszek. Parę biednych sprzę-

tów, zaniedbana ława, stół, głównie po niedawno wygasłym ogniu w osmalonym sadzą kominku.

Podchodzę bliżej.

— Siostró, mamy rannego. Potrzebuje łóżka i wody, w imię Boga...

Elias stoi nieruchomo w drzwiach, zajmuje całą ich szerokość. Ciągle z Magistrem na ramionach.

— Tylko na parę godzin, siostró.

Jej wodniste oczy nie widzą niczego. Głowa kołysze się w górę i w dół. Dzwoni mi ciągle w uszach. Słyszę głos Eliasza.

— Co ona mówi?

Podchodzę jeszcze bliżej. W dochodzącym z dworu szumie ledwo słyhać ciche lamenty staruszki. Nie wie nawet, że tu jesteśmy.

Oto co muszę zrobić. Nie tracąc ani chwili. Na górę prowadzą schody, daję znak Eliasowi, wchodzimy po nich, wreszcie łóżko, na którym można położyć Magistra Thomasa. Elias ociera pot z oczu. Spogląda na mnie.

— Trzeba odszukać Jacoba i Mathiasa.

Dotykam miecza i zabieram się do odejścia.

— Nie, ja pójdę, ty zostań z Magistrem.

Nie mogę mu odpowiedzieć, już zbiega po schodach. Magister Thomas leży bez ruchu, patrzy w sufit. Pusty wzrok, niewyraźne mrugnięcie powiek, wygląda, jakby nie oddychał.

Wyglądam na dwór, z okna widać rząd domów. Wychodzi na ulicę, ale jest za wysoko, żeby przez nie wyskoczyć. Znajdujemy się na pierwszym piętrze; nad nami jest przynajmniej strych. Przyglądam się powale, ledwo udaje mi się wypatrzeć zarysy kłapy. Na podłodze leży drabina. Przeżarta przez robaki, lecz wytrzymuje. Wsuwam się na czworakach, dach strychu jest bardzo niski, podłoga pokryta słomą. Belki skrzypią przy każdym ruchu. Nie ma okna, trochę światła przeciska się przez szpary w deskowaniu, jak to na poddaszu.

Pełnę po deskach i słomie. Muszę się pochylać, posuwam się prawie na leżąco. Przez dziurę widać sąsiednie dachy, bardzo spadziste. Niemożliwe, aby Magister Thomas przedostał się tędy.

Wracam do niego. Ma wyschnięte wargi i rozpalone czoło. Szukam wody. Piętro niżej na stole leżą orzechy i stoi dzban. Bezustannie słyhać żalosne zawodzenia staruszki. Gdy przybliżam wodę do warg Magistra, mój wzrok pada na torby. Lepiej je schować.

Siadam na stołku. Bolał mnie nogi. Obejmuję rękami głowę, tylko na chwilę, zaraz potem daleki szum zamienia się w ogłuszający zgiełk krzyków, tętent końskich kopyt i szczęk żelastwa. Bękarty na książęcym żołdzie wkraczają do miasta. Biegiem do okna. Na prawo, na głównej ulicy, widać jezdnych; opuszczone piki, przeczesują ulicę. Pastwią się nad wszystkim, co się porusza.

Na drugim końcu w zaułku pojawia się Elias. Spozstrzega konnych, przystaje. Za jego plecami pokazują się żołnierze. Nie ma ucieczki. Rozgląda się naokoło: gdzie jest wszechobecny Bóg?

Zmierzają w stronę Eliasa.

Podnosi oczy. Dostrzega mnie.

Oto co musi zrobić. Dobywa miecza, rzuca się, krzycząc, na pieszych żołnierzy. Przeszywa jednemu brzuch, obala drugiego uderzeniem głowy. Atakuje go trzech. Nie czuje ciosów, chwytając rękęjęć oburącz, bezustannie zadaje uderzenia.

Odskakują na boki.

Z tyłu ciężkim galopem zbliża się jeździec, celując piką w jego plecy. Uderzenie przewraca Eliasa. Jest skończony.

Nie. Podnosi się z okrwawioną, oszalałą twarzą. Jeszcze trzyma miecz w rękę. Nikt nie podchodzi do niego. Słyszę ciężki oddech. Szarpnięty cugłami koń obraca się. Unosi się topór. Znowu w galopie. Elias rozstawia nogi jak dwa korzenie. Unosi ku niebu ramiona i głowę, wypuszcza miecz z ręki.

Ostatni cios.

— *Omnia sunt communia*, sukinsyny!

Jego głowa pada w pył ulicy.

* * *

Rabują domy. Otwierają bramy kopniakami i ciosami toporów. Niedługo dojdą do nas. Ani chwili do stracenia. Pochylam się nad leżącym Magistrem.

— Posłuchajcie, mistrzu, musimy stąd iść, zaraz tu będą... Na Boga, mistrzu... — Chwytam go za ramiona.

Odpowiada ciężkim westchnieniem. Nie może się poruszyć. To pułapka, jesteśmy w pułapce.

Jak Elias.

Chwytam za miecz. Jak Elias. Chciałbym mieć jego odwagę.

— Co chcesz zrobić? Dość już męczeństwa. Uciekaj stąd, myśl, jak się uratować.

Głos. Niczym z samych trzewi ziemi. Nie mogę uwierzyć, że to on przemówił. Leży bardziej jeszcze nieruchomy niż przedtem. Z dołu dochodzą odgłosy walenia. Kręci mi się w głowie.

— Uciekaj!

Znowu ten głos. Odwracam się do niego. Leży bez ruchu.

Uderzenia. Drzwi ustępują.

Dobra, torby, nie powinni ich znaleźć, dalej, na ramiona, i w górę po drabinie, żołnierze pastwią się nad staruszką, wspinam się, nie mam się czego uchwycić, za duży ciężar, dalej, psiakrew, jedna torba

wymyka mi się, żołnierze wchodzą po schodach, byle się wcisnąć, wciągają drabinę, zamykam klapę, drzwi się otwierają.

Jest ich dwóch. Lancknechci.

Mogę ich śledzić przez szparę między belkami. Nie wolno mi się poruszyć, najlżejsze skrzyknięcie i będzie po mnie.

— Rzucimy tylko okiem i idziemy, tu niczego się nie znajdzie...

Och, ktoś tu jest!

Podchodzą do łóżka, potrząsają Magistrem Thomasem.

— Coś ty za jeden? To twój dom?

Żadnej odpowiedzi.

— Dobra, dobra, Günther, popatrz, cośmy tu znaleźli!

Dostrzegli torbę. Jeden z nich ją otwiera.

— Gówno, tylko jakieś papiery, żadnych pieniędzy. Co to może być? Umiesz czytać?

— Nie umiem!

— Ani ja. Może to coś ważnego. Idź zawołać kapitana.

— Co jest, wydajesz mi rozkazy? Dlaczego sam nie pójdziesz?

— Bo to ja znalazłem torbę!

W końcu dochodzą do porozumienia; ten, co ma na imię Günther, schodzi piętro niżej. Mam nadzieję, że kapitan także nie będzie umiał czytać, bo inaczej to koniec.

Ciężkie kroki, to pewnie kapitan wchodzi po schodach. Nie wolno mi się ruszyć. Mam wyschnięte podniebienie, w gardle pełno kurzu ze strychu. Żeby nie zakasłać, gryzę wewnątrz policzka i przełykam krew.

Kapitan zaczyna czytać. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie zrozumie. W końcu podnosi oczy znad foliów.

— To jest Thomas Münzer, nasz Mincerz... czy tam Monetka*.

Serce podchodzi mi do gardła. Zadowolone spojrzenia, będzie podwójna zapłata. Dźwigają z łóżka i wynoszą tego, który wypowiedział wojnę książętom.

Leżę cicho, niezdolny poruszyć żadnym mięśniem.

Boga wszechobecnego nie ma ani tu, ani w żadnym innym miejscu.

* Gra słów w języku niemieckim. *Müntzer* — mincerz, *Müntzel* — mała moneta. (Autor stosuje pisownię *Müntzer*. W polskim piśmiennictwie raczej *Münzer*, podobnie w źródłach niemieckich).

Rozdział 2

16 maja 1525 roku

Nadchodzą pierwsze odblaski świtu. Osuwam się na podłogę, kompletnie wyczerpany.

Gdy otworzyłem oczy w ciemnościach nocy i mojego życia, pierwszym wrażeniem było całkowite odrętwienie członków.

Jak dawno temu stąd poszli?

Z ulicy dochodziły przekleństwa pijanych żołnierzy, odgłosy hulania, krzyki kobiet zdanych na łaskę najemnych żołdaków.

Piekielne swędzenie przypomina mi, że jeszcze żyję. Skóra pokryta jest skorupą potu, słomy i kurzu.

Jestem żywy, mogę już kasłać i jęczeć.

Samo wstanie na nogi i wdrapanie się na dach z torbą i mieczem było straszliwą męczarnią. Odczekałem jakiś czas, żeby przyzwycząić oczy do ciemności, obserwując oblicze miasta śmierci.

Na dole blaski rozsianych wszędzie ognisk oświetlały zuchwałę gęby używających sobie żołnierzy, którzy postanowili uczcić pijatyką tak łatwe zwycięstwo.

Na wprost przede mną ciemność. Absolutna ciemność okolicznych pól. O parędziesiąt kroków po lewej stronie jeden z dachów wystawał poza inne, przewieszony nad biegnącym pod nim zaułkiem, sięgając po skraj całkowitej ciemności. Pełznąć po dachach, przeciągnąłem aż tam potłuczone plecy i ukazał mi się mur miejski, wysoki na trzech ludzi. W pobliżu żadnej straży. Podbiegłem do jego przeciwległej krawędzi.

W pierwszej chwili nie poczułem smrodu — w gębie miałem kloakę, nos pełen brudu zmieszanego z potem... Dopiero po chwili zorientowałem się, że to gnój. Gnój leżący dokładnie pode mną. Skoczyłem w ciemność, było mi wszystko jedno.

Wielka kupa gnoju.

A teraz biegiem przed siebie, spragniony łyka wody, znowu biegiem, potem już zwykłym krokiem, potykając się, i znowu trochę biegiem, zgłodniały, byle dalej od śmierci, która otarła się o mnie, i od ścigającego mnie smrodu, dopóki nogi dadzą radę.

Świt.

Wyciągnięty w jakimś rowie piję błotnistą wodę. Zagłębiam się w ciemność, podczas gdy nade mną wstaje słońce.

* * *

Wieczorna zorza płonie na zachodzie. Pali mnie każdy zakątek ciała; jestem oblepiony łajnem i błotem, ale żywy.

Polą, snopy zboża, krawędź lasu parę mil na południe. Trzeba podjąć ucieczkę. Muszę zaczekać, aż zapadną ciemności.

Sam. Moi towarzysze... mistrz, Elias.

Sam. Twarze braci, ich trupy rozciągnięte na równinie.

Torba i miecz zdają się ważyć dwa razy więcej niż przedtem. Jestem osłabiony i muszę coś zjeść. O parę kroków dalej widzę zielone kłosa zboża. Zrywam je garściami i przetykam z trudem.

Zastanawiam się, jak wyglądać, obserwuję mój długi cień na ziemi. Ręka unosi się i przeciąga po twarzy, oczach, brodzie. To nie ja. Już nigdy nie będę tym, kim byłem.

Muszę zacząć znowu myśleć.

Muszę zapomnieć o strachu i myśleć. Potem podjąć marsz, zostawiając strach za sobą. A jeszcze potem zabić w sobie wspomnienie tych potworności i żyć.

Muszę zacząć myśleć. Jedzenie, pieniądze, ubranie.

Jakaś kryjówka, daleko stąd, jakieś bezpieczne miejsce, w którym będzie można posłuchać wieści i odszukać trop ocalałych braci.

Myśleć.

Hans Hut, księgarz. Tam, na równinie, uciekł na widok zbroi księcia Jerzego, zanim zaczęła się rzeź. Jeśli ktokolwiek się uratował, to właśnie Hut.

Jego drukarnia znajduje się w Bibrze, niedaleko Norymbergi. Już wiele lat temu roiło się tam od braci. Bezpieczna przystań dla wielu z nich.

Na piechotę nocami, omijając drogi, przez lasy i skrajami pól... potrwa to co najmniej dwanaście dni.

Rozdział 3

18 maja 1525 roku

Przede mną żołnierski biwak.

Długie cienie i szorstki północny akcent.

Od dwóch dni i dwóch nocy idę przez las, z wyczulonymi zmysłami, wzdrygając się nerwowo przy każdym hałasie — łopocie ptasich skrzydeł i dalekim wyciu wilków, spływającym po plecach i mrozącym trzewia. Tam daleko świat mógłby się skończyć, mogłoby nie być już nic.

Szedłem na południe, dopóki nogi nie odmawiały posłuszeństwa i nie padałem na ziemię. Połykałem wszystko, czym tylko można oszukać żołądek — żółędzie, dzikie jagody, nawet liście i korę, gdy głód doskwierał mi tak, że nie mogłem już tego znieść... Wyczerpany, kości przesiąknięte wilgocią i coraz cięższe członki.

Było już po zachodzie słońca, gdy w leśnym mroku ukazały się odblaski ogniska. Zbliżyłem się, pełznąc aż do dębu.

Na prawo ode mnie, o jakieś sto kroków, trzy uwiązane konie; mój zapach mógłby mnie zdradzić. Leżę nieruchomo, niezdecydowany, rozmyślając o tym, ile czasu bym zarobił, gdybym wsiadł na któreś z tych zwierząt. Zerkam spoza pnia: siedzą wokół ogniska, owinięci płaszczami, manierka przechodzi z ręki do ręki, niemal czują gorzałkę w ich oddechach.

— Och! A jak ruszyliśmy na nich i zaczęły uciekać niczym owce? Ja sam nadziałem trzech na jedną dzidę! Jak na rożen!

Pijackie rechoty.

— Ja zrobiłem coś lepszego. Zamknąłem na klucz pięć bab, kiedy rabowaliśmy miasto... ale między jedną i drugą ani na chwilę nie przestałem wykańczać tych żebraków... Jedna z tych świń omal nie odgryzła mi ucha! Popatrzcie tylko...

— A ty?

— Poderżnąłem jej gardło, co miałem robić!

— Zmarnowany wysiłek, kapuściana głowo. Mogłeś zaczekać dzień i sama zaczęłaby ci dawać z braku męża, jak wszystkie inne...

Znowu salwa śmiechów. Jeden z żołnierzy dorzuca dREW, żeby podsyć ogień.

— Przysięgam, to było najłatwiejsze zwycięstwo w całej mojej karierze, wystarczyło strzelać im w plecy i nadziewać niczym gołębie. Ale co za widowisko — porozwalane łby, ludzie modlący się na kolanach... Czułem się jak kardynał!

Pobrzękuje pełną sakiewką, a pozostali dwaj wtórują mu, śmiejąc się szyderczo; jeden robi znak krzyża.

— Święte słowa. Amen.

— Idę się odlać. Zostawcie mi kropelkę tego specjału...

— Ej, Kurt, tylko odejdz trochę dalej, nie chcę spać z oparami twoich szczyn pod nosem!

— Jesteś tak pijany, że nawet byś nie zauważył, jakbym narobił ci na gębę...

— Idź do diabła, draniu!

Beknięcie w odpowiedzi. Kurt wychodzi z kręgu światła i idzie w moim kierunku. Pokręciwszy się parę kroków ode mnie, zanurza się w leśnym gąszczu.

Muszę się zdecydować, natychmiast.

Ubrania. Ubrania nie tak brudne jak moje, u pasa sakiewka pełna pieniędzy.

Czołgam się za nim, muskając drzewa, dopóki nie dochodzi mnie odgłos bulgotania w trawie. Ściskam w dłoni miecz. I tak jak uczył mnie Elias — jedną ręką zamknąć gębę i bez najmniejszego niezdecydowania — podrzynam mu gardło, zanim zdołał się połapać, co się dzieje. Zanim ja sam zdążyłem to pojąć. Zaledwie trochę stłumionego bulgotu, i wypłuka krew i duszę między moimi palcami. Podtrzymuję go przy upadku.

Nigdy dotąd nie zabiłem człowieka.

Odpinam mu pas i sięgam po sakiewkę, ściągam z niego odzienie i pludry, zawijam to w jego płaszcz. Teraz w bok, bez pośpiechu i nie robiąc hałasu, trzymając jedną rękę przed sobą, żeby chronić twarz przed krzakami i gałęziami. Zapach krwi na rękach, tak jak na równinie, jak w Frankenhausen.

Nigdy dotąd nie zabiłem człowieka.

Rozwalone głowy, ludzie błagający na kolanach... Elias, Magister Thomas, z którego pozostał strzép...

Nigdy dotąd nie zabiłem człowieka.

Przystaję w całkowitych ciemnościach, głosy ledwo tu słyhać. Miecz ciągle w garści.

Oto co muszę zrobić.

Otworzyć tym bękartom na oścież czeluści piekieł.

Wracam, krok za krokiem, głosy coraz wyraźniejsze, coraz bliższe, rzucam na ziemię zawiniątko i torbę. Dwóch, stawiam już wielkie kroki, jest ich dwóch, nie wolno stracić ani chwili na jakieś wahanie.

— Kurt, do cholery, coś ty tam tak długo...

Wkraczam w krąg światła.

— Chryste Panie!

Dobrze wymierzony cios w głowę.

— Masz, kanalio!

Ostrze w pierś, z całej siły, dopóki nie rzygnął krwią.

Ręka drugiego zbyt późno sięga po broń... cios w bark, potem w plecy...

Czołga się na kolanach w kierunku lasu, kwicząc jak zarzynany wieprz.

Idę nad nim coraz wolniej. Ujmuję miecz obiema rękami i zatapiam go między łopatkami, gruchocząc kości, aż do serca.

Zabić w sobie obrzydzenie i strach.

Cisza. Tylko mój gorący oddech, widoczny nocą, i trzaskanie ognia. Rozglądam się — żaden się nie rusza. Trupy.

Na Boga, załatwiłem ich wszystkich!

Rozdział 4

19 maja 1525 roku

Jadę konno w mundurze, który nosi piętno hańby.

Teraz mundur ten ma mnie chronić. Może uda się ta sztuczka... może... muszę się przyzwyczać. To tylko maska zhańbionego najemnika, gdy hańba triumfuje, nic więcej.

Muszę się przyzwyczać. Nigdy dotąd nie zabiłem nikogo.

Jeszcze jeden zachód słońca, który okryje pola i wzgórza purpurowymi odblaskami, roztapiając kontury i rozwiewając wszelką pewność, jeśli jakaś uchowała się jeszcze.

Wiele mil przebytych w siodle, ciągle na południe, w kierunku Bibry, popychany nikłą nadzieją. Pola, przez które jechałem, nosiły ślady przejścia zbrodniczej hordy. Wyglądały jak pozostałości po walce żywiołów: nieobsiane, resztki wszelakiego żelastwa, porzucone przez diabelskie zastępy, tu i ówdzie gnijące trupy, szczątki nieszczęśliwców, którzy znaleźli się na drodze ich przemarszu; grupki najemnych żołdaków, spuszczonej ze smyczy po nie wiadomo jakiej masakrze, zmierzających na nowe płądrowanie.

Od chwili gdy widnokrąg i ostatnie cienie roztopiły się w mroku, idę pieszo przez las. W oddali dostrzegam światła między drzewami, być może następnych obozowisk. Po kilku krokach słyszę głuchy odgłos. Konie, szczęknięcie zbroi, odblaski pochodni na metalowych okuciach. Mój koń grzebie kopytami, muszę trzymać go krótko, starając się jednocześnie schować za pniem drzewa. Przystaję, głaszcząc jego szyję, żeby mu dodać odwagi.

Odgłos przypomina szum wylewającej rzeki. Przybliży się. Kopyta i błyszczący oręż. O parę kroków ode mnie pędzi horda upiorów.

Łoskot słabnie w końcu, ale nocny spokój nie wraca.

Światło za lasem robi się coraz mocniejsze. Powietrze jest nieruchome, ale wierzchołki drzew falują — to dym. Zbliżam się na tyle,

żeby usłyszeć trzaskanie palącego się drewna. Spomiędzy drzew wyłania się nagle obraz całkowitej zagłady.

To wieś stoi w płomieniach. Żar uderza mnie w twarz, z góry spadają drobne węgle i sadza. Fala słodkawej woni spalonych ciał ściska mi żołądek. Dostrzegam je w tym momencie — zwęglone zwłoki, niewyraźne zarysy postaci porzuconych w ogniu. Wymioty podchodzą mi do gardła, utrudniając oddech.

Ręce czepiają się siodła... precz z tego miejsca, na łeb na szyję w noc, byle dalej od tej potworności, od nieczystych objęć piekła.

Rozdział 5

21 maja 1525 roku

Na stacji zmiany koni panuje ożywiony ruch, wjeżdżają i wyjeżdżają wozy wyładowane mieniem spłodowanym po wsiach; dowódcy wykrzykują rozkazy w różnych dialektach, oddziały żołnierzy wyruszają we wszystkich kierunkach, najemnicy jeszcze brudniejsi ode mnie wymieniają łupy i handlują nimi na środku drogi, włóczęgi czyhają na resztki. Drugie oblicze spustoszenia, jakie spotkałem po drodze: głębokie tyły wojny bez frontów, ściek, którym płyną tłuste kąski, owoce rzezi.

Koń potrzebuje odpoczynku, ja przyzwoitego posiłku. Ale przede wszystkim muszę się zorientować, gdzie jestem, i znaleźć najkrótszą drogę do Norymbergi, a potem do Bibry.

— W tych czasach lepiej nie zostawiać konia bez opieki, żołnierzu.

Głos z prawej strony, spoza kolumny piechurów, którzy wyruszają w drogę. Masywna postać, skórzany fartuch i buty z cholewami, uwalane gnojem.

— Wystarczy, żebyś wszedł do zajazdu, a podadzą ci go na wieczerzę... W stajni będzie bardziej bezpieczny.

— Ile?

— Dwa skudy.

— Za drogo.

— Za ścierwo twojego konika nie dostaniesz nawet tyle...

Odprawiony najemnik, który wraca do domu z zapłatą.

— Zgoda, ale napoisz go i dasz mu siana.

— Wprowadź go tutaj.

Uśmiecha się: pełne drogi, bajeczne interesy.

— Jedziesz z Fuldy?

Żołnierz wracający z wojny.

— Nie, z Frankenhausem.

— Jesteś pierwszy, który jedzie stamtąd... Opowiedz, jak tam było? Wielka bitwa...

— Najłatwiej zarobione pieniądze w całej mojej karierze.

Stajenny odwraca się i wrzeszczy:

— Hej, Grosz, jest tu jeden, co jedzie z Frankenhausen!

Z cienia wychodzi ich czterech, grubo ciosane gęby żołdaków.

Grosz ma bliźnię, która przecina lewy policzek aż po szyję, i zagłębienie w szczęcie, tam gdzie klinga nacięła kość. Szare, pozbawione wyrazu oczy gościa, który oglądał wiele bitew, przyzwyczajone do widoku psujących się trupów.

Rozlega się głuchy, jakby płynący z piwnicy głos.

— Wykończyliście wszystkich tych prostaków?

Głęboki oddech, żeby przełknąć paniczny strach. Twarze, które przyglądają się bacznie.

— Ilu ich tam było — mamrocze niewyraźnie żołnierz wracający z wojny.

Wzrok Grosza przenosi się na pełną sakiewkę wiszącą u pasa.

— Walczyłeś pod księciem Filipem?

Jeszcze jeden oddech. Nie dać sobie czasu na żadne wahanie.

— Nie, z kapitanem Bambergiem, w oddziałach księcia Jerzego.

Oczy patrzą nieruchomo, być może nieufnie. Sakiewka.

— Próbowaliśmy dogonić Filipa, żeby dołączyć do jego ludzi, ale dotarliśmy do Fuldy za późno. Już wyruszyli stamtąd: ten połamaniec gnał jak szalony! Wytężonym marszem dotarł do Schmalkalden, Eisenach i Salzy, nie dawał nawet czasu, żeby się odlać...

— Chodziło oto, żeby zgarnąć resztki, zrabować, co się jeszcze dało — odzywa się inny. — Na pewno nie został tam żaden wieśniak przy życiu?

Oczy żołdaka, który mordował chłopów na równinie; szklane jak u Grosza.

— Nie. Same trupy.

Krzywa gęba z bliźnią przygląda mi się w dalszym ciągu, zastanawia się nad łupem, który się właśnie napatoczył — czy bardzo ryzykowne byłoby zabranie sakiewki. Czterech na jednego. Pozostali trzej nie ruszą się bez jego gestu.

— Mühlhausen — mówi powoli. — Książęta zbierają się, żeby oblegać to miasto. Tam na pewno można się obłowić. Domy kupców, a nie wsiowych żebraków... Banki, sklepy, warsztaty...

— I baby — dodaje, śmiejąc się szyderczo, ten najniższy, za jego plecami.

Ale wilkołak Grosz się nie śmieje. Ani ja... z wyschniętym gardłem i oddechem, który nie chce mi przejść przez gardło. Ocenia. Moja dłoń na rękojeści miecza wiszącego u pasa tuż koło sakiewki.

Zrozumiał — jedyny cios byłby przeznaczony dla niego. Podciąłbym mu gardło, i mogę to zrobić. Jest to wypisane w moim spojrzeniu utkwionym w jego twarzy.

Zaledwie małe wzdrygnięcie, zamiast decyzji mrugnięcie oka. Nie warto ryzykować.

— Powodzenia.

Odchodzą w milczeniu, słychać tylko stąpania buciorów grzęzących w błocie.

* * *

Przedemną siedzi jakiś grubas, odrywa wielkie kęsy od koźlego udźca, z ogromnego kufla tęgo pociąga piwo, które spływa po zatłuszczonej brodzie. Na lewym oku ma opaskę, spod której prawie nie widać twarzy. Kurtka, obdarta i brudna, z trudem okrywa brzuch, do którego wlało się za wiele beczulek w czasie dziesiątków lat na żołdzie wszelkich możliwych panów.

Wieprz na krótką chwilę przerywa jedzenie.

— Co taki panicz jak ty robi w tym gnojowisku? — pyta.

Cieknie mu z wypchanej gęby, przeciąga po niej dłonią, a potem czka głośno.

— Koń potrzebuje odpoczynku, a ja muszę coś przekąsić... — odpowiadam, nie patrząc na niego.

— Nie o tym, paniczu. Pytam, co robisz w tej zafajdanej wojnie.

— Bronię książąt przed buntownikami... — Nie pozwala mi dokończyć.

— Aha, aha... dobra, dobra... przed paroma zawszonymi łachmaniarzami — przeżuwa jedzenie — przed żebraczą hołotą — przełyka — co za czasy, mali chłopcy bronią panów przed wiejskim pospółstwem. — Czka. — Powiadam ci, paniczku, to jest najbardziej gówniana ze wszystkich gównianych wojen, jakie oglądało to jedyne widzące oko. Tylko pieniądze, kumoczku, tylko pieniądze i interesy z tymi wieprzami z Rzymu. Biskupi z ładacznicami i dziećmi na utrzymaniu! Forsa, powiadam ci, książęta i diukowie, ta zaraza, żaden z nich nie myśli o niczym innym. Najpierw zabierają wszystko wsiowym prostakom, a potem posyłają nas, żebyśmy walili kijami tych, co się buntują. Może jestem już za stary na te draństwa. Sukinsyny! Ale tym razem były armaty wycelowane przeciwko książętom i papieskim lizusom, prostaki pokazały, że mają jaja; puszczali z dymem zamki z całym tym dobrodziejstwem Pana Boga, ruchali grafinie, patroszyli klechów! Och, gadali bez przerwy o Bogu, ale rozbijali wszystko, niewiele brakowało, żebym i ja się przyłączył, ale wiedziałem, jak się to skończy, dobry los nie lubi żebraków. A dla

nas, jak zawsze, parę zasranych groszy. No, to na ich cześć — pierdzi, rechocze szyderczo i wychyla resztę piwa jednym haustem. — Nie gadaj głupot!

Przestają jeść, zaskoczony i zdeglustowany. Ten wieprz jest nawet sympatyczny, mówi takim językiem, jakby mieszkał w rynsztoku, lecz nienawidzi wielkich panów. Dodaje mi odwagi, widać, że są wśród nich ludzie z krwi i kości, a nie tylko naostrzone żelazo.

— A wy gdzie byliście? — pytam.

— W Eisenach, potem w Salzie, wreszcie znudziło mi się zrywać ręce na plecach tych biedaków. Prawdziwa obrzydliwość. Za stary jestem na takie draństwo, mam czterdzieści lat, cholera, a za sobą już dwadzieścia tego gówna. A ty, paniczku?

— Dwadzieścia pięć.

— Nie, nie. Gdzie byłeś?

— We Frankenhausen.

— O, do diabła! W samym środku sądu ostatecznego? Gadają straszne rzeczy, nigdy nie słyszałem czegoś podobnego.

— Dokładnie tak było.

— Ale powiedz no... Ten kaznodzieja, ten prorok, och, ten twardziel, jak mu tam...? O, mam, Münzer. Taki, co to robi monety. Jak on skończył?

Przyglądam mu się bacznie.

— Dostali go.

— Nie zginął?

— Nie. Widziałem, jak go wynosili. Jeden człowiek z oddziału, który go złapał, powiedział mi, że walczył jak lew, że trudno go było pojmać, a żołnierzy trwożyło jego spojrzenie i słowa. Jeszcze jak go wieźli na wozie, słyszałem jego wrzaski: *Omnia sunt communia!*

— Ki czort może wiedzieć, co to znaczy?

— „Wszystko jest wspólną własnością”.

— U diabła, morowy gość! A ty znasz łacinę?

Uśmiecha się kpiąco. Spuszczam oczy.

Rozdział 6

24 maja 1525 roku

Kilka godzin jazdy i wzgórze Lasu Turyńskiego były już tylko wyblakłym pasmem, odbijającym od posępnej szarości nieba za moimi plecami. Niedawno minąłem fortecę Koburg, kierując się w stronę zajazdu na przedmieściu Ebern. Jeszcze dwa, najwyżej trzy dni, wzdłuż lesistych dolin, które otwierała przede mną Górna Frankonia. Szeroka droga, zwykle zatłoczona wozami kupców pomiędzy Itz i Menem. Dzisiejszy wieczór w Ebern, następny w Forchheim, żeby uniknąć niedyskretnych spojrzeń mieszkańców Bambergu, potem Norymberga i wreszcie Bibra.

Po raz pierwszy poczułem, że mogę to zrobić. Zapomniałem już o zmęczeniu, które chwyciło mnie swoimi zębami, unicestwiłem je mocą człowieka, który nie godzi się na klęskę.

* * *

Nadciągała naprzeciwko mnie z oddali, podczas gdy niebo wypełniało się chmurami, bolesna, obszarpana, tragiczna. Poprzedzał ją delikatny welon mgiełki, nasączony wątlm, żółtawym światłem i lekką mżawką, z powodu której wzrok i oddech robią się niepewne, szła płaskim dnem wąskiej doliny, którą miałem nadzieję pokonać do zmroku.

Toczyła się powoli, mając już za sobą może parę godzin drogi od brzasku, po nocy spędzonej nie wiadomo jak, a przed oczami mrok nie do zniesienia, jak przed procesją widm wędrujących bez celu.

Fala uciekinierów, wezbrana rzeka nędzy, zmierzająca ku wspinałym wieżom Koburga. Nie mieli wozów ani wołów czy koni. Worki na ramionach.

Kolumna zmasakrowanej ludzkości wlokła się bezbronna, zdruzgotana straszliwym wyrokiem nieba. Wleczone ostatkiem sił domowe sprzęty, jęk kalek pod brudnymi płachtami, starcy leżący na byle jak skleconych noszach. Niekończące się litanie i płacz dzieci, jakby dla wyśpiewania udręki.

Tylko niektóre kobiety próbowały nadać swoim ruchom jakiś kierunek, przebiegały po wielekroć nierówne rzędy, niosąc pocieszenie rannym i dodając otuchy tym, którzy padali pod ciężarem nieszczęścia; zawsze z małymi dziećmi uczepionymi pleców albo niesionymi na rękach czy w fartuchu, ze szlachetną boleścią na obliczach. Ich niewyobrażalna, uroczysta siła wlewała oddech życia w nieszczęśników z nie wiadomo jakiej wsi, może tej napotkanej przed paroma dniami albo jakiejś innej. Czy znajdzie się dla nich skrawek ziemi, któremu udało się uniknąć kataklizmu?

Przyglądałem się ich pełnym wysiłku krokom, stojąc o parędziesiąt metrów po prawej stronie, przez chwilę zamarłą w bezruchu jak wieczność. Co jakiś czas szło ku mnie, to stąd, to stamtąd, jakieś spojrzenie czy błagalny lament. Setki ludzi, których pilnował jeden tylko żołnierz, ani jednego gestu pogardy czy sprzeciwu. Wszyscy zmartwiali, osłupiali nieszczęściem. Do mnie, uciekiniera przebranego za mordercę, kierowała się modlitwa wyzutyh ze wszystkiego.

A potem twarz jednej z kobiet, łamiąc bierną inercję, wyszła naprzeciw mnie. Żywa, choć nieludzko zmęczona oderwała się od żalostnej kolumny, oddając innym ramionom pod opiekę dwa wygłodzone maleństwa, które niosła ze sobą.

— Nie mamy już nic, żołnierzu. Tylko rany kalek i łzy naszych dzieci. Bo i co jeszcze?

Nie znalazłem słów, aby uśmierzyć wyrzuty sumienia, wywołane moją bezradnością i winą za to, że żyję, wobec tych straszliwych oczu, dwóch gwoździ wbitych w żywe ciało. Powinienem był zejść z konia, pozbierać jej dzieci, dać pieniędzy i udzielić pomocy. Wesprzeć moich bliźnich, gromadę wybranych, wdeptaną w błoto, z którego pragnęła się wydostać. Zsiąść i zostać z nimi.

Rąbnąłem mocno piętami boki konia i pogałem przed siebie. Prawie na oślep.

Rozdział 7

Eltersdorf, Frankonia, 10 czerwca 1525 roku

Zarabianie na chleb jest doprawdy zajęciem męczącym i smutnym. Człowiek wymyśla pobożne kłamstwa na temat pracy. Oto jeszcze jedna ohydna postać bałwochwalstwa, pies liżący kij — praca.

Pień i siekiera od wschodu słońca. Rąbię drwa na podwórzu, które oddziela ogród i stajnię od domu Vogla.

Wolfgang Vogel to dla wszystkich pastor Eltersdorfu, zwolennik Lutra; Hut ma w nim świetną pomoc w rozpowszechnianiu ksiązek, broszur, obwieszczeń; buntujący się chłopci nazywają go „Czytajcie Biblię”, ze względu na refren: „Teraz, gdy Bóg przemawia w waszym języku, musicie nauczyć się sami czytać Biblię. Nie potrzebni wam już uczeni doktorowie”. „A więc i ty nie jesteś potrzebny”, brzmiała najczęściej odpowiedź, która jednak wcale go nie zniechęcała.

Świetny gość z tego Czytajcie Biblię: przyjął mnie niezwykle ciepło, poklepał po ramieniu, wypytał, kto przeżył, a kto zginął, i nie wiadomo kiedy stanąłem z siekierą w ręku przed stosem drewna. Jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę zarobić na tę jego gościnność.

Huta nie było w Bibrze, drukarnia zamknięta. Powiedziano mi, że pokazał się tydzień temu, ale natychmiast wyruszył do północnej Frankonii, żeby ochrzcić jak najwięcej ludzi. Poczułem się jak wędrowiec, który dociera do płonącego zajazdu i pyta, co mają na kolację. Dowiedziawszy się, że Vogel jest w Eltersdorfie, zmieniłem tylko konia, zaopatrzyłem się w prowiant i znowu w drogę.

Eltersdorf. Mam izdebkę, talerz zupy i nowe nazwisko — Gustav Metzger. Wciąż żyję i nie wiem, jak to się stało. Na razie nie mówi się o tym, kiedy znów znajdę się na gościńcu.

* * *

Eltersdorf, lato 1525 roku

Długie dni, nie do zniesienia. Muszę czyścić stajnię, rąbać drzewo, nosić żarcie świniom, w oczekiwaniu, że maciora się oprosi. Zbierać owoce w małym ogrodzie i naprawiać narzędzia, ciągle gotów wyciągnąć nogi. Powtarzające się obowiązki, czysty przymus członków uruchamianych każdego dnia, żeby mieć prawo do miski godnej podwórzowego psa.

Tymczasem wieści, które nadchodzą ze świata, mówią o masakrach; prześladowania ze strony książąt dorównały wyzwaniu, jakie im rzucono. Głowy rolników pochylają się nisko nad pługiem; nie są to już ludzie, którzy chwycili za kosy jak za miecze.

W całej wiosce nie ma prawie nikogo, z kim mógłbym zamienić parę słów. Gdy idę do młyna, żeby zemleć zboże Vogla, i spotykam kogoś na drodze, pada tylko parę słów na temat pastora Wolfganga, jedynego mieszkańca wioski, który ma pszenicę dla młynarza.

Jedną z niewielu przyjemnych rzeczy w ciągu dnia są dyskusje z Hermannem, chłopem, który odzyskał dobry nastrój i który dzierżawi pole za ogrodem Vogla. Tak po prawdzie mówi tylko on, waląc siekierą w drewniane polana, ponieważ każdy, powiada, ma ręce, jakich jest wart, a on urodził się już z odciskami. Doktorki takie jak ja niech lepiej biorą do ręki tylko książki. Uśmiecha się, usta w połowie bez zębów, i zaklina, że tę wojnę wygrali biedacy. Opowiada, jak to było, gdy wzięli zamek grafa i przez dziesięć dni kazali się obsługiwać jemu i jego ludziom, a w nocy ruchali panią i córki. Było to ich wielkie zwycięstwo, bo nikt nie może myśleć o obaleniu władców na dłuższy czas także dlatego, że gdyby rządzący chłopi, a panowie orali ziemię, wszyscy prędko pozdychaliby z głodu, bo każdy ma takie ręce, jakich jest wart... Mimo wszystko dla takiego pana, który musiał lizać nogi byle słudze, a teraz wtyka na nowo tę rzecz tam, gdzie wetknął swoją jakiś nędzarz, to najbardziej poniżająca klęska. A dla takich jak Hermann — najświętsza rozkosz. Śmieje się jak półgłówek, plując na wszystkie strony śliną, a ja mówię, żeby mu zrobić jeszcze większą przyjemność, że być może następnym grafem będzie jego syn i że to dobry sposób na obalenie potężnych panów — skazać ich potomstwo.

Natomiast nie bardzo mam o czym rozmawiać z Voglem. To dzielny człowiek, ale nie podoba mi się; mówi, że przeznaczenie i najwyższa wola boska chciały, żeby sprawy poszły tak właśnie, żeby zdarzyła się straszliwa masakra bezbronnych, albowiem niezbadana, najwyższa Moc chce, żebyśmy ją rozumieli poprzez znaki, także te tragiczne i bolesne, i że wola ludzi, także tych sprawiedliwych i zasługujących na królestwo, nie wystarcza do urzeczywistnienia na ziemi danej im obietnicy. Do diabła z Voglem, jego obietnicami i całą resztą.

* * *

Odwracam się już, gdy wołają „Gustav”; przyzwyczailem się do imienia, które jest moim nie bardziej niż jakiegokolwiek inne.

* * *

Wieczorem światło świec pozwala ledwo przeczytać parę stron Biblii. Moja izba: drewniane ściany, byle jakie posłanie, stółek i stół. Na stole torba Magistra okryta nieforemnymi bryłami wyschniętego błota. Nikt nie przełożył jej w inne miejsce.

Nie ma nic więcej, nic oprócz tej torby przyniesionej aż tu z Frankenhausen, aby przypominała mi niespełnione obietnice i przeszłość. Nic, co warte by było ryzyka przechowywania. Powinienem był spalić ją natychmiast, ale za każdym razem, kiedy podchodziłem, żeby wziąć ją do ręki, miałem wrażenie, że jestem na szczycie tamtej drabiny i odczuwałem ciężar, który ciągnął w dół, gdy zostawiałem Magistra jego własnemu losowi.

Otwieram ją po raz pierwszy. Zawartość prawie rozsypuje się w rękach. Są w niej wszystkie listy, ale zbutwiały i ponadżerała je wilgoć. Posklejane kartki z trudem dają się rozdzielić.

Dla naszego czcigodnego mistrza Thomasa Münzera z Quedlinburg pozdrowienie od chłopów z Schwarzwaldy i od Hansa Müllera von Bulgenbacha, zbuntowanych pospołu i z wielką siłą przeciwko nikczemnemu panu Sigmundowi von Lupfenowi, winnemu głodzenia i ciemnienia swoich sług i ich rodzin zima za zimą i doprowadzenia ich do rozpacz.

Mistrzu nasz, piszę do Was, żeby Was powiadomić, że minął tydzień od czasu, gdy dwanaście naszych artykułów zostało zaprezentowanych radzie miasta Willingen, która niezwłocznie odpowiedziała, przyjmując tylko kilka zawartych w nich żądań. Część chłopów uznała przeto, że nie da się osiągnąć więcej, i wybrała powrót do swoich domów. Ale inna część, nie mniejsza od tamtej, postanowiła jednak przedłużyć protest. Ja sam staram się dotrzeć do chłopów z pobliskich ziem, żeby zebrać posiłki w tej słusznej walce, i piszę do Was w pośpiechu, jak ktoś, kto ma już jedną nogę w strzemieniu, pewien, że oprócz Was nie ma w całych Niemczech drugiego człowieka gotowego wybaczyć mi tę zwięzłość, i z nadzieją w sercu, że ten list do Was dotrze.

*Niech Bóg towarzyszy Wam zawsze,
przyjacielu chłopów,*

*Hans Müller von Bulgenbach
Z Willingen, 25 listopada roku 1524*

Müller, prawdopodobnie zabity. Szkoda, że nie poznałem go wtedy. A nie minął jeszcze rok. Rok, który teraz wydaje się, jakby upłynął gdzieś po drugiej stronie świata, tak jak i jego słowa. Rok, w którym wszystko było możliwe, jeśli w ogóle było możliwe kiedykolwiek.

Znowu zanurzam rękę w torbie. Karta żółta i porozdzierana.

Do nauczyciela wieśniaków, pana Thomasa Münzera, obrońcy wiary przeciwko bezbożnikom, w kościele Matki Boskiej w Mühlhausen.

Nauczycielu nasz, w dzień Świętej Wielkanocy, korzystając z nieobecności grafa Ludwiga, chłopci napadli na zamek w Helfenstein i po złupieniu go i pojmaniu hrabiny i jej synów skierowali się w stronę murów miejskich, gdzie schronił się grafi i jego świta. Dzięki wsparciu mieszkańców wdarli się do środka i pojмали ich. Następnie zaprowadzili grafa i pozostałych trzynastu szlachciców na otwarte pole i przymusili do przejścia pod jarzmem. Mimo że grafi w zamian za życie oferował dużo pieniędzy, zabili go wraz z jego rycerzami, obnażyli i porzucili w środku lasu, z ramionami przywiązanymi do jarzma. Wróciwszy do zamku, podłożyli pod niego ogień.

Wiadomość o tych wydarzeniach prędko dotarła do sąsiednich zamków, siejąc panikę wśród szlachty, która wie teraz, że może ją spotkać los grafa Ludwiga. Jestem pewien, że te wypadki będą wsparciem najwyższej wagi dla uznania dwunastu artykułów we wszystkich miastach.

W tym wielkanocnym dniu Chrystus wstaje z martwych, aby ożywić ducha pokornych i tchnąć życie w serca zgnębionych (Iz 57, 15). Niech łaska boża Was nie opuszcza.

Dowódca chłopskich zastępów z Neckar i Odenwaldu

Jäcklein Rohrbach

Z Weinsbergu, dnia 18 kwietnia roku 1525

Ściskam pokrytą pleśnią kartkę. Znam ten list, Magister Thomas czytał go głośno, żeby przypomnieć wszystkim, że chwila zemsty się zbliża. Jego głos — ogień, który podpałił Niemcy.

Doktryna, bagno
(1519–1522)

Rozdział 8

Wittenberga, Saksonia, kwiecień 1519 roku

Zafajdana miescina ta Wittenberga. Godna pozałowania, biedna, zabłocona. Niezdrowy, chłodny klimat, żadnych winnic i sadów, jedna zakopcona, lodowata piwiarnia. Co by jej zostało, gdyby odjąć zamek, kościół i uniwersytet? Brudne zaułki, ulice pełne błota, nieokrzesany ludek handlarzy piwem i starzyzną.

Siedzę na uniwersyteckim dziedzińcu, z głową pełną takich myśli, zajadając obwarzanek prosto z pieca. Obracam go w rękach, żeby się ochłodził, obserwując posilających się studentów, dla których jest to pora obiadu. Podpłomyki i miski zupy, żakowska brać korzysta z chłodnawego słońca i obiada na świeżym powietrzu, czekając na następny wykład. Słysząc różne akcenty, wielu z nas pochodzi z sąsiednich księstw, ale także z Holandii, Danii, Szwecji, młodzież z połowy świata ściąga tu, żeby słuchać głosu mistrza. Sława Marcina Lutra rozeszła się na skrzydłach wiatru, a raczej za sprawą drukarskich pras, dzięki którym to miejsce, jeszcze parę lat temu zapomniane od Boga i ludzi, stało się sławne. Tyle wydarzeń... wydarzeń, które następują po sobie z prędkością błyskawicy. Nikt nigdy nie słyszał o jakiejś tam Wittenberdze, a teraz napływają tu zewsząd coraz liczniej i coraz młodszy, albowiem ten, kto chce uczestniczyć w przedsięwzięciu, musi tu być, w najgorętszym tyglu całego chrześcijańskiego świata. I być może coś w tym jest, bo tu piecze się chleb, na którym będzie sobie łamał zęby papież. Stąd wyjdzie nowa generacja doktorów i teologów, którzy uwolnią świat od skażonych szpon Rzymu.

Oto właśnie nadchodzi, o parę lat starszy ode mnie, bródka w szpic, chudy i skupiony jak tylko mogą być prorocy — filar klasycznej wiedzy, Melanchton, którego książę Fryderyk zapragnął postawić obok Lutra, aby dodać uniwersytetowi prestiżu. Jego wykłady są

błyskotliwe, cytuje na zmianę Arystotelesa i wersety biblijne, które może czytać po hebrajsku, tak jakby sięgał do niewyczerpanej studni wiedzy. Obok niego rektor Andreas Karlstadt. Nieskazitelny, umiarkowany w ubiorze, o kilka dobrze wykorzystanych lat starszy od tamtego. Za nimi Amsdorf i wierny Franz Günther, niczym małe pieski uwiązane na niewidzialnej smyczy. Potakują, i nic więcej.

Dyskutują, przechadzając się. Ostatnio zdarza się to często. Dola-
tują oderwane zdania, jakieś strzępy łaciny, ale treść rozmowy pozostaje niejasna. Ciekawość rośnie w uniwersyteckich murach niczym pnącza: młode umysły pożądają nowych tematów, na których można wypróbować mlecze zęby.

Karlstadt i Melanchton siadają na schodkach dokładnie naprzeciwko mnie, po drugiej stronie dziedzińca. Żacy z udawaną obojętnością otaczają ich półkolem. Słyszę młodzieńczy głos Melanchtona, przyciągający uwagę zarówno w auli, jak i wtedy, gdy rozlega się na dworze.

— ...i powinieneś uświadomić sobie raz na zawsze, mój dobry Andreasie, że nie ma bardziej klarownych słów od tych, które wypowiedział apostoł: „Każda dusza niech będzie zwierzchnościom wyższemu poddana, boć nie masz zwierzchności, tylko od Boga, a te, które są, od Boga są postanowione, a przeto kto się zwierzchności sprzeciwia, Bożemu się porządkowi sprzeciwia”. Tak pisze święty Paweł w Liście do Rzymian.

Podnoszę się, żeby dołączyć do pozostałych słuchaczy, właśnie w momencie, gdy Karlstadt odpowiada:

— Śmiesznie jest myśleć, że chrześcijanin, dla którego, według słów tegoż samego świętego Pawła, „prawo jest martwe”, to moralne prawo dane ludziom przez Boga, powinien być ślepo posłuszny niesprawiedliwym często prawom stworzonym przez ludzi! Chrystus powiada: „Oddajcie co cesarskie cesarzowi, a co boskie Bogu”. Żydzi używali cesarskich pieniędzy, uznając rzymską władzę. A więc słusznie uznali też wszystkie te obywatelskie obowiązki, które nie szkodziły obowiązkowi religijnym. W ten sposób Chrystus swoimi słowami odróżnia dziedzinę polityczną od religijnej i zgadza się na działanie władzy cywilnej, ale tylko pod warunkiem, że nie wywyższy się ona ponad władzę Boga, nie podszyje się pod nią. Gdy zaś zastępuje w istocie Boga, to nie wspiera już publicznego dobra, ale czyni człowieka niewolnikiem. Przypomnij sobie Ewangelię według Łukasza: „Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz”.

Atmosfera gęstnieje, studenci nadstawiają uszu i rzucają sobie ukradkowe spojrzenia. Utworzyła się arena, precyzyjne półkole słuchaczy, tak jakby ktoś ograniczył kredą pole walki. Günther stoi, zastanawiając się w milczeniu, po której stronie wypadnie się opowiedzieć. Amsdorf już wybrał — pośrodku.

Melanchton kiwa głową i mruży oczy, uśmiechając się wielkodusznie. Okazuje zawsze postawę ojca, który tłumaczy synowi, jak się rzeczy mają. Tak jakby jego umysł rozumiał twój, zamykając go w swoim, pojmując zawczasu wszystko to, co ty będziesz pojmował odtąd aż po kres twoich dni.

Spogląda z zadowoleniem na publiczność, ma przed sobą Nowe Chrześcijaństwo. Odmierza i waży słowa, zanim odpowie.

— Musisz kopać głębiej, Karlstadt, nie zatrzymuj się na powierzchni. Sens słów „Oddajcie cesarzowi”, jest zupełnie inny... Prawda, że Chrystus odróżnia dwa obszary, władzy cywilnej i władzy boskiej. Ale czyni tak po to właśnie, aby każda otrzymała to, co się jej należy, jako że te dwie postaci władzy są swoim lustrzanym odbiciem. Taka jest wola Pana. Sam święty Paweł wyjaśnił nam tę koncepcję. Powiada on: „Z tego samego też powodu płacicie podatki. Bo ci, którzy się tym zajmują, z woli Boga pełnią swój urząd. Oddajcie każdemu to, co się mu należy: komu podatek — podatek, komu cło — cło, komu uległość — uległość, komu cześć — cześć”. Co więcej, miły mój przyjacielu, jeśli wierni postępują uczciwie, nie muszą obawiać się władców, a przeciwnie, będą przez nich chwaleni. Kto natomiast popełnia czyny niegodziwe, powinien się bać, gdyż jeśli monarcha nosi miecz, to ma po temu powody: jest on na służbie u Boga, żeby słusznie karać tych, którzy czynią źle.

Karlstadt odpowiada powoli, poirytowany:

— Ale kto ukarze władcę, który nie postępuje uczciwie?

— „Najmilsi, nie czyńcie sami sprawiedliwości — odpiera pewnym głosem Melanchton — ale pozostawcie to Bożemu gniewowi”. Pan mówi: „mnie pomsta, i ja oddam”. niesprawiedliwa władza karana jest przez Boga, Andreasie. Bóg ustanowił ją na ziemi, Bóg może ją zniszczyć. A zresztą, gdzież można znaleźć jaśniejsze słowa, niżeli u apostoła: „Błogosławcie tych, którzy was prześladują”?

Karlstadt:

— Z pewnością, Melanchtonie, z pewnością. Nie mówię, że nie powinniśmy kochać także naszych nieprzyjaciół, ale zgodzisz się ze mną, że musimy przynajmniej mieć się na baczności wobec tych, którzy, usiadłszy na mojąszowym tronie, zamykają królestwo niebieskie przed ludźmi...

Dobrotliwy Melanchton:

— To fałszywi prorocy, mój dobry przyjacielu, to są fałszywi prorocy... Świat jest ich pełen. Są nawet tu, w tym ośrodku nauki, danym nam z łaski Pana... Albowiem to pośród uczonych zagnieżdża się pycha, to oni mają czelność wkładać do własnych ust słowa przypisywane Bogu, aby zyskać sobie sławę. Ale On powiedział nam: „Wniwecz obróć mądrość mądrych, a rozum rozumnych

odrzuć”. My służymy Bogu i walczymy o prawdziwą wiarę przeciwko światowemu zepsuciu. Nie zapominaj o tym.

Cios poniżej pasa, nieuczciwy. Postać rektora spowija się w welon słabości, w cień sprzeczności, która go toczy. Wydaje się zakłopotany, niezbyt przekonany, ale odczuwa zadaną mu ranę. Melanchton podnosi się: zaszczerpił zwątpienie, pozostaje mu tylko dobić przeciwnika.

W tym momencie z dziedzińca podnosi się głos. Głos pewny, jasny, który nie może należeć do studenta.

— „A strzeżcie się ludzi, albowiem powiodą was przed sądy i będą was biczować w swoich synagogach i z mojego powodu będziecie wodzeni przed oblicza rządców i królów, abyście dali świadectwo im i poganom...”. Może oto nasz mistrz Luter boi się stanąć przed obliczem władzy, by zostać osądzonym przez trybunały? Nie wystarczy wam jego świadectwo, żeby zrozumieć? Słowa Lutra są wołaniem, które niesie się z pól i z kopalni przeciwko tym, którzy uczynili zagładę prawdziwej wiary: „Ten, kto przychodzi z góry, jest ponad wszystkimi; ale kto przychodzi z ziemi, należy do ziemi i przemawia językiem ziemi”. Luter wskazał nam drogę: gdy władza ludzi przeciwstawia się świadectwu, prawdziwy chrześcijanin ma obowiązek przeciwstawić się jej.

Spoglądamy na twarz tego, który się odezwał. Jego wzrok jest jeszcze twardszy i bardziej zdecydowany od słów. Nie odrywa się od twarzy Melanchtona.

Melanchton. Zdumiony mruży oczy, przełykając wściekłość. Ktoś ukradł mu słowo.

Dwa uderzenia dzwonu. Wzywają na wykład Lutra. Trzeba iść.

Cisza i napięcie rozplywają się w cichym gwarze żaków, pozostających pod wrażeniem dysputy, i w obojętnych słowach Amsdorfa.

Wszyscy oddalają się w głąb dziedzińca. Melanchton nie rusza się z miejsca, stoi, wpatrując się w tego, który odebrał mu pewne zwycięstwo. Mierzą się nawzajem na odległość, dopóki ktoś nie weźmie profesora pod ramię, żeby odprowadzić go do auli. W słowach wypowiedzianych przed odejściem pobrzmiwa przyrzeczenie:

— Będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać. Z pewnością.

W zatłoczonym korytarzu, prowadzącym do auli, w której czeka wielki Luter, dołączam do mego przyjaciela Martina Borrhausa, którego wszyscy nazywają Cellariuszem, Pustelnikiem z Celi, i który także podniecony jest tym, co się wydarzyło.

— Widziałeś twarz Melanchtona? — pytam przyciszonym głosem. — Dotknął go do żywego ten mistrz ciętego języka. Wiesz, kto jest?

— Nazywa się Münzer. Thomas Münzer. Przybył ze Stolbergu.

Tajne oko Carafy
(1521)

List wysłany do Rzymu z Wormacji, siedziby cesarskiego parlamentu, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 14 maja 1521 roku.

Do najdostojniejszego i wielmożnego Pana, Przewielebnego Giovanniego Pietra Carafy, w Rzymie.

Najdostojniejszy, wielmożny Panie, dobrodzieju mój najczcigodniejszy!

Piszę do Waszej Wielmożności z powodu bardzo poważnego i tajemniczego wydarzenia: dwa dni temu Marcin Luter został porwany, kiedy wracał do Wittenbergi z cesarskim glejtem.

Gdy Wasza Wielmożność polecił mi śledzić tego mnicha na zgromadzeniu cesarskim w Wormacji, nie uprzedził mnie ani słowem o takim zamiarze; jeśli jest coś, co uszło mojej uwagi i co powinienem wiedzieć, oczekuję z niepokojem, że Wasza Wielmożność poinformuje o tym swego sługę. Jeżeli, jak myślę, moje informacje nie były błędne, mogę w takim wypadku zapewnić, że nad Niemcami wisi poważna i mroczna groźba. Tymczasem uznaję za rzecz najważniejszą powiadomić Waszą Wielmożność, jakie były ruchy samego Lutra i nastroje wokół niego w dniach zjazdu i jakie było zachowanie jego pana, księcia elektora Fryderyka Saskiego.

We wtorek 16 kwietnia w porze obiadu straż miejska postawiona na wieży katedralnej dała dźwiękiem trąby sygnał oznajmiający przybycie jakiegoś szacownego gościa. Wieść o tym, że mnich przybywa, rozeszła się już w godzinach rannych i wiele osób wyszło mu naprzeciw. Za jego skromnym powozem, przed którym postępował cesarski herold, jechało około stu ludzi na koniach. Drogę blokował tłum na tyle gęsty, by uniemożliwić orszakowi prędką jazdę. Przed wejściem przez szpaler ciżby do zajazdu Johanniterhoff Luter rozejrzał się naokoło opętany wzrokiem, wołając: „Bóg będzie ze mną”.

Trochę dalej, w zajeździe Pod Łabędziem, rozgościł się książę elektor saski ze swoim orszakiem. Od pierwszych godzin po przybyciu Lutra zaczęła go odwiedzać drobna szlachta, mieszczenie i urzędnicy magistratu, ale żaden z ważniejszych uczestników zjazdu nie chciał kompromitować się publicznie wizytą u mnicha. Z wyjątkiem młodzieńczego landgraфа Hesji Filipa, który zadał Lutrowi subtelne pytania, odnoszące się do babilońskich zwyczajów seksualnych, i otrzymał od niego surową odprawę. Sam książę Fryderyk spotkał się z nim tylko w trakcie posiedzeń popołudniowych.

Prawdziwe układy zawarto zresztą nie podczas publicznych posiedzeń 17 i 18 kwietnia, ale raczej w toku prywatnych rozmów i podczas wydarzeń, do których doszło w czasie pobytu Lutra w Wormacji. Jak Wasza Wielmożność już z pewnością wie, mimo awersji młodego cesarza Karola do tego zakonnika i jego też zjazd nie zdołał zmusić go do ich odwołania ani podjąć właściwych działań, zanim bieg wypadków uległ przyspieszeniu. Stało się tak za sprawą zręcznie obmyślonych manewrów kilku tajemniczych popleczników Lutra, do których, jak myślę, mogę zaliczyć elektora saskiego, nawet jeśli nie można tego potwierdzić z absolutną pewnością, z racji mrocznego i podziemnego charakteru tych manewrów.

Rankiem 19 kwietnia cesarz Karol V zwołał elektorów i książąt, żeby poprosić ich o zajęcie zdecydowanego stanowiska wobec Lutra, i okazał ubolewanie, że nie postępowano dość energicznie przeciwko zbuntowanemu zakonnikowi od samego początku. Cesarz potwierdził wydanie glejtu na dwadzieścia jeden dni, pod warunkiem że mnich ten nie będzie wygłaszał kazań w drodze powrotnej do Wittenbergi. Po południu tego samego dnia książęta i elektorzy zebrali się, żeby się zastanowić nad żądaniem cesarza. Potępienie Lutra zostało przyjęte czterema głosami na sześć. Elektor saski z pewnością głosował przeciwko, i to była jego pierwsza i ostatnia otwarta manifestacja na korzyść Lutra.

W nocy 20 kwietnia nieznani ludzie rozwiesili jednak w Wormacji dwa obwieszczenia: pierwsze zawierało groźby pod adresem Lutra; drugie głosiło, że czterystu ludzi ze szlachty zobowiązało się pod przysięgą nie opuścić „sprawiedliwego Lutra” i oświadczyć wrogość wobec książąt i zwolenników Rzymu, a nade wszystko wobec arcybiskupa Moguncji.

To wydarzenie rzuciło na zjazd cień wojny religijnej i dało do zrozumienia, że istnieje luterzańskie stronnictwo, gotowe się zbuntować. Przestraszony arcybiskup Moguncji uzyskał zgodę cesarza na przeanalizowanie całej sprawy po to, by nie narażać Niemiec na ryzyko podzielenia się na dwie części i nie wystawiać się na bunty. Ci, co wywiesili obwieszczenie, osiągnęli więc cel, którym było

odłożenie sprawy na kilka dni i zasianie strachu i nieufności wobec ewentualnego potępienia Lutra.

23 i 24 kwietnia Luter stanął przed komisją ustanowioną przez cesarza i, o czym Wasza Wielmożność być może już wie, w dalszym ciągu nie zgodził się na odwołanie też. Mimo to jego kolega z Wittenbergi, Amsdorf, który towarzyszył mu w drodze na zjazd, rozsiał plotkę, że znaleziono się blisko osiągnięcia pojednawczej ugody między Lutrem, Świętą Stolicą Apostolską i cesarzem. Dlaczego miałoby tak być, panie mój najczcigodniejszy? Ja myślę, wciąż za sugestią elektora Fryderyka, że chciano tylko zyskać na czasie.

W wyniku tego, między 23 i 24 kwietnia, wzmogła się aktywność rozjemców zmierzających do zniwelowania rozłamu między Lutrem i Stolicą Apostolską, reprezentowaną tu w Wormacji przez arcybiskupa Trewiru.

25 kwietnia odbyło się spotkanie bez świadków Lutra i arcybiskupa Trewiru, które to spotkanie, jak było do przewidzenia, przekreśliło całą dyplomację poprzednich dni. W prywatnej rozmowie Luter, jak to już oświadczył w czasie posiedzeń zjazdu w obecności cesarza, odmówił, „z poczucia obowiązku”, odwołania swoich tez. Została więc usankcjonowana przepaść nie do wypełnienia i ostateczna. W godzinach tych po ulicach miasta krążyły wieści o bliskim aresztowaniu Lutra.

Wieczorem tego samego dnia zauważono dwie owinięte płaszczami postaci, które udały się do izby zajmowanej przez Lutra. Właściciel zajazdu rozpoznał w nich panów Feilitzsha i Thuna, radców księcia elektora Fryderyka. Co zostało ustalone w trakcie tego nocnego spotkania? Wasza Wielmożność znajdzie być może odpowiedź w wypadkach następnych dni.

Nazajutrz rano, 26 kwietnia, Luter bez hałasu opuścił Wormację z małą eskortą przychylnych sobie szlachciców. W dzień później był we Frankfurcie, a 28 w Friedbergu. Tutaj nakłonił cesarskiego herolda, żeby pozwolił mu jechać dalej samemu. 3 maja skręcił z głównego gościńca i pojechał dalej bocznymi drogami, przedkładając jako powód zmiany trasy wizytę u swoich rodziców, w pobliżu miasta Möhra. Nakłonił także swoich towarzyszy podróży, żeby jechali dalej inną kareta. Świadkowie twierdzą, że kiedy podjął podróż z Möhry, był w karecie tylko z Amsdorfem i swoim kolegą Petzensteinerem. Po paru godzinach kareta zatrzymało kilku konnych. Zapytali woźnicę, który z trzech jest Lutrem, i rozpoznawszy go, uprowadzili siłą do lasu.

Wasza Wielmożność uzna za rzecz oczywistą, że nie można za całą tą machinacją nie dostrzec Fryderyka, elektora saskiego. Ale gdyby Wasza Wielmożność miał skrupuły w wyciąganiu zbyt prędkich

wniosków, niech mi będzie wolno przedstawić oczom Waszej Wielmożności kilka zagadnień. Kto miał interes w tym, aby opóźnić potępienie Lutra, podtrzymując otwarty spór? I w konsekwencji kto, aby opóźnić wyrok, miał interes w rozpowszechnianiu pogłosek o stronnictwie szlacheckim, które gotowe jest bronić mnicha mieczem, występując przeciwko cesarzowi i papieżowi? Wreszcie, kto miał interes w tym, żeby umieścić Lutra w bezpiecznym miejscu, inscenizując porwanie, bez otwartego odslaniania się i kompromitowania w oczach samego cesarza?

Ośmielam się sądzić, że Wasza Wielmożność dojdzie do takiego samego wniosku jak Jego sługa. Oddycha się atmosferą wojny, czcigodny Panie, a sława Lutra rośnie coraz bardziej z każdym dniem. Wiadomość o jego porwaniu rozpętała niewysłowioną panikę i poruszenie. Nawet ci, co nie podzielają jego tezy, uznają już w nim autorytatywny głos reformy Kościoła. Wielka wojna religijna wisi na włosku. Ziarna posiane przez Lutra w uniesieniu, płynącym z siły przekonania, zaczynają dawać owoce. Uczniowie gotowi podjąć działania dążą do wyciągnięcia z nieustraszoną logiką konsekwencji z jego poglądów. Jeśli szczerą jest cnotą, Wasza Wielmożność pozwoli mi być może stwierdzić, że protektorzy Lutra osiągnęli już cel przemienienia tego mnicha w taran wymierzony w Stolicę Apostolską, organizując wokół niego szerokie poparcie ludności. A teraz czekają tylko najbardziej odpowiedniej chwili, aby wypowiedzieć bitwę na otwartym polu.

Nie wypada mi dodać nic więcej prócz tego, że całuję ręce Waszej Wielmożności i polecam się całym sercem.

Z Wormacji, 14 maja 1521 roku,
wierny sługa Waszej Najczcigodniejszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z saksońskiego miasta Wittenbergi, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 27 października 1521 roku.

Do najdostojniejszego i wielmożnego Pana, przewielebnego Giovanniego Pietra Carafy, w Rzymie.

Najdostojniejszy, wielmożny Panie, dobroczyńco mój najczcigodniejszy!

Piszę do Waszej Wielmożności, aby poinformować, że nie ma już żadnej wątpliwości co do odpowiedzialności księcia Fryderyka za porwanie Lutra. Tu, w Wittenberdze, mówi się o dobrowolnym uwięzieniu mnicha w jednym z zamków elektora, w północnej części Turynгии. Gdyby nawet nie wystarczyły głosy, które z dnia na dzień mnożą się na potwierdzenie tej prawdy, wszelkie wątpliwości rozwiałby widok pogodnej twarzy światłego, subtelnego Melanchtona, niezakłócony żadną troską codzienny tok nauczania i formowania młodych zwolenników, a przede wszystkim obraz żarliwości rektora Karlstadta. Luter nie został zatem porwany, ale wręcz uratowany przez swego protektora.

Przechodzę bez zwłoki do odpowiedzi na kwestię postawioną przez Waszą Wielmożność w ostatnim liście. Prawdą jest, że obecnie uwaga i siły cesarza zwróciły się ku wojnie z Francją i dla zwolenników Lutra mógłby to być właściwy moment do wyjścia z ukrycia. Nie sądzę jednak, aby nastąpiło to wkrótce. Jeśli moje oczy są cokolwiek warte, to mogę zapewnić, że książę Fryderyk i jego sprzymierzeńcy poczekają na lepszą okazję. Fryderyk nie ma żadnego interesu w tym, aby podżegać do buntu przeciwko papieżowi, ponieważ wie, że mógłby stracić kontrolę i ponieść klęskę. Cesarz pospieszyłby w obronie katolicyzmu, a jest on wciąż zbyt potężny, aby można było rzucić mu otwarte wyzwanie.

Ale jest także inne uzasadnienie ostrożności elektora. Drobna szlachta bez ziemi skupiła się wokół dwóch zbiedniałych szlachciców, sympatyzujących z Lutrem, niejakich Huttena i Sickingena, którzy w przyszłym roku mogliby próbować wznieść powstanie. Myślę więc, że książęta, z Fryderykiem na czele, nie zechcą zostawić wolnej drogi tym niespokojnym wasalom i połączą się, żeby ich obalić i pozostawić tylko sobie kontrolę nad wszelkimi zmianami.

Ale jeszcze jeden powód popycha elektora do zyskania na czasie. Tym, z czego nie zdałem jeszcze relacji Waszej Wielmożności, są nastroje ludności, panujące od kilku miesięcy w tych stronach. W szczególności wydarzenia w Wittenberdze podczas nieobecności Lutra ostrzegają elektora z bliska. Rektor uniwersytetu Andreas Karlstadt kieruje reformą, która wywołuje szeroki oddźwięk wśród ludności. Zniósł śluby zakonne i celibat dla ludzi Kościoła. Cicha spowiedź, porządek mszy i święte obrazy podzieliły ten sam los. Sprowokował ludność do wściekłych ataków na obrazy świętych, i doszło do gwałtownych zajęć, które oszpeciły kościoły i kaplice. Sam ożenił się pospiesznie z młodą, zaledwie piętnastoletnią panną. Wkłada wór pokutny i na drogach głosi po niemiecku kazania, w których mówi o pokorze i zniesieniu wszelkich przywilejów kościelnych. Bez skrupułów utrzymuje, że Pismo Święte należy oddać ludowi, który powinien przyjąć je na własność i interpretować, jak potrafi. Nawet Luter nie zdobyłby się na tak wiele. Karlstadt ustanowił wybieralną radę miejską, która będzie rządzić miastem na równi z księciem, i to w niemalym stopniu przeraża Fryderyka. To, co w istocie miało mu przynieść korzyść, może obrócić się przeciwko niemu: reforma Kościoła i uniezależnienie od Rzymu mogłyby przemienić się w reformę władzy i uniezależnienie się od książąt.

Z tego powodu myślę, że elektor nie będzie zwlekał z uwolnieniem Lutra z nory, w której trzyma go w ukryciu, aby ten mnich przepędził Karlstadta. Mogę zapewnić Waszą Wielmożność, że gdyby Luter wrócił do Wittenbergi, Karlstadt zostałby zmuszony do opuszczenia miasta. Nie jest on bowiem w stanie zmierzyć się w bezpośrednim starciu z prorokiem niemieckiej reformy: pozostaje wciąż nic nieznaczącym rektorem uniwersytetu, podczas gdy Luter, po Wormacji, jest już dla wszystkich Niemców germańskim Herkulesem. A przeto myślę, panie mój, że ten Herkules położy swoje łapy na Karlstadcie i na każdym, kto zagraża jego sławie, jeśli tylko elektor pozwoli mu na to. Ze swej strony Fryderyk dobrze wie, że jedynie Luter jest w stanie poprowadzić reformę w kierunku, który byłby mu najużyteczniejszy; obaj potrzebują siebie nawzajem, tak jak sternik potrzebuje wioślarza, aby mogli pokierować okrętem. Jestem pewien, że Luter

nie będzie się zbytnio ociągał z powrotem do Wittenbergi i oczyści pole z uzurpatorów, którzy chcieliby zająć jego miejsce.

Tak więc ze wszystkich tych powodów książę Fryderyk i jego sprzymierzeńcy nie wystąpili jeszcze otwarcie przeciwko Kościołowi i cesarzowi.

A teraz, gdyby wolno było słudze dawać rady jego panu, jestem pewien, że powiedziałby tak: „Jak się wydaje, mój Panie, aby wymierzyć jednocześnie cios elektorowi i wszystkim książętom, którzy zamierzają zbuntować się przeciwko władzy Kościoła rzymskiego, trzeba będzie uderzyć wprost w germańskiego Herkulesa, który służy im za tarczę. Lud, wieśniacy i chłopci, są niezadowoleni i niespokojni, chcieliby znacznie ostrzejszych reform od tych, na które książę Fryderyk i być może sam Luter skłonni są pójść. Prawda jest taka, że obecnie by chciano, żeby brama otwarta przez Lutra została na dobre zamknięta. Ten Karlstadt nie jest wiele wart i będzie miał krótki żywot. Ale fakt, że wielu ludzi w Wittenberdze poszło za nim, jest jasnym znakiem uczuć, jakie ożywiają prosty lud. Gdyby więc z fal burzliwego niemieckiego oceanu wyłonił się inny Luter, jeszcze bardziej diaboliczny od tego diabelskiego mnicha, gdyby był to ktoś, kto przyćmiłby jego sławę i udzielił głosu żądaniom pospólstwa... ktoś, kto swoimi słowami rzuciłby całe Niemcy na pastwę ognia i miecza, zmuszając Fryderyka i wszystkich książąt do wojny i przymuszając ich do zwrócenia się o wsparcie do cesarza i Rzymu w celu stłumienia buntu... Ktoś, Panie mój, kto chwyciłby młot i uderzyłby w Niemcy z taką siłą, że zadrżałyby od Alp po Morze Północy.... Gdyby człowiek takiego pokroju objawił się w jakichś stronach, powinno się go uważać za skarb cenniejszy od złota, albowiem stanowiłby najpotężniejszą broń przeciwko Fryderykowi saskiemu i Marcinowi Lutrowi”.

Gdyby Bóg w swojej niezmierzonej opatrności zesłał takiego proroka, nie pozostałoby nic innego, jak tylko pamiętać, że Jego ścieżki są niezmierzone, jak niezmierzona jest Jego chwała, której służą te pokorne oczy i służyć będą także Waszej Wielmożności, do dobroci którego odwołuję się, całując Jego ręce.

Z Wittenbergi, 27 października 1521 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

Rozdział 9

Wittenberga, styczeń 1522 roku

Drzwi ledwo się trzymają na zawiasach. Popycham je i wślizguję się do środka. Jeszcze ciemniej niż na dworze i ten sam przeklęty chłód. Z witraży pozostały tylko odłamki, posągi okaleczono w wielu miejscach. Obrazoburcza wściekłość nie oszczędziła kościoła. Nie pojmuję, dlaczego Cellarius umówił się ze mną tutaj, powiedział tylko, że musimy porozmawiać. Od pewnego czasu jest bardzo wzburzony. Od pewnego czasu wzburzeni są wszyscy mieszkańcy Wittenbergi. Krążą po niej kaznodzieje, przybywają z Zwickau i każą nazywać się prorokami. Jednego z nich znamy, to Stübner, studiował tu kilka lat temu. Kazania wywołują wielkie poruszenie i wielu ludzi darzy sympatią ich głosicieli. Nowe, skrajne idee stanowią mieszankę, której Cellarius nie potrafi się oprzeć. Trzeszczeniu starej ławki, na której siadam, towarzyszy skrzywienie drzwi za moimi plecami. To on, Cellarius. Dysząc ciężko, porusza się między kolumnami głównej nawy. Podchodzi do mnie, otrząsając z butów błoto.

Rzut oka naokoło: jesteśmy sami.

— Dzieją się wielkie sprawy. Dysputa z Melanchtonem była prawdziwym widowiskiem. Dotknęli fundamentów: ochrzczenie dziecka ma być tym samym, co umycie psa, by wspomnieć o tej jednej sprawie. Wyobraź sobie Melanchtona! Zrobił się fioletowy! Zdołał odciąć się jakoś, ale takiego ataku na pewno się nie spodziewał. Teraz mają nadzieję, że wróci Luter i zmierzą się z nim...

— Och, będą musieli poczekać. Luter nie pokaże się przez dłuższy czas, zadekował się na dobre. Elektor przetrzymuje go w jednym ze swoich zamków, gdzie ma ciepło przy piecu. Cała ta historia z Wormacją i porwaniem wydaje mi się komedią wymyśloną przez pana Spalatina. Luter, germański Herkules... podwórzowy pies na smyczy u elektora.

Warczy i śmieje się.

— Zobaczysz, nie zadadzą sobie trudu, żeby poluzować mu tę smycz. Tylko tyle, ile trzeba, żeby się tu zjawił, poszczekał na pocziwego Karlstadta i przywołał go do porządku.

— Można przysiąc. Karlstadt przeciagnął strunę.

Kiwa potakująco głową.

— Ale teraz nie jest już sam. Są ci prorocy. Poza tym Stübner opowiadał mi o Münzerze, pamiętasz go? Był u nich w Zwickau i w Czechach. Zdaje się, że wyłącznie siłą swoich słów porwał lud i wywołał zamieszki. Nie jest powiedziane, że to, co zrobił Karlstadt, jest już stracone...

— Co do małżeństw księży, kazań po niemiecku i tego rodzaju rzeczy nie ma już powrotu, ale organizacja zarządu miasta nie przechodzi. Karlstadt nie jest człowiekiem, który pali się do walki. Zobaczysz, zamiast oprzeć się twardo Lutrowi, spakuje manatki. Potrzebny byłby ktoś taki jak Münzer. Kiedy zjawił się tutaj, był bardziej Lutrem niż sam Luter, ale teraz, kiedy Luter jest skończony, mógłby dać jakąś nadzieję. Trzeba by go odszukać.

— Musimy zapytać Stübnera. On na pewno wie coś więcej.

* * *

Śnieg i błoto sięgają powyżej kostek. Zimno przejmuje do szpiku kości. Cellarius mówi, że Stübner prawie ciągle siedzi w piwiarni Klause Schachta. Idealne sanktuarium dla niemieckiego Izajasza. Zamiast kadzidła ciężki zapach piwa i kuchni, w miejsce psalmów pijackie śpiewy i złorzeczenia gości.

Wokół stołu z tuzin osób, trzech albo czterech studentów w grupie obdartych rzemieślników. Ośrodek zainteresowania wszystkich — gruby typek z rudą brodą i gęstymi włosami. Bezustannie mówi, wymachując w powietrzu ręką.

— Nie pościećcie więcej tak, jak to robicie dzisiaj, po to tylko, żeby tam w górze usłyszano wasze żale. Czy to takiego właśnie postu pragnie Pan, takiego dnia, w którym człowiek się umartwia? Zginać łeb jak trzcina, używać worka i popiołu za łożę, nazywacie to wszystko postem i dniem miłym Panu? Bóg chce innego postu... zrzucenia haniebnych pęt, zerwania więzadeł jarzma i uwolnienia uciśnionych. To jest prawdziwy post, dzielenie chleba ze zgłodniałym, przygarnięcie pod własny dach biedaka i bezdomnego, przyodzianie nagich, bez odrywania oczu od ludu. Powiedźcie to temu służalcowi Melanchtonowi...

Widać, że jest pijany. Kazanie skierowane do wszystkich i do nikogo, ale przyjmowane z entuzjazmem przez biesiadników, być

może bardziej jeszcze pijanych niż ten prorok. Gdy mówca siada na swoim miejscu, wszyscy wracają do spokojniejszych rozmów.

Podchodzę bliżej. Stół pełen jest wyciętych w drewnie napisów i rysunków. Najwyraźniejszy obrazek — papież gwałcący dziecko. Przedstawiam się jako przyjaciel Cellariusza. Nie spoglądając na mnie, mówca zamawia następne piwo.

— Cellariusz powiedział, że możesz przekazać mi wieści o tym, co się działo w Zwickau.

Sięga po kufel, pociąga dwa tęgie łyki, które plamą mu wąsy pianą.

— A czemuś tego ciekaw?

— Bo Wittenberga już mnie znudziła.

Po raz pierwszy mierzy mnie uważnie oczyma, które rozjaśniają się niespodziewanie; widać, że nie żartuję.

— Brat Storch zbuntował się razem z tkaczami przeciwko radzie miejskiej. Przypuściliśmy atak na bractwo franciszkanów, obrzuciliśmy kamieniami jakiegoś zuchwałego katolika i kazaliśmy przepędzić precz kaznodzieję...

Przerywam mu.

— Opowiedz mi o Münzerze.

Kiwa potakująco głową.

— Ach, Münzer, wymawiaj po cichu to nazwisko, bo na jego dźwięk Melanchton mógłby dostać białej gorączki! — Śmieje się. — Kazania mistrza rozpalają umysły wszystkich. Echo jego słów dotarło aż do Czech, rada miejska Pragi wezwała go, żeby przemawiał przeciwko fałszywym prorokom.

— Przeciwno komu się opowiada?

Celuje wskazującym palcem przez ramię, na dwór.

— Przeciwno wszystkim, którzy zaprzeczają, że duch boży może bezpośrednio mówić do ludzi, do takich jak ja i ty, i ci rzemieślnicy. Przeciwno wszystkim, którzy chcą Boga milczącego i niemego. Przeciwno wszystkim, którzy mówią, że chcą nieść ludowi strawę dla duszy, zostawiając go z pustym żołądkiem. Przeciwno oratorom na żołdzie książąt.

Czuję się lekko, znika gniotący mnie ciężar. Rzeczy, o których zawsze myślałem, stają się oczywiste.

Chętnie bym cię uściskał, proroku.

— A co Münzer myśli o Wittenberdze?

— Tu nie robi się nic, tylko gada. Prawda jest taka, że Luter jest w rękach elektora. Lud podniósł się już, ale gdzie jest jego pasterz? Obrasta w tłuszcz w jakimś wytwornym zamku! Wierz mi, zagrożone jest wszystko to, o co walczone. Celowo przyszliśmy tu, żeby przeciwstawić się publicznie Lutrowi i zdemaskować go, jeżeli tylko starczy mu odwagi, żeby wyleźć z nory. Tymczasem rzuciliśmy

wyzwanie Melanchtonowi. Ale w oczach Münzera obaj są już martwi. Kieruje swoje słowa tylko do chłopów, którzy pragnęliby odżyć.

Porzucić umarłych, dołączyć tam, gdzie jest życie. Wyrwać się z tego bagna.

— Gdzie Münzer jest teraz?

— Krąży po Turyngii, wygłaszając kazania. — Dość mu mojego spojrzenia, aby zrozumiał. — Nietrudno go wytropić. Po jego przejściu pozostaje ślad.

Podnoszę się i płacę za jego piwo.

— Dzięki, udzieliłeś mi cennych informacji.

Przed odejściem spogląda mi prosto w oczy, niemal rozkazująco.

— Odszukaj go, chłopcze... Znajdź Mincerza.

Rozdział 10

Wittenberga, marzec 1522 roku

Idę szybkim krokiem, ślizgając się, brnę po błocie, mój oddech wyprzedza mnie, tnąc chłód poranka. Na dziedzińcu uniwersytetu Cellarius rozmawia z paroma przyjaciółmi. Podchodzę i odciągam go na bok, jego koledzy milkną nagle.

— Karlstadt jest skończony.

Ma posępną minę, tak jak ja.

— Mówiłem ci, że tak będzie. Poluzowali Lutrowi smycz. Nasz dobry rektor zostanie przepędzony.

— Niestety. Zbyt dobry. Jego dni są już policzone. — Chwila ciszy, żeby mógł odczytać determinację w moim spojrzeniu. — Już postanowiłem, Cellariusie. Opuszczam Wittenbergę. Nie ma tu już nic, dla czego warto by zostać.

Błysk przerażenia na jego twarzy.

— Jesteś pewien, że tak właśnie powinieneś zrobić?

— Nie, ale jestem pewien, że nie powinienem tu zostawać... Słyszałeś, co ten podły Luter twierdzi, od czasu jak wrócił? — Kiwa głową, spuszczać oczy, ale ja mówię dalej: — Powiada, że obowiązkiem chrześcijanina jest ślepe posłuszeństwo władcom, bez podnoszenia głowy... Że nikomu nie wolno ośmielić się na słowa sprzeciwu... On sam wypowiedział posłuszeństwo papieżowi, Cellariusie, papieżowi i Kościołowi rzymskiemu! Ale teraz on jest papieżem i nikomu nie wolno pisać ani słowa! — Posępnieje i markotnieje pod ciosami moich słów. — Powiniennem był wynieść się stąd dwa miesiące temu, razem ze Stüberem i innymi. Zasiedziałem się za długo... Ale chciałem posłuchać Lutra, chciałem usłyszeć z jego własnych ust to, co usłyszałem. Wierz mi, jedyna nadzieja jest poza tym miastem. — Jedną ręką omiatam pola rozciągające się za murami. — Ten, kto przychodzi z góry, jest ponad wszystkimi; ale

kto przychodzi z ziemi, należy do ziemi i mówi językiem ziemi...
Pamiętasz?

— Tak, to słowa Münzera...

— Odnajdę go, Cellariusie. Mówią, że jest teraz w okolicach Halle.

Uśmiecha się w milczeniu, z błyskiem w oczach. Wiemy obaj, że chcielibyśmy wyjść stąd razem. Wiemy także, że Martin Borrhause, zwany Cellariusiem, nie jest człowiekiem, który rzuca się w tego rodzaju awantury.

Ściska mi mocno rękę, prawie obejmuje.

— A więc powodzenia, przyjacielu. I niech Bóg będzie z tobą.

— Do zobaczenia. W jakimś lepszym miejscu i w lepszych czasach.

Rozdział 11

Halle, Turynia, 30 kwietnia 1522 roku

Człowiek, który prowadzi mnie do Mincerza, to istna góra: czarna chmura włosów i brody, otaczająca głowę jak u byka, potężne łapska kamieniarza czy górnika. Ma na imię Elias, przyłączył się do Münzera jeszcze w Zwickau i trwa przy nim przez cały czas, niczym wielki, ochronny cień. Przygląda mi się, tak jakby chciał zważyć to, co ma przed sobą — parę kilo surowego mięsa — oczami człowieka, który tłukł kamienie w Górach Harcu. Żaczka z głową pełną łacińskich przepowiedni, który prosi o rozmowę z Magistrem Thomasem, jak sam go nazywa.

— Dlaczego szukasz Magistra? — zapytał mnie z miejsca.

Odparłem, że pragnę tego od czasu, gdy głos Münzera zamienił Melanchtona w kamienny posąg, a potem od spotkania z prorokiem Stübnerem.

— Jeżeli brat Stübner jest prorokiem, to ja jestem arcybiskupem Moguncji! — wykrzyknął ze śmiechem. — Ale głos Magistra, o tak, z pewnością sięga trzewi!

Jest to dom rzemieślników. Trzy uderzenia i wejściowe drzwi otwierają się. Młoda kobieta z dzieckiem przy piersi, olbrzymi Elias wprowadza mnie do jedynej izby. Odwrócony plecami do nas mężczyzna goli się w kącie, podśpiewując popularną piosenkę, którą słyszałem już w jakimś zajeździe.

— Mistrzu, jest tu ktoś, kto przyszedł z Wittenbergi, żeby z tobą porozmawiać.

Odwraca się z nożykiem w ręku.

— Dobrze. Ktoś opowie mi wreszcie, co się dzieje w tym rynsztoku!

Okrągła głowa, duży nos, płonące oczy, które mącą dobrotliwą twarz.

Walę bez wahania.

— Nic już nie może się tam zdarzyć. Karlstadt został odsunięty od wszystkiego.

Potakuje, jakby do siebie... usłyszał potwierdzenie swoich przypuszczeń.

— Myślał, że z kim ma do czynienia? Za bratem Marcinem stoi Fryderyk — kręci ze złością nożykiem. — Dobrotliwy Karlstadt... Myślał, że przeprowadzi reformę w domu elektora! Za pozwoleniem brata Kłamczucha! W tej menażerii mieszczuchów i doktorków, którzy odnoszą się do ludzkich losów, jakby były owocem ich kałamarzy... To nie pióra napiszą reformy, których oczekujemy. — Po raz pierwszy zdaje się zwracać bezpośrednio do mnie. — Luter i Melancthon przepędzili także ciebie?

— Nie. Odszedłem z własnej woli.

— A dlaczego tu przyszedłeś?

Ogromny Elias podsuwa mi stołek, siadam i zaczynam opowieść o dobrotliwym Karlstadcie, o farsie z porwaniem Lutra, o przybyciu proroków z Zwickau.

Przysłuchują się z uwagą, rozumiejąc moją frustrację, moje rozczarowanie reformą Lutra, nienawiść do biskupów i księząt, dojrzewającą latami. Z moich ust płyną z łatwością słowa takie, jakie powinny. Kiwają głowami z powagą. Münzer odkłada brzytwę na stolik i zaczyna się ubierać. Olbrzym nie spogląda już na mnie z drwiącym rozbawieniem.

Nauczyciel pokornych wkłada płaszcz i staje w drzwiach.

— Dzień pełen rzeczy do zrobienia! — uśmiecha się. — Dokończysz po drodze.

Ciągnąc moją opowieść, uświadamiam sobie, że już się nie rozłączymy.

Torba, wspomnienia

Rozdział 12

Eltersdorf, jesień 1525 roku

Mięśnie zbolałe od pracy. Zimno, z każdym dniem coraz bardziej dokuczliwe, mrozi palce, które kładę znowu na pośliskim, podartym papierze: eleganckie pismo, które odczytuje się bez wysiłku mimo mdłego światła świecy i płam.

Do Pana Thomasa Münzera z Quedlinburga, wielebnego doktora, pastora miasta Allstedt.

Przede wszystkim błogosławieństwo boże temu, kto niesie pokornym Słowo Pana i bierze w dłoń miecz Gedeona przeciwko bezbożności, która nas otacza. A następnie pozdrowienie brata, który miał możliwość słuchać na żywo oracji Mistrza, nie mogąc porzucić więzienia kodeksów i pergaminów, w jakim zamknęło go przeznaczenie.

Człowiek, który przeżył labirynt korytarzy w poszukiwaniu ostatecznego sensu Pisma, wie, jak posępnym i smutnym można się stać, gdy taki sens nas opuszcza. I oto dzień za dniem umiera wraz z wiedzą dostępną nielicznym, wraz z przejrzystą jasnością Słowa, zaciemnianą przez tysiące Spalatinów, którzy robią z tych meandrow twierdzą, a z ksiąg wznoszą mury przywilejów książąt. Gdybyśmy za sprawą jakichś czarów mogli zamienić się swymi losami i ja znalazłbym się w Allstedt z wieśniakami i kamieniarzami, a Wy, Mistrzu, tutaj, z uchem przylepionym do tych drzwi, zza których sączą się niezliczone intrygi unicestwiane przez litościwego i miłościwego Boga, jestem pewien, że nie zwlekali byście z napisaniem do mnie listu, żeby zachęcić mnie do chwycenia za bicz przeciwko tym handlarzom wiary. Dlatego też nie wątpię, że zrozumiecie powód, który popycha mnie, aby chwycić za pióro.

Słowa apostoła znajdują potwierdzenie: „Albowiem już działa tajemnica bezbożności. Niech tylko ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi

miejsca...” (2 Tes 2, 7). Świętokradcze przymierze bezbożnych władców i fałszywych proroków przygotowuje swoje zastępy, ale bliska zapowiedź wielkich wydarzeń popycha wybranych, aby trwali niezachwianie w wierze i przygotowali się do jej obrony wszelkimi sposobami.

Niegodziwy człowiek, apostata, siedzi w świątyni Pana i stamtąd rozpowszechnia fałszywą doktrynę. I tak jeden z owych Medyceuszów z Florencji, Juliusz, zasiadł na rzymskim tronie jako Klemens. Z pewnością będzie dalej niszczył dziedzictwo Chrystusa w Jego imię, jak to czynili w większości ci, co go poprzedzili.

Rzym zapatrzony jest we własny pępek i nie widzi nic poza nim, głuchy na trąby, które wszędzie wokół zwiastują obłężenie. Pogrążony w grzechu, który zaciemnia zmysły, nie będzie zdolny przeciwstawić się temu, kto da nowy impuls i światło Ducha Świętego dziełu naprawy Kościoła.

I to właśnie jest wielkim zmartwieniem, Mistrzu: kto weźmie na siebie ciężar miecza, który przeszyje niegodziwców?

Brat Marcin okazał swą prawdziwą twarz wojownika książąt i godne pożałowania, ukrywane tak długo zadanie. Tak więc to nie Luter poniesie Ewangelię prostemu człowiekowi, nie on, który przepędził Karlstadta i każdego dnia przyjmuje hołdy wielkich tej ziemi. Cel niemieckich władców jest oczywisty. Ich serca nie wypełnią się wiarą i nie wiara będzie kierować ich czynami, ale chciwość. Przywłaszczają sobie chwałę i uwielbienie Najwyższego, przekształcając w ten sposób poddanych w pożałowania godnych bałwochwalców.

Tylko słowa, jakie miałem szczęście usłyszeć z Waszych ust, zasiały nadzieję w moim sercu, wraz z wieściami, które nadchodzą z Allstedt. Nowa liturgia, która dzięki Wam i Waszym tak uczonym pismom jest obecnie wprowadzana, stanowi początek przebudzenia. Słowo Boże może wreszcie dotrzeć do wybranych i odzyskać cały swój blask. Czyż trzeba lepszego znaku, że to Wy jesteście wykonawcą Jego woli? Czegóż trzeba więcej ponad dobrowolny orszak, który za Wami podąża? Orszak pokornych, którzy podnoszą głowę i zabiegają o przyrzeczone przez Pana wyzwolenie?

A przeto w tym, co Was dotyczy, powiadam, żebyście stali wytrwale i nigdy nie tracili ducha; co do mnie, to tkwiąc na tym moim posterunku, dopilnuję, żeby przysyłać Wam w nadchodzących czasach każdą wiadomość, jaka może posłużyć większej chwale bożej.

Pewien, że opieka Pana będzie zawsze z Wami,

Qoèlet*

W dniu 5 listopada roku 1523

* Kohelet, czyli Eklezjasta.

Składam kartkę i dmucham na świecę. Wyciągnięty, z oczami otwartymi w ciemność, rozpalam na nowo pożar kaplicy w Malerbach.

Byliśmy w Allstedt od roku; Magister Thomas został tam wezwany przez radę miejską. Jego kazania porывały każdej niedzieli serca wszystkich i w tamtych dniach mogliśmy zrobić wszystko, a w pierwszym rzędzie odplacić franciszkanom z Neudorfu, plugawym chciwcom, którzy dławili chłopów. Oddaliśmy sprawiedliwość za lata objadania się kosztem biedaków.

Najpierw go złupiliśmy, potem dwie wiązki chrustu, trochę smoły, i ich kościółek stoi w płomieniach. Podczas gdy czekamy tam, żeby zobaczyć, jak się będzie zapadał, zjawiają się dwaj pomocnicy poborcy podatków Zeissa, zawiadomieni przez zakonników. Natychmiast gnają do studni, każdy z dwoma wiadrami; ich pan strzelił palcami i gotowi byli rzucić się nawet w ogień piekieł. Ale zanim zdążyli wylać choć kroplę wody, wychodzimy z cienia, czarni od sadzy i z zasuwami w rękach.

„Gdybym był na waszym miejscu, martwiłbym się raczej tym laskiem... Tu nic nie da się już zrobić”.

Dziesięciu przeciwko dwom. Przyglądają się nam. Popatrują po sobie. Zostawiają wiadra i odchodzą.

Znikają płomienie, przekręcam się na łóżku na drugi bok. Z ciemności wyłania się gęba tego wieprza Zeissa. Poborcy podatków na rzecz księcia elektora. Tamte płomienie tak przypiekły mu tyłek, że przywołał ludzi z zewnątrz, żeby wytropić podpalaczy. Świetny gość z ciebie, Zeiss! Miasto pełne obcych zbrojnych? Nie trzeba nic lepszego, żeby podburzyć przeciwko tobie mieszkańców. Wystarczy raz tylko wypowiedzieć nazwisko mistrza, żeby się zbiegli jego aniołowie stróże, setka mężczyzn z łopatami i oskardami — górników, którzy wyleźli z trzewi ziemi i gotowi cię tam wciągnąć. I kobiety z miasta, które chcą urznąć ci wisiorki. Sprawy wymykały ci się z rąk, więc jak przestraszone dziecko uczepiłeś się spódnic mamusi i poszedłeś płakać do elektora. Wyobrażam sobie tę scenę: pełtasz przed nim i starasz się wyjaśnić, jak straciłeś kontrolę nad miastem, a Fryderyk Mądry cię beszta.

ZEISS: Wasza Wysokość, z Waszą dobrze znaną przenikliwością, wyczuł już powód wizyty swojego sługi.

FRYDERYK: Wyczułem, Zeiss, wyczułem. Ale nie ma powodu, żeby niepokoić moją przenikliwość. Już od jakiegoś czasu graf von Mansfeld bez przerwy narzeka na miasteczko Allstedt. Wydaje się, że nowy kaznodzieja stwarza wam poważne kłopoty. A zresztą to właśnie wy nie zawiadomiliście mnie o tym, że objął parafię, i mam nadzieję, że problemy, jakie z tego wynikły, nauczą was większej przezorności.

ZEISS: Wasza Wysokość wie, że nie ja za to odpowiadałem: rada miejska postanowiła nie informować księcia o wyborze mistrza Thomasa Münzera. Wiecie dobrze, panie, że z mojej strony...

FRYDERYK: Nie próbujcie się tłumaczyć, Zeiss! Wiedziecie, że przed tym tronem nie ma miejsca na opróżnianie beczki z grzechami. W gruncie rzeczy ten Münzer mnie osobiście nie sprawił żadnego kłopotu. To fakt, że w Turynii jest trochę za dużo osób myślących tylko o sobie. Najpierw Luter wścieka się na Spalatina, żeby przywołał do porządku kaznodzieję, który nie ma dla niego dość respektu, potem graf von Mansfeld pisze mi, że wasza rada broni podżegacza, który go otwarcie znieważył. I co dalej?

ZEISS: No cóż, w rzeczy samej przyszedłem tu porozmawiać. Do Waszej Wysokości dotarły już zapewne wieści, chociaż wydarzenia w naszym mieście z pewnością nie są tak znaczące.

FRYDERYK: No więc? Powiadają, że spaliła się wiejska kapliczka.

ZEISS: Mówiąc dokładnie, kaplica Najświętszej Marii Panny w Mallerbach, przy drodze z Allstedt do Querfurtu, własność franciszkanów z klasztoru w Neudorfie. Podczas niedzielnej mszy ukradziono dzwon, a dzień później podłożono ogień. Wysłałem dwóch zaufanych ludzi, żeby ugasili pożar, ale oni poszli tam tylko po to, by się gapić, i oświadczyli później, że trzymali się z boku, żeby pilnować przed płomieniami zagajnika, bo kaplica była już stracona.

FRYDERYK: Aż dotąd nic nowego. Zakonnicy z Neudorfu wyjątkowo dokładnie opisali sytuację, prosząc o moją interwencję. Jeśli dobrze pamiętam, poleciłem wam, żebyście się nie spieszyli z tymi sprawami, znaleźli jakiegokolwiek winnego, zamknęli go na jeden dzień w więzieniu i kazali mu zapłacić symboliczną kwotę tytułem odszkodowania. Żeby ci zakonnicy zrozumieli, że jestem obrońcą wiary, ale nie darzę zbytnią sympatią tych, którzy zatrzymują sobie część moich podatków!

ZEISS: Ależ wszyscy w mieście wiedzieli, że podpalaczami byli akolici tego kaznodziei. Niech Wasza Wysokość wyobrazi sobie, że utworzyli związek, nazywają go Związkiem Wybranych, i mają broń. Trudno było uniknąć bezpośredniego starcia, nie tracąc twarzy...

FRYDERYK: Zatem odpowiedzialność za to wszystko ponosi Münzer?

ZEISS: Z pewnością... i jego żona, Otylia von Gersen! Kiedy szukałem winnego, to właśnie ta wiedźma podburzyła przeciwko mnie całą ludność.

FRYDERYK: Widzę, że teraz mieszają się w te sprawy także kobiety...

ZEISS: Z tego, co widziałem, wynika, że jest to opętana wariatka, godna swojego męża. Lecz budzi nawyższy podziw w innych kobietach i w mężczyznach.

FRYDERYK: Streszczajcie się, Zeiss, jak więc zakończyła się cała sprawa?

ZEISS: Musiałem wezwać posiłki z zewnątrz i żona kaznodziei zaczęła wrzeszczeć, że obcy ludzie chcą napaść na Allstedt, że ja się im zaprzedałem... Chcieli mnie zlinczować!

FRYDERYK: Nie ma powodu, żeby nie przyznać jej racji. Zrobiliście głupi ruch.

ZEISS: Ale co mogłem zrobić! Franciszkanie nie dawali mi spokoju. W końcu przyszła do mnie grupa górników z hrabstwa Mansfeld, z pięćdziesięciu, żeby mnie zapytać, czy Magister Thomas dobrze się czuje, czy panuje spokój i czy nie trzeba ich pomocy, bo gdyby ktoś stracił mu włos z głowy, miałby do czynienia z nimi... Po ich odwiedzinach zrezygnowałem z jakiegokolwiek siłowej akcji. Nie chcę brać odpowiedzialności za wybuch buntu w posiadłościach Waszej Księżęcej Mości.

FRYDERYK: Dobrze, Zeiss. A teraz powiem wam, co myślę o tej sprawie. Chcieliście ognistego i nowatorskiego kaznodziei, który przydałby splendoru waszej małej mieścinie. Ale ten typek okazał się trudny do prowadzenia, przeciągnął na swoją stronę radę miejską, a ludkowi podrzucił parę kamieni i wideł, a wy i graf von Mansfeld daliście sobie narobić na głowę. I teraz przychodzicie prosić o pomoc.

ZEISS: Ależ Wasza Wysokość...

FRYDERYK: Milczeć! Myślę, że wszystko to leży na was jak nowe ubranie. A jednak od jakiegoś czasu tego rodzaju fakty powtarzają się prawie wszędzie. Zaczyna się od łupienia kościołów, a kończy na prośbach o zaprowadzenie porządków w byle jakiej dziurze. Chłopi są w stanie wrzenia w całych Niemczech i nie jest wskazane zostawianie gorącym głowom zupełnej swobody. Za jakieś dwa tygodnie zatrzyma się u was mój brat, książę Jan, i mój wnuk Jan Fryderyk. Przygotujecie im godne przyjęcie; dacie do zrozumienia, że książę elektor nie życzy sobie zbyt wielu niepokojów i że jeśli lud ma jakieś skargi na franciszkanów z Neudorfu, powinien zwrócić się do jego przedstawicieli, to znaczy burmistrza albo kaznodziei. W każdym razie zorganizujecie spotkanie z tym Thomasem Münzerem. Powiecie mu, że zwracamy się do niego umyślnie, niech

przygotuje kazanie, w którym przedstawi swoje poglądy. W gruncie rzeczy przechodzi on jeszcze próbę, musi otrzymać naszą aprobatę, żeby zostać pastorem waszego kościoła.

ZEISS: Wasza Wysokość ma zawsze najlepsze rozwiązanie dla wszystkich spraw.

FRYDERYK: Tak, ale zbyt często podwładni, którzy mają wprowadzić je w życie, okazują się podstarzałymi głupcami.

Śmieję się szyderczo do siebie, ciemność połyka ich sylwetki, ukazując mi na nowo postać Magistra Thomasa o świcie tego pięknego, letniego dnia...

Rozdział 13

Allstedt, Turynia, 13 lipca 1524 roku

— Otwórz Biblię, mój przyjacielu.

Głos rozlega się niespodziewanie, dobiega od stołu, przy którym mistrz pracował pewnie przez całą noc. Ledwo przebudzony, z klejącymi się ustami, odwracam się, mrużąc niewyraźnie:

— Słucham?

Zapuchnięte oczy człowieka, który pisał przy zbyt skąpym świetle, wskazują księgę leżącą na stole.

— Pierwszy List do Koryntian, rozdział piąty, od dziewiątego do jedenastego. Przeczytaj, proszę cię.

— Mistrzu, musicie przespać się choć trochę, bo inaczej nie będziecie mieli siły mówić... Odłóżcie pióro i wyciągnijcie się na łóżku.

— Jeszcze zdążę to zrobić... — uśmiecha się. — Przeczytaj mi wersety od dziewiątego do jedenastego z rozdziału piątego.

Kręcąc głową, otwieram Biblię i zaczynam szukać. Jego wytrzymałość na brak snu wciąż jeszcze nie przestaje mnie poruszać.

— „Pisałem wam w liście, abyście się nie mieszały z wszetecznikami; jeśliby kto, mieniać się być bratem, był wszetecznikiem, albo łakomcą, albo bałwochwalcą, albo obmówcą, albo pijanicą, albo ździercą, żebyście z takowym i nie jadaliby. Przetóż uprzątnijcie tego złoźnika z pośrodku samych siebie!”

Podczas gdy czytam, kiwa w milczeniu głową. Zdaje się zastanawiać nad tymi słowami, utrwaląc je w pamięci. Niespodziewanie podnosi oczy, cudownie przebudzone.

— Jak myślisz, co apostoł chciał przez to powiedzieć?

— Ja, mistrzu...?

— Tak. Co te słowa znaczą, jak myślisz?

Prędko odczytuję po raz drugi wersety świętego Pawła i odpowiedź idzie mi prosto z serca:

— Że zrobiliśmy dobrze, podpalając świątynię bałwochwalców. Że franciszkanie z Neudorfu nazywają siebie braćmi, ale żyją jak chciwcy i popychają lud, żeby oddawał cześć obrazom i posągom.

— Zrobiliście to z gorliwości. Ale nie wydaje ci się, że jest ktoś, kto otrzymał od Boga miecz właśnie w tym celu? Kto jest „na służbie u Boga dla sprawiedliwego potępienia tych, co czynią źle”?

— Paweł zapewnia, że zwierzchność postawiona jest w tym właśnie celu. Ale gdyby nie było nas, nikt nie ukarałby tej bandy bałwochwalczych zdziwców!

Rozjaśnia się.

— Dokładnie tak. Gorliwość wybranych kazała im wyrwać miecz możliwym, żeby uczynić to, czego oni nie czynili: bronić ludu i chrześcijańskiej wiary. Czyż to nie uczy nas, że kiedy rządzący pozwalają szerzyć się niegodziwości, zdradzają swoje obowiązki i stają się współnikami zła? A więc, zgodnie ze słowami apostoła, powinni zostać usunięci jako niegodziwcy.

Uderza mnie doniosłość tych słów, tak jakbym dostał pięścią w głowę, on zaś zabiera się do odczytywania tego, co napisał:

— „Ja twierdzę za Chrystusem i za świętym Pawłem, i w zgodzie z nauką całego prawa bożego, że należy wytracić niegodziwych władców, a w szczególności księży i mnichów, którzy zarzucają herezję Ewangelii Świętej i mimo to twierdzą, że są dobrymi chrześcijanami”.

Przełykam ślinę, nie wierząc własnym uszom.

— Mistrzu, to właśnie... to właśnie zamierzacie powiedzieć dziś w obecności saksońskich książąt?

Drwiący uśmiech, błysk w oczach przebudzonych w tym momencie jak nigdy.

— Nie, nie tylko to, mój przyjacielu. A jeśli się nie mylę, będą także sekretarz dworu Brück, radca von Grefendorf, nasz Zeiss, burmistrz i cała rada miejska Allstedt.

Siedzę jak skamieniały, podczas gdy on podnosi się i przeciąga.

— Dzięki, żeś mi pomógł przepędzić resztę wątpliwości. Zdaje się, że skorzystam z twojej rady i prześpię się trochę. Obudź mnie, proszę, jak odezwie się dzwon.

Rozdział 14

Eltersdorf, Boże Narodzenie 1525 roku

Dziś pastor Vogel nie mówił do mnie, nie zwracał się do swojego brata Gustava. Jego głos brzmiał jak głuchy, daleki grzmot. Jestem sam. Żadne słowo nie jest w stanie mnie przekonać. Nie po rzezi niewinnych, po tym krzyku, który padł w próżnię. Może sobie zachować pocieszenie płynące ze Słowa, ja znajdowałem się pośród tych, którzy wierzyli w jego moc.

Wieczorem, trzęsąc się z zimna, czytam w mojej izbie listy. I czuję, że toruje sobie drogę i przybliża się z każdym dniem coś nieokreślonego, coś, co stara się wynurzyć na powierzchnię, ale ja ze wszystkich sił wciskam to coś z powrotem, w głąb trzewi. Z każdą nocą jest mi coraz trudniej.

Do najczcigodniejszego Magistra Thomasa Münzera, pastora i kaznodziei miasta Allstedt.

Najczcigodniejszy Mistrzu!

Duch boży, który napelnia nas mądrością i odwagą, będzie z Wami w tych niespokojnych godzinach.

Piszę do Was w pośpiechu i ze wzburzeniem kogoś, kto widzi, jak za plecami człowieka, w którym pokładał wszystkie swoje nadzieje, pełnie milczące zagrożenie, aby uderzyć znienacka. Miałem już okazję pokazać Wam, w jaki sposób moje uszy mogłyby Wam pomóc, z uwagi na bliskość pewnych drzwi kryjących intrygi. Mimo to nie umiałbym powiedzieć, co we mnie przeważa, radość z tego, że po wielu miesiącach od mojego pierwszego listu mogę być Wam wreszcie użyteczny, czy niepokój i oburzenie z powodu machinacji, które szykuje się przeciwko Wam.

Wasz Związek Wybranych nie przypadł do gustu księciu elektorowi,

który aż dotąd zajmował wyczekujące stanowisko. Tak samo kazanie, które wygłosiliście w obecności jego brata. Niepokoi go zwłaszcza fakt, że macie do dyspozycji drukarnię i że Wasze słowa mogą dotrzeć do ognisk buntu, które powoli zapalają się na całych jego ziemiach i poza nimi. Nie zamierza on zaatakować Was wprost: myślę, że obawia się możliwych reperkusji nieprzemyślanego kroku. Chce jednak wydalić Was z Allstedt, odsunąć od Waszej prasy drukarskiej i od jego Saksonii. Kilka dni temu był tu z wizytą niejaki Hans Zeiss, który długo naradzał się z panem Spalatinem, radcą dworu. Chcą Was izolować. Zeiss będzie udawał, że stoi po Waszej stronie, ale tymczasem, zgodnie ze złożonymi obietnicami, zbuntuje przeciwko Wam jeśli nie całą radę miejską, to przynajmniej burmistrza. Zapewniał, że mu się uda, i nie wyglądało to na zwykłą obietnicę.

Ze swej strony Spalatin napisze do Was list w imieniu księcia elektora Fryderyka, z zaproszeniem do Weimaru, gdzie otrzymacie możliwość przedstawienia w szerszy sposób, przed kilkoma wybitnymi teologami, Waszych tez. Nie ujmujcie ręki, która zdaje się wyciągać do Was! Nie myślcie, że odegracie rolę lwa. Nie liczcie na poparcie Zeissa i jego towarzyszy: opuszczą Was, gdy tylko znajdą się z dala od Waszych ludzi, zaklinając się na wszystkie świętości, że Wasze przybycie wywołało tylko zamieszanie w ich mieście, że Wasze teorie są niebezpieczne, że brak Wam zupełnie owej uległości wobec rządzących, o której mówił w swoich kazaniach Luter.

Macie potężną broń, jaką jest moc Słowa Bożego, które z waszych ust płynie do Jego ludu. W tych murach, z dala od waszych chłopów i górników, ta moc zostanie Wam odjęta, niczym nowemu Samsonowi. Waszą Dalilą będzie Zeiss, który już ściska w rękach nożyczki. Powtarzam: nie opuszczajcie Allstedt. Boją się Was, gdy jesteście właśnie tam, Waszych kazań i Waszej prasy drukarskiej, obawiają się reakcji pospólstwa na jakąkolwiek gwałtowną akcję przeciwko Wam. Nie odważą się Was tknąć. Nie jedźcie do Weimaru.

Niech Pan Bóg oświeca Was i wspiera.

Qoëlet

W dniu 27 lipca roku 1524

Ten list został z pewnością dostarczony Magistrowi zbyt późno, po jego powrocie z Weimaru, gdy kości zostały już rzucone. W tych trudnych dniach być może nie miał nawet czasu, żeby ocenić go należycie, w każdym razie nie wspominał o nim.

Pewne jest, że list informował z wyprzedzeniem o tym, co miało się wydarzyć. Człowiek, który pisał te słowa, przebywał rzeczywiście blisko książeńskich komnat.

Uratowała nas w tych dniach jasność umysłu Otylii. Mogliśmy ponieść ostateczną klęskę, ale ta kobieta podniosła nas i wyprowadziła z czarnego bagna szaleńczej rozpacz. Otylio... zabraknie cię teraz, żeby wyprowadzić stąd mnie. Nie wiem, jaki był twój koniec, padłaś pastwą najemników albo kruków. Moje wyschłe serce podsyca we mnie nadzieję, że nie przeżyłaś, aby znaleźć się w tej nicości, w tej lodowatej samotności, która w tym roku śmierci naznacza Narodzenie Pana.

Rozdział 15

Allstedt, 6 sierpnia 1524 roku

Otylia jest silna, pewna siebie i ma wspaniałe piersi. Kiedy produkty fermentacji ziół i winogron uwolnią język, który wesoło ześlizguje się ku niższym rejonom zarówno ciała, jak i ducha, Magister powiada, że te wielkie i jędrne cycki kryją tajemnicę i potęgę stworzenia, i właśnie od nich pochodzi impet objawień ostatnich gorączkowych miesięcy, a potem dodaje, chichocząc kpiąco, że nowi wierni będą mieli z tego wszystkiego ledwo wieści z drugiej ręki. Jednak tego rodzaju stwierdzeń i przechwałek nie wygłasza w jej obecności, jako że roztacza ona nad tą potężną masą ciała, ducha i intuicji aurę, jakiej nikt, książę, biskup czy przedstawiciel władzy, nie mógłby roztoczyć.

Pewne błyski w oczach tej kobiety nierazko przewyższają jaśniejącą intensywnością płomienie, którymi wraz z głoszonym słowem Magister rozpala liczne zgromadzenia. Na Boga, męska siła, choćby tak wielka jak ta, która wypełnia Thomasa Münzera z Quedlinburga, znajduje często źródło i zdyscyplinowanie w kobietach, które kierują nią i pilnują jej strumienia.

Często siła Magistra ginie w posępnej rozpaczce albo objawia się w wybuchach złości, uniesieniach dumy i ostrych urazach człowieka, na którego włożono straszliwy ciężar przedsięwzięcia, być może nie na ludzką miarę. W takich razach jedynie Otylia może uspokoić gwałtowne wybuchy, narzucić rozsądek i przywrócić bystrość myśli, które pozwolą znowu wypłynąć strumieniowi, aby zrosił serca prostego ludu całych Niemiec.

Gorąca nocy pod księżycowym nowiem sierpnia, oddaję tobie i siedzącej przede mną kobiecie nadzieję i tę odrobinę rozumu, które pozwolą wydobyć wszystkich nas z sytuacji, jaka wytworzyła się

w ciągu kilku tygodni, gęstej od pułapek i duszącej niczym sznur na szyi. Podczas gdy wpatrujemy się w nasze zmartwione, spięte i rozognione twarze, siedząc przy stole, na którym pastor Allstedt pisze swoje kazania, Magister krąży po ulicach i zaułkach miasta, zdając się na łaskę gróźb czających się w gęstym mroku, nakłaniając wiernych, żeby szli za nim, niczym wilk, który właśnie podczas nocy takich jak ta wyje samotnie do księżyca, prosząc o pomoc. Czuwa nad pastorem i strzeże jego nietykalności niez mordowany Elias, który podąża za nim, parę kroków z tyłu, w ciemności, gotów zmieść tego, kto by go zaatakował.

Wszystko burzy się trudnymi do zrozumienia wypadkami oprócz tej jednej wyraźnej i jasnej prawdy, że obecnie tu, w Allstedt, zaciska się pętla, że czyha pułapka, żeby się zamknąć nad naszymi losami i nad losami zbuntowanych chłopów. Nie ma czasu, Magister potrzebuje pomocy.

— Węże, które rządzą tym miastem, nie osiągną nas. Wynosimy się.

Głos jest stanowczy, cechuje go pewność kontrastująca z młodą twarzą.

— Co takiego? — słowa Otylii usuwają nagle ciężar z powiek. — Ale... co z Magistrem?

— Nie będzie się ościagał, zobaczysz. Trzeba jednak popracować głową, zanim zgniotą nas jak robaki.

Z pewnością, Otylio, głową. Tym niespokojnym ulem, który nie przestaje brzęczeć. Odwracam się do okna. Staram się usłyszeć w ciszy dalekie wołania Magistra. Nie wiem, czy je słyszę, czy też tylko wyobrażam sobie, że je rozumiem. Krzyki, że oto jest wśród nas Dawid z procą w ręku. Słowa z jego ostatniego kazania do Związku Wybranych, kiedy ludzie niemal odwracali głowy, żeby odszukać małego króla Dawida z kamieniem w procy, bo moc słów Magistra brała się z prawdziwego natchnienia, nie zaś z retorycznej sztuczności. Gdybyśmy mieli chwalić cię, Panie, jak na to zasługujesz, nasze wargi płonęłyby żarem twojego Słowa. Za to strach gasi ten ogień.

— Przypuszczam, że Magister ma już jakieś pomysły, jeśli o to chodzi. — W moim głosie pobrzmiwa nadzieja.

— Pomysły... — uśmiecha się. — Widziałeś jego oczy, gdy stąd wychodził? Z pewnością tysiąc pomysłów i tysiąc kontaktów, od Morza Północnego po Schwarzwald. Ale teraz to my musimy zdecydować...

— Czemu nie mielibyśmy jeszcze trochę poczekać? Ten wyjazd, to taka pilna sprawa?

Bez wahania usta zaciskają się w dwie wąskie kreski.

— Tak, braciszku, po Weimarze tak.

— Wystarczyły zaledwie trzy dni... trzy dni bez Magistra, żeby wszystko utracić...

— To był tylko dobijający cios. Już wcześniej sprawy zaczęły iść źle.

— Nie, dopóki Magister był tu z nami. To bagno zapełniło się morzem zrozpaczonych, pamiętasz? Przybyli tu ze wszystkich sąsiednich miast, przepędzeni przez panów... Ta fala mogła pochłoniąć nawet księcia Jana!

Wracam na stołek i przez moment wydaje mi się, że i ona nadstawia uszu. Potem przeciąga dłonią po stole, pełnym okruszyn po kolacji.

— Widzisz? — pyta, zmiatając wszystkie na dłoń i zaciskając ją. — Tak zrobili — otwiera dłoń i dmucha. — A teraz zamierzają wymieść nas precz.

Słowa z trudem przechodzą przez ściśnięte gardło.

— Ale jedno jest pewne, Otylio. Boją się Magistra Thomasa tak, jak zwierzęta boją się ognia. Musieli oddalić go z miasta, żeby rozpocząć zastraszanie i zadawanie ran. Nikt nie odważyłby się wygnać naszego Wycharta i zamknąć na zasuwy drukarni, gdyby Magister tu został.

— I nawet dzisiejszej nocy nie będą próbowali go tknąć. Pewnie, pewnie... nikt nie mówi, że musimy uciekać na sam koniec świata. Trzeba tylko pomyśleć o innym miejscu, żeby kontynuować to, co zostało zrobione tutaj.

Potrząsam głową.

— Jak mogę pomóc? Wiem na pewno, że w Bawarii chłopci starają się narzucić swoje racje. Ale wydaje mi się, że tam nas nie potrzebują.

— To prawda. Na południu sprawy toczą się własnym trybem. — Przepatruje ciemności za oknem. — Czy Thomas mówił ci kiedy o Mühlhausen?

— Cesarskim mieście?

— Tak. Rok temu ludność zmusiła radę do przyjęcia aż pięćdziesięciu trzech artykułów. Dziś władza jest w rękach reprezentantów wybranych spośród mieszkańców miasta.

Grymas niedowierzania.

— Znowu chcemy mieć do czynienia z radą miejską wrogą papistom z czystej chęci zysku? Zrobimy lepiej, szukając sprzymierzeńców w zagrodach i na polach. To oni są pokornymi synami ziemi.

Kiwa potakująco głową, patrząc mi prosto w oczy. Sprawa roztrąsana od dawna.

— No tak. Ale jak już raz ma się w garści miasto, nie jest tak trudno zwrócić się do ludności wiejskiej. Tak było również z gór-

nikami w Mansfeld, no nie? Natomiast startując z zewnątrz, ma się do pokonania mury i armaty.

Dopijam ostatnie, spienione krople piwa.

— ...Lecz gdy się znajdziesz w mieście, armaty stoją już po twojej stronie.

— Tak, nie tylko armaty, ale i inne rzeczy; wszystko przeciw książętom!

— Hmm. Mieszczuchy to ludzie bardzo podatni na kierowanie. Magister mówił mi, że także w Mühlhausen jeden z przywódców buntu ma dziwne kontakty z księciem Janem.

Podsuwa mi napelnioną znowu szklanekę, pociągnawszy z niej przedtem jeden łyżek.

— Domyślam się, że mówisz o Heinrichu Pfeifferze. Tak, wspomniano nam o jego kontaktach z księciem. Powiadają, że Jan Saski ostrzy sobie zęby na to miasto i przygląda się z wielkim zadowoleniem panującemu tam zamieszaniu. Dzięki niemu może zaprezentować się jako gwarant spokoju i sprawować kontrolę.

Rozkładam ręce, demonstrując logiczną konkluzję:

— Więc i ty myślisz, że powinniśmy się wtrącić i wykorzystać zamieszanie do naszych celów w taki sposób, żeby ten Pfeiffer pracował dla nas.

— Sam powiedziałaś, że to ludzie, którymi można kierować.

Śmiejemy się. Błyski ciepła w oczach podkreślają wilgotność nocy. Otylia odrzuca z czoła kosmyk jasnych włosów i wsuwa je za ucho. Przez chwilę jest tylko małą dziewczynką, prawie niczym więcej.

— Pominęliśmy problem nie bez znaczenia: jak się stąd wydostać?

— To nie powinno być trudne. Myślę, że przetrzymywanie nas tutaj i przeciąganie struny z górnikami przez zamykanie w więzieniu ich karnodziei, to ostatnia rzecz, jakiej chce Zeiss. Wierz mi, panowie nie mogą się doczekać, kiedy się nas pozbędą.

— Nigdy nie wiadomo... także dzisiejsza wieczorna prowokacja mogła wyrządzić wiele zła, mogli wykorzystać ją jako pretekst albo próbować upokorzyć Thomasa Münzera, żeby go unieszkodliwić. Lepiej nie ryzykować.

Zagryza dolną wargę, żeby zebrać myśli.

— W takim razie wyniesiemy się nocą.

Rozdział 16

Eltersdorf, styczeń 1526 roku

Krowa Vogla zdechła na febrę. Zostałem, żeby zobaczyć jej koniec, coraz wolniejszy oddech, zduszone rżenie i szkliste oczy, które wypełniały się obojętnością dla świata, dla życia.

Mówią, że Magister Thomas przed straceniem napisał list do mieszkańców Mühlhausen. Mówią, że poprosił ich o złożenie broni, gdyż i tak wszystko było już stracone.

Myślę o człowieku, który próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie: Dlaczego? Dlaczego Pan opuścił swoich wybranych i pozwolił, żeby wszystko stracili?

Widzę cię, mistrzu, jak leżysz w mroku celi ze śladami ran po torturach, oczekując kata, który położy kres twojej wędrówce. Ale to rana, jaką miałeś w sercu, musiała popchnąć cię do napisania ostatniego posłania. Nie tamte rany... one nigdy nie zdołałyby... może stało się tak dlatego, że myśleliśmy zbyt wiele o nas samych? Może dlatego, że posunęliśmy się w naszym bezwstydzie aż do zgorzenia Pana? Gdyż rościliśmy sobie prawo do interpretowania Jego woli? Może dlatego, że zabijaliśmy, że wściekłość pokornych nie znalazła litości dla niegodziwych krwopijców? Czy to napisałeś, mistrzu? O tym myślałeś w tych ostatnich chwilach, gdy wojska książąt maszerowały, żeby oblec bohaterskie miasto Mühlhausen?

Powód. Jakikolwiek powód, bo nawet niezbadana wola Pana Boga nie może wystarczyć, aby przepędzić rozpacz. Bo jest jeszcze krzyk rozpacz, rzucony z głębin mrocznej celi. Jest jeszcze posepna udreka kłęski, która przykuwa mnie do tego łóżka.

Pojawia się przed moimi oczami miasto wyraziste niczym któraś z rycin wielkiego artysty z naszych stron, nie zawsze jednakowo

surowych pod względem smaku, czasami wręcz przenikniętych łagodną afekcją. Zdawało się wybuchać w ciasnocie swoich murów. Domy i wieżyczki kościołów wznosiły się jedna nad drugą niczym kolonie grzybów na pniu drzewa.

Pewnie mógłbym przedstawić wspomnienie pierwszego wejścia do Mühlhausen następująco: cztery konie na drodze, pobudzone naszymi głupimi krzykami do galopu, jakieś dwie mile od murów cesarskiego miasta, grzmiący śmiech Eliasa i rzucone na wiatr wymówki Otylii. Potem równy, żołnierski niemal krok w pobliżu olbrzymiej bramy wjazdowej, żeby przydać sobie godności i nienadszarpniętej niczym powagi, ze śmiałym spojrzeniem prosto przed siebie, w ten gorący ranek połowy sierpnia.

Można już było dostrzec gęste, różnorodne ludzkie mrowie, przypominające menażerię, w której chciano pomieścić jeden obok drugiego egzemplarze każdego gatunku, typu, kształtu foremego albo oszpeconego spośród tych, którzy noszą właśnie nazwę ludzi; zwierzęta i małe wozy, rozgwar, bezładne krzyki, echa złorzeczeń i przekleństw. Woń chmielu i żywiolowy zgiełk ulicy Steinweg, przy której znajdują się sklepy i handluje się piwem. Piwem, które wzbogaciło kupców z Mühlhausen jak w żadnym innym niemieckim mieście.

Słowo Boże słychać na każdym rogu; pałace spowijają czarne skrzydła Rycerzy Krzyża; zepsucie mnichów wywołuje przekleństwa na ulicach, na potwierdzenie normy i reguły całego świata: gdzie jest zysk, tam jest zawsze dużo księży. W labiryncie uliczek, wysuszonych i pokrytych kurzem po tygodniach suszy, okolonych ścianami domów mieszkalnych i sklepów, gospód i warsztatów, pełnych napisów, zadrapań, symboli wszelkiego rodzaju, najczęściej wszakże na chwałę Herkulesa Niemiec — Lutra, właśnie tak, LUTRA, obecnego na wszystkich ścianach, wzdłuż których prowadziło nasze pierwsze przejście w kierunku kościoła Świętego Jakuba; poprzedzała nas i szła z nami jego wzgarda, uczciwie zresztą przez nas odplacona.

Uderza mnie wyraźne i hałaśliwe wspomnienie zapachu potu i zwierząt na rynku przy głównym placu, który za parę tygodni miał oglądać zupełnie inne sceny, przyprawiające o drżenie, podczas gdy „sprawiedliwi wzywali o młot Pana Boga”, aby spadł nieubłagany na głowy uzurpatorów Jego Słowa. Napięcie narastające w zaułkach, silny zapach niesprawiedliwości, która domagała się odpłaty i wrzała niespokojnie pod strzelistymi wieżami katedry Marii Panny i na wielkim rynku. Jakby w oczekiwaniu jakiejś iskry.

— Byłem już tu, w tym zadupiu łachmaniarzy i cesarskich sługusów! — mówi torujący nam drogę Elias. Postępuję za nim, potykając się, zdezorientowany wrzaskami kłócących się sklepikarzy

i wyzywającymi zaczepkami dam, które lepiej poznały najemnych żołnierzy księcia Jana niż ich dowódców. Nie byłem w stanie iść prosto przed siebie, jako że tygodnie lubieżnych snów dręczyły mnie chęcią użycia, ale złośliwy uśmieszek idącej tuż za mną Otylii zniechęcał i sprawiał, że moja twarz czerwieniała jak płonąca głownia.

— Witajcie w tej beczce prochu!

Wciąż wyraźnie pamiętam pierwszy uśmiech i słowa, jakimi nas powitał Heinrich Pfeiffer w kościele Świętego Jakuba w pobliżu bramy Felchta, punkcie zbornym mieszkańców przedmieścia Świętego Mikołaja. Ten niejasno wysławiający się kaznodzieja, syn mleczarki, były kucharz, były spowiednik i przyjaciel księcia Saksonii, okazał się sprytnym orędownikiem sprawy prostych ludzi. Wykorzystał zażyłość z księciem, aby wpłynąć na wybór do rady aż pięćdziesięciu sześciu reprezentantów ludu. Jego kazania popchnęły do rabunku dóbr kościelnych i niszczenia świętych obrazów. Bez oparcia w księciu nie utrzymałby się długo w tym mieście. Podziwialiśmy jego przebiegłość i inteligencję; nietrudno było pojąć, że razem, on i Magister, mogli dokonać wielkich rzeczy.

I rzeczywiście, pogrążają się zaferowani w spieszną dyskusję o rzeczach do zrobienia i podburzających kazaniach, które trzeba wygłosić do mieszczan i żebraków, do wydziedziczonych, do ludzi ze wsi, a także do szlachciców, którzy „cierpieli, doświadczając pragnienia, aby wsadzić gęby tych upasionych wieprzy w talerz dymiący ekskrementami”.

Teraz, z mojej dalekiej kryjówki, Mühlhausen wydaje mi się miastem ze snu, zjawą, która odwiedza cię w nocy i opowiada swoje dzieje, ale tak, jakbyś nie przeżył ich osobiście, obrazem malowanym pędzlem i żłobionym rylcem. Takim je pamiętam, jakbym widział je oczami naszego genialnego malarza, mistrza Albrechta Dürera.

Rozdział 17

Mühlhausen, Turyngia, 20 września 1524 roku

Artykuł pierwszy: (...) Ośmielamy się prosić pokornie, aby od tej chwili cała wspólnota mogła korzystać z prawa do wyboru i bezpośredniej nominacji swojego proboszcza (...).

Artykuł drugi: (...) Jest naszą wolą, aby od tej chwili i w przyszłości dziesięcina ze zboża zbierana była przez gremium wywodzące się ze wspólnoty i aby pozostawiono proboszczowi tyle, ile trzeba na odpowiednie utrzymanie jego i rodziny. To, co zostanie, ma być podzielone między biednych wedle ich potrzeb (...).

Artykuł trzeci: (...) Aż dotąd istniał zwyczaj uważania nas za osobistą własność pana, rzecz naganna, jeżeli się pomyśli, że Chrystus swoją bezcenną krwią wszystkich nas wykupił i wyzwolił, bez wyjątku (...). Nie wątpimy przeto, że wy, jako prawdziwi chrześcijanie, wyzwolicie nas z poddaństwa.

Niedługo po niesporach, z zapachem piwa rozlewanego do szklanic miesza się wieść: wsadzili do więzienia jednego, który trochę się upił i znieważył burmistrza.

Przez pewien czas nie mówi się o niczym innym. Kto to był? Co mu dokładnie powiedział? Gdzie to się stało? Wiemy już, że zamknęli go w lochach magistratu, i to denerwuje wszystkich. Wielu zrywa się nerwowo na nogi, wali pięściami w stół, wychodzi, żeby powiadomić jak największą liczbę ludzi.

Wychylam nos z gospody. Połowa przedmieścia Świętego Mikołaja wyległa na ulicę i podnosi coraz głośniejsze krzyki, od jednej osoby do drugiej. Najbardziej wzburzeni, jeszcze z kuflami albo tkackimi grzebieniami w rękach, niczym ludzie zaskoczeni nagłym alarmem w środku nocy, kroczą w podnieceniu po bruku, który prowadzi do bramy Felchta i do kościoła Świętego Jakuba. Szukają Magistra.

Wychodzi, otoczony falowaniem niespokojnych głosów, żeby przedstawić im własny pogląd na to, co trzeba zrobić. Trochę wyżej od nas grupa zwalnia i zaczyna się powiększać naprzeciwko gospody Pod Niedźwiedziem, gdzie ulica poszerza się w pobliżu pralni.

W czasie naszego miesięcznego pobytu miałem możność przekonać się, że upiór rebelii jest jednym z nadliczbowych mieszkańców tego miasta. Mimo to zupełnie nie rozumiem aż takiej reakcji z powodu aresztu, w którym nie ma nic nadzwyczajnego. Nie wiadomo nawet, kto się w nim znalazł. Tylko jeden szczegół zdaje się podsycać plotkę: nieszczęsnego sprawcę zamknięto w lochach magistratu, podczas gdy powinien trafić do więzy.

— Co to za historia z więzami i lochami? — pytam jakiegoś starca, który obserwuje wydarzenia, stojąc koło mnie.

— Ósmy artykuł naszego prawa miejskiego: nigdy więcej więzienia w lochach, ale wyłącznie w więzy. Jakbyś zobaczył, co to za rynsztok te lochy, zrozumiałbyś, że to nie jest tylko kwestia kodeksu!

Spoglądam ponad głowami: Magister Thomas stoi już na przydrożnym słupku. Peroruje przeciwko krzywdzie i prześladowaniu ludu. Ponizej krzątania tych, którzy biegną, żeby zawołać innych, albo idą po narzędzia i kamienie. W środku tej ciżby Elias przepycha się w moją stronę. A potem wrzeszczy, zagłuszając innych:

— Idź poszukać Pfeiffera! Powiedz mu, że niedługo będziemy pod oknami magistratu, niech zbierze jak najwięcej ludzi, tyłu, ilu zdoła.

Biegiem w kierunku murów. Dają się rozpoznać strażnikowi; nie ma problemu, najwyraźniej nie spodziewają się żadnej reakcji. Biegiem wpadam w Kilansgasse. Wrzawa w głębi ulicy, w pobliżu kościoła Świętego Błażeja, uzmysławia mi, że Pfeiffer nie tracił czasu.

Zaledwie skręcam na rogu i już go widzę; on także stoi na przygodnej ambonie, przerywa przemówienie w połowie i wskazując mnie, woła:

— Oto, oto posłaniec z przedmieścia Świętego Mikołaja. Bez wątpienia biegnie, żeby nam powiedzieć, że Thomas Münzer i jego ludzie są wzburzeni decyzją tego wieprza burmistrza... Nieprawdaż, bracie?

Głowy słuchaczy odwracają się ku mnie niczym pole słoneczników.

— Z pewnością, bracie Pfeiffer! Od bramy Felchta ludzie z przedmieścia Świętego Mikołaja idą już pod magistrat.

Kiedy zbliżam się do małego zbiegowiska, Pfeiffer zeskakuje na ziemię i podbiega do mnie. Kładzie mi ręce na ramionach i szepce:

— Mów, bracie, ilu będzie waszych?

— Możecie liczyć na dwustu — odpowiadam, przesadzając nieco.

Ściska mnie za obojczyk.

— Dobrze, tym razem wystrychniemy ich na dudków. — Potem dodaje głośniejsze: — Pożałują tego afrontu, przysięgam. Pod magistrat, bracia, pod magistrat!

Jego słowa są wezwaniem do bitwy.

Nie wiem, skąd się wzięły widły, pochodnie i żelazne sztaby. Po prostu w pewnej chwili ukazują się nad lasem głów, o wiele bardziej groźne niż halabardy strażników, którzy zamykają drogę do pałacu. Jeden z nich biegnie schodami na górę, żeby prosić o instrukcje. Wraca wraz z piętnastoma innymi strażnikami.

W pierwszych rzędach rozpala się ogień dyskusji. Krąży wieść, że Willi Pustola obraził burmistrza, mówiąc do niego: „Pocałuj mnie w tyłek”, czemu towarzyszyło pokazanie tej części ciała. Wielu rozumie to jako aż nadto wyraźne zaproszenie do powtórzenia tego gestu, toteż dziesiątki tyłków celują w magistrat.

Niespodziewanie na przedzie rozlega się huk. Kręcę się i wyciągam szyję, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, przewidując już scenę ostatecznego upokorzenia Rodemanna. Widzę Eliasa, który unosi ponad głowę małego człowieczka w średnim wieku, z prawie łysą głową i opuchniętym, fioletowym nosem. Krzyki radości i wyciągnięte ramiona witają go i niosą nad głowami.

— To Willi! Sukinsyny! Niech żyje Willi! Gnojki! Wielki Willi!

Tłum niesie go triumfalnie wokół placu, dziewczyna siedząca na czyichś ramionach pokazuje mu cycki i Willi rzuca się na tę przynętę jak zaczarowany. W jego stronę lecą warzywa i słodycze, brudząc go od góry do dołu. Wołam do niego ze śmiechem:

— Niech żyje król Willi! Niech żyje bohater Mühlhausen!

Pijaczyna, jakby mnie usłyszał, odwraca się w moją stronę i robi w powietrzu znak błogosławieństwa, a w tym samym momencie trafia go prosto w twarz kalafior.

Rozdział 18

Eltersdorf, Wielkanoc 1526 roku

Pamiętam, że w noc koronowania Williego niewielu mieszkańców Mühlhausen poszło spać. Z pewnością nie udało się to dwom burmistrzom, Rodemannowi i Kreuzbergowi, pod których oknami rozegrał się na ich cześć nadzwyczajny turniej obraźliwych okrzyków, przekleństw i gróźb. Nie mogły też dobrze wypocząć zastępy włóczęgów liczących na okazje do rabunków, bo od następnego ranka było ich pełno na ulicach.

Niestety Morfeusz uspił w swych ramionach dwóch wartowników postawionych na tyłach pałacu magistratu, zatem nietrudno było obu burmistrzom uciec w kierunku Salzy z chorągwią miasta zwiniętą pod pachą.

Tak więc o świcie zaczęła krążyć nowa wieść, pojawił się nowy nieporządek i nowe zbiegowisko pod oknami magistratu, z żądaniami o interwencję rady. Ośmiu delegatów ludowych, wybranych jeszcze przed naszym przyjazdem, próbowało przekonać dowódcę straży o powadze postępków obu burmistrzów i o potrzebie starcia jak najprędzej tej hańby. Ten odparł jednak, że nie słucha niczyich rozkazów oprócz wydawanych przez prawowitych reprezentantów ludności. I podczas gdy my szliśmy ujednolicić poglądy na przedmieściu Świętego Mikołaja, dowódca zdołał zgromadzić wokół siebie znaczną część społeczności, uprzedzając wszystkich, żeby się strzegli tych, którzy korzystając z trudnej sytuacji miasta, chcieliby uzależnić od siebie siły porządkowe.

Nie trzeba było wiele, żeby na ścianach domów pojawiły się komentarze w rodzaju STRAŻNICY SĄ ZAWSZE TACY SAMI. Tymczasem wielu mistrzów rabunku, odbywających podróży w interesach i znudzonych oczekiwaniem na wybuch zamieszek, przystąpiło

bez dalszej zwłoki do działania, siejąc strach wewnątrz murów i w szeregach obrońców pałacu. My zaś staraliśmy się ocenić z maksymalną dokładnością, czy należy użyć siły. Został wysłany posłaniec do zwolenników Magistra Thomasa w Salzie, z pytaniem, czy nie byłaby możliwa nasza bezpośrednia interwencja w tym mieście, żeby odplacić dwom zbiegom i stworzyć atmosferę sprzyjającą buntowi. Odpowiedzią była serdeczna rada, żebyśmy zajęli się swoimi sprawami.

Mühlhausen szykowało się do następnej bezsennej nocy. Miasto obchodziły ronty mieszczan z pochodniami w rękach, podczas gdy straż pilnowały bramy Felchta i wejścia do pałacu. Zbyteczna ostrożność, bo z łatwością mogliśmy przełamać tę pikietę, ale w obrębie murów miasto mogło zamienić się w pułapkę; z każdego okna mógł się polać wrzący olej, z każdych drzwi mogła wyjść śmierć. Co więcej, trzeba było wziąć pod uwagę, że tam w środku dysponowano co najmniej setką arkebuzów, podczas gdy po naszej stronie było ich co najwyżej pięć.

Tak więc czekaliśmy. I cień zmierzchu okrywał powoli sylwetki tego wojska biedaków, zajętego zgłębianiem sztuki rzucania kamieniami i posługiwania się kijami, obalania przeciwnika na ziemię, spania na kamieniach po posiłku z żytniego chleba i gęsiego tłuszczu, jednym uchem słuchając ostatniego kazania Magistra, a drugim erotycznych wyczynów bliźniego.

Następnego dnia, parę godzin po świcie, Otylia i Magister, widząc, że konfrontacja na odległość zaczyna męczyć ludzi i wielu nalega, żeby pozwolić im wrócić do swoich zajęć, zaczęli szukać pomocy w Biblii. „Tedy Bóg wsparł swój lud i mury miasta padły pod dźwiękiem trąb. Przypomnijcie sobie upadek Jerycha. I nam, swoim wybrańcom, Bóg pozwoli na równie łatwe zwycięstwo. Ale trzeba mieć wiarę i ufać, że Bóg nie opuści swoich zastępów”.

Magister Thomas umiał być przekonujący, i jego słowa zostały przyjęte przez około pięćdziesięciu naszych konfratrów. Uzbrojeni w siedem potężnych rogów myśliwskich, takich z metalowym stroikiem, wyruszyli ścieżką okrążającą baszty, śpiewając i grając najgłośniej, na ile pozwalały im płuca. Ta scena, jeśli nie co innego, obudziła zapał u wszystkich i z pewnością wywarła wielkie wrażenie na bogatych piwowarach, którzy zabarykadowali się na miejskim rynku.

Pięćdziesięciu żołnierzom Jozuego nie udało się siedem razy okrążyć murów. Kończyli dopiero piąte okrążenie i wrzeszczeli nieprzytomnie: „Służalce gówniarzy!” w stronę strażników stojących w szeregu pod bramą Felchta, gdy w oddali ukazało się to, co miało

ostatecznie rozładować napięcie tych dni. Bardzo liczna grupa ludzi, nad którymi sterczał gęsty las długich kijów, zbliżała się pospiesznie w kierunku miasta. Gdyby były to posiłki przybywające z Salzy, Mühlhausen wpadłoby w nasze ręce jeszcze przed wieczorem. Ale brat Leonard, którego posłaliśmy im na przeciw, wrócił z wiadomością, że są to mieszkańcy wioski, idący z pomocą radzie miejskiej. W krótkim czasie wiadomość przedostała się przez mury do miasta i prędko wzięto nas w dwa ognie: z jednej strony chłopci wspinający się już brukowaną drogą, a z drugiej mieszczanie, z zadowoleniem przyglądający się tej scenie zza pleców pierwszego szeregu straży. W sumie było tego za wiele.

Oto co się dzieje, gdy przy zdobywaniu miejskich armat pomija się chłopów! Obiecują im obniżenie kopytkowego przy wnoszeniu towarów na sprzedaż, i w mgnieniu oka masz ich przeciwko sobie. W takim dniu jak ten, z chłopami po naszej stronie... A tak siły biedaków prędko stopniały bez rozlewu krwi, jak masło w piecu. Chłopi uściśliły rękę mieszczanom, rozbili w drzazgi nasze myśliwskie rogi i wrócili do domu w porze kolacji.

Tak więc postanowienie rady o wyborze dwóch nowych burmistrzów miało wydzźwięk pewnego ustępstwa i okazało się prostym sposobem na wyeliminowanie dwóch głupców i wzmocnienie kontroli nad miastem.

Nazajutrz rano miejski rynek wypełnił się znowu wielkim tłumem oczekujących na obwieszczenie nazwisk nowych burmistrzów. Jeden z wybranych, warzący najlepsze piwo w mieście, uczcił to natychmiast, darując ludziom dwie ogromne beczki. Potem zabrał głos drugi, właściciel składu z tkaninami. Powiedział, że dzięki dalekowzroczności rady zostało zażegnane niebezpieczeństwo poważnego zamętu. Dodał, że Rodemann i Kreuzberg słusznie zapłacili za swój postępek i nie powinni wracać do miasta. Ale nie tylko oni działali przeciwko interesom mieszkańców; jak można było spodziewać się tego po obcym przybyszu, Thomas Münzer zrobił wszystko, żeby pograć przedmieście w chaosie, a *messer* Heinrich Pfeiffer podążał za nim ślepo w tym dziele podburzania. Mühlhausen nie potrzebuje takich ludzi. Thomas Münzer i Heinrich Pfeiffer zostali zatem poproszeni o opuszczenie miasta w ciągu dwóch dni. Gdyby zatrzymali się tu dłużej, zasłużyliby na uwięzienie w wieży.

Wciąż zadaję sobie pytanie, jakie to dziwne sztuczki rozegrały się poprzedniej nocy i jaki paraliżujący fluid spłynął w tym momencie na bruk rynku. Nadejście chłopów było z pewnością ciężkim ciosem, i to poczucie wzięcia nas w dwa ognie także. A jednak musi istnieć

jakiś inny powód tego milczenia, które zawładnęło tłumem tak mocno, że przez chwilę nie czuło się nawet smrodu. Coś, co Magister Thomas musiał wyczuć prędzej ode mnie, bo tego ranka pozostał u Świętego Jakuba i kiedy do niego dołączyłem, był w trakcie pakowania swoich manatków.

Poza murami Mühlhausen zrozumieliśmy, że popełniliśmy błąd. Błąd nie do naprawienia. Gdy zostawiliśmy miasto za naszymi plecami, Otylia wyszeptwała do mnie:

— Miałeś rację. Bez chłopów nic nie zdziałamy.

Rozdział 19

Norymberga, 10 października 1524 roku

Artykuł czwarty: (...) A przeto zanosimy tę prośbę: jeżeli kto ma strumień i wystarczająco dowodnie może wykazać, że to jego własność, jako że kupił ten wodny ciąg w dobrej wierze, w takim razie nie chcemy wywłaszczać go gwałtem, ale dojść z nim do braterskiej ugody. Kto jednak nie może wykazać odpowiednio tego wszystkiego, musi zwrócić go wspólnocie, po sprawiedliwości.

Artykuł piąty: (...) ażeby wspólnota miała swobodę zezwalania każdemu, iżby mógł zebrać i zanieść do domu bez zapłaty drewno, które jest mu niezbędne do palenia i także do budowania (...).

Artykuł szósty: (...) Jesteśmy straszliwie obciążeni powinnościami, które musimy wykonywać na rzecz pana i które ciągle się powiększają (...). Prosimy przeto, żeby zostało teraz uznane, jak jest sprawiedliwie, nie obciążać nas więcej w ten sposób, ale pozwolić nam (...) wykonywać te świadczenia tak, jak czynili to nasi ojcowie i tylko według Słowa Bożego.

Wchodzimy do Norymbergi bramą położoną najbardziej ku północy. Po lewej stronie imponujące wieże cesarskiej fortecy przypominają nam o tym, co już wiemy, że to miasto jest jednym z największych, najpiękniejszych i najbogatszych w całej Europie. Przed nami pną się aż do nieba smukłe sylwetki wież Świętego Sebalda, a po obu stronach ulicy malarze i rzeźbiarze pracują w swoich pracowniach. Otylia klnie się, że dom wielkiego Albrechta Dürera znajduje się parę kroków stąd. A Johannes Dencka, z którym mamy spotkać się tego ranka, położony jest bliżej Königstrasse, na południowym rogu rombu, który ogranicza serce miasta.

Mijamy wielki rynek, oszałamiający zapachem kadzideł, woniami indyjskich korzeni i kolorami chińskich jedwabii, które mienią się

w słońcu, potem Siedmiu Elektorów, którzy chyłą się przed Cesarzem dokładnie nad naszymi głowami, na zegarze kościoła Marii Panny.

Odkąd weszliśmy do miasta, księgarz Hans Hut natychmiast zostaje z Magistrem trochę z tyłu, celowo zwalniając kroku. Powód: utrzymuje, że wszedłszy do Norymbergi którąkolwiek bramą, ktoś, kto instynktownie będzie szedł śladem płynącej rzeszy, znajdzie się prędzej czy później na placu Świętego Wawrzyńca, przyciągnięty tam przez niewidzialny prąd. Tak więc, żeby nie wpływać na wynik eksperymentu, trzyma się na odległość, jako że ulice miasta nie mają dla niego żadnych tajemnic. Mimo tej ostrożności dowód ulega jednak zafałszowaniu, bo wieże Świętego Laurentego ukazują się w całej swojej wspaniałości, gdy tylko przekraczamy most na rzece przecinającej miasto.

* * *

W drukarni panuje ożywiony ruch. To dzień ważnych spotkań, rozmów, projektów, które zapowiadają nowe tygodnie trzęsień ziemi i zawirowań. Chłopi burzą się, nie ma dnia bez wiadomości o rabunkach, buntach, banalnych kłótniach, które przeradzają się w zamieszki, od jednego do drugiego regionu. Sieć kontaktów, jakie Magister podtrzymuje z upartą precyzją od lat, jest szeroka i rozgałęziona, nie przestaje się rozrastać i dostarczać wiadomości. Temu właśnie służą wydawnictwa; ta zdumiewająca technika, która jak pożar w wietrznej i suchej letniej porze rozwija się dzień po dniu, podsuwa nam mnóstwo pomysłów na przekazywanie jak najdalej i jak najszybciej orędzi, które docierają do braci rozsianych jak grzyby w każdym zakątku kraju.

Dwaj czeladnicy pracują jak szaleni w wielkiej drukarni mistrza Hergotta w Norymberdze. W ich rękach atrament ze zwykłej kartki przemienia się w ołowiane litery, które powielają słowa. Szybkie spojrzenia i zręczne palce odtwarzają teksty Magistra, te naboże, które zostaną wystrzelone we wszystkich kierunkach z najpotężniejszego ze wszystkich dział. Prasa w kącie zdaje się drzemać w oczekiwaniu na wydrukowanie ostatniej odbitki.

Nietrudno było ich przekonać. Hergott jest przez tydzień poza miastem, a jednoczesna obecność Huta, Pfeiffera, Dencka i Magistra Thomasa przekonałaby każdego; wir rozmów, pasja i wiara tych ludzi zachęciłyby umarłych, żeby wrócili do pracy.

Zamyślane, ale uważne uśmiechy towarzyszą dyskusji toczącej się przy stole na zapleczu drukarni. Rozmawiają z zapałem. Hans Hut pochodzi z tych stron, mieszka niedaleko, w Bibrze, i już od kilku lat jest doskonałym dystrybutorem druków. Wydrukował pierwsze części Nowego Testamentu przełożonego przez Lutra i to dało mu wielki

kredyt, którego jednak nie uznają banki książąt. W związku z masą roboty próbuje otworzyć własną drukarnię w Bibrze; to ważna inicjatywa, która być może zostanie urzeczywistniona w tych tygodniach. W każdym razie zna wszystkie bieżące techniki druku i jego opinii nie sposób pominąć.

Johannes Denck wygląda na mojego rówieśnika, chytry jak kuna, także pochodzi z tych stron i jest dobrze znany lokalnym władzom, lecz już od długiego czasu wędruje po prowincjach i ziemiach aż po regiony przylegające do Morza Północnego. Prowokator, zawodowy agitator, trzeba się z nim przyjaźnić, żeby jego wolny duch nie zwrócił się przeciwko tobie. Błyskotliwą inteligencję demonstruje także w korzystaniu z Pisma Świętego; miasto jest pod wrażeniem jego przemówienia, podczas którego wymienił czterdzieści paradoksów odnalezionych w ewangeljach. Powiada, że dla wierzącego „nie ma innego przewodnika” w trakcie lektury „niż wewnętrzny, boski świat, który przychodzi od Ducha Świętego”. Magister docenia jego bystrość, spryt i ogrom wiadomości nabytych podczas licznych podróży. W tekście, który napisał w Mühlhausen i który przywieźliśmy tu, mówi także o tych sprawach.

— Ta kupa sflaczałego mięsa, która siedzi w Wittenberdze, brat Pokryjomek, chce trzymać Pismo z dala od chłopskich oczu. Boi się strącenia z tronu, na którym opiera tyłek! Chłopi powinni pochylać głowy nad pługiem, podczas gdy on udaje nowego papieża! Ta hańba nie może trwać wiecznie, trzeba go zdemaskować! Słowo Pana musi być dostępne wszystkim, przede wszystkim biedacy powinni spotykać się z nim bezpośrednio i medytować nad nim w swoich sumieniach, a niekoniecznie słuchać go z zaślinionych ust uczonych w piśmie skrybów.

To właśnie mówi Magister. Denck kiwa głową.

— Bez wątpienia to prawda — odpowiada. — Ale trzeba liczyć się też z innymi problemami. Chłopi to nie wszystko. Są także miasta; widzieliście sami w Mühlhausen. Jak ci wspominałem, spędziłem niewiarygodne miesiące w porcie nad Morzem Północnym, w Antwerpii. Kupcy są tam bogaci i potężni, ruch okrętów powiększa się z godziny na godzinę, a miasto roi się od niespokojnych dusz. Jest tam jeden brat, dekarz, dla wielu człowiek nieokrzesany i ciemny, a jednak wygłasza kazania i podburza do buntu ludzi wolnego ducha przeciwko bezbożnikom. Widziałem, kogo udaje mu się przyciągnąć — kuśnierzy, właścicieli okrętów, handlarzy drogimi kamieniami i ich znakomite rodziny, a także producentów piwa, cieśli i włóczęgów. Jednym słowem, nie brakuje tam forsy i służy ona podtrzymaniu wszelkich spraw. Przeklęci mieszczanie z naszych miast to świętoszki skłonne do

czerpania drobnych korzyści z poddaństwa chłopów i dalszego utrzymywania ksiąząt. To ich trzeba obudzić kopniakami w tyłki!

— Jeżeli uda się nam zawładnąć ich sklepami, nie zabraknie pieniędzy na drukowanie naszych pism! — śmieje się pod nosem Hut.

— Siedź cicho, od miesiący planujesz otwarcie swojej drukarni, a tymczasem zmuszasz nas, żebyśmy uciekali się do sztuczek! — pokpiwa Pfeiffer.

— Nie, nie, tym razem już ją otworzę! Będzie gotowa za niecały miesiąc. Zapewniono mnie, że drukarska prasa jest w drodze i gdyby wokół nie było tak wielkiego zamieszania, byłaby gotowa od tygodni.

Denck daje mu kuksańca łokciem.

— Wiem, że tobie, człowiekowi o lwim sercu, nie podoba się zamieszanie...

Wybuchamy śmiechem.

Tymczasem czeladnicy Hergotta nie podnieśli na chwilę głów znad zecerskich stołów; zostało im już niewiele roboty. Od pewnego czasu obserwuję koszyk pełen pasków papieru różnych rozmiarów. Wskazuję go Hutowi.

— Do czego to służy?

— Do niczego. To są odpady: ta prasa drukuje cztery stronice na każdej dużej karcie. Kiedy się je złoży i obetnie, zostają zawsze okrawki.

— Czy można by ścieścić czcionki, żeby otrzymać większy margines do przycięcia?

— Tak, ale po co? Nie wystarcza ci ten zmarnowany papier?

— Może to głupstwo, przyszło mi jednak do głowy, że oprócz tego, co napisał Magister, z każdej drukowanej partii udałoby się otrzymać oddzielne kartki, na których można by wyrazić w paru sugestywnych wierszach nasze posłanie, żeby było wygodnie nosić je ze sobą i rozdawać po wsiach, w okolicy. Moglibyśmy rozpoznać je za pośrednictwem braci rozsianych wszędzie, mogliśmy dotrzeć do wszystkich, sam nie wiem, ot, taki pomysł...

Cisza. Pfeiffer uderza dłonią w stół.

— Moglibyśmy drukować to setkami! Tysiącami!

Oczy Magistra błyskają jak wtedy, gdy rozpoczyna swoje kazanie. Czerwienieję na widok jego uśmiechu.

— Jesteś już dorosły, chłopcze. Będziesz musiał nauczyć się jeszcze tylko podtrzymywania ze wszystkich sił swoich pomysłów.

Hut chwytą pasek papieru z koszyka, bierze pióro i kałamarz i zaczyna robić obliczenia.

— To może działać, może działać... — mamrocze do siebie.

Prawie spada z krzesła, odwracając się do drukarzy.

— Wstrzymajcie się, wy dwaj! Wstrzymajcie robotę!

Rozdział 20

Eltersdorf, jesień 1525 roku

Naprawiam klatki dla kur na zimę, przybijam deski, żeby biedactwa nie cierpiały zbyt wielkiego chłodu. Wieczorem pogrążam się znowu we wspomnieniach.

Pamiętam nadejście południowego wiatru, który ma tu nazwę Föhn i teraz wieje również, w jakże odmiennym świecie.

Ten ciepły wiatr, niosący wilgotne wyziewy z południa, przeciska się przez łańcuch alpejskich szczytów i spada na doliny i pola z ładunkiem szalonych humorów i gwałtownych pasji, z jakich słynie. Obejmował w posiadanie nas i tę porę gorączki i obłądu, przejmował ciała niekontrolowanym drżeniem, a potem rzucał je w taniec śmierci, żłobiący we mnie wciąż jeszcze wszystkie te imiona. Imiona i nazwy. Miejsca, twarze. Imiona umarłych. Już przedtem odczytywałem je w Piśmie, wyskakiwały z kart zamkniętych w grubych foliach, jednocząc się nierozdzielnie z radością w oczach sióstr, przyjmując promienne miny ich dzieci i ostre, surowe profile chłopów i kamieniarzy wyzwolonych w Duchu Świętym.

Jacob, Mathias, Johannes, Elias, Gudrun, Otylia, Hansi.

Teraz to imiona umarłych. Nie będę już miał tych imion, nigdy. Nie przywrócę życia trupowi żadnego imienia. Takimi już odtąd będą dla mnie. Żyję dziś, żeby je wspominać, słucham deszczu tłukącego o dach, podczas gdy jeszcze jedna jesień przemija w gonitwie czasu i Eltersdorf gotuje się na przyjęcie pierwszego śniegu, pierwszego lodowatego uścisku po tym ostatnim ciepłym oddechu.

Październik 1524 roku skończył się jeszcze jednym wyrzuceniem poza obręb murów. Tym razem stało się to w Norymberdze. Od prawie tygodnia dwaj czeladnicy drukarni Hergotta przekazywali nam owoce nieprzespanych nocy i dni obłąkańczej pracy; dwa pisma, które Magister przyniósł ze sobą z Mühlhausen: pięćset egzemplarzy

Pełnego obnażenia fałszywej wiary i tyle samo *Obalonych zarzutów*. Ponadto modyfikacje wprowadzone w układ ćwiartek każdego arkusza pozwoliły uzyskać parę tysięcy oddzielnych stroniczek małych rozmiarów, na których była wydrukowana bardzo skrócona wersja naszego programu wraz z podburzającymi tekstami, skierowanymi przede wszystkim do kobiet, oraz błogosławieństwem Pana, który miał chronić nas także mieczem, gdyby zaszła taka potrzeba. Rozpowszechniliśmy je swobodnie w trakcie przemierzania wiejskich okolic, osiedli, wsi. Po dyskusji niewolnej od momentów wesołości postanowiliśmy nazwać je *Flugblätter*, czyli ulotki, ze względu na to, że były to pojedyncze, małe kartki, które mogły łatwo przechodzić z rąk do rąk, zrozumiałe dla wszystkich, gdyż zostały napisane prostym językiem i wielu mogło je zrozumieć bez niczyjej pomocy, czytając samemu albo prosząc kogoś o odczytanie.

Tydzień minął na ożywionym ruchu emisariuszy i posłańców, którzy zapewniali pierwszy krąg dystrybucji pism Magistra w różnych regionach. Sto egzemplarzy wysłano do Augsburga. Ale nastroje w mieście nie dodawały zbytnio otuchy. Na przykład wielką wrzawę obudziło po raz kolejny wystąpienie Dencka, który 24 albo 25 października poruszył ponad wszelką miarę studentów u Świętego Sebalda, otwarcie wzywając do rzezi tych, którzy rezerwowali sobie wyłączne prawo do interpretowania Słowa Bożego. Po jego przemówieniu Johannes, zwany Lisem, ni stąd, ni zowąd ogłosił się rektorem tejże uczelni, witany z entuzjazmem przez studentów. Wszystko to bardzo mało podobało się miejscowym władzom, niepokojonym także ustawicznymi wieściami o rozszerzaniu się buntów w Lesie Turyńskim i w całej przyległej okolicy, toteż następnego dnia rozeszła się plotka o rychłym wyrzuceniu Dencka poza mury miasta.

I tak też się stało. 27 października ładunek książek został zatrzymany przy bramie Spittler, gdy brat Höltzl opuszczał miasto, żeby udać się do Moguncji. Straż miejska, najwyraźniej postawiona w stan gotowości, odnalazła pomiędzy książkami dwadzieścia egzemplarzy *Pełnego obnażenia fałszywej wiary*, no i zasekwestrowano wszystko i wypędzono za bramę Höltzla, któremu Magister porucił rozprowadzenie i wydrukowanie nowego nakładu tej broszury. W ciągu tego samego dnia wieść o bliskim wypędzeniu Dencka zamieniła się w pewność. O świcie 28 października wszyscy byliśmy już w areszcie. Strażnicy potrzebowali jeszcze jednego dnia, aby wytropić nasz magazyn; Hergott wrócił, oskarżył nas bez wahania i zezwolił, aby straż mogły dokładnie przesłuchać obu czeladników. Cały nakład został skonfiskowany. Tylko Hut dzień wcześniej zdołał przewieźć do Bibry ulotki wraz z paroma egzemplarzami pism Magistra.

Rada nie chciała kłopotów. Późnym wieczorem dwaj burmistrzowie

odwiedzili nas w celi i zakomunikowali nam, że decyzja została powzięta: przed świtem zostaniemy wyprowadzeni za miasto, bez ogłaszania o aresztowaniu i wydaleniu.

Magister Thomas, Otylia, Pfeiffer, Denck, Hut, Elias i ja. Znowu znaleźliśmy się na gościńcu, kontemplując niewiarygodny spektakl świtu, który wstawał nieśmiało zza wież Norymbergi, okrywając je różową poświatą. Tym razem Magister zdawał się nie przejmować wypadkami. Hut zaprowadził nas do swojego domu w Bibrze, bezpiecznego miejsca, odległego o parę mil marszu, gdzie mogliśmy zdecydować, co robić dalej.

Mistrz powiedział nam, że musimy się rozdzielić, i to obudziło w nas niemałe zaniepokojenie; przeżywając wspólnie nieszczęścia ostatnich miesięcy, zżyliśmy się bardzo i wydawało się rzeczą niemądrą rozrywanie tak zgranej kompanii.

Pamiętam determinację w jego oczach.

— Wiem, ale w siódmkę musimy wykonać robotę za stu — powiedział — i jeśli pozostaniemy razem, nigdy temu nie podolamy. Są zadania, które mają absolutne pierwszeństwo i które musimy rozdzielić między siebie. Czas dojrzał, połowa Niemiec się buntuje i możemy pograć bezbożnych niegodziwców w tarapaty, nie ma chwili do stracenia. — Odwrócił się do Huta. — Przede wszystkim trzeba być ostrożnym, żeby przynajmniej książki wysłane do Augsburga dotarły do miejsca przeznaczenia, i starać się rozpowszechnić je jak najszybciej. — Hut kiwnął głową bez słowa. To była jego misja. Magister mówił dalej: — Jeśli chodzi o mnie, to muszę dotrzeć do Bazylei. Muszę się zobaczyć z Oekolampadiusem i sprawdzić, czy rzeczywiście sprawy są tak palące, jak mi pisali tamtejsi bracia. Jeśli najważniejsze miasto Konfederacji Szwajcarskiej przejdzie na naszą stronę, przed książętami ciężkie życie... — Jego wzrok pada na Dencka. — Myślę, Johannes, że powinieneś udać się tam ze mną. Działaleś już w wielkim mieście i twoje rady byłyby mi bardzo pomocne.

— A my? — Pfeiffer wydawał się zaniepokojony. — Co mamy robić?

Magister uniósł ciężki jutowy worek i otworzył go na stole, żeby rozłożyć przed naszymi oczami część jego zawartości. Posypały się ulotki, jakby poruszyła je jakaś niewidzialna ręka.

— To są ziarna. Będziecie rozsiewać je na terenach wiejskich.

Mój zdezorientowany wzrok spotkał się ze spojrzeniem Pfeiffera.

Otylia wzięła do ręki parę ulotek.

— Z pewnością chłopci... chłopci... — spogląda na mnie — muszą się dowiedzieć, trzeba ich oświecić, że ich bracia w całych Niemczech podnoszą głowy. A jeśli ktoś nie będzie umiał czytać, przeczytamy

mu... — Potem odwraca się do Pfeiffera: — Wojsko, Heinrich, armia chłopów, która oczyści tę ziemię kawałek po kawałku od niegodziwości... — szuka potwierdzenia u Magistra. — Pomaszerujemy z chłopami na Mühlhausen, tam jest jeszcze wielu, którzy chcą zrzucić jarzmo tyranii i fałszywych proroków!

Poczułem, że serce i mięśnie wypełnia mi zapal i odwaga, oczy i słowa tej kobiety zapaliły ogień, którego nikt i nigdy nie zdołałby ugasić.

Magister odwrócił się do niej i powiedział z uśmiechem, wskazując nas ręką:

— Żono, powierzam ci tych troje ludzi. Dopilnuj, żebym po powrocie odnalazł ich zdrowych i bezpiecznych. Będziecie musieli być ostrożni, książęta rozpuszczają swoich zbirów po wiejskich okolicach, nigdzie nie zatrzymujcie się na długo, nie śpijcie przez dwie noce z rzędu w tym samym miejscu, nie ufajcie nikomu, czyje serce nie byłoby dla was otwartą księgą. I w każdej chwili polecajcie się Bogu. Jego jest światło, które oświetla nasze drogi. Baczcie, by nigdy go nie utracić. Mam nadzieję, że w dzień Nowego Roku odnajdziemy się wszyscy w kościele Marii Panny w Mühlhausen. Życzę wam szczęścia i niech Pan będzie z wami wszystkimi.

Rozdział 21

Eltersdorf, Nowy Rok 1527

Wiatr tłucze o drzwi jak oszalały. Świece zdają się chwiać także tu w izbie, tak jakby dochodził do nich lodowaty oddech zimy. Wspomnienia również mieszają się i drżą, wciąż jeszcze przeniknięte dreszczem wściekłości, czas bowiem był burzliwy. Legowiska, w porównaniu z którymi to posłanie jest królewskim łóżem; dzieci wychudzone i brudne, o pełnych godności, niezdolnych do lamentu twarzach, na których malowała się wola zemsty; ciągle w drodze, przez zagrody, osiedla, wioski. Byliśmy pracowitymi siewcami, którzy zapalali iskrę walki przeciwko uzurpatorom bożej chwały, gnębicielom ludu bożego. Widziałem, jak kosy zamieniały się w miecze, motyki w halabardy, a prości ludzie porzucali pługi, aby przerodzić się w nieustraszonych wojowników. Widziałem drobnego stolarza, jak ciosał wielki krzyż, który miał prowadzić zastępy Chrystusa niczym wódz jakiegoś niewidzialnego wojska. Widziałem to wszystko i widziałem, jak ci mężczyźni i kobiety skupiali się na swojej wierze, czyniąc z niej sztandar zemsty. Miłość przenikała serca ogniem, który płonął w naszych duszach: byliśmy wolni i równi w imię boże, gotowi obalać góry, wstrzymać wichry, zabijać naszych tyranów, aby urzeczywistnić Jego królestwo pokoju i braterstwa. Mogliśmy tego dokonać, w końcu staliśmy się do tego zdolni; życie należało do nas.

Themar, Unterhof, Regendorf, Swartzfeld, Ohrdruf, nigdy dwa dni w tym samym miejscu. W połowie listopada postanowiliśmy zatrzymać się w małej wiosce Grünbach, niewiele dalej niż o dzień marszu od Mühlhausen. W wiosce mieszkali wyłącznie chłopcy pozostający na służbie u rycerza Entzenbergera, u którego wiele lat temu wszechstronny Pfeiffer pełnił obowiązki kucharza i spowiednika. Zapewnił nas, że szlachcic ten jest zaprzysiężonym wrogiem cesar-

skiego miasta i że z pewnością nie zabroni ewangelizacji w swoich posiadłościach.

W zamian za pomoc przy najcięższych pracach mogliśmy mieszkać w starej nieużywanej stodole, obok małego domku wdowy o imieniu Frida. Jako łóżko słoma, przykrycie z surowego wełnianego sukna. Od pierwszego ranka po naszym przybyciu kobieta okazywała wielkie zadowolenie, że może nas gościć, i twierdziła, że przez cały poprzedni tydzień miała przecucie, że do jej domu przybędą bardzo szacowne osoby. Po raz pierwszy doświadczyłem dziwnego wrażenia, że słuchając kogoś mówiącego moim językiem, nie rozumiem dosłownie niczego. Oprócz Pfeiffera, który urodził się w tych stronach, jedyną osobą zdolną do wychwycenia czegokolwiek z jej paplaniny była Otylia, która w swoich włóczęgach u boku męża zaczęła nadstawiać ucha na tysiąc sposobów, w jakie może zostać zniekształcony ten sam dialekt.

Wdowa Frenner miała szesnastoletnią prawie córkę, która zajmowała się krowami pana i doła je co rano. Dziewczynka była najmłodsza z rodzeństwa, ale wszyscy jej bracia skończyli w oddziale walecznego kapitana na żołdzie grafa Mansfelda.

Już następnego dnia po naszym przybyciu do Grünbach wcześniej rano zaczęliśmy odwiedzać pola, ogrody i stajnie i nawiązywać kontakty z ludźmi, rozdając im ulotki i zapowiadając nieuchronny upadek możnych. Mieliliśmy konkurentów, bo tego samego dnia spotkaliśmy luterńskiego kaznodzieję i dwóch włóczęgów objaśniających Biblię i przepowiadających przyszłość w zamian za gościnę i jedzenie; ostatnim był osobnik werbujący najemników, który chwalił żołnierskie życie, szczodre i łatwe zarobki oraz chwałę.

Większość z napotkanych chłopów słuchała nas z pewnym zainteresowaniem, zadawała bardzo drażliwe pytania o koniec świata, wbijała się w dumę, słysząc, że nazywamy ich ludem wybranych, i okazywała pewne obawy wobec myśli, że Bóg nie zstąpi we własnej osobie, żeby zmienić ich położenie i zniszczyć możnych, ale musieliby to zrobić sami za pomocą kos i wideł. Dzięki ulotkom, które wetknęliśmy im w ręce, niektórzy z nich zapoznali się z drukiem, podczas gdy inni pokazali, że są w stanie coś tam przeczytać, i wyjaśnili nam, że zawdzięczają to wędrownemu sprzedawcy almanachów i proctw. Wielką sławą cieszyła się u nich rycina z wizerunkiem Marcina Lutra, który grzmocił kijem biskupów i papistów. Postanowiliśmy, że w następnych ulotkach będziemy drukować przede wszystkim obrazki: monarchów zmuszonych dziobać ziemię motyką, zbuntowanych chłopów pod opiekuńczym spojrzeniem wszechmogącego i tym podobne.

Wieczorem w Grünbach zostaliśmy zaproszeni do warsztatu nieja-

kiego Lamberta, który był kowalem i naprawiał narzędzia. Niedawno wygaszone palenisko promieniowało na izbę swoim ciepłem. Po- częstowano nas chlebem zaprawionym kminkiem i kolendrą, Elias zaś, starając się nie zwracać zbytnej uwagi, przekonał także Otylię, która nie cierpiała smaku tych przypraw, żeby zjadła choć trochę. Później, kiedy owijaliśmy się w szorstkie koce, wyjaśnił, że tylko wiedźmy i czarownicy odmawiają jedzenia zaprawionego kminkiem, gdyż, jak wieść niesie, unicestwia on całą ich władzę.

Natomiast kowal Lambert rzucił wyzwanie naszym śpiewkom, proponując swoją: *Wyszedłem dziś rano jeszcze po ciemku, z kosą na ramieniu spulchnić rolę, po drodze wszedłem na dąb i zjadłem wszystkie czereśnie, przybiegł właściciel tej jabłoni i kazał mi zapłacić za swoje winogrona.*

Nastąpiły dalsze z powtarzającymi się w kółko wyliczankami, które opowiadały o beczących wilkach, strąkach zjadających ślimaki, kurczątkach zamieniających się w jaja. Ale na finałową nagrodę zasłużył sobie Elias, który zaśpiewał głosem wilkołaka: *A ja za to znam piosenkę, zaraz tu ją wam zaśpiewam, tłumaczyłem Ewangelię proboszczowi, który upierał się, żeby mówić po łacinie, powiedziałem mu, że musi zapłacić za zboże, a to, co zostaje, należy do tego, co nie ma nic. Sam wszedłem do palacu, we dwóch poszliśmy do pana, w pięciu powiedzieliśmy mu, że ziemia należy do nas, w dziesięciu przekonaliśmy go do tego, w dwudziestu sprawiliśmy, że uciekł, w pięćdziesięciu przejęliśmy zamek, w stu spaliliśmy go, w tysiąc przeszliśmy rzekę, w dziesięć tysięcy kroczy my do ostatecznego zwycięstwa!*

Dzięki tej piosence, która prędko stała się prawdziwym hymnem, z miejsca zdobyliśmy sympatię chłopów z Grünbach. Elias przygotowywał ich do decydującej bitwy — prowadził ćwiczenia, przez całe dni aż do zmierzchu ucząc posługiwania się mieczem i sztyletem, rozbijania przeciwnika, obalania go na ziemię i wykańczania gołymi rękami. Aż dotąd nie posługiwałem się nigdy żadnym rodzajem broni i muszę przyznać, że chłopci okazali się dużo lepszymi uczniami ode mnie.

Ponieważ ludzie ze wsi nie lubią czystej abstrakcji, po kilku dniach postanowiliśmy wypróbować nasze małe wojsko. Obyło się jednak bez większej walki: proboszcz dał nogę, gdy tylko dojrzał długie widły nad głowami, toteż bez trudu zarekwiroaliśmy zboże z ostatniej dziesiątej, żeby rozdać je ludziom z okolicznych wiosek.

Kilka dni później urządziliśmy wielką fetę w Sneedorfie. Wybrano nowego proboszcza parafii i po raz pierwszy po wielu latach religijna władza zezwoliła na „taniec koguta”. Był on dotąd zabroniony z powodu pewnych bardzo lubieżnych piruetów, przy których od-

słaniały się nogi kobiet. Zanim upiłem się tak jak tylko niewiele razy w życiu i dopóki nogi nie odmówiły mi posłuszeństwa, towarzyszyłem w tańcach Danie, młodej córce wdowy Frenner.

W następnych dniach wiadomość o wybraniu proboszcza przez wiernych dotarła do pobliskich parafii, które wysłały do Grünbach posłańców z prośbą, żeby przyjść im z pomocą, już to przeciwko proboszczowi, już to przeciwko panu. Nasi konfratry bez wahania porzucali swoje zajęcia i biegli tam, gdzie trzeba było, aż do momentu gdy szalejąca przez trzy kolejne dni śnieżycy uniemożliwiła jakiegokolwiek poruszanie się.

Naszą wieś nawiedziła inna jeszcze nawałnica, prócz wiatru i zimna. Krótco przed świtem zbudziły nas krzyki chłopów, którzy wyszli na pole, żeby sprawdzić skutki mrozu.

Gdy wyszliśmy przed stodołę, Frida biegała jak szalona w kółko, a Dana płakała, klęcząc w śniegu. Pfeiffer podbiegł do wdowy, żeby wypytać ją, co się dzieje, ale jej mowa w tym stanie była jeszcze bardziej niezrozumiała. Zbliżyłem się więc do Dany i pochylając się nad nią, zapytałem powoli:

— Co się dzieje, siostrze? Powiedz nam coś...

— Lancknechci — załkała — znowu tu są... Zabili mojego ojca, zabrali braci, a mnie i mojej matce... — Nie miała siły mówić dalej.

Przybyły nie wiadomo skąd, wezwany na nie wiadomo jaką wojnę, wygłodniały, zmarznięty i wymęczony oddział najemników zmierzał prosto do wioski, z nadzieją na zdobycie tu jakiegokolwiek jedzenia, grożąc gwałtami, podpaleniami i zabójstwami, jeśli nic nie znajdą.

Elias jako pierwszy zabrał się do szukania jakiegoś rozwiązania.

— Jeżeli się nie mylę, jest nas w tej wiosce trzydziestu chłopów i dwadzieścia bab. Ich jest na pewno więcej. Bić się nie możemy. Proponuję podsunąć im krowy rycerza, cztery sztuki powinny zaspokoić ich głód. — Powiedziawszy to, pobiegł zawiadomić innych. Poszedłem za nim, a Pfeiffer został z kobietami.

Chłopi byli przyzwyczajeni do bronienia mienia ich pana za cenę życia, gdyż inaczej latami oddawaliby mu prawie całą swoją część zbiorów, żeby zapłacić za szkodę przez niego poniesioną. Dlatego nie było łatwo przekonać ich tak jak wtedy, gdy ich pan przyszedł, żeby domagać się respektowania swoich przywilejów — wówczas odpowiedzieliśmy mu, jak na to zasługiwał, podczas gdy teraz, ze względu na izolację, trzeba było myśleć tylko o ratowaniu skóry.

Przywitaliśmy żołnierzy na prowadzącej przez wioskę drodze, stojąc po kolana w śniegu i z wszelkiego rodzaju narzędziami w rękach. Było ich co najmniej stu, ale natychmiast zorientowaliśmy się, że marsz i zimno wyczerpały ich. Wielu ledwo trzymało się na nogach ze względu na odmrożone stopy, innym brakowało niewiele

do zupełnego zamarznięcia. Było z nimi także sporo kobiet, prawdopodobnie nierządnic, wszystkie w opłakanym stanie.

— Potrzebujemy jedzenia, ognia i jakichś ziół na gorączkę — powiedział dowódca, gdy znalazł się na odległość głosu.

— Dostaniecie wszystko — odparł kowal Lambert.

— Ale — dodał Elias, który wyczuł sytuację — zostawicie tu wszystkich mężczyzn i kobiety, które nie będą chciały iść z wami dalej.

— Nikt nie ma zamiaru opuścić mojego oddziału! — odpowiedział dowódca, starając się zachować pewność siebie, ale jeszcze nie skończył mówić tych słów, gdy co najmniej trzydzieści osób, mężczyzn i kobiet, brnąc w śniegu, podeszło i ukryło się za naszymi plecami.

Dowódca znieruchomiał, zaciskając zęby. Potem odezwał się znowu:

— No dalej, pokażcie nam to jedzenie i drewno na ogień.

Przekazaliśmy kucharzom cztery krowy raczej okazałej tuszy. Zaczęli je natychmiast zarzynać i oprawiać tak, że sypki śnieg zabarwił się krwią.

Tej nocy Dana, zdrętwiała z zimna i strachu, położyła się koło mnie na moim słomianym posłaniu, prosząc, żebym pozwolił jej zostać i chronił ją, gdyż bała się, że żołnierze powtórzą znowu to, co musiały wycierpieć z matką dwa lata temu.

Przytuliła się do mnie, zanim zdążyłem odetchnąć i pomyśleć. Była chuda, miała wystające łokcie, długie, proste nogi i sterczące małe piersi, wycelowane we mnie tak, że wstrzymałem oddech, mając dokładnie przed sobą jej twarzyczkę, wypełnioną w całości wielkimi, czarnymi oczami. Skuliła się, przyciskając buzię do moich piersi, i powoli opasała mnie jedną nogą.

Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Zanurzyłem się w niej, roztopiłem bez żadnej porywczej gwałtowności po dniach i miesiącach napięć i pożądania, dysząc przy każdym dotknięciu i lżejszym poruszeniu. Ciche westchnienia Dany nie wymagały słów i obietnic: zgiąłem się, usta poszukały jej piersi, najpierw musnąłem, potem przycisnąłem wargi do jej sutka. Ująłem w obie dłonie jej twarz i włosy krótsze niż u chłopaka z warsztatu i pozostałem w niej długo, przez czas, którego nie pamiętam, póki nie zasnęła przytulona do mnie.

Poszli sobie trzy dni później, porzucając resztki krowich szkieletów i czarne dziury w śniegu po ogniskach oraz tę trzydziestkę desperatów bez żołądka od miesiący. Nasze nowe nabytki okazały się pożyteczne; prawie wszyscy byli ludźmi ze wsi, ale potrafili posługiwać się bronią i stawać w bojowym szyku.

W każdy pierwszy piątek miesiąca odbywał się w Mühlhausen wielki rzemieślniczy targ, na który przybywali ludzie ze wszystkich stron Turynгии, z Halle i z Fuldy, z Allstedt i z Kassel. Zdaniem Pfeiffera powinniśmy próbować wrócić do miasta właśnie w ten dzień, ukryci w wielkiej ludzkiej ciżbie płynącej przez bramy. Zbliżał się grudzień. Zaczęliśmy nawiązywać kontakty za murami Mühlhausen, z górnikiem z Mansfeldu, z mieszkańcami Salzy i Sangerhausen. W pierwszy piątek grudnia miasto właścicieli browarów powinno wypełnić się tłumem zainteresowanym zupełnie czym innym niż jakieś tam plecione koszyki.

Rozdział 22

Mühlhausen, 1 grudnia 1524 roku

Artykuł siódmy: Odtąd i w przyszłości pan nie będzie mógł zwiększać powinności według swojej woli. (...) Lecz gdy pan będzie potrzebował jakiejś usługi, chłop wykona ją posłusznie i chętnie; zrobi to jednak w dniach i godzinach, które nie narażą go na szkodę, i w zamian za odpowiednie wynagrodzenie pieniężne.

Artykuł ósmy: (...) Prosimy, ażeby pan polecił dokonanie oceny ziem (które użytkujemy) przez godnych zaufania ludzi, a to dla ustalenia sprawiedliwego wymiaru powinności, aby chłop nie pracował bez zapłaty, albowiem ten, kto wykonuje pracę, ma prawo do wynagrodzenia.

Artykuł dziewiąty: (...) Jest naszym przekonaniem, że należy nawiązać do kar dawnego systemu prawnego, który przewiduje obiektywne sądzenie, a nie narzucone przez możnych według ich własnego upodobania.

Ostry, nieprzyjemny zapach odczynników do wyprawiania skór zmusza do pośpiechu strażnika strzegącego bramę. Po bardzo pobieżnej kontroli przepuszcza kuśnierza wraz z jego licznym orszakiem, w którym nikt nie jest w stanie rozpoznać starych znajomych z cesarskiego miasta, byłego studenta z Wittenbergi, olbrzymiego kamieniarza i młodej kobiety o zielonych oczach.

Ulice Mühlhausen pełne są wozów ciągniętych z trudem pośród ludzkiej ciżby przez woły, konie, osły, a nierzadko i ludzi. Ogromne, wypchane worami powiązаныmi płataniną taśm i powrozów, są czasami tak wysokie, że zasłaniają okna domów. Wiozą ładunki narzędzi używanych we wszelakich zawodach, meble do wszelkiego rodzaju domów, ubrania dla wszelkiego pokroju ludzi. Wyskakują z każdego rogu, gdy najmniej się ich spodziewasz, poprzedzane

spóźnionym wołaniem woźniców domagających się wolnej drogi, zawsze ze zbyt dużą prędkością, która nie pozwala uniknąć potrażeń, zderzeń albo i rozjechania.

Po obu stronach szerszych ulic ustawiają się skromniejsi sprzedawcy, rozkładający swój towar na ziemi, podczas gdy miejsce na rynku zajmują kupcy mający przynajmniej dwa paliki i płachtę dla osłony albo wystawne wozy, które dzięki przemyślnym, składanym stelażom zamieniają się w prawdziwe sklepy. Niektórzy krzyczą, zachwalając swoje towary, inni wołają zapraszać szeptem, tak jakby wyczuwali, że właśnie ty będziesz umiał docenić ich bajeczną ofertę; jeszcze inni rozsyłają chłopców, żeby zagadywali klientów, i częstują piwem tych, którzy przystają, żeby się potargować. Wiele rodzin wędruje, trzymając się sznurka w obawie, żeby ktoś nie zgubił się w tłumie.

Elias bacznie przepatruje tłum. W strefie, w której sprzedaje się naczynia, rozpoznał już przybyszów z Allstedt. Rzut oka w stronę szklarzy potwierdza przybycie chłopów z Hainich. Ci trochę dalej, unoszący Biblię na powitanie, powinni być z Salzy.

Otylia unosi głowę, czekając na znak. Rozpoznała już swoją ofiarę, członka rady miejskiej, którego wskazał jej Pfeiffer. Trzeba zacząć na górników z Mansfeldu, którzy jeszcze się nie pokazali. Bez nich nie da się nic zrobić.

Przez ciżbę przepycha się mały chłopiec.

— Panie, potrzebujecie nowego ubrania! Zajrzyjcie do sklepu mojego ojca, zaprowadzę was, panie... — Czepia się mojego kaftana.

Odwracam się poirytowany i słyszę szept:

— Bracia górnicy są tu, za wozem z ceglami.

Trącam łokciem Eliasa.

— Możemy zaczynać, jesteśmy w komplecie.

Rzucam monetę w wyciągniętą dłoń malca, głaszcząc go po głowie i szykując się do obejrzenia widowiska.

Otylia podchodzi do człowieka w samym środku ciżby, przed stoiskiem z instrumentami muzycznymi. Staje za nim i delikatnie przyciska piersi do jego pleców, po czym pochyla się, szepcząc mu coś do ucha. Jej jasne włosy opadają mu na ramiona. Potem jedną ręką zaczyna miętosić mu okolice krocza. Widzę, że kark biednego głupka okrywa się szkarłatem. Gładzi sobie nerwowo brode, nie jest w stanie się oprzeć. Stojąc do niej plecami, pochyla się lekko i wsuwa rękę pod jej sukienkę. Gdy jego dłoń dociera już prawie do celu, Otylia zabiera rękę, którą go prowokowała, odwraca się do niego tyłem, blokując jego dłoń w gorszącym położeniu, a potem zaczyna krzyczeć, wymierzając mu jednocześnie z całej siły policzek.

— Bękart, podlec, wstrętny świntuch, niech cię Pan Bóg pokarze!

To jest sygnał. Wokół Otylii robi się wielkie zamieszanie, a z czterech stron placu zaczynają zbliżać się grupki naszych braci. Wywracają stopy towarów, rozpędzają kupców, poniewierają handlarzy piwem.

— Panowie z Mühlhausen potrafią tylko wsadzać łapy pod sukienkę?

Jako pierwszy dociera do nas chłop, który przebojem otworzył sobie drogę, chwytając zawadzających mu mieszczuchów za kołnierze i rozwalając im nosy uderzeniami głowy. Zaraz po nim zjawia się jeden z górników z paroma arkebuzami, łagami i nożami ukradzionymi jakiemuś rusznikarzowi.

— To dla was — mówi. — Ale jest tego jeszcze cała góra!

— Przekłety piwowar! — krzyczy ciągle Otylia. — Poznaję go, to jeden z rady!

Ktoś wrzeszczy na całe gardło:

— Sprzedali nas handlarzom piwa!

Słychać coraz więcej coraz to donośniejszych głosów.

— Podli rajcy, sprzedawczyki, precz z Mühlhausen!

Wielu z krzyczących nie widziało nawet zainscenizowanego widowiska, myślą, że zamieszanie na rynku ma na celu wysadzenie z siodła rady miejskiej. I mają rację.

Wszystko przebiega z błyskawiczną prędkością. Ludzka fala zaczyna zalewać Kilansgasse prowadzącą z rynku do magistratu, tak jakby przyciągał ją niewidzialny magnes. Mniejsze strumyki rozchodzą się tu i tam, pobożne duszyczki chronią się po kościołach.

W pewnej chwili łapię się na tym, że zostałem sam; Elias, Heinrich i Otylia gdzieś zniknęli. W pobliżu jakiś wieśniak uderzeniem łokcia w szczękę i pięścią pod żebra rozkłada na ziemię przeciwnika, ubranego trochę zbyt strojnie.

— Tak, bracie, trzeba walić tych bezbożników ile wlezie! — wołam do niego w podnieceniu.

Straże myślą tylko o tym, żeby pochować się po kątach. Miasto należy do nas.

* * *

Rozbrzmiewa pierwszy wieczorny dzwon. Odnajduję moich przyjaciół przy Studni Archanioła, umówionego miejsca na wypadek, gdybyśmy się pogubili. Widzę dwóch ludzi, których twarzy sobie nie przypominam.

Pfeiffer przyjmuje na siebie obowiązki gospodarza.

— Och, jest nareszcie nasz zbuntowany student! To są Briegel i Hülm, dwaj z ośmiu przedstawicieli mieszkańców Mühlhausen.

— A to — zwraca się do mnie jeden z nich, potrząsając czymś, co przypomina wielkie dzwonki — są klucze do naszego miasta!

— ...znaczy się — dodaje drugi — prawo do decydowania, kto ma pozostać poza murami, a kto może wejść.

— Udało się. Thomas będzie mógł wrócić — oznajmia z uśmiechem Otylia.

— A więc, bracia — ciągną Briegel i Hülm — wolne, cesarskie miasto Mühlhausen wita was serdecznie.

Rozdział 23

Mühlhausen, 15 lutego 1525 roku

Artykuł dziesiąty: Jesteśmy zaniepokojeni tym, że niektórzy przejęli na własność pastwiska i pola, które w przeszłości należały do wspólnoty. Odbieramy je tym ludziom i zwracamy wspólnocie, chyba że zostały zakupione w sposób legalny.

Artykuł jedenasty: Pragniemy całkowicie znieść zwyczaj zwany prawem martwej ręki.

Artykuł dwunasty: Jest naszym ostatecznym postanowieniem i przekonaniem, że w przypadku, gdyby jeden albo więcej z wymienionych artykułów nie były zgodne ze Słowem Bożym, naszym zdaniem nie powinny one zachować swojej ważności. (...) Pragniemy modlić się do Boga, aby wszystko to zostało nam dane od Niego i od nikogo innego. Niech Chrystus zachowa nas wszystkich w pokoju.

Wiadomość o jego przybyciu biegnie z ust do ust wzdłuż ulicy. Ustawia się gęsty szpaler, aby powitać człowieka, który rzucił wyzwanie książętom, nadbiegają prości ludzie i wieśniacy z najbliższych przedmieść. Jestem bliski płaczu ze wzruszenia. Muszę opowiedzieć ci wszystko, mistrzu, jak walczyliśmy i w jaki sposób udało się nam znaleźć tu dzisiaj, żeby cię powitać bez jednego strażnika w pobliżu. Czują potężnego stracha, chowają się, a jeśli próbują gdzieś się pokazać, narażają się na wielkie niebezpieczeństwo. Jesteśmy tu, mistrzu, i razem z tobą możemy wywrócić to miasto do góry nogami i wykurzyć radę. Otylia stoi koło mnie, z błyszczącymi oczami i w czystej sukience, która swoją bielą wyróżnia ją spośród nieokrzesanych mieszczuchów. Oto i on! Wyłania się zza zakrętu na czarnym koniu, przy jego boku Pfeiffer, który wyjechał mu na spotkanie. Dwa żelazne ramiona ujmują mnie z tyłu i unoszą w powietrze.

— Elias!

— Przyjacielu, teraz, po jego powrocie, ci z rady narobią w portki, zobaczysz!

Śmieje się na cały głos; także i on, nieokrzesany kamieniarz z Gór Harzu nie potrafi opanować podniecenia.

Magister Thomas zbliża się, a za nim rusza tłum witających. Dostrzega powitalny gest swojej żony i pochyła się na koniu. Mocny uścisk i jakieś słowo szepnięte do ucha, słowo, którego nie słyszę. A potem odwraca się do mnie.

— Witaj, przyjacielu, cieszę się, że mogę cię oglądać w zdrowiu w taki dzień jak dzisiejszy.

— Nie zabrakłoby mnie, mistrzu, nawet gdybym stracił obie nogi. Bóg był z nami.

— I z nimi... — ruch ręki w kierunku tłumu.

Pfeiffer uśmiecha się.

— Idziemy, musisz teraz przemówić w kościele, oni chcą posłuchać twoich słów.

Magister wyciąga rękę do żony.

— Ruszaj się, nie chcesz chyba zostać z tyłu?

Podaje Otylii dłoń i pomaga jej wsiąść na konia.

Biegnę co sił w stronę wejścia do kościoła Marii Panny.

Główna nawa jest wypełniona. Ludzie gromadzą się także na placu przed kościołem. Magister ogarnia spojrzeniem z ambony to morze oczu, które da siłę jego słowom. W jednej chwili zapada cisza.

— Niech spłynie na was błogosławieństwo boże, bracia i siostry, i pozwoli wam przyjąć te słowa mocnym i otwartym sercem.

Cisza jak makiem zasiał.

— Zgrzytanie zębów, jakie dziś podnosi się przeciwko wam z pałaców i klasztorów, przekleństwa i obraźliwe słowa, które szlachta i mnisi kierują przeciwko temu miastu, nie wstrząsną waszymi umysłami. Ja, Thomas Münzer, witam tu zgromadzonych, witam wspaniale, wreszcie przebudzone miasto Mühlhausen!

Pod sklepienie kościoła podnosi się owacja... odpowiedź mieszkańców na powitanie.

— Posłuchajcie. Obecnie słyszycie wokół siebie bezładne, gniewne, wściekłe pokrzykiwania tych, którzy gnębią nas od niepamiętnych czasów: książąt, tłustych opatów, biskupów, co znaczniejszych mieszczan. Słuchacie ich wydzierania się tam, na zewnątrz, pod murami! To jest ujadanie psów, którym wyrwano zęby, bracia i siostry. Tak, psów, które wraz z hordami żołnierzy i poborców podatkowych nauczyły nas, co to strach, nauczyły nas nieustannego posłuszeństwa,

pochylania głowy w ich obecności, padania przed nimi tak, jak niewolnicy padają przed swoimi właścicielami. To oni podarowali nam niepewność, głód, podatki, klechów... Dziś, bracia i siostry, ci ludzie płaczą z wściekłości, ponieważ lud Mühlhausen stanął na nogach. Gdy jeden z was odmawiał zapłacenia podatków albo złożenia im przymusowego uszanowania, mogli kazać swoim najemnikom wychłostać go, mogli go uwięzić i zabić. Ale dziś są tu was tysiące. I nie będą już mogli smagać was batem, gdyż to wy macie dziś w rękę ten bat, nie będą mogli was uwięzić, ponieważ przejęliście więzienia i rozbiliście ich odrzwia, nie będą już mogli was zabić ani wykraść Panu przywiązania i pobożności Jego ludu, bo Jego lud stoi wyprostowany i kieruje spojrzenie ku Jego królestwu. Nikt nie będzie już mógł powiedzieć wam: rób to, rób tamto, bo od dziś będziecie żyć w braterstwie i wspólnocie, zgodnie z prawem miłym Bogu, i nie będzie już podziału na tych, co orzą ziemię, i tych, co spożywają jej plody, albowiem wszyscy będą uprawiać ziemię i cieszyć się jej owocami we wspólnocie jak bracia. I zostanie oddana cześć Bogu, albowiem nie będzie już panów!

Absyde kościoła wypełnia kolejny grzmot entuzjazmu, tak jakby dobywał się z dziesięciu tysięcy gardeł.

— Mühlhausen stało się kamieniem obrazy podłych władców i zwiastunem gniewu Boga, który postanowił ich zniszczyć. To dlatego wściekają się jak psy. Ale to miasto nie jest samotne. Wszędzie po drodze, którą przebyłem, żeby dotrzeć tu z Bazylei, w każdej wiosce, od Schwarzwaldu po Turyngię, oglądałem chłopów buntujących się w imię swojej wiary. Za waszymi plecami powstaje armia biedaków, którzy pragną zerwać łańcuchy niewolnictwa. Potrzebują tylko znaku. Wy musicie wystąpić jako pierwsi. Zrobić to, czego wielu w innych stronach obawia się jeszcze uczynić. Ale bądźcie pewni, że za waszym przykładem pójdą inne miasta, i te bliskie, i te dalekie, których nazw nawet nie znamy. Wy musicie otworzyć drogę Panu. Nikt i nigdy nie odbierze wam dumy z tego pierwszego kroku. Pozdrawiam w was wolne Mühlhausen, miasto, ku któremu Pan skierował swoje spojrzenie i swoje błogosławieństwo, miasto odwetu upokorzonych na niegodziwych władcach! Stąd, bracia, z waszego przykładu czerpie nadzieję cały świat!

Ostatnie słowa toną w zgiewku okrzyków, Magister Thomas musi krzyżeć na całe gardło. I ja zanurzam się w tej radości: nie wyrzuca nas więcej z żadnego miasta.

Rozdział 24

Mühlhausen, 10 marca 1525 roku

Zebranie w domu Briegla. Pfeiffer i Magister będą musieli omówić z przedstawicielami ludu żądania, które należy przedstawić radzie miejskiej. Zaprosili także i mnie, podczas gdy Otylia pójdzie przemawiać do kobiet z miasta. Briegel jest skromnym rzemieślnikiem, podobnie jak Hülm, i wytwarza naczynia stołowe, a także zajmuje się rytownictwem. Rzecznikiem chłopów jest niski, kudłaty Peter o surowej twarzy, czarnych oczach i nieproporcjonalnie szerokich barach, zaprawionych do pracy w polu.

Dom skromny, ale solidny i czysty, zupełnie odmienny od ruder, jakie oglądaliśmy w Grünbach.

Jako pierwszy zabiera głos Briegel, który pokrótce przedstawia sytuację.

— A więc rzeczy mają się tak. Możemy pozostawić w mniejszości przedstawicieli cechów. Zaproponujemy poszerzenie kręgu wyborców także o mieszkańców, którzy nie uprawiają rzemiosł, aby tylko mieszkali w obrębie murów albo na przedmieściach pod ich osłoną. Paru tłuszciochów będzie może głośno protestować, lecz wiedzą oni dobrze, że cała ludność jest po naszej stronie, i myślę, że choćby dla uniknięcia rozruchów zgodzą się na nowy system.

Głos zabiera Hülm.

— Tak. I ja uważam, że można będzie narzucić im nasz program, z pewnością nie będą chcieli ryzykować swoich majątków. W gruncie rzeczy żądamy tylko, żeby ludność mogła sama decydować o sobie, bez konieczności dalszego podporządkowywania się regułom wymuszonym przez nich.

Na krótką chwilę zapada cisza, Pfeiffer wymienia szybkie spojrzenie z Magistrem. Pod stołem wielki szary pies przysiadł na moich butach; drapię go za uchem, podczas gdy Pfeiffer zabiera głos.

— Przyjaciele, pozwólcie, że zapytam was, dlaczego mamy paktować z wrogiem, którego już pokonaliśmy? Jak powiedzieliście, ludność jest po naszej stronie, miasto może się obronić bez uciekania się do pomocy straży miejskiej, możemy zrobić to bez trudu sami. Jaki interes mamy w pozostawianiu w radzie opasłych kupców? — Odczekuje chwilę, żeby jego słowa dotarły do celu, a potem mówi dalej: — Thomas Münzer ma propozycję, którą chciałbym poprzeć z całego serca. Wyrzucmy cechy i piwowarów i powołajmy do życia nową radę.

Magister wtrąca porywczo:

— Radę zmienną, wybieraną przez wszystkich mieszkańców bez żadnych ograniczeń. Taką, żeby każdy przedstawiciel i publiczny urzędnik mógł być w każdej chwili odwołany, jeśli wyborcy dojdą do wniosku, że nie reprezentuje ich i nie zarządza miastem należycie. Lud mógłby później organizować okresowe zgromadzenia, żeby całościowo oceniać działania rady.

Zakłopotany Hülm nerwowo gładzi się po brodzie.

— To śmiała myśl, ale być może macie słuszność. A jaki system podatków proponujecie?

Odpowiada mu Pfeiffer.

— Żeby każdy wpłacał do miejskiej kasy według tego, co posiada. Należy zezwolić wszystkim na to, żeby mogli wyżywić i ubrać swoje rodziny. Dlatego część podatków zostanie przeznaczona na pomoc dla biednych i niemających niczego, coś w rodzaju kasy wzajemnej pomocy na zakup chleba, mleka dla dzieci i wszystkiego co konieczne.

Cisza. Pomruk z głębi piersi Petera. Chłop skrobie się po głowie.

— Wszystko to jest dobre dla miasta — słowa z trudem wychodzą z bezzębnych ust — ale co się zmieni, jeżeli chodzi o nas?

— Mam nadzieję, że nie chcecie, żeby Mühlhausen wzięło na swoje barki wieśniaków z całego regionu! — odpowiada Briegel.

Pies znudził się mną i zmienia miejsce, kopniak gospodarza domu sprawia, że oddala się niechętnie. Kuli się w kącie i zaczyna gryźć zakurzoną kość.

Peter odzywa się znów:

— Chłopi walczą. Chłopi muszą wiedzieć, po co to robią. Chcemy, żeby to miasto, a także i wszystkie inne, które decydują się nas poprzeć, wsparły też nasze żądania wobec panów.

Nie patrzy na Hülma ani na Briegla, ale wpatruje się prosto w oczy Pfeifferowi.

— Chcemy, żeby wszyscy zaaprobowali dwanaście artykułów.

Śmieję się w duchu na myśl, że to ja im je przeczytałem, właśnie wczoraj, kiedy tekst trafił do miasta prosto z drukarni.

— Wydaje mi się, że propozycja jest rozsądna — mówi Pfeiffer i spogląda na Hülma i Briegla, którzy milczą. — Przyjaciele, miasto i wieś nic nie znaczą jedno bez drugiego. Front musi pozostać zjednoczony, mamy wspólne interesy: jak tylko przepędzimy wielkich kombinatorów, przyjdzie kolej na książęta!

Jego podburzające słowa zdają się wisieć przez chwilę nad stołem.

— Niech będzie — stwierdza z zachnięciem Hülm. — Niechaj miasto uzna dwanaście artykułów i włączy je do naszego programu. Ale przede wszystkim rozwiążmy kwestie, które mamy tutaj, bo inaczej wszystko diabli wezmą.

Rozdział 25

Eltersdorf, koniec stycznia 1527 roku

Tej nocy śnił mi się Elias.

Szedłem nocą na bosaka krętą ścieżką, on szedł koło mnie. Nagle wyrosła przed nami ściana białej skały, w której rysowała się nad naszymi głowami wąska szczelina. Elias uniósł mnie i udało mi się wcisnąć do niej głowę. Wsunąłem w szczelinę pochodnię, żeby lepiej widzieć: ujrzałem coś w rodzaju długiego, wilgotnego korytarza. Gdy wcisnąłem się do środka, uświadomiłem sobie, że Elias nie pójdzie za mną, bo w ścianie nie ma żadnych uchwytów. Wróciłem więc, ale on gdzieś zniknął. Zacząłem pełznąć tym wąskim przejściem z pochodnią w rękę.

Obudziłem się i odczekałem, aż kogut Vogla oznajmi początek jeszcze jednego męczącego dnia. Widmo Eliasa towarzyszyło mi aż do wieczora. Ta jego niezmierna siła i jego głos są ciągle ze mną.

* * *

16 marca mieszkańcy zgromadzili się w kościele Marii Panny, żeby wybrać nową radę. Od tej chwili miasto było nasze.

Zobowiązano mnie do tego, abym wraz z Eliaszem zorganizował miejską milicję. W razie ataku księżęta nie zaskoczyliby nas nieprzygotowanych. Elias uczył tych prostych ludzi, jak stawać w bojowym szyku, celować włóczniami, walczyć wręcz. Podzielił ich z pomocą Magistra na drużyny liczące około dwudziestu mężczyzn i każdej z nich przydzielił na wypadek szturm obronę odcinka miejskich murów. Jeśli któryś z tych ludzi miał najmniejsze choćby doświadczenie wojskowe, sama milicja mianowała go swoim do-

wódcą. Mnie obarczono odpowiedzialnością za utrzymanie łączności między drużynami, wybrałem więc paru bystrzych, godnych zaufania chłopaków, którzy mogli pełnić funkcję gońców przekazujących rozkazy. Wciśnięto mi w rękę krótki miecz i wieczorami zaprawiałem się w jego używaniu z niepokonanym Eliaszem.

Potem, w kwietniu, zbuntowali się mieszkańcy Salzy. Propozycja, żeby iść im z pomocą, została poddana pod głosowanie i przyjęta jednogłośnie. Zebraliśmy czterystu ludzi przekonanych, że będzie to dobra okazja do poddania się próbie po tych paru miesiącach ćwiczeń. Magister i Pfeiffer odbyli długie rozmowy z przywódcami zbuntowanych, ale ci zdawali się martwić bardziej tym, żeby wymusić na panach minimalne choćby ustępstwa, niż przejmować się wydarzeniami, które działy się wokół nich. Obiecali, że подарują naszym dwa tysiące litrów piwa za przybycie do Salzy, i był to z ich strony jedyny odruch wdzięczności.

Tego wieczoru, gdy biwakowaliśmy przy świetle księżycy, słyszałem, jak Magister i Pfeiffer rozmawiali długo o ryzyku podejmowania przez poszczególne miasta nieuzgodnionych akcji. Ogromne zmęczenie uciszyło wreszcie ich ożywione głosy.

W drodze powrotnej dotarł do nas posłaniec, pchnięty przez Otylię z Mühlhausen. Do miasta przybył z bardzo ważnymi wiadomościami i listami Hans Hut. Magister przeczytał niektóre z nich naszym żołnierzom: bunt ogarniał już całą Turyngię, od Erfurtu po Harz, od Naumburga po Hesję. Za przykładem Mühlhausen szły inne miasta — Sangerhausen, Frankenhausen, Sonderhausen, Nebra, Stolberg... i jeszcze, w górniczym regionie Mansfeld — Allstedt, Nordhausen, Halle. Wreszcie Salza, Eisenach i Bibra, do tego chłopci z Schwarzwald.

Wiadomości te podniosły nas na duchu; nie zatrzymamy się już, godzina wybiła. Wracając do Mühlhausen, złupiliśmy jeden zamek i klasztor. Nie było zabitych, właściciele poddali się bez oporu, starając się tylko obudzić w nas litościwe uczucia w nadziei, że oszczędzimy ich majątki i nałożnice. Co do kobiet, to nie tknięto nawet jednej. Zabraliśmy za to złoto, srebro i żywność. Mühlhausen powitało nas jak zwycięzców, a spragnieni towarzysze opróżnili w błyskawicznym tempie dwie ogromne beki piwa.

Świętowanie ze śpiewami i tańcami trwało całą noc w tym naszym pępku świata, w tym wyśnionym miejscu, jakim było tej krótkiej wiosny wolne, pełne chwały Mühlhausen. Wydawało się, że wszystkie witalne siły wyznaczyły sobie spotkanie w tych murach, aby uhonorować wiarę wybrańców. Nikt nie zdołałby w tej chwili wyrwać nas stamtąd. Żadne wojsko, żaden armatni wystrzał.

Przed świtaniem zobaczyłem Eliasa, który siedział na stołku

i próbował ożywić zamierające błyski ognia. Żarzące się węgle rzucały dziwne odblaski na jego posępną twarz, na której zdawał się malować cień zmęczenia i niepokoju. Tak jakby w myślach naszego Samsona pojawiło się coś niepokojącego.

Gdy się zbliżyłem, odwrócił się do mnie.

— Wielkie święto, no nie?

— Największe, jakie kiedykolwiek oglądałem. Co ci jest, bracie?

— Myślę, że... że nie wiem, czy stawiliby opór w prawdziwej bitwie — odrzekł, nie patrząc na mnie, z rzadką szczerością, jaka zdarza się tylko w pewnych chwilach.

— Wyćwiczyłeś ich całkiem dobrze. A co do... przypuszczam, że szybko się o tym przekonamy.

— Tak, o to właśnie chodzi. Nie widziałeś nigdy żołnierzy ksiąząt, ludzi, którym powierzają oni obronę ich okutych skrzyń...

Spojrzenie zagubione w odblaskach ognia.

— A... ty ich widziałeś?

— A jak myślisz, gdzie nauczyłem się walczyć?

Ledwo widoczny błysk jego oczu odczytał pytanie na mojej twarzy.

— Tak, byłem najemnikiem. Zajmowałem się tym tak samo, jak wieloma innymi zasranymi rzemiosłami w życiu. Byłem górnikiem, i nie myśl, że to było dużo lepsze dlatego tylko, że nikogo się tam nie zabija. Zabija się, jakżeby nie. Zabijamy samych siebie pod ziemią, ciągle coraz bardziej oślepli, niczym krety, i pełni strachu, że zmiążdży cię ta góra, że zostaniesz tam na zawsze. Zajmowałem się brudnymi rzeczami i mam nadzieję, że Pan Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu będzie miał litość nade mną. Ale teraz myślę o nich, o tych nieszczęśnikach, których pošlemy do bitwy z prawdziwym wojskiem.

Kładę mu rękę na ramieniu.

— Bóg nas wesprze, był z nami aż dotąd. Nie opuści nas, zobaczysz.

— Modłę się o to codziennie, chłopcze, każdego dnia...

* * *

Do Pana Thomasa Münzera, brata w wierze, pastora w kościele Marii Panny w Mühlhausen.

Najlepszy mój przyjacielu!

Dzięki za Twój list, który otrzymałem właśnie wczoraj, i dzięki naszemu Panu Bogu za wieści, jakie mi zwiastował. Miejmy nadzieję, że On znalazł w osobie Thomasa Münzera z Quedlinburga sternika okrętu, który wpędzi lewiatana z powrotem w otchłań.

Odkąd się rozstaliśmy, nie można powiedzieć, żeby moje prywatne sprawy pozostawały w zgodzie z wspaniałością wydarzeń, które szykują się w obronie gnęzionej ludności Niemiec; być może Pan każe mi wrócić do ich szeregów, abym mógł być pełnym uczestnikiem przyszłej chwały. Moja rodzina została w Norymberdze i pada ofiarą nieustannych prześladowań i niesprawiedliwości. Właśnie teraz, gdy nie ma mnie w pobliżu, bo zostałem wydalony z miasta, starają się na wszystkie sposoby dokuczyć mi, żeby mnie zmusić do milczenia, nie wywołując buntów. Na szczęście nasze siostry z Norymbergi są blisko mojej żony i wspomagają ją w tej chwili próby. Ja zatrzymuję się w zajazdach tylko po to, żeby się przespać, i opuszczam je przed wschodem słońca. W każdym razie niedługo będę musiał zadowolić się poboczem drogi, gdyż kończą mi się pieniądze.

Z tych powodów powiadamiam Cię, że zamierzam dołączyć do Ciebie w Mühlhausen; pilno mi wnieść moją część do przedsięwzięcia wybranych i potrzebuję trochę odetchnąć. Ponadto w mieście nie powinno mi zabraknąć okazji do zarobienia paru groszy nauczaniem. Zobacz, co mógłbyś zrobić dla mnie w tej godzinie smartwień.

Niech Bóg oświeci Twoje ścieżki swoim światłem.

Z wielkim uszanowaniem

*Johannes Denck
z Tybingi, 25 marca 1525 roku*

Hut dostarczał nam wiadomości z południa. Ważnych, o podstawowym znaczeniu. Grzebię w torbie Magistra, żeby znaleźć ten cudowny list, słowa człowieka, którego czyny sławią ballady wędrownych bajorzy i dotarły aż tutaj.

Do wolnego miasta Mühlhausen, do jego rady nieustającej i do jego kaznodziei Thomasa Münzera, którego słowa odbijają się echem nadziei w całej dolinie rzeki Tauber.

Czas się zbliża. Oświecone przez Pana zastępy podjęły walkę, aby potwierdzić sprawiedliwość bożą. Wieśniacy przemaszzerowali przy dźwięku bębnow ulicami cesarskiego miasta Rothenburg i pomimo uchwał rady miejskiej nikt nie podniósł na nich kija. Wobec wymowy faktów mieszkańcy obawiają się chłopskiego impetu i skutków, jakie mogłyby wyniknąć, gdyby stali się wrogami wsi.

Przychodzę więc, drodzy bracia, żeby przedstawić żądania reformy, którą zastępy niebieskie niosą na ostrzach swoich włóczni.

Przede wszystkim pokazują one mieszkańcom, że jedność i zgoda polegają na szerzeniu Słowa Pana, Świętej Ewangelii, w sposób swobodny, jasny i zrozumiały, bez dodatków pisanych ręką ludzką. Ale ważną jest rzeczą, jako że zwykli ludzie od długiego czasu byli aż dotąd gnębieni i poddawani ciężarom powinności nie do zniesienia, aby biedota została uwolniona od takich ciężarów i mogła zdobywać kawałek chleba bez konieczności zebrania. I aby ludzie ci nie byli dręczeni przez żadną władzę, aby nie musieli płacić czynszów, podatków, rent z dochodów, laudemium, martwej ręki, dziesięcin, póki nie dojdzie się do powszechnej reformy, opartej na Ewangelii Świętej, która ustali, co jest niesprawiedliwe i powinno zostać obalone, a co jest sprawiedliwe i powinno trwać.

Niech mi będzie wolno powiedzieć otwarcie o tych, którzy obudzili serca i nadzieje biednych ludzi. Wypadki, które następują jeden po drugim na ziemiach położonych nad brzegami Tauberu wskazują na dwie reguły, których trzeba się trzymać, ażeby sprawa boża nie doznała klęski i żeby nie znikło to wszystko, co zostało już dokonane.

Po pierwsze konieczne jest, aby zastępy powiększały się każdego dnia, żeby niczym fale wzburzonego morza rosły w dalszym ciągu, póki nie osiągną zasobów i liczby wystarczającej, aby nie bać się miecza możnych.

Po drugie należy pamiętać, aby różne żądania, które kopią przepaść między miastem i wsią, znalazły w głębi swojej drogi wspólnego przeciwnika — niedające się tolerować przywileje wielkiej szlachty i zepsutego kleru. Nie możemy pozwolić, aby te różnice postawiły nas na przeciwnych frontach, z wszelką korzyścią dla wspólnego wroga. Ponadto, jako że faktem jest, iż miasta takie jak to nie mogą się utrzymać bez wpływów z podatków, niezbędne wydaje się znalezienie porozumienia w tej kwestii między radami, komitetami i wspólnotami wiejskimi, co należałoby przedsięwziąć dla utrzymania miast. W rzeczy samej, nie trzeba całkowicie znosić wszystkich ciężarów, ale należy dojść do słusznego porozumienia po wysłuchaniu zdania osób mądrych, kierujących się bojaźnią i miłością bożą. W tym celu dobra kościelne zostaną bez żadnego wyjątku przejęte pod ochronę, z myślą o ich wykorzystaniu jak przystoi na korzyść wspólnoty wiejskiej i zastępów Pana. Wyznaczy się osoby, które będą administrować tymi dobrami, zachowają je i dopilnują, aby ich część została rozdzielona między biednych. Ponadto wszystko, co zostanie postanowione, zarządzane i nakazane dla dobra i dla pokoju, będzie się stosować zarówno do mieszkańca miasta, jak i wsi, i ma być przez obu respektowane, ażeby wszyscy byli zjednoczeni przeciwko fałangom niesprawiedliwości.

*Z ufnością, że słowa te obudzą w Waszym umyśle świetliste wizje,
i w nadziei na prędkie spotkanie w dniu triumfu Pana, braterskie
pozdrowienie od człowieka, który walczy pod Waszym sztandarem,
i prośba o bożą łaskę.*

Dowódca chłopskich oddziałów Frankonii

Florian Geyer

Z Rothenburga nad rz. Tauber, w czwartym dniu kwietnia 1525 roku

Geyer, legenda Schwarzwaldu. Jego Schwarztruppe, oddział sformowany z dobranych ludzi, zasiał paniczny strach w szeregach Ligi Szwabskiej. Nieuchwytni, odważni i uderzający jak błyskawica, stali się w krótkim czasie wzorem wojsk chłopskich.

Florian Geyer. Drobny szlachcic, towarzysz niemieckiego rycerstwa najniższej rangi, już w roku dwudziestym drugim zerwał z wszechwładzą książąt i porzucił własny zamek, poświęcając się rozbojowi i najazdom w obrębie i w okolicach Schwarzwaldu, który znał do ostatniego zakątka. Obdarzony zaskakującą intuicją i niezrównaną odwagą, wybierał ludzi do swojego oddziału spośród rozbójników: żadnych pijaków, żadnych zbędnych rzeźmieszków, żadnych zafajdanych gwałcicieli, tylko ludzi zdecydowanych, bystrych i zainteresowanych łupieniem jedynie z konieczności albo mających ambicje uczestniczenia w przedsięwzięciach godnych jego akceptacji.

Pamiętam z dni euforii przeżywanej w Mühlhausen, jak bardzo pragnąłem go spotkać, zobaczyć z bliska człowieka, którego już samo imię porażało strachem wielką szlachtę Frankonii.

Dokonał napadów na dziesiątki zamków i klasztorów, konfiskował dobra, oręż i żywność i rozdawał je chłopom i biedakom. Pojawiał się niespodziewanie w wioskach, rozsypując na wiatr z czerwonego płóciennego worka popioły ostatniego spalonego zamku. Oddział jeźdźców w ciągu paru miesięcy rozrósł się ponad miarę, licząc w końcu wiele setek dobrze uzbrojonych, wyćwiczonych i lojalnych ludzi.

Nierzadko wieczorem przy ognisku chłopci śpiewają ballady o jego czynach. Z samym tylko toporem i sztyletem polował na jelenie i dziki. W Rothenburgu, na środku rynku, powalił jednym ciosem miecza posąg cesarza.

Pojmali go w Schwäbisch Hall, po pościgu i tropieniu przez trzy dni, podpalając trzy hektary lasu, w którym zaszył się na ich oczach. Ukryli pospiesznie zwłoki, ale wielu nie wierzy w jego śmierć — przysięgają, że się uratował, rzucając się do podziemnej rzeki. W każdej wsi Schwarzwaldu można znaleźć kogoś, kto twierdzi, że

widział go jadącego o zmierzchu konno przez leśną gęstwinę, wywijającego mieczem, gotowego wrócić, żeby podarować sprawiedliwość prostym ludziom.

* * *

Do Pana Thomasa Münzera, Mistrza wszystkich sprawiedliwych w prawej wierze, czcigodnego kaznodziei w kościele Marii Panny w Mühlhausen.

Mistrzu nasz!

Wieści, które docierają do mnie względem Was i Waszych zastępów wybranych, dają mi pewność, że po tysiącu trudności i gorzkim upokorzeniu w Weimarze, co do którego wyrzucam sobie, że nie zdążyłem Was ostrzec, Bóg położył rękę na Waszej głowie. Ten Bóg, który nienawidzi możnych, „wywyższył biedaków” i gotuje się odprawić „bogaczy z pustymi rękami, wspomagając Izrael, swojego sługę, jak to był obiecał”.

Nie ma czasu do stracenia: książęta są zdeorientowani, jako że bunt dotknęły zbyt szerokiego obszaru i ogień wiary zapala codziennie serca i regiony całych Niemiec. Aczkolwiek nieustannie werbują najemników, niemało jest przeszkód, które utrudniają przeprowadzanie szybkich manewrów.

Najbardziej rzutki spośród nich jest młody Filip, landgraf Hesji, ale jego oddziałom brakuje zwartości, przemieszczają się powoli i napotykają ciągle zasadzki i napaści ze strony chłopów we wszystkich regionach. Poza tym nie wszyscy władcy zdają sobie sprawę, że rzecz wymaga wspólnego udziału, że działając samotnie, zostaną pokonani jeden po drugim, i tak ci, co myślą, że mogą zapanować nad sytuacją w swoim domu, przyznając parę korzyści i robiąc obietnice, nie napomykają nawet, że chcieliby ryzykować bitwę. Doktor Luter, za radą pana Spalatina, odwiedził region Mansfeldu, aby uspokoić gniew chłopów, ale nie był w stanie powstrzymać buntu i naraził się tylko na ciskanie kamieniami i obraźliwe słowa. Niemiecki Herkules jest skończony.

Nadszedł czas, Mistrzu. Jeśli pozwolicie książętom na jakiś oddech, będą dewastować nasze wsie kosztem utraty całorocznych zbiorów, dopóki ostatnie źdźbło zboża nie zamieni się w popioły i nie spadnie głowa ostatniego chłopca. Wołajcie więc do wybranych, aby się nie rozpierzchli. Na południe od Mühlhausen Bóg zastępów wygrał już wiele bitew, podczas gdy na północnym wschodzie sytuacja jest bardziej niepewna. Jeśli ruszycie zwartym szykiem w tym kierunku, książęta nie będą mogli namyślać się dłużej, będą musieli starać się

zatrzymać Was za wszelką cenę, a wtedy Pan dzięki Waszym mieczom wymierzy sprawiedliwość raz na zawsze.

Nie obawiajcie się otwartego spotkania; w tym właśnie Bóg wybranych okaże, że jest u Waszego boku. Nie zwlekajcie. Wszecchnocny pragnie dzięki Wam ogłosić swój triumf.

A przeto trwajcie niewzruszenie, a Pan Was oświeci, albowiem bliskie jest Królestwo Boże na ziemi.

Qoèlet
1 maja 1525 roku

Pierwszy dzień maja. Oddziały Filipa Heskiego stały już u bram Fuldy, w pełni sił, gotowe wziąć ją szturmem. Ruszyły błyskawicznie. Nie napotkaliśmy wojsk, które przeżywałyby jakieś trudności.

Qoèlet. Trzeci list informatora hojnie dzielącego się szczegółami dostępnymi niewielu ludziom, jak przy okazji tej historii w Weimarze.

Ważne listy, które budziły zaufanie Magistra. Wraca mi echem owa decydująca dyskusja i widzę obraz Magistra, który wymachiwał wtedy listem... tym właśnie listem.

Rozdział 26

Mühlhausen, 9 maja 1525 roku

— A więc, Heinrich, na ilu możemy liczyć, jak ci się wydaje?
Ton głosu Magistra jest nagły.

Pfeiffer potrząsa głową.

— Hülma i Briegla nie będzie. Nie są w stanie zdobyć nawet jednej baryłki prochu dla tych z Frankenhausen. Nie stawiają się tutejsi ludzie.

Z wieży magistratu dochodzi echo trzech uderzeń w dzwon młotem uruchamianym przez mechanizm o imieniu Hans.

— Ale czego się obawiają? Czy Pan nie dał wystarczająco wielu znaków? Mam co najmniej pięćdziesiąt listów, które wyraźnie to potwierdzają: wojska wybranych liczą dwadzieścia tysięcy ludzi.

Magister szpera w skórzanej torbie i wyjmuje list, a potem zaczyna wymachiwać nim jak chorągiewką.

— Jeśli nawet nie chcą słuchać głosu Pana, nie zawahają się wobec tych faktów. Pewien brat, który ma bliski kontakt z wittenberską bandą, kilka dni temu napisał do mnie, potwierdzając, że książęta są w opałach: lud ich nienawidzi, ich oddziały są zdeorganizowane i działają ociężale. To jest odpowiedni moment, żeby stanąć do walki z nimi, kierując się w sam środek Saksonii, gdzie nie mogą pozwolić sobie na to, żeby nas tam wpuścić. Zostaw to mnie, ja sam przemówię do ludzi.

— Nie zda się to na nic. Jeśli nawet pominiemy burmistrzów, tutejsi ludzie osiągnęli już więcej, niż kiedykolwiek mieli nadzieję osiągnąć. Nie wystawią na ryzyko własnych zdobyczy, bijąc się z książętami na otwartym polu.

— Chcesz powiedzieć, że Mühlhausen, to miasto, które dało przykład wszystkim miastom Turyngii, będzie stać z boku i przyglądać się rozstrzygającemu starciu o wyzwolenie ziem od Alp Bawarskich po Saksonię?

— Myślisz, że inne miasta poprą to szaleństwo? Nie poprą, ja ci to mówię — odparł Pfeiffer coraz bardziej zniechęcony. — Nawet gdyby Mühlhausen wytoczyło wszystkie swoje armaty, sytuacja nie zmieniłaby się. Zbuntowane miasta zdobyły niezależność i narzuciły dwanaście artykułów; nikt nie uzna za właściwe rzucać zdobytczy na szalę w jednym bezpośrednim starciu. A gdybyśmy ponieśli klęskę? Posłuchaj. Droga, którą szliśmy dotąd, dała jak najlepsze wyniki: rebelia wiejskich terenów znalazła w miastach klucz do wprowadzenia reform. Tak musi być w dalszym ciągu, nie ma sensu wystawiać wszystkiego na niebezpieczeństwo.

— Bredzisz! To miasta skorzystały z chłopskiego powstania, aby wyrwać władzę z rąk panów. Teraz muszą stanąć obok zastępów Pana, żeby raz na zawsze zdruzgotać podłą tyranie książąt!

— Ale nie staną.

— A więc zostaną zniszczone przez własny nędzny egoizm, w dniu triumfu Pana.

Na krótką chwilę wraca spokój. Denck, milczący dotąd tak jak ja, napełnia kielichy odkorkowanym na tę okazję winem, wykradzionym w dużej ilości z klasztoru dominikanów.

— Musimy mieć co najmniej tysiąc ludzi i dziesięć armat.

Magister nie rzuca nawet okiem na kielich.

— Jakich armat? Wojska książąt będzie kosił miecz Gedeona.

Wychodzi, nie patrząc na nikogo. Po chwili Denck rzuca spojrzenie Pfeifferowi, potem mnie i rusza za nim.

Heinrich Pfeiffer zwraca się do mnie poważnym tonem:

— Przynajmniej ty musisz go skłonić, żeby zaczął myśleć sensownie. To szaleństwo.

— Szaleństwo czy nie, uważasz, że mądrze jest pozostawić chłopów ich własnemu losowi? Jeśli miasta nie wyjdą w pole, w oczach chłopów będzie to wyglądało na zdradę. I jak nie przyznać mu racji? Będzie to koniec przymierza, które zbudowaliśmy z takim trudem. Jeśli zostaniemy pokonani, Heinrich, następni będziecie wy.

Głęboki oddech, widać, że smutek ścisza mu serce.

— Widziałeś kiedy atakujące wojsko?

— Nie. Ale widziałem Thomasa Münzera, jak podrywał prostych ludzi do buntu wyłącznie siłą swoich słów. Nie porzucę go teraz.

— Ratuj się. Nie idź z nim.

— Ratunek, mój przyjacielu, jest w tym, żeby stanąć i bić się w imię Pana, a nie przyglądać się beczynnemu.

Cisza. Obejmujemy się mocno, ostatni raz. Losy zostały rzucone.

Rozdział 27

Mühlhausen, 10 maja 1525 roku

Wiadomość o tym, że Thomas Münzer wyrusza w kierunku Frankenhauzen, obiegła miasto w niecałe pół dnia. Rankiem, ledwo przebudzeni po burzliwej nocy, widzimy przez okno, że przed kościołem Marii Panny zebrał się spory tłum. Ktoś, kto chciałby się łudzić, mógłby pomyśleć, że mieszkańców Mühlhausen ruszyło sumienie i wzięło górę nad ich interesem. Ale wiemy już, jak toczą się sprawy: bez względu na to, czy się aprobejuje przemówienia Magistra Thomasa, czy nie, są one czymś, co trudno odrzucić także dlatego, że od wielu dni stanowią jeden z głównych tematów rozmów na placach i w rzemieślniczych warsztatach. No i wszyscy zdają sobie jasno sprawę, jeśli nawet znają go tylko ze słyszenia, że Thomas Münzer nie opuści cesarskiego miasta, nie rzuciwszy jego mieszkańcom ostatniego, gniewnego pozdrowienia.

— Mistrzu — wołam na cały głos, żeby usłyszał mnie w sąsiedniej izbie — są już pod drzwiami!

Wchodzi i wychyla się lekko na balkon, witany głośnym okrzykiem tłumu.

— Poczekajmy, niech plac się wypełni, żeby Pan mógł wybrać swoje zastępy. — Jego jedyny komentarz.

Z dołu dochodzą ożywione hałasy. Cztery mocne uderzenia w drzwi. Potem jeszcze dwa.

— Otwórzcie, mistrzu! Otwórzcie!

— Kto tam? — pytam zaskoczony piskliwym tonem głosów.

— Jacob i Mathias Zieglerowie, synowie Georga. Musimy z wami porozmawiać.

Otwieram, uśmiechając się do dwóch synów krawca Zieglera, naszych wiernych zwolenników pomimo oporu ich ojca, który jakiś czas temu groził nawet Magistrowi i rozstał się z wojowniczymi zamiarami dopiero za radą Eliasa.

— Co tu robicie? — pytam zdumiony. — Nie powinniście siedzieć o tej porze w pracowni rodziców?

— Nie — odpowiada Jacob, który jest większy od brata i ma piętnaście lat — od dziś już nie.

— Idziemy z wami — dodaje z zapałem jego młodszy o dwa lata braciszek.

— Powoli, powoli — mówię. — Idziecie z nami? Macie pojęcie, co to oznacza?

— Tak, wybrani zwyciężą książąt! Pan stanie po naszej stronie. Magister uśmiecha się.

— Widzisz? Wypełnia się wszystko: Chrystus każe stanąć synowi przeciwko ojcu i wzywa nas, żebyśmy stali się znowu jako dzieci.

— Mistrzu, oni nie mogą walczyć u naszego boku.

Nie pozwalają mi mówić.

— Już zdecydowaliśmy i nie zmienimy postanowienia. Pójdziemy, choćby nie wiem co. Trzymajcie się twardo, mistrzu, i do zobaczenia niebawem, tu nie możemy zostać. — Powiedziawszy to, znikają za drzwiami i zbiegają w dół po schodach.

Magister Thomas wyczuwa efekt, jaki wywarła na mnie ta krótka rozmowa.

— Nie bój się — zapewnia, obejmując mnie ramieniem — miej wiarę, Pan obroni swój lud! A teraz odwagi, bo musimy już iść.

Biegnę zawołać Otylię i Eliasa. Johanna Dencka nie ma z nami, wyruszył wczoraj wieczorem w stronę Eisenach w poszukiwaniu armat, broni i amunicji. Dołączy do nas po drodze.

Ruszamy przejściem, które prowadzi bezpośrednio do kościoła; Magister Thomas na czele, my w milczeniu za nim. Wolnym krokiem przemierzamy nawy skąpane w promieniach słońca. Elias otwiera ciężkie główne drzwi i stajemy, jeszcze w półcieniu, na szczycie katedralnych schodów. Tłum wpatrzony jest ciągle w okna naszego mieszkania. Thomas Münzer robi parę kroków do przodu, na środek schodów. Nikt go nie zauważa. Jego pierwszy okrzyk wypełnia plac, zapchany już przez co najmniej cztery tysiące osób, i natychmiast ginie w zgłęku wielu głosów.

— Posłuchaj, ludu Mühlhausen, nadchodzi ostateczna rozprawa! Niebawem Pan rzuci podłych bezbożników w nasze ręce, tak jak uczynił z Madianitami i ich królem, pokonanymi przez miecz Gedeona, syna Joasza. Wy także, niczym mieszkańcy Sukkotu, wątpiąc w potęgę Boga Izraela, odmawiacie udzielenia wsparcia zastępom wybranych i zachowujecie swoje armaty i swój oręż tylko do obrony waszych przywilejów. Gedeon pokonał plemię Madianitów, mając trzystu ludzi, jacy mu zostali z trzydziestu tysięcy wezwanych do zniw. Ale to Pan sam przerzedził jego szeregi po to, aby lud nie

mniemał, iż triumfuje jeno dzięki swojej sile. Ci, których obleciał strach, zostali odesłani do tyłu. Nie inaczej jest dzisiaj, zastęp wybranych uszczupla się z powodu odstępstwa obywateli Mühlhausen. Ale ja twierdzę, że tak jest dobrze, bo nikt nie będzie mógł zapomnieć tego, co Pan uczynił dla swego ludu, a ja, gdyby to było konieczne, byłbym gotów wyruszyć sam przeciwko książęcom żołdakom. Albowiem nic nie jest niemożliwe dla tych, którzy mają wiarę. Lecz temu, który jej nie ma, będzie odjęte także i to, co ma. Dlatego posłuchajcie, mieszkańcy Mühlhausen: Pan powołał już swoich wybrańców, a ten, komu serca nie wypełnia odwaga płynąca z wiary, niech nie stoi na drodze bożym planom, niech idzie od razu tam, gdzie go woła jego nędzny los. Precz! Niech wraca do swojego warsztatu, do swojego łóżka. Niech odejdzie, niech zniknie na zawsze.

Ludzie podnoszą wrzaski i krzyki, tłum rzuca się, faluje, wszędzie naokół wybuchają kłótnie między tymi, którzy uznają się za godnych jego zaufania, i pozostałymi, którzy wolą zostać w domu i nazywają Magistra Thomasa szaleńcem, wykrzykując mu to ze wszystkich sił.

Wreszcie zostaje dokładnie trzystu, w większości to ludzie z zewnątrz, włóczą przybyłe do miasta, żeby kraść po kościołach, biedacy i mieszkańcy przedmieścia Świętego Mikołaja, którzy nie opuściliby Magistra Thomasa nawet wtedy, gdyby słońce zrobiło się czarne. Magister, który nie otworzył więcej ust, zwraca się do swojej małej armii, gdy ta rozsuwa się na boki, żeby przepuścić kilku członków milicji, ciągnących trzy armaty.

— Skąd one się tu wzięły? — pyta lekceważącym tonem Elias.

— Nie potrzebujemy ich — ucina krótko strażnik. — Możecie je zabrać. Heinrich Pfeiffer mówi, że być może Pan Bóg będzie ich potrzebował.

W niecałe dwie godziny kolumna wybranych opuszcza w milczeniu miasto północną bramą. Pochód zamykają dwa wozy pełne prowiantu i armaty ciągnięte przez muły. Gąsienica robi dziurę w kokonie, który ją chronił, i zaczyna powoli sunąć ku nowemu życiu, ku nowej epoce, nieznanej i krwiożerczej, czerpiąc siłę w nadziei na przeobrażenie się w motyla.

Czarny koń z rozdętymi nozdrzami i długą grzywą, mieniącą się srebrzystymi odblaskami, z pianą w pysku od wędzidla, grzebie niecierpliwie kopytami. To on poniesie do bitwy miecz Gedeona. Przy siodle zwisają dwie torby wypchane listami od buntowników; Magister zbierał je przez długie miesiące szaleńczej wędrówki. Nie porzuciłby ich nigdy, zawierają imiona, miejsca, wiadomości, które uradowałyby każdego książęcego zbira.

Oglądam się, chmura kurzu za ciągniętymi przez muły armatami przesłania Mühlhausen. Niewyraźna linia murów, zatarte kontury wież, jak na spłowiałej rycinie, niczym moja dusza wypełniona strapieniem, jakiego nigdy dotąd nie doznałem. Nie widać nic więcej, spoglądam przed siebie, znowu widzę, jak pełen godności Magister powstrzymuje konia, omiata wzrokiem widnokraj; ostateczne rozliczenie, ukaranie niegodziwych władców.

Wypełnia mnie poczucie siły — czas nadszedł, trzeba iść.

Rozdział 28

Eltersdorf, luty 1527 roku

Właśnie tak. W taki sposób wyszliśmy z Mühlhausen. Wspomnienia z tych ostatnich dni są wyraziste jak kontury wzgórz tego pogodnego dnia. Każde słowo Magistra Thomasa i każde zdanie wypowiedziane przez Otylię wyskakują z mojej pamięci niczym dźwięki z holenderskiego zegara z pozytywką; ciężar przeszłości pociąga za sznurki i zmusza mechanizm do działania. Turkot kół trzech armat sunących drogą, pozdrowienia kobiet pracujących w polu, żywołowa radość Jacoba i Mathiasa, którzy gonią wróble wokół wozu ze zbożem, spotkanie z braćmi z Frankenhausem, pierwsza noc spędzona na równinie niedaleko murów, w oczekiwaniu na wyruszenie przeciwko wojskom landgraфа Hesji, przybyłym, żeby rozprawić się z nie wiadomo już którym zbuntowanym miastem.

Właśnie tak. Rozwścieczony Elias powtarza, że jest nas tylko osiem tysięcy, on, który jednym spojrzeniem potrafi ocenić wartość tej ludzkiej masy. Echo jego obelg pod adresem górników z Mansfeldu, którzy nie przybyli, wstrzymani obietnicą podwyżki dziennych wynagrodzeń. Wiadomość, że Fulda poddała się dziesięć dni temu, podobnie jak Eisenach, Salza i Sonderhausen. Odcięci, izolowani. Landgraf Filip ruszył pospiesznie i okrążył nas. Nie ma wiadomości od Dencka, ale gdyby nawet znalazł ludzi i broń, o tej porze znajdowałby się już poza liniami wojsk księcia.

— Ku większej chwale Boga, ku większej Jego chwale! — Okrzyk Magistra w odpowiedzi na te wieści. Gdybym chciał odtworzyć teraz to pobudzenie, tu, na klepisku plebanii Vogla, wśród gęsi i kur, wiem, że byłoby to dokładnie tak samo. Ale mam tylko tyle sił, by pomruczeć trochę przez zęby, półgłosem.

Mechanizm się kręci. Otylia organizuje straż tylną w Frankenhausem: kwatery, umocnienia, zapasy żywności.

Wszystko się kręci. Mnóstwo twarzy, jak na jakimś obrazie. Niebieskie oczy i nieforemny nos konowała z Rottweil, mięsista broda i jasne wąsy i znowu ten spłaszczony nochal i odstające uszy. Twarze i głosy, jedno po drugich. Hans Hut upycha książki na wózku, koń gotowy do zaprzęganía: mały, nienadający się do walki księgarz, który chce wrócić do swojej drukarni.

W pewnej chwili szarpnięcie, sznurek zacina się i dźwięki zaczynają brzmieć fałszywie, zgrzytają, stapiają się w jednolite brzęczenie. Mieszają się barwy na palecie pamięci. Zamiera wszelki ślad i ustępuje bezładnemu przerażeniu.

Rozdział 29

Frankenhausen, 15 maja 1525 roku, poranek

Znak.

Prążkowana, płomienista, purpurowa tęcza niespodziewanie wyłania się spoza pagórków i oddziałów Filipa, na wprost zauroczonych spojrzeń armii biedaków.

Przepędza strach w jednej chwili, niezapowiedziana przez deszcz na jasnym niebie, znak zemsty, jak ten wymalowany na naszych chorągwiach z białego płótna, uszytych jak się dało najlepiej, chorągwiach ludu Pana, unoszących się na powitanie dźwięków niebieskiej trąby, która zapowiada ostateczny rozrachunek.

Łoskot, naokoło drży ziemia, jej trzewia otwierają się, żeby ich połknąć, ziemia trzęsie się, pęka, otula, grzmi, wyrzuca ze swego łona potęgę Pana.

Pięść ogromna jak człowiek wywraca mnie na ziemię, ogłuszonego, twarzą w błoto. Rzucam się w bok, prowadzony przez czyjeś rżenie: człowiek ze skrzepem krwi i miazgą kości zamiast twarzy. Znowu wybuchy, kurz zalepia oczy, ludzie chowają się pod konie, pod wozy, do dziur, które otwierają się w równej ziemi. Chowam się za jednym z nielicznych drzew, blisko chłopca z odłamkiem drzewca, wbitym między żebra, zzieleniałego ze strachu i bólu.

Armaty strzelają.

Głowa Magistra wbita na pal. Tego chcieliby. Wtedy może okazać trochę miłosierdzia.

Złowróbnny oddział sług zasańców. Plugawe bękarty, psie syny od wściekłej suki. Nie narzucicie warunków wojsku Pana Boga. Zarobaczone ścierwa wyschnięte na słońcu. Haniebne falangi Ciemności. Podziurawimy wam dupy trzonkami kilofów. Panie, nie opusz-

czaj nas w tej godzinie. Rozpustne matki, które wydały was na świat, puszczały się z leśnymi capami. Wracajcie lizać tyłki waszym panom. Łaski, jeżeli pobłądziliśmy. Piekło otworzy straszliwą paszczę, jego trzewia połkną was. Jeśli zgrzeszyliśmy, niech się stanie Twoja wola, tylko Twoja wola. Wypluje precz kości, obdarłszy je po kolei z mięsa. Tylko miłość i słowo Odkupiciela w dniu zmartwychwstania tych, co dziś są ostatnimi. Nie będzie miał litości dla waszych zgniłych dusz. Niech nas chroni wiara we wszechmogącego Boga.

Magister! Magister! Szaleńcze krzyki. Moje. Wszędzie wokół otchłanie przerażenia, ucieczka trzody przed hordą wilków.

Dostrzegam go przed sobą, na kolanach, rzuconego na ziemię, skamieniałego jak posąg. Pochylony nad nim słyszę mój głos unoszący się ponad łoskotem, który przybliżył się ze wszystkich stron.

— Magister! Magister!

Pusty wzrok, nieobecny, niewyraźna modlitwa na ustach.

— Na Boga, mistrzu, podnieś się!

Próbuję go dźwignąć, ale to tak, jakbym chciał wyrwać drzewo z korzeniami, postawić na nogi zmarłego. Klękam i udaje mi się obrócić go ku sobie: osuwa się w moje ramiona. Nic więcej nie da się zrobić. To koniec. Widnokrąg gna w naszym kierunku coraz szybciej. Koniec. Unoszę mu głowę, z mojej wstrząsanej płaczem piersi wyrywa się ostatni krzyk, który pluje rozpaczą i krwią ku niebu.

Zaraz po świcie zaczynamy szykować się do wymarszu przeciwko księżętom. Krążą manierki, do gardeł leje się gorzałka, żeby wypłukać z nich niepokój i strach. Niedawno wstał dzień i w niepewnym, bladym świetle, spod zimnej mgły, która unosi się powoli, leniwie, niczym jakaś niewyraźna kurtyna, ukazuje się naszym oczom ciemna linia na krawędzi północnych wzgórz. Nikt nie podniósł alarmu, ale oni już tutaj są. Magister Thomas spina konia, galopuje z jednej strony obozowiska na drugą, żeby podsycić ogień wiary i nadziei. Słysząc okrzyki, unoszą się widły i motyki przerobione na halabardy, ktoś strzela w powietrze i wyrzuca z siebie urągające i wyzywające słowa. Ktoś klęka i modli się. Inny trwa w bezruchu, jakby napotkał spojrzenie bazyliuszka.

Czarna jak węgiel krecha rozciąga się wzdłuż szczytu wzgórza na zachodzie, znacząc posępne kontury zorzy upstrzonej delikatnymi odbłaskami. Wojska księcia Jerzego, władcy Saksonii, rozwijają się wyczekująco wzdłuż zachodniego grzbietu. W kierunku równiny wyciągają się wydłużone cienie: armaty.

Zbrojna bestia wyłania się jak błyskawica z nicości cierpkiego kurzu i krwi, wali się na garść nieszczęśników znieruchomiałych z przerażenia, skulonych w modlitwie albo sztywnych jak trupy w oczekiwaniu nieuchronnego wyroku. Wyskakują z płytkiego rowu końskie kopyta i nogi, wycelowana na wysokości piersi pika prze-szywa to tu, to tam opadłe na kolana, znieruchomiłe ciała, kłuje bezładną masę członków, kości, skóry i workowego płótna. Błyska szpadą o długiej i cienkiej klindze, wije się między trupami, chrzészcząc zbroją, rzuca na nieszczęśnika, który pokazuje się z boku, błagając o litość. Zgina grubą szyję, sapie, pochyla się, jakby miała zwalić się na ziemię, odcina całkiem jego lewe ramię, rzuca ku nowej ofierze, wybucha krzykiem dziekiej egzaltacji.

Opada kurz. Odrobina dziennego światła ukazuje masakrę. Tylko ciała i urywane jęki. Żadnych wrzasków. Po chwili dostrzegam ich: oddziały rozwijają się, żelazo, piki, chorągwie na wietrze i wstrzymywana werwa zwierząt, które niecierpliwie grzebią kopytami. Galopem schodzą zboczem wzgórze, łoskot kopyt i zbroi; czarni, ocieźzali i nieubłagani jak śmierć. Widnokrag gna w naszym kierunku, zasłaniając równinę.

To nie uderzenie stali przeszywa mnie, to uścisk Samsona, który unosi Magistra wysoko, ku chmurom, i pociąga mnie za ramię.

— Wstawaj, prędko!

Elias, starożytny wojownik, twarz czarna od ziemi i potu, prawie jak senna zjawa. Elias ze swoją siłą, żeby pokazać mi kierunek, zmusić mnie krzykiem do biegu wraz z nim, jak najdalej od śmierci.

— Toruj mi drogę, chłopcze, jesteś mi potrzebny!

Magister Thomas na jego ramionach, i ja znowu na nogach.

— Weź to!

Torby Magistra; chwytam je mocno i biegnę przodem, potracając leżące ciała, ze wszystkich sił ku wyjściu z piekła.

Biec. Do miasta. Tylko tyle. Żadnej myśli. Żadnego słowa. Nadzieje tego człowieka już prysły, otwieram drogę do jego ocalenia.

Prawie na oślepie.

Tajne oko Carafy
(1525–1529)

List wysłany do Rzymu z saksońskiego miasta Wittenbergi, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 28 maja 1525 roku.

Do najdostojniejszego i najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Panie mój najczcigodniejszy, piszę z wielkim zadowoleniem, aby przekazać radosną wieść: rozkazy Waszej Wielmożności zostały wykonane z możliwie największym pośpiechem i przyniosły oczekiwane rezultaty.

Być może doniesiono już z Niemiec Waszej Wielmożności, że wojsko zbuntowanych chłopów zostało pokonane. W czasie gdy piszę te słowa, najemne oddziały książąt zajmują się tłumieniem ostatnich ognisk największej rewolty, jaką kiedykolwiek widziały te ziemie.

Już kilka dni temu poddało się książęcym wojskom Mühlhausen, najsilniej ufortyfikowane ze zbuntowanych miast; było ośrodkiem pożogi, a wczoraj spadła na rynku w Görmar głowa ludowego prowodyra Heinricha Pfeiffera, razem z głową Thomasa Münzera. Dochodzą wieści, że w swoich ostatnich godzinach poddany torturom kaznodzieja nie wydał nawet jęku, oczekując na kata, i że tylko raz, w ostatniej chwili życia wyrzucił z siebie słowa, które zapewniły mu sławę u pospólstwa: *Omnia sunt communia*. Mówią, że to był jego jedyny okrzyk, tylko to hasło, które podsycalo w ostatnich miesiącach furię prostaków.

Teraz, gdy krew dwóch najbardziej niebezpiecznych ludzi wymieszana się na bruku, Wasza Wielmożność może bez wątpienia powin-szować sobie tej dalekowzroczości i mądrości, w którą Wasz wierny obserwator pokłada od zawsze ślepą ufność.

By jednak zastosować się do wymogów śmiałego wyrażania się,

czego Wasza Wielmożność ode mnie żądała, wyznam, iż musiałem działać nader szybko, wystawiając na niebezpieczeństwo miesiące pracy i wysiłków mających na celu zdobycie zaufania tego ognistego, chłopskiego kaznodziei. Skądinąd tylko dzięki tej wcześniej utkanej materii możliwe było przyspieszenie upadku Münzera. Zaoferowanie mu moich usług i informacji o intrygach w Wittenberdze pozwoliło mi zdobyć jego zaufanie i przekazać fałszywe wiadomości, które zachęciły go do walki w polu. Muszę po prawdzie powiedzieć, że człowiek ten sam zrobił wiele dla przyspieszenia wydarzeń, a mój list zaciemnił mu jedynie ostatni promyk rozsądku. Armia żebraków nie mogła żywić żadnych nadziei na pokonanie dobrze uzbrojonych oddziałów książęcych lancknechtów i jezdnych.

A więc, Panie mój, jako że z taką wielkodusznością żądacie, bym podzielił się moją opinią na temat tego, co zostało dotychczas zrobione, pozwólcie, że wdzięczny sługa Waszej Wielmożności uwolni duszę od ciężaru przepełniających je wrażeń i zwykłych sądów.

Gdy dobre serce Waszej Wielmożności wybierało mnie, abym z bliska obserwował stosunki niemieckich książąt z mnichem Marcinem Lutrem, nie można było wyobrazić sobie, co Pan Bóg zaplanował dla tego regionu. Nie było wołą opatrności, aby ludzki umysł mógł przewidzieć, że apostazja i herezja zawrą tak mocny pakt z władzą świecką i zakorzenią się w duszach do tego stopnia.

Mimo wszystko, w tym straszliwym położeniu, Wasza Wielmożność stanowczo kazał mi szukać przeciwnika dla przekłętego Lutra, aby ożywić ducha buntu ludu przeciwko książęcymp odstępcom i osłabić ich jedność.

Gdy wydawało się niemożliwe rozpoznanie groźnego niebezpieczeństwa, które szykował cesarz Karol V, człowiek, który aspiruje do godności obrońcy katolicyzmu, Wasza mądrość była tak wielka, aby wskazać swojemu pokornemu słudze słuszny kierunek, w jakim należało podjąć działania, i natychmiast, gdy tylko doszła wieść o pojmaniu króla Francji w bitwie pod Pawią, przekazać mi właściwe polecenie: przyspieszyć koniec chłopskiego buntu, aby zaprzyjaźnieni z Lutrem książęta mogli stać się silnymi rywalami Karola. W istocie bowiem cesarz, pokonawszy i pojmawszy francuskiego króla w Italii, wznosi się teraz niczym drapieżny orzeł, aby bronić rzymskiego gniazda, lecz może rzucić na nie cień swoich skrzydeł i ostrego, zakrzywionego dzioba. Ogrom jego posiadłości i władzy jest zresztą taki, że może zagrozić niezależności Świętej Stolicy i duchowemu autorytetowi Rzymu, i to tak bardzo, że byłoby wielce pożądanym, aby w tej części cesarstwa, w której piszę te słowa, heretycy książęta w dalszym ciągu wbijali miecz w plecy Karola, żeby uniemożliwić mu narzucanie swojej władzy całemu światu. Grzesznik ten pojmuje

wszakże, że litościwy Bóg nigdy nie zaniedbuje przypominania nam, jak tajemnicze i niezbadane są jego plany: ten, kto nas bronił, teraz nam zagraża, ci, co nas atakowali, teraz są sprzymierzeńcami. A zatem niech się spełni Jego wola. Amen.

Oto więc sługa odpowiada śmiało na żądanie swojego Pana: według mojego najpokorniejszego zdania ocena Waszej Wielmożności była zawsze wyjątkowo dalekowzrocza i szybka. Lecz w kwestii ostatniego zagrożenia przenikliwość myślenia była tak szczególna, że ramię sługi Waszej Wielmożności czuło się w najwyższym stopniu zaszczycone tym, że potrafiło z największą prędkością wypełnić Wasze polecenia.

Nie było możliwe wyczuć i przewidzieć więcej, niż wyczuł i przewidział Wasza Wielmożność. Ciemne i kręte są ścieżki Pana, pozostaje tylko poddawać się Jego woli. Nie nam śmiertelnikom osądzać działania Najwyższego: nasze skromne zadanie, o czym Wasza Wielmożność nie omieszkał mi przypomnieć, może polegać tylko na obronie owego światełka wiary i chrześcijaństwa w świecie, który zdaje się je tracić z każdym dniem. Dlatego robimy to, co robimy, nie przejmując się ludzkimi prawami ani drzeleniami zboliałego serca.

Tak więc jestem pewien, że Wasza Wielmożność będzie umiał pokierować mną jeszcze raz pośród przeciwieństw i pułapek, które ten czas zdaje się zastawiać na chrześcijan i które mrozą krew w żyłach. Pan zechciał dać grzesznikowi, jakim jestem, wartościowego przewodnika w osobie Waszej Wielmożności i dopuścił, żeby te oczy i ta ręka mogły służyć Jego sprawie. To każe mi przyjmować niewzruszoną postawę wobec wyzwań przyszłości, w niecierpliwym oczekiwaniu na nowe polecenia Waszej Wielmożności.

Całując ręce Waszej Wielmożności, polecam się Waszej nieustającej łasce.

Z Wittenbergi, 28 maja 1525 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z cesarskiego miasta Augsburga, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 22 czerwca 1526 roku.

Do najszczodrzejszego i najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy, w Rzymie.

Wasza Ekszelencja zechciał uhonorować niezasłużonym komplementem i zbyt wielką łaską tego, który pragnie tylko zwyczajnie i pokornie służyć Bogu z woli Waszej Wielmożności. Ale pragnąc stosować się do Waszych rozkazów i oddając się całkowicie Waszej mądrości, jak tylko otrzymałem ostatni list, wyruszyłem do tego wielkiego cesarskiego miasta, aby wypełnić zlecenie mojego Pana.

W związku z tym ostatnim uważam za stosowne poinformować o szczodrości, z jaką młody Fugger potraktował mnie dzięki rekomendacji Waszej Wielmożności. Jest to człowiek oddany i roztropany; łączy przezorność i biegłość w liczeniu, cechy, które ma po stryju, z odwagą i przedsiębiorczością, na jakie pozwala mu jego młody wiek. Śmierć starego Jacoba Fuggera, od której minęły już dwa lata, nie wpłynęła na działalność i niezmiernie szerokie interesy najbogatszej i najbardziej wpływowej rodziny w Europie: żarliwość, z jaką młody bratanek dogląda interesów swojego stryja, jest wyłącznie wyrazem jego arcychrześcijańskiego oddania i wierności Świętej Stolicy Apostolskiej. Rzuca się w oczy prostota i szczerza wstrzemięźliwość w tak młodym człowieku jak Anton Fugger, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę ogrom kredytu w złocie, udzielanego wszystkim dworom Europy.

Jeśli chodzi o wznowienie wojny i o nowe przymierze zawarte przez Stolicę Apostolską z Francją, to on, zaopatrujący w złoto cesarza, zadał sobie trud, mając może nadzieję na moje wstawiennictwo u Waszej Wielmożności, aby ogłosić swoją neutralność; niech mi

będzie wolno dodać, że jest to neutralność, z której może wypływać tylko czyste złoto. Odnoszę wrażenie, że mało ważne jest dla tego szlachetnego bankiera, kto prosi o kredyt z jego skrzyń, czy będzie to klient cesarski czy francuski, katolicki czy luterkański, chrześcijański czy muzułmański; podstawowe znaczenie ma to: ile i w jakiej postaci. Czy jakąś wojnę wygrają ci, czy tamci, to jemu nie robi różnicy, ale jeśli dobrze się przypatrzeć, warunkiem idealnym dla młodego finansisty jest jej przeciąganie się lub wojna wiecznotrwała, która nie widzi zwycięzców ani przegranych i utrzymuje uwiązane do rzemysków jego sakiewki koronowane głowy całego świata.

Ale nie zostałem wysłany do Augsburga, żeby wydawać sądy o bankierach. Zatem w związku z kredytem, jaki Wasza Wielmożność zechciał otworzyć na moje imię, Fugger stwierdził, że jest zaszczycony, mogąc zaliczyć do swoich klientów Waszą Wielmożność, osobę, dla której ma wielki szacunek, i żałuje, że nie może pertraktować z Nią. Uznał za konieczne wyposażyc mnie w znak rozpoznawczy, który pozwoli jego pełnomocnikom obsłużyć mnie we wszystkich miastach cesarstwa i umożliwi podejmowanie pieniędzy we wszystkich jego filiach, gwarantując mi w ten sposób najszerszą swobodę poruszania się. Z powodów, których mogę się łatwo domyślić, nie chciał ujawnić mi wysokości kredytu, pozwalając ledwie wyczuć, że chodzi o konto „nieograniczone”. Niech Bóg broni, aby z mojej strony miało mi zabraknąć respektu dla Waszej Wielmożności, nie uznałem przeto za stosowne pytać o nic więcej. Co powiedziawszy, spieszę zapewnić Waszą Wielmożność, że będę administrował przywilejem mi przyznanym z powściągliwością i mądrością, na jaką będzie mnie stać, komunikując na wszelki wypadek mojemu panu każde wykorzystanie sum pozostawionych do mojej dyspozycji.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podziękować Waszej Wielmożności za nieskończoną szczodroblivość i polecić się łasce mego Pana w oczekiwaniu na nowe wiadomości.

Niech miłosierny Bóg da zdrowie mojemu Panu, a Jego wspaniałomyślne spojrzenie niech nie opuszcza niegodnego sługi Świętego Kościoła.

Z Augsburga, 22 czerwca roku 1526,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z cesarskiego miasta Augsburga, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 10 czerwca 1527 roku.

Do mojego najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy, uszłego szczęśliwie przed dzikimi oddziałami barbarzyńskich herezyków.

Wiadomość, że Wasza Wielmożność uszedł cało, napełnia radością moje serce i uwalnia wreszcie od ciężaru, który w tych straszliwych dniach nie dawał mi zasnąć. Już sama myśl, że próg Piotrowy został zdeptyany przez nowych Wandalów, mrozi mi krew w żyłach. Nie śmiem nawet wyobrażać sobie, jakie straszne wizje i jakie myśli o śmierci musiały nawiedzać w tych chwilach Waszą Wielmożność. Nikt lepiej od Waszego wiernego sługi nie zna brutalności i niegodziwości bezwstydných niemieckich żołnierzy, obrzękłych piwem i nieuznających żadnego autorytetu, żadnego świętego miejsca. Wiem dobrze, że oni poczytują sobie za zasługę dla wiary pładrowanie kościołów i ścinanie figur świętych i Madonny, nie mówiąc o tym, że to dla nich prawdziwa zabawa.

Ale, jak Wasza Wielmożność zechciał zaznaczyć w swoim liście, takie zgorzsenie nie pozostanie bez kary; jeśli wszechmogący Bóg umiał pokarać arogancję tych bestii, zsyłając na nie zarazę, nie zapomni o ukaraniu tego, który wypuścił ich z klatki, pozwalając, aby rozpełzli się po całej Italii; cesarz będzie musiał odpowiedzieć za to jeśli nie przed Ojcem Świętym, to przed obliczem Boga.

I w rzeczy samej ten Habsburg udaje niewiedzę, że w jego wojsku i w szeregach jego książąt zdarzają się całe oddziały herezyków, luteranów, którzy nie mają szacunku dla nikogo i dla niczego. Mam w istocie powód, by wierzyć, że nie przypadkiem prowadzenie kampanii włoskiej zostało powierzone Georgowi Frundsbergowi i jego

lancknechtom. Tutaj są oni dobrze znani z okrucieństwa i niegodziwości, oprócz sympatii, jaką żywią dla Lutra. Nie dziwiłbym się, gdyby to, co dziś wydaje się niepożądanym rezultatem najazdu barbarzyńskich najemników, jutro okazało się owocem wojskowej i interesownej decyzji cesarza. Splądrowanie Rzymu osłabia Ojca Świętego i pozostawia go bez obrony w rękach Habsburga. Ten ostatni znalazł sposób na to, żeby być jednocześnie obrońcą chrześcijańskiej wiary i więziennym strażnikiem Świętej Stolicy.

Nie mogę przeto nie podzielić nader twardych słów Waszej Wielmożności, wyrażających potępienie i pogardę i zapewniających, że Karol zagraża z coraz bliższego dystansu i coraz bardziej bezwstydnie autonomii Kościoła i że będzie musiał zapłacić za ten swój ostatni, niesłuchany afront.

Proszę zatem Najwyższego, ażeby zechciał wspomagać nas pośród tej wielkiej a tajemniczej niegodziwości i pozwolił Waszej Wielmożności przeciwstawić się tym, którzy obwołują się obrońcami świętego Kościoła rzymskiego, a zarazem pozwalają swojemu barbarzyńskiemu żołdactwu niszczyć go bez skrupułów.

W szczerzej wierności polecam się, całując ręce,

z Augsburga, 10 czerwca 1527 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany z cesarskiego miasta Augsburga, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 17 września 1527 roku.

Do wielebnego i najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Panie mój najczcigodniejszy!

W tej ciężkiej godzinie niepewności mogę tylko odwołać się do miłosierdzia Boga, świadom, że Jego światło poprzez dobroć, jaką Wasza Wielmożność okazuje mi ciągle, może wskazać niegodnemu śmiertelnikowi drogę, której powinien się trzymać w otaczających nas ciemnościach. I dlatego spieszę zreferować to, co się dzieje tutaj, w zgniłym wnętrzu cesarstwa, i czynię to z nadzieją, że nawet jedno moje słowo może być pomocą w planach Waszej Wielmożności.

Elektoralna Saksonia zabiera się do przekształcenia swojej organizacji kościelnej: dopełnia się ostatni akt dzieła podjętego dziesięć lat temu. Już od śmierci Fryderyka Mądrego przed dwu laty jego brat Jan okazywał jasno swoje intencje kontynuowania zamierzeń od momentu, w którym zostały przerwane. Tak więc nowy system powierza samemu księciu wybór proboszczów, którzy obecnie mogą mieć żony; pomaga mu w tym zgromadzenie doktorów i superintendentów. Majątek Kościoła będzie kontrolowany przez księcia, który prędzej czy później spróbuje anektować go w całości, tak jak i nauczanie doktryny i prowadzenie szkół; dzięki temu zagwarantuje się kształcenie nowego naboru luterańskich teologów. W Marburgu powołano pierwszy heretycki uniwersytet.

Skromnym zdaniem sługi Waszej Wielmożności zaraza luterańska jest już nie do zwalczenia samymi tylko ludzkimi siłami i można jedynie czynić wysiłki, aby pozostała w granicach dotychczas zdobytych. Ale wypadki ostatnich lat nauczyły biednego bojownika bożej

sprawy, że nieraz to, co wydaje się złem, w wielkich planach Najwyższego może przerodzić się w dobro. Małżeństwo heretyckiej wiary z książętami niemieckimi sprawia, że nie może już ona uwolnić się od tych ostatnich ani od przymierzy, jakie oni zechcą zawierać. Mogą okazać się doskonałymi sprzymierzeńcami przeciwko cesarzowi, a już teraz nieraz na drogach germańskich ziem można spotkać posłów i ambasadorów francuskich. Z pewnością za wcześnie jest oczekiwać bliskiego wyjścia książąt w pole przeciwko cesarzowi, ale nie jest szaleństwem spodziewać się tego w przyszłości. Ja uważam, Panie mój, że nasze rachuby okażą się z biegiem czasu wyjątkowo przenikliwe i przewidujące. Jeśli więc losy wojny we Włoszech przechyłą się na niekorzyść Francuzów, niech Wasza Wielmożność pocieszy się myślą, iż Karol ryzykuje to, że za niewiele lat od dziś ujrzy swoje wschodnie rubieże wciśnięte między Turków i luterzańskich książąt. A wtedy jego potęga zaczęłaby się prawdziwie chwiać.

Jest jednak inne utajone zło, które ciąży na tej nieszczęśliwej ziemi i o którym spieszę Was powiadomić.

W ostatnich tygodniach miasto to było świadkiem represji wymierzonych w tak zwanych anabaptystów. Błuzniercy ci doprowadzają perfidne poglądy Lutra do skrajnych konsekwencji. Odrzucają chrzczenie dzieci, utrzymując, że Duch Święty może zostać przyjęty tylko przez wolę tego, kto go przyjmuje; odrzucają hierarchię kościelną i jednoczą się we wspólnotach, których pastorki wybierani są przez samych wiernych; nie uznają autorytetu doktrynalnego Kościoła i uważają Pismo Święte za jedyne źródło prawdy. Ale i pod tym względem gorsi jeszcze od Lutra, odmawiają też posłuszeństwa władzy świeckiej i ośmielają się twierdzić, że są jedynymi chrześcijańskimi wspólnotami, powołanymi do zarządzania miastami. Ponadto sprzeciwiają się bogactwu i wszelkim świeckim formom kultu, obrazom, kościołom, świętym naczyniom, w imię równości wszystkich potomków Adama. Chcieliby wstrząsnąć światem od dołu do góry, i nie jest przypadkiem, że wielu niedobitków wojny chłopskiej sympatyzuje z nimi, poświęcając się ich sprawie.

Władze mają wiele kłopotu z hamowaniem tych nawiedzonych przez szatana ludzi, którzy właśnie w ubiegłym miesiącu zwołali tu, w Augsburgu, swoje zgromadzenie powszechne. Na szczęście w ciągu kilku dni wszyscy ich przywódcy zostali uwięzieni. Nie można dopatrzeć się między nimi ludzi na miarę Thomasa Münzera, ale mimo wszystko może się okazać, że niebezpieczeństwo przez nich uosabiane jest większe, niżby na to wskazywała ich obecna liczba. Głoszone przez nich herezje zdają się rozprzestrzeniać ze skrajną łatwością i szybkością w całych południowo-zachodnich Niemczech.

Upodobali sobie niższe warstwy, robotników z warsztatów, którzy zarażają się ich poglądami z racji nienawiści żywionej wobec zwierzchników. Ludność wiejska, ciemna i niezadowolona, często uczestniczy w ich obrządkach pośrodku lasów, dając się zwieść urokowi szatana. I właśnie dlatego, że nie wiążą się z żadnym porządkiem świeckim ani religijnym, ci anabaptyści, nazywający się nawzajem braćmi, rozprzestrzeniają swoją zarazę z taką łatwością i prędkością, na jaką w ostatnich czasach nie może się zdobyć nawet Luter; łatwo przewidzieć, że ich liczba szybko się powiększy i niebawem anabaptyzm przekroczy granice tutejszych miast. Wszędzie, gdzie jest niezadowolony, głodny lub skrzywdzony wieśniak albo rzemieślnik, znajduje się potencjalne ognisko herezji.

Dlatego też nie zaprzestanę zbierania informacji i śledzenia z najbliższej odległości, jak tylko to będzie możliwe, spraw tych niedowiarków, aby dostarczyć Waszej Wielmożności nowego materiału do oceny.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ucałować ręce Waszej Wielmożności i polecić się łaskawości, jaką zwykł mnie obdarzać, pozwalając, abym w dalszym ciągu oddawał te biedne oczy sprawie bożej.

Z Augsburga, 17 września 1527 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Wenecji z cesarskiego miasta Augsburga, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 1 października 1529 roku.

Do przewielebnego Giovanniego Pietra Carafy w Wenecji.

Panie mój najczcigodniejszy, dusza tego oto sługi napelnia się wdzięcznością i wzruszeniem na myśl o tym, że będę miał możliwość stanąć przed obliczem Waszej Wielmożności. Nie wątpcie, że mogę nie zjawić się na spotkaniu. Pokój sprawił, że drogi Lombardii są bardziej bezpieczne, i ten fakt, połączony z niecierpliwym oczekiwaniem na ujrzenie mojego Pana, każe mi jak najspieszniej podążyć do Bolonii. Moje serce płacze na wieść o tym, że Ojciec Święty Klemens musiał zniżyć się do tak nędznego targu z Karolem, zezwalając mu na oficjalną koronację w Bolonii; zwycięstwo nad Francuzami we Włoszech i to papieskie uznanie podniosą Karola V do rangi największych cesarzy starożytności, choć nie ma on nawet kropli ich cnót i prawości. Będzie rządził Włochami według swojego uznania i moim zdaniem ten kongres ujrzy włoskie państwa, z państwem papieskim na czele, jako bezsilnych świadków samowoli cesarza. Ale dość już tego: *Vae victis*, nic innego na teraz, w nadziei, że miłosierny Bóg obdarzy łaską dusze najbardziej oddanych ludzi, takich jak Wasza Wielmożność, iżby potrafili pohamować arogancję tego nowego Cezara.

Właśnie w związku z tym pozwalam sobie znowu zdobyć się na śmiałość, do której Wasza Wielmożność zechciał tak wielkodusznie mnie przyzwyczać, jako że swobodne błędzenie myśli, wolne od uprzedzeń i z pewnością zdolne przywołać mądry uśmiech na usta mojego Pana, każe mi zauważyć, że Karol ma dzisiaj trzech wrogów: króla Francji, katolika, niemieckich książąt, luteran i Turka Sulejmana, niewiernego; gdyby byli oni zdolni przełożyć wspólny antyimperialny

interes ponad różnice wiary, uderzając w cesarstwo jednomyślnie i zgodnie, nie ma wątpliwości, że ono zachwiałoby się jak namiot uderzony porywem wichru, a wraz z nim także i tron Karola. Ale tym oczom polecono przyglądać się temu, co dzieje się w Niemczech, a nie w całym świecie, przeto trzeba, abym zmilczał w niecierpliwym oczekiwaniu dotarcia do Waszej Wielmożności w Bolonii i możliwości zreferowania osobiście sytuacji w Niemczech, a w szczególności sprawek tych heretyków anabaptystów, o których Wasza Wielmożność będzie zapewne pamiętać z moich licznych już wzmianek w poprzednich listach.

W nadziei, że nie spóźnię się ani o dzień na spotkanie, całuję ręce Waszej Wielmożności i polecam się Waszej łasce.

Z Augsburga, 1 października 1529 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

CZEŚĆ DRUGA

Jeden Bóg, jedna
wiara, jeden chrzest



Eloi
(1538)

4 kwietnia 1538 roku

Jako osadzony w więzieniu w Vilvoorde i skazany sprawiedliwym wyrokiem na śmierć, Jan z Batenburga, uporczywie trwając w herezji, nie dał się nakłonić do wyznania świętej wiary, ale chciał umrzeć w swojej niegodziwości.

Za straszliwe rzezie i zabójstwa, wobec których nie okazał najmniejszej skruchy, ale przeciwnie, zadowolenie i diabelską chępliwość, skazany jest na śmierć przez ucięcie głowy, a także na spalenie i rozrzucenie popiołów na wietrze.

Obecni niżej podpisani świadkowie:

Nicholas Buysserre, domenicanus

Sebastien van Runne, domenicanus

Lieven de Backere

Chrestien de Ridder

Dla Rijkarda Niclaesa, zarządcy więzienia.

Rozdział 1

Vilvoorde, Brabancja, 5 kwietnia 1538 roku

Tobie, Jan. Twojemu zgładzeniu bez najmniejszego miłosierdzia. Ryczącej tłuszczu, charczącej wszelakiego rodzaju wydzielinami, pośród której sunie powoli wózek wiozący cię na miejsce stracenia. Rzygowinom podchodzącym do gardła i gorączce palącej trzewia. Babilońskiej Nierządniczy, gdy topi szaleńca Dawida, którego spłodziła w swojej krwi i w krwi swoich braci. Bezustannej potworności połykającej nasze ciało. Zapomnieniu, które wzniosło tę wieżę śmierci wyżej od nieba. Kresowi życia, litościwemu kresowi, okrutnemu, jakimkolwiek i ostatecznemu. Zapomniałem.

Tobie, Jan, bracie, okrwawiony nędzniku z opuchniętym obliczem, które oddaje nienawiść i ciosy sypiące się ze wszystkich stron. Tobie, demonie wysrany przez jakieś ohydne dziury, w podartych łachmanach przesiąkniętych krwią, z bezkształtnym skrzepem zamiast jednego ucha. Tobie, wieprzu do zarżnięcia i oprawienia w świąteczny dzień, widzę cię oto z mego ukrycia, jak pochylasz głowę nad pieńkiem, wykrzykując raz jeszcze: WOLNOŚĆ!

Uderzałem, łupiłem, zabijałem.

Tłum byłby gotów rozerwać go na strzępy, kat o tym wie i kręci toporem jak w jakimś tańcu, sprawdza jego ostrze, daje czas, aby urosła żądza krwi, aż wszystko utonie we wrzawie, która zdaje się nie z tego świata.

Niszczyłem, grabiłem, gwałciłem.

Każdy z obecnych jest katem, tu i wszędzie. Każdy złorzeczy za syna albo brata zamordowanego przez tego diabła Batenburga i jego Rycerzy Miecza. Nie jest tak, a jednak to prawda. Zapomniałem.

Unosi się topór, zalega nagła cisza, opada. Dwa, trzy razy.

Strumień wymiocin sływa po płaszczu i butach, w których włokę

się zgarbiony, kat prostuje się znowu, unosi ociekające krwią trofeum, grzechy zostały odpuszczone, można już dalej uprawiać nikczemność.

Zabiją mnie jak psa. Na co to się zdało, na co, na co się zdało? Ziąb w moich ustach, ziąb, ziąb opuszczenia i rezygnacji. Muszę stąd iść, jestem już trupem. Kaszel, lewa ręka pali nieprzytomnie nad przegubem, aż do łokcia, jestem już trupem. Oto co musiałem zrobić.

Tłum się rozpierzcha, lekka mżawka, siedzę w kucki między koszami ustawionymi w piramidę przy ścianie. Opieram się na niepewnych piętach. Co dalej?

Przywiążą mnie do słupa, jestem skończony, wszyscy ci, w których się wcielałem, domagają się mojej śmierci. Albo zmasakrują mnie butami i zasztyletują w jakiejś zaszranej ciemnej uliczce, dalej, precz stąd, na Boga, siły opuszczają mnie. Do Anglii, dalej od tej kałuży krwi, być może do Anglii, przepłynąwszy morze albo morzu pozostawiając los tego ludzkiego wraka. Moje imiona, moje życiowe siły. Janie, bękartcie, wróć tu, ty morderco. Oddaj mi je albo zabierz i tę odrobinę, która mi została.

* * *

— Weźże się wreszcie do ładowania!

Nadchodzi wieczór, jestem kupą przemokłych łachmanów, unieruchomiony w koszu pełnym dużych szczap, przykryty odrobiną słomy.

— Obrządzę konie na noc i zaraz wracam.

Nie mogę się ruszyć, nie mogę myśleć, piecze mnie, piecze ogień, którym wypalono mi zamię. Więc to tak wygląda koniec?

— Ech, do cholery, ty żebraku, boję się ciebie, kurwa, wyłaż stamtąd.

Nie odpowiadam. Nie ruszam się. Otwieram oczy.

— Ooo! Kurwa mać, wygląda jak trup... Do cholery, będę musiał gdzieś zakopać tego biedaka... Chryste Panie.

Wysoki chłopak o dziecięcej, pozbawionej zarostu twarzy i potężnych barach, lekko odwrócony, żeby nie patrzeć na mnie. Bez ruchu.

— Umieram. Zrób coś, żebyś tu nie zdechł.

Podskakuje.

— O kur... Co ty tam wygadujesz? Co takiego? Żyjesz jeszcze, ale i tak napędzasz mi stracha, przyjacielu, prawdziwego stracha.

— Nie chcę tu zdechnąć.

— Zwariowałeś, nie mogę cię załadować na wóz. Ten handlarz połamie mi kości, mam piętnaście lat, do jasnej anielki, i co ja teraz zrobię...

Wpatruje się we mnie.

— Aaron! Śpisz tam czy co, do cholery? Ruszże się wreszcie z łaski swojej, mam ci to powiedzieć łaciną pieprzonych klechów, może wolisz ten ich język? Aaaaaron!

W przerażeniu moich oczu odbija się jego przestkach, waha się przez ułamek sekundy, mamrocze jakieś przeprosiny, tak, tak, proszę pana... Za moment, proszę pana... przykrywa mnie wiązką suchej słomy, no i już, jadę w powietrzu, jeszcze chwila i Aaron ładuje mnie na wóz, poprawia, mocno przywiązuje kosz razem z innymi.

— Prędszej, do diabła! Muszę się jeszcze najęść, wysrać i wypocząć, ty barania głowo, bo dobrze przed świtem musimy być na nogach, w drodze do Antwerpii, żeby dać sobie zawracać dupę tym hiszpańskim zakutym łbom i tragarzom z portu. Ruszże się, Aaron!

Rozdział 2

Antwerpia, 20 kwietnia 1538 roku

Tu, w Antwerpii, jest niezgorzej, dają żyć, są cechowe bractwa i ludzie, którzy robią forszę, nie licząc ulizanych hidalgów i cesarskich oficerów, są flamandzcy kupcy, którzy dobrze znają ceny wszystkich towarów, mogliby ci przeliczyć na floreny, ile warte są Chiny, a może i cały świat, ci umieją rachować, mają z pewnością głowy na karku, nie tak jak te hiszpańskie nieroby, co to potrafią tylko wymyślać nowe podatki i robić dzieci każdej cipie, jaka się im nawinie.

Spotkaliśmy się przypadkiem, na poboczu drogi przed jakąś gospodą.

Na imię ma Filip.

W jeszcze gorszym stanie niż ja, stracił nogę, jak powiada, kiedy zwerbowali go na wojnę Hiszpanie, których nienawidzi bardziej niż samych diabłów. Bezustannie wstrząsają nim napady gwałtownego kaszlu i plucia flegmą zabarwioną krwią. Idziemy przez molo, potrącani przez tłum marynarzy i tragarzy, wśród różnych narzeczy i gwar. Mijamy oddziałek Hiszpanów, błyszczące, owalne hełmy, z powodu których zyskali miano „żelaznych jaj”. Filip klnie i spluwa.

— Przedwczoraj wieczorem jakaś zdzira zasztyletowała jednego z nich i mocno się tym przejęli. Sukinsyny powrzeszczą przez parę dni, a potem znowu będą się зараżać od naszych dziwek. Dobrze im tak! Żeby ich wszystkich zabrała zaraza!

Statki wylądowane wszelakimi towarami, zwojami sukna, workami przypraw, zbożem.

Naprzeciwno nas biegnie mały chłopiec, kulawiec łapie go za kark i mówi mu coś szeptem. Tamten kiwa głową, uwalnia się z jego rąk i rusza w odwrotnym kierunku.

— Masz szczęście, ten Anglik jest w piwiarni.

Popijają na wolnym powietrzu, pełno tu marynarzy, kapitanowie

statków dobijają targów, jest też paru miejscowych armatorów, wyróżniających się długimi, elegancko skrojonymi, czarnymi płaszczami bez ozdób. Kulawiec każe mi zaczekać, podchodzi do jakiegoś grubasa stojącego plecami do nas i wskazuje mu mnie, a potem daje znak, żebym się zbliżył.

— To jest pan Price, bosman z okrętu *St George*.

Obaj kłaniamy się lekko.

— Filip mówi, że chcesz się przedostać do Anglii.

— Mogę odpłacić, pracując na pokładzie.

— To dwa dni żeglugi do Plymouth.

— Nie do Londynu?

— *St George* płynie do Plymouth.

Nie ma czasu ani powodów, żeby się namyślać.

— Zgoda.

— Będziesz musiał popracować w kambuzie. Staw się na pokładzie jutro o piątej rano.

* * *

Żałosna prycza w zajeździe, który wskazał mi Filip, żeby jakoś przeczekać te godziny.

Place, ulice, mosty, pałace, targowiska. Ludzie, różne języki i wyznania. Bagaż przeszłych doświadczeń jest urozmaicony i niebezpieczny, gotów zdradzić cię w każdej chwili. Siedziby bankierów z Augsburga, jasne ulice Strasburga, niezdobyte mury Münsteru... wszystko to wraca rozproszone bezładnie w pamięci. Nie byłem sam, byli inni, z różnymi imionami i innym ogniem w żyłach. Ogniem, który wypalił się doszczętnie.

Zgaszona świeca.

Za wiele spustoszenia za plecami, na tej ziemi, którą chciałybym zobaczyć pogrzebaną raz na zawsze w morzu.

Anglia. Niezły gość, ten Henryk VIII. Rozwiązuje zakony i konfiskuje wszelkie klasztorne dobra. Żre i rucha od rana do wieczora, a jednocześnie ogłasza się głową angielskiego Kościoła.

Kraj bez papistów i bez luteran. Ależ tak, a potem może ten Nowy Świat. Ostatecznie nie ma znaczenia dokąd, byle dalej stąd, od następnej kłęski, od zatraconego królestwa Batenburga.

Od horroru.

Obraz spadającej głowy Jana Batenburga napastuje mnie w nocy, nie dając mi spać, i być może nawet odległość nie zdoła oddalić tego upiora.

Widziałem rzeczy, które być może tylko ja mógłbym jeszcze opowiedzieć. Ale nie chcę. Pragnę przegnać je na zawsze, zniknąć

w jakiejś ukrytej dziurze, stać się niewidzialnym, zdechnąć gdzieś w świętym spokoju, jeśli kiedykolwiek jeszcze będzie mi dana spokojna chwila.

Mam w worku tysiąc lat wojny, sztylet, koszulę i pieniądze, które pozwolą podnieść tę kotwicę. Tyle, ile będzie musiało wystarczyć.

* * *

Niedługo świt. Czas wyruszyć. Na ulicy żywego ducha, pies spogląda na mnie wątpiącym wzrokiem, ogryzając jakieś resztki. Przemierzam puste uliczki, orientując się dzięki chorągiewkom powiewającym na dachach. W dzielnicy portowej mijam dwóch pijaków obrzmiałych piwem. Ich czkania słychać z daleka. *St George* ma być piątym statkiem z rzędu.

Niespodziewane zamieszanie w zaułku na prawo. Kątem oka widzę pięciu gości wokół szóstego, zamierzających zmasakrować go pięściami. Nic mi do tego, przyspieszam kroku, krzyki biedaka tłumią wymioty i ciosy w brzuch. Rozpoznaję jajowate hełmy. Hiszpański ront. Mijam zaułek i dostrzegam maszty *St George'a*. Z trapu jednego z zacumowanych statków zbiega z pół tuzina ludzi z harpunami i ościeniami w rękach i zmierza w moją stronę. Spokojnie. Mijają mnie i wpadają w zaułek, nawoływania po hiszpańsku, głuche uderzenia. Zastrany los. Biegnę w kierunku mojego statku i tam, już prawie dobiegam, ktoś podcina mnie z tyłu, padam i szoruję twarzą po bruku.

— Ty gnojku, myślałeś, że ci się uda, co?

Akcent niepowtarzalny, nie do podrobienia. Następne żelazne jaja wyskakują nie wiadomo skąd.

— Ale kiego wała...

Kopniak w żebra zatyka mi powietrze w gardle.

Skaczę jak kot na kolana, następne kopniaki, głowa, osłonić głowę rękami.

W zaułku trwa zacięta walka.

Zerkam między palcami i widzę, że Hiszpanie wyciągają pistolety. Być może i dla mnie znajdzie się jeden strzał. Nie, kierują się w stronę zaułka. Znikają. Oddalające się biegiem kroki.

Ten, co poczęstował mnie kopniakami, przytyka mi koniec szpady do gardła.

— Podnoś się, nędzniku.

To jedyny chyba Hiszpan, który zna parę słów po flamandzku.

Wstaję na nogi i wciągam powietrze.

— Nie mam z tym nic wspólnego... — kaszlę — ... muszę wsiąść na angielski statek.

— Nie — śmieje się. — Musisz podziękować Bogu, że nie mogę cię zabić jak psa; mój szef kazał głaskać was tylko po głowach.

Ciężki bucior z cholewami trafia mnie między nogi. Padam na ziemię i prawie tracę przytomność. Wszystko kręci mi się przed oczami... maszty, domy, śmieszne wąsy tego sukinsyna. Potem jakieś mocne łapy podnoszą mnie i gdzieś ciągną.

Droga jest chaotyczna, sypią się na mnie razy i przekleństwa. Zmysły nie czują już niczego, bezwładne członki nie reagują.

Czuję pod nogami śliski bruk, ciągną mnie we dwóch.

Krzyki z okien, lecą jakieś przedmioty, przyspieszamy kroku.

Ktoś popycha gwałtownie tego po prawej stronie, padamy na ziemię. Twarz w kałuży. Zostawcie mnie tu. Krzyki rosną, w głębi ulicy są jacyś ludzie, w poprzek ustawiono wóz, żeby zagrodzić drogę, migają widły. Hiszpanie wydają niezrozumiałe wrzaski. Unoszę głowę: jesteśmy zablokowani przy ścianie jakiegoś budynku, ulica zatarasowana jest barykadą, z której dolatuje deszcz złorzeczeń. Z okna ktoś rzuca w Hiszpanów donicami i garnkami. Jeden leży na ziemi ogłuszony. Drugi z tych, co mnie ciągnęli, stoi plecami do mnie, trzyma w pogotowiu pikę. Próbuję się podnieść, ale nogi uginają się pode mną, kręci mi się w głowie. Chryste...

* * *

Głowa zagłębia się w czymś miękkim, musieli mnie związać, poruszam jedną ręką, nogi nie reagują, jedna stopa, czuję się tak, jakby moje członki ważyły kwintale.

Rozwiążcie mnie. Słowa pozostają w głowie, z ust wydostaje się ślina i coś twardego: ułamany ząb.

Otwieram jedno oko i czuję, że coś kapie mi na piersi. Wilgotny gałganek czyści mi twarz.

— Myślałem, że nie dasz rady przeżyć. Ale twoja kolekcja blizn mówi, że jesteś odporny na cięgi.

Spokojny głos, z tutejszym akcentem, niewyraźny cień na tle wielkiego okna.

Wypływam grudki zakrzepłej krwi i ślinę.

— Gówno...

Cień przybliży się.

— Już dobrze.

— Jak się tu znalazłem? — Mój głos brzmi basowo i śmiesznie.

— Przynieśli cię. Dziś rano. Zdaje się, że każdy wróg Hiszpanów jest przyjacielem ludzi z Antwerpii. Dlatego żyjesz. I znalazłeś się tutaj.

— To znaczy gdzie?

Zbiera mi się na wymioty, ale powstrzymuję się.

— Gdzie nie zaglądamy nigdy ani Hiszpanie, ani straż.

Udaje mi się podnieść do pozycji siedzącej.

— Ale dlaczego? — Głowa opada mi na piersi, unoszę ją z trudem.

— Ponieważ tu mieszkają ludzie z forsą. A raczej, powiedzmy nawet, ci, co tu mieszkają, robią pieniądze. I są to ludzie, którym te rzeczy nie są obojętne, możesz mi wierzyć.

Podaje mi karafkę z wodą i podsuwa miednicę pod moje nogi. Wylewam wodę na głowę, połykam, wypluwam, język mam spuchnięty i przecięty w paru miejscach.

Udaje mi się przyjrzeć mężczyźnie. Jest szczupły, około czterdziestki, siwe skronie i bystre oczy.

Podaje mi ścierkę, którą ocieram twarz.

— To twój dom?

— Mój i każdego, kto znajdzie się w kłopotach — wskazuje świat za oknem. — Siedziałem na dachu i widziałem wszystko. Tym razem cesarscy dostali po dupie.

Ściska mi rękę.

— Nazywam się Lodewijck Pruystinck, dekarz, ale bracia nazywają mnie Eloi. A ty?

— Przypadkiem znalazłem się w tym burdelu i możesz mnie nazywać, jak chcesz.

— Ten, kto nie ma imienia, musiał ich mieć przynajmniej setkę — dziwny uśmiech — ...i historię, której warto posłuchać.

— Kto ci powiedział, że mam ochotę opowiadać ją komukolwiek?

Śmieje się i kiwa głową.

— Jeżeli wszystko, co masz, to te łachmany, mógłbyś przyjąć ode mnie pieniądze za dobrą opowiastkę.

— Chcesz wyrzucić w błoto swoje pieniądze.

— Och, nie, przeciwnie. Chciałbym je zainwestować.

Nie nadażam za nim. Z kim ja rozmawiam, u diabła?

— Musi być z ciebie kawał bogatego drania.

— Na razie jestem tym, kto opatrzył ci rany i kto trzyma cię z dala od tego gówna.

Przez chwilę milczymy, próbuję wszystkich moich mięśni.

Na dachy domów opada już wieczór, leżałem nieprzytomny przez cały dzień.

— Miałem wsiąść na statek.

— Tak, Filip mi mówił.

Zapomniałem o kulawcu.

— I zniknąć na zawsze. Te strony nie są bezpieczne. A bogacze mają wyjątkowo dobrą pamięć dla tych, którzy pieprzyli im córki i podpieprzali klejnoty. Poza tym, na litość boską...

Nieruchomieje, jakby powalił mnie piorun, zbyt wyczerpany, żeby zebrać myśli i wiedzieć, co mówić i co robić.

Jego oczy nie przestają wpatrywać się we mnie.

— Dziś Eloi Pruystinck uratował dupę Rycerzowi Miecza. Zaprawdę nieogarnione są drogi Pana!

Milczę. Staram się wyczuć groźbę w tonie jego głosu, ale jest w nim tylko ironia. Wskazuje moje przedramię, na którym do dzisiejszego ranka bandaż zakrywał znamię.

Spalone ciało pokryte jest brudem, znaku prawie nie widać.

— Oko i miecz. Znałem takiego, który uciął sobie rękę, żeby uniknąć szafotu. Mówią, że Batenburg zjadał serca swoich ofiar. To prawda?

Milczę, wpatrując się w tę twarz, żeby zrozumieć, dokąd on zmierza.

— Ludzka fantazja nie zna granic — podnosi sukno zakrywające koszyk z jadem. — Masz tu coś do jedzenia. Staraj się odzyskać siły, bo inaczej nie wstaniesz więcej z tego łóżka.

Podnosi się, jakby chciał odejść.

— Widziałem, jak spadała jego głowa. Krzyczał o wolności, zanim go zamordowali.

Mój głos drży, jestem bardzo osłabiony.

Odwraca się powoli na progu, rzuca mi spojrzenie pełne powagi.

— Apokalipsa nie nadeszła. Na co się zdało masakrowanie wszystkich tych ludzi?

Opadam jak pusty worek, prawie nie mam sił, żeby oddychać. Jego kroki oddalają się za drzwiami.

Rozdział 3

Antwerpia, 23 kwietnia 1538 roku

Dom jest bardzo duży. Dwa ogromne piętra z pokojami wychodzącymi na szerokie korytarze. Tu i ówdzie spotyka się na schodach półnagie dzieci, kilka kobiet przygotowuje posiłki w wielkich garnkach w kuchni pełnej wszelakiego dobra. Ktoś pozdrawia mnie pochyleniem głowy i uśmiechem, nie przerywając pracy. Wszyscy wydają się odprężeni, tak jakby wspólnie cieszyli się tym samym szczęściem. W pomieszczeniu, które wygląda na główny salon, znajduje się długi stół, zastawiony srebrnym nakryciem, w kominku płoną bukowe polana.

Doznaję takiego samego wrażenia jak w trakcie pewnych snów, nim przerwie je nagłe przebudzenie: mam świadomość, że śnię, i chcę się dowiedzieć, co kryje się za najbliższymi drzwiami, dotrzeć do samego końca.

Nagle z któregoś z sąsiednich pokoi dochodzi mnie jego głos:

— Aha, doszedłeś w końcu do wniosku, że trzeba wstać!

Eloi kroi właśnie wielki połów wołowiny na marmurowym stole.

— W sam czas, żeby z nami zjeść. Chodź, chodź, podaj mi rękę.

Wręcza mi wielki widelec.

— Trzymaj go mocno, o tak.

Odcina cienkie płyty i rozkłada je na talerzu, na którego obrzeżu dostrzegam srebrny herb.

Kącikiem oka przygląda się mojej niepewnej minie.

— Założę się, że chcesz zapytać, dokąd właściwie trafiłeś?

Mam za bardzo zapchane usta, żeby wyartykułować jakieś zdanie, odpowiadam niewyraźnym pomrukiem.

— Ten dom oddał nam do dyspozycji szlachetny van Hove, kupiec rybny i mój dobry przyjaciel. Poznasz go być może, jak wróci. Wszystko, co tu widzisz, należało do niego.

— Należało?

Uśmiecha się.

— Teraz należy do wszystkich i do nikogo.

— Chcesz powiedzieć, że to wszystko jest wspólną własnością?

— Właśnie tak.

Dwie dziewczynki chodzą po pokoju, śpiewając wyliczankę, której słów nie wychwytyje.

— To Bette i Sarah, córki Margarity. Nigdy nie pamiętam, która jest która.

Podnosi talerz i woła:

— Do stołu!

Wokół wielkiego, zastawionego stołu siada ze trzydzieści osób. Sadzają mnie koło Eloi.

Wysoka, jasnowłosa dziewczyna podaje mi kufel piwa.

— Poznaj się z Kathleen. Jest z nami od roku.

Dziewczyna uśmiecha się. Jest bardzo piękna.

Zanim rozpocznie się obiad, Eloi wstaje i prosi wszystkich o chwilę uwagi.

— Posłuchajcie, bracia i siostry. Znalazł się wśród nas człowiek bez imienia. Człowiek, który długo walczył i na którego oczach przelano mnóstwo krwi. Był zagubiony i zmęczony, ale został opatrzony i otrzymał schronienie, jak to jest w naszym zwyczaju. Jeżeli zdecyduje się zostać z nami, przyjmie imię, które mu nadamy.

Siedzący w głębi rumiany młodzieniec z gęstymi, jasnymi wąsami woła:

— Nazwijmy go Lot, jako ten, który nie ogląda się za siebie.

Przez salę przechodzi szmer uznania, Eloi spogląda na mnie z zadowoleniem.

— Niech będzie. Damy ci imię Lot.

Zaczynam z trudem jeść. Bolą mnie język i zęby, ale mięso jest miękkie, przedniego gatunku.

— Wiem, o co pytasz się w duchu.

Nalewają następne piwo.

— O co?

— Pytasz się, co robimy, żeby sobie pozwolić na to wszystko.

— Wyobrażam sobie, że dostarcza tego *messer van Hove*...

— Niezupełnie. Nie jest jedynym, który opróżnił swoje skrzynie, żeby przekazać majątek wspólnocie.

— Chcesz powiedzieć, że jest więcej bogaczy, którzy oddają wszystko biedakom?

Śmieje się.

— My nie jesteśmy biedakami, Lot. Jesteśmy ludźmi wolnymi.

Ruchem ręki wskazuje wszystkich biesiadników.

— Są tu rzemieślnicy, cieśle, dekarze, murarze. Ale także sklepi-
karze i kupcy. Łączy ich tylko duch boży. To jest coś, co łączy zresztą
wszystkich ludzi, mężczyzn i kobiety.

Słucham go, nie pojmując, czy nie jest przypadkiem prawdziwym
szaleńcem.

— Wszelkie dobra, Lot, pieniądze, klejnoty, towary służą ciału,
ażeby cieszył się nimi duch. Popatrz na tych ludzi... są szczęśliwi.
Nie muszą padać ze zmęczenia, żeby przeżyć, nie muszą kraść tym,
którzy mają więcej, ani na nich pracować. A ze swej strony ten, kto
ma więcej, nie musi się niczego bać, jako że wybrał wspólne życie
z nimi. Zastanawiałeś się kiedy, ile rodzin można by wyżywić tym,
co Fugger trzyma w tych swoich okutych skrzyniach? Myślę, że
połowa świata mogłaby jeść przez okrągły rok bez potrzeby kiwnięcia
palcem. Próbowaleś kiedy odpowiedzieć sobie na pytanie, ile czasu
kupiec z Antwerpii poświęca na zgromadzenie swojego majątku?
A odpowiedź jest prosta: całe życie. Całe życie na gromadzenie, na
zapewnienie żelaznych kas, szkatuł, tworzenie więzienia dla siebie
i dla własnych synów, a także posagów dla córek. Po co?

Opróżniam szklanicę; jego sen był także moim.

— A ty chciałbyś przekonać kupców, tam, w porcie, że lepiej jest
dla ich duszy oddać wszystko innym...?

— Wcale nie. Chcę ich przekonać, że życie jest piękniejsze, gdy
jest nieskrępowane niewolnictwem pieniądza i towarów.

— Zapomnij o tym. Mówi ci to ktoś, kto walczył przez całe życie
przeciwko bogaczom.

Przymruża oczy i podnosi swoją szklankę.

— My nie chcemy z nimi walczyć, są zbyt silni. — Wypija pi-
wo. — Chcemy ich ująć, przemówić im do serca.

* * *

Dwa skórzane fotele w gabinecie są wygodne, zapadam się w nie,
próbując zapomnieć o kluciu w żebrach. Z czarnego kałamarza na
stole wystaje długie gęsie pióro. Eloi częstuje mnie nalewką w małym
kieliszku z ciętego szkła.

— Oficjalnie Antwerpia pozostaje wierna Kościołowi rzymskie-
mu. Cesarz utrzymuje oficerów swojej gwardii przybocznej w praw-
dziwej wierze, to znaczy w kulcie jego władzy. Ale wielu tutaj
w ukryciu popiera poglądy Lutra. Przede wszystkim kręgi kupieckie
nie mogą już znieść hiszpańskiej okupacji ani księży oskarżających
o herezję każdego, kto otworzy usta przeciwko katolicyzmowi albo
jego służalczym biskupom. Kupcy wytwarzają, kupcy robią pieniądze,
kupcy budują pałace i ulice. Ludzie cesarza okładają podatkami

i szpiegują. Rachunek się nie zgadza. Luter mówi w kazaniach o likwidacji hierarchii kościelnej i niezależności od Rzymu, jego niemieccy książęta zbuntowali się i rąbnęli obu, Karola i papieża, formalnym protestem. Wniosek: prędzej czy później także Flandria i Niderlandy wybuchną jak beczka prochu. Z tą różnicą, że tutaj zamiast książąt mamy raczej opasłych kupców. Jedyнным powodem, dla którego dotąd nie doszło do wojny, jest to, że jeszcze zaledwie parę miesięcy temu byliście tutaj wy.

— Co masz na myśli?

— Anabaptyści chcieli wszystkiego. Chcieli królestwa równości, prostoty, braterstwa. Ani cesarz, ani luterkańscy kupcy nie byli skłonni zgodzić się na to. Ich świat wspiera się na rywalizacji krajów i handlowych towarzystw, na rozkazach i posłuszeństwie. Jak powiedział Luter, którego miałem przykrość spotkać dziesięć lat temu: możesz oddać na współwłasność swój majątek, jeśli ci zależy właśnie na tym, ale nie śnij, że osiągniesz coś z ludźmi pokroju Piłata albo Heroda. Batenburg był niewygodny zarówno dla katolików, jak i dla luteranów. Teraz, kiedy anabaptyści zostali pokonani, dwa skłócone obozy prędko przejdą do walki na noże.

Staram się zrozumieć, dokąd on chce dotrzeć.

— Po co opowiadasz mi te rzeczy?

Popada w zamyślenie, jakby nie spodziewał się mojego pytania.

— Żeby dać ci pojęcie o tym, jaka tu jest sytuacja.

— Ale dlaczego opowiadasz to mnie?

— Masz za sobą wojnę. I przegrałeś ją. Masz minę człowieka, który przeszedł przez piekło, wychodząc z niego z życiem.

Podnosi się i idzie do okna, nalawszy sobie przedtem następny kieliszek.

— Nie wiem, czy jesteś tą właściwą osobą. Taką, jakiej od dawna szukam, to mam na myśli. Zanim osądzę, chciałbym posłuchać twojej historii.

Eloi bawi się pustym kieliszkiem.

Odstawiam mój na stół.

— Jesteś człowiekiem, któremu trudno jest zdmuchnąć z twarzy uśmiech.

— To chyba zaleta, nie uważasz?

— Jak zwykły dekarz może być tak dobrze poinformowany i przemawiać tak gładko?

Unosi ramiona.

— Wystarczy utrzymywać kontakty z właściwymi osobami.

— To znaczy z kupcami z portu.

— Wraz z towarami krążą wiadomości. Jeśli idzie o wysławianie

się, przyjaciele, którym zawdzięczam opanowanie języka, nie dali mi okazji do nauczenia się łaciny, i to poważnie mnie martwi.

— *Omnia sunt communia*. Ten zwrot na pewno poznałeś.

Przeżywa chwilę wahania, które maskuje swoim zwykłym półuśmiechem człowieka, który wie o jakimś oszustwie albo zna stary sekret.

— To było hasło buntowników z roku dwudziestego piątego. Tego roku udałem się do Wittenbergi, żeby poznać Lutra i przedstawić mu moje poglądy. Niemcy znajdowały się wtedy w stanie chaosu. Byłem za młody i za bardzo przepełniony pięknymi nadziejami, zwłaszcza dla mnicha, który obrastał w tłuszcz przy książeńym korycie. — Grymas. Potem, nie bardzo pewien, czy może zapytać mnie o to. — Trzymałeś z chłopami?

Wstaję zbyt już zmęczony, żeby kontynuować tę rozmowę, czuję, że powinienem wyciągnąć się na łóżku, żebra ciągle mnie bołą. Spoglądam na niego i pytam się w duchu, dlaczego musiałem spotkać tego człowieka, ale brak mi jasności umysłu, aby udzielić sobie odpowiedzi.

— Dlaczego miałbym opowiadać ci moje dzieje? Daj spokój swoim propozycjom. Nie mam dokąd iść, nie wiedziałbym, co zrobić z twoimi pieniędzmi. Chcę tylko zdechnąć w świętym spokoju.

Nie ustępuje.

— Ale ja jestem ciekawy. Zacznij przynajmniej, powiedz, kiedy to się zaczęło i gdzie.

Studnia jest głęboka: głuche tąpnięcie w czarną wodę.

Słowa:

— Zapomniałem. Początek jest zawsze końcem; to któreś tam z kolei Jeruzalem, ciągle zaludnione zjawami i nawiedzonymi prorokami.

Przez chwilę jego wzrok wypełnia się przerażeniem, ale nie może to być nic porównywalnego z moim, w obliczu tamtych upiorów.

— Chryste Panie, byłeś w Münsterze...?

Wlokę się powoli w stronę drzwi, mój głos jest chrapliwy i przytłumiony:

— Nauczyłem się w tym życiu tylko jednego: że piekło i niebo nie istnieją. Nosimy je wszędzie ze sobą.

Zostawiam za plecami jego pytania, zataczając się w korytarzu, żeby dotrzeć do mojego pokoju.

Rozdział 4

Antwerpia, 30 kwietnia 1538 roku

Coś pali mnie jeszcze w środku. Na podwórzu dziewczyna robi pranie, jej młode, białe ciało miga co chwila spod podkasanej sukienki.

Ale to nie wiosna odzywa się we mnie, już nie, kwiecień zmusza mnie tylko do rozdrapywania moich blizn, tej mapy przegranych bitew.

To Kathleen. Nie jest niczyją żoną, tak jak i wszystkie tutejsze dzieci zdają się żyć bez jednego ojca i jednej matki, ale mają wielu rodziców. Nie istnieją dla nich takie rzeczy, jak szacunek albo strach przed dorosłymi, którzy pozwalają wodzić się za nos i śmieją się z dziecięcych żartów. Kobiety z zaokrąglonymi brzuchami mają czas na zabawę z nimi, mężczyźni biorą je na kolana, nie podnoszą na nie ręki. Eloi stworzył eden i wie o tym.

Trzyście lat temu stał się z Filipem Melanchtonem w obecności Lutra. Chudeusz i Tłuścioch wzięli go za wariata i napisali do papieskich władz w Antwerpii, żeby go uwięziły. Kilka miesięcy potem Wieprz na wypasie podburzał do wycięcia nas w pień, do wyrżnięcia wcielonych diabłów, które ośmieliły się wystąpić przeciwko swoim panom. I ja, i Eloi mieliśmy tych samych przeciwników, ale spotykamy się dopiero teraz. Gdy wszystko już się skończyło.

Kathleen wyżyma bieliznę — znowu czuję to palenie... gdzieś tam w głębinach trzewi. Już o tym zapomniałem. Wojna przekreśliła chwałę Pana Boga, szaleństwo, wybuchy wściekłości... zapomniałem o nich. A jednak wszystko to tkwi tam ciągle i nie chce zostać przekreślone, czai się zamglone, ale obecne, czyhając w każdym załamie pamięci.

Podnosi głowę i dostrzega mnie. Uśmiech.

Jest to miejsce, w którym można by zatrzymać się na długo, z dala od kłopotów, od czarnego skrzydła anioła śmierci, najemnego zбира, który tropi mnie od zawsze.

Jesteś piękna. Jest w tobie życie. Jesteś samym życiem, które pośliznęło się oto na mokrej ziemi, życiem, które nie chce słyszeć o poddaniu się i obdarowuje mnie jeszcze jednym słonecznym dniem jak dzisiejszy i tym ogniem piekącym gdzieś tam w środku.

— Gerrit Boekbinder.

Wzdrygam się i obracam jak na sprężynie, ręka gotowa odparować cios.

Niski, korpulentny typek, spryskana siwizną broda i stanowcze spojrzenie.

Odzywa się do mnie z poważną miną.

— Stary Gert ze Studni. Życie ciągle trzyma w zanadru pełno niespodzianek. Wszystko bym sobie wyobraził, ale nie to, że cię jeszcze spotkam. Do tego tutaj...

Przyglądam się jego nieznajomej gębie.

— Wziąłeś mnie za kogoś innego, przyjacielu.

Teraz na jego twarzy pojawia się uśmiech.

— Nie sędzę. Ale to nie ma większego znaczenia, tutaj przeszłość się nie liczy. Ja też, kiedy się tu znalazłem, byłem w tak samo nędznym stanie jak ty, i już na sam dźwięk mojego imienia skakałem jak dziki kot. Byłeś razem z van Geleenem, prawda? Mówili mi, że widziano cię przy zajmowaniu amsterdamskiego magistratu...

Próbuję przypomnieć sobie, kogo mam przed sobą, ale jego rysy nic mi nie mówią.

— Coś ty za jeden?

— Balthasar Merck. Nie dziwię się, że mnie nie pamiętasz, ale byłem w Münsterze.

Musiał powiedzieć mu o tym Eloi.

— Ja też naprawdę w to wierzyłem. Miałem w Amsterdamie sklep, ale rzuciłem wszystko, żeby przyłączyć się do braci baptystów. Podziwiałem cię, Gert, więc jak sobie poszedłeś, był to ciężki cios nie tylko dla mnie. Rothmann, Bockelson i Knipperdolling, to byli szaleńcy, zaciągnęli nas na próg najczystszej szaleństwa.

Nazwiska zadają mi ból, ale Merck wygląda na szczerego gościa, który jest w stanie pojąć to i owo.

Spoglądam mu prosto w oczy.

— Jak stamtąd wyszedłeś?

— Z młodym Krechtingem. Jego brata zawiesili w tej klatce razem z innymi, ale jemu udało się wyprowadzić nas w ostatniej chwili, gdy biskupi wkraczali już do miasta. — W jego spojrzeniu pojawia się ciemny cień. — Zostawiłem tam, w Münsterze, moją żonę, była zbyt osłabiona, żeby iść ze mną, nie przetrzymała tego.

— I trafiłeś tu?

— Miesiącami zebrałem na ulicach, raz dopadli mnie nawet,

mam na myśli żołnierzy, jak już wróciłem do Holandii. Torturowali mnie — pokazuje obrzmiałe palce — żeby wymusić przyznanie się, że byłem baptystą. Ale milczałem. Znaczy się, bolało mnie, jakżeby nie, wrzeszczałem jak wariat, kiedy wyrwali mi paznokcie, ale nic nie powiedziałem. Myślałem o mojej Annie, pogrzebanej w jakimś rowie. Ani słowa. Wypuścili mnie, kiedy doszli do wniosku, że całkiem zwariowałem. Wziął mnie do siebie Eloi, uratował mi życie...

Odwracam się do okna, żeby rzucić okiem za parapet. Kathleen wkłada pranie do miednicy i gdzieś z nim idzie.

— Ładna, prawda?

Chciałbym mu odpowiedzieć, że to z pewnością najważniejsze z naszych wspomnień. Ale on prawie odgaduje moje myśli.

— Tu nie ma mężów ani żon.

Grymas zniechęcenia.

— Stary już jestem.

Śmieje się, jego śmiech dźwięczy mi w uszach tak, jakbym słuchał go po raz pierwszy, po latach, w których nie było go w moim życiu.

— Jesteś tylko zmęczony, bracie. Umarłeś. Gert Boekbinder zmarł i został pogrzebany pod murami Münsteru. Tu jesteś Lotem, tym, który nie ogląda się za siebie. Pamiętaj o tym.

Ręka na ramieniu. Przyglądam się dzieciakom na podwórzu, jakby były stworzeniami z jakiejś bajki. Mali kaci z Münsteru pozostali daleko stąd, te małe potworki Bockelsona, niedorośli inkwizytorzy, obnoszący śmierć na czubkach palców.

— Co to za ludzie, Balthasar?

— Wolne duchy. Osiągnęli duchową czystość, bo doszli do wniosku, że grzech jest kłamstwem i liczy się tylko swoboda pragnień, własne szczęście.

Mówi te rzeczy z naturalną prostotą, tak jakby tłumaczył porządek wszechświata. Palenie w trzewiach przerodziło się w cierpienie, w mękę osłabionego ciała i tej prostej radości.

Jego ręka zaciska się na moim ramieniu.

— Jest w nich Duch Święty, jak w każdym. Żyją jakby w dniu Pana, bez potrzeby sięgania po miecz.

Oczy matowieją prawie tak, jakby odmawiały patrzenia.

— Myślisz, że to tak wygląda? Utraciliśmy Królestwo, żeby odnaleźć je tutaj?

Kiwa potakująco głową.

— Któregoś dnia Eloi powiedział mi, że Królestwo Boże nie jest czymś, na co się czeka, nie ma wczoraj ani jutra i nie przyjdzie nawet za tysiąc lat. To jest wewnętrzne doświadczenie serca: jest wszędzie i zarazem nigdzie... Jest w uśmiechu Kathleen, w ciepłe jej ciała, w radości dziecka.

Czuję, że chciałbym wypłakać, wyrzucić precz nienawiść, strach, rozpacz, poczucie klęski. Ale to trudne, bolesne. Muszę oprzeć się o poręcz.

— Za późno dla mnie.

— Nigdy nie jest za późno, i dla nikogo. Siedząc tu z nami, przekonasz się i o tym, bracie.

— Eloi chce, żebym mu opowiedział moje życie. Dlaczego?

— On wierzy w prostaczków, w tych ostatnich. Wierzy, że Chrystus może zmartwychwstać w każdym z nas, przede wszystkim w tych, którzy poznali otchłań klęski.

— Ja widzę za sobą tylko morze straszliwego horroru.

Wzdycha, tak jakby naprawdę to rozumiał.

— Umarli muszą pogrzebać swoich umarłych, żeby żywi mogli odrodzić się do nowego życia.

Nauka Zbawiciela.

— Powiedział ci także i to?

— Nie. Zrozumiałem to sam, przekraczając próg, na którym teraz stoisz.

* * *

Nie wiem, jak to się stało, oczywiście nikt mi nic nie powiedział, ale przyłapałem się na przycinaniu sztachetek do płotu okalającego ogród. Zacząłem odpowiadać na pozdrowienia, a jeden młody greplarz poprosił mnie nawet o radę, jak najlepiej naprawić jego krosna.

Rzucam zaostrzone sztachetki na kupę w kącie ogrodu za domem, mała siekierka jest lekka i dokładna, pozwala mi pracować na siedząco, bez większego wysiłku. Przed oczami staje mi na mgnienie oka młodzieniec rąbiący drwa w szopie pastora Vogla, tysiąc lat temu, ale jest to wspomnienie, które prędko przepędzam.

Podbiega jasnowłosa dziewczynka, pokazując w uśmiechu szczerbate uzębienie.

— To ty jesteś Lot?

Ma jeszcze trudności z wymawianiem słów.

Przerywam robotę, żeby nie zranić jej jakąś drzazgą.

— Tak. A ty jak masz na imię?

— Magda.

Podaje mi kolorowy kamyk.

— Pomalowałam go dla ciebie.

Bawię się małym kamuszkami.

— Dzięki, Magda, jesteś bardzo miła.

— Ty też masz małą córeczkę?

— Nie.

— A dlaczego?

Żadne dziecko nie pytało mnie nigdy o nic.

— Nie wiem.

Nagle pokazuje się ona, trzyma w ręku torebkę z nasionami.

— Chodź, Magda, musimy zasiać warzywa.

Znowu to stare pieczenie. Słowa same wyskakują z ust.

— To twoja córka?

— Tak.

Kathleen uśmiecha się, rozjaśniając dzień jeszcze bardziej, bierze dziewczynkę za rękę i spogląda na sztachety.

— Dziękuję za to, co robisz. Ten ogród bez płotu nie przetrzymałby jednego dnia.

— To ja dziękuję wam za to, żeście mnie tu przyjęli.

— Zostaniesz z nami?

— Jeszcze nie wiem, nie mam dokąd iść.

Dziewczynka bierze torebkę z rąk matki i biegnie w głąb ogrodu, trajkocząc do siebie.

Błękit oczu Kathleen nie daje spokoju moim trzewiom.

— Zostań z nami.

Rozdział 5

Antwerpia, 4 maja 1538 roku

Eloi omawia coś z dwoma ubranymi na czarno facetami, mają poważne, stanowcze miny kupców.

Czekam, siedząc z boku. Wydaje się, jakby w towarzystwie tych ludzi czuł się zupełnie swobodnie. Zadaję sobie pytanie, czy oni wiedzą, co myśli naprawdę.

Żegnają się ceremonialnymi ukłonami i sztucznymi uśmiechami, ale Eloi bije ich w tym na głowę. Dwa kruki wychodzą, nie rzucając mi nawet jednego spojrzenia.

— To właściciele drukarni. Zamówiłem u nich te druki, żeby je wykorzystać. Obiecałem im, że nie będą mieli kłopotów z cenzurą, ale będziemy musieli być ostrożni.

Rozmawia ze mną tak, jakby było już oczywiste, że należę do kręgu wtajemniczonych w jego sprawy.

— Domyślam się, że pieniędzy dostarczają ci ciągle twoi „znajomi”...

— Wszędzie są ludzie zdolni pojąć to, co mówimy. Trzeba się z nimi kontaktować, żeby zdobyć nowe pieniądze na druk i rozpowszechnianie naszych poglądów. Duchowa wolność nie ma ceny, ale ten świat chce narzucić ją każdej rzeczy. Musimy stać na nogach: tutaj wszystko jest wspólną własnością, prowadzimy pogodne, proste życie, pracujemy, żeby wystarczyć na przeżycie, i podchodzimy bogaczy, żeby nas finansowali. Ale tam, na zewnątrz, rządzą wojny prowadzone przez państwa, kupców, Kościół.

Unoszę z zატroskaniem ramiona.

— To tego szukasz? Osoby, która umie się poruszać w świecie rzezimieszków? Kogoś, kto uszedł stamtąd żywy?

Zwykli, rozbijający uśmiech, lecz ze szczerością, jakiej nie miał dla tamtych ludzi interesu.

— Potrzebny jest ktoś zaradny i zdolny, kto umiałby udawać i szeptać właściwe słowa do właściwych uszu.

Wpatrujemy się w siebie.

— To długa i trudna historia, a pamięć czasami zawodzi.

Eloi robi poważną minę.

— Nie spiesz mi się, a z ciężkich przeżyć wychodzi się jeszcze silniejszym.

Wygląda to tak, jakbyśmy rozumieli się od zawsze, jakby czekał tylko na mnie, jakby...

— Wiem, że rozmawiałeś z Balthasarem. To dzięki niemu zmieniłeś zdanie?

— Nie. Zawdzięczam to małej dziewczynce.

* * *

W gabinecie panuje półmrok przecięty w środku strumieniem światła, sączącym się zza przymkniętych okiennic. Eloi podsuwa nalewkę, a jego mina obiecuje, że będzie słuchał ze skupioną uwagą.

— Co wiesz o chłopskiej wojnie?

Kręci głową.

— Niewiele. Kiedy udałem się do Niemiec w dwudziestym piątym, spotkałem brata, z którym miałem od jakiegoś czasu listowny kontakt. Nazywał się Johannes Denck, wolny duch, gotowy przeciwstawić się zarówno arogancji papistów, jak i Lutra. Ale, jak ci już mówiłem, byłem wtedy młody i niezbyt zorientowany.

Nazwisko mrozi mi krew, wywołuje napływ wspomnień, obraz twarzy, rodziny.

— Znałem dobrze Dencka. Wraz z nim walczyłem u boku ludzi, którzy naprawdę wierzyli, że położą kres niesprawiedliwości i niegodziwości na ziemi. Były nas tysiące, prawdziwe wojsko. Nadzieja prysła na równinie pod Frankenhausem, piętnastego maja tysiąc pięćset dwudziestego piątego roku. Zostawiłem wtedy człowieka jego losowi, w łapach lancknechtów. Zabrałem ze sobą torbę pełną listów, imion i nadziei. Oprócz podejrzenia, że zostaliśmy zdradzeni, sprzedani oddziałom książąt niczym stado bydła na rynku. — Ciągłe trudno mi jest wymówić to nazwisko. — Człowiekiem tym był Thomas Münzer.

Nie patrzę na niego, ale czuję opanowujące go zdumienie, może nawet niewiarę człowieka, który myśli, że ma przed sobą upiora.

Jego głos brzmi niewiele głośniejszy od szeptu.

— Naprawdę walczyłeś razem z Thomasem Münzerem...?

— Ja też byłem wtedy młody, ale wystarczająco przebudzony, żeby zrozumieć, że Luter zdradził sprawę, którą nam przekazał. Rozumieliśmy, że musimy kontynuować od miejsca, w którym ten

mnich złożył broń. Moja historia mogła się skończyć tak właśnie, na tamtej równinie pełnej trupów. Ale przeżyłem.

— Denck zginął właśnie tam?

— Nie. Otrzymał zadanie sprowadzenia posiłków do bitwy, lecz nie zdążył na czas.

Za pamięć trzeba płacić cenę strasliwego wysiłku.

— We Frankenhausem umarłem pierwszy raz. Ale nie ostatni.

Pociągam łyk nalewki, żeby uwolnić wspomnienia.

— Przez dwa lata, dwa niekończące się lata, ukrywałem się u luterńskiego pastora, który potajemnie sympatyzował z naszą sprawą, podczas gdy żołnierze przeczesywali jeden region po drugim w poszukiwaniu niedobitków, tych, co przeżyli. Byłem skończony, musiałem zmienić nazwisko, przyjaciele poginęli, świat zaludniony był widmami i ludźmi gotowymi zdradzić cię z powodu jednego słowa za dużo. Pewnego dnia, gdy wydawało się, że po tak długim okresie pracy i samotności wprzegłem się do tego życia, wytropili moją kryjówkę, nie wiem jak, ale dotarli aż tam. Znowu musiałem uciekać. — Biorę oddech. — Dziś myślę, że tamta nagła ucieczka była moją jedyną szansą, uratowała mnie od powolnej i okrutnej śmierci.

Być może nie pojmuje wszystkiego, nie podąży za mną do końca, ale nie ma odwagi przerwać mi i jest naprawdę pod wrażeniem tego, co może się kryć w każdym następnym zdaniu.

— Przyjąłem nazwisko człowieka, który przypadkiem znalazł się na mojej drodze. Długo wałęsałem się, szukając, sam nie wiem czego, jakiegoś miejsca, w którym mógłbym zniknąć. Pod koniec lata dwudziestego siódmego roku znalazłem się w Augsburgu i spotkałem tam Dencka.

— Synod Męczenników...

Mówi powoli i przyciszonym głosem, umie uszanować cudzą historię.

— Tak. Zgromadzenie tych, co ocaleli. Głupich i nikomu niepotrzebnych niedobitków.

Rozdział 6

Augsburg, koniec lipca 1527 roku

Lucas Niemanson. Kupiec, sprzedawca brokatów z Bambergu. Pękata sakiewka, wytworny ubiór z mocnych tkanin, solidny ładunek towarów i osobistych drobiazgów na prawie nowym wozie, zaprzężonym w dwa trochę wymęczone, ale jeszcze młode konie. Daję odpocząć mięśniom obolałym po przebytych milach nagłych zrywów, starć i przekleństw na splełanych ścieżkach tej krainy, leżąc na przyzwoitym posłaniu w pierwszym zajeździe, jaki napotkałem po wjechaniu w zachodnią bramę miasta. Przede wszystkim trzeba się przespać kilka godzin, żeby odciążać kości; do rana odkładam myślenie o ładunku, wozie, o bardziej wyczerpanym z dwóch czworonogów. O tym, żeby rzucić okiem na ulice zatłoczonego, cesarskiego miasta, do którego napływają ze wszystkich stron gorące głowy, aby się schronić przed nowymi prześladowaniami. Jak Hans Hut, prorok i księgarz, który założył wspólnoty pewnie na wszystkich stacjach zmiany koni, roztaczając apokaliptyczne wizje, gdy tylko zdążył się posilić. Według tego, co mówią, miasto to będzie niedługo gościło zgromadzenie wszystkich przedstawicieli wspólnot powstałych w ostatnich latach, w tej wolnej szczelinie między Lutrem i papieżem, szczelinie, która teraz znowu się zaciska.

Ostrożnie. Nie zagłębiaj się w paszczkę wroga, nie narzucaj się jego wszechwidzącym oczom.

Trzeba się przyglądać, postępować przezornie, zachować na wszelki wypadek drogi odwrotu. W gruncie rzeczy tak właśnie znalazłem się w tych murach. Tragedia, los, niezbadane przeznaczenie dostarczyły surowca i sposobności, abym znalazł się w tym położeniu, choć nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego się ziści.

Zbyt długo trwałem w bezruchu. Odrętwienie duszy powoduje

odrętwienie członków. Zacząłem się błąkać, ledwo tylko rozeszła się wieść, że szukają Vogla. Znowu kłęska. Lub raczej początek nowej drogi, prowadzącej nie wiadomo gdzie. Szukają ocalałych. Chcą ich unicestwić, zmusić do wyznania tego, o czym nawet nie pomyśleli. Szukają ocalałych. Zabieraj te twoje dwadzieścia sześć lat i ruszaj. Tropią wojsko zbuntowanych oberwańców. Chcą ich unicestwić. A więc w drogę, bez słowa. Póki dusza kołacze się w ciele.

Żebrał jakich wielu, z paczką listów, wspomnień i podejrzeń nie do wytrzymania.

Przypadek prowadził mnie w skrajnym wycieńczeniu przez dróżki i zajazdy, wsie i gospody, targowiska i strychy. Przypadek połączył gorzki los i nierozważne kroki kupca Niemansona z moimi, owego czerwcowego dnia dwudziestego siódmego roku, w którym dobiegły kresu moje niekończące się, samotne wędrówki.

Wypytywał się nerwowo o bezpieczeństwo na drogach w kierunku południowym i o najlepszą godzinę wyjazdu. Bez wątpienia wioził cenny towar. Pod płaszczem urzekająco pękata sakiewka z jasnej skóry: miłość od pierwszego wejrzenia. Sługa zmuszony zostać na parę dni w łóżku, zarażony przez jakąś ladacznicę, co zmusza go do wyruszenia dalej w pojedynkę, jutro o świcie.

Idę za nim w pewnej odległości przez prawie pięć mil, aż do miejsca, w którym droga szerokim łukiem zagłębia się w całkowicie opustoszałą, lesistą okolicę i niskie wzgórza. Doganiam wóz i podnieconymi ruchami ręki daję znak, żeby się zatrzymał.

— Panie, panie!

— Czego chcecie? — pyta, marszcząc brwi i pociągając za lejce.

— Wasz sługa, panie...

— Co z nim, czego chce?

— Nie wydaje się, żeby był tak ciężko chory. Przyłapali go dziś rano, jak próbował wymknąć się cichaczem z zajazdu. Miał sporą torbę pełną kosztowności, które, jak myślę, pochodziły z waszego ładunku — i mówiąc to, pokazuję mu torbę z listami do Magistra Thomasa.

— To sukinsyn! Pewno, że to nie jego rzeczy, to zwykły hołysz. Zaczekajcie, zejdę zobaczyć.

Zsuwa się z wozu, podchodzi, ściskam lewą ręką skraj torby, pochyla się, żeby zajrzeć. Kij spada błyskawicznie na jego kark.

Przewraca się jak uschłe drzewo.

Przyciskam mu kolanami ramiona, sznurek okręcony trzy razy i dobrze zaciśnięty węzeł.

Odwijuję sakiewkę od jego pasa i wtaczam go do rowu. Zrobione.

Przecinam płataninę sznurów mocujących ładunek i wskakuję na wóz, żeby rzucić okiem do środka: tkaniny, zwoje różnych deseni i kolorów. Biedaczysko, chwilowo twoje interesy się urwały. Na razie nie będziesz potrzebował też swoich ubrań. Tym bardziej nazwiska, które można przeczytać z boku wozu: „Lucas Niemanson, sukiennik w Bambergu”.

Rozdział 7

Augsburg, 3 sierpnia 1527 roku

W Augsburgu jest Johannes Denck. Zebrałem po drodze garść informacji i teraz wiem już dokładnie, gdzie go szukać. Za wielkim zgromadzeniem pastorów wspólnot, przygotowywanym na połowę sierpnia, kryje się przede wszystkim działalność tego młodego weterana buntu.

Dom, który mi wskazano, stoi przy ulicy sukienników. Drzwi otwiera wysoka, szczupła kobieta z dzieckiem na ręku, za nią niepewnym krokiem podąża mała dziewczynka, która natychmiast kryje się w fałdach mamej sukni. Jestem starym znajomym jej męża, nie widziałem go od lat. Zatrzymuję się w drzwiach, dziewczynka wpatruje się we mnie z zaciekawioną miną.

Johannes Denck wita mnie mocnym uściskiem, jego jasne oczy pełne są niedowierzania.

Częstuje mnie nalewką z małej, płaskiej buteleczki, którą nosi przy pasku, i szczerym uśmiechem bez słów. Dotyka moich rąk, ramion, prawie jak człowiek pragnący się upewnić, że nie jestem widmem, które wyskoczyło nagle z otchłani jego najgorszych nocnych mar. Tak, to naprawdę ja. Ale zapomnij o moim imieniu, jeżeli nie chcesz przysłużyć się książęcym zbirom. Śmieje się uszczęśliwiony.

— Jak mam cię nazywać? Zmartwychwstańcem? Wskrzyszonym?

— Przez dwa lata byłem Gustavem Metzgerem. Teraz nazywam się Lucas Niemanson i jestem kupcem sukiennym. A jutro, kto wie...

Nie przestaje wpatrywać się we mnie w oszołomieniu. Obu nam trudno znaleźć właściwe słowa, nawiązać rozmowę. Więc siedzimy w milczeniu, przez całą wieczność, przywołując w myśli tamte

wydarzenia. Tego popołudnia Mühlhausen jest wyspą odległą od świata i życia, na którą być może zbłądziliśmy pewnego dnia, szukając ścieżek Pana. Przybywamy z dalekich miejsc i zarazem odmiennych przeznaczeń.

— Tylko ty?

Poważny, nabrzmiały pamięcią głos.

— Tak.

Opuszcza głowę, aby wyłowić z przeszłości tamtą twarz, postać, krzyk euforii i nadziei, odbijający się już niezmiernie dalekim echem.

— Jak?

— Szczęście, przyjacielu, szczęście i może odrobina bożej dobroci, która zechciała być ze mną. A ty?

Oczy zatopione we wspomnieniach, tak jakby trudno mu było je przywołać, jakby mówił o swoim dzieciństwie.

— Ugrzęźliśmy gdzieś w okolicach Eisenach. Udało mi się zwerbować jakąś setkę ludzi i zarekwirować wielką kolubrynę. Ale natknęliśmy się na kolumnę wojska i musieliśmy się schronić we wsi, której nazwy już nawet nie pamiętam. — Podnosi na mnie wzrok. — Przykro mi, nie udało mi się. Nie pomogłem wam w żaden sposób.

Wydaje się bardziej rozgoryczony ode mnie. Zastanawiam się, ile razy w ciągu tych dwóch lat musiał wyrzucać sobie własną bezsilność.

— Stalibyście się dla nich tylko dodatkowym mięsem armatnim. Było nas tam osiem tysięcy i nie słyszałem o nikim, kto by uszedł z życiem.

— Z wyjątkiem ciebie.

Uśmiecham się krzywo i próbuję ironicznie spojrzeć na tamto nieszczęście.

— Ktoś musiał się uratować, żeby o tym opowiedzieć.

— Grunt, że ci się udało. Liczy się tylko to.

— Utraciliśmy wszystko.

Jego oczy uśmiechają się mądrością, jakiej u niego nie pamiętałem.

— A nie słyszałeś może o czymś, dla czego warto wszystko utracić?

Stać mnie tylko na kpiące skrzywienie ust. Ale wiem, że ma rację i że ja też chciałbym zdobyć się na tę niefrasobliwość wobec przeszłości.

Poważnie, widać, że i on miał czas na przemyślenia.

— Gdy doszło do mnie, że rozprawili się z Magistrem Thomasem i Pfeifferem, także i ja myślałem, że wszystko skończone. Mówią, że w represjach po Frankenhausen straciło życie przeszło sto tysięcy ludzi. Uciekłem, zaszyłem się w lasach i starałem się uratować skórę.

Przez długie miesiące nie spałem dwa razy z rzędu w tym samym łóżku. Ale nie byłem sam, bynajmniej, towarzyszyła mi nadzieja na nawiązanie kontaktów z braćmi z innych miast, ze wszystkimi przyjaciółmi i kolegami z uniwersytetu. To utrzymywało mnie przy życiu, dało mi siłę, żeby nie siedzieć z założonymi rękami w oczekiwaniu na ostateczny cios. Gdybym się zatrzymał, nie mógłbym gościć cię tu dzisiaj.

Wychodzimy na dwór, na podwórze za domem, na którym grzebie w ziemi parę podskubanych kur i suszą się na słońcu dwie jelenie skóry, podobne do starych, wytartych żagli.

Kolej na moją opowieść.

— Ja natomiast przysiadłem w miejscu. I umarłem. Przesiedziałem pod ziemią całe dwa lata, rąbiąc drwa i słuchając gadaniny jedyne go wariata, który udzielił mi schronienia. Wolfganga Vogla.

— Vogla! Boże najświętszy, słyszałem, że rozprawili się z nim parę miesięcy temu.

— Mało brakowało, żebym skończył tak jak on.

Zaniepokojony, cedzi przez zęby:

— Jak wpadli na wasz trop?

— Złapali jednego z towarzyszy Huta, kiedy przekradał się na południe z zamiarem odszukania jakichś ocalałych braci. Domyślałem się, że zmusili go torturami do wyjawienia nazwisk. Pewno wymienił też nazwisko Vogla, no i chłop musiał brać nogi za pas. A ja razem z nim. Trzeba było kryć się przed tymi pieprzonymi szpiclami. Gonili nas przez całe dwa dni, póki nie doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie się rozdzielić. Mnie się udało, jemu nie. No i jestem tutaj.

Spogląda na mnie z ukosa.

— Musiałeś się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą, przyjacielu.

— Hmm. Czasy są takie, że lepiej mieć pod ręką dobry mieczyk.

Powietrze jest chłodnawe, dobiegają nas stłumione odgłosy miasta. Przysiadamy na stosie szczap. To, że obaj przeżyliśmy, przydaje intymności rozmowie i stapia nasze myśli, padają słowa pełne wyciszenia, niemal z oddali, niczym uliczny rozgwar. Żyjemy i na razie wystarcza nam ten cud, chcieliśmy powiedzieć sobie tylko to i nic więcej.

Nalewka sprawia, że jego głos pobrzmiwa lekką chrypką.

— W tych dniach powinien się tu zjawić także Hut. Wbił sobie do głowy, że bliski jest czas Apokalipsy, no i krąży niczym święty, chrzcząc ludzi. To cud, że nie dopadli go jeszcze. Włóczy się po wsiach i zaczepia chłopów, żeby z nimi rozmawiać i pytać, jak rozumieją fragmenty Biblii, które im czyta.

Uśmiecham się kpiąco.

— Patrzcie no, gotów odnieść wielki sukces.

— Hut! Zbankrutowany księgarz, który został prorokiem!

Przez chwilę zaśmiewamy się, wyobrażając sobie strachliwego Huta, którego obaj znaliśmy tak dobrze.

— Doszło do mnie, że Storch i Metzler próbują zlepić armię, zbierając wojenne niedobitki. Dwaj szaleńcy. Nie mają żadnych szans. Za to tutaj przybywają bracia już od zeszłego roku. Ze Szwajcarii i z pobliskich miast. Jest tu dobra atmosfera, możemy przynajmniej swobodnie się spotykać. To zdolni ludzie, musisz ich poznać, pokończyli uniwersytety. Synod, który organizujemy, będzie początkiem czegoś nowego. Wszystko zacznie się tu od nowa, wielu jest jeszcze takich, którzy chcą swobodnie wyznawać swoją wiarę. Ale będziemy musieli zachować ostrożność.

Być może oczekujesz ode mnie entuzjastycznej reakcji, ale tym razem zawiodę cię, bracie. Zachowuję milczenie i pozwalam mu kontynuować.

— Jest tu Jacob Gross z Zurychu, wybraliśmy go na kapłana od obrzędów, a Sigmunda Salmingera i Jacoba Dachsera na jego pomocników: są augsburczykami i znają dobrze miejscowych ludzi. Są także zwolennicy Zwingliego, Leupold i Langenmantel. Z ich pomocą stworzyliśmy fundusz dla biednych...

Mówi o odległych wydarzeniach, opowiada sagę ludu, który znikł z powierzchni ziemi. Być może wyczuwa moje myśli, milknie, wzdycha.

— Nie wszystko jest stracone.

Potakuję leciutko głową.

— Rzeczywiście, jeszcze żyjemy.

— Wiesz, co mam na myśli. Wezwaliśmy tu wszystkich braci.

Znowu ten sam krzywy uśmiech.

— Johann, chcesz zacząć jeszcze raz?

— Nie chcę tych nowych księży, którzy będą mi mówić, w co mam wierzyć i co mam czytać, czy będą to papiści, czy luteranie. Jest nas wystarczająco wielu, żeby przeniknąć do uniwersytetów i podkopać przyjaciół Lutra i książąt, ponieważ to na uniwersytetach, w miastach, formują się umysły i rozchodzą idee.

Spoglądam mu prosto w oczy; czy on naprawdę w to wierzy?

— Myślisz, że pozwolą wam działać, że będą się przyglądać, jak się organizujecie? Widziałem ich z bliska. Widziałem, jak atakowali i masakrowali bezbronnych ludzi, małych chłopców...

— Wiem, ale tu, w Augsburgu, jest inaczej. W miastach możemy poruszać się swobodniej, jestem przekonany, że gdyby zjawił się tu teraz Münzer, zgodziłby się ze mną.

Na dźwięk nazwiska mistrza doznaję skurczu żołądka. Wzdrygam się.

— Ale go nie ma. A to coś znaczy, czy ci się podoba, czy nie.

— Bracie, nawet on nie był wszystkim, przy całej swojej wielkości.

— Ale tysiące jego zwolenników tak. Lata temu porzuciłem Wittenbergę, bo znudziły mnie teologiczne dysputy i doktorowie, którzy wyjaśniali mi to, co właśnie czytałem, podczas gdy za drzwiami stały w ogniu całe Niemcy. Po wszystkim, co się stało, wciąż myślę o tym właśnie w ten sposób. To nie twoi teolodzy powstrzymają represje.

Spacerujemy w milczeniu brzegiem podwórza, w gruncie rzeczy być może nawet on sam nie jest całkowicie pewien tej swojej ufności. Zatrzymuje się i podaje mi butelkę.

— Pozwól przynajmniej, żeby spróbowali.

Rozdział 8

Augsburg, 20 sierpnia 1527 roku

Patrycjuszowski dom Hansa Langenmantla jest duży, wszyscy mieścimy się w salonie. Ze czterdzieści osób, wiele z nich ochrzczonych już przez Huta, który dotarł do miasta dopiero wczoraj. Kiedy mnie obejmował, powtarzając słowa Magistra: „czas nadszedł”, nie wiedziałem, czy roześmiać mu się w twarz, czy zwyczajnie odejść. W końcu zmilczałem i już, widocznie nasz księgarz nie spostrzegł, że podłość postanowiła przedłużyć swój odnowiony, nikczemny żywot. I jakżeby inaczej? Jeżeli wziął nogi za pas po pierwszym armatnim wystrzale.

Denck idzie pierwszy, przedstawiając mnie braciom jako Thomasa Puela. Czekając na Huta, pograżamy się w rozmowach.

— Będzie bitwa.

— Co masz na myśli?

— Hut był w Nicolsburgu i starł się z Hubmaierem, tamtejszym bratem, który nie chce słyszeć o jego wariactwach. Zdaje się, że nasz Hans zaproponował, żeby nie płacić więcej podatków i odmówić służenia w wojsku. W końcu władze zamknęły go w zamku, skąd zdołał uciec przez okno dzięki pomocy przyjaciela. Domyślam się, że będzie wściekły, teraz może już nawet podawać się za męczennika. Będzie chciał przedstawić swoje propozycje także tutaj.

Nieznajome, poważne oblicza. Przekonuję Johanna, żebyśmy usiedli z boku.

— Dachser i inni to ludzie chodzący po ziemi, będę musiał postarać się ograniczyć szkody, jakie może poczynić Hut. Jeśli od razu wejdziemy w konflikt z władzami, nie będziemy mieli czasu, żeby się wzmocnić. Ale spróbuj mu to wytłumaczyć...

Jakby wywołany słowami Dencka, Hut pojawia się na środku

salonu, w pozie proroka, którego widok nie tylko mnie nie rozśmiesza, ale sprawia mi przykrość.

* * *

Ubiera się bez jednego słowa. Przez okno sączy się gasnące światło bliskiego zmierzchu.

Wyciągnięty na boku, patrzę na wieże na tle nieba rojącego się od jaskółek. Na parapecie siada kos i przygląda mi się niepewnie. Czuję ciężar ciała, bezwład mięśni jakby zawieszonych w próżni.

— Chcesz mnie jeszcze?

Nie mam ochoty poruszyć głową, przenieść na nią oczu, mówić. Kos gwizdże i rzuca się w dół.

Ręka dosięga torby pod łóżkiem. Popycham w jej stronę monety po pościeli.

— Wystarczy, żebyśmy to powtórzyli.

Mój głos brzmi niewyraźnie:

— Jestem bogaty. I zmęczony.

Niezmacona niczym cisza mówi mi, że wyszła. Jeszcze się nie poruszam. Dumam o tamtych szaleńcach kłócących się, jak będzie wyglądał Dzień Sądu. Myślę, że wyszedłem zbyt spiesźnie, obrażając wszystkich. Myślę, że Denck na pewno zrozumiał. I że powietrze na dworze natychmiast sprawiło mi przyjemność, gdy zacząłem spacerować bez celu po ulicach. Że ona dobrze zrobiła, idąc za obcym, i była młoda i nieszczęśliwa jak Dana, zaofiarowała ciepło i uśmiech, które mogły się wydać niemal szczerze. Postanowiłem nie myśleć.

Przyjaciele nie żyją, a ja odkryłem, że jestem głuchy dla tych, co zostali. Bóg nie ma tu już nic do rzeczy; opuścił nas w wiosenny dzień, znikając ze świata ze wszystkimi swoimi obietnicami i zostawiając nam na pamiątkę życie. Swobodę spędzenia go między dwoma białymi udami.

Kos wraca na parapet, rzucając jakieś skargi w kierunku wież. Pod powieki wciska się sen.

* * *

Nie udaje mi się dać ci oblicza, jesteś jak cień, jak widmo, które ślizga się na krawędzi wydarzeń i czai w mroku. Jesteś żebrakiem, który prosi o jałmużnę w zaułku, i tłustym kupcem, który zatrzymał się w sąsiednim pokoju. Jesteś młodą ladacznicą i zbiernym, który tropi mnie z bliska. Każdym z nich i nikim, twoja rasa zjawiała się na świecie z Adamem, niosąc nieszczęście i wrogię Boga. I wojsko, które oczekiwało nas za tamtymi wzgórzami.

Quèlet, Eklezjasta. Prorok nieszczęścia. Trzy listy pełne złotych słów do Magistra, ważnych wiadomości i rad. We Frankenhausem nie napotkaliśmy armii w rozprzężeniu, jak obiecałeś, ale silne, zwarte, przygotowane do walki oddziały. Pisałeś, że przepędzimy je precz.

Chciałeś, żebyśmy zeszli na tę równinę, żeby nas wszystkich wyróżnięto.

Denck ma piękną, pogodną rodzinę, ale chyba nie powodzi się im zbyt: ubrania są wytarte i połatane w wielu miejscach, dom jest ogołocony ze sprzętów. Jego żona Klara gotowała dla mnie, starsza córka zajmowała się braciszkiem, a matka podawała kolację.

— Nie powinienesz być wychodzić tak prędko.

W jego głosie nie ma pretensji, nalewa samogon do kieliszków i podaje mi jeden z nich.

— Być może. Ale nie mam już cierpliwości do pewnych rozmów.

Kręci głową i próbuje ożywić ogień, poruszając żar pogrzebaczem.

— To, że Hut wyraża się niezbyt jasno, nie oznacza, że...

— Nie chodzi o Huta.

Unosi ręce.

— Nie mogę cię zmusić, żebyś wierzył na siłę w ten synod. Proszę cię tylko, żebyś miał względem nas trochę więcej zaufania.

— W ostatnich latach zrobiłem się nieufny, Johann. — Wymawiam cicho jego imię, to już stałe przyzwyczajenie. — Magister Thomas nie poprowadził nas do Frankenhausem, żeby wystawić wszystkich na rzeź; informacje, jakie miał, były błędne. — Spoglądam mu w oczy, żeby łatwiej uchwycił ciężar moich słów. — Ktoś, komu Magister ufał, przysłał mu list pełen fałszywych wiadomości.

— Thomas Münzer zdradzony? To niemożliwe...

Wsuwam rękę pod koszulę i wyciągam pożółkłe kartki.

— Przeczytaj sam, jeśli mi nie wierzysz.

Niebieskie oczy ślizgają się szybko po linijkach, a jednocześnie w wyrazie jego twarzy maluje się niedowierzenie i niesmak.

— Boże wszechmogący...

— Jest z datą pierwszy maja tysiąc pięćset dwudziestego piątego roku. Został napisany na dwa tygodnie przed masakrą. Filip Heski odcinał już południowe regiony od reszty i posuwał się wyczerpanym marszem w kierunku Frankenhausem. — Zawieszam głos, żeby słowa wywarły efekt. — Mam tu dwa inne listy, skreślone tą samą ręką dwa lata wcześniej; pełne pięknych słówek, nikt nie podejrzewałby, że nie są szczerze. Od kogoś, kto od pewnego czasu czarował Magistra, żeby zdobyć jego zaufanie.

Podaję mu następne listy. Grymas na jego ustach nie pozostawia wątpliwości, co czuje w tym momencie. Pospiesznie przebiega kartki uratowane cudem od zniszczenia, aż w końcu jego twarz zamienia się w kamień, oczy ma zmrużone.

— Przechowałeś te listy przez ten czas.

Patrzemy sobie w oczy, odblaski ognia odprawiają piekielny taniec na naszych obliczach.

— Byłem przy nim, Johann, byłem u jego boku do samego końca. Sam Magister kazał mi uciekać, chciał, żebym go zostawił własnemu losowi. I ja tak zrobiłem, nie myśląc dwa razy.

Siedzimy w milczeniu, na nowo pogrążeni we wspomnieniach, ale mam wrażenie, że wyczuwam tok jego myśli.

W końcu słyszę pomrukiwanie.

— Quoëlet. Eklezjasta.

Kiwam potakująco głową.

— Człowiek ze wspólnoty, ktokolwiek. Ktoś, do kogo Magister miał zaufanie i kto posłał nas na rzeź. Ja nie ufam już nikomu, Johann, tym bardziej skrybom i doktorom. Nie mam nic przeciwko twoim przyjaciółom, ale nie żądaj ode mnie, żebym przytrzymał im świeczkę.

— Jeżeli chcesz pozostać na zewnątrz, będę respektował twoją decyzję. Ale w takim razie muszę cię poprosić, żebyś był mi przyjacielem.

Spogląda w mrok sąsiedniego pokoju.

— Moja rodzina. Gdybym musiał w pośpiechu opuścić miasto, nie mógłbym zabrać ich ze sobą.

Nie trzeba innych słów; mamy jeszcze coś, czego nie może nam odebrać żaden książęcy zbir ani żadna kłeska.

— Nie martw się. Zajmę się nimi.

Johannes Denck jest jedynym przyjacielem, jaki mi jeszcze pozostał.

Rozdział 9

Augsburg, 25 sierpnia 1527 roku

Trzy uderzenia w drzwi i ochrypły głos.

— To ja, Denck, otwórz!

Zrywam się z pośłania i odsuwam rygiel.

Ma zaczerwienioną, spoconą twarz i jest zdyszany od biegu.

— Straże. Wzięli Dachsera, wdarli się do jego domu, gdy wszyscy spali.

— Cholera! — Zaczynam ubierać się pospiesznie.

— Dzielnica pełna jest ich zbirów, wchodzą do domów, wiedzą, gdzie mieszkamy.

— A twoi?

— U przyjaciół, to pewne miejsce, ty też musisz tam iść, tu jest zbyt niebezpiecznie, szukają ludzi przybyłych spoza miasta...

Zbieram moje manatki i mocuję pod płaszczem krótki miecz.

— To na nic ci się nie przyda.

— A może tak. Idziemy, ty prowadź.

Zbiegamy ze schodów i wychodzimy na ulicę, prowadzi mnie w bladym świetle brzasku wąskimi zaułkami, przy których kupcy zaczynają otwierać swoje sklepy. Idę za nim, nie bardzo wiedząc dokąd, zagłębiamy się w jakąś nędzną dzielnicę, potykam się o zapchlonego psa, którego przepędzam kopniakiem, ciągle za plecami Dencka, z sercem podchodzącym do gardła. Zatrzymuje się przed maleńkimi drzwiami: dwa uderzenia i ledwo słyszalne słowo. Otwierają nam. Wchodzimy, w środku jest ciemno, nic nie widzę, Denck popycha mnie w stronę podniesionej klapy.

— Uważaj na schody.

Schodzimy i trafiamy do piwnicy, światło lampy ukazuje przerażone twarze, rozpoznaję kilku braci, których widziałem w domu Langenmantla. Są także żona i dzieci Dencka.

— Tu jesteście bezpieczni. Trzeba zawiadomić innych, wróć, najszybciej jak będę mógł.

Obejmuje żonę, która trzyma w rękach kwilące zawiniątko, gładzi pieszczotliwie dziecko.

— Pójdę z tobą.

— Nie. Obiecałeś mi, pamiętasz?

Pociąga mnie w stronę schodów.

— Gdybym nie wrócił, zabierz ich stąd, nie wytrzymają tu długo, ale nie chcę, żeby coś ryzykowali. Przyrzeknij mi, że zaopiekujesz się nimi.

Trudno jest zostawić go tak jego własnemu losowi, to jest coś, czego nie chciałbym robić nigdy więcej.

— Zgoda, ale uważaj na siebie.

Ścisła mi mocno rękę, z półuśmiechem na ustach. Odwiązuje od pasa mój miecz.

— Weź go.

— Nie, lepiej nie dawać im powodu, żeby zamordowali cię jak psa.

I już wspina się po schodach.

Odwracam się, jego żona stoi bez jednej łzy, synek obejmuje ją za szyję. Przypomina mi się Otylia, ta sama siła w spojrzeniu. Takimi je zapamiętałem, kobiety wieśniaków.

— Twój mąż jest dzielnym człowiekiem. Wyjdzie z tego cało.

* * *

Wracają we trzech. Jednym z nich jest Denck. Wiedziałem, że stary lis nie pozwoli schwytać się do worka. Udało mu się wyprowadzić jeszcze dwóch braci.

Były to niekończące się godziny, tam na dole, przy słabym świetle sączącym się z małego okienka.

Żona obejmuje go, oddychając z ulgą. Denck ma w oczach determinację człowieka, który wie, że nie może stracić ani chwili.

— Posłuchaj mnie, żono. Nie mają nic do was, ty i dzieci jesteście bezpieczni w tym domu i jak tylko trochę się uspokoi, będziecie mogli wyjść. Na pewno byłoby bardziej niebezpiecznie, gdybyście próbowali wymknąć się teraz, gdy każda brama miasta obsadzona jest strażami. Żona Dachsera weźmie cię do siebie. Znajdę sposób, żeby napisać.

— Dokąd pójdziesz?

— Do Bazylei. To już ostatnie miejsce, gdzie nie ryzykuje się głową. Dołączysz do mnie z dziećmi, jak minie najgorsze, to sprawa jakichś dwóch miesięcy. — Odwraca się do mnie. — Przyjacielu, nie

opuszczaj mnie teraz, dotrzyмай słowa, które mi dałeś; nie znam twojego imienia ani twojej twarzy.

Kiwam potakująco głową, niemal nie zdając sobie z tego sprawy.

— Dziękuję. Będę ci wdzięczny do końca życia.

Reaguję, oszołomiony jego pośpiechem.

— Jak zamierzasz wyjść z miasta?

Wskazuje na jednego ze swoich towarzyszy.

— Ogród za domem Karla dotyka murów. Mając drabinę i korzystając z ciemności, powinno się udać. Znajdę sposób, żeby was zawiadomić, czy cało i zdrowo dotarłem do Bazylei.

Całuje córeczkę i małego Nathana. Obejmuje żonę, szepcząc jej coś do ucha; nieprawdopodobna siła nie pozwala jej zapłakać i teraz.

Odprowadzam go do schodów.

Ostatnie pożegnanie.

— Niech cię Bóg wspomaga.

— Niech oświecili ci drogę w tej ciemnej nocy.

Znika prędko w górze, ponaglany przez braci.

Rozdział 10

Antwerpia, 4 maja 1538 roku

— Nie zobaczyłem go już więcej. Po długim czasie dotarła do mnie wieść, że zmarł na dżumę w Bazylei, pod koniec tego samego roku.

Gardło chciałoby się ścisnąć jeszcze bardziej, ale czas złagodził smutek.

— A jego rodzina?

— Przygarnął ją do swego domu członek bractwa, Jacob Dachser. Huta złapali piętnastego września, pamiętam to do dziś. Przyznał się do przyjaźni z Münzerem dopiero po długich torturach. Umarł w głupi sposób, tak jak głupio żył. Próbował ucieczki, podpalając celę, w której go zamknęli; myślał, że strażnicy przybiegną otworzyć drzwi. Nikt mu nie pomógł: umarł uduszony dymem, który sam wywołał. Leupold, najbardziej umiarkowany z bractwa, okazał się twardszy: nie przyznał się ani nie zmienił swoich poglądów. Musieli go wypuścić, ale wygnali go z miasta razem z jego stronnictwem, a mnie udało się wmieszać pomiędzy nich. Wyszedłem z Augsburga w grudniu dwudziestego siódmego roku, aby nie wrócić tam więcej.

Ciemna sylwetka Eloi tkwi na fotelu za wielkim biurkiem z jodłowego drewna.

— Dokąd się wtedy udałeś?

— W Augsburgu dowiedziałem się, że mój stary kolega ze studiów mieszka w Strasburgu. Nazywał się Martin Borrhau, nazywaliśmy go Cellariusem. Nie widziałem go od pięciu lat i on też nie miał ode mnie wiadomości. Kiedy napisałem do niego, prosząc o pomoc, umiał okazać się prawdziwym przyjacielem. — Kieliszek jest znowu pełny; albo poprawi mi pamięć, albo mnie upije, nie ma to większego znaczenia.

— No i udałeś się do Strasburga?

— Tak, do istnego rajy baptystów.

Rozdział 11

Strasburg, Alzacja, 3 grudnia 1527 roku

Poprzedza mnie stukanie obcasów odźwiernego, maszerującego zwawo korytarzem. Po obu stronach otwiera się widok na wielkie pokoje, w których krzyżują się spojrzenia postaci przedstawionych na obrazach i gobelinach, a wszelkiego rodzaju i kształtu bibeloty tłoczą się na lśniących fornirach i marmurach kosztownych mebli.

Podchodzę do wskazanej mi kanapy, stojącej między dwoma wielkimi oknami. Za firanami mającą lekko zamglone konary majestatycznych lip w parku. Odźwierny kroczy dalej w swoich czarnych półbutach, puka i wsuwa głowę do uchylonych drzwi. Słyszę chłopięcy głosik, wydający dziwne dźwięki, które i ja pamiętam z lat nauki starożytnych języków, gdy wkuwałem je na pamięć.

— Proszę pana, przyszedł gość, na którego pan czekał.

W odpowiedzi słyszę szuranie odsuwanego na posadzce krzesła i łagodny, ponagląjący głos, który przerywa recytację małego ucznia.

— Dobrze, bardzo dobrze. Teraz muszę na chwilę wyjść. Przerobisz w tym czasie odmiany czasowników *eurisco* i *gignosco*, zgoda?

Przystaje, ledwo wyszedłszy z drzwi, niczym doświadczony aktor wkraczający na scenę.

— W lepszym miejscu i w lepszych czasach, nieprawdaż?

— W tym właśnie pokładam całą moją nadzieję, drogi przyjacielu.

Martin Borrhaus zwany Cellariuszem jest jedną z tych osób, z którymi nigdy nie spodziewałbym się spotkać. Dotarła do mnie wiadomość, że został preceptorem dzieci pewnego szlachcica, i byłem przekonany, że nasze drogi zbytnio się rozeszły.

On utrzymuje jednak, że przeciwnie, zawsze miał nadzieję, że spotkamy się znowu, a odkąd znalazł się w Strasburgu, wierzy, że

nasze spotkanie odbędzie się tutaj. Powiada, że studenci, którzy zapełniali sale wykładowe Wittenbergi, żywiąc większą sympatię do Karlstadta niż do Lutra i Melanchtona, przenieśli się do tego alzacckiego miasta. Zrobił to nawet sam Karlstadt.

Mówi z entuzjazmem o Strasburgu, gdy spacerujemy obok budującej się katedry, w stronę mojej przyszłej stacji. Opisuje to miasto jako miejsce, w którym nikt nikogo nie prześladowuje z powodu religijnych przekonań, gdzie herezja jest nawet przedmiotem zainteresowania i dyskusji, zarówno w rzemieślniczych warsztatach, jak i w salonach, jeśli tylko jest podbudowana błyskotliwymi argumentami i nieposzlakowanym prowadzeniem się.

Po bruku toczy się ciężko wóz wyładowany blokami piaskowca. Kościół Marii Panny ma najwyższą i najbardziej imponującą wieżę, jaką kiedykolwiek widziałem. Wznosi się po lewej stronie głównego frontonu, a za kilka lat jej bliźniacza siostrzyca po prawej podwoi monumentalność tej nadzwyczajnej budowli.

— Wydawcy — wyjaśnia mi Cellarius — nie mają tu problemów z drukowaniem bulwersujących tekstów. Nazywają to swoje uprzywilejowanie w porównaniu z sytuacją kolegów w innych regionach „błogosławieństwem Gutenberga”, ponieważ właśnie tu ojciec drukarstwa otworzył pierwszą swoją drukarnię.

— Z przyjemnością bym ją zobaczył, jeśli to możliwe.

— Oczywiście, ale najpierw musimy się zająć ważniejszymi sprawami. Dziś wieczorem zapoznam cię z twoją żoną.

— Z moją żoną? — pytam rozbawiony. — Ożeniłem się, sam o tym nie wiedząc?

— Chodzi o Ursulę Jost, dziewczynę, za którą szaleje pół Strasburga. Ty, Lienhard Jost, jesteś jej mężem.

— Zgoda, przyjacielu, lecz uporządkujmy to jakoś. Miło mi słyszeć, że to piękna pani, ale przede wszystkim powiedz mi, kim jest ten Lienhard Jost?

— Nie napisałeś mi, że chcesz spokojnie mieszkać, zmienić nazwisko, stać się praktycznie nie do wytropienia? Zaufaj Martinowi Borrhausowi, mam już doświadczenie w tego rodzaju rzeczach. W Strasburgu jest pełno ludzi, którzy chcą zgubić swój ślad. Nawiasem mówiąc, ten Lienhard Jost nigdy nie istniał, i dzięki temu sprawy bardzo się upraszczają. Ursula nie jest mężatką, chociaż od przyjazdu tutaj twierdzi, że ma męża.

— Ale dlaczego, jeśli wolno spytać?

— Z wielu powodów — odpowiada Cellarius z miną, jaką przybierał w Wittenberdze, gdy tłumaczył mi teologię świętego Augustyna. — W mieście kobieta, która podróżuje samotnie, zwraca uwagę bardziej niż jakaś czarownica, a ona woli nie rzucać się zbyt

w oczy, nie wiem nawet, czy naprawdę ma na imię Ursula. Poza tym szlachcic, który dał jej u siebie mieszkanie, okazał od razu zbyt wielkie zainteresowanie jej osobą...

— ...no i informowanie go o mężu Lienhardzie, który zjawi się prędzej czy później, musiało mocno powściągnąć jego zapędy, domyślam się tego. — Śmieję się głośno. Spotkanie starego przyjaciela naprawdę wprawia mnie w doskonały nastrój. — Dobrze. Co jeszcze powinienem wiedzieć?

Słoneczne światło sączy się przez ciemne chmury. Jasny promyk przedziera się przez szarą zasłonę i rozognia twarz Cellariusza.

— Staralem się jak najmniej mówić na twój temat. Byłeś moim kolegą na uniwersytecie w Wittenberdze. Miałeś do załatwienia parę spraw i dopiero teraz możesz dołączyć do swojej żony, która przyjechała tu, żeby porozmawiać z Fabriciusem.

Cellariusz informuje mnie o dwóch najważniejszych postaciach w mieście, Bucerze i Fabriciusie. Są to osoby zdecydowanie tolerancyjne, uwielbiające teologiczne dysputy, bliższe Zwingliemu niż Lutrowi. Mówi, że poznam ich już niebawem, może nawet tego wieczoru, podczas kolacji wydawanej przez mojego przyszłego gospodarza.

Rozdział 12

Strasburg, 3 grudnia 1527 roku

Jest w ogrodzie domu pana Weissa. Niezauważalnie, spoza kolumny, przyglądam się ostremu profilowi jej twarzy, włosom luźno spływającym na ramiona, delikatnym palcom, dotykającym krawędzi fontanny.

O jej spódnicę ociera się kot. Pieszczoty wydają się rytualnym, powtarzanym gestem, a wypowiedane szeptem słowa magiczną formułą: w jej ruchach jest coś niezwykłego, nieprawdopodobna i urzekająca przypadkowość.

Wychodzę na padające z góry światło, ale za jej plecami, żeby nie mogła mnie zobaczyć. Zbliżając się, czuję ostry kobiecy zapach, tę upajającą mieszaninę lawendy i wydzielin ciała, rozdroże między ziemią i niebem, piekło i raj, które w jednej chwili gubią cię i przywołują z powrotem do życia. Wypełniam nim nozdrza i przyglądam się jej z bliska.

Ciepły głos:

— To mój zapach tak cię upaja, mój panie?

Odwraca się powoli; czarne, błyszczące oczy.

— Twój zapach... — mamroczę w osłupieniu.

— To zapach dolnych regionów, poruszona ziemia kompostowa, wydzielin ciała, krew, melancholia.

Zanurzam dłoń w lodowatej wodzie fontanny. Jej oczy przyciągają wzrok; usta rysują dziwną krzywiznę na owalnym obliczu.

— Melancholia?

Spogląda na kota.

— Tak. Widziałeś kiedy jakieś dzieło mistrza Dürera?

— Widziałem *Naśladowanie Chrystusa*, cykl poświęcony *Apokalipsie...*

— To jednak nie to samo, co anioł melancholii. W przeciwnym razie wiedziałbyś, że to kobieta.

— Jak to?

— Ma kobiece rysy. Jego Melancholia jest kobietą.

Stoję zmieszany, czuję, że ogarnia mnie podniecenie.

Przyglądam się jej ostremu profilowi.

— Czyżbyś ty miała nią być?

Śmieje się, po moich plecach wędrują dreszcze.

— Być może. Ale także i w tobie jest kobieta. Znałam mistrza Dürera, raz nawet mu pozowałam. To ponury człowiek. Przerażony.

— Czym?

— Śmiercią, jak wszyscy. A ty boisz się?

Pytanie jest szczerze, zadane z czystej ciekawości. Myślę o Frankenhausem.

— Tak. Ale jeszcze żyję.

Jej oczy śmieją się, jakby od lat oczekiwały takiej właśnie odpowiedzi.

— Widziałeś, jak spływa krew?

— Aż za dużo.

Potakuje z poważną miną.

— Mężczyźni szukają krwawych wrażeń, dlatego prowadzą wojny, starają się zakłócić strach. Kobiety... nie; przy każdym obrocie księżyca muszą przyglądać się, jak wypływa ich własna.

Stoimy, przyglądając się sobie w milczeniu, tak jakby jej zdanie usankcjonowało ciszę jakąś uświęconą mądrością.

— Jesteś Ursula Jost — odzywam się wreszcie.

— A ty będziesz Lienhardem Jostem?

— Twoim mężem.

To samo milczenie, żeby przypieczętować przymierze uciekinierów. Przygląda się szczegółom mojej twarzy. Jej ręka wślizguje się pod spódnicę, potem wędruje na przegub mojej dłoni, na którym mam starą bliznę: palec ślizga się po niej, zabarwiając ją czerwienią krwi.

Czuję, że blednę, fala zimnego potu rozlewa się pod koszulą wraz z nagłym pragnieniem dotknięcia tej kobiety.

— Tak. Moim mężem.

Rozdział 13

Antwerpia, 5 maja 1538 roku

— Miasto było spokojne, Michael Weiss, u którego mieszkałem, człowiek szlachetny i prawy, a moja *żona* przepiękna. A jakby mało było zmian, miałem nowe nazwisko. Zawdzięczałem Martinowi tak dużo, że nie byłem w stanie mu się odwdziżyć. Krąg doktorów, których odwiedzał dobrotliwy Cellarius, szczylił się osobistościami naprawdę nieprzeciętnymi, jak na ów czas religijnych represji. Mieli zamiłowanie do dyskusji.

Tym spośród nich, który zaciekawiał mnie najbardziej, był Wolfgang Capitone o przydomku Fabricius. Jeśli nawet twierdził, że jest gorącym zwolennikiem Lutra, to szanował również tych, których zaczynało wówczas nazywać anabaptystami, i wydawało się, że chce ich włączyć do zreformowanego chrześcijaństwa. Wypytał mnie o wiele spraw z ciekawością, która wydała mi się szczerą. Czytał pisma Dencka i był nimi oczarowany. Nie dałem mu do zrozumienia, że znałem go, ale zabawiłem się, sondując jego tolerancyjność paroma odważnymi odzywkami.

Poznałem także Ottona Brunfelsa, botanika, doświadczonego znawcę leczniczych właściwości roślin. Pracował nad powszechnym herbarzem i interesował się światem przyrody. Nie udało mi się wydobyć z niego wielu informacji dotyczących jego wierzeń, ale wyczułem, że musiał sympatyzować z chłopami w epoce buntu. Był człowiekiem łagodnym, przeciwnym uciekaniu się do gwałtu; miał poczucie winy z powodu losów tamtego powstania. Pewnego dnia nasza wzajemna poufałość musiała wydać mu się na tyle ustalona, że dał mi wręcz do przeczytania kilka notatek do dzieła, które właśnie pisał i w którym utrzymywał, że w obecnym czasie prawdziwi chrześcijanie, jak w epoce Nerona, zrobiliby lepiej, ukrywając swoje

rytuały w katakumbach duszy, maskując swoją wiarę i udając aprobatę sytuacji, w oczekiwaniu nadejścia Pana. Ta jego prywatna religia prowokowała mnie czasami do uśmiechu, ale ciekawie było z nim dyskutować.

Najbardziej antypatyczny był Martin Bucer. Spotkałem go tylko raz, w domu Fabriciusa. Zobaczyłem człowieka ponurego i poważnego, przerażonego waleniem się wszystkiego w gruzu. Niechętnego życiu.

Było to miasto światowe, miasto świątłych ludzi, a zarazem pokojowe i wolne od nienawiści, która dojrzewała poza jego murami.

Eloi nalewa mi wody, żebym mógł mówić dalej. Nie otwiera ust, smakuje w milczeniu każde słowo, jego oczy iskrzą w mroku jak u kota.

— Ursula była dziwną kobietą, zaczarowaną. Krucze włosy, ostry nos, twarz surowa i zarazem zmysłowa. Nie byliśmy w stanie przedłużyć udawania: wzajemna pasja pochwyliła nas, oszołomiła od razu. Ona też miała za sobą jakieś przeżycia, nie wiedziałem, skąd przybyła, jej akcent nic mi nie mówił, i nie chciałem wiedzieć; było ot tak, po prostu. Zbliżała się po cichu, skradając się w milczeniu jak kotka, przyciskała piersi do moich pleców i czułem wtedy jej pożądanie. Tym, co przyciągało nas do siebie, była owa niepewność, niewiedza. Gdybyśmy byli gdzie indziej, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

— Kochałeś ją? — Jego głos brzmi ochryple.

— Myślę, że tak. Tak, jak się kocha, gdy nie robi się żadnych planów i ma się tylko wieczną terażniejszość, bez przyrzeczeń. Bóg nie miał już żadnego znaczenia dla nas obojga: nasze żywoty zostały wyrzeźbione do końca, być może i ona nosiła wspomnienie jakiejś katastrofy, jakiegoś przerażającego nieszczęścia. Być może i ona już kiedyś umarła. Często w nocy, po stosunku, wydawało mi się, że czytam to w jej oczach... ten ból. Tak, naprawdę się kochaliśmy. Była jedyną osobą, której powierzałem wszystkie moje wrażenia dotyczące osób, wśród których kręciłem się za dnia. Nie mówiła nic, słuchała z uwagą, potem nagle pieczętowała mój niepewny sąd lapidarnym zdaniem, które po chwili dzieliłem z nią w pełni, tak jakby odczytała je w moich myślach, jakby rozumowała szybciej niż ja. I jestem przekonany, że tak było. Nie miała szalonej odwagi Otylii, jeśli nawet czasami w jej gniewie odnajdywałem niepokój tamtej wspaniałej kobiety, żony mojego mistrza. Była inna, ale równie niezwykła; należała do istot, za które chce się dziękować Bogu, że pozwolił ci chodzić po ziemi u ich boku.

Wpatruję się w zmierzch, który wchodzi do gabinetu, i wyławiam z niego to jej giętkie ciało.

— Wiedzieliśmy to od pierwszej chwili. Że pewnego dnia zbudzimy się, każde gdzie indziej, dalecy sobie bez konkretnego powodu, przemierzający kręte ścieżki naszych żywotów. Ursula była jedną z pór roku, piątą porą duszy, w połowie jesienią i w połowie wiosną.

Rozdział 14

Antwerpia, 6 maja 1538 roku

Nowe dłuto pracuje cudownie. Balthasar nie tracił czasu, sprawił, że znalazłem je właśnie tego ranka na stole w gabinecie. Czubek podważa strużynki drewna jak łyżka masło, podczas gdy niedowierzające oczy Eloi śledzą każde uderzenie młotka, każdy wiórek spadający na podłogę, każdy szczegół katedry w Strasburgu, która wyłania się z wypukłości płaskorzeźby.

— Naprawdę to godne uwagi — komentuje, ściągając wargi. — Gdzieś się nauczył tak dobrze posługiwać dłutem?

— Więcej wysiłku włożyłem w sprawne władanie mieczem niż tym — odpowiadam, unosząc zaostrzone narzędzie. — To było w Strasburgu. Pracowałem jako zecer w miejskiej drukarni. Był tam gość, który ilustrował książki. W czasie przerw odkładał na bok płytki i rylce i brał do ręki dłuto do żłobienia. Zrobił portrety nam wszystkim i każdemu podarował w dziesiątkach egzemplarzy. Powtarzał ciągle, że piękna rzecz nigdy nie powinna pozostawać unikatem. To on nauczył mnie rzeźbić w drewnie.

Eloi przez chwilę przygląda się rysunkowi, potem wskazuje datę w rogu.

— Widzę, że przerwałś to zajęcie dawno temu.

Wzruszam ramionami.

— No wiesz, byłem ciągle w ruchu. Utrzymywałem się w formie, rzeźbiąc figurki, które dawałem potem dzieciom. W Münsterze wróciłem nawet do tego. A potem, cóż — uśmiech pokrywa usprawiedliwienie — gdzieś tam pogubiłem narzędzia.

Eloi wychodzi i po chwili wraca z butelką nalewki. Wiem już dobrze, co to oznacza. Podaje mi pełny kieliszek.

— Nie wiedziałem, że zdobyłeś w Strasburgu nowy zawód.

— Dzięki Cellariusowi. Zawsze przyciągały mnie pracowicie drukarzy. Książki mają w sobie szczególnie urok.

Dłuto wydobywa jeszcze parę wiórków. Pora na mały nożyk do najdrobniejszych detali. Eloi milknie, żeby śledzić kolejne fazy pracy, potem odzywa się znowu:

— Wytłumacz mi coś. W Strasburgu znalazłeś pewien spokój, serdecznego przyjaciela, pełną życia kobietę, zawód. Dlaczego tam nie zostałeś?

Odpowiadam powoli, spoglądając mu w oczy:

— Słyszałeś kiedy o Melchiorze Hofmannie?

Tym razem robi niedowierzającą minę.

— Nie powiesz mi, że jego również poznałeś?

Kiwam potakująco głową, bez słowa, śmiejąc się z jego reakcji.

— Można powiedzieć, że on dostarczył mi tylko ostatecznego powodu do wyjazdu. Bo w tamtym okresie wydarzyło się już wiele rzeczy.

Przyląpuję się na tym, że zaczynam znajdować przyjemność w opowiadaniu. Cieszy mnie tworzenie nastroju oczekiwania, zainteresowania. Także Eloi musiał zauważyć zmianę. Co jakiś czas pomaga mi znaleźć słowo, kiedy indziej, jak tym razem, czeka w milczeniu, aż sam rozpocznę opowieść.

— W miarę upływu miesięcy Ursula zaczęła coraz bardziej niecierpliwie reagować na atmosferę panującą w mieście. Powtarzała mi, że w Strasburgu żyje mnóstwo ludzi mających nowatorskie, błyskotliwe poglądy, ale tym, co odróżnia to miasto od innych niemieckich miast, jest jedynie możliwość wyrażania owych poglądów w uczonej i wyrafinowanej szacie. Jej bitewnym okrzykiem stało się zawołanie: „W Strasburgu herezja jest samym życiem”.

Podnoszę oczy znad precyzyjnego reliefu rozety na frontonie katedry. Eloi słucha, podparłszy brodę wierzchem dłoni. Przyjemność, jaką daje mi powrót do dawnej rozrywki, rozwiązuje język lepiej niż nalewka.

— Chodziła po placach, dając przedstawienia, a zwłaszcza wykonując tańce uważane za lubieżne albo prostackie, grając na lutni i śpiewając uliczne śpiewki. Wciągnęła w to i mnie.

Eloi śmieje się z zadowoleniem. Stawia kieliszek na stole.

— Słyszałem, jak coś tam śpiewałeś przy naprawianiu płotu. Jeśli waszym celem było sianie niepokoju wśród ludzi, Ursula dobrze zrobiła, werbując cię do tego.

— Nie, nie było żadnych śpiewów, na litość boską! Zaczynałem jako murarz. Pierwszą akcją, jaką wymyśliliśmy, było wkroczenie nocą do kościoła i zamurowanie wejścia na schody prowadzące na ambonę. Na murku wydrapaliśmy nawet zdanie Cellariusza: „Nikt nie może mówić mi o Bogu lepiej niż moje serce”.

Nalewka zaczyna jednak wywierać swój wpływ. Dłuto ucieka mi kilka razy z rowka, aż w końcu odcinam gładko kawałek dzwonnicy. Trzeba go będzie przykleić.

— Najładniejszy ze wszystkich był jednak z pewnością żart, który wycieliśmy pani „Dobre Serduszko”, Carlotcie Hasel. Musisz wiedzieć, że Carlotta Hasel była w mieście jedną z wielu dam, które urządziły w swoim domu jadalnię dla ubogich i włóczęgów. Kazała im modlić się i jeść, pić i śpiewać psalmy.

— Niestety znam ten rodzaj ludzi.

— Ursula nie mogła nawet słuchać jej nazwiska. Nienawidziła jej. W ten szczególny sposób, w jaki tylko kobieta może nienawidzić inną kobietę. Poza tym pani Dobre Serduszko uważała biedaków za świętych. Jej motto brzmiało: „Dajcie im chleba, a będą chwalić Boga”. Ursula miała na ten temat całkiem odmienne zdanie. Mawiała, że jeśli ktoś nie ma nic, to jak już napełni sobie żołądek, do głowy przychodzi mu co innego niż modlitwa; pragnie pić, spółkować, bawić się, żyć. Można by powiedzieć, że wobec wymowy faktów jej teoria okazała się dużo trafniejsza.

— Jakich faktów?

— Myślę o kolosalnej orgii, jaką wyprawiliśmy w salonie pani Hasel.

— Nie wiem, co bym dał za możliwość uczestniczenia w takim dowodzie prawdy! — wykrzykuje rozbawiony Eloï. — Mimo wszystko nie pojmuję, co ta historia może mieć wspólnego z Melchiorem Hofmannem.

Chwila skupienia przed ostatnim dotknięciem dłuta. Zdmuchuję trociny i podnoszę tabliczkę na wysokość oczu.

— Ciężko ci będzie uwierzyć, przyjacielu, ale w końcu także Melchior Wizjoner stał się aktorem jednego z widowisk uznanej kompanii teatralnej Lienhard i Ursula Jostowie.

Rozdział 15

Antwerpia, 6 maja 1538 roku

— To nie jest czas proroków zapowiadających Apokalipsę. Ostatniego ścieżki miesiąc temu na moich oczach w Vilvoorde. Ale w ciągu tych dziesięciu lat poznałem naprawdę wielu, na każdym rogu ulicy, we wszystkich domach publicznych, w najbardziej oddalonych kościółkach. Moje wędrówki usiane były takimi spotkaniami aż tak bardzo, że mógłbym napisać o nich rozprawę naukową. Niektórzy byli tylko szarlatanami i aktorami, inni szczerze wierzyli w tę swoją trwożę, ale tylko nieliczni mieli zadatki na proroków... geniusz, natchnienie, odwagę malowania na nowo w ludzkich duszach wielkiego fresku świętego Jana. Byli to ludzie umiejący znaleźć właściwe słowa, tworzyć złudzenie sytuacji, sugerować znaczenie pewnych momentów i kierować uwagę ku nadejściu nieuchronnego, a raczej już obecnego Dnia Sądu. Szaleńcy, tak, ale zręczni. Nie wiem, czy to Bóg czy szatan sugerował im wizje i słowa, ale to bez znaczenia. Nie przywiązywałem wagi do tego wtedy, tym bardziej obecnie. Frankenhausen nauczyło mnie, żeby nie czekać na anielskie zastępy: żaden Bóg nie zstąpi, aby wspomóc nędzarzy. Musieli pomagać sami sobie. A prorocy Królestwa byli ludźmi, którzy umieli poderwać ich jeszcze do walki i dać im ideę, dla której warto było walczyć, nadzieję na to, że ich sprawy nie będą tak wyglądać po wieczne czasy.

— Chcesz powiedzieć, że podjąłeś znowu walkę?

Eloi wydaje się zdumiony. Wypijam łyk wody, żeby przepłukać sobie gardło.

— Nie wiedziałem, co przyjdzie mi robić. Ja i Ursula zaczęliśmy nienawidzić tych teologów, którzy gadali, gadali, pozowali na wielkich myślicieli chrześcijaństwa, dyskutując o mszy i eucharystii w salonach bogatych strasburczyków. Ich tolerancyjność była luksusem dla zamożnych ludzi, którzy nigdy nie wyszliby poza przyznanie biednym

prawa do miski zupy. Obrastający w tłuszcz sklepikarze mogli sobie pozwolić na utrzymywanie tej bandy doktorów, a nawet wspierać ich wielkoduszość względem heretyków, ponieważ byli bogaci. To właśnie bogactwo gwarantowało Strasburgowi świetną reputację. I ta sława przyciągała tam ludzi wykształconych i studentów. — Uśmiecham się szyderczo. — Przerazili się, och, przerazili się naprawdę, kiedy daliśmy im do zrozumienia, że ci biedni, ci upokorzoni, których dla uspokojenia swoich sumień chcieliby wspomagać okazała jałmużną, pragną pozbawić ich sakiewki, a nawet mają ochotę popodrzynać im te gładkie, białe gardła. Nie trzeba było długo czekać, aby Fabricius i Bucer odpowiedzieli na nasze prowokacje, wprowadzając subtelne rozróżnienia między baptystami „pokojowymi” i baptystami „buntowniczymi”. My należeliśmy oczywiście do tej drugiej kategorii.

Eloi uśmiecha się krzywo, być może myśli o swojej Antwerpii, ale mi nie przerywa.

— Nie chodziło o wszczynanie na nowo przegranej wojny. Byłoby to głupota. Ale Ursula wskrzesiła mnie, tak jakbym wyskoczył z jej brzucha i urodził się po raz drugi. Postanowiliśmy naciągać tę strunę, jątrzyć obłudną filantropię tych ludzi, póki nie pokażą, kim są naprawdę — bandą bogaczy przywiązanych do złota, poprzebieranych za miłosiernych chrześcijan. Był to jeden z najbardziej beztroskich okresów mojego życia.

Milknę, żeby zaczerpnąć powietrza, może nawet czekam na jakieś pytanie, żeby podjąć wątek. Eloi zadaje mi je.

— Jak długo to trwało?

Zmuszam pamięć do wysiłku.

— Około roku. Potem, na wiosnę dwudziestego dziewiątego, przybył do Strasburga człowiek, który popchnął mnie do wyruszenia w drogę. Teraz gnije w więzieniach tego miasta: popełnił fatalny błąd, stawiając w nim nogę po tym, cośmy wykombinowali.

— Melchior Hofmann.

— A któż by inny? Jeden z najbardziej ekstrawaganckich proroków, jakich kiedykolwiek spotkałem, jedyne w swoim rodzaju pod względem szaleństwa i sztuki krasomówczej, ustępujący tylko wielkiemu Matthijsowi.

— Zamieniam się w słuch.

Popijam znowu i odtwarzam w pamięci tę odległą już twarz.

— Hofmann był kiedyś kuśnierzem. Pewnego dnia doznał olśnienia „w drodze do Damaszku” i wziął się do wygłaszania kazań. Kręcił się koło Lutry dopóty, dopóki nie otrzymał od niego pisemnej rekomendacji do wspólnot północnych Niemiec. Jego podpis otworzył mu drogę do krajów nadbałtyckich i do Skandynawii, gdzie zdobył pewien rozgłos i nawet miał naśladowców. Bardzo dużo wędrował

po północnych regionach. Pewnego dnia doszedł do przekonania, że królestwo świętych i nadejście Chrystusa jest już bliskie, i zaczął wzywać do pokuty i porzucenia wszelkich dóbr ziemskich. Nie trzeba było długo czekać, żeby Luter go potępił. Mówił mi, że wygnano go z Danii z zapewnieniem, że jeżeli postawi tam jeszcze nogę, zatkną jego głowę na pal. Był rzeczywiście genialnym szaleńcem. Znał dobrego starego Karlstadta i podzielał jego pogląd w sprawie całkowitego odrzucenia przemocy. Przybył do Strasburga przekonany, że jest prorokiem Eliaszem poszukującym męczeństwa, które potwierdziłoby bliskie zstąpienie Pana. Zakochał się natychmiast w miejscowych anabaptystach i zdołał zrazić do siebie wszystkich reformatorów luterzańskich, najpierw Bucera, potem Fabriciusa i całą resztę. Ursula i ja zrozumieliśmy natychmiast, że jest to gość, jakiego szukamy, żeby wysadzić całe miasto w powietrze. Wszystko poszło jak po maśle, nie musieliśmy nic uzgadniać; w trakcie pewnej kolacji zaimprovizowaliśmy wstrząsające objawienia, ona podnieciła się do tego stopnia, że osiągnęła ekstazę na jego oczach, podczas gdy ja opowiadałem mu, jak to bogacze i możni zostaną zmiażdżeni furią Pana. W następnych tygodniach dyktowaliśmy mu krok po kroku nasze wizje, z których nie uszło jego uwagi nawet jedno słowo. Kiedy wszystko było gotowe, znalazłem sposób, żeby wydrukować to, co napisał: dwa traktaty z prococtwami Ursuli i moimi. Zabrał się do wygłaszania kazań na głównym placu. Ktoś napluł mu w twarz, ktoś inny próbował go poturbować, a jeszcze inni zorganizowali napad na lombard, żeby rozdać łupy biedakom. Kiedy pisma zostały rozpowszechnione przez księgarzy, Bucer zaczął zabiegać o uwięzienie go. Nastąpiły dni zamieszania. Dla mnie był to ognisty rok, czułem, że krew wrze mi w żyłach, że struna zaraz pęknie. I tak się stało na początku roku trzydziestego, jeśli dobrze pamiętam. Hofmann kazał się powtórnie ochrzcić i wygłosił po raz ostatni kazanie, ogłaszając bliskość królestwa Chrystusa, wyrzucając przywiązanie do dóbr ziemskich i żądając, żeby anabaptyści mogli korzystać z jednego z miejskich kościołów. Była to kropla, która przelała kielich. Bucer wywarł bardzo silną presję na radę, żądając usunięcia go z miasta. Na Wielkanoc otrzymał nakaz opuszczenia Strasburga. Gdyby nie posłuchał, mieli go wywalić z wielkim hukiem. Także dla mnie powietrze zrobiło się zbyt duszne. Cellarius nie mógł już nas wybronić przed gniewem Bucera i Fabriciusa; był ze mną szczery i świadom tego, że znowu mnie traci, tym razem może na zawsze. Sam wybrałem dla siebie ten los, stary Martin nie mógł nic dla nas zrobić. Uściskałem go i pożegnałem, tak jak zrobiłem przed laty w Wittenberdze, żeby udać się na poszukiwanie mistrza i nowego przeznaczenia. Stary przyjaciel, kto wie, co go spotkało, może jest

jeszcze w Strasburgu albo dyskutuje o teologii w jakimś nowym uniwersytecie.

Wzruszam ramionami i przepędzam smutek. Przysłuchujący się uważnie Eloi chce się dowiedzieć, jak to się skończyło.

— Postanowiłem iść z Hofmannem. Do Emden we wschodniej Fryzji. Południowe Niemcy były straconą dla nas, opustoszałą krainą, którą chętnie zostawiłem na pastwę wilków i Lutra. Z Niderlandów wydalono wielu za ich religijne przekonania, byli to nowi ludzie, o wiele słabiej uczeni habitu Lutra niż ci ze Strasburga. Był ferment, było to miejsce, w którym mogły się wydarzyć różne rzeczy. Wsiadłem na dobrego konia, jakim był mój szwabski Elias, prorokujący bliskie nadejście Chrystusa i przemawiający przeciwko bogatym. Był to rumak trudny do prowadzenia, lecz wystarczająco ognisty, żeby udało się odnieść sukces.

— A Ursula?

Chwila milczenia wystarczy, aby pożałował tego pytania, jest już jednak za późno. Wzdycham znowu na wspomnienie tej kobiety.

— Minęła wiosna, którą mi dała. Aby zrobić miejsce dla nowego roku.

Rozdział 16

Strasburg, 16 kwietnia 1530 roku

Eksploduję w jej wnętrzu, nie mogąc powstrzymać krzyku, który stapia się z jej krzykiem. Rozkosz wstrząsa moim ciałem tak, że skręcam się jak sucha gałąź w ogniu. Kładzie się na mnie, wilgotna od potu, spowija mnie falą czarnych włosów, zapach cielesnych sekrecji mam na ustach, na rękach, jej biust przylega do mojej piersi. Wyciąga się obok mnie, biała i cudowna, słyszę, że jej oddech się uspokaja. Sięga po moją dłoń gestem, który nauczyłem się rozumieć, i przenosi ją między swoje uda, żebym jednym delikatnym chwytem objął jej organ, który jest jeszcze napięty. Ursula jest czymś, czego nie doświadczę już nigdy: jest Melancholią wyrzeźbioną w duszy i w ciele.

Nieruchomy wzrok skupia się na belkach sufitu. Nie potrzebuję nic mówić, także teraz wie wszystko jaśniej i klarowniej niż ja.

— Postanowiłeś z nim iść.

— Do Emden, na północ. Hofmann powiada, że zbierają się tam uciekinierzy z Holandii. Szykują się wielkie sprawy.

Przekręca się na bok twarzą do mnie, ofiarowując mi swoje błyszczące oczy.

— Sprawy, dla których warto umrzeć?

— Sprawy, dla których warto będzie żyć.

Jej wskazujący palec sunie po krzywiznach mojej twarzy, po rudej brodzie, schodzi na pierś, zatrzymuje się na bliźnie, potem na brzuchu.

— Ty przeżyjesz.

Spoglądam na nią.

— Ty nie jesteś taki jak Hofmann... nie spodziewasz się niczego. Masz w oczach klęskę, rozpaczliwą klęskę, ale to nie rezygnacja cię dreczy. Tylko śmierć. Już raz wybrałeś życie.

Potakuję milcząco, mając nadzieję, że znowu mnie zadziwi.

Uśmiecha się.

— W ziemskim cyklu każda istota idzie za swoim przeznaczeniem. Twoim przeznaczeniem jest żyć.

— Jestem to winien także tobie.

— Ale wiesz, że ja nie pójdę.

Nie mam pojęcia, czy to smutek, czy wzruszenie, brak mi słów. Wzdycha pogodnie.

— Melancholia. Tak nazywał mnie mój mąż. Był lekarzem, człowiekiem bardzo wykształconym, on też kochał życie, ale nie tak jak ty, on kochał jego sekrety, chciał pojąć tajemnicę natury, kamieni, gwiazd. Spalili go za to. Wierna żona poszłaby może za nim. Ale ja uciekłam, wybrałam życie. — Gładzi mnie pieszczotliwie po twarzy. — Ty też je wybierzesz. Pójdiesz za swoją gwiazdą.

Rozdział 17

Antwerpia, 10 maja 1538 roku

Płot wokół ogrodu jest gotowy. Wszyscy mnie chwalą. Nikt nie pyta, kim naprawdę jestem, co robiłem, zanim trafiłem tutaj... Jestem jednym z nich: bratem wśród innych braci.

Magda, córka Kathleen, w dalszym ciągu przynosi mi prezenty; Balthasar co najmniej dwa razy dziennie pyta, jak się miewam... niczym chorego w trakcie rekonwalescencji.

— Jeszcze żyję — odpowiadam, żeby go rozśmieszyć. To dobry człowiek, stary anabaptysta; wydaje się, że jego zadaniem jest szukanie amatorów na wyroby, które tu się wytwarza, i dobrze mu się to udaje.

Ja też staram się nie zadawać pytań, uczę się czegoś codziennie, przyglądam się po cichu tym ludziom.

Zapytałem Kathleen o ojca jej córki. Powiedziała mi, że dwa lata temu wsiadł na statek i słuch o nim zaginął. Może utonął razem ze statkiem, może porzucili go na jakiejś wrogiej wyspie albo żyje zdrów i cały w pałacu ze złota i diamentów w królestwie Indii. Los, którego ja sam szukałem, zanim natrafiłem na tych mężczyzn i te kobiety.

Eloi pobudza mnie łagodnie, interesuje go dalszy ciąg mojej historii; jasne, chce usłyszeć o Münsterze. To Miasto Szaleńców przyciąga urokiem fantastycznych rzeczy, nazwa ta wciąż przyprawia o dreszcz, a jakiś czas temu brzmiała jak trzęsienie ziemi. Wyciągnął już wszystko od Balthasara, ale ja jestem tym, który przeszedł tę ścieżkę do końca: Gert ze Studni był tam bohaterem, namiestnikiem wielkiego Matthijsa, najlepszym w represyjnych akcjach, w łupieniu obozowiska biskupa, w propagowaniu ulotek i posłania baptystów. Balthasar musiał mu powiedzieć także i o tym.

Tak, Gert Boekbinder hartował żelazo własnymi rękami.

A potem pewnego dnia odszedł bez słowa, zmęczony, zniechęcony, świadom tego, że pod Nowym Jeruzalem otworzyła się otchłań horroru.

Gert myśli znowu o dzieciach-sędziach, o tym, jak unosiły wskazujące palce. Rozmyśla o zmarłych z głodu, którzy wlekli się jak białe gaśienice po śniegu. Odczuwa na nowo skurcze wygłodzonego żołądka i uniesienie, jakiego doświadczył w tym ostatnim porywie, już za murami, gdy szedł ku niegodziwości świata, ale był coraz dalej od wszechogarniającego krwawego delirium.

A jednak tam, za murami, nie odnalazł Eloi Pruystincka, który czekał go z otwartymi ramionami, ale nową krew i nowe wizje chwały i śmierci. Gert upadł znowu, zwerbowany do Ostatniej Bitwy, z wypalonym na przedramieniu znakiem wybranych. Ujrzał ponownie tę samą wytartą chorągiew, powiewającą za plecami Batenburga Straszliwego, i nie zdołał się zatrzymać. Zakochał się w tej krwi i szedł dalej, szedł dalej.

Szedł dalej.

Eloi ma zaciekawioną minę, którą już znam; dolewa sobie i mnie po kropelce nalewki ułatwiającej snucie opowieści.

Podaję wątek wspomnień.

— Wyruszyliśmy z Hofmannem na północ, z biegiem Renu, na kupieckiej barce. Minęliśmy Wormację, Moguncję, Kolonię, aż doплыliśmy do Arnheim. Udało mi się wymóc na moim towarzyszu podróży milczenie, dopóki nie znaleźliśmy się we Fryzji; nie chciałem ryzykować zatrzymania się w drodze. Kosztowało go to drogo, ale dotrzymał słowa. Porzuciwszy Ren, ruszyliśmy dalej na piechotę albo na grzbiecie muła, ciągle ku północy. Posuwaliśmy się od wsi do wsi wzdłuż granicy z Niderlandami, w kierunku wiejskich okolic wschodniej Fryzji. Hofmann odwiedził już te ziemie w czasach, gdy był wędrownym predykantem, i także teraz nie powstrzymał się od pouczania wieśniaków o koniecznych wyborach, jakich dopełnianie się czasów wymaga od każdego chrześcijanina — iść śladem Chrystusa, biorąc przykład z jego życia. Chrzcił ich wszystkich ponownie niczym nowy Jan Chrzciciel. Jednocześnie przedstawiał mi sytuację w Emden, najbliższym celu naszej wędrowki. W mieście tym przebywało wielu uciekinierów, przede wszystkim holenderscy sprzyśżeni, jak ich nazywał, którzy nie uznawali sakramentów Kościoła rzymskiego i nie wierzyli w przemianę eucharystyczną. A to, tłumaczył, stawia ich dalej jeszcze niż Lutra, otwierając im widok na świetlaną obietnicę tysiącletniego panowania Chrystusa. Opisywał ich jako spuszczone z łańcucha psy, oczekujące proroka, który

przyniósłby im posłanie nadziei i światło odnowionej wiary. Określał tę podróż jako „naszą pustynię”, która miała nas zahartować, wystawiając na próbę wiarę i doskonaląc poznanie zamiarów Pana przez absolutne posłuszeństwo Chrystusowi. Pomagałem mu, nie próbując opierać się urokowi, jaki jego słowa wywierały na prostych ludzi; byłem doprawdy zdumiony ich siłą. Nie powiedziałem mu, że walczyłem u boku Thomasa Müntzera; nie pozwalało mi na to głoszone przez niego potępienie przemocy. Za każdym razem, gdy prowokowałem go, wskazując na możliwość, że Chrystus mógłby wezwać swoje zastępy wybranych, aby wytepiły podłych bezbożników, ucinał lapidarnym stwierdzeniem: „Kto sięga po miecz, od miecza zginie”. Do Emden dotarliśmy w czerwcu. Było to małe, chłodne miasteczko, port przeładunkowy dla kupieckich statków między Hamburgiem i miastami holenderskimi. Jak to zapowiedział Hofmann, żyła tu liczna grupa przybyszów zza granicy. Rządzący władca, hrabia Ennius II, pozwalał, aby na jego ziemiach idee reformatorów Kościoła rozwijały się własnym torem, i nie próbował przeszkadzać w żaden sposób. Mój Eliasz od pierwszego dnia zabrał się do wygłaszania kazań na ulicach, skupiając wokół siebie powszechne zainteresowanie. Było jasne, że inni predykanci nie mają szans z nim konkurować, zjadłby ich w kaszy. W ciągu paru tygodni ochrzcił co najmniej trzysta osób i mógł już założyć wspólnotę, która gromadziła niezadowolonych najróżniejszych stanów i rozmaitego pochodzenia. Byli to przede wszystkim ludzie, którzy opuścili Kościół papieski, a nie zadowalał ich Kościół luterański, który nie miał wprawdzie księży i biskupów, ale szczylił się hierarchią teologów i doktorów, nieróżniącą się zbyt od tej, którą chciał obalić. Prawie od razu przyłgnęła do nas zaszargana opinia anabaptystów, i to śmiertelnie przeraziło władze miejskie. Wokół mnie działy się różne rzeczy, czułem, że ziemia drży pod stopami, a w powietrzu unosi się wrażenie czegoś dziwnego. Nie, nie zaraziłem się od mojego towarzysza wędrówki. Było to ciężenie wydarzeń, wołanie życia, o którym mówiła mi Ursula. Dlatego też postanowiłem zostawić Hofmanna jego losowi i podążyć własną drogą. Drogą, która miała zaprowadzić mnie jeszcze w inne miejsca, w sam środek burzy. Nie umiałbym powiedzieć, czy to ja sam wybrałem los rzucający mnie w stronę granicy, którą miałem przekroczyć, czy też porwało mnie ze sobą to wielkie zawirowanie. Władze Emden wydalily Hofmanna jako podżegacza. Powiedział mi, że być może wróci tam, skąd przybył, żeby dalej pisać, jako że tu, na północy, wypełnił już swoją misję. Powierzył kierownictwo nowej wspólnoty niejakiemu Janowi Volkertszowi, który miał przydomek „Trijpmaker”, ponieważ z zawodu zajmował się wyrabianiem drewnianych trepów. Ten Holender z Hoornu nie

był wielkim mówcą, ale znał Biblię i tak jak jego poprzednik był przedsiębiorczy i miał smykałkę do tworzenia właściwego nastroju. Pożegnałem starego Melchiora Hofmanna u bramy miejskiej, gdy wyrzucano go pod eskortą z obrębu murów Emden. Uśmiechał się, naiwny i pełen zaufania jak zawsze, wyjawiając mi półgłosem, że Dzień Sądu nadejdzie nie później niż w ciągu trzech lat. Także i ja posłałem mu ostatni uśmiech. I takim go pamiętam, jak pozdrawia mnie z daleka i niknie w oddali, klusując na chudym mule.

* * *

Wciąż nie jest dla mnie jasne, czego szuka ten Eloï. Siedzi milcząco za stołem, zasłuchany w opowieść, może nawet z otwartymi ustami, w półcieniu, który uniemożliwia mi śledzenie wyrazu jego twarzy.

Mówię dalej, już się zdecydowałem dobrnąć do końca, gotów zdumiewać go każdą stronicą tej niezapisanej kroniki.

— Spotkałem Melchiora Hofmanna dopiero po dwóch latach, gdy przybył do Holandii, żeby zebrać żniwo tego, co sam zasiał. Ale opowiadałem ci o Emden. Zostałem tam z Trijpmakerem, żeby kierować losami wspólnoty anabaptystów, i przed Bożym Narodzeniem dotarło do nas polecenie opuszczenia miasta. Nie byłem tym zmartwiony: czułem, że powinienem wyjechać, że nie mogę już dłużej tkwić w tym północnym porcie. Postanowiliśmy nocą, z determinacją i duchem ludzi, którzy nie lekają się wielkich przedsięwzięć, że będą to Niderlandy. Miejsce to, wraz z wygnańcami, którym stopniowo udawało się przekraczać granicę i wracać do miast swego pochodzenia, otwierało się przed nami jako niewyeksplorowane terytorium, gotowe przyjąć nasze posłanie wraz z wyzwaniem, jakie rzucaliśmy legalnym władzom. Nic nie było w stanie nas powstrzymać. Trijpmaker traktował to jako misję, tak jak wcześniej Hofmann. Dla mnie był to kolejny kopniak wymierzony widnokręgowi, sposób na przesunięcie go dalej; nowa ziemia, nowi ludzie. Postanowiliśmy udać się do Amsterdamu. Po drodze Trijpmaker miał mnie nauczyć paru zdań po holendersku, żebym był w stanie się porozumieć, ale to on miał wygłaszać kazania i chrzczyć. Zaczął działać natychmiast: jeszcze przed opuszczeniem Emden ochrzcił pewnego krawca, niejakiemu Sicke Freerksa, który miał wrócić do swojego rodzinnego miasta, Leeuwarden w zachodniej Fryzji, z zadaniem stworzenia wspólnoty braci; w marcu następnego roku znalazł tam śmierć z ręki kata. Podczas gdy wędrowaliśmy na południowy zachód, przechodząc przez Groningen, Assen, Meppel, aż do Holandii, Trijpmaker objaśniał

mi sytuację w jego kraju. Niderlandy stanowiły handlowe i rękodzielnicze centrum cesarstwa, stąd cesarz czerpał większość swoich dochodów. Portowe miasta cieszyły się pewną autonomią, której musiały jednak bronić pazurami przed centralizacyjnymi dążeniami cesarza. Karol V wciąż anektował nowe terytoria, każąc swoim wojskom buszować po kraju z wielką szkodą dla handlu i upraw. Skądinąd ten Habsburg zdawał się przedkładać słoneczną Hiszpanię nad rodzinne strony, toteż obsadził swoimi urzędnikami wiele ważnych stanowisk i ustanowił cesarski rząd w Brukseli, aby następnie wyjechać i przebywać głównie na południu. Kościół w tej części Europy znajdował się w najtragiczniejszym stanie, jaki tylko można sobie wyobrazić: rządziła religia obżerania się na koszt chłopów, zwyrodnienie nastawionych na zys klasztornych zakonów i biskupstw. Nie było żadnego duchowego przewodnictwa i liczni wierni zaczęli opuszczać Kościół, żeby łączyć się w świeckie bractwa, które prowadziły wspólne życie i studiowały Pismo Święte. Ci właśnie ludzie mogliby przyjąć jako pierwsi nasze posłanie. Idee Lutra rozprzestrzeniły się wśród pospółstwa, a także wśród kupców, którzy bogacili się jego kosztem. Wydarzenia w Niemczech odbijały się tu dalekim echem, posłuszeństwo, do jakiego zostali na nowo przymuszeni chłopci niemieccy, nie mogło dotyczyć robotników holenderskich manufaktur, tkaczy, cieśli portowych i rzemieślników tych rozwijających się stale miast. Zreformowana religia Lutra niosła ze sobą nowe dogmaty, nowe religijne władze, które zrażały wierzących w sposób trochę tylko bardziej umiarkowany od tego, co robili papieści. Równość w wierze i wspólne życie potrzebowały innych życiodajnych soków. My właśnie mieliśmy być ich źródłem. Zrobiła na mnie wrażenie ta arcyurodzajna ziemia. Przybywając z Niemiec, kraju ciemnych puszczy, byłem zdumiony zręcznością, z jaką mieszkańcy Niderlandów ujarzmiali naturę według swojej woli, wydzierając morzu każdą piędź uprawnej ziemi, żeby siać zboże, słoneczniki, kapustę. Młyny przy drodze w liczbie wprost zdumiewającej, ludzie pracowici, niezmordowani, rzucający wyzwania naturalnym przeciwieństwom i umiejący je przewyciężać. Miasto Amsterdam prezentowało się nie gorzej: targowiska, banki, sklepy, płatanina kanałów, port, każdy zakątek kipiał gorączkową działalnością. Były to pierwsze dni nowego roku tysiąc pięćset trzydziestego pierwszego i mimo ogromnych chłódów na ulicach i kanałach panował bezustanny ruch. Miasto porywające, w którym mógłbym się zagubić. Ale Trijpmaker znał kilku braci, którzy rezydowali tu od dłuższego czasu, i mieliśmy zacząć od nich. Nawiązaliśmy kontakt z pewnym drukarzem, żeby wydać kilka fragmentów pism Hofmanna, które Trijpmaker przetłumaczył na holenderski, a także ulotki do rozdawania. Zająłem się

tym, podczas gdy Trijpmaker myślał o zebraniu wszystkich swoich znajomych z miasta. Zostaliśmy dobrze przyjęci przez rzemieślników i robotników z manufaktur, ludzi niezadowolonych z biegu spraw. Wyczuwało się w powietrzu bliskie nadejście jakichś wydarzeń, które mogły rozegrać się w każdej chwili. W niecały rok zdołaliśmy zorganizować zwartą wspólnotę, władze zdawały się nie przejmować zbyt wiele tymi zapaleńcami anabaptystami, którzy gardzili zbytkiem i zapowiadali koniec świata. Czulem w głębi serca, że sprawy nie mogą toczyć się tak gładko przez dłuższy czas. Trijpmaker w dalszym ciągu prawił o łagodności, dawaniu świadectwa, pasywnym męczeństwie, tak jak nauczał Hofmann. Wiedziałem, że to nie może trwać długo. A gdyby władze postanowiły uznać nas za ludzi zagrażających porządkowi w mieście? Co by się zdarzyło, gdyby mężczyźni i kobiety, których przemienił w naśladowców Chrystusa, znaleźli się wobec zbrojnej siły? Czy naprawdę wierzył, że pozwoliliby się ukrzyżować, nie stawiając oporu? On był tego pewien. Poza tym czas był bliski, Hofmann przewidział nadejście Dnia Gniewu na rok tysiąc pięćset trzydziesty trzeci. Takim argumentem nie można było wiele przeciwdziałać, toteż wzruszałem ramionami i pozostawiałem wszystko tej jego niezachwianej wierze. W dalszym ciągu rośliśmy liczebnie, morale było wysokie, oddanie nowo ochrzczonych ogromne. Ze wsi wokół Amsterdamu dochodziły do nas nieporadnie pisane listy nowych adeptów, chłopów, stolarzy, tkaczy. Miałem wrażenie, że znajdują się w wielkim kotle z pokrywą, który prędzej czy później musi wybuchnąć. To było upajające. W końcu przemawianie przeciwko bogactwu w jednym z najbardziej lukratywnych miast Europy wywarło swój efekt. Jesienią tego roku trybunał w Hadze nakazał władzom Amsterdamu stłumić ruch anabaptystów i pojmać Trijpmakera.

Eloi nalewa mi wody.

— Zmęczyłeś się, chcesz iść spać?

Pytanie jest zawołaną prośbą o ciąg dalszy, on jest jak dziecko zauroczone opowieścią, jeśli nawet mówię mu o faktach, które zna.

— Chciałbym ci jeszcze opowiedzieć, co zrobili z Trijpmakerem i jak doszło do tego, że postanowiłem znowu wziąć do ręki miecz. Na początku chodziło tylko o obronę przed ludźmi, którzy chcieli mojej głowy. — Rozprostowuję ramiona i chichoczę szyderczo. — Potem spotkałem mojego prawdziwego Jana Chrzciciela, który miał mnie przekonać na nowo, że trzeba walczyć ze śmiertelnym jarzmem księży, szlachty i kupców. I zaiste zrobiłem to: wzięłem miecz i zacząłem. Nie żałuję tego. Ani wyboru, jakiego wówczas dokonałem,

w obliczu świętych głów, zatkniętych na czubku pala. Pierwszą była głowa człowieka, który przywiódł mnie do Holandii, być może opętanego szaleńca, głupca, który szukał męczeństwa i je znalazł. Ale to właśnie mu uczyniono.

Eloi wzdyga się, czując to niemal fizycznie.

— Tak, Trijpmaker sam wybrał sobie śmierć, tę Chrystusa. Gdyby chciał, mógł uciec: jeden z burmistrzów miasta, Hubrechts, stał po naszej stronie i aż do ostatniej chwili starał się przeszkodzić pojmaniu go. To on wysłał służącą do naszego domu, z ostrzeżeniem, że strażę zamierzają schwytać szefa wspólnoty. W jednej chwili zebrałem moje manatki i to samo zrobiło wielu innych. Ale on nie, nie Jan Volkertsz z Hoornu, rzemieślnik wyrabiający drewniane chodaki, który stał się misjonarzem. Usiadł i czekał; nie miał się czego bać, prawda Chrystusa była po jego stronie. Wraz z nim pojмали siedmiu innych i zawieźli do Hagi. Tam torturowano ich przez wiele dni. Mówią, że Trijpmakerowi przypalali genitalia i wbijali gwoździe pod paznokcie. Jediną rzeczą, której nie tknęli, był język, żeby mógł wyjawić imiona wszystkich pozostałych. I je wyjawił. Także moje. Nigdy go za to nie potępiałem, tortury łamią ducha najsilniejszych. Myślę, że rozpalone żelazo złamało jego wiarę, i nie ma tu miejsca na żadne urazy. Nikt z nas nie przypisywał mu winy, zdołaliśmy się uratować, było tam mnóstwo domów, które gotowe były nas ugościć pod swoim dachem.

— Ale rozprawili się z tymi ośmioma?

Potakuję skinieniem głowy.

— Tuż przed śmiercią odwołali wszystko, co zostało z nich wydarte torturami; nie wiem, na ile ta skromna pociecha pomogła im umrzeć w pokoju. Ich głowy odesłano do Amsterdamu i wbite na pale wystawiono na widok publiczny na rynku. Miało to jasną wymowę: kto pójdzie ich śladem, skończy tak samo. Był listopad albo grudzień trzydziestego pierwszego roku, najwyższy czas, aby Lienhard Jost wyciągnął nogi. To nazwisko przyciągało uwagę straży, tak jak gnój przyciąga muchy. Rodzina, która mnie ukrywała, udzieliła mi swojego nazwiska, podając mnie za kuzyna, który przed wielu laty wyjechał do Niemiec i właśnie wrócił. Nosili nazwisko Boekbinder, i kuzyn istniał rzeczywiście, tyle że zmarł w Saksonii, utonął w rzece po wywróceniu się promu, którym płynął. Miał na imię Gerrit. I w ten sposób zostałem cieniem Gerrita Boekbindera, dla krewnych po prostu Gerta. Na początku trzydziestego drugiego roku nadszedł list od Hofmanna. Siedział w Strasburgu, miał odwagę tam wrócić. Było oczywiste, że na wieść o tym, jak potraktowano Trijpmakera i innych, stary Melchior narobił pod siebie. List zapowiadał początek *Stillstandu*, zawieszenia chrztów w Niemczech

i w Niderlandach na co najmniej dwa lata. Od tej chwili zawsze już musieliśmy działać w ukryciu, czekając, że wody się uspokoją; żadnych zgromadzeń na placach w pełnym słońcu, żadnych odezw, a tym bardziej deklaracji wojny ze światem. Hofmann chciał, żebyśmy byli trzodą łagodnych, skrzętnych i niezbyt hałaśliwych predyktorów, gotowych iść po kolei na rzeź w imię Najwyższego. Tak mniej więcej pisał w tych miesiącach w Strasburgu. Jeśli chodzi o mnie, to nie było jeszcze jasne, co będę robił, ale nie umiałem już stać z założonymi rękami, kryjąc się jak zbity pies, jeśli nawet goszczący mnie ludzie byli uprzejmi i szczerzy. Pewnego dnia znalazłem w drewni stary zarzewiały miecz, pozostałość z wojny o prowincję Gelderland, zapewne z udziałem jakiegoś Boekbindera. Poczulem dziwny dreszcz, ujmując znowu prawdziwy oręż, i zrozumiałem, że przyszła chwila, żeby spróbować czegoś wielkiego, że trzeba skończyć wreszcie z tym pokojowym prozelityzmem, bo po drugiej stronie znajdowaliśmy zawsze tylko żelazo, halabardy żandarmów i topory katów. Ale wiedziałem, że sam nie zajdę daleko. Był to początek nowego biegu na oślep, czułem wewnętrzne podniecenie, miałem jasne spojrzenie i determinację, jakich nigdy dotąd nie doświadczałem; nie przerażała mnie świadomość, że ta awantura przerodzi się w wojnę, bo byłaby to jedyna wojna, jaką warto było prowadzić: wojna o wyzwolenie z opresji. Hofmann mógł sobie dalej fabrykować męczenników, ja czułem, że muszę szukać współników walki. Tylko w ten sposób mogłem pomieszać szyki wrogom. A teraz myślę, przyjacielu, że zostawię cię i pójdę do łóżka, musi być już bardzo późno. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, dokończymy opowieść jutro.

— Jeszcze chwilę. Balthasar nazywa cię Gertem ze Studni. Dlaczego?

Nic mu nie umknie, Eloi w każdym słowie dostrzega jakiś nowy wątek, wart prześledzenia.

Uśmiecham się.

— Jutro opowiem ci także o tym, jak bardzo przypadkowo mogą się rodzić przydomki i jak trudno jest się ich pozbyć.

Rozdział 18

Amsterdam, 6 lutego 1532 roku

Na szczęście łańcuch wytrzymał, a ja, uczepiony wiadra, dyndam jak wisielec. Instynkt, bardziej niż cokolwiek innego, instynkt; oberwałem w ucho, gdyby mnie lepiej trafił, leżałbym teraz bez ruchu na dnie... co za uderzenie, całkiem ogłuchłem, wszystko brzmi jak z daleka, krzyki, stołki latające w powietrzu, muszę się trzymać, utonę, jeżeli zemdleję, tu przynajmniej nie dostanę więcej, psiakrew, jest ich za dużo, a ja włożę w sam środek jak jakiś głupek, ujmuję się za gościem, którego nawet nie znam, ręce, muszą wytrzymać, ręce, bo inaczej polecę w dół, jak stąd wyleżę dostanę jeszcze, jak zostanie, prędzej czy później mięśnie puszcza, cholera, co za sytuacja, kręci mi się we łbie, bolą mnie plecy, wielkie to bydlę, sam nie dałbym mu rady, na pewno nie, jeżeli tam wrócę, to on mnie ukatrupi, ale zmasakrują tego biedaka, ilu ich jest? Trzech, czterech, kto miał czas ich liczyć, opadli mnie nagle, zaczęło się niespodziewanie, ten jeden zaczął bluźnić, że co robiły ich mamusie? Dawały dupy tym wieprzom, ale jakim? Nad głową przeleciał mi stołek, jakby trafił, byłbym załatwiony, no i wyciągają noże, wydawało się, że nie są uzbrojeni, pieprzone gnoje, do gospody wchodzi się na piwo, a nie żeby robić zadymy, co to, to nie, poblagować trochę, pogadać, co na rynku, ale ten typek wyjechał z tymi ich mamusiami, ręce, Chryste, ręce, na razie trzymam mocno, tak, mocno, ale nie wytrzymam długo, nie mogę się po prostu utopić, co to za pieprzona śmierć po tym wszystkim, co przeszedłem i z jakich opałów wychodziłem żywy, ale może tak, może taki będzie koniec, ratujesz się przed wojskiem, przed strażami, a potem zdychasz, topiąc się jak szczur, i to przez gówniarza, co nie umiał siedzieć cicho, mnie to nie dotyczyło, ale wtrąciłem się, a tu, kurwa, czterech na jednego, po jaką cholereę pobrzękiwali tymi wypchanymi sakiewkami, to jacyś upasieni ar-

matorzy, raz na rok dosiadają swoich niedoruchanych małżonek, a przez resztę dni pieprzą jakieś syfilityczne maciory, wyzyskiwacze, bez przerwy na kolanach przed ołtarzem i złote interesy, aż tu wyjeżdżają z tymi anabaptystami opłacanymi przez papieża, że anabaptyści to grubasy, których trzeba powyrzynać, a ich flaki rzucić psom, pewno mają niezłe charty w tych ich wiejskich chałupach, zasańcy z wypchanymi kabzami, anabaptyści, wspólnicy cesarza, co to wślizgują ci się do domu, żeby przekabacić żonę na dźwięk sztabki, trzeba wreszcie załatwić się z nimi, ręce, Chryste Panie, zaraz puszcza, po co właściwie się wtrącałem, zaczął ten chudy, co za wariat, nie powinien był się podnosić i spluwać im piwem w gębę, no i gadać o tych ich mamusiach, wiadomo, że to wielkie kurwy, ale nie było dwóch zdań, że go źle potraktują, do tej pory na pewno go wykończyli, żeby choć poprzestał na tym pluciu, był pijany jak wielu innych, ale nie chodziło o to, co powiedział, ale z tego powodu i ja się w to wpakowałem, z powodu tych wielkich słów, które sam chętnie bym im wyrąbał, o kurwa, ręce, ręce, muszę podciągnąć się jeszcze trochę, odwagi, dźwignąć się, nie mogę przecież skończyć na dnie tej obrzydliwej studni, nie mogę skończyć jak jakiś głupek, może on jeszcze żyje, może jeszcze coś im rąbnie, zanim wykopią go na dwór, dobrze im powiedziałaś, bracie, no bo tak, jesteś bratem, inaczej byś się nie podniósł i nie powiedział tego, coś powiedział, a ja nie zrobiłbym tego dla byle kogo, chciałbym móc ci to powiedzieć, nie wtrącałbym się z powodu byle wkurzonego anabaptysty, poznałem ich już aż za wielu, kolego kochany, ale ty masz jaja, w górę, na Boga, w górę, muszę stąd wyleźć, o tak, powoli, jeszcze trochę, już prawie, muszę się wydostać, kurwa, no, jestem na krawędzi, jeszcze podciągnąć się trochę, nareszcie.

Zrobiło się ich pięciu. Wydawało mi się, że jest ich czterech, przysięgam, zdawało mi się, że doliczyłem się czterech. Teraz jest ich pięciu, wszyscy naokoło niego, facet jest skończony, karczmarz leży na bruku podwórza, trzyma się za głowę, dzban, co go cisnąłem, rozleciał się na kawałki, ale zrobił swoje. A nieznanym przyjaciel stoi tam jak słup, z wyzywającą miną, jakby był mocniejszy od nich, no, to dalej, powiedz im coś, jak to było? Co im powiedziałaś, zanim świat zwalił mi się na głowę, zanim ten osiłek wrzucił mnie tam na dno?

Staję na cembrowinie i zaczynam wybierać łańcuch, nie słyszę nawet własnego wrzasku:

— Ej, coś ty powiedział... O Jezusie Chrystusie i zasranych przekupniach...!

Odwraca się, zaskoczony prawie tak samo jak i tamci. Wszystko nieruchomieje jak na drzeworytowej odbitce, chwięję się, ryzykując utratę równowagi, muszę wyglądać jak pieprzony głupek.

— No, całkiem się z tobą zgadzam! A teraz skorzystaj z rady konfratra i opuść głowę.

Olbrzym, który myślał, że mnie utopił, robi się fioletowy, zaczyna się skradać. No chodź, chodź, bo wyciągnąłem już prawie cały łańcuch i trzymam w garści wiadro, chodź tu, doskonale, jeszcze bliżej, żebym mógł utrać ci ten wielki świński łeb, co go nosisz na karku.

Głuchy dźwięk, suchy odgłos jednego tylko uderzenia, od którego gnie się metal i w powietrze leci deszcz zębów. Pada na ziemię jak pusty worek, bez jednego jęku, plując kawałkami własnego języka.

Zaczynam kręcić łańcuchem coraz mocniej, zaraz wam pokażę, szanowni panowie, jaki parszywy może być anabaptysta. Wiadro wali po głowach, po plecach, wiruje coraz dalej ode mnie, łańcuch przecina mi dłonie, ale widzę, jak padają, jak się kurczą na ziemi i rzucają do drzwi, nie dobiegając do nich. Sprawiedliwość wiadra jest nieubłagana, wiruje, wiruje coraz szybciej, nie mogę go już utrzymać, teraz ono ciągnie mnie za sobą, to jest ręka Pana Boga, mógłbym wam przysiąc, panowie, tego Boga, któregoście śmiertelnie wkurzyli. No to niżej, jeszcze jednego, gdzie to chciałeś się zaszyć, pijaczku, bogaty idioto?

Szarpięcie, wiadro zablokowane, zaklinowane w gałęziach nie-dużego drzewka, które także omal się nie przewraca.

Rzut oka na pole walki: no, wszyscy na ziemi. Któryś jęczy półprzytomny, obmacuje sobie rany, gapiąc się na własne jaja.

Braciszek był mądry, przy pierwszym obrocie rzucił się na ziemię i teraz podnosi się osłupiały, z dziwnym błyskiem w oczach: jako anioł śmierci całkiem nieźle dałem sobie z tym radę.

Zeskakuję na ziemię i chwiejnym krokiem ruszam w jego stronę. Wysoki i szczupły, z ciemną, spiczastą bródką. Ściska mi dłoń za mocno, łańcuch ją przeciął.

— Bóg nas wspomógł, bracie.

— Bóg i ten kubeł. Nigdy dotąd nie posługiwałem się w taki sposób zwykłym kubłem.

Uśmiecha się.

— Nazywam się Matthijs, Jan Matthijs, piekarz z Haarlemu.

— Gerrit Boekbinder — przedstawiam się także.

— Skąd się tu wziąłeś? — pyta wyraźnie poruszony.

Oglądam się za siebie i wzruszam ramionami.

— Ze studni.

Rozdział 19

Antwerpia, 14 maja 1538 roku

— Byłem Gertem ze Studni. Matthijs zabawiał się, używając tego dziwnego imienia, ale też z przyjemnością myślał, że nasze niecodzienne spotkanie nie było dziełem przypadku. Dla niego zresztą nic i nigdy nie było przypadkowe, wszystko miało swój sens w planach Boga, swoje znaczenie, które wykraczało poza zwyczajne pozory i przemawiało do ludzi, do nas wybranych. Ponieważ uważał, że baptyści są właśnie wybrani przez Pana, że są jego wybranymi. Na dokończenie czekało przedsięwzięcie wspaniałe, ostateczne. Mój Jan z Haarlemu znał Hofmanna, został przez niego osobiście ochrzczony i czytał jego prorocтва. Dzień był blisko, dzień wyzwolenia i zemsty. Ale z miejsca pojąłem, że ten piekarz dokonał innego wyboru niż stary Melchior: on chciał prowadzić czynną walkę, a jakże, czekał tylko na sygnał swojego Boga, żeby wypowiedzieć wojnę bezbożnikom i sługom zła. Miał plan: zgromadzić wszystkich baptystów i poprowadzić ich, żeby zniszczyli świat, ten świat niewolnictwa i prostytucji, na jaki możni chcieli go skazać po wieczne czasy. Tak, ale jak rozpoznać wybranych? Matthijs nie przestawał nigdy powtarzać, że Chrystus wybrał biednych rybaków na swoich naśladowców i apostołów, plując na przekupniów ze świątyni. Ponieważ chodziło właśnie o to... o zysk, o nastawienie holenderskich kupców na ten przeklęty zysk. Tego pokroju ludzie wybierali swoje wyznanie wiary, kierując się własnym interesem, i to czyniło z nich straszliwych wrogów. Im bardziej wiara łączyłaby się z rytuałami i bezdyskusyjnymi dogmatami, tym bardziej by się do niej przywiązywali; w gruncie rzeczy jedynym powodem, dla którego nie sympatyzowali z Kościołem rzymskim, było to, że jego największy obrońca cesarz Karol okładał ich podatkami i pragnął panoszyć się w Niderlandach jak tyran, przeszkadzając im w ich interesach. Małe znaczenie miało to,

że wielu bogatych kupców wyznawało swoją religię w dobrej wierze. Dobra wiara, mawiał często mój piekarz z Haarlemu, nie wystarcza, potrzebna jest prawda. Gdyby wystarczyła dobra wiara, nie trzeba by było odkupienia: „Dobra wiara nie przekreśla błędów, wielu Żydów dobrej wiary wołało: »Ukrzyżuj go«. Dobra wiara jest ideą antychrysta”. Ale jeszcze bardziej zdumiewający był sposób, w jaki Matthijs demaskował hipokryzję księży i doktorów, którzy czytali nam Biblię z ambon i z katedr; tę pożałowania godną teologię „moralnej prawości” i zwykłej „uczciwości”, wartości często i chętnie przypisywanych w zależności od stopnia, od autorytetu. „Za to Ewangelia pochwała nieuczciwych, zwraca się do nierządnic, do stręczycieli, ale nie do ladacznic żałujących za grzechy, tylko do takich, jakimi one są naprawdę, do złoczyńców, do ziemskiego rynsztoka”. Także pochwała uczciwości i moralności były dla niego religią głoszoną nam przez antychrysta. Dlatego owych wybrańców mieliśmy znaleźć wśród zwykłych ludzi, rzemieślników, żebraków i mętów z zaułków, między tymi, którzy cierpieli bardziej niż inni i nie mieli nic do stracenia, chyba tylko ów stan odrzuconych przez świat. Tam mogła przeżyć iskra wiary w Chrystusa i w jego bliski powrót, ponieważ bliższe życiu, jakie wybrał on sam, były życiowe warunki tych ludzi. Chrystus wybrał wydziedziczonych, nierządnic i stręczycieli? Mimo wszystko wśród nich właśnie zwerbowałem kondotierów do naszej walki.

— Jaki on był? Mam na myśli to, jakiego rodzaju człowiekiem był Jan Matthijs?

Pytanie Eloi sływa powoli jak wieczór, pod koniec tego dnia poświęconego ogrodowi i uśmiechowi Kathleen.

— Był najbardziej zdeklarowanym szaleńcem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. I to zanim jeszcze poszliśmy do Münsteru. Był zdecydowany i wystarczająco silny, żeby połknąć Hofmanna z jego odrzuceniem przemocy. Jeśli stary Melchior był Eliaszem, on byłby w takim razie Enochem, drugim świadkiem zbliżania się Apokalipsy. Miałem dowód tej siły, gdy niejaki Poldermann, Zelandczyk z Middelburga stwierdził, że on jest Enochem; Matthijs wszedł wtedy na stół i spiorunował zebranych tam braci stekiem złorzeczeń. Każdy, kto nie rozpoznał w nim prawdziwego Enocha, będzie skwierczał po wieczne czasy w piekle. Po czym zamilkł na całe dwa dni. Jego słowa miały taką siłę przekonywania, że niektórzy z nas zamknęli się w izbie bez jedzenia i wody, błagając Boga o miłosierdzie. Była to próba sił, krasomówczej sztuki i determinacji, i on ją wygrał. Być może nie było to jeszcze zupełnie jasne dla niego, ale ja wiedziałem

już, że Jan Matthijs jest największym konkurentem Hofmanna, mającym coś więcej niż tamten: umiejętność budzenia gniewu upokorzonych. Czułem, że gdyby nauczył się pokierować tym gniewem, zostałby naprawdę wodzem zastępów Pana, zdolnym wywrócić świat do góry nogami i sprawić, aby ostatni stali się pierwszymi, potężnie, a może i ostatecznie wstrząsnąć tłustymi Prowincjami Północy. Do Amsterdamu przybył z kobietą o imieniu Divara, zachwycającą istotą, której zazdrośnie strzegł przed wzrokiem wszystkich. Mówiono, że ożenił się w swoim miasteczku ze starą kobietą i że ją opuścił, żeby uciec z tą młodziutką dziewczyną, córką piwowara z Haarlemu. A więc również Enoch miał słaby punkt, ten sam co większość mężczyzn, rozdarcie między poczuciem obowiązku i sercem. Ta kobieta zawsze budziła we mnie strach, nawet zanim została królową, prorokinią i wielką nierządnicą króla anabaptystów. Miała coś przerażającego w spojrzeniu: niewinność.

— Niewinność?

— Tak. Niewinność, która może uczynić z tobą, co chce, albo popchnąć cię do zrobienia czegokolwiek, popełnienia najdzikszej i niepotrzebnej zbrodni, jakby to była najbanalniejsza rzecz na świecie. Była niezdolną do płaczu kobietą, której nic nie mogło wzburzyć, prostą dziewczyną wciąż nieświadomą swego białego ciała i dlatego budzącą jeszcze większy strach, strach przed chwilą, w której by to pojęła. Ale dopiero później nauczyłem się naprawdę bać tej kobiety. W pierwszych miesiącach trzydziestego drugiego roku mieliśmy mnóstwo innych rzeczy, które dawały do myślenia. Przede wszystkim fakt, że potajemne wygłaszanie kazań przez Matthijsa i to nasze dziwne werbowanie weszły w kolizję z *Stillstand* ogłoszonym przez Hofmanna. W tych dniach doszła nas wieść, że wkrótce niemiecki Elias ma przybyć do Holandii, żeby przyjrzeć się naszej społeczności, i Matthijs miał świadomość, że jeśli chcemy, żeby nasi współbracia obudzili się i zjednoczyli wokół nas, będzie musiał zdominować mistrza. Była to walka na śmierć i życie: za Hofmannem przemawiał autorytet jego kaznodziejskiej przeszłości. Ale Jan z Haarlemu miał w sobie ogień.

Rozdział 20

Amsterdam, 7 lipca 1532 roku

— Nie! Nie! Nie! I jeszcze raz nie! — Głos wznosi się nad ogólnym rozgwarem. — Nie nadszedł jeszcze czas na wznowienie chrztów! Robić to w tej chwili znaczyłoby rzucić wyzwanie trybunałowi Holandii i skazać się na szafot! Tego właśnie chcecie? A kto ogłosi przyjście Pana, jeśli wszystkich was spotka taki sam koniec, jaki spotkał biednego Trijpmakera i jego towarzyszy?

Dobroduszny szwabski Eliasz nie oczekiwał słów krytyki, miał nadzieję, że przyjmieniemy go jak ojca. A tymczasem... Jest tam, czerwony na twarzy, gotów popaść z oburzenia w sprzeczność z samym sobą.

Enoch nie traci dobrego samopoczucia, broda przystrzyżona w ostry szpic, wycelowana w przeciwnika, jeden prorok przeciwko drugiemu; księga Apokalipsy nie mówi o czymś takim. Patrzy mu w oczy z cieniem uśmiechu, błakającym się na ustach.

— Wiem, że męczeństwo nie przestraszy brata Melchiora, wiem to, ponieważ nikt bardziej niż on nie cierpiał bólu wygnania i trudności w dawaniu świadectwa. — Wystudiuwana, mistrzowska pauza. — Boi się tego, że za parę godzin, nie zostawiając nam czasu na ucieczkę albo wysłanie listu, władze Hagi wytropią nas i uderzą, żeby wszystkich wyłapać. — Uwaga ogółu skupia się teraz na Janie. — Ale ilu nas jest? Czy kiedykolwiek zapytaliśmy się o to? I o co możemy się pokusić wobec zbliżającego się Dnia Ostatecznego? Powiadam wam, bracia, że z pomocą Pana możemy być szybsi od zbrojnego ramienia niegodziwych, szybsze może też być nasze posłanie, zapowiedź Dnia Sądu.

Poirytowany Hofmann walczy z zalewającą go falą gorzkich myśli. Matthijs nie ustępuje.

— To prawda, mogą nas prześladować, mogą zapuścić między

nas szpiegów, odkryć nasze imiona, nasze bezpieczne domy. No więc, czy to jest powód, żeby się zatrzymywać?! Napisane jest w Biblii, że Chrystus rozpozna swoich świętych. Piotr w swoim liście pobudza wiernych, aby przyspieszyli nadejście dnia Pana. — Cytuje z pamięci wersety, nad którymi wielokrotnie dyskutowaliśmy. — „My oczekujemy nowych niebios i nowej ziemi, na której mieszka sprawiedliwość”. I jeszcze Jan zapewnia, że „kto zna Boga, słucha nas; kto nie jest z Boga, nie słucha nas”. Ale jakże sprawiedliwi nas usłyszą, jeżeli my nie będziemy do nich mówić?! Jak odróżnią ducha prawdy od błędu, jeśli nie wyjdziemy do walki na otwartym polu?! Jak, jeśli nie będziemy mieli odwagi ich chrzczyć, wygłaszać kazań, docierać do nich z posłaniem nadziei, odrzucając ludzkie edykty i prawa?! Musimy być bardziej przebiegli od nich! A może uważamy, że wykonamy nasz obowiązek, pisząc tylko teologiczne traktaty i piękne listy?! — Ton jego głosu wzmacnia się, twardnieje jak żelazo, słowa są niby uderzenia młota o kowadło. — Jakże, o bracia, jakże święci apostołowie ostrzegali nas przed antychrystami, przed fałszywymi prorokami i uwodzicielami, którzy w ostatniej godzinie będą się szerzyć na ziemi, żeby odciągać wybranych od ich zadania?! Naszego zadania. Ewangelia mówi: „Przekonacie tych, co się chwiewają, innych uratujecie, porywając ich z ognia”. Z ognia stosów, które szykuje się dla nas w całych Niderlandach, bracia, aby zamknąć nam usta i nie pozwolić, by przygotowało się pole na przyjście Chrystusa i Nowej Jerozolimy! Więc mamy pochylić głowy i czekać na kata?!

Jego głos tańczy, wybucha muzyką, grzmotem, który rodzi się gdzieś daleko, przenika trzewia i niespodziewanie uspokaja. Współbracia są podzieleni, charyzmat Eliasza przeciwko ogniewi Enocha, dusze się rozgrzewają.

Hofmann podnosi się, potrząsając głową.

— Dzień Pana jest już bliski. Świadczy o tym wiele znaków, przede wszystkim moc zła, które nas prześladowuje tak okrutnie w Niemczech i tu w Holandii. Oto dlaczego naszym zadaniem jest czekać i dawać świadectwo. Czekać na Chrystusa, tak, bracia, i na tę moc, która złamie narody i wymaże zło na wieki. Bracie Janie — zwraca się teraz tylko do Matthijisa — oczekiwanie nie może trwać już długo. Rzedną mroki i świeci prawdziwe światło. Jan mówi nam: „Nie miłujcie świata ani tego, co jest na świecie...”. I tak samo Paweł. Musimy wystrzegać się w tym momencie pychy, oblec się w pokorę i czekać, bracie, czekać i cierpieć, utrzymując trwałą pokój w naszych duszach. — Rzut oka na twarz. — To nadejdzie prędko. Na pewno.

Matthijs... przenikliwy wzrok, zdaje się nie oddychać.

— Ależ godzina nadeszła! Już teraz! Już dziś Chrystus wzywa nas, abyśmy się ruszyli! Nie jutro, nie w przyszłym roku, teraz! Tyle

mówiliśmy o powrocie Pana, że nie spostrzeżliśmy się, że to już tu jest, że się już dzieje, bracia, i jeśli się nie ruszymy, Królestwo umknie nam tak, że nawet go nie zauważymy, zbyt pochłonięci naszymi teologicznymi traktatami! — Biegnie do okna, skąd rozpościera się szeroki widok na przedmieścia Amsterdamu, dreszcz przelatuje mi po plecach. — Na co czekamy, żeby opuścić Babilon, ten kupiecki burdel, i pomaszerować hen, tam?! Wezwiemy lud wybranych, żeby się zgromadził, i wytoczymy bitwę zbrojni w Słowo Pana!

Wzburzony Hofmann podchodzi, kulejąc.

— Te wezwania doprowadzą do wybuchu wojny domowej! Nie po to zostaliśmy powołani!

Szklane oczy Matthijisa wpatrują się w niego morderczo, odpowiedź jest gotowa, brzmi jak syk węża:

— Sam to zdecydowałeś.

Dwa stronnictwa wybuchają, już są wyraźnie podzielone, fruwią obraźliwe słowa, a także parę dobrze wycelowanych splunień. Próbuje przywrócić spokój wśród naszych, nieświadom tego, że współczujące spojrzenie Hofmanna spoczęło na mnie, na tym, kogo nie spodziewał się spotkać po przeciwnej stronie. Może szuka pomocy, prosi, żebym zmusił Matthijisa do rozumnego zastanowienia się, w imię naszego strasburskiego bractwa.

— Bracie, przynajmniej ty przemów do tych szaleńców. Nie wiedzą, co mówią.

Odprawiam go krótko.

— Daj mówić szaleństwu i rozpaczy, to jest to, co mamy w zanadru.

Gaszę go do reszty. Zostaje tam, zasepiony rozłamem, który go połknął. Wie, że ogień Enocha podpali równinę.

Rozdział 21

Lejda, 20 września 1533 roku

— Ulica, której szukacie, panie, jest tam, pierwsza w prawo. Znajdziecie ją łatwo.

Chłopiec, który nam towarzyszył, zatrzymuje się w oczekiwaniu na parę drobnych monet i wskazuje małą uliczkę w głębi oddzielnej grupy domów. Wygląda, jakby go coś poraziło. Szepcze, patrząc w ziemię:

— Moja mama tam pracuje, nie chce, żebym się tu pokazywał.

Wyciąga otwartą dłoń po pieniążki. Jan Matthijs nie okazuje zmieszania.

— Otrzymasz za to wielką nagrodę w niebie — stwierdza uroczyście.

— Ale na razie — dodaje, dobywając z sakiewki florena — nie zrobi ci źle nędzna zaliczka tu, na ziemi.

Blondynek posyła nam szczerbaty uśmiech i znika w jednej chwili, podczas gdy Jan Matthijs próbuje skarcić mnie oczami, ale nie potrafi powstrzymać się od parsknięcia śmiechem.

— Nie uważasz, że trzeba przyzwyczajać ich od małego, że Królestwo to pilna konieczność?

Być może to właśnie mama naszego małego przewodnika wita nas w zaułku. Jasnowłosa jak i on, jasne oczy podkreślone czarnymi obwódkami, opiera piersi na popękany parapiecie okna na drugim piętrze. Jeszcze nie zdążyliśmy zadrzeć głów, żeby się jej przyjrzeć, gdy słyszymy za naszymi plecami cmokanie dobrej dziesiątki całusów, posłanych z wiatrem w naszym kierunku. Jak w galerii portretów szlacheckiej rodziny, obfite biusty lejdejskich prostytutek ukazują się nam z lewa i z prawa na różnych wysokościach ścian domów, znaczonych kratownicą drewnianego belkowania.

Jakkolwiek nieco zbici z tropu tym powitaniem, nie poświęcamy wiele czasu na identyfikację zielonych drzwi, których szukamy. To ostatni budynek załłka, gdzie widać mostek bez poręczy, zakreślający łuk nad jednym z wielu kanałów ujścia Renu.

Wysoki i chudy jak szczapa Matthijs promienieje. Na schodach, które prowadzą na pierwsze piętro, uderza mnie dłonią po ramieniu i potrząsa głową.

— Między ladacznicami i alfonsami, Gert!

— I pijakami z oberży — dodaję z uśmiechem, robiąc aluzję do zwerbowania Gerta ze Studni.

Honory domu czyni jednak kompletnie ubrana dziewczyna, chociaż niezupełnie tak, jak dama udająca się na rynek.

— Szukacie Jana Bockelсона, Jana z Lejdy, nieprawdaż? W tym momencie nie może...

— Każ im wejść! — przerywa jej okrzyk z głębi korytarza. — Nie widzisz, że to prorocy? Wejdźcie, proszę, proszę!

Głos jest niski i mocny, z rodzaju tych, które rodzą się w brzuchu i wychodzą grzmotem z gardła. Zdecydowanie nie pasuje do sceny, jaka ukazuje się naszym oczom, gdy tylko otwierają się drzwi, za którymi zabrzmiał.

Nasz człowiek leży na krótkiej kanapce, jedną ręką przytrzymuje płócienną serwetkę, drugą trzyma na genitaliach. Jest nagi od pasa w górę, wysmarowany oliwą na piersi. Kobieta, także półnaga, ma w ręku brzytwę i właśnie usuwa mu zbędne owłosienie.

— Musicie mi wybaczyć, drodzy przyjaciele — mówi niemal kpiącym tonem. — Nie chciałem narażać was na zbyt długie czekanie. W naszym przedpokoju można się natknąć na nieciekawych osobników.

Przedstawiamy się. Matthijs obrzuca go szybkim spojrzeniem, po czym rozgląda się po izbie.

— Zajmujesz się...?

— Zajmuję się rzeczami, przy których nie trzeba się napocić — gospodarz wchodzi mu w słowo niczym aktor wygłaszający ciętą replikę. — Z największą możliwą stanowczością zaprzeczam, że Adam popełnił jakiś grzech, a w konsekwencji nie przyjmuję do wiadomości przekleństw, które od niego wzięły swój początek. Byłem krawcem, ale prędko dałem temu spokój. Obecnie wcielam się na rynkach w wielkich bohaterów Biblii.

— A, właśnie, więc jesteś aktorem!

— Aktor, to nieodpowiedni termin, mój przyjacielu; ja nie recytuję, ja uosabiam.

Sięga do miednicy po gąbkę i obmywa się z mydła. Wstaje,

poprawiając mocnym ruchem spodnie między nogami. Jego twarz jest maską bolesnej rezygnacji, oczy wpatrują się we mnie.

— „Ja idę na drogi, którymi chadza każdy człowiek na ziemi. Bądź silny i okaż, żeś mężczyzną. Przestrzegaj praw twojego Pana Boga, krocząc jego ścieżkami i wykonując jego prawa, jego rozkazy i jego przykazania”.

Dziewczyna klaszcze z upodobaniem w dłonie, ściskając rękami swoje piersi.

— Brawo, Janie! — woła, spoglądając na mnie: — Czy on nie jest świetny?

Król Dawid kłania się nisko. Z korytarza dochodzą dziwne hałasy, głucho uderzenia, wrzaski, stłumione krzyki. Nasz Jan w pierwszej chwili zdaje się tym nie przejmować, zajęty osobistą higieną. Potem wydarza się coś, co każe mu się poderwać, może jakieś wołanie „pomocy”, głośniejsze od innych albo tylko bardziej przekonujące. Łapie brzytwę i wybiega.

Dom wypełnia jego grzmiący głos. Spoglądamy po sobie z Matthijsem, niepewni, czy nie powinniśmy się w to wdać. Mija chwila i Jan z Lejdy pojawia się na progu. Oddycha głęboko, poprawia spodnie i zanurza brzytwę w emaliowanej miednicy. Woda zabarwia się na czerwono.

— I co powiecie? — pyta, nie odwracając się. — Słyszeliście kiedykolwiek o łagodnym stręczycielu, który szanuje bliźniego i ma dobre manieri? Alfonsi to ludzie okrutni, brutalni. Ale ja chciałbym zostać pierwszym świętym sutenerem w dziejach. Tak, przyjaciele, jestem sutenerem, który marzy o tym, żeby usiąść po prawicy Pana Boga. Mimo to czasami sutener się budzi i te sny diabli biorą...

— Nie chodzi o sen czy jawę. — W głosie drugiego Jana nie ma nic z aktora, to głos Enocha. — Sutenerzy, nierządnicę, złodzieje i mordercy, oto święci ostatnich dni.

Jan z Lejdy podnosi dłoń do ust, a potem kładzie ją na genitaliach.

— Och! Nie mów mi o końcu świata, przyjacielu. Znałem tu kupę proroków i wszyscy byli ludźmi przynoszącymi nieszczęście.

— Wierzę w to — rzucam natychmiast. — Czekanie na Apokalipsę z założonymi rękami wpędza w parszywe tarapaty. Objawienie idzie tylko z dołu. Od nas.

Odwraca się, krzywiąc usta. Trudno zrozumieć, czy kpi, czy też doznaje wewnętrznej iluminacji.

— Rozumiem — kąciki ust unoszą się, napinając skórę na kościach policzkowych. — Chodzi ni mniej, ni więcej tylko o *wywołanie* Apokalipsy!

Emfaza, z jaką wymawia słowo *wywołanie*, uderza mnie naprawdę. Zgodnie z moim starym zamiłowaniem do greki i do etymologii staram się znaleźć prędko nowy termin tego ostatecznego przedsięwzięcia. Apokalipsa, tak jak apoteoza, ma w przedrostku to, co odległe. Hipokalipsa byłaby określeniem o wiele ściślejším: wystarczyłoby zmienić tylko dwie litery.

Przyglądam się Janowi Bockelsonowi opierającemu rękę na spojejniu ud, patrzę na półnągą kobietę, wyciągniętą na kanapie, na mokrą, zakrwawioną brzytwę; moje rozmyślenia pozostaną w głowie. Słowa piekarza z Haarlemu okazały dużo większą siłę.

Jan Matthijs gładzi czarną, spiczastą bródkę. Święty sutener zdaje mu się podobać, jeśli nawet jego idee nie są zbyt jasne. A zresztą baptyści z Amsterdamu, którzy podsunęli nam myśl, żeby się z nim zobaczyć, nie mówili o jasności jego umysłu ani o jego wierze, ale o straszliwej nienawiści do papistów i luteranów, o aktorskim uroku i trochę szorstkich manierach.

Matthijs ścisną brodę między palcami i postanawia przejść do rzeczy.

— Posłuchaj mnie, bracie Janie, oto idea: dwunastu apostołów przebiegnie te ziemie wzdłuż i wszerz. Będą chrzcić dorosłych, wzywać do przetarcia dróg Pana, przemawiać w Jego imieniu. Przede wszystkim postarają się wyczuć atmosferę każdego miasta, żeby ocenić, czy dałoby się zjednoczyć w nim lud wybrany. — Obraca się do mnie, kiwając znacząco głową. — Szukamy ludzi zdolnych zrobić to wszystko.

Drugi Jan daje znak swojej pociągającej towarzysze, żeby wyszła z izby. Z wyrazem skupienia w oczach rozpięta się na kanapie, poprawiając nogawki spodni.

— Dlaczego gromadzić wszystkich w jednym mieście, przyjacielu Janie? Nie lepiej by było wziąć pod uwagę możliwie największy obszar? Siłę idei mierzy się także jej zdolnością do przyciągania ludzi z najdalszych zakątków.

Już wiele razy Matthijs odpierał to zastrzeżenie. Zamyka oczy i odpowiada, cedząc słowa:

— Posłuchaj, tylko w razie zawładnięcia jednym miastem i obalenia w nim pieniądza, prywatnej własności dóbr i różnic w opodatkowaniu światło naszej wiary będzie na tyle potężne, że zdoła oświecić wszystkich ludzi. To będzie przykład! Jeśli natomiast od samego początku zajmujemy się jak najszerzym rozpowszechnianiem naszych poglądów, skończy się to pomniejszeniem burzącego efektu, którego się po nich spodziewamy, i idee umrą nam między palcami, jak kwiaty bez korzeni.

Jan z Lejdy uderza w dłonie, potrząsając głową.

— Niech was Bóg pobłogosławi, moi przyjaciele! Już od dawna uliczny błazen, którego tu widzicie, oczekiwał takiego szaleństwa, żeby dać w końcu życie swoim ulubionym bohaterom — Dawidowi, Salomonowi, Samsonowi. Na Boga, ta wasza Apokalipsa będzie przedstawieniem, o jakim zawsze śniłem. Przyjmuję rolę, jeśli tego oczekujecie ode mnie. Od dziś macie jednego apostoła więcej!

Rozdział 22

Antwerpia, 20 maja 1538 roku

— Sutener? Były alfons królem Münsteru? — Na krótką chwilę Eloi traci ufną dobroduszną, do której mnie przyzwyczyli. Po raz pierwszy ma taką minę, jakby nie był w stanie mi uwierzyć.

Zapewniam go o prawdziwości moich słów.

— Jeśli legenda odmalowała go jako straszliwego i krwawego króla, to wiedz, że odpowiada to prawdzie, ale ani przed naszym wejściem do Münsteru, ani po nim Jan Bockelson nie przestał być człowiekiem, jakim był zawsze... aktorem, kuglarzem, sutenerem. I oczywiście prorokiem. Z tego powodu epilog naszej historii był jeszcze bardziej groteskowy, gdyż aktor zapomniał o tym, że ma tylko grać na scenie, i pomieszał komedię z prawdziwym życiem. Farsa zamieniła się w tragedię.

Eloi nie dowierza i podśmiewa się, żeby przezwyciężyć zdumienie.

— Ta fantastyczna epepeja i legendy tworzone przez wrogów zrobiły z nas monstra przebiegłości i przewrotności. Ale cóż, tacy w istocie byli owi jeźdźcy Apokalipsy: piekarz i prorok, poeta i sutener, do tego wyrzutek bez imienia, uciekający przez całe życie. Czwarty, Pieter de Houtzager, był czystym opętancem, osobnikiem, który próbował zakonnego życia, ale został odrzucony z powodu gwałtownego języka: napastował ludzi na ulicy i ewokował wizje pełne krwi i morderstw, bo tak jedynie widział sprawiedliwość Pana. Potem rodzina Boekbinderów dała bandzie Matthijisa jeszcze jednego krewniaka, młodego Bartholomeusa, który oficjalnie uchodził za mojego kuzyna i który dołączył do nas jesienią trzydziestego trzeciego, wraz z dwoma braćmi Kuyperami, Wilhelmem i Dietrichem. Przekonaliśmy też do siebie człowieka spokojnego i pobożnego, jakim był Obbe Philips, a Houtzager ochrzcił w Amsterdamie

kolejnego adepta, Jacoba van Campena. I w ten sposób uczniowie wielkiego Matthijsa doszli do znaczącej liczby ośmiu. Reynier van der Hulst i trzej bracia Brundtowie, chłopcy, którzy mieli jeszcze mleko pod nosem, ale ręce jak łopaty, dołączyli do kompanii w okolicach Delftu, w ostatnich dniach listopada trzydziestego trzeciego roku. Nim się spostrzegliśmy, dojechaliśmy do pełnej dwunastki.

Był to aż nadto wymowny znak dla naszego proroka. Można było wyczytać z jego twarzy, że coś knuje. Świat wokół nas wyglądał zresztą naprawdę tak, jakby miał zaraz wybuchnąć, i nie zdarzało się, aby nasze słowa nie osiągnęły zamierzonego efektu. Nie byliśmy niczym innym, jak tylko grupą wyrzutków niemających swojego miejsca w świecie, grupą aktorów, szaleńców, ludzi, którzy porzucili pracę, dom, rodzinę, żeby poświęcić się wygłaszaniu kazań w imię Chrystusa. Dokonaliśmy tego wyboru z najróżniejszych powodów, od poczucia sprawiedliwości po wstręt do życia, na jakie byliśmy skazani. Prowadziły one jednak do tej samej konkluzji, do aktu woli, który miał wplątać możliwie największą liczbę osób i który miał pokazać innym, że świat nie może trwać tak w nieskończoność i bardzo prędko zostanie przewrócony do góry nogami osobiście przez Pana. Albo przez tych, którzy są mu oddani, to znaczy przez nas. Oto dlaczego byliśmy ludźmi, którzy naprawdę mogli wysadzić wszystko w powietrze.

— Słuchaliście poleceń Matthijsa?

— Wierzyliśmy w jego intuicję. Żyliśmy w doskonałej harmonii, a co więcej, nasz prorok nie był wcale głupi: wiedział, czego może od nas oczekiwać. Bardzo sobie cenił moje zdanie, często się mnie radził, ale rolę tarana wołał powierzać Janowi z Lejdy; użyteczne okazywały się aktorskie zdolności Jana. Jego uroda również nie niszczyła niczego: był bardzo młody, atletycznej budowy, jasnowłosy, a świetlisty uśmiech siał spustoszenie w dziewczęcych serduszkach. Matthijs postanowił wysłać go na wędrowkę za granicę, na terytoria cesarskie, żeby wypróbował teren, podczas gdy Houtzager w dalszym ciągu działał na przedmieściach Amsterdamu. Pod koniec roku trzydziestego trzeciego Matthijs podzielił nas na grupki po dwóch, dokładnie jak apostołów, i dał nam zadanie zwiastowania światu, że Dzień Sądu jest blisko, że Pan uczyni rzeź wszystkich niegodziwców i że tylko nieliczni się uratują. Mielśmy być jego heroldami, posłańcami jedyne go prawdziwego proroka. Wygłosił twarde słowa, choć nie były one nieprzyjemne, pod adresem starego Hofmanna, uwięzionego w Strasburgu — przewidział on Dzień Sądu na rok trzydziesty trzeci: rok się kończył i jeszcze nic się nie zdarzyło. Autorytet Hofmanna upadł całkowicie. Nie mówił o tym, by sięgnąć po broń. Nie umiałbym powiedzieć, czy kiedykolwiek o niej wspo-

mniał. Nie powiedział nic na temat udziału apostołów w bitwie Pana i nie wiem, czy już wtedy rozmyślał nad tym rozwiązaniem. Jeśli dobrze widziałem, nikt z nas nie był uzbrojony. Nikt, z wyjątkiem mnie. Skróciłem stary miecz znaleziony w szopie Boekbinderów, przerabiając go na krótką dagę, dużo bardziej poręczny i znany mi oręż, który mogłem trzymać ukryty pod płaszczem i który pozwalał spokojniej podróżować. Utworzyłem duet z Janem z Lejdy, zgodnie z wolą samego Matthijisa: moje zdecydowanie i jego umiejętność podbijania niewybrednej publiczności stanowiły doskonałą kombinację. W rzeczy samej nie byłem z tego niezadowolony; Bockelson był typem, z którym nigdy bym się nie nudził, nieprzewidywalnym i szalonym na tyle, na ile trzeba. Byłem pewien, że dokonamy wielkich rzeczy. To wtedy usłyszałem pierwszy raz o Münsterze, mieście, w którym baptyści przemawiali donośnym głosem. Jan z Lejdy spędził tam wcześniej parę tygodni i wyniósł jak najlepsze wrażenie. Miejscowy kaznodzieja Bernhard Rothmann zawarł przyjaźń z kilkoma misjonarzami baptystów, zwolennikami Hofmanna, i odnosił wielkie sukcesy, opierając się zarówno papistom, jak i luteranom. Münster został włączony do trasy, którą mieliśmy pokonać.

— Dotarliście tam z Bockelsonem jako pierwsi?

— Nie, prawdę mówiąc, nie. Tydzień przed nami dotarli tam Bartholomeus Boekbinder i Wilhelm Kuyper. Później wyszli z miasta, ale przedtem ochrztili ponownie przeszło tysiąc osób. Entuzjazm w Münsterze sięgał gwiazd i w chwili przybycia mieliśmy okazję przekonać się o tym.

Tajne oko Carafy
(1532–1534)

List wysłany do Rzymu ze Strasburga, z datą 20 czerwca 1532 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Panie mój najszczodrzejszy, wiadomość o zawarciu bardzo upragnionego przymierza między Franciszkiem I i związkiem szmalkaldzким napełnia mnie nadzieją. Protestancy książęta łączą swoje siły, żeby ograniczyć władzę cesarza. Nie ma wątpliwości, że niedługo wojna wybuchnie znowu, zwłaszcza jeśli wieści na temat tajnych rokowań między Franciszkiem i Turkiem Sulejmanem, jakie dotarły do mnie nader poufnymi kanałami, znajdą potwierdzenie w najbliższych miesiącach. Ale Wasza Wielmożność wie z pewnością więcej niż skromny sługa, który przygląda się temu z boku, z tego zakątka świata, w którym hojność Waszej Wielmożności pozwoliła mu wypełniać to skromne zadanie.

Mimo to, jak słusznie zauważa Wasza Wielmożność, czasy nakazują nam stałą i pilną czujność, a ja dodam, iżby nie strawił nas pożar, którego zarzewie tli się pod popiołami i szykuje do niesłychanie gwałtownego wybuchu. Znowu mam na myśli anabaptystyczną zarazę, która pochłania wiele ofiar w Niderlandach i w miastach pogranicza. Z Holandii przybywają kupcy, którzy opowiadają, jak zwarte są już wspólnoty anabaptystów w Emden, Groningen, Leeuwarden i wreszcie w samym Amsterdamie. Ruch ten powiększa swoje szeregi każdego dnia i rozlewa się jak plama inkaustu na mapie Europy. I to właśnie się dzieje, gdy najbardziej chrześcijański król Francji tworzy tyleż zbaczące, co dziwaczne przymierze wszystkich sił przeciwnych Karolowi i jego nieograniczonej władzy.

Jak Wasza Wielmożność dobrze wie, cesarska prowincja Niderlandów nie jest księstwem, ale federacją miast, powiązanych inten-

sywną wymianą handlową. Uważają się one za wolne i niezależne na tyle, żeby przeciwstawić się z zaciekłym uporem i odwagą cesarzowi. Karol V jest tam przedstawicielem katolicyzmu i nietrudno jest dostrzec w niechęci tych populacji do Kościoła rzymskiego starą nienawiść, jaką budzą w nich zamiary cesarza.

W tym momencie Karol V zajęty jest organizowaniem oporu przeciwko Turkom i unicestwianiem dyplomatycznych manewrów króla Francji. Nie może więc poświęcać wiele uwagi Niderlandom.

Do tego dochodzi trudny stan, w jakim znajduje się Kościół na tych ziemiach: zakonami i biskupstwami zawładnęły niepodzielnie świątokupstwo i lukratywność, co wywołuje niezadowolenie i gniew ludności, popychając ją do porzucania Kościoła albo do szukania innego w obietnicach błędnych wędrownych kaznodziejów.

I w ten sposób herezja, korzystając z ogólnego niezadowolenia, znajduje nowe kanały upowszechniania.

Sługa Waszej Wielmożności uważa, że groźby reprezentowane przez anabaptystów są większe, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka: gdyby udało im się zdobyć sympatię wsi albo handlowych miast Holandii, ich idee heretyckie nie miałyby już granic i powędrowałyby na holenderskich okrętach jednocześnie do nie wiadomo ilu i jakich portów, aby w końcu zagrozić równoważeniu osiągniętemu przez Lutra i jego ludzi w Europie Północnej.

A ponieważ Wasza Wielmożność schlebia swojemu słudze, żądając, aby wyrażał własne opinie, niech mi będzie wolno powiedzieć z całą śmiałością, że w obliczu upowszechniania się anabaptyzmu wprowadzenie wiary luterańskiej jest na dłuższą metę bardziej pożądane. Luteranie są ludźmi, z którymi można zawierać układy korzystne dla Świętej Stolicy, jak to pokazuje przymierze między królem Francji i książętami niemieckimi. Natomiast anabaptysty to nieugięci heretycy, wrodzy jakimkolwiek kompromisom, gardzący wszelkimi regułami, sakramentami i władzą.

Ale nie śmiem dodawać nic więcej, pozostawiam wszystkie oceny mądrości mojego Pana i niecierpliwie wyglądam powrotu do służby, oferując te oto pokorne oczy i odrobinę bystrości, jakiej Bóg zechciał mi udzielić.

Szczerze polecam się dobroci Waszej Wielmożności,

ze Strasburga, 20 czerwca 1532 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności

Q.

List wysłany ze Strasburga, z datą 15 listopada 1533 roku, adresowany do Gianpietra Carafy w Rzymie.

Do najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy.

Panie mój najdostojniejszy, piszę do Waszej Wielmożności po długim milczeniu, w nadziei, że względy i opieka okazywane wier-nemu słudze znowu znajdą usprawiedliwienie i zostaną potwierdzone przez Waszą Wielmożność.

Pragnę przeto podzielić się sprawami, które w moich oczach są użyteczne, a może nawet konieczne w świetle tego, co niesie obrót wydarzeń na północnych ziemiach, gdzie, jak nie omieszkałem już zawiadomić Waszej Wielmożności, z każdym dniem sytuacja komplikuje się coraz bardziej.

Teatrem zdarzeń, o których z wielkim pośpiechem pragnę przekazać wiadomość, jest biskupie księstwo z siedzibą w Münsterze, na pograniczu ziem cesarskich i Holandii, dziś oddane mądrymu przewodnictwu Jego Eminencji biskupa Franza von Waldecka.

Zdaje się on człowiekiem odważnym i wielce oddanym Świętej Stolicy Apostolskiej, ale także ostrożnym i baczącym, by nie utracić władzy, którą złożyli w jego ręce zarówno papież, jak i cesarz. Podniesienie go do godności księcia biskupa dojrzało w gorącej atmosferze sporów i konfliktów z częścią ludności, wyznającą wiarę luterzańską, przeważnie kupcami i przedstawicielami cechów, które kontrolują radę miejską i wobec których umiał on zająć zdecydowane stanowisko.

Wszystko to nie zasługiwałoby nawet na chwilę uwagi Waszej Wielmożności, gdyby nie to, że ostatnie wydarzenia w tym mieście są dziś przedmiotem powszechnej dysputy, do tego stopnia, że nawet

landgraf Hesji Filip poczuł się zmuszony wysłać rozjemców, żeby powstrzymali zamieszanie tam panujące.

Muszę wyznać, że już od jakiegoś czasu do moich uszu dochodziło imię niezupełnie mi nieznane, docierając w górę Renu i przynosząc aż tu echo zuchwałych kazań tego człowieka. Wreszcie wczoraj uzyskałem potwierdzenie tych wieści od pewnego kuśnierza przybyłego z Münsteru, który tamże mieszka.

Obrotny ten człowiek opowiedział mi o nowym Izajaszu, wyśławianym przez pospólstwo. Ma on wielu zwolenników w zaulkach i gospodach, świadom jest wpływu, jaki wywiera na swoich ziomków, i jest w stanie podburzyć ich przeciwko biskupowi von Waldeckowi. Dopiero gdy naoczny ten świadek przedstawił mi fizyczny opis, połączyłem owo imię z twarzą człowieka, którego sława docierała aż tutaj.

Nazywa się Bernhard Rothmann, i to przypomniało mi, że widziałem go wcześniej w Strasburgu, mniej więcej dwa lata temu, gdy odwiedził najważniejszych luterzańskich teologów w tym mieście. Nie uważałem go wówczas za osobę niebezpieczną, przynajmniej nie bardziej od innych jego kompanów, którzy opuścili święty Kościół rzymski, ale dziś słyszę, że mówi się o nim nader głośno.

Chodzi o münsterskiego predykatora w wieku około czterdziestu lat, syna rzemieślnika. Jak mówią, okazywał on od dziecka oznaki wielkiej inteligencji i zdolności, toteż przeznaczono go do życia kościelnego, a opiekujący się nim proboszczowie wysłali go następnie na studia do Kolonii. W podróży owej wstąpił nie tylko tutaj, ale także do Wittenbergi, gdzie spotkał się z Marcinem Lutrem i Filipem Melanchtonem.

Wydaje się, że po powrocie do rodzinnego miasta został oficjalnym kaznodzieją i zaczął od bardzo ostrego ataku na Kościół. Kupieckie cechy poparły go natychmiast, dostrzegając w nim znakomity taran, którym mogły uderzyć w bramy biskupstwa. W krótkim czasie zyskał on łaskę pospólstwa i nabrał wielkich ambicji.

Mam powody sądzić, że cechuje go arogancja połączona z bluźnierczą ekscentrycznością człowieka udającego, że jak najlepiej spełnia kultowe obrządki: mój kupiec opisał mi dziwaczny sposób, w jaki osobnik ten udziela komunii świętej, mocząc małe kawałki chleba w winie i podając je wiernym. Ponadto od jakiegoś czasu zaczął odmawiać chrztu nowo narodzonym dzieciom.

Ten szczegół obudził we mnie żywe podejrzenia i popchnął do zadania wielu szczegółowych pytań. I rzeczywiście, przepytując kupca i skłaniając do udzielenia wszelkich użytecznych informacji, dowiedziałem się, że ten fałszywy Izajasz darzy sympatią anabaptystów.

Odkryłem, że od początku roku do Münsteru przybyło kilku anabaptystycznych predykantów, pochodzących z Holandii. Zapisałem skrupulatnie ich imiona, przynajmniej te, które kupiec zachował w swej pamięci. Podburzyli oni owego kaznodzieję do tego stopnia, że uwierzył w ich fałszywą doktrynę, i skłonili do jeszcze większej kaśliwości wobec biskupa.

Wydaje się też, że już od kilku miesięcy, najwyraźniej pod wpływem rozgłosu, Luter bacznie przygląda się temu osobnikowi, i mówi się, że w kilku listach wysłanych do rady miejskiej Münsteru próbował ostrzec protestantów przed człowiekiem tego pokroju. Ale dobrze wiadomo, że mnich Marcin odczuwa przeklęty strach przed każdym, kto może konkurować z nim o popularność i krasomówstwo, zagrażając jego pierwszeństwu. Moją uwagę zaabsorbowała wiadomość, że landgraf Filip poczuł się w obowiązku wysłać do Münsteru dwóch kaznodziejów, ażeby przekonali tego Rothmanna z powrotem do luteranckiej doktryny. Gdy zapytałem opatrnościowego kupca, dlaczego landgraf Filip zadał sobie tyle trudu z powodu byle jakiego predykanta, który w dodatku nie zamieszkuje nawet w jego księstwie, ów dał mi w odpowiedzi wyjątkowo szczegółowe sprawozdanie z ostatnich wypadków, do jakich doszło w Münsterze.

Otóż więc, jak Wasza Wielmożność będzie mógł się przekonać z tych linijek, wypadki owe potwierdzają najgorsze podejrzenia, jakie pokorny obserwator Waszej Wielmożności wyrażał już w poprzednich listach, co jednak jest niewielką tylko pociechą w nieszczęściu.

W chwili gdy ów Rothmann przyjął doktrynę zabraniającą chrzczenia nowo narodzonych, wielu z kręgu przyjaciół Lutra porzuciło go, przechodząc do otwartej walki z człowiekiem, którego przedtem wychwalali. Ale jeśli to, co mi powiedziano, odpowiada prawdzie, tyłu, ilu go opuściło, przyłączyło się na ich miejsce do jego orszaku.

Miasto podzieliło się przeto na trzy wyznania, trzy jednakowo odległe od siebie stronnictwa: katolików rzymskich wiernych biskupowi, luteranów, w większości kupców, którzy kontrolują radę miejską, i anabaptystów, rzemieślników i robotników fabrycznych, zwolenników Rothmanna i jego przyjaciół predykantów przybyłych z Holandii. Nawet fakt, że ci ostatni są tu obcy, nie zdołał zniechęcić ludu do tego kaznodziei, a wręcz przeciwnie, gdy rada próbowała wydalić z miasta niewygodnych przybyszów, wprowadzono ich z powrotem nocą, a na ich miejsce pospólstwo wyrzuciło za bramę miejscowych kaznodziejów!

Kim jest ten człowiek, Panie mój czcigodny? Jaką niewiarygodną mocą oddziałuje na pospólstwo? Myśl biegnie jedynie do owego Thomasa Münzera, którego lata temu także Wasza Wielmożność miał okazję poznać poprzez pokorne oczy swego sługi i obserwatora.

Ale lepiej zakończyć już tę kronikę, która mogłaby się wydać owocem fantazji, gdybym nie był zupełnie pewien wiedzy tego, który mi o wszystkim opowiedział.

Wobec tak trudnej sytuacji, dobrym pomysłem była przeto publiczna dysputa między trzema wyznaniem na temat chrztu, aby sprawa ta nie przerodziła się w otwartą wojnę.

Był sierpień tego roku, gdy najlepsze umysły stanęły do walki na arenie doktrynalnej. I cóż, mój Panie, Bernhard Rothmann i jego holenderscy zwolennicy odnieśli miazdzące zwycięstwo, przeciągając ludność na swoją stronę.

Wiele razy Wasza Wielmożność przypominał swojemu słudze, jak to luteranie, heretycy odrzucający bożą łaskę, okazali się użytecznymi, chociaż niepożądanymi sprzymierzeńcami przeciwko tym, którzy jeszcze bardziej zagrażali Świętej Stolicy. Münster stał się nowym dowodem, wytwarzając przymierze między luteranami i katolikami przeciwko owemu uwodzicielowi Rothmannowi.

Burmistrzowie miasta nakazali mu milczenie, zapowiedzieli też wygnanie go w niedługim czasie. On jednak, znajdując mocne oparcie w pospólstwie, zlekceważył polecenia i kontynuował podburzanie i rozpowszechnianie niebezpiecznych poglądów.

Miasto znalazło się u progu wybuchu, tak wrzała krew w żyłach jednych i drugich.

I to tłumaczy, dlaczego landgraf Filip pospieszył z wysłaniem swoich rozjemców. Są to dwaj luteranie, Theodor Fabricius i Johannes Lening, ludzie uczeni i dyplomatyczni. Próbowali oderwać powszechną uwagę od kwestii chrztu.

Ale zdaniem człowieka, który opisał mi te wypadki, osiągnęli oni tylko zbrojny rozejm, w którym jedna iskierka wystarczyłaby do podpalenia całego miasta. Mój kupiec nie miał co do tego żadnych wątpliwości. A gdyby doszło do próby sił, Rothmann i anabaptyści w mgnieniu oka zyskaliby przewagę.

Do tego dochodzą dwa wydarzenia o wcale niedrugorzędnym znaczeniu. Zwierzchnik cechów, niejaki Knipperdolling, popiera z podniesionym czołem owego predykanta, pociągając za sobą miejskich rzemieślników. Jak się wydaje, nieostatnią sprawą jest to, że sława Rothmanna przyciąga do Münsteru wielu holenderskich wygnańców, sakramentystów i anabaptystów, skracając z każdą mijającą godziną lont do tej beczki prochu.

I oto dochodzę do przedstawienia Waszej Wielmożności moich obaw względem powagi tej sytuacji. W każdym miejscu anabaptyści dali dowody uporów i perfidnej siły przyciągania; aż tyle szatan może u śmiertelników. Rozpowszechniają oni tę swoją zarazę wzdłuż i wszerz w Niderlandach i w granicach cesarskich posiadłości. Jeśli

teraz jest ich niewielu i są bardzo rozproszeni po północnych regionach, to mimo wszystko pokazali, jak silnie mogą oddziaływać ich doktryny, zwłaszcza na ignoranckie i z natury buntownicze pospólstwo.

A więc, co by się zdarzyło, gdyby się zjednoczyli? Co by się stało, gdyby zaczęli odnosić coraz większe sukcesy, głosząc w zaułkach i warsztatach, z dala od sita doktrynalnego autorytetu? Czymże to grozi, jeśli nikt, ani biskup, ani książę Filip, ani Luter, nie jest w stanie zatrzymać ich w tym podziemnym marszu, natomiast boją się ich niczym plagi, którą usiłują trzymać z dala od własnych granic, nieświadomi tego, że ona postępuje niewidzialnie i może łatwo je przekroczyć?

Przed oczami rysują się wszelkie możliwe odpowiedzi. Pierwsza fatalna możliwość już się urzeczywistnia i to jest sytuacja w Münsterze, gdzie jeden tylko człowiek trzyma w szachu całe miasto.

Mimo iż landgraf Filip i Marcin Luter są świadomi zagrożeń, nie wiedzą w istocie, jak powstrzymać anabaptystów, i naprawdę myślą, że uda się pohamować ich przewrotny impet i utrzymać w izolacji. Obawiam się, mój Panie, że jest to iluzja i że pojmą swój błąd dopiero wtedy, gdy ujrzą heretyków przed drzwiami własnego domu.

A zatem myślę, jak to Wasza Wielmożność zechciał mnie wspa-
niałomyślnie nauczyć, że trzeba udaremniać w porę i unieszkodliwiać wszelkie groźby, zanim zdołają się urzeczywistnić. Dlatego nigdy nie zaniedbywałem referowania Waszej Wielmożności wszystkiego, co mogłoby choć w małym stopniu przyczynić się do oceny zagrożeń, jakie rodzą się w tej części świata.

W tym wypadku pewne fakty już zachodzą, ale może nie jest za późno: należy zatrzymać tę plagę, zanim zdoła się rozpowszechnić w Europie i zarazi całe cesarstwo, bo może nie zatrzymać się u podnóża Alp, ale dotrzeć do Włoch i kto wie gdzie jeszcze. Trzeba działać, zanim do tego dojdzie.

Oczekuję przeto z niecierpliwością poleceń Waszej Wielmożności, jeśli zechce znowu obdarzyć zaufaniem sługę bożego i umożliwi mu służenie bożej sprawie w tej trudnej godzinie.

Całuję ręce Waszej Wielmożności, w oczekiwaniu na jakieś słowo.

Ze Strasburga, 15 listopada 1533 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu ze Strasburga, z datą 10 stycznia 1534 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego i najdosjniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy.

Panie mój najdosjniejszy, doszedł dziś Wasz list, na który czekałem niecierpliwie jak zawsze. W istocie nie ma co ukrywać, czas jest czynnikiem decydującym w tym ciężkim położeniu, toteż zezwolenie Waszej Wielmożności obudziło we mnie niemały niepokój i troskę, jako że to, czego trzeba będzie spróbować, aby osiągnąć cel, będzie wymagało opatrnościowego wsparcia Najwyższego.

Pozwolę sobie przeto przedstawić Waszej Wielmożności kroki, które, jak sędzę, trzeba będzie poczynić przeciwko anabaptystycznej zarazie.

Przede wszystkim faktyczny stan rzeczy: anabaptyzm rozchodzi się drogami podziemnymi; nie ma jednego przywódcy, którego można by złapać za kołnierz, żeby więcej o tym nie myśleć; nie ma wojska, które można by pobić w bitwie; nie ma prawdziwych granic, rozprzestrzenia się to tu, to tam, jak czarna zaraza, która idzie od jednego regionu do drugiego i kosi swoje ofiary, nie rozróżniając języka ani państwa i przenosząc się przez wydzieliny ciała, oddech, poły sukien; o anabaptystach wiemy, że przedkładają warstwy robotnicze nad inne środowiska, lecz można też powiedzieć, że robotnicy znajdują się wszędzie, a przeto nie ma granic, które mogłyby być pewne; w rzeczy samej, ani strażom, ani wojsku nie uda się zahamować tej niewidocznej armii.

Jak zatem powstrzymać niebezpieczeństwo grozące całemu chrześcijaństwu?

Ileż to razy, najszczodrobliwszy Panie, zadawałem sobie to pytanie w ostatnich tygodniach... Tak męczyłem nad tym głowę, że niemal doszedłem do wniosku, że w tym trudnym położeniu sługa Waszej Wielmożności nie będzie mógł w żaden sposób pomóc swojemu Panu.

Oby Bóg zechciał, abym się mylił, i to, co spieszę przedstawić, zostało dobrze przyjęte przez Waszą Wielmożność.

A więc myślę, że rozwiązanie podsuwają nam sami sprawcy; anabaptyści we własnej osobie wskazują, w jaki sposób w nich skutecznie uderzyć.

Bo w istocie, jeśli Wasza Wielmożność cofnie się myślą do zawirowań, które musiał pokonać dziesięć lat temu, w czasach wojny chłopskiej, posługując się swym skromnym sługą, przypomni sobie, że aby podejść owego fanatyka Thomasa Münzera, pożyteczne okazało się wejść z nim w zażyłość i udawać, że się jest po jego stronie, aby mógł najpierw zaszkodzić Lutrowi, jak to leżało w jego naturze, a potem zapaść się do piekła, gdy zagroził już otwarcie przewróceniem świata do góry nogami, a wreszcie, żeby niechcący nie pomógł imperatorowi przeciwko niemieckim książętom.

Chociaż jestem przekonany, że Wasza Wielmożność bardzo żywo pamięta tamte chwile, niech będzie mi wolno przypomnieć, że Thomas Münzer był człowiekiem przewrotnym i wodzonym przez szatana, ale także inteligentnym i bystrym, zdolnym wywierać wpływ na pospólstwo; miał też talenty krasomówcze.

A czymże są nasi anabaptyści, jeśli nie wieloma Münzerami, tyle że w mniejszym wymiarze?

Wydaje się, że także wśród nich są silniejsze osobowości, duchowi przywódcy, na przykład Bernhard Rothmann oraz inni, których imiona być może nie powiedzą nic Waszej Wielmożności, a którzy jednak wędrują wzdłuż i wszerz po tych ziemiach. Należą do nich Melchior Hofmann i Jan Matthijs.

Tak więc moja rada jest taka, że przede wszystkim trzeba udaremnić ich oczywistą wszechobecność. Znaczy się, należy sprawić, żeby wszyscy ich przywódcy, wszyscy Münzerowie, ci mincerze szerzący zarazę, zgromadzili się w jednym jedynym miejscu, by wszystkie zgniłe jabłka znalazły się w jednym koszyku.

Ale tu obserwujemy nawet, że szczęście już nam sprzyja, jako że, o czym Wasza Wielmożność mógł się dowiedzieć z mojego poprzedniego listu, w stronę Münsteru kieruje się nie tylko uwaga wszystkich anabaptystów, ale także tłum ludzi, całe rodziny, które z orężem i sprzętami przenoszą się tu z Holandii i z ziem cesarskich. Miasto Münster stało się ziemią obiecaną najbardziej zatwardziałyłch heretyków.

A zatem myślę, że ktoś mógłby z łatwością przyłączyć się do tej ich rzeki i wejść do miasta. Musiałby potem zdobyć zaufanie przywódców sekty, udać przyjaźń, żeby móc wpływać na ich postępowanie, nie rzucając się zbytnio w oczy, i przyczynić się do napływu największej możliwie liczby anabaptystów.

Gdy już raz zbierze się zgniłe jabłko, perspektywa zmiecenia jednym uderzeniem najgroźniejszych elementów wystarczy sama w sobie, żeby landgraf Filip i biskup von Waldeck, protestanci i katolicy, przyłączyli się do walki przeciwko najgroźniejszym wichrzycielom.

Teraz więc, jako że plan da się urzeczywistnić z pomocą jednej tylko osoby, która uda się na miejsce, uważam za rzecz naturalną, aby ten, kto ów plan proponuje, był także jego wykonawcą. Oto dlaczego wyjeżdżam do Münsteru, z zamiarem podjęcia po drodze znacznej sumy pieniędzy w filii Fuggerów w Kolonii. Sumę zabiorę jako wiano dla niedomyślających się niczego oblubieńców anabaptystów.

A ponieważ zamierzam działać potajemnie, byłoby rzeczą cenną, abym mógł liczyć na rekomendację Waszej Wielmożności u biskupa von Waldecka. Ważne jest, żeby poinformowano go o mojej obecności w Münsterze i o tym, że skontaktuję się z nim jak najprędzej, by zaplanować to, co trzeba będzie zrobić.

Gdy dotrę na miejsce, pośpieszę przekazać bardziej szczegółowe wiadomości o tym, co tam się dzieje. Na razie nie zostaje mi nic innego, jak zdać się na wolę Boga i Jego wsparcie, pewien, że Wasza Wielmożność zechce wspomnieć pokornego sługę w swoich modlitwach.

Całuję ręce Waszej Wielmożności,

ze Strasburga, 10 stycznia 1534 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

A słowo ciałem się stało
(1534)

Rozdział 23

W okolicy Münsteru w Westfalii, 13 stycznia 1534 roku

Zrywam się na nogi na dźwięk dalekiego huku, w uszach dudnią mi armaty, wytrzeszczam oczy, wciąż widzę ludzi uciekających przez równinę.

Nie. To tylko grzmot, który od wielu dni towarzyszy nam w drodze. Inne czasy, inne widoki. Cuchnąca, rozgrzana słoma, zwierzęce ciepło krów i ludzi przywraca mi poczucie rzeczywistości. I natychmiast czuję zimno, które na dobre wyrывa ze snu dopiero co przerwane oddechem wołu. Wpatruje się we mnie okrągłe, ogromne oko: bydłęta podjęły już codzienne przeżuwanie.

W okienku przedziwne stalowoszare światło z wiszącego nisko nieba, pełnego nabrzmiałych lodowatym chłodem chmur, które oczekują śmiazków wędrujących w kierunku miasta.

Następny grzmot i znowu dreszcz pamięci. Niespokojne zwierzęta wiedzą coś więcej o tym, co czeka na nas na dworze. Wypędzam precz obrazy przeszłości.

Trzeci grzmot rysuje się dalekim błyskiem na horyzoncie. Przybliża się skrycie, z chmurą wróbli wrzeszczących z głodu i zmartwienia, że nie uda im się odfrunąć gdzieś daleko. Zmiażdży nas ta czerń, która zajęła już całe niebo.

I kto wie, czy tak właśnie nie będzie wyglądał koniec: jakiś wodny wir albo potop zamiast dudnienia wielkich kolubryn. Nie sędzę, żeby mi się udało wyjść z tego po raz drugi.

W każdym razie nie są to pytania, które człowiek zadaje sobie o świecie, gdy brzuch ma pusty od dwóch dni i te wszystkie mile w nogach.

Ale oto grzmi po raz czwarty, już całkiem blisko. Burza siadła nam prawie na karku. Huk, który wstrząsa ziemią, i nagły szum ulewy bijącej o liście i spływającej z dachu.

Rzut oka na drogę zamienioną już w błotny kanał, ześlizgujący się

z niskiego wzgórza; tylko dwóch wariatów wybrałoby się w drogę w taką pogodę.

Takich jak my.

Słyszę jego pomruki w głębi obory, moich uszu dochodzą ciche przekleństwa.

Horyzont całkiem się gdzieś zapodział, a i miasto może na dobre znikło z powierzchni ziemi.

— Słuchaj, Jan... nie myślałeś nigdy, że tak mógłby wyglądać Dzień Sądu? Chodź popatrzeć, krajobraz oszalał. Wydaje się niemożliwe, żeby ziemia i niebo wróciły do tego, czym były przedtem...

Szelest siana pod stopami, chód jeszcze niepewny. Wygląda na dwór, mrużąc oczy.

— Ale co ty wygadujesz... To tylko zima.

* * *

— Jest! Tam, w dole!

Szare kontury, zamglone od ulewy, niemal zupełnie niewidoczne.

— Jesteś pewien?

— To ono.

— Skąd wiesz? Zgubiliśmy drogę.

— To ono, mówię ci. Byłem już tutaj.

Puszczamy się prawie biegiem.

Mijamy grzbiet wzgórza i wyłania się oto, zaledwie o jakieś dwie mile przed nami, ale chmury oszczędziły je. W mieście nie pada, nad dzwonicami otwiera się czyste niebo i mury spowija strumień słonecznego blasku.

Tak, tylko tak wyobrażałem sobie zawsze niebiańskie miasto...

— Mówię ci, że zapamiętają ten dzień, bracie, będą go pamiętać jako początek wszystkiego.

Oczy wypełnia mu blask, woda spływa strumieniem z brody i z brzegów kaptura.

— Z pewnością. Zapamiętają dzień, w którym apostołowie wielkiego Matthijisa przybyli, żeby przynieść nadzieję. To jest początek.

Czuję, że za chwilę wybuchnie ten żarliwy, niechlujnie ubrany apostoł i sutener, targany uniesieniem, że się tu znalazł.

Rycerskim gestem zaprasza mnie, żebym poszedł przodem, ale jest szczerze podniecony.

— Bracie Gert, witaj w Nowym Jeruzalem.

— Witaj, Janie z Lejdy — odpowiadam ze śmiejącymi się oczami. — Uważaj, żebyś nie został z tyłu.

Rzucamy się w dół ze wzgórza, ślizgając się po mokrej trawie, podnosząc się i śmiejąc jak pijani.

Rozdział 24

Münster, 13 stycznia 1534 roku

Łacińska nazwa Monasterium przywołuje na myśl miejsce pełne spokoju, a do tego oddalone od świata.

Za to Münster domaga się, aby patrzeć nań tak, jakby zostało wykute w ogniu walki.

Dziewięć wjazdowych bram. Przy każdej bramie trzy działa, grube mury, wąskie przejścia.

Cztery niskie potężne bastiony wychodzą na cztery strony świata, chroniąc miasto wysuniętymi posterunkami.

Opasują je mury, po których obwodzie może kroczyć trzech ludzi idących obok siebie.

Fosa wypełniona wodą i zmienione koryto rzeki Aa, która dzieli miasto na dwie części.

Fosa jest podwójna, czarna woda przed pierwszym pasem murów i czarna woda za nimi, a nad nią małe mostki prowadzące na drugi pas, niższy, oznaczony krępyimi wieżami.

Nie do zdobycia.

* * *

— Bracia i siostry, pielgrzymi, na których czekaliśmy, przybyli. Enoch i Eliasz wędrują po świecie i przybywają do Münsteru zwiastować nowinę, że godzina jest bliska, że dni bogatych są policzone, a władza biskupa zniknie na zawsze. Dziś wiemy już z całą pewnością, że tym, co nas czeka, jest wolność i sprawiedliwość. Sprawiedliwość dla nas, bracia i siostry, sprawiedliwość dla tych, których utrzymuje się w stanie zniewolenia, zmuszając do pracy za głodowe wynagrodzenie, dla tych, którzy mają wiarę i widzą zbrukany obrazami i figurami dom Pana, gdzie dzieci obmywa się wodą

święconą niczym psy pod studnią. Wczoraj zapytałem pięcioletniego brzdąca, kto to jest Jezus. Wiecie, co mi odpowiedział? Że to taki posążek. Tak powiedział: posążek. W jego małym rozumku Jezus nie jest nikim innym, tylko bożkiem, przed którym jego rodzice każą mu odmawiać modlitwy, zanim pójdzie spać! Tak rozumieją wiarę papiści! Najpierw trzeba się nauczyć czcić i być posłusznym, a dopiero potem rozumieć i wierzyć! Cóż to za osobliwy rodzaj wiary i jakaż niepotrzebna męczarnia dla dzieci! Ale oni chcą je chrzczyć, tak, bracia, ponieważ obawiają się, że bez chrztu nie zstąpi na nie Duch Święty. W ten sposób akt wiary schodzi na drugi plan; polewa się sumienia wodą święconą, zanim jeszcze zostaną popełnione jakieś grzechy. I tak to ten ich chrzest pokrywa haniebne podłości: ciągnięcie zysków z pracy bliźniego, gromadzenie dóbr, zagarnianie na własność ziemi, którą wy uprawiacie, i tkackich krosien, które wy uruchamiacie i na nich pracujecie. Ludzie dawnej wiary nie zezwalają nikomu, aby wybrał sobie życie, jakie chce prowadzić, oni pragną, żebyście pracowali na nich i byli zadowoleni z wiary, którą przekazują wam doktorowie. Ich wiara jest wiarą potępienia, to wiara, na którą skazał nas antychryst! Ale my, bracia, my pragniemy odkupienia! Pragniemy wolności i sprawiedliwości dla wszystkich! Pragniemy moc swobodnie czytać Słowo Pańskie i swobodnie wybierać tych, którzy będą mówić do nas z ambony i reprezentować nas w radzie! Kto w gruncie rzeczy decydował o losach miasta, dopóki nie wykopalimy go za bramę? Biskup. A kto decyduje teraz? Bogacze, możni mieszczenie, oświeceni wielbiciele Lutra, tylko dlatego, że jego doktryna pozwala im przeciwstawiać się biskupowi! A wy, bracia i siostry, wy, dzięki którym to miasto żyje, nie możecie wtrącić nawet słowa do ich wyroków. Wy macie tylko słuchać tego, co tenże Luter pokrzykuje ze swojej książęcej nory. Ludzie starej wiary wmawiają nam, że dobrzy chrześcijanie nie mogą zajmować się światem, że powinni kontemlować swoją wiarę w prywatnym zaciszu, znosząc w milczeniu krzywdy, jako że wszyscy jesteśmy grzesznikami skazanymi na pokutę. Ale stoją tu oto posłańcy nadziei, ci, którzy przybyli obwieścić nam koniec starego nieba i starej ziemi, abyśmy mogli ubiegać się o inne. Ci dwaj ludzie usłyszeli nasz krzyk oburzenia i przybyli, żeby dać świadectwo niczym Enoch i Elias, żeby powiedzieć nam, że nie jesteśmy sami, że nadszedł czas na zmiany. Możliwość tego świata zostaną pozbawieni władzy, ich trony upadną z ręki Pana. Chrystus nie przychodzi po to, aby przynieść nam pokój, ale miecz. Bramy otwarte są już dla tych, którzy okażą odwagę. A jeśli oni zamierzą zdruzgotać nas uderzeniem miecza, mieczem odparujemy ich cios i oddamy stokrotnie!

Bernhard Rothmann. Mam przed sobą odwagę, gniew, męską siłę, ogromną moc wiary, jakiej nie spotkałem od dawna. Gdybyś tu był, mistrzu, gdyby tamto skończyło się inaczej, odniósłbyś może wrazenie, że nie wszystko poszło na marne, że coś, co zostało przysypane popiołami, przeżyło i użyznia teraz nową ziemię. Jest ich stu, dwustu? Zapomniałem o liczeniu tłumów, ty uczyłeś mnie tego, ale ja o tym zapomniałem. Zapomniałem o sile, mistrzu, a ty nie możesz nauczyć mnie już niczego. Jestem kimś innym, może zwykłym sukinsynem, rozczarowanym i gniewnym, mimo to po raz pierwszy po wielu latach na właściwym miejscu. Tu powinniśmy byli przyjść, nigdzie indziej, i dotrzeć do prawdy, że nie ma wiary bez zbrojnego starcia. Tak było zawsze, i jeśli nawet w mojej wierze nic już nie ma dla mnie żadnej wartości, dziś znowu zaczyna palić mnie coś, co utraciłem na tamtej równinie w maju. Jest to świadomość, którą ty mi dałeś: nigdy nie uwolnimy naszych dusz, nie uwalniając najpierw ciał. A jeśli się nam nie uda, nie będziemy wiedzieli, co zrobić z tymi ciałami; albowiem czasy są takie, że nędza i szubienica nie różnią się wiele od siebie. Warto więc rozbić znowu jarzmo i przyjąć to, co przeznaczenie da nam na samym końcu. Znowu będziemy walczyć. Jeszcze raz. Albo zginiemy z mieczem w dłoni.

Teraz kolej na Jana z Lejdy, stoi już gotów, ze stanowczą miną, parterowa publika czeka na niego. Jego wzrok ślizga się w próżni ponad głowami; nie pomył się tylko, Janie, to jest twoje pięć minut. Z aktorską pozą, jak zwykle przesadną i śmieszną, wyrzuca z siebie absurdalne słowa, które powoli, po trochu, nabierają sensu w umysłach słuchaczy i układają się w jakiś szczególny ciąg, trafiają w sedno. Czy to jego ruchy, gesty, oczy, raz wypełnione mrokiem, a chwilę potem urzekające i pełne czaru, może to jego uroda, młodość, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że to działa.

— Jan błądzi po tych ulicach bez celu, jak rozbitek na morzu, i szuka znaku, wskazówki, która pozwoli mu zrozumieć, czy właśnie tu znajdzie to, czego poszukuje. — Głos momentalnie rośnie. — Ty głupku, sukinsynu z Lejdy! Nie ma wokół ciebie żadnych znaków, nie ma ich w ścianach domów, w ceglach, nie ma ich na ziemi, w ulicznym bruku, nie, tam nie znajdziesz tego, czego szukasz. Znakiem jest samo poszukiwanie, znakiem jesteś ty, kiedy grzeźniesz w ulicznym błocie. Jesteście nim wy. I my, którzy szukamy; my, którzy jesteśmy terazniejszością, tym, co było, ale jeszcze nie tym, co będzie. Starzy stoją w miejscu, oni już byli. Ludzie starej wiary...

już martwi. Nic nie mówi cegła katedry. Za to wasze spojrzenia mówią, że Bóg tu jest, Bóg jest tu teraz, Jego Duch jest między nami, w tej młodości, w tych ramionach, tych mięśniach, nogach, piersiach, oczach. Coś ogromnego rysuje się na progu życia, tego brudnego, przeklętego, niedorzecznego, zafajdanego życia, które uważałeś za ciche puszczenie wiatrów w boskim planie stworzenia. A tymczasem nie! Bóg robi z ciebie żołnierza. Posłuchaj go. On woła cię do udziału w pewnym przedsięwzięciu. Posłuchaj go, posłuchaj w duchu. O właśnie, słyszysz, jak woła cię po imieniu na apel, do ostatniej bitwy. Janie, posłuchaj, przeklęty podlec! — Oczy zwężają się nagle, dwie niebieskie szczeliny, unoszą się tuż nad głowami, obniżają lot, wznoszą się znowu, słychać syk: — Tak, ty błaznie, szarlatan, dziwniarzu, bo mówimy właśnie o tym, co ty sobie wyobrażasz? Myślałeś, że walczysz o strzęp zabazgranego papieru, który da ci te obywatelskie swobody?! Do diabła! Bóg mówi ci o czymś zupełnie innym: nie o Münsterze, nie, nie o tych domach, tych kamieniach, ulicach, nie o tym wszystkim, czym to jest obecnie. Ale o tym, czym to będzie. O was i o mnie w tym mieście, bracia! Bóg nie żąda walki o jakiś traktat czy o uczciwy pokój, ale żąda walki o Nowe Jeruzalem. O nowe niebo i nową ziemię! O świat, nasz nowy świat po drugiej stronie oceanu! — W oczach ludzi znowu pojawia się przerażenie i zdumienie. — To jest obietnica, która przepędza precz szarlatanów, niezdecydowanych, nieporadnych, wykołajeńców głuchych na wezwanie. Niech zrezygnują od razu i pójdą sobie na cmentarz starej wiary. My wzniesiemy ogniste piramidy, zbudujemy Nowe Jeruzalem. Sami, pytasz? Nie, Janie, psi synu! Myślisz w tej chwili, że te brudne, stwardniałe łapy, które potrafiły zawsze stawiać tylko zamki z gówna, nigdy nie będą umiały wymieszać niebiańskiej zaprawy. Mylisz się, błaznie, kuglarzu upośledzony na umyśle! Obietnica jest jasna: Ja pošę wam proroka, który poprowadzi was do bitwy i zbierze waszą moc, żeby pluć nią w twarz moim wrogom. Posłuchajcie! Wyrównajcie drogę prorokowi, który dziś przysłał dwóch swoich wysłanników, Jana z Lejdy i Gerta ze Studni, żeby skrzესali iskrę. Gdy zjawi się prorok, nie będziemy już sami i Münster stanie się wielkim ogniskiem, ogromną, gigantyczną piramidą ognia wznoszącego się ku niebu, piramidą, która rozedrże chmury i utworzy drabinę do Królestwa. Ja to wiem, jego imię mrozi już krew w żyłach możnych, bogaczy i niegodziwców, biegną, żeby się zaszyć pod kołdrami z brokatów, ledwo słyszą, jak rozbrzmiewa w szeregach nieszczęśliwców, wydają edykty, skazują na ścięcie, głupie gliniane kolosy nieświadome tego, że on jest wszędzie, że jego apostołowie weszli do miast, do wsi, niosąc zwiastowanie końca czasów. To imię brzmi Jan Matthijs, bracia! On jest prawdziwym Enochem, tym, który

przybędzie na dopełnienie czasów, żeby zapoczątkować niebieskie miasto! Po nas, Matthijs Wielki!

Milczący, zakłopotani, cisi. W czasie, gdy Jan przemawiał, w szeregach stojących obudził się niepokój, izolujące skrępowanie, które każe ludziom spoglądać uważnie w twarze innych, żeby rozpoznać się nawzajem, żeby się upewnić, że w dalszym ciągu są tymi samymi osobami. Mieszczanie, robotnicy, rzemieślnicy, matki, szorstkie twarze, silne ręce. Sami młodzi, ilu ich jest, bo nędza nie pozwala się zestarzeć. Czy naprawdę przyszedłem tu, żeby powiedzieć, że gdzieś tam jest jeszcze nadzieja na wyzwolenie i na Królestwo? Dojrzała uroda Rothmanna, ich kaznodziei, i dwadzieścia pięć lat Bockelzona szepczą im na ucho, że to możliwe.

Korpulentny mężczyzna o brzuchu piwosza i potężnych barach obejmuje Jana z Lejdy, całując go w brodę. Szczupła sylwetka Rothmanna i jego ujmujący głos, sprzymierzone z niedźwiedzią potęgą przedstawiciela rzemieślniczych cechów Münsteru, Berndta Knipperdollinga, garbarza i krawca. Wchodzi na stół, który podtrzymuje nas, trzeszcząc niepokojąco.

— Pozdrowienie dla apostołów Wielkiego Matthijisa od całej wspólnoty braci z Münsteru. Wy tu obecni będziecie opowiadać o tym dniu waszym wnukom, ponieważ jest to początek wszystkiego. Spojrzenie Boga spoczęło na naszym mieście i On zdecydował: to stąd wszystko weźmie swój początek. My rozpoczęliśmy tę walkę i my doprowadzimy ją do końca. Lecz czekają nas trudności. Będziemy musieli oprzeć się biskupowi, będziemy musieli wyrwać władzę z rąk możnych, będziemy musieli się napocić, a może też przelać naszą krew, urzeczywistniając nasze przedsięwzięcie. Ale ta chwila nadeszła, teraz nie będzie już można namyślać się zbyt długo. Dlatego też powiadam: kto nie czuje się na siłach, niech nas zostawi i idzie do wszystkich diabłów. Amen.

W jednej sekundzie unoszą się zaciśnięte pięści, słychać oklaski i poszczękiwanie rzemieślniczych narzędzi.

* * *

— Twoje imię wędruje na skrzydłach wiatru, a brzmi ono: Bernhard Rothmann, kaznodzieja prześladowanych.

Śmieje się, przekonywający i szczerzy, poruszając się i gestykulując z wdziękiem domagającym się życzliwego przyjęcia. Nie umiałbym powiedzieć, czy jest to zachowanie świadome, czy naturalne, ale mówiono mi już, że po mieście krążą wieści o nieodpartym wpływie

Rothmanna na münsterskie kobiety. Powiadają, że niejeden mąż chciałby go ujrzyć dyndającego na szubienicy, i to bynajmniej nie z powodów religijnych. Wydaje się, że małżonki nie są w stanie oprzeć się jego kazaniom i zostają długo po zakończeniu obrządku, żeby podyskutować o nich z kaznodzieją na osobności. Bo w istocie, nie brakuje mu prezencji i wcale nie wygląda na swoje czterdzieści lat.

— Nazwisko Matthijsa także utoroowało sobie drogę, może nawet jeszcze bardziej. Wyczekujemy go z niecierpliwością.

— Tylko patrzeć, jak się tu zjawi. Ważne jest dla nas wszystkich, że do was dołączy.

Kiwa potakująco głową, dolewając mi piwa.

— Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia. Sam widziałeś, jesteśmy twardzi, ale ciągle jest nas mało. Trzeba tak prowadzić codzienną działalność, żeby przemawiała na naszą korzyść.

— Hmm. Policzyliście się?

Podsuwa mi spróchniały stółek, jedyny mebel w wynajmowanej przez niego izbie, nie licząc wiklinowego łóżka.

— Trudno jest ocenić rzeczywiste siły, na jakie możemy liczyć. Znajdujemy się w niepewnym położeniu. Biskup von Waldeck drapnął, gdy tylko sprawy w mieście zaczęły przechylać się na rzecz protestantów, no i teraz naradza się ze swoimi wasalami, parę mil stąd. Katolicy pochowali się i czekają cichaczem, że ten wieprz wróci, może nawet uzbrojony, i oczyści miasto z baptystów i luteranów.

— A więc czemu dotąd tego nie zrobił?

— Ponieważ wie, że gdyby to zrobił, obudziłby mieszczańskie upiory i połączył wszystkich przeciwko sobie. Miasto nie chce stać się znowu jego prywatną własnością. — Uśmiecha się. — Zrobiliśmy jednak to i owo, trzeba przyznać. Von Waldeck to szczywany gość, mój przyjacielu, bardzo szczywany. Nie wolno go nie doceniać ani myśleć, że został wyłączony z gry. Wciąż pozostaje naszym największym wrogiem.

Zaczynam rozumieć sytuację.

— A w obrębie murów?

Mój rozmówca zapala się.

— Luteranie i katolicy zmawiają się, żeby przeszkodzić nam w zdobyciu sympatii ludności, robotników i rzemieślników Knipperdöllinga. Prawie wszyscy kupcy, którzy wybierają radę, to luteranie, no i wybrali spośród siebie dwóch burmistrzów, Judefeldta i Tilbecka. Judefeldt nie budzi zaufania, to gość bez jaj, a do tego boi się biskupa jak samego diabła. Tilbeck ma dla nas trochę poważania, zrobiłby wszystko, żeby tylko uniemożliwić ludziom biskupa powrót do miasta, ale i jemu nie można zbyt ufać. Pospółstwo trzyma naszą stronę,

i to przeraża ich obu, boją się, że stracą władzę. I mają rację. Ale nie wierzą też katolikom, bo obawiają się, że ci chętnie podarowaliby miasto biskupowi. — Wzrusza ramionami. — Jak widzisz, sytuacja daleka jest od unormowania. Musimy prowadzić podwójną grę, z biskupem poza murami i jego szpiegami w mieście, no i z luteranami tu w środku, którzy są jego wrogami, ale z pewnością nie są naszymi przyjaciółmi. Jak dotąd udawało się nam pobić ich za każdym razem, kiedy próbowali wyrzucić nas za bramę. Broniła nas ludność, ona jest naszą siłą.

— No tak, zwykli ludzie. To, co mówisz, przypomniało mi pewnego człowieka, którego znałem wiele lat temu, gdy byłem mniej więcej w wieku Jana. Pod wpływem jego słów stanąłem do walki. I muszę ci się zwierzyć, że miałem chwile, w których nie wierzyłem, że mógłbym zrobić to jeszcze raz.

— Mam to rozumieć jako komplement?

— Myśle, że tak. Ale wiedz, że wtedy poniosłem kompletną klęskę.

Spogląda na mnie pobłaźliwie.

— Rozumiem. Boisz się? Apostoł Wielkiego Matthijsa obawia się, że przegra znowu?

— Nie, nie chodzi o to. Chciałem tylko powiedzieć, że powinieneś uważać, zachować ostrożność.

Przeczesuje palcami włosy i wygładza dłonią fałdy ubrania, uszytego z nędznego płótna, które nosi jednak z niewiarygodną elegancją.

— Wiem. Ale teraz mam u boku świetnych sprzymierzeńców — mówi z uwodzicielskim przekonaniem. — Jan z Lejdy pokazał, że ma ogień w żyłach.

Uśmiecham się kpiąco.

— Jan to czysty czubek, kawał drania, wielki aktor i dziwkarz. Ale zna się na tym, co robi, bez wątpienia. Dobrze, że jest tu z nami, widziałem go przy robocie. Gdy tylko chce, zamienia się w prawdziwą maszynę wojenną.

Tym razem obaj wybuchamy śmiechem.

Rozdział 25

Münster, 13 stycznia 1534 roku, wieczorem

— Dobry Boże, przyjaciele, jeżeli wiara mieszkańców Münsteru jest w takim rozkwicie jak cycki tutejszych mieszczek, to ja nigdy dotąd nie byłem tak blisko raj!

Jan z Lejdy zanurza podekscytowaną twarz w potężnym biuście swojej pierwszej münsterskiej wielbicielki. Jego słowa wywołują chichot Knipperdollinga.

— Nie widziałeś jeszcze potężnych łap szefa miejskich cechów — odpowiada mu niezbyt skromnie tenże, po paru nieudanych próbach wyduszenia z siebie czegoś, co dałoby się zrozumieć.

— Potężnych łap, przyjacielu Berndcie? — pyta Jan z domieszką sarkazmu w głosie. — W takim razie amerykańscy tubylcy weszli przed nami do Królestwa Niebieskiego!

— Co chcesz przez to powiedzieć? — pyta zaciekawiony Knipperdolling, rozwiązując sznurówki gorsetu swojej damy.

— Och, dajmy temu spokój, przyjacielu. Nie chciałbym urazić twojej dumy.

W tej samej chwili poduszka trafia go prosto w twarz. Dwie kobiety chichoczą z rozbawieniem i obdarzają obu kawalerów coraz większymi czułościami.

Dziewczyna, która zajmuje się mną, nie zwraca uwagi na rozmowę i nie traci czasu. Dwa albo trzy pocałunki wystarczają i jej główka zjeżdża w dół, żeby zająć się resztą. Miałem ledwo tyle czasu, żeby zrozumieć, jak ma na imię, i natychmiast je zapomniałem.

Tymczasem Knipperdolling wierci się z trudem w pościeli. Próbuje przekreślić się na plecy bez odrywania się od swojej partnerki, ale brzuch trochę mu w tym przeszkadza.

— Hej, Jan, jesteś specjalistą w tym zawodzie, nie znasz jakiejś wygodnej pozycji dla takich jak my, którym natura dała kształt gruszki?

— Nie umiałbym nic ci doradzić, przyjacielu Berndcie. Ale mogę ci opowiedzieć, jak to było, gdy pracowała u mnie najgrubsza kurwa w Europie. Nie masz pojęcia, ilu ona miała klientów!

— Nie gadaj! Jak wyglądała?

— No wiesz, była gruba jak beka. Ale piekielnie się podobała takim jak ty.

— W jakim sensie?

Jan zaciska usta i miesi obiema rękami piersi swojej blondynki. Z gardła wychodzi mu głos bardziej przeraźliwy niż zwykle.

— Tak, Matildo, twój tłuszczyk jest naprawdę rozkoszny. Nie lubię chudych, wolę takie z brzuskiem.

— Nie opowiadaj głupot!

— Przysięgam! Do tamtej wszyscy walili jak w dym, także z tego powodu, by się chwalić, że się przespali z kobitą, do której trzeba było pięciu chłopów, żeby ją podnieść.

Agresywny pocałunek ucisza Knipperdollinga. Jeżeli o mnie chodzi, to nie potrzebuję takiego knebla. W połowie rozciągnięty na ziemi, z plecami opartymi o ścianę i z dziewczyną, która połyka mnie stopniowo, od jakiegoś już czasu zaniemówiłem na dobre.

Prowokująca partnerka Jana prawie go już zadusiła. Można powiedzieć, że udało się jej zmusić go do milczenia.

I właśnie w tej ogólnej ciszy Knipperdolling zaczyna wydawać głuche, sapiące, znaczące westchnienia.

— Zawsze tak prędko dobiegasz do mety, przyjacielu Berndcie? — pyta Jan ze zwykłym chichotem. — Mam skuteczne lekarstwo na tę dolegliwość. Ugotuj w wodzie parę cebulek, a jak ostygną, przepłucz w nich ptaszka. — Macha w powietrzu rękami. — Środek bez pudła, gwarantowany. Albo jak będziesz przejeżdżał przez Lejdę, zapytaj o Héléne. Pracowała dla mnie, to jedyna kurwa, jaką znam, której udaje się dać ci rozkosz bez dojeżdżania do celu.

— Jak ona to robi?

— Nie mam pojęcia, ale naprawdę to potrafi. Pomyśl tylko, wynajmowałem ją na godziny i musiałem nawet robić rezerwację. Powiadam ci, raz przyszedł taki gość, co to chciał sobie tylko ruchnąć na chybcika, kapujesz? A ona umyśliła sobie, żeby go potrzymać przynajmniej godzinę. Zdaje się, że facet zabrał się do roboty jak szalony, no i nic. Po jakimś czasie wkurzył się jak cholera. Wyciągnął nóż i pokiereszował jej gębę, kapujesz? Oczywiście była to ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu. Znaczy się, kurwa, zniszczyć mi taki kapitał!

Knipperdolling odsuwa ze spoconej gęby włosy swojej bogdanki i spogląda w kierunku Jana.

— Gówno! — to jego jedyny komentarz.

Parskam krótkim śmiechem, ale nie mam siły, żeby zademonstrować dziwne przyzwyczajenie naszego aktora, który opowiadając jakieś androny, nie umie powstrzymać się od tego „kapujesz?” To niezawodny sposób, żeby jego opowiastki osiągnęły cel.

Knipperdolling nie pozwala, żeby mu umknęła którakolwiek z historyjek naszego przyjaciela stręczyciela.

— Co to było z tymi krajowcami w Indiach, o których wspominałeś przedtem?

— Kiedy?

— Niedawno, no nie? Ta historia, że wleźli przed nami do Królestwa Niebieskiego!

— Och, to nic takiego. Mówił mi o tym jeden marynarz, mój klient, który tam był. Są dużo niżsi od nas, ale mają ptaszki, że hej, o taaakie. A jeżeli cię to interesuje, to inny klient, który był w Afryce, mówił mi, że oni się tam obrzezują, bo kobitom dużo bardziej się to podoba.

— Jak te wstrętne żydy! W takim razie pewne jest, że i oni robią to z tego samego powodu, a nie dlatego, że są narodem wybranym.

Jan też dojechał już do mety. Wzmianka o ludzie Izraela podnieca go jeszcze bardziej. Unosi ręce do nieba i rzuca:

— Wy będziecie dla mnie królestwem kapłanów i świętym narodem!

Wymawia ostatnią głoskę jak przeciągły lament, opadając jednocześnie powoli na łóżko.

Jeżeli dobrze go znam, nie odezwie się więcej.

Po paru minutach znowu jest w siodle. Okazuje się, że nie znam go wcale tak dobrze.

— Panowie, panie, przyjaciele moi, *por favor*. — Klęka na łóżku nagi, rozkładając szeroko ręce. — Najpierw kilka instrukcji, lub, jeśli wolicie, próśb: Berndt, przyjacielu, chcesz mnie chyba zamordować, nie dając nic do picia, wstrętny kramarzu, sknero, może nie? No to wiedz, że w takim razie spadną na ciebie...

— Och, tak, do licha, idę, już idę, ale ty... ty mnie przerażasz, chlejesz jak studnia, nie spostrzegłem się... — Brzuch Knipperdollinga toczy się w stronę sąsiedniej izby.

— Brawo, brawoo! — wykrzykuje, klaszcząc hałaśliwie w dłonie Jan. — A ty, przyjaciółko, moja wierna święta nierządniczo, bawże się dalej tym świętym kropidłem, które mam w kroku, a tymczasem Święty Stręczyciel opowie wam historyjkę o swoim szlachetnym pochodzeniu. Tak, kochana, o, właśnie tak.

Knipperdolling wraca z trzema fiolkami gorzałki i głupekowatym, przyklejonym do twarzy uśmiechem, który gaśnie z miejsca, gdy spostrzeżga, że twarz jego pani całkiem znikła między udami Jana.

— Dobrze, dobrze, jestem gotowy, a raczej nie całkiem. Gert! Gert, jesteś tam? Czy ta twoja gorąca panienka nie pożarła cię całkiem? To już godzina, jak trzyma go w buzi, gotowa się udusić!

— Uważaj, bo się sfajdasz! — odpowiadam krótko.

— No nie, mój kochany, to byłoby niestosowne, także z uwagi na Panią Pocałujmniewdupe, która tu spoczywa. Ale dość tego, trochę uwagi, *por favor!*

Knipperdolling nie bardzo wie, co robić, rzuca się niezdarne w sam środek skłębionych ciał i stara się jakoś ułożyć.

— Moja niezamężna mamusia była przyjezdnią z Niemiec. Przydybał ją w jakimś rowie stary Schulze Bockel, wielki kobieciarz z Hagi, po czym wydała mnie na świat i dała imię Johann, po holendersku Jan. W szesnastym roku życia zaciągnąłem się na statek handlowy: Anglia... porty Flandrii, Portugalia... Lubeka... a potem bosman zaczął okazywać specjalne zainteresowanie moją osobą. Pewnej nocy w czasie burzy rozbiłem mu łeb wiosłem i wywaliłem go za burtę. Po dwóch dniach wysiadłem na ląd w Lejdzie i wśliznąłem się do łóżka jego żony. Pocieszałem biedną wdowę przez parę lat, mieszkając w jej domu i wyciskając z niej oszczędności. Pani ta znalazła mi pracę w warsztacie krawieckim, mówiła, że jestem urodzony do tego fachu, nie wiem, co kazało jej tak uważać, bo ja nigdy nie miałem najmniejszej ochoty do żadnej pracy. Był z niej wielki kurwiszon, straciła męża grubasa i pijaka, a w zamian zyskała ślicznego dwudziestolatka... Ale moim prawdziwym powołaniem było co innego, nie chciałem garbić się, pracując przez całe życie, kusiło mnie coś lepszego, coś wyższego i bardziej duchowego, na przykład zostać aktorem, pisać wiersze, więc trzeba było skończyć z tą starą ruchawicą... zacząć własne życie... no tak. No i zadekowałem się, a jakże, jak puściłem kantem wdowę i otworzyłem gospodę... luksusowy burdelik, dobre zarobki i mało kłopotów. Zabawiałem klientów, deklamując im moje wierszyki, zanim jeszcze zajmowały się nimi dziewczyny. Raz recytowałem też w kościele, wersety ze Starego Testamentu, z pamięci, nic nie bujam. Przyjęli mnie na członka honorowego do Izby Retorów. Wiecie, oni byli stałymi bywalcami mojego burdelu i udzielałem im nadzwyczajnych zniżek, według korzystnej taryfy. Byłem bliżej Pana Boga, siedząc między moimi kurwami, niż wszyscy ci literaci, którym śmierdziało pod nosem i którzy przychodzili, żeby im obsłużyć te ich wisiorki! Pewnego dnia przybywają do mojego burdelu dwaj wędrowcy zesłani przez Pana. Jednym był Jan Matthijs, a drugi to ten, którego Inge morduje właśnie na dywanie. Gert, żyjesz jeszcze? No i mówią: „Janie z Lejdy, Pan Bóg cię potrzebuje, rzucaj wszystko i chodź z nami”.

— No i rzuciłeś...

— Jasne, bo poczułem, że tak właśnie trzeba zrobić, że to jest moje przeznaczenie. K..., Bóg przemówił do mnie i powiedział: „Janie, bękartcie jeden, żyjący z kobiet, wysłałem cię na ziemię w pewnym celu, nie po to, żebyś przez całe życie tarzał się w błocie i w spermie! Wstań i idź za tymi ludźmi, trzeba wykonać pewną robotę”. No i dotarliśmy tutaj, żeby stanąć przed twoim powitalnym komitetem. Nasza wdzięczność, przyjacielu Berndcie, będzie szła za tobą aż do nieba, gdzie otrzymasz to, na co zasłużyłeś!

Knipperdolling śmieje się z rękami w kroku.

— I mój ptaszek, biedaczyna, i mój ptaszek, ale posłuchaj, naprawdę mówiłeś coś tam o tych krajowcach, nie wygłupiaj się, chyba zalewałś.

— Długie jak ręka, Berndt, jak ręka.

Knipperdolling pochmurnieje. Jan popija z butelki i wyciąga się na łóżku. Zaczyna jazgotać na cały głos.

— Kim teraz jestem? Zgadnijcie, kim jestem?

Cisza.

— No, dalej, to nietrudne. — Ujmuje w dwa palce kraj prześcieradła i przykrywa się nim powoli. — Kim ja jestem?

— Ztraconym pijaczną.

Podnosi się z bardzo poważną miną, owinięty prześcieradłem.

— Niech będzie przeklęte Kanaan! Niewolnikiem niewolników będzie dla swoich braci! — Wrzask w kierunku Knipperdollinga. — Kim jestem?

Szef miejskich cechów spogląda na mnie wystraszonym wzrokiem, najwyraźniej przerażony.

Otwieram usta, żeby go pocieszyć, gdy Inge unosi głowę, odwraca się w stronę Jana i mówi:

— Jesteś Noe.

Rozdział 26

Münster, 28 stycznia 1534 roku

Münster ma pewien szczególny urok, wąskie uliczki, posępne domy, główny rynek, na skraju którego wznosi się kościół Świętego Lamberta; architektura i rozmieszczenie budynków, wszystko to wydaje się przypadkowe, chaotyczne, a jednak w miarę mijających dni spostrzegasz, że istnieje tu pewien porządek ukryty w plątaniu ulic. Poświęcam wolny czas na poznanie miasta, błądząc godzinami bez celu, gubiąc się w tym labiryncie i odnajdując za każdym razem w innym jego punkcie. Odkrywam na poły sekretne przejścia, rozmawiam z kramarzami, ludzie są otwarci na obcych, być może dlatego, że anabaptyzm przyszedł tu na nogach wędrownych holenderskich proroków. Poznałem jednego z nich, Heinricha Rola, któremu powierzono jedną z parafii w obrębie murów. Długo rozmawialiśmy o Holandii, wymieniał mi imiona naszych tamtejszych współbraci, żadne z nich nic mi nie mówiło. Powiadają, że Münster może liczyć nawet piętnaście tysięcy mieszkańców, ale w dniach targowych musi tu być z pewnością więcej ludzi. Niektórzy tutejsi mieszczanie to wędrowni kupcy, inni mają manufaktury tkackie, jest wielu robotników. Wyrzucenie za bramę biskupa pozwoliło zlikwidować podatki na tkaniny i wejść we współzawodnictwo z produktami wytwarzanymi w klasztorach; braciszkiwie patrzą na to krzywo, kupcy się bogacą. Nauczyłem się wychwytywać siłę kryjącą się w niektórych miejscach; z tych murów emanuje podniecenie, niezadowolenie, życie. Jest to ważne skrzyżowanie szlaków handlowych między północnymi Niemcami i dolnym Renem, ale czuje się tu witalną energię, która napływa z wnętrza miasta, rodzi się w kurzu brudnych uliczek, unoszącym się spod kół wozów.

Münster jest jednym z tych miejsc, w których ma się wrażenie, że prędzej czy później nieuchronnie coś się tu wydarzy.

Frunę po błocie ulicy skapanej już w mroku, nie zwracając uwagi na bryzgi, które plamią mi pludry, frunę szybko, na czubkach butów, aż do jego domu. To Knipperdolling rozesłał wezwanie, żeby zwołać wszystkich, znaleźli mnie w gospodzie, gdzie zasiedziałem się, słuchając teologicznej dysputy między dwoma kowalami. Prędej, jak najprędej, wielki kłopot, chłopak, który mnie znalazł, powiedział, żeby pospieszyć do domu naczelnika cechów i przypiąć do płaszcza zrobioną z kawałka miedzi spinkę, na której wypisane jest nasze hasło: ASCS — A Słowo Ciałem się Stało — bo bez tego nie wpuszczą mnie do środka.

Trzy uderzenia kołatką i po chwili rozlega się głos: „Kto tam?”.

— Gert ze Studni.

— Hasło?

Ściskam w rękę spinkę.

— A słowo ciałem się stało.

Odsuwają się zasuwy, Rothmann zaprasza mnie ruchem ręki do środka, ale przed zamknięciem drzwi rzuca prędko okiem za moimi plecami.

— Znaleźliśmy cię na szczęście, bo robi się bardzo śmierdząco.

— Co się dzieje?

— O niczym nie słyszałeś?

Wzruszam ramionami, jakbym chciał się usprawiedliwić.

Na jego twarzy rysuje się wyraźne zaniepokojenie.

— Ten sukinsyn biskup kazał wywiesić zarządzenie; odebrał nam wszelkie cywilne prawa, nam i wszystkim, którzy nas popierają. Grozi ludności represjami, jeżeli w dalszym ciągu będzie nas kryć.

— Gównno.

— Von Waldeck coś knuje, ja go znam, chce nas podzielić, ma nadzieję przeciągnąć luteranów na swoją stronę, żeby nas odizolować. Chodź, zwołaliśmy zebranie, bo musimy zdecydować, jaka będzie nasza reakcja. Trzeba wysłuchać zdania wszystkich.

Jadalnia jest już zapełniona, wokół okrągłego stołu tłoczy się ze dwadzieścia osób, gwar rozmów przypomina dochodzące z oddali odgłosy rynku. Knipperdolling i Kibbenbrock rozmawiają ze sobą półgłosem, zaczerwienione twarze dwóch przedstawicieli tkackich korporacji mówią same za siebie.

Na mój widok dają mi znak, żebym usiadł koło nich. Podchodzę, przepychając się łokciami. Bockelson już tam jest i wita mnie poważnym gestem.

— Słyszałeś o zarządzeniu?

— Powiedział mi Rothmann, przedtem nic nie wiedziałem, spędziłem cały dzień na głupotach.

Rothmann szerokimi ruchami rąk ucisza zebranych, nasi koledzy milkną jeden po drugim.

— Bracia, nie ma co ukrywać, sytuacja jest poważna, natarcie von Waldecka ma na celu odizolowanie nas w tym mieście, postawienie poza prawem, żeby można było rozpocząć prześladowania, prawdopodobnie przy biernej zgodzie luteranów. Dziś wieczorem musimy postanowić, jak mamy się bronić w sytuacji, gdy biskup odkrył karty i wydaje otwartą bitwę, a nad nami zawisło niebezpieczeństwo.

Słysząc walenie do drzwi, na twarzach maluje się zaskoczenie, ktoś biegnie zobaczyć, hasło słychać aż tutaj, z wielu gdań, jest ich cała gromada.

Wkracza z tuzin robotników, w rękach mają młotki i siekierki, na czele niski i chudy, ponury typek, za pasem ogromny pistolet, spojrzenie sukinsyna i żywe ruchy. To Redeker, z zawodu rozbójnik, który przyłączył się najpierw do baptystów, żeby wypróżnić sakiewki bogaczom, a później do naszej wspólnej sprawy. Rothmann ochrzcił go osobiście kilka dni temu, gdy pokazał, że jest godzien zaufania, przekazując do kasy łup z najbardziej zyskownego napadu — pięćset florenów w złocie, wyrwanych po pamiętnej akcji biskupiemu rycearzowi von Bürenowi.

Rothmann obrzuca ich piorunującym spojrzeniem.

— Co to ma znaczyć?

— Ludzie nie chcą siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak się im zaciska powróż na szyi.

— To nie powód, bracie Redeker, żeby przyprowadzać uzbrojonych ludzi do domu mistrza Knipperdollinga. Nie powinniśmy dawać naszym adwersarzom pretekstu do zaatakowania nas.

— Tak czy owak do tego dojdzie, nie uważasz? — Mały zbójnik ciemnieje z wściekłości. — Rozprawić się z nimi na czas, to trzeba zrobić, i to natychmiast. Luteranie są gotowi lizać dupę von Waldeckowi i sprzedać nas wszystkich! Widziano ich, jak przynosili broń na drugi brzeg kanału, do klasztoru Überwasser. Szykują się do ataku.

— Redeker ma rację, do cholery! Nie wolno czekać, aż wejdą tymi drzwiami, żeby nas powyrzynać! — Spoza pleców małego zbójca dobiega echo tych słów, cały chór podnieconych głosów. — Tak! Dołożyć im, rozprawić się z nimi raz na zawsze!

Rothmann mruży oczy, spogląda jak wilk.

— Co chcielibyście zrobić?

Redeker mierzy go wzrokiem, stając na środku sali.

— Ja mówię: wyrzucmy ich za bramę. Poderżnijmy gardła papistom, poderżnijmy gardła luteranom. Prędzej zaufałbym jakiemuś wężowi niż Judefeldtowi i jego kompanom z rady.

— A Tilbeck? Drugi burmistrz nie jest nastawiony do nas wrogo, chcesz zamordować i jego?

— Idą ręka w rękę, Rothmann, nie widzisz tego? Jeden udaje dobrego, drugi jest twardy, ale obaj się sprzedali, wołają sto razy bardziej von Waldecka, czekają tylko na okazję, żeby zasztyletować nas we śnie, a biskup obiecuje im zapłatę na srebrnej tacy. Położymy koniec tym machinacjom i jeżeli ktoś ma iść do piekła, niech idzie natychmiast.

Rothmann krzyżuje ręce na piersi, robi parę kroków, medytując jak lichy komediant.

— Nie, bracia, jeszcze raz nie. Nie tędy droga. — Przerywa na chwilę, aby jego słowa dotarły do świadomości wszystkich. — Walczyliśmy przez dwa lata zjednoczeni, czasami samotnie, zdobywając poparcie mieszkańców Münsteru, robotników, krok po kroku, zasiewając ziarno naszego posłania, przyjmując nowych adeptów z miasta, a teraz także i spoza niego. — Jego spojrzenie pada na mnie i na Bockelsona. — Są tu apostołowie Matthijsa. A wraz z nimi napływają inni ludzie, których prowadzi do naszego miasta nadzieja. I oni, te kobiety i ci mężczyźni pełni wiary w Boga i w nas, tak, bracia, w nas, w nasze możliwości, że wygramy tę bitwę, nie mogą widzieć, jak wystawiamy wszystko na niebezpieczeństwo w ciągu jednej nocy, poddając się fali strachu. Siłę daje nam nie tylko ich wiara, ale także materialny wkład, nawet całe majątki, bracia, i pieniądze, które nam darowują. — Po sali przebiega szmer cichych szeptów, pytające spojrzenia szukają owych ofiarodawców.

Przerywa je powstrzymany gniew Redekera.

— Ja też ofiarowałem mnóstwo pieniędzy na rzecz naszej sprawy. I teraz mówię: za te środki kupimy armaty!

— Tak, kolubrynę i miecze.

— I pistolety.

— Nie, to wszystko nie może się tak skończyć, nie mogą iść na marne nasze wysiłki, Redeker, nasza praca. Jeżeli teraz damy początek rzezi, co powiedzą mieszkańcy pobliskich miast, bracia, którzy spoglądają na Münster jak na światło przewodnie odnowionego chrześcijaństwa?! Pomyśl, że jesteśmy krwawymi szaleńcami, i wycofają się do tyłu. To, co ty ofiarowałeś na sprawę, co ofiarowali inni, to nie jest wojenny łup. A ja powiadam, że można tego użyć zupełnie inaczej i odnieść korzyści.

— Co masz na myśli?

— To, że dziś biskup próbuje zwrócić ludność przeciwko nam, grożąc jej, jeżeli poda nam pomocną dłoń. Więc musimy postąpić tak, żeby została po naszej stronie. Trzeba, żebyśmy stali się przywódcami tych nieszczęśników, a nie tylko nas samych. Nie rozumiesz,

czego chce von Waldeck?! Ja nie podejmę tej jego gry, zareagujemy, Redeker, ale bardziej skutecznie. — Milknie na chwilę, żeby stworzyć nastrój wyczekiwania. — Proponuję, żeby nasze zgromadzenie zastanowiło się nad przeznaczeniem zebranych pieniędzy na fundusz dla najbiedniejszych. Żeby wszyscy potrzebujący mogli czerpać według reguł, jakie ustalimy, ze wspólnej kasy zapomogowej, a kto ma więcej od innych, będzie do niej wpłacał według swoich możliwości.

Knipperdolling i Kibbenbrock potakują z przekonaniem, nie wstając z miejsc.

Redeker niezdecydowanie kołysze się na nogach. Nie wystarcza mu to.

— Biedni rozumieją wtedy, że ich sprawa jest naszą sprawą — ciągnie Rothmann. — Fundusz wzajemnej pomocy będzie miał większą wartość niż jakiegokolwiek kazanie, w ich życiu będzie to coś namacalnego. Luteranie mogą sobie knuć tyle spisków, ile się im podoba, ale my będziemy silniejsi; biskup może wywieszać i tysiąc rozporządzeń, a lud i tak stanie po naszej stronie!

Skończył, dwaj adwersarze przyglądają się sobie przez dłuższą chwilę. Za plecami Rothmanna widać potakujące głowy, za Redekerem gwar niepewnych głosów.

Rozbójnik wykrzywia usta.

— A jeżeli zdecydują dać nam po dupie?

Zrywam się z miejsca, przewracając krzesło, wyciągam spod płaszcza mój krótki miecz i kładę na stole. Rothmann i Knipperdolling aż podskakują z wrażenia.

— Jeżeli będą chcieli popróbować żelaza, nie sprawimy im zawodu, bracie, słowo Gerta ze Studni. Ale jeśli lud będzie z nami, podniosą się tysiące mieczów. — W sali zapada grobowa cisza. — Teraz wyjdziemy na dwór, żeby podrzeć to obwieszczenie biskupa, i luteranie zobaczą, że nie boimy się von Waldecka, a tym bardziej ich. Niech dobrze pomyślą, zanim nas zaatakują.

Zdumienie obecnych znika błyskawicznie, odpręża się także Rothmann. Redeker wpatruje się we mnie zuchwałym wzrokiem, jego oczy prześlizgują się po mieczu, wreszcie potakuje ledwo widocznym ruchem głowy.

— Zgoda. Zrobimy, jak mówicie. Ale nikt z nas nie ma ochoty zostać męczennikiem. Jeżeli mają mnie załatwić, to ja chcę zginąć z mieczem w ręku, zabierając paru tych bękartów ze sobą.

Porozumienie zostało zawarte dzięki słowom Rothmanna i skutecznemu posunięciu apostoła Matthijisa. Przy głosowaniu nad powołaniem kasy dla biedaków pełna jednomyślność. Kibbenbrock z papierem i piórem w ręku zapisuje co trzeba, natomiast Redeker organizuje

pięcioosobowe grupy, które mają zrywać rozporządzenie z murów miejskich.

Rothmann i Knipperdolling biorą mnie na bok, podczas gdy bracia wychodzą w grupkach po trzech albo czterech, żeby nie rzucić się w oczy. Noc wchłania sylwetki, jedną po drugiej.

Czuję klepnięcie po plecach i komplement.

— Użyłeś właściwych słów. To było to, co chcieli od nas usłyszeć.

— I takie jest moje zdanie. Redeker jest człowiekiem nierozważnym, ale wie, co do niego należy. Udało się zachęcić go do myślenia, no i zrozumiał.

Knipperdolling wzrusza ramionami.

— To jest rozbójnik z gościńca, trudno się z nim pertraktuje...

— Bandyta, który zabiera bogatym rycerzom, żeby oddać biedakom. Chciałoby się więcej typków tego rodzaju. Matthijs mówi, że żołnierzy Pana znajdziemy wśród szumowin, pomiędzy ostatnimi nędzarcami, wyjętymi spod prawa, ulicznymi kuglarzami, sutenerami... — Wskazuję ręką Bockelсона, który przycupnął półuspiony na krześle koło kominka, z rękami na genitaliach.

Potężny tkacz drapie się po brodzie.

— Według ciebie dojdzie do walki zbrojnej?

— Nie mam pojęcia, von Waldeck nie wygląda mi na gościa, który łatwo ustępuje.

— A luteranie?

— Myślę, że będzie to zależało od nich samych.

Knipperdolling w dalszym ciągu miętosi swoją brodę.

— Hmm. Posłuchaj, za niecały miesiąc będą wybory nowej rady i burmistrzów. Ja i Kibbenbrock moglibyśmy kandydować.

Rothmann kręci głową.

— Ludzie, którzy nas wspierają, są zbyt biedni, żeby mogli głosować. Albo zmienisz ordynację, albo przegrałeś jeszcze przed startem.

Wydaje się, że zdanie apostołów Matthijsa liczy się tu mocno, toteż mówię z naciskiem:

— Życzę wam z całego serca, żeby udało się wam przejąć miasto drogą pokojową, ale powietrze, którym się tu oddycha, mówi, że sprawy mogą potoczyć się zupełnie inaczej.

Rothmann potakuje z poważną miną.

— Zgadza się. Zobaczymy. Tymczasem trzeba, żeby ten fundusz dla biednych został uruchomiony natychmiast. Z wyborami czy bez nich i tak sprawimy, że luteranie i katolicy będą w mniejszości. Dla ostrożności przeniesiemy obrządki z parafii do prywatnych domów, żeby się zabezpieczyć przed szpiegami.

— Oby Pan Bóg nas w tym wspomagał.

— Nie wątpię w to, przyjaciele, a teraz, jeżeli pozwolicie, pójdę z braćmi robić konfetti z zarządzenia biskupa.

— A Jan, zostawisz go tu? — Knipperdolling przypomina mi o przyjacielu, który zadekował się przy kominku.

— Niech sobie śpi, i tak nie mielibyśmy z niego wielkiej pociechy...

Na dworze jest mroźna noc, ciemno choć oko wykol, wzdrygam się pod płaszczem, szukając drogi na główny rynek. Pomaga mi to, co zapamiętałem z długich wędrówek po tych uliczkach. Byle cień, wrażenie, że ktoś jest przede mną, i już trzymam w dłoni obnażony mieczyk, wyciągając go przed siebie.

— Spokojnie, bracie.

— A to dlaczego?

— Bo słowo ciałem się stało.

Z mroku wyłania się jakieś oblicze, widziałem je na zebraniu.

— Mało brakowało, a nadziałbym cię, nie zastanawiając się dwa razy... Ktoś ty?

— Człowiek, który podziwia sposób, w jaki bierzesz się do rzeczy. Nazywam się Heinrich Gresbeck. — Ukośna blizna przecina mu brew, niebieskie oczy, krzepkiej postury, mniej więcej w moim wieku.

— Jesteś stąd?

— Nie, ze wsi, tu niedaleko, chociaż ostatni raz zdarzyło mi się przyjechać w te strony z dziesięć lat temu.

— Jesteś predykantem?

— Najemnym żołnierzem.

— Nie przypuszczałem, że są baptyści wyszkoleni do walki.

— Tylko ja i ty.

— Skąd to wiesz?

— Zawsze rozpoznam człowieka dobrze posługującego się mieczem. Matthijs umie dobierać sobie ludzi.

— Tylko to chciałeś mi powiedzieć?

Jego twarz jest wyrazista, blizna sprawia, że rysy wydają się groźniejsze i bardziej ponure, niż są w rzeczywistości.

— Podziwiam Rothmanna, to on mnie ochrzcił. Mamy wielkiego kaznodzieję, prędzej czy później będziemy też potrzebowali do-wódcy.

— Chcesz powiedzieć, że ja nim będę. A dlaczego nie ty?

Śmieje się, pokazując białe zęby.

— Nie żartuj, ja to tylko mały Gresbeck, a ty... wielki Gert ze Studni, apostoł. Pójdą za tobą, tak jak posłuchali cię dziś wieczorem.

— Ci ludzie to nie najemnicy, bracie.

— Wiem o tym. Nie będą się bić dla łupów, będą walczyć

o Królestwo Niebieskie, i dlatego dadzą sobie radę ze wszystkimi. Ale ktoś będzie musiał ich poprowadzić.

— Ja zajmuję miejsce Matthijsa, do czasu gdy on...

— Nie żartujmy, Matthijs był piekarzem, ten z Lejdy stręczycielem, Knipperdolling i Kibbenbrock są tkaczami, a Rothmann znawcą Biblii.

Potakuję bez słowa. Jeszcze upewnienie się.

— W razie czego będziesz wiedział, gdzie mnie szukać.

— Stawimy się wszyscy. A teraz idziemy podetrzeć sobie tyłki tym rozporządzeniem.

Wsiąka w mrok ulicy, goniąc za widmem von Waldecka.

Rozdział 27

Wolbeck koło Münsteru, 2 lutego 1534 roku

Tile Bussenschute zwany Cyklopem, z zawodu stolarz zbijający skrzynki, to olbrzym, postać prawie mitologiczna.

To jeden z tych boskich tworów, do których odwołują się czasami doprowadzone do ostateczności matki: „Jeżeli nie będziesz spał, zawołam pana od skrzynek...”.

Wszystko przyjęło w nim olbrzymie rozmiary, z wyjątkiem rozumu. Nie wiem, co opowiedział mu Kibbenbrock, kiedy poszedł po niego do jego warsztatu, ale jeśli nawet wytłumaczył mu szczegółowo, o co chodzi, to i tak jestem pewien, że stolarz nie ma zielonego pojęcia o tym, co przyszło mu teraz robić. Kręci się poirytowany w jedynym eleganckim ubraniu, w jakie zdołaliśmy go wcisnąć; znaleźliśmy je w szafie Knipperdollinga, ale z wielkim trudem mieści ono brzuch, tyłek i niezliczone podbródki szefa naszej delegacji. Przeważnie nic nie mówi, tylko pochrząkuje i coś tam mruczy; powiadają, że wykończyły go trzy lata więzienia za zabójstwo: był wtedy tragarzem i na schodach jakiegoś pałacu rzucił w swojego pomocnika tak ciężkim worem, że tamten stracił równowagę, stoczył się w dół i całkiem roztrzaskał.

Zaraz za Bussenschutem, kompletnie zasłonięty ogromnym cieliskiem stolarza, kroczy Redeker, który przez pewien czas dzielił z nim jedną z cel biskupiego więzienia. Grzeszny nałóg przywłaszczania sobie sakiewek innych ludzi z pewnością nie opuścił go zupełnie, a ma jak najgorszy zwyczaj chwalenia się publicznie swoimi czynami, i to prędzej czy później wpędzi go znowu w tarapaty.

Pochód całej trójki zamyka Hans von der Wieck, pokątny adwokacina, który sam zgłosił się na członka delegacji. Wierzy naprawdę, że jest w stanie wynegocjować pokój z biskupem i luteranami, i nie zdobył się na wycofanie nawet wtedy, gdy postanowiliśmy zamienić spotkanie w karnawałową błazenadę.

Biskup zwołał zgromadzenie, żeby się jakoś porozumieć ze wszystkimi stronnictwami, znaleźć kompromis, który pozwoliłby mu wrócić do miasta. Gdyby sprawa trafiła do rąk burmistrza Judefeldta, któremu miejsce w delegacji należy się z urzędu, znalazłby jak najbardziej ów kompromis, oczywiście naszym kosztem, albowiem von Waldeck chce przyznać mieszczanom pewne swobody, żeby zadowolić bogatych luteranów zaprzyjaźnionych z Judefeldtem, zapanować nad swoim biskupim księstwem i usunąć baptystów, ale ma w nosie zwykle pospólstwo. *Dziel i rządź*, historia stara jak świat.

Nie wypadało nic innego, jak storpedować całe przedsięwzięcie. Zmusiliśmy Judefeldta i radę, żeby zaakceptowali udział w delegacji przedstawicieli mieszkańców Münsteru, wybranych na tę okazję: potwornego olbrzyma, rabusia z gościńca i niewydarzonego gmatwacza-kręciela, a wreszcie i nas wszystkich do pilnowania im pleców.

Wchodzimy jeden za drugim po schodach, równiutko jak gęsi, starając się zachować godną postawę. Knipperdolling ma łyzy w oczach, a z jego zaciśniętych ust dobywają się hamowane z trudem bąbelki, zwiastujące potężny wybuch śmiechu. To on pierwszy rzucił imię, gdy szukaliśmy kandydata na szefa delegacji, kandydata, który stanąłby na wysokości zadania.

— Tile Cyklop! To jest człowiek, jakiego potrzebujemy!

Sala wybrana na posiedzenie znajduje się w domu rycerza Dietricha von Merfelda, jednego z najświetniejszych krasomówców wśród biskupich lizusów. Rzeźbione belkowania sufitu, na ścianach niewybredne gobeliny, fanfaronada za dwa grosze. Krzesła, na których posadzono wasali biskupa, otwierają się niczym skrzydła ptaka. Gospodarz pałacu siedzi po prawicy głównego tronu, pyszniąc się pompą tej wspaniałej parady: wszystkie herbowe tarcze wycelowano w biednych, ignoranczkich mieszczuchów, aby wyrzeć na nich jak największe wrażenie.

Pośrodku stoi tron z rzeźbionymi w drewnie poręczami w kształcie lwich głów, a u szczytu oparcia pyszni się biskupi herb obok rodowego herbu gospodarza.

Imponujące to i ponure, od góry do dołu.

Błyszczące buty z cholewami, pludry z cienkiej wełny i elegancka kurteczka, sprzączka pasa podtrzymującego szpadę i rzeźbiona garda prościutko z Toledo, biskupi pierścienie, złoto i rubin, połyskuje na palcu, na piersi książece medalion cesarstwa. Za tym wszystkim kryje się chuda, wyprostowana sylwetka.

Nieprzyjazne oblicze.

Srebrzyste włosy i siwa broda, wyrazista twarz bez policzków, od lat toczy ją czerw władzy.

Von Waldeck: pięć dziesiątków dobrze spędzonych lat i spojrzenie orla patrzącego z wysoka na swoją ofiarę.

I my w tym miejscu.

Tile Bussenschute, skrepowany widokiem złociń i stiuków, zdobywa się na ukłon, narażając na wielkie niebezpieczeństwo szwy i guziki szat Knipperdollinga.

Jeden z biskupich rycerzy kręci się na krześle, wyciąga szyję i unosi się z rękami na poręczach, próbując zrozumieć, co kryje się za tą górą mięsa, która krok za krokiem postępuje na sam środek sali. Wreszcie ogromny stolarz pochyla się w ukłonie na tyle głębokim, aby zza jego pleców ukazał się pogardliwy uśmiech Redekera.

Wszystko odbywa się błyskawicznie. Melchior von Büren, napadnięty przed niespełna miesiącem na drodze do Telgte i obrabowany przez zbója, który nie zakrył sobie nawet oblicza, staje twarzą w twarz z człowiekiem, który ograbił go z podatków z jego posiadłości. Być może nie rozpoznaje go od razu, więc mruży oczy, żeby lepiej widzieć. Poczerwieniały na gębie Heinrich Redeker nie zatrzymuje się, ale robi krok do przodu, wypinając pierś, tak jakby chciał jednym skokiem przesadzić plecy, które ma przed sobą.

— Jeszcze cię to dręczy, przyjacielu?! — wykrzykuje przez zaciśnięte zęby.

Obrabowany w odpowiedzi dobywa błyskawicznym ruchem szpady i zaczyna nią wymachiwać przed nosem osłupiałego Bussenschuta.

— Stawaj mi, kanalio, zapłacisz krwią za każdego florena!

— Na razie masz tu zadatek! — wykrzykuje nasz delegat, plując tamtemu w twarz ponad ramieniem szefa delegacji.

Biskupi rycerz usiłuje odpowiedzieć pchnięciem żelaznej klingi. Jego ruch wprawia w niemąłość Bussenschuta, który poczuł, że szpada przeszła mu tuż koło ucha. Olbrzym reaguje natychmiast, robi zamach ręką i otwartą dłonią wali w twarz szermierza, który pada razem z krzesłem, przewracając dwóch innych rycerzy.

Judefeldt wrzeszczy, żeby dali spokój tym ekscesom, i usiłuje powstrzymać Redekera.

Na orleju twarzy von Waldecka ani śladu zmieszania, biskup siedzi bez jednego słowa; wodzi tylko po nas najbardziej pogardliwym spojrzeniem, jakie ma w swoim repertuarze. Redeker usprawiedliwia je, rzucając wyzwiska pod adresem rodzicieli swojego adwersarza, jego dawno pomarłych krewnych i świętych opiekunów. Z siłą powietrznej trąby wyrывa z korzeniami genealogiczne drzewo przeciwnika.

Nasz von der Wieck pogdakuje w środku tego zamieszania, starając się przybrać minę poważnego adwokata, którym nigdy nie był.

— W miejscu wybranym na zgromadzenie wszystkich chroni immunitet i obowiązuje zakaz używania oręża!

Towarzysze von Bürena starają się uniemożliwić mu osiągnięcie Redekera, zakłopotany i zaczerwieniony Judefeldt niczym bezradne dziecko podejmuje próżne wysiłki uspokojenia zwaśnionych.

Spokój zostaje przywrócony dopiero wtedy, gdy von Waldeck podnosi się ze swego tronu. Stoimy jak skamieniały. Jego spojrzenie miażdży obecnych w komnacie: biskup wie już, że burmistrz jest tylko małym figurantem, a jego przeciwnikami jesteśmy my. Piorunuje nas w milczeniu, po czym odwraca się pogardliwie i wychodzi, kulejąc; kuśtyka do drzwi wraz z von Merfeldem, w otoczeniu swojej osobistej straży.

Rozdział 28

Münster, 8 lutego 1534 roku

Wiele zakon rzuciło z własnego wyboru
i w swym szaleństwie uciekło z klasztoru;
niejedna w szpony wpadła pożądań ciała
i orgiom wyuzdanym całkiem się oddała.

Redeker skupia się, obracając w rękach monetę. Przez chwilę wpatruje się w ścianę, potem zamyka oczy, odbija pieniążek i wygrywa piątą kolejkę piwa z dodatkiem gorzałki.

— To ostatnia — zapewnia, gdy wracamy do naszego stołu.

Wokół dwóch aren urządzonych między stołami karczmy Mercuria panuje ścisk. Tego wieczoru gra toczy się o nagrody karnawału: po jednej stronie idą tańce przy dźwiękach lutni o baryłkę piwa, premię dla tancerza, który się podda jako ostatni, po drugiej kuflem piwa z gorzałką nagradza się tego, który rzuci monetę tak, żeby upadła jak najbliżej ściany, ale jej nie dotykając. Bezdyskusyjnym mistrzem jest tu Redeker.

Knipperdolling ma u karczmarza kredyt i funduje nagrody. Przed jego gąbczastym nosem stoją już równym rzędkiem cztery puste kufle. A on wdrapuje się chwiejnie na stół, próbuje skupić na sobie uwagę wszystkich i intonuje na melodię lutniowego tańca śpiewkę, która natychmiast staje się przedmiotem aluzji słuchaczy:

Duch to był nieczysty, dziwotwór ponury,
co je pchnął, by zwały za klasztoru mury.
A gdy się już spośród świętych ścian wyrwały
schronienie u ludzi występnych dostały.

Dwa stoły dalej ktoś podejmuje od razu pieśń szefa miejskich cechów i prowadzi dalej opis uciekinierek z klasztoru Überwasser.

Jeszcze nie skończył, gdy inny nie daje się prosić i parodiuje gesty Rothmanna pod murami klasztoru. Działa to następująco: ten, kto zaintonował śpiewkę, w tym wypadku Knipperdolling, stawia napitek temu, który zaśpiewa dalej. Zawody idą o to, żeby zaśpiewać ostatnią zwrotkę i pozbawić obecnych w karczmie możliwości dodania jeszcze jednej.

— Szczytem wszystkiego było, jak przypomniał mniszkom o tym, że powinny rodzić dzieci. Nie wiem, jak on zdołał zachować przy tym poważną minę — wspomina Kibbenbrock, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— No, ale miał przecież rację — dodaje inny. — Co tu jest śmiesznego? Nawet Biblia mówi, żebyśmy się mnożyli.

— Tak, słusznie, mnie najbardziej rozśmieszyła przeorysza, jak stanęła w oknie i zaczęła zachęcać siostrzyczki, żeby kochały ich jedynego oblubieńca!

— Ta stara dziwka von Merfeldowa! Rozpustna maciora, a do tego donosicielka biskupa! Za zdrowie ślicznych nowicjuszek!

Przynoszą kolejkę postawioną przez Redekera za pieniądze z łupu zrabowanego w Wolbecku. Mały rozbójnik tańczy na stole do rytmu pochwalnych hymnów na jego cześć. Jest pijany. Spuszcza spodnie, kołyszając biodrami, i głośno powtarza zaproszenie, jakie parę godzin temu złożyli mniszkom zwolennicy Rothmanna.

— Naprzód siostrunie, pocieszcie tych biedaków!

Jakiś staruszek z wielkimi wąsami obejmuje z tyłu mnie i Knipperdollinga.

— Stawiam następną kolejkę, chłopaki! — wykrzykuje z zadowoleniem. — Odkąd się spostrzegłem, że mam tego ptaszka w spodniach, zawsze w karnawale chodzę z kolegami pod klasztorne okna, żeby robić mniszkom propozycje, ale, na Boga, nigdy nie widziałem, żeby tak gromadnie stamtąd uciekały. To wasza zasługa, przyznaję, byliście świetni!

Unosimy kufle, żeby opić komplement. Tylko Jan z Lejdy zostawia swój na stole. Dziwnym trafem nie odezwał się jeszcze ani słowem. Siedzi bez ruchu na swoim miejscu, obojętny na wszystko. Jeżeli dobrze go znam, to jest zawiedziony, bo nie poszedł robić zamieszania pod wieżami Überwasser. Próbował osiągnąć podobne rezultaty z dziewczkami z pewnego burdelu, proponując im, żeby dały się ruchnąć za darmochem nowochrześcianom Rothmanna, ale spotkały go tylko wyzwiska.

Podnosi wzrok i spostrzega, że wpatruję się w niego. Zaczyna drapać się niecierpliwie po ramieniu, tak jakby chciał dodać sobie godności, ale to nie to. Korzysta z chwili ciszy i woła:

— Hej, ludzie, to nietrudne, popatrzcie: kim ja jestem? No kim? — Drapie się coraz mocniej, tym razem brudną łyżką do zupy.

Knipperdolling sztywnieje na swoim krześle. Ktoś inny odwraca wzrok w drugą stronę, żeby nie dać się wciągnąć. Czuję, że powinienem go ratować.

— Jan, jesteś Hiobem, który drapie swoje świerzby, to jasne. — Odwracam się do siedzących koło mnie. — Jakim cudem żeście go nie zrozumieli? Odegrał to doskonale, no nie?

Chór głosów:

— Prawda, prawda, brawo, Janie!

Nasz aktor śmieje się drwiąco.

— No dobrze, to było łatwe. Ale popatrzcie teraz. — Kocim ruchem ześlizguje się z krzesła pod stół, rzucając głośno przez zęby: — Kim jestem? No, kim jestem?

Knipperdolling podnosi się cicho, mrużąc pod nosem, że musi się odlać.

Spod stołu dochodzi nieustępliwy głos:

— Nie odchodzić, nieuki! Pomogę wam: „Ale Ty wyprowadziłeś moje życie z przepaści, Panie, mój Boże! Gdy gasło we mnie życie, wspomniałem Pana”.

— Kto w tej karczmie recytuje z pamięci Księgę Jonasza? — Niedowierzający i trochę rozbawiony głos należy do Rothmanna, który dopiero co przysiadł się do naszego stołu. Zanim prorok zdołał wygramolić się z wielorybiego brzucha, rozlega się grzmot podziwu dla zdobywcy klasztoru Überwasser. Tydzień temu kazał münsterskim kobietom oddać wszystkie klejnoty, żeby wspomogły fundusz dla biednych, dziś przekonał całą chmarę mniszek, żeby przyjęły odnowioną wiarę.

— Kiedyś, żeby podobać się kobietom, należało mieć pieniądze — komentuje jakiś tkacz — dziś trzeba interesować się Pismem Świętym. Co ty zadajesz naszym paniom, Bernhard?

— Nie powiem ani słowa o waszych damach, ale jeśli chodzi o nowicjuszkę z Überwasser, wystarczyło powiedzieć im, że jeżeli nie wyjdą, Bóg zwali im na głowę klasztorną dzwonnice. — Gromkie śmiechy. — W każdym razie, kochani, tam w środku mało jest powołania, to ich ojcowie, ci upasieni sklepikarze, namówili je, żeby odwróciły się od świata, a wszystko po to, żeby zaoszczędzić na posagu.

Na stole zjawia się kielich nalewki, ofiarowany osobiście przez karczmarza „dla największego münsterskiego czarusia”. Rothmann pociąga powoli. Spogląda na Bockelsona.

— Co za smutną minę ma dziś nasz Jan! Co ci się stało? Coś robił dziś wieczorem?

Święty Stręczyciel zrywa się na nogi.

— Szukałem natchnienia, kapujesz? Na wielki wieczorny spektakl. Odrzucam z całą stanowczością myśl o pierwotnym grzechu!

Dlatego zaraz się tu rozbiorę do naga, jak nasz ojciec Adam, i będę chodził po ulicach, wzywając mieszkańców miasta, żeby odkryli nieznajomego człowieka, którego noszą w środku. — Coraz bardziej podniecony zaczyna ściągać kaftan i rzuca się na brzuch Knipperdollinga. — Odwagi, przyjacielu Berndcie, ty i ja będziemy głównymi aktorami wielkiej komedii o rajskim ogrodzie!

— Janie, do licha, na dworze pada śnieg!

Knipperdolling rozgląda się ze strachem w oczach, potem ustępuje. Jan odpina mu pas.

— Opamiętajcie się, mieszkańcy Münsteru, wyzbądźcie się grzechu!

Jego wołanie podrywa klientelę karczmy. Paru dla żartu zaczyna go przedrzeźniać, ale inni dają się sprowokować i podejmują wyzwanie, może dlatego, że na dworze rzeczywiście jest bardzo zimno, i z tuzin biesiadników zaczyna się rozbierać. Próbując zrozumieć, co się dzieje, Redeker podbiega do ściany, odbija od niej swoją monetę i przegrywa pierwszą z co najmniej piętnastu rozgrywek.

Jan drze się na całe gardło. Jest całkiem goły. Wychodzi na dwór. Knipperdolling małpuje wszystkie jego ruchy. Za nimi co najmniej tuzin gołych Adamów. Przy drzwiach karczmy Mercuria zbiera się tłum. Trzeba się przepychać, żeby coś zobaczyć.

Mimo grubej warstwy tłuszczu Knipperdolling nie wytrzymuje zimna i biega jak szalony, żeby się rozgrzać. Jan dogania go i zajmuje miejsce na czele dziwnego orszaku. Ludzie wychodzą na ulicę i żegnają się znakiem krzyża, nie wiadomo, czy z pobożności, czy może po to, żeby odegnać nieszczęście. Rozpraszamy się pośród stojących grupkami mieszkańców miasta i rzucamy się na ziemię, udając, że jesteśmy opętani, ale pękamy ze śmiechu. Rothmann recytuje objawienia z księgi Ezechiela, Redeker prychnął z ust, ja rzucam się z mieczem na demoniczne widziadła.

Wiele osób małpuje nas z rozbawieniem, myśląc, że to karnewałowe szaleństwo. Inni biorą wszystko trochę zbyt poważnie. Parę osób wybuchają płaczem i klękają, żeby prosić o chrzest. Są i tacy, którzy chcieliby otrzymać kary cielesne, inni rozrzucają po ulicy to, co mają przy sobie. Jakiś staruszek, który rozebrał się jako jeden z pierwszych, pada na ziemię, nie mogąc się ruszyć. Kibbenbrock okrywa go swoim futrem i wynosi.

Krawiec Schneider, którego córkę już raz porwali aniołowie, krzyczy, podnosząc oczy do nieba:

— Patrzenie, Bóg siedzi na tronie w chmurach. Patrzenie na zwycięską chorągiew, która zmiecie niegodziwych!

Rzuca się biegiem wzdłuż domów, klaszcze w dłonie, macha rękami jak ptak, skacze w górę, ale nie mając skrzydeł, pada w błoto z rozkrzyżowanymi rękami.

Rozdział 29

Münster, 9 lutego 1534 roku, rano

Budzi mnie walenie w drzwi.

Ręka instynktownie sięga pod materac; rękojeść miecza.

— Gert! Gert! Wstawaj, Gert, prędko!

Głowa nie chce oderwać się od poduszki. Co za palant...

— Gert, obudź się, mamy kłopoty!

Zsuwam się z łóżka, starając się zachować równowagę.

— Kto tam?

— Adrianson! Ruszaj się, wszyscy już lecą na główny rynek!

Wciągam pludry i stary kubrak. Po głowie tłuką mi się najgorsze myśli.

— Co się dzieje?

— Otwórz, musimy iść do magistratu!

Otwieram na oścież drzwi, gdy wymawia ostatnie słowo.

Muszę wyglądać jak nocne widziadło, ale mróz w jednej chwili wyostrza mi zmysły.

Ślusarz Adrianson nie ma dziś jowialnej miny, z jaką zwykle ożywia nasze wieczorne rozmowy. Ciężko dyszy.

— Redeker. Przeprowadził na rynek obcego, który dopiero co się zjawił... Mówi, że widział biskupa, jak gromadził swoją armię, trzy tysiące ludzi. Zamierzają rzucić się na nas, Gert.

Czuję nagły skurcz żołądka.

— Lancknechci?

— Zbieraj się, idziemy. Redeker chce zażądać wyjaśnień od burmistrzów.

— Ale jesteś pewien? Co to za obcy?

— Nie wiem, ale jeżeli mówi prawdę, tylko patrzeć, jak zacznie się oblężenie.

Idąc korytarzem, pukam do drzwi od frontu.

— Jan! Wstawaj, Jan!

Otwieram drzwi, których mimo dobrych rad mój towarzysz z Lejdy nigdy nie zamyka od środka. Łóżko nietknięte.

— Ciągle z dziewczynami w jakiejś stodole...

Ślusarz pociąga mnie schodami w dół. Omal się nie przewracam na podeście. Adrianson biegnie przodem, przez całą noc padał śnieg, bryzgi błota tryskają spod butów, ktoś posyła mnie do wszystkich diabłów.

Biegiem aż do głównego placu, który zamienił się w białą łąkę. Szary masyw katedry pośrodku wydaje się jeszcze potężniejszy. Pod oknami magistratu kłębią się niespokojne gromadki ludzi.

— Biskup chce wkroczyć zbrojnie do miasta.

— Takiego wała! Po moim trupie!

— Wezwała go ta ladacznica przeorysza!

— Za pieniądze z naszych podatków. Ten bękart opłaca wojsko, żeby nas załatwić siłą.

— Nie, nie, to ta pieprzona przeorysza z Überwasser... chodzi o sprawę nowicjuszek.

Pomimo mrozu wiadomość sprowadziła na rynek co najmniej pięćset osób.

— Musimy się bronić, potrzebna jest broń.

— Tak, tak, posłuchamy, co powie burmistrz.

Widzę Redekera w otoczeniu jakichś trzydziestu osób. Zuchwała mina człowieka, który obstaje przy swoim zdaniu przeciw wszystkim.

— Trzy tysiące zbrojnych.

— Tak, tak, są już pod bramami miasta.

— Wystarczy wejść na wieżę Judefeldertor, żeby ich zobaczyć.

Ktoś uderza mnie po ramieniu, odwracam się. Redeker przeciw wszystkim, ze śnieżnymi kulami w dłoniach. Pewnie ktoś starał się go uciszyć. Wrzawa milknie nagle. Spojrzenia w górę, w oknie magistratu stoi burmistrz Tilbeck.

Rozpętała się nawałnica protestów.

— Wojsko biskupa maszeruje na nasze miasto!

— Ktoś zrobił nam świństwo!

— Sprzedali nas von Waldeckowi!

— Musimy bronić murów!

— To przeorysza, przeorysza, uwięzić przeoryszę!

— Co tam przeorysza, chcemy armat!

Gromady protestujących zbijają się w jeden tłum. Wydaje się, że ludzie jeszcze przybyło. Wyprostowany Tilbeck rozkłada ręce, jakby chciał objąć cały plac.

— Mieszkańcy Münsteru, nie traćmy spokoju. Ta plotka o trzech tysiącach ludzi nie znalazła jeszcze żadnego potwierdzenia.

— Gównno, widziano ich z murów!

— Tak, tak, jest tu człowiek, który przyszedł z Anmarsch. Idą tutaj. Burmistrz nie traci zimnej krwi. Kręci głową i daje łagodnym ruchem ręki znak, żeby się uspokoić.

— Bądźcie spokojni, wyślemy kogoś na zwiady.

Ludzie w tłumie rzucają sobie niespokojne spojrzenia.

— Wojsko czy nie wojsko, biskup von Waldeck udzielił mi osobiście wszelkich gwarancji, że nie pogwałci przywilejów miejskich. Münster pozostanie wolnym miastem. Zobowiązał się osobiście. Nie okazujmy, że potraciliśmy głowy, to jest chwila, w której trzeba okazać poczucie odpowiedzialności! Mieszkańcy Münsteru muszą dowieść, że respektują starą tradycję pokojowego współżycia. W chwili gdy wszystkie graniczne terytoria wstrząsane są domowymi wojnami i buntami, Münster powinien świecić przykładem...

Śnieżna piguła trafia go w sam środek twarzy. Burmistrz osuwa się na parapet, z dołu płynie ku niemu fala wyzwisk. Jeden z doradców pomaga mu się podnieść. Z rozciętego policzka sączy się krew; w śniegu musiało kryć się coś innego.

W całym Münsterze jest tylko jedna osoba, która umie tak celować.

Tilbeck wycofuje się przy akompaniamencie wrzasków najbardziej rozjątrzonych mieszkańców miasta.

— Sprzedał się! Sprzedał się!

— Tilbeck, jesteś świnią, ty i wszyscy twoi przyjaciele luteranie!

— Czego chcesz od niego? Gdyby nie wy, przekłęci anabaptyści, von Waldeck nie podniósłby nawet palca przeciwko miastu.

— Bękart, wiedzieliśmy, że idziecie ręką w rękę z biskupem!

Zaczynają się przepychanki. Unoszą się pierwsze pałki. Redeker jest ciągle sam. Tamtych jest trzech, wszyscy mocno zbudowani. Nie wiedzą, przeciwko komu stanęli do bitki. Najwyższy zadaje cios pięścią, celując w twarz. Redeker pochyla się, przyjmuje cios na ucho, cofa się błyskawicznie i kopie tamtego w spojenie ud. Luteranin gnie się w pół, trzymając się za genitalia. Jeszcze cios kolanem prosto w nos i dwaj koledzy tamtego biorą w dwa ognie Redekera, który rozdaje kopniaki jak oszalały muł. Ten wysoki uderza go w brzuch. Nie zostawiam mu czasu na powtórzenie, walę go obiema rękami w kark. Odwraca się do mnie i dostaje serię w nos. Zatacza się i siada na ziemi. Odwracam się, Redeker uwolnił się już od pozostałych dwóch. Stajemy plecami do siebie i bronimy się.

— Komu przyszła do łba historia z trzema tysiącami jezdnych?

Pluje na przeciwnika i trąca mnie łokciem.

— Kto powiedział, że to jezdni?

Omam nie wybucham śmiechem, kiedy obaj rzucamy się na napastników, każdy na swojego. Ale bójka zamieniła się już w ogólną

bijatykę, która nas unosi. Zza katedry wylania się gromada pięćdziesięciu ludzi, to tkacze z parafii Świętego Idziego, rozmiłowani słuchacze kazań Rothmanna. W jednej chwili luteranie zmykają na drugi koniec placu.

Redeker, rozsierdzony jak nigdy, spogląda na mnie kpiąco.

— Lepsi od jezdnych!

— Zgoda, ale co teraz?

Z rynku dochodzi głos dzwonów kościoła Świętego Lamberta. Jak wezwanie.

— Do Świętego Lamberta, do Świętego Lamberta!

Biegiem na rynek; wdzieramy się między stragany wśród spojrzeń osłupiałych handlarzy.

— Biskup zamierza wejść do miasta!

— Trzy tysiące żołnierzy!

— Burmistrzowie i luteranie zmówili się z von Waldeckiem.

Znajdujące się na straganach i między nimi narzędzia do codziennej pracy zamieniają się w oręż. Młotki, siekierki, proce, rydle, noże. W mgnieniu oka ławy zamieniają się w barykady zamykające dostęp do rynku. Ktoś wyciągnął z kościoła Świętego Lamberta kłęczniki, żeby wzmocnić sklecone naprędce wały obronne.

W ogólnym zamieszaniu podbiega do mnie Redeker.

— Tamci od Świętego Idziego przynieśli dziesięć kusz, pięć arkebuzów i dwie baryłki prochu. Idę do rusznikarza Wesela zobaczyć, czy nie da się wykombinować czegoś jeszcze.

— Ja idę po Rothmanna, trzeba go tu ściągnąć.

Rozstajemy się, nie tracąc czasu, mkniemy jak błyskawice wśród rozgniewanego pospólstwa.

Na plebanii przy kościele Świętego Lamberta są także Knipperdolling i Kibbenbrock. Siedzą przy stole ze strapionymi minami, ale na mój widok wszyscy trzej zrywają się na nogi.

— Gert! Jesteś na szczęście. Co się dzieje, u wszystkich diabłów?

Zwracam się do kaznodziei baptystów.

— Godzinę temu nadeszła wiadomość, że von Waldeck uzbroidł wojsko, żeby pomaszerować na miasto. — Dwaj przedstawiciele miejskich cechów błędną. — Nie wiem, ile jest w tym prawdy, wiadomość musiała zostać po drodze mocno wyolbrzymiona, ale na pewno nie jest to karnawałowy żart.

— Zabrali się do wywracania wszystkiego — mówi Knipperdolling — uderzyli w dzwony, widziałem, jak opróżniali kościół...

— Tilbeck wyszedł na świnie na oczach wszystkich. Być może luteranie zawarli jakieś porozumienia z von Waldeckiem. Ludzie są rozwścieczeni, Rothmann, na rynku są tkacze, wzniesli barykady, mają broń.

Kibbenbrock tupie w podłogę.

— Cholera! Czy oni wszyscy powariowali?

Rothmann nerwowo bębni palcami po stole, musi zdecydować, co robić dalej.

— Redeker poszedł poszukać jeszcze broni, luteranie mogliby próbować wyrzucić nas za bramę, żeby przekazać miasto biskupowi.

Poirytowany Knipperdolling trzęsie brzuchem.

— Ten pieprzony rzezimieszek! Tylko on może stać za całą tą historią. Nie powiedziałeś mu, że ryzykuje unicestwienie wszystkiego, co zrobiliśmy?! Jeżeli dojdzie do zbrojnego starcia...

— Już doszło, przyjacielu. Jeżeli nie ukryjecie się teraz za tymi barykadami, zostanieie tu odcięci i ludzie poprowadzą sprawy sami. Powiniście tam być.

Długa chwila milczenia.

Kaznodzieja patrzy mi prosto w oczy.

— Myślisz, że biskup postanowił przejść do działania?

— To jest problem, który rozważymy później. Teraz potrzeba kogoś, kto pokieruje tym, co się dzieje.

Rothmann odwraca się w stronę dwóch pozostałych.

— Stało się to prędzej, niż przewidywałem. W każdym razie ociąganie się w tym momencie mogłoby mieć fatalne skutki. Idziemy.

Wychodzimy na rynek, ludzi jest przynajmniej ze trzy setki, rozwrzeszczane kobiety i mężczyźni za barykadami, narzędzia pracy zamienione na włócznie, maczugi, halabardy. Redeker popycha na środek placu wózek przykryty płótnem. Gdy je unosi, w zimowym słońcu połyskują klingi i ostrza mieczy i toporów, nie licząc dwóch arkebuzów i pistoletu. Oręż zostaje rozdzielony, każdy chce mieć coś w rękę, żeby móc się bronić.

Żywy krok, przypasany miecz i pistolet; były najemnik Heinrich Gresbeck idzie w naszą stronę.

— Luteranie mają skład broni w Überwasser. Przenoszą ją na główny plac.

Mierzy nas wzrokiem, jakby w oczekiwaniu rozkazu ode mnie albo od Rothmanna.

Kaznodzieja chwytą kupiecką ławę i przeciąga na środek placu, a potem wskakuje na nią.

— Bracia, nie chcemy wzniecać bratobójczego konfliktu między mieszkańcami tego miasta. Ale jeśli jest ktoś, kto nie rozumie, że naszym prawdziwym wrogiem jest biskup von Waldeck, w takim razie my będziemy musieli stanąć w obronie wolności Münsteru przeciwko temu, kto jej zagraża! I wszyscy, którzy zjednoczą się w tej bitwie o wolność, będą nie tylko cieszyć się opieką, którą Najwyższy zachowuje dla swoich wybrańców, ale będą mogli także

czerpać z kasy wzajemnej pomocy, która od tej chwili zostaje oddana na potrzeby wspólnej obrony. — Głośny aplauz. — Tam, za murami, stoi egipski faraon, który zapragnął tu wrócić, żeby zamienić nas znowu w swoich niewolników. Ale my nie pozwolimy mu na to. A Bóg będzie stał po naszej stronie. I w samej rzeczy mówi Pan: „Upadną sprzymierzeńcy Egiptu i zostanie obalona pycha jego potęgi: od Migdolu aż po Assuan polegną od miecza. Słowo Pana Boga. Poznają, że jam jest Panem, gdy podpalę Egipt i wygubię wszystkich, którzy go wspierają!”.

Serca rosną w jednomyślnym podnieceniu; lud Münsteru odnajduje swego kaznodzieję.

Potężny Knipperdolling i zaczerwieniony Kibbenbrock kręcą się wśród stojących grupkami tkaczy. Większość członków najlepiej zorganizowanej i najliczniejszej korporacji już tu jest.

Gresbeck odciąga mnie na bok.

— Zdaje się, że czeka nas ostateczna rozprawa. — Rzut oka do tyłu. — Wiesz, czego oni potrzebują.

Kiwam potakująco głową.

— Zbierz ze trzydziestu najsilniejszych przed kościołem, niech będą to ludzie dobrze znający miasto i zdecydowani na wszystko.

Podchodzimy do Redekera, który opróżnił już wózek.

— Zorganizuj trzy drużyny po czterech ludzi każda i poślij je na obchód w kierunku Überwasser. Chcę mieć co godzina raport o tym, co robią luteranie.

Mały człowieczek rusza żwawo.

— Chciałbym mieć swobodę poruszania się — mówię do Gresbecka. — Będiesz dowodził obroną rynku. Niech nikt nie rozpoczyna żadnych nierozważnych akcji. Obsadzisz barykady, wystawisz czujkę na dzwonnicy kościoła, żeby nie zaskoczyli nas jakimś niespodziewanym atakiem. Ile mamy arkebuzów?

— Siedem.

— Trzy przed kościołem i cztery naprzeciwko głównego wejścia na rynek. Niewiele by dało rozrzucenie ich po całym placu.

— A ty co będziesz robił?

— Muszę się zorientować, jak wygląda sytuacja i z kim mamy do czynienia.

Redeker z przesadną egzaltacją zbiera ludzi. Na mój widok unosi wielki pistolet i wrzeszczy:

— Damy im po dupie!

* * *

Obchód murów podnosi na duchu: w zasięgu wzroku nie ma śladu zapowiadanych trzech tysięcy najemników.

Drugi ront wraca z informacją, że luteranie umieścili ludzi z arkebuzem na dzwonnicy katedry i stamtąd kontrolują plac przed magistratem, którego wejście zablokowane jest dwoma wozami, ustawionymi w poprzek, dokładnie naprzeciwko naszej barykady. Za wozami nie więcej niż dziesięciu luteranów, ale są dobrze wyposażeni w broń z arsenału w Überwasser; w razie ataku nie musieliby oszczędzać nabojów. My natomiast musimy obywać się tym, co mamy, liczy się każdy strzał z naszej strony.

Rynek, na którym się zabarykadowaliśmy, jest łatwy do obrony, ale też może okazać się pułapką. Trzeba ich okrążyć, zamknąć mosty na rzece Aa i odciąć plac przed magistratem od klasztoru.

— Redeker! Dziesięciu ludzi i dwa arkebuzy. Idziemy zamknąć most Marii Panny po tamtej stronie rynku. Natychmiast.

Opuszczamy naszą małą twierdzę od strony południowej. Szybko pokonujemy pierwszy odcinek. Nie widać nikogo. Dochodzimy do rozwidlenia ulic. Musimy iść na prawo, wzdłuż łuku prowadzącego do pierwszego mostu na kanale. I oto most jest już przed nami. Kula z arkebuzy robi szczerbę w ścianie domu o krok od Redekera, który idzie na czele. Redeker ogląda się.

— Luteranie!

Nadchodzą wąską uliczką, prowadzącą do głównego placu. Kolejne strzały.

— Zwijamy się, prędko!

Wracamy ulicą, którą przyszlismy, ścigani przez wrzawę i pokrzykiwania:

— Anabaptyści! O, tam! Uciekają!

Przystajemy na wysokości kościoła Świętego Idziego. Wołam do Redekera:

— Widziałeś, ilu ich było?

— Najwyżej pięciu.

— Zaczekamy tu na nich, zaczniemy strzelać, jak wyjdą zza zakrętu.

Ładujemy broń: dwa arkebuzy, mój pistolet i armatę Redekera.

Wyskakują jakieś dziesięć kroków od nas. Doliczam się pięciu, nie spodziewali się nas, zwalniają, podczas gdy nasza broń wypala jednocześnie.

Jeden trafiony w głowę, pada trupem, drugi wycofuje się, dostał w ramię.

Ruszamy do ataku i tamci cofają się bezładnie, wlokąc ze sobą rannego. Zza zakrętu wyłaniają się następni, paru wślizguje się do kościoła Świętego Idziego. Jeszcze kilka strzałów i ścieramy się z nimi; paruję cios dągą, a mój pistolet rozwała łeb luteranina. Piekielne kłębowisko. Następne strzały.

— Spieprzamy, Gert! Strzelają z dzwonnicy! Prędko!

Ktoś pociąga mnie do tyłu, gnamy jak wariaci pośród świstania kul. Tędy nie da się przejść.

Dobiegamy do naszych barykad i wślizgujemy się do środka. Liczymy, nikogo nie brakuje, bez większych uszkodzeń, jeśli nie brać pod uwagę cięcia od miecza na czole, które trzeba będzie opatrzyć, zwichniętego ramienia od odrzutu arkebuzi i porządnej porcji strachu, jakiego się najedliśmy.

Redeker spluwa na ziemię.

— Sukinsyny. Bierzemy armatę i zwalamy im na łby Świętego Idziego!

— Daj spokój, i tak nieźle nam poszło.

Biegnie do nas Knipperdolling z paroma swoimi ludźmi.

— I co, są ranni? Położyli kogoś trupem?

— Nie, na szczęście nie, ale jest jedna głowa, którą trzeba pozszywać.

— Nie martw się, szycie to nasza specjalność.

Tkacze przejmują rannego pod swoją opiekę.

W czasie naszej nieobecności, na środku placu, gdzie stały przedtem kupieckie ławy, rozpalono ognisko, żeby ugotować obiad. Kilka kobiet obraca na różnie cielaka.

— Skąd żeście go wytrzasnęli?

Zażywna, rumiana kobieta z paroma garnkami w rękach przeciska się, trącając mnie łokciem.

— To uprzejmy podarunek bardzo hojnego radcy Wördemanna. Jego stajenni nie chcieli przyjąć od nas pieniędzy, więc wzięliśmy tego cielaka, ot tak... za Bóg zapłać! — śmieje się zadowolona.

Kręcę z niedowierzaniem głową.

— Tylko tego brakowało, byśmy się brali do gotowania...

Kobieta stawia garnki na ziemi i opiera ręce na biodrach z wyzywającą miną.

— A czym byś nakarmił swoich żołnierzy, kapitanie Gert? Ołowiem? Bez münsterskich bab przegrałbyś z kretelem, ja ci to mówię!

Odwracam się do Redekera.

— Kapitanie?

Rozbójnik wzrusza ramionami.

— No tak, kapitanie! — Z tyłu dochodzi głos Rothmanna, idzie razem z Gresbeckiem, niosą jakieś pergaminy. Kaznodzieja ma minę człowieka, który nie zamierza tracić czasu na wyjaśnienia.

— Gresbeck będzie twoim zastępcą... — dostrzega żywą reakcję Redekera, który wciska się między nas z wyciągniętą szyją, żeby zwrócić na siebie uwagę — ...a Redeker drugim przybocznym.

— Nie udało się. Chciałem ich wziąć od tyłu, ale zaskoczyli nas, zanim zdążyliśmy przejść na drugą stronę kanału.

— Nasze ronty mówią, że zabarykadowali się z zapasem broni w Überwasser. Jest z nimi burmistrz Judefeldt, razem z większą częścią radnych, ale bez Tilbecka. Jest ich mniej więcej czterdziestu, nie sądzę, żeby nas zaatakowali, będą się raczej bronić. Mają armatę na klasztornym cmentarzu, budynek jest nie do zdobycia.

Opada ze mnie napięcie. Co teraz?

Rothmann potrząsa głową.

— Jeśli biskup rzeczywiście zgromadził wojsko, sprawy mogłyby przybrać bardzo zły obrót.

Gresbeck rozwija przed moimi oczami pergaminy.

— Rzuć na to okiem. Znaleźliśmy stare plany miasta. Mogą się przydać.

Rysunek nie jest dokładny, ale zaznaczone są nawet najciaśniejsze przejścia i wszystkie rozwidlenia rzeki Aa.

— Świetnie, zobaczymy, czy nie podpowiedzą nam czegoś. Ale teraz jest coś do zrobienia, podsunął mi to Redeker. Ściągniemy z murów jedną armatę, którąś z tych mniejszych, nie za ciężką, żeby można ją było przetoczyć tutaj.

Gresbeck drapie się po bliźnie.

— Potrzebny będzie kołowrót.

— Znajdź go. Siedem arkebuzów nie na wiele by się zdało, gdybyśmy musieli odeprzeć atak. Weź tylu ludzi, ilu będziesz potrzebował, ale zrób wszystko, żeby ta armata znalazła się tu jak najprędzej. Czas płynie szybko, a lepiej by było, gdybyśmy dobrze się zabezpieczyli przed zmrokiem.

Zostaję sam z Rothmannem. Na twarzy kaznodziei maluje się podziw, który po chwili zamienia się niemal w wymówkę.

— Jesteś pewien, że robisz to, co trzeba?

— Nie. Nie jestem żołnierzem, chwytam to, co podpowiada Gresbeck. Wydawało mi się, że odcięcie tych tam na głównym placu to dobry pomysł, ale najwyraźniej zorganizowali grupy, które obchodzą okoliczne ulice. Bękart, dbają o własne tyłki.

— Walczyłeś już kiedyś, prawda?

— Wiele lat temu pewien były najemnik nauczył mnie posługiwać się mieczem. Walczyłem razem z chłopami, ale byłem wtedy jeszcze dzieckiem.

Rothmann potakuje stanowczo.

— Rób wszystko, co twoim zdaniem powinno być zrobione. Będziemy z tobą. I niech ci Bóg dopomoże.

W tej samej chwili za plecami Rothmanna, w głębi placu, pojawia się Jan z Lejdy, on także nas dostrzega, podchodzi z rozbawioną niemal miną.

— No i co, gdzieś ty się podziewał?

Znaczącym gestem podnosi i opuszcza rękę.

— Wiesz, jak jest... Ale co się tu stało, przejeżdżaliśmy miasto?

— Nie, zafajdany stręczycielu, oblegli nas tutaj. Tam na zewnątrz są luteranie.

Jego spojrzenie idzie za moją ręką.

— Gdzie?

Wskazuję mu barykadę z wozów, ustawioną w wejściu na główny plac.

— Tam? Tam się pochowali?

— Tak, i uważaj, bo są uzbrojeni po same zęby.

Znam już to spojrzenie świątobliwego sutenera, zdążył wyczuć wielką okazję dla siebie.

— Pilnuj się, Jan...

Za późno, ruszył w kierunku naszych linii obronnych. Nie mam czasu o nim myśleć, muszę iść, żeby poinstruować patrolę. Ale gdy rozmawiam z Redekerem i Gresbeckiem, kątem oka widzę Jana, jak podchodzi do obrońców na barykadzie; co za kurewstwo strzeliło mu do łba? Uspokajam się, widząc, że siada i wyciąga z kieszeni Biblię. Dobra chłopak, poczytaj im trochę.

Mapa Münsteru pokazuje nam, jaką trasą można by spróbować okrążyć luterzańskie posterunki. Redeker udziela rad, wskazuje najbardziej odkryte miejsca, doradza, który z budynków mógłby osłonić ewentualną próbę podejścia blisko. Ale każda z tych dróg napotyka przeszkodę w postaci klasztornej budynku, który jest nie do zdobycia; sukcesem było wyprowadzenie stamtąd nowicjuszek, ale czym innym jest wyrwanie go czterdziestu uzbrojonym ludziom.

Nagle do naszych uszu dochodzi zgiełk po drugiej stronie rynku. Ki czort! Rzucam okiem na nasze pozycje obronne i widzę Jana z Lejdy, który wlaź na barykadę i stoi z szeroko rozłożonymi rękami.

— Co on wyprawia?

— Biegnij tam, Gert, zabiją go!

— Jaaan!

Ruszam pędem przez rynek, omal nie wywracam cielaka na rożnie, przykucam, unoszę się.

— Jan, złaź stamtąd, idioto!

Rozpięta koszula, odsłonięta pierś bez zarostu aż się prosi o kulę. Oczy rzucają płomienie w kierunku luterzańskich wozów.

— Już wkrótce, niedługo, wyładuję na tobie moją wściekłość i na tobie skupi się mój gniew. Osądzę cię według uczynków twoich i zażądam od ciebie rachunku za wszystkie niegodziwości twoje, podły popleczniku Lutra.

— Jan, złaź na dół! — Jakbym był niewidoczny.

— I nie ulituj się moje oko i nie będę miał miłosierdzia, ale

uznam cię za winnego twoich uczynków i ujawnię wszystkie twoje podłości: a wtedy poznasz, że to ja, Pan, ten, który uderza. Zrozumiałeś, synu luterńskiej maciory, twoje pociski nie zrobią mi nic złego. Odbiją się od tej piersi i zawrócą z powrotem, albowiem we mnie jest Pan, a jeśli tylko On będzie miał taką wolę, połknie je i wystrzeli tykiem, kiedy tylko będzie chciał, prosto w twoją gębę!

— Jan, na Boga!

Prostuje się jeszcze bardziej, z szeroko otwartymi ustami, i wydaje z siebie przeraźliwy ryk. A potem jasnowłosy, lejdejski szalenic unosi twarz ku niebu.

— Ojcze, usłysz głos twego syna, wysłuchaj twojego bękarta: zmieć z bruku tego miasta tych psich synów! Słyszałeś, sługusie Lutra? Nasraj sobie na pięty, utopisz się w jednym splunięciu Pana, i Jego Królestwo będzie dla nas. Będę uctwował ze świętymi na twoim trupie!

Pada strzał z arkebuza i Jan kamienieje. Przez moment myślę, że go trafili.

Odwraca się do nas, z prawego ucha cieknie mu strumyk krwi, oczy pełne uduchowania. Pada w dół, chwytam go w locie, zanim wyrznie o ziemię, mdleje... nie, otwiera oczy.

— Gert, Gert, zabij go! O mało nie odstrzelił mi ucha! Daj mi pistolet, muszę go zabić... proszę cię, daj mi go! Zastrzel go, Gert, zastrzel go albo sam to zrobię... Jest tam, widzisz? Jest tam, Gert, pistolet, pistolet... całkiem mnie zniszczył!

Sadzam go plecami do ściany i mówię krótko naszym obrońcom: „Gdyby to powtórzył, zwiążcie go”.

* * *

Słońce zachodzi, chowając się za wieżą katedry. Na środku rynku psy ogryzają rzucone na kupę kości cielęciami. Ustaliłem dyżury wart na barykadach: po dwie godziny na każdą zmianę, żeby wszyscy mogli trochę się przespać. Kobiety przygotowały prowizoryczne posłania z tego, co miały pod ręką, i rozpałyły ogniska na noc. Panuje dotkliwie zimno, kilku wolało skryć się pod dachem. Lecz najbardziej zdecydowani zostali, to ludzie, na których można liczyć.

Ogrzewamy się przy ogniu, poowijani w koce. Nagłe zamieszanie na barykadzie zamykającej plac od południa podrywa nas na nogi. Wartownicy eskortują aż tutaj mniej więcej dwudziestoletniego chłopaka; przerażona mina i zdyszany oddech.

— Mówi, że jest służącym radnego Palkena.

— Senator z synem... zabrali ich z domu, byli uzbrojeni, nie mogłem nic zrobić, Wördemann... był też burmistrz Judefeldt, no i zabrali ich...

— Spokojnie, odetchnij trochę. Kto tam był? Ilu?

Chłopiec spływa potem. Każę przynieść koc. Jego oczy błędzą po naszych twarzach, podaję mu kubek parującego rosołu.

— Służę w domu radnego Palkena. Pół godziny temu... weszło... ze dwunastu uzbrojonych ludzi. Prowadził ich Judefeldt. Zmusili radnego i jego syna, żeby z nimi poszli.

— Czego chcą od Palkena?

Knipperdolling wtrąca zniecierpliwionym głosem:

— To jeden z niewielu, którzy wspierają nas w radzie. Wördemann, Judefeldt i wszyscy pozostali luteranie nienawidzą go.

Rothmann nie wygląda na przekonanego. Na co im jakiś zakładnik? Nie można ich zaatakować, póki mają Überwasser. Nagle w jego oczach pojawia się paniczny strach.

— Klucze!

— Co takiego?

— Klucze, Palkenowi powierzono klucze od bram po północno-wschodniej stronie murów.

— Tak, tak — służący podnosi głowę znad kubka. — Chcieli właśnie kluczy!

— Gresbeck, mapa!

Rozwijam ją z pomocą Knipperdollinga w świetle ogniska. Chodzi o bramy Frauentor i Judefeldtor, na tyłach klasztoru Überwasser, wychodzące na drogę do Anmarsch.

— Chcą umożliwić ludziom biskupa wejście do miasta.

Fatalna sprawa.

Można to wyczytać z twarzy każdego z nas. Zamknięci w klatce wąskiego rynku, odcięci od drugiego brzegu Aa, na którym luteranie dopełniają haniebnej zbrodni, która nas zmiecie. Próbować się wyrwać? Wyjść z tej pułapki i przypuścić niespodziewany szturm na Überwasser? Całe miasto pogrążone jest w irrealnej ciszy: wszyscy prócz zwaśnionych stronnictw zamknęli się w swoich mieszkaniach. Milczymy wokół pełgających ogni, rozmyślając nad najbliższym, niewiadomym przeznaczeniem. Kto zmierza w kierunku miasta? Trzy tysiące sprzedajnych żołdaków za orszakiem von Waldecka? Szturmowa awangarda, czekająca nadejścia dnia? Ta noc udzieli nam odpowiedzi.

Knipperdolling szaleje ze złości.

— Te głupki! Wzbogacone prostytutki! Pamiętam wszystkie te śliczne przemówienia przeciwko biskupowi, papistom, całą tę gadaninę o miejskich przywilejach, o nowej wierze... Muszą powiedzieć mi to wprost, że sprzedają się biskupowi za garść dukatów! Przegналиśmy biskupa razem! Chcę ci powiedzieć, Gert, że aż do wczoraj mogłem sobie wyobrazić wszystko prócz tego, że rzucą miasto na

pastwę najemników. Niech powie mi to osobiście ten wieprz Judefeldt, co von Waldeck mu obiecał! Daj mi eskortę, Gert, chciałbym pogadać z tymi draniami.

Redeker kręci głową.

— Jesteś szalony. Ich słowa są gównem, mają gały wlepione tylko w sakiewki. To ty jesteś głupek, że traciłeś czas na rozmowy.

— Może warto spróbować — wtrąca Rothmann. — Ale bez narażania się na niepotrzebne ryzyko. Być może nie są tak zjednoczeni, jak by się wydawało. Może popycha ich tylko ten przeklęty strach...

Wychodzą dwie drużyny. Jedna kieruje się w stronę południowej bramy Frauentor, potem ma wejść z powrotem na mury, w sumie z dziesięć widmowych sylwetek. Redeker rusza w drugą stronę, w kierunku Judefeldertor.

Żadnych desperackich akcji ani szturmów, jeszcze nie. Trzeba nadzorować wejścia, które wpadły w ich ręce, kontrolować, kto wchodzi i wychodzi. Próbować odczytać przyszłość z ich ruchów. Dwie drużyny mają rozkaż zlustrować wszystko, postawić czujki na całej trasie i na ulicy prowadzącej do Überwasser; będą obserwować każdy najmniejszy ruch i trzymać w pogotowiu gońców, którzy co godzina będą dostarczać nowych informacji.

Ja sam zabieram ze dwudziestu ludzi, prawie samych młodych chłopców, po szesnaście, siedemnaście lat, ale odważnych i o bystrych oczach, żeby zapewnić eskortę szefowi związków cechowych.

— Boisz się? — pytam właściciela wąsików, które rosną jeszcze z ociąganiem.

Odpowiada mi chrypiącym, zaspanym głosem człowieka, który dopiero co się obudził:

— Nie, kapitanie.

— Jaki masz zawód?

— Jestem chłopcem na posyłki w sklepie, kapitanie.

— Przestań się wygłupiać z tym kapitanem, jak masz na imię?

— Karl.

— Karl, umiesz szybko biegać?

— Ile da się wyciągnąć z tych nóg.

— Dobrze. Gdyby nas zaatakowali i zostałem ranny, to jakbyś widział, że robi się źle, nie będziesz tracił czasu na podnoszenie mnie z ziemi, tylko pognasz jak wiatr tutaj, żeby podnieść alarm. Zrozumiałeś?

— Tak.

Knipperdolling zabiera ze sobą trójkę swoich i rusza na ich czele z białą chorągwią w ręku, na znak rozejmu. Idziemy za nim, kilkadziesiąt kroków z tyłu.

Szef tkaczy jest już w pobliżu klasztoru, zaczyna wołać, żeby ktoś wyszedł porozmawiać z nim. Zatrzymujemy się kawałek za kościołem Świętego Mikołaja, z nabitą bronią i procami gotowymi do użycia. Nikt nie odpowiada z klasztoru. Knipperdolling podchodzi jeszcze bliżej.

— Dalej, Judefeldt, zejdź no tu na dół! Pieprzony burmistrz, to tak bronisz miasta? Porywasz radnego i otwierasz bramy von Waldeckowi? Miasto chce wiedzieć, dlaczegoście zdecydowali wymordować nas wszystkich. Wyjdź, żeby pogadać ze mną jak człowiek!

Ktoś odpowiada mu z okna.

— Po kiego wała tu przylazłeś, anabaptyjski wieprzu? Przeprowadziłeś nam którąś z twoich dziwek?

Knipperdolling zatacza się, traci cierpliwość.

— Ty psi synu! I twojej puszczalskiej mamusi! — Robi jeszcze parę kroków. Za dużo.

— Układasz się z papistami, Judefeldt. Z biskupem! Co ci strzeliło do łba?

Wracaj, głupku, nie podchodź tak blisko.

Brama otwiera się na oścież, wychodzą w dziesięciu, uzbrojeni, i wsiadają mu na kark.

— Atakujemy!

Rzucamy się do przodu, Knipperdolling miota się, wrzeszcząc; przytrzymują go we czterech. Uciekają wraz z nim, podczas gdy z naszej strony lecą pociski z proc i strzały z kuszy. Padają pierwsze wystrzały z arkebuzów, pociski dosięgają dwóch naszych, wałą z wieży. Brama zatrząskuje się i zostajemy na otwartej przestrzeni, rozpraszamy się na boki, odpowiadamy ogniem, słyhać głośne ryki Knipperdollinga i strzały z arkebuzów. Zrobili z nas dudków. Trudno, trzeba się wycofać, zabierając rannych.

Rzucam rozkaz:

— Do tyłu! Do tyłu!

Wyzwiska i lamentsy towarzyszą nam aż do rynku.

Oszukali nas, i gównu nam z tego przyszło. Przekraczamy nasze barykady i zatrzymujemy się na schodach kościoła Świętego Lamberta, wrzawa, krzyki, przekleństwa, wszyscy tłoczą się wokół nas. Kładziemy rannych i oddajemy ich w ręce kobiet, a wiadomość o porwaniu Knipperdollinga rozchodzi się natychmiast wśród okrzyków wściekłości.

Rothmann jest skonsternowany, za to Gresbeck zachowuje spokój, wydaje rozkaz pilnowania pozycji; musimy zdusić panikę.

Jestem wściekły, czuję wrzenie krwi, żyły na skroniach pulsują jak oszalałe. Umoczyliśmy dupę i nie wiem, co robić.

Gresbeck potrząsa mnie za ramię.

— Wrócił Redeker.

Nadbiega zdyszany, z ponurą miną.

— Wjechali. Nie więcej niż dwudziestu, pełnym galopem, jezdni von Waldecka.

— Jesteś tego pewien?

— Widziałem panczerze i tarcze tych palantów. Założę się, że był tam też ten wieprz von Büren.

Rothmann obejmuje rękami głowę.

— To koniec.

Naokoło zapada cisza.

Kibbenbrock próbuje podnieść nas na duchu.

— Zachowajmy spokój. Dopóki większa część oddziałów biskupa nie wejdzie do miasta, nie mogą nas tknąć. Jest nas więcej, a oni wiedzą, że nie mamy nic do stracenia. Ale trzeba coś wymyślić.

Tkacz dobrze mówi, trzeba zacząć myśleć. Myśleć.

Czas mija. Wzmacniamy obsadę barykad. Ustawiamy naszą jedyną armatę na środku placu, żeby odparła atak, w razie gdyby załamała się obrona którejsz pozycji.

Ludzie nie powinni mieć czasu na tracenie ducha. Wysłałem następne patrole i organizuję zbiórkę broni, wynajdujemy jeszcze kilka arkebuzów. Mówią, że katolicy zawieszają na drzwiach domów girlandy, żeby oszczędziły ich hordy von Waldecka. Jeszcze parę drużyn, żeby je pozdzierały.

Miasto jest martwe, plac oświetlony ogniskami można by porównać do wyspy leżącej pośrodku szarego oceanu. Tam, na zewnątrz, ludzie zaszywają się w swoich domach niczym przerażone zwierzęta w podziemnych norach.

W swoich domach.

W swoich domach.

Odchodzę na bok z Gresbeckiem i Redekerem. Rozmawiamy przyciszonym głosem, stojąc blisko siebie.

To da się zrobić. Trzeba przynajmniej spróbować. To coś więcej niż sterczenie w tym gównie...

Gresbeck otrzymuje rozkaz:

— A więc ustalone. Zawiadom Rothmanna. Niech się ruszy, daj mu najlepszych ludzi, nie ma ani chwili do stracenia.

— Gert... — Były najemnik wręcza mi swoje pistolety, trzymając je za lufę. — Weź je. Są celne, to zdobycz z kampanii w Szwajcarii.

Wciskam je na krzyż za pas.

— Spotkamy się za godzinę.

Redeker prowadzi mnie w prawie kompletnych ciemnościach, idziemy zdecydowanym krokiem. Skręcamy w dwie czy trzy wąskie uliczki, jeszcze kawałek i wskazuje mi bramę. Półgłosem:

— Jürgen Blatt.

Nabijam pistolety. Trzy uderzenia pięścią w drzwi wejściowe.

— Kapitan Jürgen Blatt, ze straży miejskiej. Wojska biskupa wchodzą do miasta. Burmistrz chce, żebyśmy odprowadzili żonę i córki do klasztoru. Natychmiast. Otwierać!

Kroki za drzwiami.

— Kto tam?

— Powiedziałem, kapitan Blatt, otwierać.

Wstrzymuję oddech, zgrzytanie rygla, opieram lufę na szczelinie między drzwiami i futryną. Otwierają się, ledwo ledwo. Wyciągam na zewnątrz pół głowy należącej do tego, kto je otwiera.

Do środka. Tamtemu u góry schodów nie starcza czasu na wycelowanie z arkebuza, chwytam go za nogę, pada, wrzeszczy, sięga po sztylet. Redeker dwoma skokami jest już na górze i wykańcza go ciosem noża. A potem spluwa.

Z krótkim mieczem w dłoni; w głębi korytarza głośnie kobiece głosy. Staje przede mną jakaś staruszka.

— Zaprowadź mnie do pani.

Wielka sypialnia, baldachim, mnóstwo różnych drobiazgów. Pani Judefeldt stoi w kącie, przyciskając do siebie dwie małe dziewczynki, przerażona służąca klęczy i się modli.

Między nami i nimi typek ze szpadą w rękę, najwyżej dwadzieścia lat. Boi się, nic nie mówi. Nie wie, co robić.

Redeker:

— Opuść to, bo mogę zrobić ci krzywdę.

Wpatruję się w panią Judefeldt.

— Pani, nagłe wypadki tej nocy sprawiły, że moja wizyta stała się konieczna. Nie zamierzam uczynić pani krzywdy, ale jestem zmuszony poprosić panią z nami. Pani córki zostaną tu wraz z innymi osobami.

Redeker śmieje się kpiąco.

— Rozejrzę się po domu, czy nie ma innych gorliwych służących.

Żona burmistrza Judefeldta jest piękną kobietą, około trzydziestu lat. Pełna godności powstrzymuje łyzy i podnosi na mnie oczy.

— Nikczemnik.

— Nikczemnik, który walczy o wolność Münsteru, pani. Miastu grozi inwazja morderczej hordy na żołdzie biskupa. Nie traćmy więcej czasu.

Gwiżdżę na Redekera, który dogania nas na schodach, z małym kuferkiem pod pachą. Moja mina nie zbija go z tropu.

— Mordujemy mu służących, porywamy mu żonę. A floreny mają zostać?

Przy drzwiach staruszka zarzuca na ramiona swojej pani futro, mamrocząc Ojczy nasz.

Eskortujemy panią Judefeldt na rynek. Ludzie rozpoznają naszą więźniarkę, podnosi się owacja, która wzmacnia nas na duchu, broń idzie w górę. Baptyści jeszcze żyją!

Wychodzi nam na spotkanie Rothmann, prowadząc pod rękę dystyngowaną damę, okrytą sobolowym futerkiem, z długim czarnym warkoczem, który opada jej na plecy.

— Przedstawiam wam panią Wördemann, żonę radnego Wördemanna. Pani jest naszą siostrą, ja sam ją ochrzciłem.

Redeker pochyla się do mojego ucha.

— Kiedy jej mąż dowiedział się od szpiegów o tym chrzcie, utwierdził ją w wierze za pomocą kija. Ludzie myśleli, że biedaczka umrze; przez wiele dni nie mogła nie tylko chodzić, ale nawet czołgać się po ziemi.

Pani Wördemann, kobieta o surowych, pięknych rysach, kuli się w swoim futerku.

— Mam nadzieję, panowie, że pozwolicie nam ogrzać się przy ogniu, po tym jak w środku nocy wprowadziliście nas siłą z naszych domów.

— Z pewnością, ale przedtem muszę pozbawić panią jakiegoś osobistego drobiazgu.

Ściągam z jej smukłych palców pierścienie, dwie grawerowane, złote obrączki.

— Karl!

Chłopiec podbiega żywo, ma zaspianą twarz, umorusaną i osmaloną.

— Weź białą chorągiew i biegnij do klasztoru Überwasser. Przekażesz wiadomość burmistrzowi Judefeldtowi. Powiesz mu, że za pół godziny przyjdziemy do klasztoru, że musimy porozmawiać. — Wsuwam obrączki w dłoń chłopca i zaciskam ją. — Daj mu to. Wszystko jasne?

— Tak, kapitanie.

— No to leć, żywo!

Karl zzuwa za duże buty, zostając z gołymi stopami na zamrożonym śniegu. Śmiga jak zając przez obozowisko, podczas gdy ja daję znak wartownikom, żeby go przepuścili.

— Kto pójdzie, ja czy ty? — pyta Rothmann.

Podchodzi rudzielec Kibbenbrock, odpinając po drodze pas podtrzymujący szpadę; wręcza go Gresbeckowi.

— Ja pójdę. — Spogląda na mnie i na kaznodzieję. — Jeśli zobaczą kogoś z was dwóch, może ich najść wielka ochota do strzelania. Ja reprezentuję cech tkaczy, nie rozpoczną ognia.

Do rozmowy wtrąca się Gresbeck.

— Ma rację, Gert, ty jesteś potrzebny tutaj.

Wyciągam zza pasa pistolety.

— Masz te twoje zabawki. Jest ciemno, nie rozpoznają mnie, użyję innego imienia.

— Zamordują cię na twoje własne życzenie. — Ale ton jego głosu pobrzmiewa rezygnacją.

Odpowiadam mu uśmiechem.

— Nie mamy już nic do stracenia, i to jest nasza siła. Mapa, prędko.

Odwracam się do Redekera.

— Znasz te przejścia za cmentarzem?

— Jasne, można tam dojść po kładkach nad odnogą Reine Kloster.

— Prawdopodobnie tu i ówdzie postawili czujki. Zorganizuj grupki po trzech albo czterech i każ im przejść na drugi brzeg.

— Ilu ludzi w sumie?

— Co najmniej trzydziestu.

— A te czujki?

— Zlikwidujcie je, tylko bez hałasu.

— Co chcesz zrobić? Pozostaniemy tu bez osłony. — Gresbeck śledzi mój palec sunący po pergaminie.

— Klasztor jest nie do zdobycia. Ale cmentarz tak.

Gresbeck miętosi w palcach okaleczoną brew.

— Gert, to jest ich plac ćwiczeń, mają tam nawet armatę.

— Ale można się tam łatwo dostać, no i jest to miejsce poza obstrzałem z klasztoru. — Odwracam się znowu do Redekera: — Podejdźcie, jak tylko można najbliżej, oni zabarykadowali się w środku, nie będą pilnować zewnętrznego muru. Ale pospieszcie się, najdalej za godzinę zaczną świtać.

Rzucam porozumiewawcze spojrzenie Kibbenbrockowi.

— Idziemy.

Gdy dochodzimy do końca rynku, z tyłu dobiega nas głos Rothmanna:

— Bracia!

Jego sylwetka rysuje się wyraziście na tle pochodni. Wysoki i bardzo błydy, mgielka oddechu gubi się w chłodzie nocy; można by wziąć go za Aarona. Albo nawet samego Mojżesza.

— Niech Ojciec Niebieski towarzyszy wam w drodze... i czuwa nad wami wszystkimi.

* * *

Niedaleko za naszą barykadą natykamy się na biegnącego Karła, ma zmarznięte nogi i jest tak zdyszany, że prawie nie może mówić.

— Kapitanie! Mówią, że można tam iść... że nie będą strzelać.

— Wręczyłeś mu obrączki?

— Burmistrzowi we własnej osobie, kapitanie.

Klepięcie po plecach.

— Dobrze. A teraz leć rozgrzać się przy ogniu, zrobiłeś co trzeba, na dzisiejszą noc wystarczy.

Podejmujemy marsz. Überwasser odcina się niczym czarna forteca nad brzegiem Aa. Do klasztoru przylega kościół Marii Panny; nasze patrole przez godzinę słuchały dochodzących z dzwonnicy, wulgarnych wrzasków Knipperdollinga, dopóki nie stracił głosu.

Teraz panuje cisza, słychać tylko cichy szum rzeki.

Idę obok Kibbenbrocka, niesiemy napięte białe prześcieradło.

Skrzypienie zamykanej bramy i zaniepokojony głos.

— Stać! Kto idzie?

— Kibbenbrock, przedstawiciel cechu tkaczy.

— Przyszedeś dołączyć do twojego kompana? Kim jest ten drugi koło ciebie?

— Kowal Swedartho, rzecznik münsterskich baptystów. Chcemy rozmawiać z burmistrzem Judefeldtem i z radnym Wördemannem, ich żony przysłały nas z pozdrowieniami.

Czekamy, czas stoi w miejscu.

Słychać inny głos.

— Jestem Judefeldt, mówcie, o co chodzi.

— Wiemy, że umożliwiłeś wejście do miasta awangardzie wojsk biskupa. Musimy porozmawiać. Wyjdź na dwór z Wördemannem, na cmentarz. — Żadnych zbędnych uprzejmości. — I pamiętaj, że jeśli za pół godziny nie wrócimy do obozu, robotnicy z parafii Świętego Idziego zabawią się z twoją żoną, od przodu i od tyłu, dzięki czemu urodzi ci może chłopaka, którego tak bardzo pragniesz!

Cisza i lodowaty chłód. Po chwili:

— Zgoda. Na cmentarzu. Moi ludzie nie będą do was strzelać.

Okrażamy klasztor. Cmentarz, na którym gniją przynajmniej trzy pokolenia mniszek, z trzech stron otoczony jest wodą, a w głębi zamyka go niski kamienny murek. W środku, w otoczeniu drewnianych krzyży urządzono coś w rodzaju obozowiska. Ze dwadzieścia koni uwiązanych do murka od strony klasztoru świadczy o tym, że nasze patrole umieją liczyć. Stoi tam armatka, która wygląda zza stosu worków, obsadzonego przez trzech luteranów, a dwaj inni, którzy stali z arkebuzami w wejściu, posuwają się ostrożnie za nami. Rycerze von Waldecka, którzy rozłożyli się obozem wokół rozpalonych ognisk, polerują swoje miecze, rzucając nam groźne spojrzenia. Na ich twarzach maluje się poczucie wyższości; sprawy mieszczuchów zupełnie ich nie obchodzą.

Burmistrz i najbogatszy człowiek Münsteru wychodzą nam na-

przeciw z pochodniami w rękę i tuzinem uzbrojonych ludzi za plecami.

Ostrzegam ich:

— Wördemann, trzymaj ich trochę dalej, tych twoich siepaczy, bo inaczej twoja pani mogłaby dojść do wniosku, że ptaszek Rothmanna jest naprawdę o niebo rozkoszniejszy od twojego...

Kupiec o suchej i drapieżnej posturze wdryga się i mierzy mnie pogardliwym wzrokiem.

— Słuchaj no, anabaptysto, ten twój predykant to tylko zbuntowany błazen.

Judefeldt daje mu znak, żeby zmilczał.

— Czego chcecie?

Nie mam czapki, głowę okrywają mi zmierzwione po bezsennej nocy włosy, dłoń poci się nerwowo na rękoności krótkiej dagi za pasem.

Daję znak Kibbenbrockowi, niech on przemówi.

— Jesteś o krok od popełnienia największego głupstwa w życiu, Judefeldt. Głupstwa, którego będziesz żałował do końca twoich dni. Powstrzymaj się póki czas. O świcie wojska von Waldecka wezmą we władanie miasto, a on sam odzyska wszystko...

Burmistrz przerywa mu poirytowanym tonem.

— Biskup zapewnił mnie, że nie tknie miejskich przywilejów, mam na to dokument własnoręcznie przez niego podpisany...

— Głupoty! — wypluwa z siebie Kibbenbrock. — Jak odzyska władzę, będzie mógł wytrzeć sobie zadek twoimi miejskimi przywilejami! Kto będzie śmiał mu się sprzeciwić, gdy stanie się na nowo panem Münsteru? Ruszże głową, Judefeldt. I ty też, Wördemann, usiądź i policz sobie, ile korzyści przyniosą twoim interesom biskupie podatki? Produkcja klasztorów zniszczy twoje warsztaty i franciszkanie będą się bogacić, podczas gdy ty będziesz płacił podatki von Waldeckowi. Pomyśl. Biskup to kawał przebiegłego drania, obietnice nic go nie kosztowały, papiści mają we krwi takie podstępny, wiecie o tym lepiej ode mnie.

Kibbenbrock za bardzo podniósł głos. Skrzywienie pancerzy i dzwonięcie ostróg ostrzega nas, że zbliżają się do nas rycerze, pochodnie oświetlają przyszyżoną brodę i skórzaną rękawicę Dietricha von Merfelda z Wolbecku, brata przełożonej klasztoru Überwasser i prawej ręki biskupa. U jego boku kroczy Melchior von Büren; prawdopodobnie idzie do nas, bo ma nadzieję osobiście wyrównać rachunki z Redekerem.

Judefeldt uprzedza ich pytania.

— Panowie, to są baptyści, przyszli tu pertraktować. Przyrzekliśmy im nietykalność.

Dietrich Wąsydogóry śmieje się zdumiony.

— Co się dzieje, Judefeldt, jeszcze się układacie z tymi nędzarzami? Za godzinę zostanie po nich tylko kupa kości. To są chodzące trupy, nie trać na nich czasu.

— Pan von Merfeld nie myli się — wtrącam. — Ze wszystkich stronictw, które stanęły przeciwko sobie tej nocy, tylko my nie mamy nic do stracenia. Wejście biskupa do miasta oznaczałoby dla nas jedynie pewną śmierć. Tak więc bądźcie pewni, że będziemy walczyć i drogo sprzedamy naszą skórę, będziecie musieli zdobywać miasto piędź po piędzi.

Von Büren prycha pogardliwie.

— Jesteście jak króliki, nie będziecie się opierać nawet tyle czasu, ile Jego Eminencja potrzebuje, żeby ziewnąć. Złodzieje i rabusie z gościńca, oto czym jesteście.

Kibbenbrock uśmiecha się i potrząsa głową, żeby zwrócić na siebie rozproszoną uwagę dwóch kupców.

— Tak się boicie utracić swoją władzę, że ze strachu przed naszymi czterema arkubezami zaprosiliście wasali von Waldecka do domu. Wiesz, co ci powiem, Judefeldt? Von Waldeck wiedział to od samego początku. Wiedział, że będzie mógł wykorzystać rozdźwięk między wami i nami, że będzie mógł podzielić miasto na dwie części.

Wysokie czoło burmistrza pokrywa się zmarszczkami, jego oczy przenoszą się z twarzy Wördemanna, posępnego jak nigdy, na moją i Kibbenbrocka, który nie daje mu odpocząć.

— Wszystko to jest przekłątą intrygą, nie połapałeś się w tym jeszcze? Od początku biskup grał na dwie strony, dawał wam zapewnienia, żeby zyskać oparcie wewnątrz murów, znaleźć kogoś, kto w odpowiedniej chwili otworzy bramy, a gdy raz już tu wejdzie, przypomni sobie nagle, że jesteście luteranami, zbuntowanymi jak i my przeciwko władzy papieża. — Krótka pauza, czas dla nich na uświadomienie sobie położenia. — Możesz zapomnieć o twoich miejskich przywilejach, po nas przyjdzie wasza kolej na szafot. Pomyśl o tym, Judefeldt. Dobrze się nad tym zastanów.

Dwaj mieszczanie stoją bez ruchu, wpatrują się w Kibbenbrocka, a potem rozglądają naokoło, jakby szukali niewidzialnego doradcy.

— Judefeldt — odzywa się z niedowierzaniem von Merfeld — czyba nie posłuchasz tych dwóch żebraków? Nie widzisz, że próbują ratować skórę, że są zdesperowani? Jak tylko Jego Eminencja wróci, uporządkujemy wszystko, zawarliśmy przecież porozumienie, pamiętaj o tym.

Znowu cisza.

Wsluchuję się w bicie serca, które odmierza rytm upływającego czasu.

Wördemann powtarza w pamięci różaniec swoich rachunków.

Judefeldt myśli o żonie.

Judefeldt myśli o wojsku biskupa.

Judefeldt myśli o swoich czterdziestu ludziach, którzy zamknęli się w klasztorze.

Myśli o śmiesznych wąsach von Merfelda.

Myśli o tej świni, jego siostrze przeoryszy, która, a jakże, zawsze było wiadomo, donosiła biskupowi, co się dzieje w mieście.

Myśli o girlandach na domach katolików...

Rozkładał szeroko ręce.

— Przyszliśmy bez broni. Zaprzestaśmy walki i razem brońmy naszego miasta. Co tu ma do roboty szlachta? Münster to my, a nie papiści, nie ludzie biskupa.

— Na Boga — wybucha von Merfeld. — Nie możecie przecież dać się tak łatwo przekonać dwom wygadanyim prostytutkom!

Judefeldt wzdycha i zaciska dłoń, jakby rozgniał wyimaginowanego węża.

— Oni nie muszą mnie przekonywać, panie dziedzicu z Wolbecku. Wy przynosicie nam przyrzeczenia.

— Słowo Jego Eminencji Franza von Waldecka!

— Ale oni, te... prostytutki, jak ich nazywacie, proponują pokój bez żadnej potrzeby ściągania do miasta najmniejszej armii, a to jest propozycja, którą muszę wziąć pod uwagę.

— Chyba nie będziecie wierzyć tym zafajdanym gębom? — złorzeczy von Merfeld.

— Jeszcze jestem burmistrzem w tym mieście. Muszę myśleć o interesie jego mieszkańców. Wiemy, że katolicy otrzymali polecenie wywieszenia girland nad drzwiami domów. W jakim celu, panie, możecie mi to wytłumaczyć? Może po to, żeby najemnicy biskupa mogli rozpoznać domy, które powinni oszczędzić od grabieży? Nie takie porozumienia zawieraliśmy...

Von Merfeld kamienieje. Byle luterkański półgłówek oskarża go otwarcie, ale to von Büren wybucha jako pierwszy:

— Jeżeli tak, to ja znam sposób, w jaki należy potraktować takich dwulicowych dudków! — Dobywa szpady i przykładą jej ostrze do gardła burmistrza.

Podbiegają luteranie, ale wystarcza jeden znak von Merfelda i rycerze zrywają się na nogi: dwudziestu uzbrojonych po zęby i wyszkolonych w walce rycerzy przeciwko tuzinowi przerażonych mieszczuchów. W bezpośrednim starciu rozprawiliby się z nimi w mgnieniu oka.

Von Merfeld śmieje się do mnie z triumfującą miną.

Jego śmiech tonie w strasliwym wrzasku, przypominającym

krakanie drapieżnego ptaka; rozlega się w głębi cmentarza, mrozi krew w żyłach, każe włosom stanąć dęba i pełźnie po plecach jak pająk.

— Wstrzymaj się, wieprzu!

Długie cienie upiornych widm zbliżają się między grobami; wojsko umarłych, którzy budzą się z wiecznego snu. Ktoś rzuca się na kolana z modlitwą na ustach.

— Do ciebie mówię, wieprzu!

Z nocnego mroku wyłaniają się makabryczne widziadła, stają w świetle pochodni, armia cieni, trzydzieści zjaw z wycelowanymi kuszami i arkebuzami, dowódca na czele. Podbiega, dwa ogromne, większe od niego pistolety w dłoniach, dwa skrzydła anioła śmierci.

— Von Büren, ty świński pomociu. — Zatrzymuje się, spluwa na ziemię i cedzi przez zęby: — Przyszedłem tu, żeby zjeść twoje serce.

Rycerz błędnie, szpada zaczyna się chwiać w jego dłoni.

Anioł ciemności, Redeker, podbiega parę kroków w naszą stronę.

— Zdążyliście, Gert?

— W sam czas. Krótko mówiąc, sytuacja się odwróciła, teraz wy musicie zdecydować, panowie. Albo wyrównujemy rachunki od razu, na miejscu, albo wsiądziecie na koń i pojedziecie tam, skąd żeście przyjechali.

Wąsy stoją na baczność, von Büren już zagłosował, opuszczając szpadę, Judefeldt oddycha wreszcie z ulgą.

Jest nas dwa razy więcej i jesteśmy bardziej od nich zdecydowani. Nie mamy nic do stracenia i von Merfeld wie o tym.

Cmoknięcie językiem i rzucone półgłosem przekleństwo, ostatni, pogardliwy rzut oka na burmistrza, von Merfeld obraca się na pięcie i podchodzi do swoich ludzi z głośnym dzwonieniem ostróg.

Redeker dotyka lufą pistoletu piersi von Bürena, ten zamyka oczy i czeka jak skamieniały na strzał. Doświadczona ręka odwiązuje mu sakiewkę od pasa.

— Zwiewaj, bękartu. Idź lizać dupę twojemu biskupowi.

* * *

Gdy wracamy na główny rynek, zamglone słońce wstaje za kościołem Świętego Lamberta. Jezdni rycerze opuszczają miasto pod wspólną eskortą ludzi Redekera i luteranów. Ktoś przysięga, że widział, jak von Büren płakał z wściekłości, wyjeżdżając przez bramę miejską.

Panie Judefeldt i Wördemann wróciły do swoich mężów, a Knipperdolling maszeruje koło nas razem z radnym Palkenem i jego synem, ledwo słysząc jego ochrypy głos, ma podbite oko, ale jest

w doskonałym nastroju, tak jakby bezmyślnie spacerował, szukając jakiejś gospody.

W obozie witają nas radosne okrzyki, arkebuzy strzelają na wiwat, nad głowami podnosi się las rąk, kobiety całują nas, widzę rozbierających się ludzi, Jana z Lejdy prowadzi triumfalnie grupa dziewcząt, tak jakby sama siła jego słów zwyciężyła czające się nieszczęście. Ludzie rozbierają barykady i rozchodzą się po ulicach, tych samych ulicach, po których przez całą noc błąkało się wielkie zagrożenie. Otwierają się okna, kobiety, starcy i dzieci wychodzą przed domy mimo tęgiego mrozu, choć świt zaczyna dopiero rozpraszać mroki.

Knipperdolling funduje wszystkim piwo.

Zadowolony Rothmann wychodzi mi na spotkanie, ma zmęczoną, ale roześmianą twarz.

— Udało się. Powiedziałem ci, że Pan będzie nas chronił.

— Tak, Pan i arkebuzy — śmieję się. — Co teraz?

— Słucham?

— Co teraz robimy?

Odpowiedź kryje się w głosie Gresbecka, poczerńiałego od dymu pochodni, wymęczonego i brudnego, z białą blizną na brwi, która wygląda tak, jakby jeszcze urosła pośrodku jego posępnej twarzy.

— Teraz możemy głęboko odetchnąć, kapitanie Gercie ze Studni.

Uśmiecha się, ściskam mu dłoń, dziękując za wszystko.

Knipperdolling słucha wiadomości przekazywanych przez jeden z patroli, zaniepokojona mina, podbiega do nas.

— Gert, tego nie chcieliśmy...

— Co tam się jeszcze dzieje, u diabła?

— Von Waldeck podburzył przeciwko nam chłopów ze swoich posiadłości. Idą tu, są ich trzy tysiące, jak mówią, i chcą raz na zawsze uporządkować sprawę w tym mieście.

Rozdział 30

Münster, karnawał 1534 roku

Pisuarem wojny jest piwiarnia.

Jeśli ludzka krew jest tym, co zwilża gnijące ciało, to uryną, która wsiąka w pola bitew, jest z pewnością piwo.

Piwo, które wzdyma żołądki wojowniczych samców, łagodzi strach przed starciem z wrogiem, wzmaga upojenie po odniesieniu zwycięstwa. To mocz, niewyobrażalnie wzbogacający dozorców tej latryny. Nie mniej ważny niż krew i odwaga, trwonione w nadmiarze, żeby przesądzić losy bitwy.

Oszczazaj swojego przeciwnika, zanim w niego uderzysz, bo mógłby przebudzić się, stłumić swój gniew, przerzedzić mgłę, która spowija żądzę krwi. Może uznałby za absurd to, że oto zamierza zdecydować o czymś losie albo poddać się własnemu. I wycofać się.

Zjawili się wczoraj poszarzali z gniewu, odeszli kompletnie zalani.

Dwadzieścia baryłek piwa, zapasy miejskiej kantyny. Dar mieszkańców Münsteru dla braci z okolicznych wsi, a ich delegację przyjęto z wielką pompą w bramie Judefeldertor.

Tępa nienawiść trzech tysięcy chłopów roztopiła się wraz z pianą.

Jeszcze jedno zagrożenie, którego udało się uniknąć, przemienić świętowanie w bachanalia, pełne groteskowych momentów.

Na główny rynek wbiega grupka rozczochranych, na pół rozebranych albo wręcz nagich kobiet. Padają krzyżem na ziemię, tarzają się w błocie, płaczą, śmieją się i biją w piersi, wzywając Pana niebios.

Widzą krew kapiącą z nieba.

Widzą czarne ognie.

Widzą jeźdźca w złotej koronie, galopującego po niebie na białym koniu, trzymającego w dłoni miecz przeznaczony dla niegodziwych.

Przywołują wielkim głosem króla Syjonu, ale jedyny człowiek,

którego obecność na scenie mogłaby je zadowolić, właśnie upija się w jakiejś karczmie.

Ludzie śmieją się i bawią, pozwalają się wciągnąć, jakby to było uliczne przedstawienie, zainscenizowane przez lejdejskiego Jana. Ale nie dotyczy to ślusarza Adriansona, który znudzony się historycznymi wrzaskami, bierze do ręki arkebuz i jednym strzałem strąca chorągiewkę z dachu jakiegoś domu. Kogut rozlatuje się i spada z przerażającym hukiem. Na moment wszystko zamiera. Kobiety wracają do zmysłów, jakby coś przebudziło je z nocnego koszmaru. Adrianson przyjmuje pochwały obecnych.

W ciągu następnych dni staje się coraz bardziej oczywiste, że von Waldeck nie zdoła wrócić do miasta.

Wielu katolików pakuje swoje manatki.

Stosunek sił jest pod każdym względem na naszą korzyść, nawet luteranie nie mogą się nam już przeciwstawić: burmistrz Tilbeck, jako urodzony oportunistą, dał się ochrzcić Rothmannowi, być może w nadziei na ponowny wybór. Judefeldt przyjął nas w magistracie i nie mógł zrobić nic innego, jak tylko zaakceptować naszą decyzję o dopuszczeniu do kandydowania wszystkich ojców rodzin, bez względu na ich stan majątkowy. Było to dla niego danie mocno niestrawne, ale odmowa z jego strony byłaby czymś jeszcze gorszym, bo wszyscy mieszkańcy nas popierają. Knipperdolling i Kibbenbrock wystawili swoje kandydatury.

Stało się jasne, że bogaci kupcy nie będą już trzymać w garści całego miasta.

Wielu luteranów pakuje manatki.

Zabierają złote wyroby, pieniądze, klejnoty, domowe srebra, nawet co bardziej smakowite poście mięsa. Ale muszą jeszcze przejść inspekcję kapelusznika Sündermanna, niezmordowanego strażnika z rynku w dniach naszego zwycięstwa. Bogacza Wördemanna trzymano w bramie Frauentor z pistoletem przystawionym do głowy dopóty, dopóki nie wystękał z siebie czterech złotych pierścieni, które wsadził sobie w tyłek, a w tym czasie jego małżonkę obmacywano na wszystkie strony i jej służący nie mogli powstrzymać się od wybuchów śmiechu.

Protestujące baby domagają się odsunięcia Sündermanna od pełnionej funkcji; kto chce wyjechać, niechże nikt mu w tym nie przeszkadza. Jest to pomysł szlachcica Johanna von der Recke'a, chociaż jego żona i córka uważają, że temu, kto chce zostać, także nie powinno się robić żadnych trudności, no i padają w ramiona ujmującego Rothmanna, który przyjmuje je do własnego domu. Gdy von der Recke idzie, żeby je stamtąd zabrać, słyszy tylko wyzwiska i odkrywa, że nie jest już ani ojcem, ani mężem, że nie może już użyć

kija na kobiety ze swego domu ani dyktować praw według swojego uznania, ale przeciwnie, lepiej będzie dla niego, jeśli zapomni, że miał żonę i córkę, i zabierze swój tyłek możliwie jak najdalej stąd. Plotka o jego kompromitacji rozchodzi się migiem wśród babskiej populacji Münsteru, toteż wyjeżdżając, von der Recke musi uciekać przed gradem najróżniejszych przedmiotów.

* * *

Adrianson pokonuje zamek za pomocą fachowych narzędzi. Wchodzimy. Wielki salon, luksusowe meble i kobierce. Legalni właściciele przed opuszczeniem domu nie zgasili nawet kominka. Jeden z braci Brundt podsycy ogień. Schody prowadzą na wyższe piętro. Sypialnia, jeszcze jeden mniejszy pokój. W środku drewniana kadź do kąpieli, umywalnia i wiadro w kącie. Sole kąpielowe i wszystko, czego trzeba do osobistej higieny szlachetnie urodzonej damy.

Adrianson staje w drzwiach z pytającą miną.

— Podobą mi się — mówię, kiwając głową. — Postaw wodę, żeby się zagrzała.

Rozbieram się, jednym kopniakiem odrzucam od siebie koszulę i kubrak, które tworzą skłębioną, czarną śmierdzącą masę. Także pludry. Trzeba to wszystko spalić. W wielkiej szafie znajduję czyste ubrania z wykwintnych materiałów. Nadadzą się doskonale.

Adrianson wlewa do kadzi dwa pierwsze wiadra parującej wody i rzuca mi niepewne spojrzenie. Wychodzi, potrząsając głową.

Z ulicy dobiega chór głosów.

Wjeżdżali zwycięsko, żelazem szczękając,
odjeżdżali ponurzy, łyzy obcierając,
bo w nocy na cmentarzu piekielne widziadło
wychynęło z mroku i na nich napadło.

Burmistrza pozbawił jego ślicznej żonki,
świńskiego biskupa unicestwił mrzonki,
bo taki wyrok losu w uszach ci zadudni
gdy spotkasz na swej drodze Gerta ze Studni.

— Słyszysz ich? — przerywa ze śmiechem Knipperdolling. — Kochają cię! Zdobyłeś ich! Chodź, chodź popatrzeć.

Ciągnie mnie do okna. Ze trzydziestu fanatyków, którzy na mój widok wiwatują jak jeden mąż.

— Już śpiewają o tobie piosenki. Cały Münster cię oklaskuje. —

Wychyla się i kładzie mi rękę na ramieniu. — Niech żyje kapitan Gert ze Studni!

— Niech żyje!

— Niech żyje wyzwoliciel Münsteru!

Śmieję się i wycofuję. Knipperdolling przytrzymuje mnie i wrzeszczy:

— Razem z wami oswobodziliśmy Münster, razem z wami uczynimy to miasto dumą chrześcijaństwa! Niech żyje kapitan Gert ze Studni! Nie wystarczy piwa w mieście, żeby opić jego zdrowie!

Wrzaski, krzyki, w górę lecą różne przedmioty, Knipperdolling, ty grubasie, wniesiemy twój brzuch na dach magistratu, śmiechy, toasty pod niebo...

Knipperdolling zamyka okno, pozdrawiając ich szerokimi gestami.

— Zwyciężymy. Wygramy wybory, wystarczy jedno twoje słowo i nie będzie żadnej konkurencji.

Wskazuję miasto za oknem.

— Łatwiej jest obalić tyrana, niż stanąć na wysokości ich nadziei. Być może to, co najtrudniejsze, stoi przed nami.

Patrzy na mnie z zakłopotaniem, a potem wybucha.

— Nie bądź takim ponurakiem! Po wygranych wyborach zdecydujemy, jak rządzić tym miastem. A teraz ciesz się swoją chwałą.

— Chwała czeka na mnie w kadzi z parującą wodą.

Rozdział 31

Münster, 24 lutego 1534 roku

Fala uniesienia rosła aż do tego decydującego dnia. Wczoraj Redeker przemawiał do pospólstwa na placu przed magistratem; w rezultacie dwudziestu czterech z ludu wybrano do rady. Ślusarze, tkacze, stolarze, robotnicy, nawet piekarz i szewc. Nowi przedstawiciele mieszkańców reprezentują cały zakres pomniejszych zawodów, szumowiny, którym nigdy nie przyszłoby nawet do głowy, że świat ma dla nich takie przeznaczenia.

Noc minęła na świętowaniu i karnawałowych tańcach, a rankiem załatwiono prędko ostatnie formalności. Nowymi burmistrzami zostali Knipperdolling i Kibbenbrock. Można rozpocząć karnawał.

Początek dają münsterscy żebracy, którzy wchodzą do katedry i, jak przystało ostatnim pośród ostatnich, biorą sobie zaliczkę na to, co powinno na nich czekać w Królestwie Niebieskim. Ginę wszelkie przedmioty ze złota, świeczniki i brokаты z figur świętych, datki na biednych wędrują prosto do rąk zainteresowanych, bez pośrednictwa księży, którzy mogliby zatrzymać część dla siebie. Gdy Bernhard Mumme, tkacz i gręplarz, z siekierą w ręku, widzi przed sobą zegar, który latami odmierzał godziny jego męki, nie zastanawia się długo i rozwala te piekielne mechanizmy. Tymczasem jego koledzy załatwiają się w bibliotece parafialnej, zostawiają cuchnące ślady na liturgicznych księgach biskupa, wynoszą nastawę ołtarza i budują z niej publiczny ustęp nad brzegiem Aa, żeby służyła jako zachęcający bodziec tym, co mają skłonności do zatwardzeń. Obalają pałkami chrzcielnicę, zrzucają w dół piszczałki organów. Oddają się pod sklepieniami wyuzdanym orgiom, urządzają ucztę na ołtarzu, wreszcie można się najeść do syta, w końcu można spółkować pod kolumnami nawy głównej, na posadzce, duch uwolniony od wszelkich ciężarów, wszyscy sikają na grobowe kamienie münsterskich władców, na

arcyszlachetne szkielety, spoczywające pod posadzką. A użyźniewszy te arystokratyczne szczątki, biegną umyć sobie tyłek w kropielnicy.

Płaczcie, święci, wyrywajcie sobie włosy z brody, wasz kult się skończył. Płaczcie, władcy Münsteru, wy, co mając tyle oddania dla złota, stoicie wokół Chrystusowego żłóbka; wasza epoka dobiegła zmierzchu. Nic z tego, co przez stulecia reprezentowało nikczemną władzę księży i panów, nie może pozostać na swoim miejscu.

Także inne kościoły doświadczają tego rodzaju odwiedzin, gromady żebraków obławowanych łupami wędrują po ulicach, rozdają ladacznicom naczynia mszalne, podpalają dokumenty własnościowe, przyniesione z parafii.

Całe miasto świętuje, ulice przemierzają karnawałowe pochody na wozach. Tile Bussenschute, przebrany za zakonniką, ciągnie pług. Najślynniejszą prostytutkę Münsteru obnoszą dokoła cmentarza klasztoru Überwasser przy akompaniamencie psalmów, trzepotania świętych chorągwi i dźwięku dzwonów.

* * *

— To wy jesteście Gert Boekbinder? — Kiwam głową z roztargnieniem. — Przysłała mnie Jan Matthijs. Zawiadamia was, że będzie w mieście przed zachodem słońca.

Odrywam oczy od podłogi. Młoda twarz.

— Słucham?

— Jan Matthijs. Nie jesteście jednym z jego apostołów?

Szukam w jego oczach żartobliwego błysku, na darmo.

— Powiedziałaś, że kiedy się zjawi?

— Przed wieczorem. Spaliśmy niecałe trzydzieści mil stąd. Ja wyruszyłem wcześniej rano.

Chwytam go za ramię.

— Idziemy.

Ramię w ramię torujemy sobie drogę w ciżbie. Widowisko przyciągnęło dużo ludzi, na scenie popisuje się najlepszy imitator von Waldecka w całym Münsterze. Każdy placyk ma dzisiaj swoją atrakcję: muzykę i tańce, piwo z pieczonym prosiakiem, gry zręcznościowe, wywracanie świata do góry nogami, przedstawienia biblijne.

Mój młody przyjaciel bawi się przez chwilę widokiem pary cycków śmiało wystawionych na widok publiczny na rogu ulicy.

— Chodź, prędzej. Zapoznam cię z tym drugim apostołem.

Potrzebuję go teraz. Bockelson jest jedynym człowiekiem, który mógłby zaimprovizować coś w takim momencie. Jeśli się nie mylę, występuje właśnie przed kościołem Świętego Piotra.

Z naprzeciwka nadchodzi karnawałowy orszak i odsuwa nas pod ściany domów. Otwierają go trzej mężczyźni, prowadzący małego osiołka. Z tyłu ciężko sunie wóz, ciągnięty przez dziesiątkę królów. W środku ma drzewko zwrócone korzeniami ku górze, w małej kadzi nagi mężczyzna smaruje się błotem. W kącie papież modli się, prosząc o datki.

— Niech umrze Samson, razem ze wszystkimi Filistynami!

Jana słysząc już z daleka, nasz apostoł daje z siebie, co tylko może; głos wibruje nadludzkim wysiłkiem, jakby chciał obalić kolumny świątyni w Tyrze. Widzowie słuchają go z takim samym entuzjazmem.

Wskakuję na scenę, podchodzę do Świętego Stręczyciela i grzmot aplauzów zamiera prawie natychmiast. Nastrój oczekiwania, wrzenie cichnących głosów.

Mówię mu na ucho:

— Przed zachodem słońca będzie tu Matthijs. Co robimy?

— Matthijs? — Jan z Lejdy nie potrafi mówić cicho. Imię proroka z Haarlemu pada jak kamień w morze pod nami. Kręgi rozchodzą się szybko.

— Dziś wieczorem miała być uczta karnawałowa na koszt radnych, rozdawanie kożuchów i cała reszta... — Pieszczotliwie przeciąga ręką po brodzie. — Spokojnie, przyjacielu Gert, już ja się tym zajmę. Idź zawiadomić innych, jeżeli jeszcze tego nie zrobisz. Knipperdolling będzie zachwycony możliwością poznania wielkiego Jana Matthijsa.

Potakuję, wciąż jeszcze niezdecydowany. Zostawiam go na scenie, ale przedtem jeszcze błagalna prośba:

— Jan, proszę cię, tylko bez wygłupów...

Pod wieczór wzmaga się przejmujący chłodem, lodowaty wiatr. Jego porywy niosą zmarznięty, tnący śnieg. Ulice pokrywają się białym puchem.

Pogłoska o przybyciu Matthijsa doszła już do wszystkich uszu w mieście. Przy bramie Aegiditor i wzdłuż ulicy prowadzącej do katedry stoją ludzie, którzy przyszli wcześniej, żeby zająć miejsca. W miarę jak gaśnie światło dnia, zapalają się pochodnie.

— To on! Oto Enoch!

Kibbenbrock i połowa rady z jednej strony, Knipperdolling i pozostali radni z drugiej pchają na zewnątrz ciężkie skrzydła bramy. Słysząc skrzypienie zawiasów. Szyje wyciągają się w tamtym kierunku. Resztki bladego światła dnia przybierają kształt ostrej klingi, która rozszerza się powoli, aby wypełnić całą przestrzeń pod sklepieniem.

Jan Matthijs wygląda jak ciemny wyprostowany cień, z kijem w rękę. Posuwa się powolnymi krokami, nie spoglądając w tłum. Dwaj nowi burmistrzowie, wraz z całą radą, ruszają za nim w bliskiej odległości, trzymając pochodnie wysoko nad głową. Słychać ciche śpiewy.

Przyglądam się lepiej: w śniegu, który osiada na bruku coraz większymi płatkami, widać odciski gołych stóp Proroka Piekarza, bez butów. W rękę trzyma nie zwykły kij, ale szufłę używaną przez chłopów do oddzielania ziarna od plew.

Podczas gdy Matthijs posuwa się do przodu, dwie rozognione strony ulicy zamykają się za nim i orszak się powiększa. Jan z Haarlemu zatrzymuje się, chwytając szufłę obiema rękami i podnosi ku niebu. Śpiewy urywają się.

— Bóg zamierzył zamieść swoje klepisko! — krzyczy najpierw sam, a potem wtóruje mu grzmot setek głosów. Długa szufła unosi śnieg gniewnymi ruchami ramion.

— Bóg zamierzył zamieść swoje klepisko!

Odpowiada mu jak echo tłum, który informuje nowo przybyłych:

— Prorok, jest z nami prorok.

— Przybył!

— Jan Matthijs, wielki Jan Matthijs jest w Münsterze!

Rusza, kieruje się w stronę głównego placu. Wszyscy chcą zobaczyć posłańca Boga, wysokiego, wychudzonego, posepnego, szorstkiego, bosego.

Oto jest.

Oto Enoch.

Zatrzymuje się, być może ślad uśmiechu... być może.

Z otwartymi ramionami staje przed nim Bockelson.

— Mistrzu. Bracie. Ojczy. Matko. Przyjacielu. Anioł powiedział mi, że przybędziesz dzisiaj. Anioł, którego widziałem w bramie u twojego boku i który teraz harcuje na twojej głowie. Dziś, nie wczoraj, nie jutro. Dzisiaj, gdy odnieśliśmy zwycięstwo i pobiliśmy wrogów. Anioł Boga. Jakże cię kocham.

Matthijs podchodzi do niego i wymierza mu cios pięścią w policzek, przewracając go. Wszyscy lodowacieją. Bockelson wstaje. Śmieje się. Dwóch Janów obejmuje się mocno, jakby chcieli się zmiażdżyć, długo pozostają w tym uścisku, kołysząc się na boki. Bockelson płacze z radości.

Podchodzi, szukając jego spojrzenia.

— Witaj w Münsterze, bracie Janie.

Matthijs obejmuje także i mnie, bardzo mocno, tak że zapiera mi dech w piersi. Słyszę, jak mruczy w podnieceniu:

— Moi apostołowie, moje dzieci...

Jego oczy są czarnymi pochodniami, te same oczy, które tysiąc miesięcy temu powierzyły mi misję. Czuję dziwne skrępowanie: dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że odkąd tu przybyliśmy, nie myślałem wcale o Matthijsie. Uniósł mnie nurt wydarzeń. On nie wie nic o walce i zagrożeniach, które przeżyli ci ludzie. Sami zrobiliśmy to wszystko, ale teraz on jest tutaj i to przypomniało mi, że przybyliśmy tu w jego imieniu, z jego słowem na ustach. Münster wysłał z nas energię, kazał nam walczyć, chwycić za oręż, ryzykować życie. Jan, jak mam ci wytłumaczyć to wszystko, jakimi słowami? Nie było cię przy tym.

Milczę. Patrę, jak wchodzi na scenę dla widowisk, wzniesioną naprzeciwko katedry. Pochodnie malują jego długi cień na frontonie kościoła, tańczącego demona, który stroi miny na apelu. Śnieg pochłania światło, wiruje nad głowami; czuję lodowaty dreszcz przebiegający po całym ciele.

Bardzo wysoki i chudy, jakim nigdy go nie widziałem, wędruje wzrokiem po twarzach, od jednej do drugiej, tak jakby chciał zapamiętać ich rysy, ich imiona.

Zapada nierealna cisza. Spojrzenia wszystkich kierują się spod pochodni na niego, oddech setek mężczyzn i kobiet zawisł nad placem, razem z ich losami.

Głos brzmi jak głębokie bulgotanie, które zdaje się wychodzić ze szczeliny w ziemi.

— Nie mnie. Nie mnie. Nie mnie tu adorujesz, ludu świętujący wybranych. Nie mnie. Ogień tej nocy goreje na ołtarzach, zżera posagi, pali się w piekle wraz z tym, co było. I nie wróci nigdy więcej. Stary świat ginie jak pergamin w ogniu. Świat, niebo, ziemia, noc. Czas. Nie wróci nigdy. Nie mnie, w obliczu wiecznej chwały. Nie mnie. Słowo nie zna przeszłości ani przyszłości, Słowo jest tylko teraźniejszością. Jest żywym ciałem. Wszystko, co znałeś, twoja wiedza, to zgnilizna świata, który był. Wszystko. To popiół. Nie mnie prowadzisz do zwycięstwa. Nie mnie czcisz w tym dniu chwały. Nie mnie bronisz zaciśniętą pięścią przeciwko twojemu nieprzyjacielowi. Nie ja jestem twoim dowódcą w tej wojnie. Nie te usta, te kości strawione namiętą pasją. Nie. To twój Pan. Ten, którego od zawsze musiałeś adorować w kościołach, na ołtarzach, pochyłony przed posagami. On jest tutaj. Bóg jest tą krwią, tymi twarzami, tą nocą. Jego chwała nie jest chwałą jednego dnia, nie trwa tyle, co święto pory roku, ale domaga się wieczności. Bierze ją żelaznym uściskiem, miażdży, burzy, druzgocze. Tam na zewnątrz, za tymi murami, świat już się skończył. Przemierzyłem pustkę, żeby tu dotrzeć. Pola zapadały się za moimi plecami, rzeki wysychały, drzewa przewracały się i śnieg padał niczym deszcz ognia. I krwi. Za mną rodziło się morze.

Rosnący ocean, fala gniewu. Czterech jeźdźców galopowało u mojego boku, z twarzami śmierci, plag, głodu, wojny. Miasta, zamki, wsie, góry. Nic nie zostało. Bóg zatrzymał się tylko przed tymi murami, żeby żądać od ciebie ducha, ramienia i życia. I teraz zwiastuje ci, że Pismo umarło, że na twoich ciałach wyrzeźbi nowe słowo, napisze ostateczny testament świata i rzuci go w ogień. Ty, Babilonie błota i nierządu. Ty, ostatni na ziemi. I tyś jest pierwszy. Wszystko zaczyna się tutaj. Od tych wież. Od tego placu. Zapomnij swojego imienia, twoich mieszkańców, twoich niegodziwych handlarzy, twoich bałwochwalczych księży. Zapomnij. Albowiem przeszłość należy do umarłych. Dziś masz nowe imię i to imię brzmi Jeruzalem. Dziś prowadzi cię do walki Ten, który cię woła. Twoją ręką Jego topór wzniesie Królestwo, krok po kroku, cegła na cegle, głowa przy głowie. Aż do nieba. Ludu pokornych, podeptanych przez dawną epokę, będziesz walczył, nie obawiając się żadnego zła, będziesz wojskiem Boga Królestwa, które nadchodzi. Albowiem twoim wodem jest Pan.

Drzę. Chwila zupełnego bezruchu. Tkwimy zawieszeni w czasie, noc wymazuje świat poza tym placem, nie ma nic więcej, tylko my, tutaj, armia Światła. Jego oczy przebiegają szeregi, werbując nas, jednego po drugim. Trwoga i duma, i jeszcze pewność, gdyż nic innego nie przepędzi przerażenia, jakie budzą te słowa. Stanąc na wysokości zadania.

Drzę. Chcieliśmy miasta. On ukazał naszym oczom królestwo. Chcieliśmy karnawału wolności. On podarował nam Apokalipsę.

Mój Boże, Jan. Mój Boże...

Rozdział 32

Münster, 27 lutego 1534 roku

Czyżby ognie piekieł były lodowate? Czy tam czeka się prawie na golasa, z pustym żołądkiem, jeden za drugim i bez jednego słowa, aż przyjdzie godzina, w której Cerber przeprowadzi nas przez te drzwi i ciśnie w lodowatą otchłań wiecznego cierpienia?

Trzeba zamieść to klepisko.

Piętno jakiej hańby, z której nie można się oczyścić, znaczy te zapłakane dzieci, uczone zbezczeszczonej matek, i tych przerażonych starców, szczających we własne łachmany? Kto wytłumaczy im, że muszą zostać przegnani z rajów?

Głowa przy głowie, zawyrokował Enoch. Całe stopy głów na wieżach i murach, żeby zdobyły blanki, głów ułożonych tak, żeby dostrzegł je bez trudu biskup i wędrowiec, zakonnica i żołnierz, człek pobożny i złodziej, a przede wszystkim ta armia sług ciemności, która wkrótce przystąpi do oblężenia Nowego Jeruzalem, tak zawyrokował prorok.

Za łaskę można więc uznać owo „Idźcie sobie precz, bezbożnicy! I nie wracajcie więcej, wrogowie Pana!”, wykrzyczane przez Matthijisa w śnieżnej zawiei.

Powoli wydłuża się nitka wygnanych wyznawców starej wiary, widoczna na białym całunie śniegu. Nadzy. Oczy wbite w ziemię, chyba po to, żeby liczyć kroki, które zostały im do zupełnego zamarznięcia. Niektórzy mają być może nadzieję, że dotrą do Telgte albo do Anmarsch. Ale nikogo na to nie stać, może tylko co silniejszych mężczyzn, którzy nie porzucą przecież swoich żon, dzieci, rodziców.

— Nie ma co dłużej czekać. Już teraz Ojciec chce wymierzyć sprawiedliwość.

— Co masz na myśli?

— Że muszą umrzeć. — Mówi to z pogodnym niemal obliczem, anielsko dobrotliwy, spoglądając skupionym wzrokiem.

Padają na śliskim śniegu. Płaczą. Ciężarne kobiety podtrzymują swoje brzuchy. Papiści, luteranie, stary świat pogrzebany w katastrofie wywołanej przez Jana Matthijisa. Można nawet odczytać jej znak: wola Pana.

— Tak napisano, nie trzeba wiedzieć nic więcej, to masz na myśli? Że są potępieni i muszą umrzeć. Chcesz im wszystkim poucinać głowy?

— To jest miasto wybrane. To Nowe Jeruzalem, nie ma tu miejsca na tych, którzy się nie odrodzili. Mają jeszcze wybór, mogą się nawrócić. Ale przyszedł czas na ostatnie uderzenia dzwonów. Niech się pospieszą.

— A jeśli nie zrobią tego?

— Zostaną wymieceni razem ze wszystkim, co należy do starego porządku.

— No to przegnaj ich stąd. Pozwól im, żeby odeszli, żeby odszukali swojego pieprzonego biskupa albo przeklętych przyjaciół luteranów.

Na naszych oczach dokonuje się ostateczne rozliczenie. A więc zwyciężyliśmy. Ale gdzie jest ta niewysłowiona radość, witalny śmiech, pragnienie cielesnego zjednoczenia, splecenia ciał kobiet i mężczyzn w pełnym odprężenia uścisku i ciepłe Światła?

Nasze zadanie zostało wykonane: czas się skończył, wszechmocny Bóg zajmie się całą resztą. Apokalipsa i Objawienie spływają z góry, przyłapując nas na tragicznej, straszliwej pantomimie, której nie sposób się nie poddać, chyba że ktoś chciałby wyrzec się tego wszystkiego, o co walczył, i podważyć samą rację dalszej obecności w tym miejscu, jaką było wyzwanie rzucone światu.

Zwyciężyliśmy? Dlaczego czuję wciąż w ustach ten cierpki smak? Czemu unikam jak ognia spojrzeń braci?

„Aby posłużyło to za przestrożę, przestrożę dla wszystkich”.

Plugastwem wydają mi się złorzeczenia największych gorliwców. Okrucieństwem opluwanie i kopanie zwyciężonych. Nie są już wrogami mieszkańców Münsteru, nie oni dręczyli nas przez całe stulecia, ci tutaj to już nie mężczyźni, kobiety, dzieci, ale jakieś niekształtne, potworne, odpychające kreatury. Tylko ich zniknięcie może dać nam życie, potwierdzić Słowo Boże, które mówi o czekającym nas przeznaczeniu.

Czyżbym miał być wiecznym przegranym, który ponosi klęskę za każdym razem i w każdej bitwie?

Pobożny sutener z Lejdy kręci się wzdłuż tego szeregu, ledwo dotykając głów krótkim kijkiem. Los zdecydował o wybraniu małego chłopczyka, Jan podnosi oczy ku niebu.

— Dlaczego? Dlaczego ten niewinny? — Pada, płacząc, na kolana. — On nie zgrzeszył! Unosi się nad nim anioł światłości! — Bije się w piersi, woła coraz głośniejszą, szlochającą. — Dlaczego?

Chłopiec chowa buzię w matczynej spódnicy. Ona sięgnęła już dna rozpaczy, zgina kolana, obejmuje go, podnosi i przytula do piersi, cała we łzach. A potem zdecydowanym gestem odsuwa dziecko od siebie i od swojego losu.

— Uratuj go. Zatrzymaj go przy sobie.

Apostoł Matthijsa podnosi się, dotyka ręką brody i oznajmia, spoglądając w górę, w kierunku wyimaginowanego anioła:

— Ojciec oddziela ziarno od plew. — Opuszcza wzrok na chłopca. — Od dziś będziesz się nazywał Seariasúb, „pozostałość, która wraca”, ten, który nawracając się, unika kary. Chodź.

Bierze go za rękę, podczas gdy brama zaczyna już wsysać exodus potępionych.

Śnieżna zamieć przesłania mi widok. To najbardziej ponura ze wszystkich możliwych wróżb.

Karnawał się skończył.

Rozdział 33

Münster, 6 marca 1534 roku

Jest źle. Kowal Ruecher, przywiązany do wielkiego koła od wozu grubymi łańcuchami, które prawdopodobnie sam wykuł, otoczony jest czterema strażnikami, tak samo przypadkowymi jak wszystko, co dzieje się w tych dniach, i czeka.

Ludność, wraz z nowo przybyłymi, których liczba powiększa się każdego dnia, została wezwana do zgromadzenia się tu na godzinę drugą przez najwyższego proroka, który jest zagniewany, zawiedziony, ponury, rozbestwiony zachowaniem swoich świątobliwych poddanych.

Kowal Ruecher, ten nic nieznaczący zasraniec, śmiało wytoczył ciężkie oskarżenia pod adresem rezultatów trzydniowej medytacji, całkowitego oddania się Panu, nagrodzonego pełnym światła wstąpieniem Najwyższego w ziemską powłokę Wielkiego Matthijsa, medytacji, z której zrodziły się ważne decyzje.

Co to ma, kurwa, znaczyć, powiedział kowal, wyrażając głośno to, co wielu myślało, zgadzam się na wszystko, na likwidację wszelkiej własności, na całkowitą wspólnotę wszystkiego, czym dysponujemy, na bogactwo dla wszystkich i dla nikogo, to jasne, i my o tym myśleliśmy, nawet wcześniej, także i na ten najświętszy fundusz dla biedaków, na te nowe reguły, ale, kurwa, mianowanie siedmiu diakonów, żeby administrowali i kierowali rozdzielaniem wszystkich zapasów, rozsądzała wszelkie spory i potrzeby, spośród ludzi, między którymi nie ma nawet jednego, co by się urodził i żył w mieście Münster, nawet jednego, same Holendry, wszystko jego uczniowie, no więc, kurwa, jak to jest, powiedział kowal, myśmy ryzykowali życie, walcząc o te swobody, niewiele brakowało, a nasze głowy ozdobiłyby blanki miejskich murów, kurwa mać, a potem przyłazi taki, pewno, że to wielki prorok, z pewnością oświecony świętym

słowem, ale, kurwa, żeby sam jeden, ale wszystko to same Holendry, żeby choć tu był, jak braliśmy miasto, no więc, do kurwy nędzy, jak to jest, przyłazi taki na gotowe i zaczyna rozkazywać, rozkazuje i wyznacza swoich, żeby rozkazywali, no to jak słyszymy te rozkazy, to zaczynamy mieć go w dupie.

Zatrzymali go natychmiast.

Hubert Ruecher. Kowal i ślusarz. Urodzony w Münsterze. Baptysta. Bohater lutowych barykad. Hubert Ruecher. Bojownik wspólnej sprawy. Odlewał naboje. Walczył o uwolnienie Münsteru od tyranii biskupa.

Hubert Ruecher, zaciągnięty w łańcuchach na rynek, jak zdrajca, człowiek zhańbiony, który głośno wyrażał powątpiewanie i krytykował Matthijisa, twierdząc, że modlił się on przez trzy dni, żeby mianować diakonami swoich najwierniejszych przyjaciół. Zgoda na wspólnotę wszystkich dóbr, na umieszczanie ich w wielkich magazynach, po jednym na dzielnicę, a potem rozdawanie potrzebującym, ale dlaczego oddawać kierowanie tym wszystkim siedmiu Holendrom? Dlaczego? Czemu odsuwać od tego rodowitych mieszkańców Münsteru? Robisz głupstwo, Janie, niewybaczalne głupstwo. Może się boisz? Czego? Kogo? Wszyscy jesteście pobożni, sam to powiedziałeś, zostaliśmy wybrani, jesteście braćmi. Myślisz, że skupiając całą władzę w swoich rękach, zapobiegiesz pojawianiu się zwątpienia u tego czy owego? U kogoś, kto walczył, żeby uwolnić swoje miasto, i teraz, po wyborze tych siedmiu Holendrów może pomyśleć, że zrobił to niepotrzebnie, bo w dalszym ciągu nie jest gospodarzem we własnym domu i o niczym nie decyduje.

Ktoś taki jak Hubert Ruecher.

Donieśli ci o wszystkim... może rozpuściłeś już szpiegów po mieście? Posłałeś swoich siepaczy, żeby zatrzymali go siłą. A teraz czeka zakuty w łańcuchy, piniąc się z wściekłości, jako ostrzeżenie dla wszystkich. Oszalałeś, Janie, oni walczyli nie po to, żeby oglądać takie rzeczy.

Widzę cię, jak z imponującą godnością wstępujesz na podwyższenie, lodowate spojrzenie i broda w szpic ostrzejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Widzę cię, jak mówisz o braku wiary, wymachując tą twoją szuflą.

Widzę cię.

— Pan rozgniewał się, albowiem znalazł się ktoś, kto wyraził powątpiewanie o roli Jego proroka.

Ten człowiek walczył razem ze mną, słuchał moich rozkazów, a teraz wiem, że jest zły, że być może żałuje, że walczył, chciałbym napotkać jego spojrzenie, żeby to zrozumieć; ale może lepiej nie. Jest tam, wyprostowany, unieruchomiony przez łańcuchy, i czeka, aż Bóg powie prorokowi Janowi Matthijowski, jak ma się zachować.

— Czas się skończył. Wybór został dokonany. Ten, kto porzuca chorągiew Pana, okazuje, że zawsze był niezdecydowany, że siedł z innymi, nie otrzymawszy w istocie wewnętrznego powołania do świętych zastępów, jest więc wrogiem. A dziś sieje niepewność w świątobliwych szeregach, aby podminować nasze zwycięstwo. Ale ono jest nieuchronne, albowiem prowadzi nas Pan.

Jesteś szaleńcem, jesteś oszalałym piekarzem i draniem, szaleńcem jestem ja sam, ponieważ to ja dałem ci to wszystko.

— Jeżeli nie usuniemy natychmiast tego grzesznika spośród świątobliwego ludu, gniew Pana padnie na nas wszystkich.

Z mieczem w rękę krąży wokół Ruechera, jego fioletowa twarz sieje postrach.

Adwokacina von der Wieck i trzech wybitni münsterczycy zarzucają, że nikt nigdy nie został w Münsterze osądzony i stracony bez normalnego procesu, że potrzebni są świadkowie, adwokat...

Matthijs krąży, krąży, w milczeniu ważąc te słowa, krąży w dalszym ciągu, napięcie rośnie do niebotycznych wyżyn i osiąga go. Zatrzymuje się.

— Normalny proces. Świadkowie, adwokat. W takim razie róbcie, co trzeba.

Krzyżują się niezdecydowane spojrzenia, parę osób niepewnym krokiem podchodzi do podwyższenia.

Co ty wyprawiasz, Janie? Łapię się na tym, że moja ręka zaciska się na rękojeści pistoletu. Parę osób dalej stoi Gresbeck, patrzy na mnie, twarda, niewzruszona twarz, drga tylko blizna na jego brwi, jedyna oznaka zdenerwowania.

Uważaj, Jan, ci świadkowie nauczyli się walczyć.

— Jesteście dziś świadkami największego ze wszystkich wydażeń. Poświadczacie narodziny Nowego Jeruzalem: Münster już nie istnieje, w mieście Pana jedynym prawem jest Jego słowo. A on mówi i działa poprzez swojego proroka. Wy jesteście tego świadkami.

Klinga obraca się w górze i opada na szyję Ruechera, przecinając ją jednym uderzeniem.

Konsternacja.

Von der Wieck, spryskany strumieniem krwi, stoi załamany na środku placu, Knipperdolling i Kibbenbrock patrzą w ziemię, Rothmann porusza wargami w modlitwie, Gresbeck stoi bez ruchu.

Ciszę mrozącą krew w żyłach bardziej niż zimowy chłód mącą jedynie ciche inwokacje do Boga, kilka osób klęka.

Bockelson łapie na gorąco rozgrywającą się scenę.

— Jakże ogromna to łaska złożyć na ołtarzu krew, która oczyszcza świątobliwy lud z hańby zwątpienia! — Siega po arkebuz, podchodzi do von der Wiecka i przeciąga dłonią po jego policzku, żeby zebrać

krw Ruechera. Rozciera ją na swojej twarzy. — Tego bękartą, tego nieczystego robaką spotkał najwyższy zaszczyt. Dlaczego? Dlaczego właśnie jego?

Przytyka lufę do piersi trupa i strzela, zwilża ręce w ranie i szerokimi zamachami błogosławi tłum.

— Błogosławię was we krwi i w duchu, bracia moi najświętobliwsi!

Nikt się nie rusza.

Matthijs rozkłada szeroko ramiona, jakby chciał objąć ich wszystkich.

— Trzodo Pana, Ojciec udzielił nam dziś wielkiej lekcji. Odstłonił nieczystość, zgłębił do samego dna pragnienie przywilejów i posiadania, które jeszcze tliło się wśród nas, i oczyścił z tych grzechów. Był jeszcze ktoś, kto myślał, że duch może ukrywać się w przyziemnych mieszczańskich przywilejach. Nie. Nowe Jeruzalem jest dziś światłem dla całego świątobliwego ludu, który ciągnie tu zewsząd, aby dzielić z nami chwałę Najwyższego. My nie walczymy o przywileje dla nielicznych, ale o Królestwo Boże. I po prawdzie oto cudowne zwiastowanie: powiadam wam, że Wielkanoc w tym roku będzie pozdrowieniem dla nowego nieba i nowej ziemi i będzie początkiem królestwa świętych. Ojciec przybędzie i zamiecie każdą piędź ziemi poza tymi murami. W tym krótkim czasie, który jeszcze pozostaje, nie ja będę strzegł tej trzody przed pokusami starego świata. Ojciec mówi, że tak jest dobrze, że ten, kogo ludzie mianowali do wypełnienia tego zadania, wypełnia je także w Jego imieniu — podaje miecz Knipperdollingowi. — Nie wahaj się, bracie, taka jest wola Pana.

Zmieszany burmistrz bierze miecz z nieufną miną, a potem szuka pomocy w twarzy Matthijsa, który nie zostawia miejsca na żadne wątpliwości.

— Jesteśmy tylko Jego narzędziem.

Prorok intonuje psalm i wszyscy powoli ruszają za nim...

Oznajmił się Pan, gdy uczynił sąd;
w sprawie rąk swoich się złośnik usidlił.
Niepobożni odwrócą się do piekła,
wszystkie narody, które zapominają Boga.
Bo nie będzie na wieki zapomniany ubogi,
oczekiwanie nędznych nie zginie na wieki,
Powstańże, Panie! A niech narody osądzone będą przed tobą.

* * *

Walenie w drzwi. Nie ruszam się. Jestem zmęczony, siedzę po ciemku. Walenie znowu, suche, uporczywe.

— Otwórz, Gert. Otwórzże te pieprzone drzwi.
Znowu wali. Podnoszę się powoli. Nie odejdzie.
Otwieram.

Owinięty w szarą, podróżną pelerynę, stoi przede mną Redeker.
Opuszcza miasto.

Zagłębiam się w fotelu, z głową odrzuconą na bok. Tak jak przed chwilą, nim tu wszedł. Jak w ciągu ostatnich godzin. Co właściwie mam ci powiedzieć? Mózg nie odpowiada. Cichy szept bez przekonania.

— Nie myślałem, że tak się to skończy.

— Co myślałeś? Nie opowiadaj głupot, to wyście go sprowadzili.
Bełkoczę coś pod nosem. Wściekłość Redekera odbiera mi słowa.

— Uwierzyłem w waszego Boga, Gert, bo włąził na barykady i upijał się po gospodach, łupił kościoły i napędzał strachu rycerzom. Jeszcze w niego wierzę, jeżeli cię to interesuje. Nie wiesz przypadkiem, dokąd się udał, gdy sobie stąd poszedł?

Echo zdań, których mam pełną głowę od przybycia Jana z Haarlemu.

— Gert, ten Matthijs to kawał drania. Sędziowie, siepacze, kaci to najgorsi wrogowie biedaków, którzy razem z nami walczyli. Ten sukinsyn mówi o Bogu nędzarzy. Ale kim jest ten jego Bóg? Okazuje się znowu, że sędzią, siepaczem, katem.

Trzy godziny temu na rynku ścisnąłem w dłoni pistolet. Łykałem ślinę i łąpałem powietrze. Czekałem.

Ale to inni powinni byli czekać. Na mnie.

— Ten pieprzony szaleniec zniszczył wszystko. Zmroził mi krew.

— No to dlaczego nic nie robisz? Dlaczego nie załatwisz go, tego sukinsyna? Zrób to teraz, Gert, wsadź go sobie w dupę, chłopie ze studni! Pamiętaj, wy jesteście ludzie pobożni, ja jestem złodziejem. Wziąłem już moją część. Jak od ciebie wyjdę, wyniosę się z miasta.

Zaciskam pięść, paznokcie wpijają mi się w dłoń. Nie mam odpowiedzi.

Mdle światło pada na człowieka, który wygląda, jakby był nie z tego świata, mały, nerwowy rozbójnik; jedyne, co zwraca uwagę, to jego solidne, ale lekkie i zgrabne, ubłocone buty. Intuicyjnie wyczuwam wypukłości kryjące pistolety i małą, wypchaną sakiewkę, krótki, kędzierzawy, dziwaczny zarost na brodzie, rzadki, przystrzyżony równiutko w szpic, ostra, czarna klinga skierowana ku ziemi, cienkie wąsiki, zataczające łuk aż do podbródka, oryginalna geometria rysów Metysa, ostry typek, na którego lepiej się nie nатыkać w mroku niepewnych nocy tej krainy.

Rozdział 34

Münster, w godzinę później

Postarzał się. Siedzi na łóżku, ale ta jego mina ujmującego kaznodziei gdzieś znikła. Zapadnięta twarz, pokryta plamami od odmrożeń. Zgarbiony, porzuca na moment swoje myśli, spogląda na mnie pustym wzrokiem, znowu pochyla głowę.

— Co powinniśmy zrobić?

Bernhard Rothmann przeciąga dłońmi po twarzy i zamyka oczy.

— Nie możemy odrzucić wszystkiego. Sprawy nie rozwijają się tak, jak myśleliśmy, ale postępują naprzód.

— Co, co takiego się wydarzyło?

Westchnienie.

— Coś, czego nie było tu nigdy dotąd: skasowane podatki, wspólnota dóbr, wyzwolenie najbiedniejszych, ostatnich na tym świecie...

— Krew Ruechera.

Posępnieje, twarz znowu w dłoniach.

— Bernhard, on przekreślił naszą nadzieję. Nowe prawa nie przywróca nam jej. Przedtem Bóg walczył u naszego boku. A teraz znowu nas terroryzuje.

Rothmann spogląda w pustkę i mruczy cicho:

— Modłę się, bracie Gert, modłę się bardzo dużo...

Zostawiam go w tym strapieniu, które zgina mu plecy i każe szeptać błagalne prośby; one nie zostaną wysłuchane.

Oto co muszę zrobić.

* * *

Przedemną ukazuje się imponujący portal pałacu Wördemanna, wykładany aż po szczyt płytkami i zdobieniami z brązu, subtelnymi

rzeźbami w wiekowym drewnie. To tu, w domu najbogatszego człowieka w mieście, obrał sobie siedzibę prorok.

Tuż przy wejściu czterech uzbrojonych mężczyzn; nieznane twarze, ludzie z zewnątrz, prawdopodobnie Holendrzy.

— Muszę cię zrewidować, bracie.

Przypatruje mi się, być może mnie rozpoznaje, ale otrzymał takie rozkazy.

Rzucam mu surowe spojrzenie.

— Jestem kapitan Gert ze Studni, czego ode mnie chcesz?

Coś wyczuwa.

— Nie mogę wpuścić na górę nikogo bez przeszukania.

Drugi strażnik potakuje ruchem głowy, w rękę arkebuz, prostacka gęba.

Odpowiadam po holendersku:

— Wiesz, kim jestem.

Wzrusza ramionami z zakłopotaniem.

— Jan Matthijs powiedział mi, żeby nie wpuszczać nikogo z bronią. Co mam począć?

No to trudno, zostawiam pistolet i dagę. Spojrzenie wystarcza, aby go zniechęcić, nie ośmiela się mnie dotknąć.

Towarzyszy mi na schodach, oświetlając stopnie kagankiem.

Oto co muszę zrobić.

Schody zakręcają, u szczytu korytarz, wzrok przyciąga światło, które dochodzi z bocznego pokoju, drzwi są otwarte; siedzi, szcztokuje błyszczące jasne włosy, sięgające niemal podłogi. Robi to powtarzającymi ruchami od góry do dołu. Odwraca się; przerażająco piękna, niewinność w oczach.

— Idziemy, dalej. — Głos strażnika.

— To Divara. Nie wiedziałem, że ją tu sprowadził.

— I faktycznie nie ma jej tu. Nie widziałeś jej, tak będzie lepiej dla wszystkich.

Idzie przodem, prowadząc mnie aż do salonu. W ogromnym kominku pali się ogień, który oświetla całą komnatę.

Siedzi niedbale na okazałym krześle, ze wzrokiem utkwionym w ogień pożerającym polano. Holender zaprasza mnie ruchem ręki do środka, odwraca się na pięcie i znika.

Sami. Oto co muszę zrobić.

Moje kroki brzmią jak uderzenia dzwonu, posępnie, ciężko.

Zatrzymuję się i szukam jego twarzy, ale jego umysł przebywa gdzie indziej, cienie malują dziwne kształty na bladym obliczu.

— Czekałem na ciebie, bracie mój.

O ścianę kominka opierają się równym rzędem pogrzebaczce, niczym wojenne piki.

Masywny świecznik na długim stole z orzechowego drewna.

Nóż, którym kroił mięso podczas kolacji.

Moje ręce. Silne.

Oto co muszę zrobić.

Odwraca się trochę ku mnie, niezdecydowane spojrzenie, niegroźne.

— Nieustraszone serca uwielbiają środek nocy. To jest chwila, w której najtrudniej jest kłamać, wszyscy jesteśmy słabsi, bardziej bezbronni. A czerwień krwi znika wraz z wszystkimi innymi barwami.

Przekłada nogę przez poręcz krzesła i pozwala jej bujać się bezwładnie.

— Są ciężary, które niełatwo udźwignąć. Trudne wybory, których nie są w stanie pojąć proste umysły. Prosimy więc Boga, aby dał nam znak, aby dał nam do zrozumienia, że zgadza się na nasze nieszczęsne działania. O to go błągamy. Chcielibyśmy, żeby wziął nas za rękę i poprowadził przez tę ciemną noc, aż ukaże się światło nadchodzącego dnia. Chcemy wiedzieć, że nie jesteśmy sami, że nie popełniamy błędów, podnosząc nóż na Izaaka. Mamy nadzieję ujrzeć anioła, który powstrzyma to ostrze i upewni nas, że czynimy bożą sprawiedliwość. Naprawdę chcielibyśmy, ażeby została nam uświadomiona daremność naszych poczynań, że nasze gesty to tylko śmieszna pantomima, mająca na celu wyłącznie udowodnienie naszego poddania się woli Pana. Ale tak nie jest. Bóg nie wystawia nas na próbę, ażeby bawić się tymi nędznymi istotami, zrodzonymi z błota, aby sprawdzać ich pobożność... tak nie jest. Bóg czyni z nas swoich świadków, chce, żebyśmy poświęcali siebie, naszą śmiertelną pychę, która każe nam cieszyć się świadomością, że jesteśmy kochani, wysławiani, wynoszeni na proroków, na świętych. Na wodzów. Bóg sam nie wie, co ma zrobić z naszą dobrą wiarą. Z naszą dobrocią. I robi z nas morderców, sukinsynów pozbawionych wszelkich skrupułów, tak samo jak nawraca prawdziwych morderców i stręczycieli, aby służyli jego sprawie.

Głos Matthijisa to szept unoszący się aż do sufitu, sięgający czubków naszych wydłużonych cieni. To głos śmiertelnej choroby, gangreny toczącej ciało do głębi; jest coś lodowatego w tych słowach, w tym cieple, które wydaje się skrajnie wyczerpane, coś, co wywołuje dreszcze o parę kroków od ognia. Tak jakby wiedział, po co tu przyszedłem. Jakby jakieś lustro odbiło obraz tego, co kryje się we mnie.

— Czasami ciężar tego wyboru jest nie do udźwignięcia. Chce się wtedy umrzeć, zatkać sobie uszy i porzucić Boga. Albowiem królestwo, Gert, to królestwo, o jakim marzymy od tamtych holenderskich czasów, pamiętasz? To Królestwo Boże jest klejnotem, który możesz

zdobyć tylko wtedy, gdy ubrudzisz sobie ręce błotem, łajnem i krwią. I musisz zrobić to sam, nie oddawać tego innym, to by było zbyt łatwe; nie, ty sam. Musisz odegrać swoją rolę w tym planie. — Uśmiecha się krzywo do jakichś upiorów. — Kiedyś pewien człowiek uratował mi życie. Wskoczył ze studni i sam stanął przeciwko ludziom, którzy chcieli mojej skóry. Kiedy powierzałem temu człowiekowi misję, żeby przyszedł tu, do Münsteru, i przygotował miasto na nadejście królestwa, wiedziałem, że nie zawiedzie. Bo taka była jego rola w tym planie. Jak moja jest zasiadanie na tronie Pana aż do ustalonego wcześniej dnia.

Oto co muszę zrobić.

Pogrzebacz.

Świecznik.

Nóż.

— Jan, co to za dzień?

Odezwałem się, ale był to głos jakby kogoś innego, myśli same ułożyły się gdzieś tam w środku i wyszły bez potrzeby używania warg. To był głos mojej świadomości.

Nie, odwraca się do mnie bez wahania.

— Wielkanoc. To jest ten dzień. — Potakuje samemu sobie. — I aż do tego dnia, Gert, mój bracie, powierzam ci obronę tego naszego miasta przed zastępami ciemności, które gromadzą się tam, za murami. Zrób to jeszcze. Uchroń ten boży lud przed starym światem, który po raz ostatni podrywa się do walki.

Tak, dobrze wiesz, po co ja tu przyszedłem. Domyśliłeś się tego od razu, gdy tylko tu się zjawiłem.

Wpatrujemy się długo w siebie, przyrzekamy sobie oczami; Janie z Haarlemu, jesteś prorokiem, którego czas się kończy.

Rozdział 35

Münster, 16 marca 1534 roku

Przeprowadzamy inspekcję na przedpolu. Zataczamy koła, które stopniowo oddalają się od murów miasta. W siedmiu chłopą sprawdzamy siłę okrążających nas biskupich wojsk. Poruszamy się w milczeniu, rozrzuceni po terenie na odległość głosu albo sygnału świetlnego, korzystając często z osłony ciemności, po gołej i twardej jak skała grudzie, którą wybrukował Mistrz Mróz, a wygładził Majster Wiatr. Gdy tylko dostrzegamy linie najemników, objeżdżamy je skrycie, póki nie znajdziemy szerszego oczka w tej sieci.

Wyczekujemy cierpliwie, marznąc z zimna, przemykamy cicho, robimy ukradkowe wypadki, odbieramy sygnały ze wszystkich stron i nanosimy je na prowizoryczne mapki, żeby zaznaczyć wolne szlaki, przerwy między oddziałami, drogi ucieczki.

Już dwa razy omijaliśmy blokady von Waldecka, powtórzymy to jeszcze nieraz; zrozumieliśmy już, że jego siły są poszarpane, mało skuteczne, ociężałe.

Nie ma posłania, na którym mogliby się położyć odważni bracia Mayer, bohaterowie lutowych barykad; nie ma kubka, do którego ślusarz Adrianson mógłby wlać ziołowy napar obficie skropiony gorzałką; nie ma piwa dla najwyższego z braci Brundt, Pietera, prostodusznego zapaleńca, gorącego jak południe dnia.

Heinrich Gresbeck bez słowa opłakuje brak latarki przyświecającej podczas niekończących się nocnych lektur tego obojętnego na wszystko, dokładnego żołnierza, którego pragnienie wiedzy musiało się zrodzić w jakichś innych porach roku.

Jest za to Strzała, myśliwski sokół, którego mój młody, skupiony kuzyn Bart Boekbinder tresuje z ojcowską cierpliwością i zadziwiającymi wynikami.

Jeśli o mnie chodzi, to nie umiem powiedzieć nic jasnego o moim

stanie w tych dniach: umysł i ciało podążają oddzielnymi drogami, bez skakania sobie otwarcie do oczu, ale na odległość. Ze swej strony myśl, by tak rzec, oddziela się od samej siebie, nakładając kartki jedną na drugą, działanie na wspomnienie, refleksję na postanowienie, zamieniając mnie powoli w wielką cebulę, warstwa na warstwie, w której głęboko w środku dźwięczą rozdzierające i głuche jak z otchłani słowa Wielkiego Matthijisa, boskiego piekarza.

Spinamy konie zaraz za bramą Judefeldertor, po stronie północno-zachodniej, aby objechać nieprzyjacielskie pozycje.

Gresbeck jedzie obok mnie wraz z pięcioma najlepszymi ludźmi. Wybrał tych, którzy walczyli pod moimi rozkazami dziewiątego i dziesiątego lutego. Nowo przybyli Holendrzy nie budzą we mnie wielkiego zaufania; niektórzy noszą broń, to prawda, ale głównie są to kobiety i dzieci, które trzeba żywić w czasie tej ostrej zimy. Prawie nie zdają sobie sprawy, że jest jakiś von Waldeck, nie mają pojęcia, jak to wszystko się zaczęło, widzą tylko światło Jeruzalem pośród nocy. I żarliwość proroka.

Biskup zwerbował śmieszne wojsko, z tysiąc dobrze uzbrojonych, ale źle opłacanych ludzi, którzy mają mało powodów, aby narażać własną skórę; stracony wieprz w purpurze, po którym została pusta *cathedra*, jest już niczym. Mówią, że landgraf heski Filip przysłał mu dwie ogromne kolubryny o zwracających uwagę imionach „Diabeł” i „Jego Matka”, ale odmówił mu swoich oddziałów. Jestem przekonany, że von Waldeck stara się przekonać wszystkich okolicznych panów, żeby podali mu silną dłoń przeciwko anabaptyjskiej zarazie. Jak dotąd ograniczył się do usypania wałów zamykających drogi w kierunku Anmarsch i Telgte. Nie będąc głupcem, będzie starał się namówić wszystkich szlacheckich panów z terenów położonych między Holandią i naszym miastem, ażeby blokowali napływ heretyków z Holandii w kierunku Münsteru.

Galopujemy dopóty, dopóki nie zagłębiamy się w lasek koło Wassenberger, a potem jedziemy ścieżką, która łączy się z drogą na Telgte. Zeskakujemy cicho z koni i prowadzimy je aż do stawu, koło którego musi przejść każdy, kto przybywa z północy; zwierzęta mogą napić się tu wody, stary, porzucony domek daje schronienie od śniegu i deszczu.

Oddech w silnym mrozie topi oszronione brody. Kulimy się na wilgotnym mchu.

Doliczamy się około dwunastu ludzi, arkebuzy, rząd chorągwi, mała armatka.

— Żołdacy biskupa. — Blizna odcina się intensywniejszą niż zwykle bielą.

— Rozpoznasz te chorągwie?

Gresbeck wzrusza ramionami.

— Nie bardzo. Być może jedna należy do kapitana Kempla... Mówiłem ci, nie byłem tu od bardzo dawna.

— To są szakale, ludzie, którzy walczą za marne grosze. Mając to, co przejęliśmy od papistów i luteranów, moglibyśmy zaoferować im lepszy zarobek od tego, co im płaci von Waldeck.

— Hmm. To jest myśl. Ale lepiej zachować ostrożność, naszą siłą jest braterstwo.

— Można by wydrukować ulotki i rozrzucić je po wsiach.

— Münster nie może w nieskończoność przyjmować nowych ludzi.

— Rzeczywiście. Trzeba by nawiązać kontakty z braćmi w Holandii i w Niemczech. Münster mógłby posłużyć za przykład. Pokazaliśmy, że to da się zrobić. Więc czemu nie Amsterdam albo Emden...?

Wracamy do koni i podejmujemy jazdę, żeby dokończyć lustracji.

Postanawiam mu powiedzieć. Muszę mieć pewność, na kogo mogę liczyć.

— Wiesz, Heinrich, Matthijs to człowiek niebezpieczny. Może zaprzepaścić wszystko, co zrobiliśmy. Wystarczyłby mu na to jeden dzień.

Były najemnik rzuca mi dziwne spojrzenie, coś gryzie go w środku.

— Nie chcę, żeby tak się to skończyło — ciągnę. — Znałem Melchiora Hofmanna, on też podawał datę końca świata. Ale ten dzień minął, nie stało się nic i jego reputacja uleciała z wiatrem.

Jedziemy trochę z przodu, pozostali nie powinni słyszeć naszej rozmowy.

— Gert, to jest gość z jajami. Zlikwidował pieniądze, a ja, odkąd chodzę po świecie, nigdy nie myślałem, że coś takiego można w ogóle zrobić. A jemu dość było strzelić palcami, i już...

— I zmusić do milczenia każdego, kto by otworzył gębę.

— Gadaj jasno. Co myślisz zrobić?

Muszę mu powiedzieć.

— Wiesz, Heinrich, mam zamiar go powstrzymać. Nie chcę dopuścić, żeby zrobił z siebie nowego biskupa Münsteru albo utopił nas wszystkich w rzece krwi. Muszę to zrobić osobiście. Rothmann jest chory, Knipperdolling i Kibbenbrock nigdy nie podważyliby autorytetu proroka, zwyczajnie robią pod siebie.

Milkniemy obaj, znowu słychać tylko stukot kopyt i parskanie koni.

Odzywa się pierwszy:

— W dzień Wielkanocy nie wydarzy się absolutnie nic.

Być może to coś więcej niż zadatek na jakieś porozumienie.

— W tym właśnie kłopot. Nie wiadomo, co Matthijs zamierza zrobić tego dnia. To jest szaleniec, Heinrich, niebezpieczny szaleniec.

Trudno w to uwierzyć: trochę więcej niż miesiąc temu byliśmy władcami Münsteru... dziś rozmawiamy półgłosem, z dala od uszu innych, tak jakby jakakolwiek wątpliwość była śmiertelną zbrodnią.

— Wyznaczył termin, i aż do tego dnia zachowa absolutny autorytet. Możemy go przyłapać na oszustwie.

— Ośmieszyć w oczach wszystkich?

Przeżykam ślinę.

— Albo załatwić na dobre.

Wymawiając te słowa, czuję, jak krew stygnie mi w żyłach, jak gdyby mróz chciał ją chwycić w śmiertelne okowy.

Znowu kilka chwil w milczeniu. Czuję się tak, jakbym słyszał gorączkowe brzęczenie jego myśli.

Jedzie ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko, w głąb drogi.

— W mieście wybuchłaby wojna. Kochają go wszyscy przybysze. Być może za tobą poszliby rodowici münsterczycy, ale z każdym dniem proporcje przechylają się na ich niekorzyść.

— Masz rację. Ale nie można patrzeć z założonymi rękami, jak diabli biorą wszystko to, o co się walczyło.

Znowu szum jego myśli.

— Każdy, kto próbował mu się przeciwstawić, zostawił swoją krew na bruku.

Kiwam potakująco głową.

— Właśnie. Ale nie po to przecież używałeś swoich pistoletów przeciwko luteranom i ludziom biskupa.

* * *

Miasto wydaje się opuszczone. Cisza, nikogo na ulicach. Spoglądamy na siebie z niepokojem, jak ludzie, którzy wyczuwają w powietrzu nieuniknioną katastrofę; ale nikt nic nie mówi, zostawiamy konie i ruszamy razem na piechotę w stronę wielkiego placu przed katedrą, tak jakby jakiś magnes przyciągał nas w kierunku samego środka teatru wydarzeń. Przy każdym kroku rośnie poczucie nieznanego, ale wyraźnego, obecnego, wiszącego nad miastem zagrożenia, jak gdyby coś chciało je pochłonąć. Gdzie podziiali się mieszkańcy? Wszyscy jednocześnie przyspieszamy kroku.

Nad budynkami stojącymi wzdłuż ulicy prowadzącej na plac unosi się biaława chmura.

Plac pełen ludzi.

Rozgwar tłumu, który stoi, wpatrując się w urzeczeniu w centralny punkt, którym jest stos strzelający w górę językami ognia. Bezwstydnym ołtarz wzniesiony ku chwale zapomnienia, słowo Pana przepędza precz słowa wypowiedane przez ludzi, bucha triumfalnie w górę,

grzebie nasze spojrzenia pod nieprzeniknionym całunem; jego oddech unosi się nad naszymi głowami; jego nieubłagane oko odkrywa nas, tropi tam, gdzie nie znajdujemy już schronienia, w środku naszych myśli, w środku pragnienia, abyśmy mogli pewnego dnia stać się mądrzejsi. Chce zabić wszelką ciekawość, każdy błysk inteligencji.

Wznosi się powoli dym z ksiąg rzuconych na stos. Zbierają narecza tomów zrzucanych z wozów na bruk i ciskają je w płomienie; słup ognia sięga tak wysoko, że mógłby lizać niebo, wabiąc anioły dymem z Piotra Lombarda, Augustyna, Tacyta, Cezara, Arystotelesa...

Prorok stoi wyprostowany na podwyższeniu, ściska w rękę Biblię. Jestem pewien, że mnie widzi. Mamrocze słowa, które nie mogą przedrzeć się przez podniecone głosy ludzi ani trzaskanie ognia, ale te jego wąskie wargi mówią do mnie.

— Próżne słowa ludzi, nie ujrzyście dnia grzmotu. Tylko Słowo, i tylko ono, wyśpiewa wyrok Pana.

Stos rośnie i wypala się, podnosi i zamienia w popioły, dostrzegam egzemplarz Erazma, jakby na znak, że ten Bóg nie potrzebuje już naszego języka i nie zostawi nas w spokoju. Ogień pożera stary świat jak pergamin...

Koło mnie zsiniała twarz Gresbecka, surowa i twarda.

— Możesz na mnie liczyć.

Rozdział 36

Münster, Wielkanoc 1534 roku

Zlany zimnym potem budzę się gwałtownym wzdrygnięciem z niespokojnego snu, ociekający wilgocią, chociaż deszcz bijący wściekle o okiennice pada tylko na dworze, pulsując jakimś przedpotopowym strachem, z piersi dobywa się głucho, chrapliwe rżenie. Wyrzeszczam oczy w poczuciu zupełnej bezbronności.

Żółte błyskawice przecinają półmrok wczesnego ranka.
Dzień zmartwychwstania.

Pierwszy scenariusz: podczas zachodu słońca plac jest pełen, są tu wszyscy, czekają na słowo proroka. Matthijs wchodzi na podwyższenie, mówi do tłumu, wyjaśnia zdawkowo, dlaczego proroctwo nie sprawdziło się, przypisuje prawdopodobną przyczynę temu, że wybrani nie osiągnęli jeszcze wymaganej czystości. Podwyższenie przylega do południowej ściany katedry. Dwudziestu ludzi wchodzi wraz ze mną przez zachodni portal; wyskakujemy przez okno bocznej nawy, znajdujące się dokładnie za plecami proroka. Dalszych dzieśięciu czeka w pierwszych rzędach. Nie zostawiamy ochroniarzom czasu na jakąkolwiek reakcję. Gresbeck chwyta Matthijsa za ramiona i przykłada mu nóż do gardła. Kapitan Gert wyjaśnia, dlaczego Enoch musi umrzeć.

Scenariusz drugi: Enoch prowadzi święty lud do ostatecznego zwycięstwa. Pozwalam mu na to. Wojska zgromadzone przez von Waldecka mogą zostać rozgromione. Dwudziestu moich w kluczowych miejscach bitwy. Reszta ustawia się w czworobok wokół proroka i ma na oku jego osobistą ochronę. Należy wykorzystać odpowiedni moment bitewnego zamieszania. Pistolet kapitana Gerta kładzie Enocha trupem na polu.

Katedra otwiera swoją paszczę.

Szerokie schody o czterech wąskich stopniach, każdy na piędź, dźwigają dwie kolumny podtrzymujące łuk, który wyprzedza portal i wznosi się nad nim; łuk jest zaokrąglony u wierzchołka, na wewnętrznej krawędzi ma trzynaście małych kamiennych występów, przypominających zaokrąglone zęby. Dwa kroki dalej znowu cztery stopnie, węższe i wyższe, aż do dwójga drzwi. W środku coś przypominającego język, posązek podparty cienką kolumnką. Po obu stronach drugich schodów trzy wnęki, stopniowo zwężające się przejście. Z łuku warg i zębów wchodzi się do ciemnego gardła wśród wielkiego nagromadzenia figur, zwłaszcza na podniebieniu, przypominających potępieńców połkniętych przez potwora.

Nad wejściem ogromne oczy witrażu o delikatnych wzorach, obok którego widać dwa surowe okienka po obu stronach. Od góry zwieńcza to oblicze trójkątny fronton, z którego sterczą trzy pinakle jak rogi.

Fasada zamknięta jest z obu stron masywnymi, kanciastymi wieżami, tworzącymi dwa porządki wiszących łuków, z których pierwsze są pojedyncze, a drugie, podwójne, otwierają się na dwa rzędy powiększających się stopniowo biforiów. Z jednej i z drugiej strony wychodzą skrzydła poprzecznej nawy, niczym łapy zagłębione ciężko w ziemi.

Przemoczony do nitki pozwalam się połknąć.

Od sobotnich niesporów pod tymi imponującymi sklepieniami gromadzi się prawie połowa obecnej ludności Münsteru. Na kolanach, ze złożonymi rękami, czekają, śpiewając przyciszonymi głosami o tym, co prorok przewidział na ten dzień.

— Dziś sprawię, że wszystko zostanie starte z powierzchni ziemi, mówi Pan. Zgładzę ludzi i zwierzęta. Wyniszczę ptaki na niebie i ryby w morzu, obalę bezbożników. Zetrę człowieka z ziemi. Ten ostatni dzień jest jak potop. A nasze miasto jest arką zbudowaną z drewna pokuty i sprawiedliwości. Ona uniesie się na wodach ostatecznej zagłady. Bóg nie kazał Noemu obwieszczać światu tego, co miało się wydarzyć. A kiedy wody opadły, obiecał, że nigdy więcej nie uderzy żywych istot tak, jak tamtego dnia. Odtąd kiedykolwiek Pan zamierza siać zniszczenie, wybiera proroka, który ma wskazywać swoim bliźnim drogę nawrócenia. Jeremiasz przemawiał do króla Judy, Jonasz obszedł całą Niniwę, Ezechiel został posłany do Izraelitów, Amos przebył pustynię. Jeśli pošlę miecz przeciwko jakiemuś krajowi, a lud tej ziemi wybierze sobie strażnika, to on, widząc miecz nadciągający nad jego kraj, dmie w trąbę i daje ludowi

ostrzeżenie, ale jeśli ten lud, dobrze słysząc dźwięk trąby, nie przejmując się nim i nadciągający miecz zaskakuje go, to on sam ponosi winę za własną zagładę. Jeśli natomiast strażnik widzi nadciągający miecz i nie dmie w trąbę, a miecz zjawia się i uderza w kogoś, to nieszczęśnik ów zostaje ugodzony z powodu własnej niegodziwości; ale za jego śmierć wystawię rachunek strażnikowi. Nie cieszy mnie śmierć bezbożnika, mówi Pan i Bóg, ale chcę, żeby bezbożnik zaniechał swoich postępów i żył dalej. Gdyby Bóg chciał sądzić świat takim, jakim on jest, nie posługiwałby się prorokami. Gdyby Bóg chciał nawrócić ze złej drogi wszystkich bezbożników, natchnąłby ich swoim duchem, a nie posługiwał się prorokami. Jan Matthijs z Haarlemu został powołany do głoszenia słowa Pana wszędzie tam, gdzie tylko mógł dotrzeć jego głos. Poza tą granicą Pan powoła innych swoich proroków, pośród Turków, w Nowym Świecie, w Kataju. Za tymi murami, gdzie śmierć ostrzy swoją kosę, stoją ci, którzy nie z winy swego roztargnienia stali się głusi na dźwięk trąby. To najemnicy na żołdzie książąt, desperaci zmuszeni głodem do prowadzenia wojen w cudzym interesie, ludzie, którym opowiedziano jedynie kłamstwa na nasz temat. Ilu z nich weszłoby do tej arki, gdyby ktoś im wyjawiał, że tu nie ma już pieniędzy, wszelkie dobra stanowią wspólną własność, jedyną uczonością jest znajomość Biblii, a jedynym prawem — prawo boże? Jeśli prorok Nowego Jeruzalem nie przemówi do nich, aby nawrócić ich ze złej drogi, narzuconej jedynie nędzą, wtedy Pan tylko jemu wystawi rachunek za ich wyniszczenie. Jest miejsce i czas, w którym każda rzecz znajduje swój początek i swój koniec. I oto nasz czas się skończył. Pan przybywa i jego prorok zapada się w nicość. Bramy Królestwa stają otworem. On sam dopilnuje wykonania swoich rozkazów, jak napisano w Planie.

Knipperdolling niczego nie rozumie. Niedowierzającym spojrzeniem śledzi kroki Matthijsa zmierzającego do wyjścia. Próbuje dowiedzieć się czegoś od Rothmanna, ale nie otrzymuje odpowiedzi. Chore oblicze kaznodziei nie zdradza żadnych emocji, wargi drżą modlitwą. Być może dzięki znajomości Biblii i jej proroków będzie go stać na większą przenikliwość względem zachowania Matthijsa niż mnie i Gresbecka. Heinrich, przylepiony do kolumny, wygląda jak kamienny posąg. Z trudem udaje mu się wykręcić szyję na tyle, żeby poszukać swojego wzroku. Co robimy? Jan z Lejdy gorączkowo przerzuca stronicę Biblii, szukając odpowiedzi, na których mógłby oprzeć widowisko. Ktoś intonuje *Dies Irae*. Główną nawą sunie coś w rodzaju spontanicznej procesji.

Przepycham się do wyjścia, przygotowany na każdy z możliwych scenariuszy.

Jego zdecydowanym krokiem towarzyszy promień bladego słońca.

Prorok Münsteru wychodzi bramą Ludgeritor i zostawia miasto za swoimi plecami, eskortowany przez mniej więcej tuzin ludzi. Nikt inny nie mógł pójść za nim: każdemu przypada w Planie jego własna rola.

Tłoczmy się na murach.

Obóz księcia biskupa jest dobrze widoczny, położony blisko, trochę tylko zamglony oparami unoszącymi się nad wilgotną ziemią.

Widzimy, jak kroczy w kierunku wału usypanego przez najemników biskupa. Zamieszanie w ich szeregach, celują z arkebuzów.

Matthijs daje swoim ludziom znak, żeby się zatrzymali.

Matthijs rusza dalej samotnie.

Matthijs jest bezbronny.

Ośłupienie. Co on chce zrobić?

Wszyscy wstrzymują oddech.

Matthijs unosi ramiona do nieba, wysoko, czarne włosy zmierzwiłone przez deszcz.

Jest poza zasięgiem strzału, ale wystarczyłoby podbiec trochę, tylko kilkadziesiąt kroków.

Wszyscy milczą, tak jakby się spodziewali, że wiatr przyniesie jego słowa aż tutaj.

Tysiące oczu utkwionych w jednym punkcie. Ostatnia chwila.

Plan.

Posuwa się ciągle naprzód. Wdrapuje się na pierwszy niski wał umocnień.

Boże mój, on naprawdę chce to zrobić.

Tylko do Wielkanocy.

Prorok u kresu swojej drogi.

Zdaje się, że dochodzi jakiś odgłos, może echo wymówionego głośniejszego słowa.

Jakieś ruchy, bieganina za plecami proroka. Ktoś się wdrapuje, błyska klinga miecza. Wszystko zapada się po drugiej stronie wału.

Z obozowiska wyrusza oddział jeźdźców i puszcza się w kierunku drogi, żeby zablokować orszak Matthijsa. Jedna wielka gmatwanina ludzi i koni.

Oczy wszystkich zaciskają się, zmrożone przerażeniem, jak suche liście w lodzie.

Ani jednego krzyku, ani jednego oddechu.

Triumfalny wrzask ludzi biskupa.

Czyjaś ręka na ramieniu.

— Gert, chodźmy stąd.

— I co teraz? — pyta Gresbeck z ponurą miną.

— On naprawdę to zrobił...

Münsterzycy stoją jeszcze na murach, w oczekiwaniu, że coś się wydarzy, że to ciało się podniesie i otworzy niebo jakimś ognistym słowem.

— Gert, co robimy, do cholery?

Potrząsa mną. Usiłuję pozbyć się napięcia kretyńskim uśmiechem.

— Temu bękartowi udało się zrujnować wszystkie nasze plany...

— Ważne, że już go tu nie ma. Ale co dalej?

Wędrując w poszukiwaniu burmistrzów, przyglądamy się ludziom zapełniającym na nowo ulice. Opróżnione ze wszystkiego bierne widma, lunatycy nieodczuwający nawet strachu. Odebrano im Apokalipsę, nie ma już proroka. Po Bogu nigdzie ani śladu. Ale jest to naprawdę ostatnia Wielkanoc, z otwartymi grobami i duszami zmarłych, błąkającymi się w oczekiwaniu sądu. Ktoś widział, jak aniołowie unosili go do nieba, inny, jak diabeł ciągnął go do piekielnych czeluści. Tłoczą się na ulicach, na głównym rynku, nie mają już nawet ochoty na modlitwę, bo nie wiedzą, dla kogo albo dla czego warto by było to robić. Grupki rozmawiających półgłosem ludzi tworzą się wszędzie. Trzeba zapanować nad tą sytuacją, znaleźć Knipperdollinga i Kibbenbrocka, zanim przygnębienie zamieni się w paniczny strach.

Znajdujemy drugiego burmistrza, siedzi ze spuszczoną głową na schodach świątyni Świętego Lamberta.

— Gdzie jest Knipperdolling?

— Był ze mną na murach — odpowiada zmieszany — ale więcej go już nie widziałem.

— Jesteś pewien, że nie ma go w kościele?

Kręci głową.

— Nie przechodził tędy.

Idziemy żwawo na plac przed katedrą. Nie muszę spoglądać na Gresbecka, obaj mamy takie same, jak najgorsze przeczucia.

Krótko przed zapadnięciem zmroku makabryczne potwierdzenie.

Kosz z ciałem Jana z Haarlemu przerzucono z katapulty przez mury. Posiekane na małe kawałki.

Knipperdolling zachowuje się, jakby oszalał. Biega po odrętwiąłym mieście i wykrzykuje na całe gardło imię Jana Bockelsona, nowego Dawida.

Na przylegającym do katedry podwyższeniu odcina się niepotwarzalna sylwetka Szalonego Lejdejczyka.

Scena pierwsza: sen króla Dawida (*Knipperdolling w roli Matthijsa, Bockelson grający samego siebie*).

MATTHIJS: Tak, tak. Jesteś bękartem, nazywałeś się Jan z Lejdy. Syn ladacznicy. Bękart i syn ladacznicy, który po mnie poprowadzi zastępy Pana.

BOCKELSON: Nie, nie! Jestem obrzydliwym, śliskim robalem, niegodnym tego, niegodnym!

MATTHIJS: Mój apostołe noszący moje imię, wiesz, jak cię kocham. A moja miłość jest tylko odbiciem większej miłości, jaką obdarza cię Ojciec. Robakiem byłeś wczoraj, i niczym więcej. Ale ja wyciągnąłem cię z błota burdeli, żebyś walczył u mojego boku w Münsterze. Robak. Królewski robak, na którego czeka zadanie przejęcia mojego miecza i zaprowadzenia Królestwa Bożego. Za osiem dni prorok będzie musiał ustąpić miejsca Panu. I Pan wybierze ciebie, abyś był przewodnikiem Nowego Syjonu.

BOCKELSON (*powstrzymuje łzy, nie widzi nikogo lub może wszystko rysuje mu się jasno. Dużo bardziej jasno niż mnie i Gresbeckowi*): Podejź tu, Berndcie.

Intermezzo (*Knipperdolling w roli samego siebie podchodzi niezdarnie, z wielkim mieczem sprawiedliwości w rękę*).

KNIPPERDOLLING: To prawda. Osiem dni temu Jan z Lejdy powiedział mi, że odwiedził go we śnie Matthijs i kazał mu dokończyć dzieła urzeczywistnienia Planu.

Scena druga: urzeczywistnienie Planu (*Bockelson w roli Pana Boga i Dawida, Knipperdolling grający samego siebie*).

BÓG: Mężczyźni i kobiety Münsteru, popatrzcie na tego małego człowieczka. Popatrzcie na Dawida. Mężczyźni i kobiety Nowego Jeruzalem, Królestwo należy do was! Wygrywam, na Boga! Wszystko, co było obiecanie, urzeczywistniło się. Jesteście panami Królestwa. Biegnijcie na mury, żeby śmiać się w twarz waszym wrogom, pierdnijcie z radości w ich zwierzęce pyski! Są bezsilni, jak to pokazał Matthijs. On chciał wam powiedzieć, że ci bezbożni rzeźnicy mogą go pociąć na tak drobne kawałeczki, jak kulki z nosa, ale nawet nie zadrasną Planu! A ja mam w planie zwycięstwo! Zwycięstwo! Dajcie mi procę! Procę dla Dawida!

(Knipperdolling prędko podaje Bockelsonowi procę, taką, jakich używają chłopi, żeby odpędzać kruki od zebranego zboża).

DAWID: Mieszkańcy Nowego Jeruzalem, jestem człowiekiem, który przychodzi w imieniu Ojca: nowym Dawidem, bękarciem przyrodnim bratem Chrystusa, wybranym! Podziwiajcie Pana za to, że zechciał wybrać wariata, stręczyciela, żeby zrobić z niego Swojego apostoła, Swojego wodza. I ustami archanioła Matthijsa zwiastował mu, że jest ciężarny. Tak, ciężarny zadaniem dopełnienia Planu. Jan Matthijs nie umarł! Wielki Matthijs zapłodnił mnie Słowem Ojca i żyje we mnie, żyje w was wszystkich, albowiem jest nam przeznaczone iść do samego końca, jesteśmy mocą Boga, jesteśmy najlepsi, wybrani, święci, jesteśmy tymi, którzy odziedziczyli ziemię i mogą używać jej tak, jak tylko im się podoba. Nie ma już żadnych ograniczeń, świat się skończył, leży u naszych stóp. *(Wciąga powietrze, wodzi spojrzeniem swoich niebieskich oczu po tłumie, który tymczasem powiększył się i wypełnia cały plac).* Bracia i siostry, raj należy do nas!

KNIPPERDOLLING *(u jego boku)*: Niech żyje Syjon!

Odpowiedź jest ciosem, który zwala z nóg, oszołamia, ogłusza, ogłupia, jest wiadrem zimnej wody, która wprawia mnie w osłupienie. To „Niech żyje!” wykrzywane przez tysiące gardel unicestwienia rozpacz i zniechęcenie, świadomość, że szło się za szaleńcem, który teraz leży w koszyku, posiekany na kawałki. A więc lepiej jest wierzyć do głębi, lepiej śnić, niż myśleć, że brało się udział w zbiorowym szaleństwie. Czytam to w ich oczach, w wyrazie tych głęboko wstrząśniętych twarzy: lepiej mieć sutenera i kuglarza, tak, tak, syna Matthijsa, godzimy się na niego, byle tylko oddał nam Apokalipsę, ożywił na nowo wiarę. Przywrócił nam Boga.

Chwieję się jak człowiek, któremu odebrało mowę, widzę, jak las rąk dźwiga Bockelsona w górę i obnosi go triumfalnie po całym placu. A on śmieje się i posyła wszystkim całusy, zmysłowe, prowokujące, może ma jednego i dla towarzysza, który nieraz wyciągał go z kłopotów i przyprowadził aż tutaj. Albo może Świątobliwy Sutener nie zaprzęta już sobie głowy tym wszystkim. Nie wyjdzie już z tej roli, najlepszej, jaką odegrał w całym swoim życiu. Janie, w końcu udało ci się dopasować świat do twojego repertuaru, jak rękawiczkę do dłoni. Albo przeciwnie, to twoi bohaterowie znaleźli dla siebie scenę w sercach tych ludzi i w wydarzeniach świata. Jesteś teraz Mojżeszem, Janem, Eliaszem, kim tylko chcesz. Jesteś nim na zawsze; nie

masz najmniejszego zamiaru wycofać się z tego. Świadczy o tym twój uśmiech oraz fakt, że nie miałbyś najmniejszego powodu, żeby się cofać.

Wielki finał: *Miasto zalewa tłum i niesie nowego proroka Münsteru do bramy Aegiditor; żeby ludzie biskupa zobaczyli, że morale ludu Syjonu jest wysokie i że ma on nowego przywódcę. Ale oto triumfalny nastrój zakłóca krzyk wstrętu i przerażenia. Kobiety, które wybiegły za bramę, wskazują jedno z jej dwóch wielkich skrzydeł.*

Wbita w drewniane bale strzała przytrzymuje coś przypominającego zakrwawiony woreczek. Makabryczny żart ludzi biskupa: musieli wykorzystać nieobecność wartowników i podeszli do murów, a potem uciekli.

Tłum rozsuwa się na boki, Jan z Lejdy podchodzi, wyciąga strzałę i bez zmrużenia powiek bierze do ręki moszną Jana Matthijisa, ściska ją w dłoni i kiwa potakująco głową swoim aniołom stróżom. Przemawia głośno i unosi w górę jaja proroka, żeby były dobrze widoczne, żeby wszyscy mogli je zobaczyć.

BOCKELSON: Tak. Jakkolwiek porzuciłem prawowitą żonę w Lejdzie, żeby iść za Janem Matthijsem, on powiedział mi, że powinienem zostać mężem jego kobiety. Będę musiał ożenić się z wdową po proroku i zastąpić jego jaja moimi. (*Chowa do kieszeni zakrwawiony woreczek i dodaje*): Przeprowadźcie Divare! Kobietę przeznaczoną mi na żonę.

Oklaski.

Kurtyna.

Rozdział 37

Münster, poniedziałek wielkanocny 1534 roku

— Nie nazywaj mnie wariatem!

Pięść dosięga mojej kości policzkowej, padam na ziemię.

Twarz Jana to zaczerwieniona maska, buchająca wściekłością, w obramowaniu jasnych włosów.

Niepewnie przysiadam na stołku.

— No, teraz to już naprawdę udowodniłeś, że jesteś godnym pożałowania błaznem.

Wstrzymuje oddech, robi parę kroków, rozcierając sobie nadwężone knykcie, pochyla głowę, kołysze się. Wybuch gniewu w jednej chwili przechodzi w desperację.

— Pomóż mi, Gert, nie wiem, co robić.

Spoglądam na niego zmęczonymi oczami: mały, nędzny, popłakujący krawiec.

— Pomóż mi. Jestem zwykłym robakiem, pomóż mi, powiedz mi, co mam robić. Bo ja naprawdę nie wiem, Gert...

Siada na wytwornym krześle Matthijisa, z oczami wbitymi w podłogę.

— Zrobiłeś już wystarczająco dużo.

Kiwa potakująco głową.

— Jestem głupek, tak, pieprzony głupek. Ale oni chcieli mieć jakąś nadzieję, sam widziałeś, chcieli, żebym im powiedział to, co powiedziałem. Chcieli mnie właśnie takim, no i zrobiłem to, sprawiłem, że poczuli się znowu szczęśliwi, odzyskali siły.

Siedzę cicho, obojętny na wszystko, pulsuje mi w głowie, jeszcze ten obolały policzek, zamieszanie ostatnich godzin.

Zdaje się wracać trochę do siebie.

— Wczoraj czuli się zagubieni, dziś byliby gotowi gołymi rękami skrócić kark temu von Waldeckowi! — Szuka mojego spojrzenia. —

Ja nie jestem Matthijsem. Możemy zacząć od nowa, możemy ruchać do woli, no nie? Możemy ucztować, robić wszystko, co się nam podoba. Jesteśmy wolni, Gert, i mamy świat w garści.

Nie mam ochoty na rozmowę, to nie ma sensu, ale słowa same wychodzą z ust, za mnie i za mojego przyrodniego brata szaleńca, z którym sypiałem po śmierdzących stajniach, za nowego proroka Münsteru.

— Janie, jaki świat? Von Waldeck nie jest idiotą, moi nigdy nimi nie są. Można pomaga innemu możnemu, książę wspiera księcia, papiści, luteranie... wyznanie nie ma żadnego znaczenia. Kiedy buntują się ci, co są na dole, tamci jednoczą się natychmiast, i od razu masz na karku ich rycerzy w błyszczących zbrojach, gotowych do ataku. Taki jest świat tam, za murami. Zapewniam cię, że on się nie zmienił tylko dlatego, że podarowałeś miejscowym ludziom piękny sen o Syjonie.

Popłakuje jak dzieciak, palce zagłębione w jasnych lokach.

— Ty sam mi powiedz. Ty wiesz, co trzeba zrobić. Uczynię, co mi każesz, ale nie zostawiaj mnie, Gert...

Podnoszę się oszołomiony.

— Mylisz się. Ja też tego nie wiem. Teraz już naprawdę nie wiem.

Docieram do drzwi wśród jego pojękiwań.

Ona jest za tymi drzwiami. Słyszała wszystko.

Jej włosy są tak jasne i lśniące, jakby były z platyny.

Luźna, rozpięta szata, pozwalająca dojrzeć zarysy doskonale pięknego ciała. Niewinność dziecka na obliczu, jasnowłosa królowna, córka piwowara z Haarlemu.

Lekkim dotykiem unosi moją rękę i wsuwa mi w dłoń mały sztylecik.

— Zabij go — szepcze niedosłyszalnym niemal, obojętnym głosem, jakby chodziło o pająka na ścianie albo o starego umierającego psa, którego czas już wysłać na wieczny odpoczynek.

Szlafrok rozpięty na nabrzmiałych piersiach odsłania nagrodę. Przenikliwy błękit jej oczu budzi przerażenie tnące aż do trzewi, stawia włosy dęba, pobudza serce do galopu. Przed oczami mam stos trupów; to wizja tego, co może się zdarzyć, otchłań otwarta przez piętnastoletnią dziewczynkę. Muszę się złapać poręczy schodów, staczając się w dół, byle dalej od tej Wenus, Rozdawczyni Śmierci.

* * *

Münster, 22 kwietnia 1534 roku

Totalne odrętwienie. Członków, umysłu. Nie rozpoznaję nikogo, to nie ci sami ludzie, którzy w ciągu jednej nocy zwyciężyli zwolenników biskupa i luteranów. Moi podwładni, oni tak, poszliby za mną

do piekła, ale nie będę mógł ich zabrać ze sobą: ktoś musi przecież tu zostać, żeby kontrolować Kuglarza, Jasnowłosą Królową i ich Królestwo Cudów.

Sam. Wyjechać stąd natychmiast, poszukać drogi wyjścia z tego rynsztoka, zanim będzie za późno.

Wypadki tych dni napelniają strachem. Mimo to morale sięga gwiazd. W trakcie wypadu za mury przyłapałem niewielki oddział jeźdźców, którzy próbowali zaatakować bramę Judefeldtor, i teraz układamy się co do wymiany jeńców. Ludziom biskupa przeszła chętka do podchodzenia pod mury, poza zasięgiem strzału z arkebuzą, żeby pokazywać naszym gołe tyłki i wrzeszczeć: „Rzuć mi go, ojczulku, požądam twojego ptaszka!”, do czego przyzwyczaili się podczas wieczornych hulanki i popijaw. Wystarczyło dobrze wycełować z armatki i trafić jednego z nich w dupsko, co zamieniło go w parę ochłapów dla psów.

Przez cały tydzień wszyscy ludzie z bastionów szczeni i załatwiali się do beczki, którą potem puszczone po pochyłości i stoczyła się do obozowiska biskupa. Kiedy ją otworzyli, fetor doszedł aż tutaj.

Razem z Gresbeckiem zorganizowałem dla wszystkich ćwiczenia w strzelaniu, także dla chłopców i kobiet. Uczyliśmy dziewczyny gotować smołę i sypać niegaszone wapno na głowy oblegającym. Podzielono dyżury straży na murach między wszystkich mieszkańców obu płci w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat.

Na każdym bastionie kazałem umieścić dzwon i uderzać w niego w razie pożaru, żeby było wiadomo, dokąd trzeba spieszyć z wodą.

Odkryliśmy, że Matthijs zinwentaryzował dobra przejęte od luteranów i papistów, a także zapasy żywnościowe miasta. Zapisał wszystko, do ostatniej kury i ostatniego jajka. Można stawiać opór co najmniej przez rok. A co potem? A raczej: a co tymczasem?

To nie wystarczy, nie może wystarczyć. Przechwałki Proroka Kuglarza nie prowadzą donikąd.

Niderlandy, nasi bracia. Opowiedzieć im, co się dzieje w Münsterze, zorganizować ich, wybrać, może nawet przeszkolić do walki. Rozejrzeć się za pieniędzmi, za amunicją.

Sam nie wiem. Nie mam pojęcia, czy właśnie to trzeba zrobić, nigdy nie byłem pewien, czy wybierając inną drogę, robiłem dobrze. Ma się tylko wrażenie, że nie można już tego ciągnąć, że mury i ściany zaczynają człowieka ograniczać i umysł potrzebuje świeżego powietrza, a ciało chciałoby poczuć pod nogami umykające mile.

Tak. Kapitan Gert ze Studni może jeszcze zrobić coś dla tego miasta.

Nie dopuścić, żeby zostało jedynie na łasce szalonych proroków.

Münster, 30 kwietnia 1534 roku

Zabrałem lekki bagaż. W starym skórzanym worku mam suchary, ser i suszone śledzie, które wystarczą mi na parę dni, mapę okolic położonych między miastem i Niderlandami, róg pełen prochu, który nie powinien się zamoczyć, dwa pistolety (do ich zabrania namawiał mnie usilnie Gresbeck) i trzy stare, wyblakłe i zaplamione listy, które zdradziły Thomasa Müntzera. Te ostatnie to nieodłączne skarby, jedyna namacalna pamiątka po tym, co umarło i zostało pogrzebane pod ruinami chybionej apokalipsy.

— Jesteś pewien, że chcesz jechać?

Szorstki głos byłego najemnika dochodzi od drzwi. Nie brzmi tak, jakby pytający miał jakieś zastrzeżenia, ale jest w nim żal, że nie zabieram go ze sobą.

— Żle obliczyliśmy wszystko, Heinrich.

— Masz na myśli Matthijisa?

— Mam na myśli tych ludzi. — Ukradkowe spojrzenie, gdy dociągam ostatnie rzemyki. — Chcą wierzyć, że są niemal ludźmi świętymi. Chcą, żeby ktoś im opowiadał, że wszystko idzie gładko, a Münster jest Nowym Syjonem i nie ma się czego obawiać. — Sprawdzam ciężar worka, idealny. — Natomiast powinni robić ze strachu w portki. Rzuciłeś okiem za mury? Von Waldeck coś buduje, jestem pewien, że widziałem, jak ścinali drzewa od strony północno-wschodniej. Wiesz, co to oznacza? Machiny oblężnicze, Heinrich, oni szykują się do szturm. Mają zamiar przyblokować nas tu, najdłużej jak się da, przynajmniej do czasu, gdy ostatnie przechwałki ostatniego proroka namaszczonego przez Pana Boga nie zrobią z nas kompletnych idiotów. Barki, które przewoziły naszych współbraci baptystów z Holandii, zostały przechwycone na rzece Ems. Była na nich broń i żywność. Zamykają granice i drogi. To są wyraźne znaki, ale nikt ich nie zauważa. Dobrze to pomyśleli.

Gresbeck spogląda na mnie krzywo.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że to oznacza długie oblężenie. Chcą nas zamknąć tu w środku, zacisnąć pierścień wokół miasta i czekać. Głód, następna zima, wewnętrzne bunty, czy ja wiem co jeszcze. Czas gra na ich korzyść. Gdybym był von Waldeckiem, zrobiłbym dokładnie tak: wycelowalbym armaty i założył ręce.

Zarzucam worek na ramię. Adrianson powinien już osiodłać konia na dole. Mógłbym niemal powiedzieć, że jestem w pogodnym nastroju.

— Potrzebne są nowe kontakty z holenderskimi braćmi. Potrzebne są pieniądze, żeby przekupić najemników von Waldecka i zwrócić ich przeciwko niemu. Trzeba znaleźć pewne przejścia, którymi można by pokonać blokadę. A przede wszystkim trzeba się zorientować, czy ktoś tam przemyśliwa, żeby chwycić za broń i iść naszym śladem, czy też jest tylko pustynia, jak mówił Matthijs. Trzeba się spieszyć, każdy mijający dzień to prezent dla tych sępów tam, za murami.

— A jak poradzić sobie z Bockelsonem?

Chce mi się śmiać. Schodzimy po schodach; klacze są już gotowe do drogi, ślusarz dopina popręgów przy moim siodle.

— Jeżeli to oni go wybrali, to co możemy zrobić?

Wskakuję na siodło i ściągam cugle, żeby pohamować ogniste zwierzę.

— Jan to człowiek słaby, do tego drań. Dlatego nie zabieram cię ze sobą. Chciałbym, żebyś miał go na oku, tylko ty możesz to zrobić. Z Knipperdollinga i Kibbenbrocka zrobiły się dwa ramole, Rothmann jest chory. Wybierz dobrych ludzi, na których można liczyć, i trzymaj w należytych stanie umocnienia obronne. A przede wszystkim pamiętaj, że von Waldeck będzie chciał wykorzystać każdą szczelinę, każdą nieuwagę. Odpowiadaj ciosem na każdy cios, zarzuć jego najemników ulotkami, czasami warte są więcej od armat. Niedługo wrócę.

Silny uścisk dłoni, znowu trzeba wziąć los we własne ręce. Gresbeck nie okazuje żadnych emocji, to nie ten typ człowieka. Ja też ich już nie zdradzam, odkrywam to właśnie teraz.

— Szczęśliwej drogi, kapitanie. I żebyś miał zawsze dobry pistolet za pasem.

— Do zobaczenia, przyjacielu.

Adrianson jedzie przodem. Poganiam konia, waląc go piętami po bokach. Nie patrzę na domy ani na ludzi, nie wiadomo kiedy jestem w bramie Unserfrauentor, potem za murami, a potem o dziesięć mil dalej, na gościńcu do Arnhem.

Znowu żyję.

Rozdział 38

*Wybrzeże holenderskie w pobliżu Rotterdamu,
20 lipca 1534 roku*

Na niskich wydmach kołyszą się na wietrze kępki traw, przypominające bródki jakichś olbrzymów. Mały szałas osłaniający łodzie rybaków zdaje się stać za sprawą cudu, cały zżarty przez sól i burze. Niedługo wzejdzie słońce, noc już się skończyła, ale jeszcze nie nastął dzień, w różowawej poświacie spokojnie szybują mewy rywalizujące o martwe ryby, które wypłynęły z zastawionych na noc sieci. Fale toczą się powoli, czas odpływu, delikatna mgła skrywa granice plaży od południa i od północy. Nikogo.

Małe owady biegają po pniu, który przyplął tu nie wiadomo skąd. Dłonie ściskają wilgotną korę. Przewodnik, którego wskazali mi bracia z Rotterdamu, powiedział, że to tutaj. Nie chciał czekać; van Braght nie jest typem, z którym można się spotykać bez żadnych obaw.

Trzy wydłużone cienie na piasku, na południowym krańcu. Są.

Ręce przesuwają się po pistoletach skrzyżowanych pod peleryną, która chroni mnie od wiatrów Morza Północnego.

Zbliżają się powoli, idąc obok siebie.

Ponure twarze bez wyrazu, szczeciniaste brody, zmięte kubraki i miecze przewieszane przez ramię.

Nie ruszam się.

Podchodzą na odległość głosu.

— To ty jesteś ten Niemiec?

Czekam, aż podejną jeszcze bliżej.

— Który z was jest van Braght?

Wysoki, korpulentny, twarz zniszczona przez morze i słońce, przybrzeżny korsarz, chępiący się, że napadł na dwadzieścia hiszpańskich statków.

— Ja. Przyniosłeś pieniądze?

Potrząsam sakiewką u pasa.

— Gdzie jest proch?

Kiwa potakująco głową.

— Przywieźli go wczoraj w nocy. Dziesięć baryłek, zgadza się?

— Gdzie on jest?

Wpatrują się we mnie trzy pary oczu. Van Braght robi ledwo dostrzegalny ruch głową.

— Ludzie cesarza kręcą się po wybrzeżu, niebezpiecznie było zostawiać je tutaj. Są na starej grobli, pół mili stąd.

— Idziemy.

Ruszamy, zostawiając za sobą cztery równoległe ślady butów.

— Jesteś Gerrit, jeden z Boekbinderów, nieprawda? Ten, którego nazywają ze Studni?

W pytaniu nie ma ciekawości ani cienia afektacji.

— Jestem tym, który kupuje.

Grobla to wał z palisadą z nadgniłych pali, morze przedziurawiło ją, tworząc wąski kanał, który wcina się w ląd. Na szczycie przycupnął niski domek stróża.

Baryłki przykryte są zniszczonym żaglem, po którym spacerują morskie jerzyki. Kiedy go podnoszę, chmara much unosi się ze śmierdzących ryb w skrzynkach. Pod nimi ustawione rzędem baryłki. Jeden z trójki daje mi znak, żebym wybrał. Wskazuję którąś ze stojących w środku; odbija pokrywę i odsuwa się na bok.

Pirat próbuje mnie uspokoić.

— Pochodzi z Anglii. Smród tych ryb trzyma z daleka strażę.

Zagłębiam dłoń w czarnym proszku.

— Suchuteńki, możesz być pewien.

— Jak je stąd zabiorę?

Wskazujący palec wyciąga się poza pas wydm, gdzie dostrzegam głowę konia i wysokie koła wozu.

— Pojedziesz dalej sam.

Odwiązuję od pasa sakiewkę i rzucam mu.

— Niech twoi ludzie zaczną je ładować, jak będziesz liczył.

Wystarcza mu lekki ruch głową i dwaj pozostali niechętnie podnoszą pierwsze baryłki i zaczynają ciągnąć je niezdarnie w kierunku dróżki.

Mewa wydaje ostry krzyk nad naszymi głowami.

Pod kadłubem starej łodzi pełzną kraby.

Słońce zaczyna łagodzić poranną bryzę.

Zupełny spokój.

Van Bragh kończy liczenie.

— Wystarczy, przyjacielu.

Ujmuję mocno dwie rękojeści.

— Nieprawda. Jest tam mniej niż połowa tego, co było ustalone. — Krótkie niezdecydowanie, nie wolno pozwolić mu na to, żeby dostrzegł pistolety pod moim płaszczem. — Głowa Gerta ze Studni warta jest dziesięć razy tyle.

Nie zostawiam mu czasu na najmniejszy ruch, pałę prosto w twarz.

Wracają biegiem z odpiętymi mieczami. Dwóch na jednego, podsypuję prochu do panewki pistoletu, z którego dopiero co wystrzeliłem, wsuwam gruby śrutowy nabój, jeszcze trochę prochu, szybciej, przybijam, odciągam kurek, są o parę kroków, naprężone ramiona, biorę oddech, bez drżenia, celuję w poruszające się członki: dwa strzały, prawie jednocześnie, pierwszy osuwa się u moich stóp, drugi pada, jego pistolet strzela, może już nie żyję, ale mój duch wyciąga krótką dagę i wbija mu ją w gardło.

Charkot.

Cisza.

Stoję bez ruchu. Patrzę na mewy, które wracają, żeby usiąść na plaży.

Sam muszę załadować te cholerne baryłki.

* * *

Rotterdam, 21 lipca 1534 roku

— Razem z tymi, to daje pięćdziesiąt sztuk.

Adrianson kończy układanie i zabezpieczanie broni, potem wręcza mi spis ładunku.

— Pięćdziesiąt arkebuzów, dziesięć baryłek prochu strzelniczego, osiem sztab ołowiu. I dziesięć tysięcy florenów.

— Potrzebne będą dwa wozy. Reynard dał ci glejty na drogę?

— Mam je tu. Mówi, że praktycznie biorąc, są prawdziwe: pieczęć jest taka sama, jakiej używają w Hadze.

— Przydadzą się aż do granicy. Potem będziemy musieli pomyśleć o czymś innym. Wyruszamy jak najprędzej. Musimy jeszcze zatrzymać się w Nimedze i w Emmerich, nie wiem, ile tam postoiemy. To będzie długa podróż, będziemy musieli unikać bardziej uczęszczanych gościńców.

Ślusarz podaje mi skręta z suszonego tytoniu z zachodnich Indii, mówi, że nauczył się palić od holenderskich kupców. Hiszpanie nazywają je *sigari*, mają zapach innego świata, szałasów, skóry i zielonego pieprzu. Dym jest aromatyczny i zostawia przyjemny smak w ustach.

Rzucamy się na posłania, których użyczył nam brat Magnus,

kaznodzieja wspólnoty baptystów z Rotterdamu. Jego kuchnia jest skromna, ale oddanie sprawie każe wybaczyć mu, że nie wyprawia biesiad na naszą cześć.

Puszczamy dym, którego kłęby spowijają nas w zamyśleniu, a potem zawisają w izbie urządzonej na strychu domu.

Tutejsi bracia są spokojnymi ludźmi. Podziwiają Münster i chcieliby nas ozłocić. Ale nie naraziliby się miejscowym władzom jakimś buntem; zadowolają się sekretnym praktykowaniem swojej wiary w czasie nocnych spotkań, we wspólnym czytaniu. Nie napotkałem wojowniczego ducha, jakiego szukałem; są natomiast niezwykle hojni i okazują nam wiele szacunku.

Trudno ich za to ganić, w wielkich kupieckich miastach sprawy nie idą tak, jak w naszym niemieckim mieście-państwie. Tu dochodzą jeszcze Hiszpanie, mają na karku cesarza.

Odkryłem jednak, że istnieje stronnictwo niezadowolonych, niewielka liczba wicherzycielskich braci, którzy chcieliby iść za naszym przykładem. Nieliczni i niedoświadczeni, bez prawdziwego przywódcy. Obbe Philips wyparł się swojej przeszłości ucznia Matthijasa i udaje, że zawsze był zwolennikiem umiarkowanej, dzisiejszej drogi. Jest jeszcze młody David Jorris z Delft, błyskotliwy mówca, którego nasz gospodarz chwalił jako obiecującego przywódcę. Wydaje się, że przyszłe losy ruchu będą zależeć w dużej mierze od niego. Jego matka była jedną z pierwszych męczennic baptyzmu, ścięto ją w Hadze, gdy David był jeszcze mały. Jest poszukiwany w całej Holandii jako najbardziej niebezpieczny przestępca i dlatego trudno go spotkać. Nie ma stałego miejsca zamieszkania, ciągle krąży, przychodzi i odchodzi, i nawet wobec współbraci używa często fałszywych imion ze strachu przed szpiegami, jacy mogli się wśliznąć między nich. Wydaje się, że nie gardzi łupieniem kościołów, ale i on, podobnie jak Philips, twardo odrzuca zabijanie.

W gruncie rzeczy sytuacja nie jest tu unormowana, ale to nie oznacza, że wszystkie problemy nie dałyby się rozwiązać w miłych pogaduszkach, gdyby tylko było na nie wystarczająco wiele czasu.

A my już jutro będziemy znowu w drodze z naszym cennym ładunkiem, który trzeba będzie przeprowadzić przez blokady i uchronić przed niedyskretnymi oczami. Jeszcze odwiedziny w dwóch wspólnotach. Za miesiąc będziemy z powrotem w Münsterze.

— Dobranoc, Peter.

— Dobranoc, kapitanie.

Rozdział 39

Münster, 1 września 1534 roku

Posępny cień wyłania się zza wzgórza. Zimny wiatr zacina deszczem w twarz, zmuszając do zamykania oczu: rozróżniam ciemną plamę na równinie, wały wzdłuż rzeki Aa, linię murów, latarnie wartowników, jedyne gwiazdy w tej ponurej nocy.

Pobudzam wyczerpane, osłabione konie do ostatniego wysiłku. Tuż za mną jedzie Adrianson na drugim wozie; udało się. Koła grzęzną w błocie rozmokłej drogi, posuwamy się powoli, ale wciąż bliżej celu. Trochę bardziej ku północy dostrzegam ciemną linię umocnień. Nasypy von Waldecka zamieniły się w nieprzebytą barierę, która zamyka dostęp do miasta i drogi ucieczki.

— Coś mi się nie podoba.

Głos ślusarza gubi się w deszczu; ale ma rację, ja też odczuwam dziwny niepokój, prześladowuje mnie wrażenie śmiertelnego nieszczęścia.

— Dzwonnice, Gert... wieże. Co się z nimi stało?

Tego właśnie brakuje. Miasto jest płaskie. Ale armaty biskupa nie sięgają tak daleko i tak wysoko. Co się stało z wieżami?

To nie nocny chłód przyprawia mnie o dreszcze, jakaś niewidoczna ręka ściska mi trzewia.

Dajemy się rozpoznać strażom przy Ludgeritor. Nie znam żadnego z wartowników... albo może, tak, jednego, zdaje się, że to szewc Hansel, posiwiły, sędziwy.

— Hansel, to ty?

Umykające oczy człowieka, który ma coś na sumieniu.

— Dobrze, że wróciłeś, kapitanie.

Klepnięcie po ramieniu.

— Co, u diabła, stało się z wieżami Münsteru?

Posępne oblicze, wzrok ciągle wbity w ziemię, żadnej odpowiedzi.

Ściskam go za ramię, starając się jednocześnie opanować paniczny strach, który chwytą mnie za gardło.

— Hansel, powiedz mi, co tu się stało.

Uwalnia rękę, mina jak u złodzieja przed sądem.

— Nie powinienesz być wyjeżdżać, kapitanie.

Nastrój tej nocy mówi o popełnionej tu zbrodni, o czymś straszliwym, niewyraźnym. Zdjęci niepokojem zagłębiają się w opuszczone uliczki, w kierunku domu Adriansona. Żaden z nas nic nie mówi, nie ma potrzeby, spieszymy się przemoczeni do nitki.

Przyglądam się, jak puka do drzwi, obejmuje żonę i małego synka. W ich spojrzeniach nie ma radości, są to gesty ludzi dzielących wspólnie nieszczęście.

Kobieta podaje nam gorący wywar przed dogasającym ogniem w kominku.

— To wszystko, czym mogę was poczęstować. Odkąd wprowadzili racjonowanie żywności, trudno jest zdobyć mleko.

Chuda, napięte ścięgna na szyi, czerpie siłę z żaloby. Przy każdym zdaniu spogląda na syna, jakby chciała obronić go przed jakimś mrocznym zagrożeniem.

— Sprawy mają się aż tak źle?

— Biskup zacisnął pętlę, z każdym dniem coraz trudniej jest wyjść i zdobyć jakieś jedzenie. Musimy stać co dzień w kolejkach, żeby nakarmić nasze dzieci. Diakoni, którzy zajmują się racjonowaniem, dają coraz mniej.

Adriansonowi udało się podsycić ogień, tak jakby powrót do tych prostych, domowych czynności mógł rozwiać nastrój przygniatającego smutku.

— Greta, co się stało z dzwonicami?

Spogląda na mnie bez drżenia, jest silna, nie udziela się jej tchórzostwo mężczyzn.

— Nie powinienesz być wyjeżdżać, kapitanie.

Brzmi to prawie jak oskarżenie; teraz to ja staram się uniknąć jej spojrzenia.

Mąż upomina ją od razu:

— Nie powinnaś oskarżać go o to, ryzykował życie dla nas wszystkich. Zdobyliśmy w Holandii pieniądze, ołów do dział, proch strzelniczy...

Kobieta potrząsa głową.

— Niczego nie wiecie. O niczym nie słyszeliście.

— O czym, Greto? Co tu się stało?

Adrianson nie jest w stanie pohamować strachu i wściekłości.

— Mówże, żono. Co się stało z tymi dzwonicami?

Kiwa potakująco głową, kieruje na mnie twarde spojrzenie.

— Kazał je zwalić. Nic nie powinno wynosić się jako wyzwanie dla Najwyższego. Nikomu nie wolno popadać w pychę, idąc ulicą, musimy patrzeć w ziemię, nie możemy nosić naszyjników, rekwirują je z miejsca. Mianował sędziami ludowymi dwie dziewczynki i małego chłopczyka. Zrywają z człowieka każdą zbędną rzecz, każde kolorowe ubranie. Całe złoto i srebro idzie do skrzyń we dworze.

Adrianson bierze ją za rękę.

— A twój pierścionek?

— Wszystko... ku większej chwale bożej.

Biorę głęboki oddech, muszę zachować spokój, spróbować coś zrozumieć.

— W jakim dworze, Greto? O czym ty mówisz?

To nie ona mówi, to przemawia przez nią nienawiść i głęboka wściekłość.

— Zrobił z siebie króla. Króla Münsteru i wybranego ludu.

Ściśnięte gardło nie pozwala mi mówić, ale ona ciągnie:

— To była sprawka złotnika Dusentschnuera, tego przekłętego kulawca, do spółki z Knipperdollingiem. Odegrali przed nim obrzydliwą komedię, schlebiali mu, błagali go, żeby przyjął koronę. Mówili, że Bóg przemówił do nich we śnie, że musi włożyć koronę Ojca i poprowadzić nas do Ziemi Obiecanej. A ten brudny kuglarz zaczął z nich drwić, wmawiać, że nie jest godzien...

Ślusarz obejmuje ramiona żony opiekuńczym i zarazem gniewnym gestem.

— Plugawy wieprz. Stręczyciel za dwa grosze.

— I nikt go nie powstrzymał...? — mówię cicho. — Gdzie byli moi ludzie... Heinrich Gresbeck?

— Nie trzeba winić ich za to, kapitanie, ich tu już nie ma. Eskortują misjonarzy, którzy zostali wysłani, żeby rozejrzeli się za jakimiś posiłkami. Król otacza się uzbrojonymi ludźmi, zabierają każdego, kto ośmieli się otworzyć przeciwko niemu usta, a potem ślad po nich ginie, znikają nie wiadomo gdzie, może w jakichś podziemnych lochach... albo na dnie rzeki.

Muszę ją wypytać o wszystko, muszę wiedzieć.

— A Bernhard Rothmann?

Milczenie zapowiada horror gorszy jeszcze, jeśli to możliwe, od tego, czego się spodziewałem.

— Został mianowany nadwornym teologiem. Knipperdolling, Kibbenbrock i Krechting otrzymali tytuły hrabiowskie. Król mówi, że niebawem przeprowadzi wybranych przez Morze Czerwone wrogich oddziałów i podbije całe Niemcy. Przydzielił już księstwa swoim najwierniejszym stronnikom.

Wściekłość i przerażenie zamieniają się w bezwładny ciężar, który

mnie przygniata. Mam już dość, ale to jeszcze nie wszystko, czytam to w twardym wyrazie jej twarzy, w tym jej szlachetnym i umęczonym pięknie.

— Rothmann oznajmił, że trzeba wrócić do zwyczajów, jakie mieli prorocy z Pisma Świętego. Idźcie i mnożcie się, powiedział, i niech każdy z was weźmie tyle żon, ile zdoła zadowolić, żeby powiększyć liczbę wybranych. Król ma ich piętnaście, to jeszcze całkiem małe dziewczynki. Rotmann ma dziesięć, i tak samo inni. Gdyby mój mąż nie wrócił w ciągu miesiąca, ja też zostałabym przydzielona któremuś z nich.

Pobielałe z napięcia ręce Adriansona zaciskają się na konsoli kominka, tak jakby chciały ją zmiażdżyć.

— Och, krzycałyśmy, pewnie, że tak, mówiłyśmy im, że to niesprawiedliwe. Margharete von Osnabrück powiedziała, że jeśli Pan chce, żebyśmy się mnożyli, to w takim razie kobiety też powinny mieć prawo wziąć sobie kilku mężów.

Wstrzymuje na chwilę oddech, jakby w odruchu współczucia.

— Napłuła kaznodziejom w gębę i naszczała na łeb tym, którzy po nią przyszli. Wiedziała, co ją czeka, ale nie chciała milczeć. A jak ją ciągnęli, darła się na całe miasto, że münsterskie kobiety walczyły u boku swoich mężów nie po to, żeby teraz robić z siebie ordynarne konkubiny.

Znów milknie, powstrzymując łzy nienawiści. W jej słowach jest nieskończona duma, jest godność kobiety, która dzieliła z braćmi i siostrami ich ekstremalne postawy.

— Umarła, zabijając ich swoimi oskarżeniami. Wzięło z niej przykład wiele innych, wolały raczej umrzeć, złorzecząc tyranom, niż poddać się ich prawom. Elisabeth Hölscher, która ośmieliła się porzucić męża. Katharina Koekenbecker, która żyła z dwoma mężczyznami pod jednym dachem. Barbara Butendieck, oskarżona przez męża, że śmiała mu się przeciwstawić. Ale jej nie zamordowali, była w ciąży i to ją uratowało.

Słysząc tylko trzaskanie ognia. Głęboki oddech małego Hansa w łóżeczku. Bębnienie deszczu w dach.

— Nikt się nie zbuntował?

Kiwa potakująco głową.

— Kowal Mollenhecke. Razem z dwustu innymi. Udało się im zamknąć króla i jego świętę w magistracie, ale potem... Co mogli zrobić? Otworzyć bramy biskupowi? To oznaczało śmierć miasta, nie czuli się na siłach. Ktoś uwolnił króla i w dwie godziny później ich głowy potoczyły się po bruku na placu.

Peter Adrianson bierze do ręki stary miecz, który służył mu na lutowych barykadach. Z pooranej bruzdami twarzy znika zmęczenie.

— Kapitanie, każ mi go zamordować.

Podnoszę się. To, co zostało jeszcze do zrobienia.

— Nie. Twoja żona i syn nie wiedzieliby, co zrobić z męczennikiem.

— Musi zapłacić za to wszystko.

Odwracam się do Greta.

— Pozbieraj rzeczy. Dziś w nocy wyjedziecie stąd.

Adrianson ściska rękę, chwiejąc się jak ślepiec.

— Oszukał nas, nie można puścić mu tego płazem.

— Zabierz swoich jak najdalej stąd. To mój ostatni rozkaz, Peter.

Ma ochotę płakać, rozgląda się dokoła: dom, różne przedmioty. Ja.

— Kapitanie...

Greta jest gotowa, w rękach trzyma synka owiniętego w koc. Chciałbym, żeby Adrianson miał w tym momencie swoje zwykłe siły.

— Idziemy. — Pociągam go za ramię, wychodzimy na ulewny deszcz, ruszam przodem. Przemykamy pod ścianami domów, pokonując drogę, która nie ma końca.

Na jakimś rogu żona Adriansona wzdryga się.

Ręka instynktownie sięga po miecz. Dwie niskie postaci pod kapturami.

Jedna niesie latarkę. Podchodzą... drobne kroczyki w błocie.

Światło uniesionej latarki pada na nasze twarze. Dostrzegam młode, dziewczęce oczy, gładkie policzki. Nie więcej niż dziesięć lat.

Nagły dreszcz.

Dziewczynka wskazuje palcem zawiniątko, które Greta przyciska do piersi. Paluszek jest biały i cienki.

Przestrach w oczach kobiety. Odsuwa rąbek koca i pokazuje zdrętwiałego z zimna Hansa.

Druga nie odrywa wzroku od mojej twarzy.

Niebieskie oczy. Jasne loki ociekające deszczem.

Wyniosła obojętność czarodziejki.

Czysty horror.

Instynktowne pragnienie, żeby ją zmiążdżyć. Zabić.

Serce wali jak młotem.

Poszły dalej.

Brama Ludgeritor.

Rozładowali już nasze wozy, uwiązali konie pod jakimś daszkiem.

— Stać! Kto idzie?

— Kapitan Gert ze Studni.

Podchodzę bliżej, żeby mógł mnie rozpoznać. To Hansel, zagłodzona, widmowa twarz.

— Zaprzęgaj konie do jednego z tych wozów.

Niezdycydowanie.

— Przykro mi, kapitanie, ale nikt nie może wyjść z miasta.

Wskazuję zawiniątko przy piersi Grety.

— Mały ma cholere. Chcesz, żeby w mieście wybuchła epidemia?

Przestraszony biegnie zawołać swoich kolegów. Zaprzęgają konie.

— Otworzyć bramę, prędko!

Popycham Adriansona na wóz, rzucam mu do rąk lejce.

— Zmykaj jak najdalej.

Jego łzy mieszają się z deszczem ociekającym z kaptura.

— Kapitanie, nie zostawię cię tutaj.

Zbieram w garść poły jego płaszcz i potrząsam mocno.

— Nie wypieraj się nigdy przed samym sobą tego, o co walczyłeś, Peter. Przegrana nie oznacza, że walczyliśmy w złej sprawie. Pamiętaj o tym zawsze. Jedź.

Mocno uderzam dłonią w koński zad.

* * *

Nie czuję już padającego deszczu. Na ulicy prowadzącej na plac przed katedrą wyprzedza mnie mój własny oddech. Nikogo. Tak jakby wszyscy powymierali. Jeden milczący cmentarz.

Stoi jeszcze podwyższenie przylegające do kościoła, ale teraz widać na nim ciężki baldachim, który osłania tron. Na dole znajdują się wyraźne, wycięte litery, obwieszczające nazwę miejsca, do którego postanowiły wyemigrować umysły tych ludzi: GÓRA SYJON.

Idę dalej, dopóki nie docierają do mnie z góry światła i odgłosy świętowania, z okien domu, który należał niegdyś do pana Melchiora von Bürena.

Znalazłem dwór Króla Kuglarza.

Ma na głowie koronę.

Ma na sobie płaszcz z aksamitu.

W rękę trzyma berło i kulę, nad którą góruje krzyż, przez szyję ma przewieszane dwie szpady. Na każdym palcu pierścień, broda wymuszkana po ostatni włoszek, nienaturalnie zaróżowione lica, niczym u podmalowanego nieboszczyka.

Zasiada w środku przy biesiadnych stołach ustawionych w podkowie, zarzuconych ogryzionymi kośćmi, czarami pełnymi gęsiego tłuszczu, kielichami i kuflami z resztkami wina i piwa. Na stojącym pośrodku salonu różnie martwy uśmiech świnki. Po prawicy króla siedzi królowa Divara, w białej sukni, jeszcze piękniejsza, niż ją

zapamiętałem, girlanda z kłosów podtrzymuje jej włosy. Po lewej mały chłopczyk o płaskiej buzi: to na pewno ów sławny Dusent-schnuer. Obok dworaków zajmują miejsca ich małżonki i leją wino swoim panom i władcom.

W głębi sali, na tronie Dawida, niedbale rozwalony chłopczyk z nogami przewieszonymi przez poręcze. Znudzony bawi się monetą. Ma trochę za duże ubranko i obwieszony jest złotymi naszyjnikami, rękawy zawinał po łokcie. Z trudem rozpoznaję w nim ulubieńca Bockelсона, Seariasúba, który pewnego zimowego dnia uniknął losu swoich rodziców, wiernych staremu wyznaniu.

Król podnosi się i opiera rękami o stół. Wyciąga głowę w poszukiwaniu czyjegoś spojrzenia. Niepokój wśród biesiadników. Spuszczają wzrok.

— Krechting!

Minister podskakuje. Wszyscy pozostali oddychają z ulgą. Król podnosi głos:

— Krechting, przeznaczam ci księstwo Saksonii!

Mówi, naśladowując wyraziście chłopską wymowę:

„Czemu wołasz tak głośno? Czyżby nie było króla w twoich murach? Czyżby twoi doradcy poznali się na rzeczy, albowiem biorą cię bóle, jakbyś miała rodzić? Cierp i płacz, córko Syjonu, tak jakbyś rodziła, albowiem niedługo wyjdiesz z miasta i będziesz zamieszkiwać po wsiach i dojdiesz aż do Babilonu. Tam zostaniesz wyzwolona, tam Pan uwolni cię z rąk twoich nieprzyjaciół”. Kim teraz jestem? Kim jestem!

Krechting czerwieni się, wlepiając oczy w ogryziony udziec, który leży przed jego nosem, trąca łokciem sąsiada, szukając u niego rady.

Król, zasmucony:

— Dość tego, nie wiesz...

Jego spojrzenie obiega cały stół.

— Knipperdolling! Na elektora Moguncji!

Dzwoni czubkiem berła o dzban. Potem roztrzaskuje go na drobne kawałki jednym suchym uderzeniem. Woda rozlewa się po stole.

— Pan jest pośród nas, tak czy nie?

Burmistrz spieszy z odpowiedzią:

— Tak, tak!

— Nie, masz mi powiedzieć, kim jestem, kim teraz jestem!

Okryty długim płaszczem z brokatu, prawdopodobnie pochodzącego z obić w domu von Bürena, Knipperdolling nerwowo stroszy sobie brodę. Imponujący niegdyś brzuch teraz zwisa bezwładnie, tak jak i podbródek. Czarny, sflaczały kapelusz opada na boki, niczym uszy u gończego ogara. Wzrok zgaszony jak u zbitego psa. Stare, zramolałe i zmęczone zwierzę. Próbuje się rozjaśnić i rzuca:

— Izajaszem?

— Ale skąąąą!

Jest zdenerwowany. Przeskakuje przez stół.

— Palck! Obejmiesz Geldern i Utrecht!

Rzuca się na łeb prosiaka i wszczyną pełną ryków i wrzasków, desperacką walkę, dopóki nie przepołowi go na dwoje. Porzuca spadające ochłapy i odwraca się nagle.

— Kim teraz jestem? Kim jestem?

Diakon jest wyraźnie podchmielony, unosi się chwiejnie i musi oprzeć się o stół. Uśmiech satysfakcji:

— Tak, tak, to było łatwe. Symeonem!

— Zła odpowiedź, idioto.

Chwyta świński udziec i rzuca w niego. Oddycha głęboko i odwraca się do Rothmanna, prawie niewidocznego w głębi stołu.

— Bernhard...

Stare, wychudłe ciało zamknięte w zniszczonym ubraniu, na twarzy wymalowana śmierć, maleńkie oczy. Wydaje się, jakby lata całe minęły od dnia, w którym ujmujący kaznodzieja witał w Münsterze uczniów Matthijisa, i tyle samo od czasu, gdy jego słowa opróżniły klasztor Überwasser.

— Micheaszem, Mojżeszem i Samsonem.

Król bije brawo, natychmiast podjęte przez innych.

— Dobrze, dobrze. A teraz Divara, moja królowa, wcieli się w Salome. Tak, tak, Salome! Muzyka, muzyka!

Divara wchodzi na stół i zaczyna się kręcić i kołysać wężowatymi ruchami przy dźwiękach lutni i fletu. Jej szata zsuwa się na ramiona, nogi rozchodzą się. Smaga powietrze włosami i składa ręce nad głową, plecy wygięte w łuk.

Salome pragnie wytańczyć głowę Jana.

Jana Bockelсона, krawca i stręczyciela z Lejdy, komedianta, apostoła Matthijisa, proroka i króla Münsteru.

Jana i wszystkich pozostałych.

Chce stosu trupów. Jest tego świadoma.

Patrząc na tańczącą śmierć, jak wybiera ich po kolei, póki nie decyduję się wyjść z cienia, żeby dać im możliwość uświadomienia sobie mojej obecności.

Nieruchomieje jako pierwsza, natychmiast, jakby zobaczyła upiora. Biesiadnicy siedzą jak skamieniali, pootwierali w zdumieniu usta, wpatrując się w powstałego z martwych, przyglądając się przez chwilę sobie moimi oczami: nędzni, szaleni, przekłęci głupcy.

A ona posyła mi ledwo dostrzegalny uśmiech, jakbyśmy byli tu tylko we dwoje.

Zabierzcie stąd ich wszystkich, co do jednego.

Tajne oko Carafy
(1535)

List wysłany do Rzymu z Münsteru z datą 30 czerwca 1535 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego i najdosłojniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Panie mój najszanowniejszy, zanim te kartki znajdą się w rękach Waszej Wielmożności, do Waszych uszu dotrze już z pewnością wiadomość o końcu Królestwa Syjonu w Münsterze. A jako że we wszystkich krajach interesują się wielce przebiegiem oblężenia, tym większa musi być ciekawość Waszej Wielmożności co do wypadków z nim związanych. Odwołuję się zatem do owego zainteresowania i do naturalnej ciekawości człowieka tak światłego i wykształconego, jak Wasza Wielmożność, aby mój list mógł okazać się użyteczny jako ilustracja pewnych szczegółów, które wydały mi się znaczące w tych ostatnich miesiącach mojego milczenia, a nie zapominam też, że Wasza Wielmożność umiał zawsze docenić informacje z pierwszej ręki, dobrze wiedząc, że najbardziej wstrząsające wypadki są szczególnie narażone na to, że inni będą je wzbogacać o nieistniejące szczegóły, fałszywe interpretacje, fantastyczne domniemania.

Niech mi będzie wolno rozpocząć moją opowieść od osobistej niemal refleksji, która z pewnością pomoże Waszej Wielmożności odczytać we właściwym świetle to, co przedstawię poniżej, a mianowicie od stwierdzenia, że nigdy dotąd, w ciągu całych trzydziestu sześciu lat życia, jakimi obdarował mnie Pan Bóg, nie przeżyłem miesięcy tak męczących dla ciała, tak wyczerpujących umysł i niepokojących duszę, jak to się może przydarzyć tylko zdrowemu człowiekowi, który znalazłszy się pomiędzy szaleńcami, także musi udawać szaleńca. W takim człowieku, choćby nawet panował nad zakątkami swojej duszy, będą się często rodzić przerażające podejrzenia, że na

dobrze zatracił własną naturę i że spontanicznie przyjmując postawę wariata i zacieśniając przyjaźń z osobami dotkniętymi tą chorobą, ostatecznie utracił zdolność rozumienia ludzi zdrowych. Tak więc powrót do normalnego życia nie będzie dla niego ani łatwy, ani natychmiastowy.

W miesiącach, które zadecydowały o upadku Münsteru, obserwowałem, że zapasy żywności chudną bezustannie, tak jak i twarze jego mieszkańców. Zauważyłem, że w ciągu jednego tygodnia z ulic miasta znikły wszystkie szczury i zacząłem podejrzewać, że Jan Bockelson nie pod wpływem jakiejś manii, ale z czystego wyrachowania przystąpił do rozprawiania się z ciągle rosnącą liczbą nieposłusznych; dzięki temu zostawało mniej gęb do nakarmienia i więcej mięsa do spożycia.

Mogę powiedzieć, że gdyby front anabaptystów był naprawdę zwarty, moje zadanie okazałoby się znacznie mniej uciążliwe. Łatwo przyszedłoby mi zidentyfikować ludność zamkniętą w murach z szatańskimi mocami, a najemników obozujących poza nimi z zastępami Pana. Natomiast tak, jak wypadki się potoczyły, coraz trudniej było nie brać Króla Syjonu i jego dworu za jedynych prawdziwych przeciwników, a resztę obłożonych uważać za niewinny tłum. Straszliwe szaleństwo Bockelsona sprawiało, że nie tak okropne wydawało się wariactwo wszystkich pozostałych anabaptystów.

Tak więc słuchając po wiele razy, jak obiecywał ludowi, że kamienie z ulicznego bruku przemienią się im w chleb i w bażancie udka, miałem nieodparte pragnienie zamordowania go, zgładzenia z powierzchni ziemi, aby wyzwolić tych niezliczonych biedaków z jarzma, które znosili tylko z powodu jeszcze większego zagrożenia, czyhającego za murami.

A jednak to właśnie piszący te słowa do Waszej Wielmożności był główną osobą odpowiedzialną za pęknięcie, jakie zaczęło się rysować wewnątrz miasta. Już od przybycia Jana Matthijisa zacząłem zdobywać sympatię pierwszego kaznodziei wspólnoty, Bernharda Rothmanna, człowieka o błyskotliwym umyśle i wielkiej kulturze, o którym wzmiankowałem w poprzednim liście już ponad rok temu. Gdy zobaczyłem, w jaki sposób został on odsunięty na bok przez nowego proroka Matthijisa, zdałem sobie natychmiast sprawę, że jego wielka wiedza mogłaby się okazać użyteczna dla moich planów. Że mógłbym wykorzystać niezadowolenie niedosłzłego przywódcy, wielkiego znawcy Biblii, usuniętego przez nieokrzesanych stręczycieli i piekarzy. Ale Rothmann rozchorował się ciężko, a wraz z załamaniem się zdrowia zaczął okazywać coraz mniej ochoty do wynurzenia się na powierzchnię i do walki. Ostatecznie zadowolił się rolą teologa na dworze Jana z Lejdy. Mimo wszystko nikt świątły, choćby nawet

osłabiony i zmęczony, nie mógł przez dłuższy czas znosić tej komedii, jaką było Królestwo Syjonu.

Sam nie wiem, skąd przyszedł mi pomysł z wielożeństwem, prawdopodobnie podsunęły mi go opowieści, że anabaptyści oprócz majątków oddawali do wspólnej własności także i kobiety. Dopóty omawiałem z Bernhardem Rothmannem zwyczaj patriarchów z Pisma Świętego, odnoszące się do małżeństwa, dopóki kaznodzieja ten nie doradził Bockelsonowi ich przyjęcia, co było postępkiem na tyle wstrętnym, że mógł on wrogo nastawić lud. Od tej chwili wszystko utonęło w zalewie krwi, a sam Rothmann wziął ostatecznie czternaście żon. Ale duch oblężonego miasta, które aż do tej pory zgodnie opierało się atakom biskupa von Waldecka, odtąd nie miał już zaznać jedności.

Tak więc nie trzeba by było zdrajcy, gdyby tylko siły oblegających były lepiej zorganizowane i mniej zniechęcone niepowodzeniami. Wydawało się jednak, że oblężenie nigdy się nie skończy. To prawda, że Nowy Syjon znalazł się na krawędzi załamania z powodu głodu, tak jak prawdą jest, że zamknięcie oblężniczego pierścienia przez wojska biskupa okazało się po roku rzeczywiście skuteczne, ale na dłuższą metę najemne wojsko zwykle ulega rozprzężeniu i traci swój wigor, czemu sprzyja opóźnianie wypłat żołdu.

Do obozu biskupa dotarłem o świcie 24 maja, mając przeciwko sobie arkebuzy najemników, wycelowane w moją głowę, i krzyki wartowników na murach, którzy nakazywali mi powrót. Przewyciężyłem nieufność kapitana Wiricha von Dhauna, lepiąc mu gliniane modele fortyfikacji Münsteru i szczegółowo opisując niedostatki służb wartowniczych. Musiałem udowodnić adekwatność moich twierdzeń, wspinając się nocą na miejskie bastiony i wychodząc nietknięty przez jedną z bram.

W miesiąc później wojska biskupa weszły do miasta. Nie mogę przedstawić szczegółów na temat walk, jakie się wywiązały wewnątrz murów, gdyż nie pozwolono mi w nich uczestniczyć. Tego natomiast, co nastąpiło potem, nie chciałoby oglądać żadne ludzkie oko, a żadne usta nie zdołają nigdy opisać. Przeszukania, zabójstwa, masakry ciągną się do tej pory. Każdego uśmierca się na miejscu. Oszczędzono tylko Jana Bockelsona i jego najbardziej zaufanych ludzi, Krechtinga i Knipperdöllinga, żeby ich przesłuchać. W decydującej godzinie król anabaptystów nie wyszedł na plac, żeby walczyć razem z męznymi obrońcami miasta, ale przeciwnie, znaleziono go w sali tronowej, ukrytego pod stołem i błagającego, żeby nie robić nic złego nic nieznaczącemu krawcowi i nędznemu sutenerowi. Co do Bernharda Rothmanna, jego losy są przedmiotem najróżniejszych domysłów: nie został więźniem i nigdzie nie znaleziono jego trupa, ale kilka

osób mówi, że widzieli, jak jakiś Węgier wbił mu miecz między łopatki, a potem, gdy rozpoznano w nim jednego z tych, których biskup nakazał schwytać żywcem, jego zwłoki zostały gdzieś ukryte.

We wszystkich zaułkach leżą trupy i miasto zatrute jest smrodem nie do wytrzymania. Na głównym placu wznosi się stos nagich, odartych z ubrań ciał, rzuconych jedno na drugie.

Przybycie biskupa von Waldecka nie wywarło większego wpływu na sprawy Münsteru. Do dziś ulice miasta są puste także w południe, nie ustawiono też z powrotem ławek do sprzedaży warzyw pod pinaklami magistratu. Będzie musiało upłynąć wiele czasu, zanim w mieście zacznie się toczyć znowu życie, chociaż roboty przy rekonstrukcji katedry zostały już rozpoczęte. Usiłuję odzyskać siły i energię, które utraciłem w tym karnawale śmierci, ale makabryczny taniec miasta trzyma nas wszystkich ciągle w swoich zawirowaniach, niczym epidemia zarazy, tak jakby smród martwych ciał zamieniał w trupy także żywych.

Taki też będzie dalszy los anabaptystów na ziemiach między tym miastem i Niderlandami, gdy światło ich nadziei zostało zgaszone. Wielu bojowników z Münsteru, wysłanych przez Bockelzona do podburzania ludzi w Holandii, kręci się po tych okolicach, ale ich dni są policzone i ciągle mniej będzie szaleńców, którzy zechcą ich słuchać. Dlatego też myślę, że los tej ohydnej herezji już się rozstrzygnął, a niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Z tego samego powodu uważam, że wypełniłem postawione mi przez Waszą Wielmożność zadanie, któremu poświęciłem wszystkie siły ciała i umysłu, aż po poddanie się próbie tej straszliwej tragedii, której byłem widzem i biernym uczestnikiem. Mojemu Panu nie będzie więc trudno zrozumieć przyczyny, które skłaniają mnie do prośby, iżby Wasza Wielmożność pozwolił mi oddalić się od budzącego mdłości, śmiertelnego smrodu tych ziem, abym mógł w dalszym ciągu służyć, jeśli tylko moje usługi okażą się znowu użyteczne, w innych miejscach i okolicznościach.

Polecając się łaskawości Waszej Wielmożności, pokornie całuję Wasze ręce.

Z Münsteru, 30 czerwca roku 1535,
wierny obserwator i sługa Waszej Wielmożności
Q.

Rozdział 40

Antwerpia, 28 maja 1538 roku

— Nie czekałem końca. Wyszedłem z Münsteru na początku września. Nie postawiłem tam więcej nogi.

Eloi przypala mi cygaro rozżarzonym węgielkiem z kominka. Przyglądam się szerokim kłębowi dymu, rozkoszując się wielkim spokojem, który powoli rozchodzi się po moim ciele. Nie spodziewałem się, że i tutaj znajdę ten przyjemny produkt zachodnich Indii.

Nisko nad dachami domów upstrzonych odbłaskami zachodzącego słońca latają jaskółki, znak, że będzie padać. Rytmiczne poskrzypywanie wozu jadącego ulicą, głosy, dalekie ujadanie psów.

Dobylem z przeszłości imiona, twarze, wrażenia, ukryte w brudach blizn. Coś jednak znikło, przepadło na zawsze w głębi ciemnej studni.

Pamięć. Worek pełen drobiazgów, które przypadkiem wylatują z niego, żeby wprowadzić cię w zdumienie, tak jakbyś to nie ty je zbierał i zamieniał w cenne przedmioty.

Uśmiecham się do tej studni czasu, do tragicznych przedsięwzięć, do przypadkowych bohaterów tamtych dni. Uśmiecham się.

Eloi daje mi czas na refleksję, niełatwo jest spotkać człowieka, który umie słuchać opowieści, jaką snuje się przy kominku.

Ale teraz przerywa ciszę, która spowija nas kłębowi dymu.

— A potem?

— Coś zaważyło się we mnie. Nie umiałem już myśleć, o nic już siebie nie pytałem. Taki los spotkał wielu, którym udało się na czas wyjść z miasta szaleńców, rozproszonym, zmęczonym. Nieśliśmy w duszy urazę, że przepadła taka wspaniała okazja, niczym postępującą powoli gangrenę, która zżerała nam umysły. Nie było już dla nas miejsca w świecie.

W Niderlandach panowało wielkie zamieszanie, wydawało się, że lada moment wszystko wyleci w powietrze. Dlatego znaleźliśmy się

wszyscy tutaj, nie kierując się niczymi poleceniami, żeby jakoś pozbierać się do kupy. W Holandii wrzały wyjątkowo żarliwe dyskusje braci. Po jednej stronie byli zwolennicy pokojowej drogi, z Philipsem i Jorrisem, po drugiej najbardziej zdecydowani, nieugięci, ci, którzy chcieli chwycić za broń. Spotykaliśmy ich po drodze, młodych, gotowych na wszystko.

Eloi przerywa mi kasznięciem.

— Zapominasz o nas. Jorris nienawidził mnie i w dalszym ciągu nienawidzi. Zaczekaj, zaczekaj, jak on mnie nazwał? „Libertyn poświęcający się kopulowaniu i hulankom”. Nie umiałbym ująć tego lepiej!

Uśmiecha się, odtąd będę mówił tylko o faktach, które sam dobrze zna.

— Potem, w grudniu, przybył z Limburgii wielki van Geelen, którego poznałem w Münsterze, gdzie zjawił się w poszukiwaniu jakiejś nadziei dla uciemężonych, a znalazł jedynie starego, oszalałego Boga pożerającego ludzi. Bockelson zlecił mu szukanie nowych wyznawców we wspólnotach holenderskich braci, ale on nie miał ochoty zdychać jak szczur w Nowym Syjonie, żeby urzeczywistnić szaleństwa zwykłego komedianta. Nie zamierzał tam wracać. I tak podjąłem znowu walkę, nie umiałem już robić nic innego, więc walczyłem. W marcu trzydziestego piątego udaliśmy się do Bolsfardu, żeby zdobyć klasztor Oldeklooster. Zabarykadowaliśmy się tam na cały tydzień. Van Geelen uważał, że z tak strategicznej pozycji moglibyśmy panować nad zatoką, podburzając jednocześnie Fryzję, gdzie chłopci zaczęli się już buntować. Ale okazało się, że utrzymać kontakty jest trudniej, niż przewidywaliśmy.

W maju wzięliśmy magistrat w Amsterdamie. Plan van Geelena przewidywał, że pospólstwo zbuntuje się i przyłączy do nas. To miało być moje zadanie, a on tymczasem miał się zabarykadować w pałacu magistrackim i trzymać w szachu straż miejską. Była to kompletna klęska, ostatni jej akt. Nikt za nami nie poszedł. Van Geelen mylił się: uciemężeni ludzie nie mieli najmniejszego zamiaru ryzykować dla nas życia, poszliśmy za daleko, zbyt szybko zapędziliśmy się do przodu, nie zdając sobie sprawy, jak głęboko czerw strachu i nędzy stoczył tymczasem dusze. Jego ludzie bronili się do ostatniego ciosu, na koniec usiłowali utorować sobie drogę ucieczki, walcząc na broń białą. Wszyscy zostali zmasakrowani. Nic nie mogłem zrobić, van Geelen nie żył, a ja miałem ze sobą ze trzydziestu źle uzbrojonych ludzi i starą rybacką barkę. W tych okolicznościach postanowiłem rozwiązać oddział: przy odrobinie szczęścia niektórzy mogli się uratować, natomiast w grupie zostalibyśmy prędko wytropieni i wy-

łapani. Zrozumieli, nikt o nic nie pytał. To był ostatni rozkaz kapitana Gerta ze Studni.

Eloi usiłuje posłać mi uśmiech.

— Przybrałeś inne imię?

— Żadnego. I żadnych przyjaciół. Żołnierze przeszukiwali okolice piędz po piędzi, nie było żadnego bezpiecznego miejsca, każdy chłop mógł cię zdradzić, każdy spotkany na drodze wędrowiec mógł się okazać myśliwym polującym na nagrodę za twoją skórę. Szedłem całymi dniami, spałem w stodołach, zebrałem o łyżkę stawy. Nie miałem już żadnych wiadomości o braciach, nie wiedziałem, co się dzieje poza miejscem, w którym właśnie się znajdowałem. Zacząłem też tracić orientację, mój umysł zaciął się zupełnie. Wiedziałem tylko, że muszę iść na północ. Straciłem wszystko. Münster, moich ludzi, van Geelena, współbraci, którzy także w Amsterdamie wierzyli we mnie. To był koniec. Po czterech dniach postu nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, miewałem wizje, które zapowiadały bliskie szaleństwo. Byłem martwym widmem, mogłem tylko wyciągać się na ziemi i czekać. Nie widziałem już żadnego powodu, żeby się zmuszać do dalszego życia. Znaleźli mnie leżącego w błocie, obdartego i prawie nieżywego. Miałem nadzieję, że któryś z tych rozbójników wykończy mnie nożem, niemal żałowałem, że nie mam na sobie nic, co warto by mi było zrabować. Nie udzielili mi tej łaski, zabrali mnie i poprowadzili ze sobą.

Kładę cygaro nad kominkiem, żeby tam zgasło, wspomnienia mieszają się, wydają się zdarzeniami przeżyтыми we śnie.

— I oto ukazał mi się zielonkawy koń. Galopujący na nim jeździec miał na imię Śmierć, a za nim podążało Piekło.

Eloi zaszył się w kącie z poważną miną, nocny drapieznik zagłębiony w fotelu. Słyszę, jak mruczy to imię:

— Jan van Batenburg.

* * *

— Rycerze Miecza. Banda obdartych weteranów, prawie wszyscy byli niedobitkami, którym udało się wyjść z Münsteru, ocalałymi bojownikami, którzy ruszyli za ostatnim pozostałym przy życiu jeźdźcem Apokalipsy. Nasz czas się skończył, jak powiedział Jan Matthijs. Nie mogliśmy pozbyć się myśli, że niegodziwość rozpełzła się skrycie po całej ziemi, aby kosić jedną głowę po drugiej, brata po bracie, aby doprowadzić nas w końcu do tej ślepej furii. Nie pozostawało nic innego, jak ślubować światu śmierć i przysiąc wierność dziełu jego zniszczenia. Tym to się skończyło dla nas, stanęliśmy z mieczami w dłoniach i łatami na tyłkach, pijani, nieustraszeni

i wspaniali, dopóki wystarczało sił do walki. Nie oczekiwaliśmy niczego, byliśmy już poza Apokalipsą, daleko od wszystkiego, czyści mordercy. Nie było już miejsca na niewinność, w naszych oczach przekształcała się ona w tchórzostwo, w przekleństwo. Zwyczajnie pluliśmy strzępami naszych żywotów w twarze tych, którzy stawali na naszej drodze.

Eloi zniknął w cieniu, w głębi fotela, zdaje mi się, że prawie widzę, jak się wzdryga.

— Nie mam jasnego obrazu tego okresu, to niemożliwe. Zabijałem, torturowałem, unicestwiałem. Patrzyłem, jak paliły się całe wioski, widziałem przestrach chłopów, którzy uciekali, gdy tylko ujrano nas na horyzoncie. Byłem świadkiem nadziewania zakonników na rozeń jak wieprze, widziałem, jak zmora Błedego Jeźdźca galopuje skrajem wzgórza, a my za nią, na krawędzi przepaści, tropem tej nieprzekraczalnej granicy. Trzeci Jan w moim życiu, po Matthijsie i Bockelsonie, i trzecie przekleństwo. Kiedy ujęli go w końcu, śmiał się w twarz torturom i śmierci. Jeszcze na szafocie rzucił okrzyk zwycięstwa: słyszałem ten krzyk... — Układam się na fotelu, wyciągając zdrtwiałe nogi. — I to już naprawdę wszystko, cała gloria i nędza.

Wsluchuję się w ciszę. Jestem zmęczony.

Jego głos bez twarzy stara się ukryć senność.

— To najwspanialsza historia, jakiej kiedykolwiek słuchałem. A ty jesteś bez wątpienia osobą, której szukałem.

Mrużę oczy, ale on jest tylko ciemną plamą za biurkiem.

— Jestem zmęczony, Eloi. Za bardzo zmęczony.

— Żyjesz. I to się liczy.

* * *

Jestem zmęczony. Korytarz, który oddziela mnie od łóżka, jest bardzo długi, pełgające światło świecy ledwo go oświetla, gdy kroczę nim po omacku.

Jestem zmęczony.

A jednak czuję, że nie mógłbym zasnąć. Ciekawość Eloi sprawiła, że i ja zacząłem odczuwać głód wiedzy. Münster upadł 24 czerwca 1535 roku. Gerta ze Studni nie było tam już od dziewięciu miesięcy. A wszyscy pozostali?

Na stukanie do drzwi odpowiada zaspány głos.

— Kto tam?

— Gert.

W świetle świec przyglądam się zniszczonej twarzy Balthasara Mercka. Nie pytając o nic, stary baptysta wskazuje krzesło koło łóżka.

— Usiądź, proszę, ale wątpię, czy będę mógł w czymś ci pomóc.

— Powiedz mi tylko, kto się uratował?

Stawia świecę na stoliku i siada na brzegu łóżka, pocierając sobie twarz.

— Mogę powiedzieć ci jedynie, że było nas pięciu: młody Krechting, młynarz Skraup, rusznikarz Schmidt, rytownik Kerbe i ja. Wszyscy ludzie Krechtinga. Kerbego złapali w Nimedze niedługo po tym, jak się rozłączyliśmy. Doszło do mnie, że Schmidt i Skraup zostali straceni w Deventer dwa lata temu. Wiem, że Krechting gdzieś się wciąż kręci, a są ludzie, którzy mówią, że również i Rothmann: jego ciała nie było wśród trupów w Münsterze.

— Żaden z moich?

Potrząsa głową.

— Nie mam pojęcia. Kilku z nich nie było już w mieście. Bockelson powysyłał ich gdzieś, ponieważ miał cholernego stracha przed tobą.

— Gresbeck, bracia Brundtowie...

Kiwa potakująco.

— Wrócili na czas, żeby być przy końcowym delirium. Mieli nadzieję cię spotkać, ale ty wyszedłeś, żeby się więcej nie pokazać.

— Dlaczego zostali?

— Gresbeck i bracia Brundtowie próbowali się wymknąć, ale najemnicy biskupa złapali ich zaraz za murami. Fatalny koniec.

Wzdycham wyczerpany, nie mam już siły, żeby to sobie wyobrazić, automatycznie zadaję kolejne pytanie:

— W którym miejscu obrona wysiadła?

— Najpierw padły bramy Kreuztor i Judefeldertor, najgorzej zabezpieczony odcinek murów; ktoś musiał poinformować o tym ludzi biskupa. Ich oddział wśliznął się do środka nocą i o świcie otworzył bramy głównym siłom. Masakra trwała wiele dni. Oddałem moją chorą żonę do leczenia pewnej dewotce, wydzierając z niej przyrzeczenie, że jej nie wyda, i uciekłem z innymi. Od trzech lat nie mam od niej wiadomości.

Siedzimy w milczeniu, słuchając dalekiego szmeru wspomnień, smakując gorzką solidarność niedobitków.

Podnoszę się, niemal przejęty skruchą.

— Wybacz mi.

— Kapitanie...

Odwracam się. Jego oczy są opuchnięte od zmęczenia i łez.

— Powiedz mi, że to, o co walczyliśmy, nie było złą sprawą.

Zaciskam szczęki, pięści zacisnąłem już wcześniej.

— Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, nawet przez chwilę.

Morze
(1538)

Rozdział 41

Antwerpia, 29 maja 1538 roku

Zbliża się świt. Niebo koloru ołowiu. Myśli udaremniają sen i każą odrzucić przykrycie.

Kathleen śpi, niewiarygodne widowisko włosów, ust i spokojnego oddechu.

Trzeba wstać cichutko, żeby jej nie zbudzić. Lodowaty chłód wczesnego poranka pochyla plecy, ściska trzewia i każe owinąć się wielką baranią skórą, gdy będziesz szurał nogami, szukając wiadra, żeby się do niego odlać, potem odrobiny wody do przetarcia oczu i paru kropel ciepłego mleka, dzięki którym odżyjesz na nowo. Minęły lata, nie wstaje się już z łóżka tak łatwo jak kiedyś, czasami zimno dobiera się do kończyn, a napady reumatyzmu, które usztywniają je, niespodziewanie informują, że zbyt długo przeciągałeś tę strunę. Mięśnie sztywnieją w reakcji na dolegliwości i mówią ci, że będziesz musiał spędzić piątą dziesiątkę, oszczędzając się, jeżeli nie chcesz znaleźć się w łóżku złamany chorobą, zanim opuści cię rozsądek. Byłby to nędzny, straszliwy koniec.

A więc trzeba tu zostać. Zostać, choć jestem za stary, żeby nauczyć się jakiegoś zawodu, i zbyt zmęczony, żeby podjąć walkę. Może popracuję ryłcem albo przy tokarni, ale nie wezmę już do ręki miecza, o nie, niech rdzewieje w kanale, do którego go wrzuciłem.

* * *

Magda przygląda się w milczeniu, oczy wychodzą jej na wierzch z ciekawości, gdy mocując ostatnim sztyfcikiem ramię do barku kukielki, której rączkami będzie można poruszać.

— Dla kogo ją robisz? — pyta, potrząsając z instynktowną kokieterią loczkami.

— Dla was wszystkich, dla całej dzieciarni — odpowiadam. — Ale ty będziesz jej mamusią, dobrze?

— Taaak! — piszczy z uciechy, aż świdruje w uszach, a potem cmoka mnie w policzek pokryty zmierzwionym zarostem.

Nigdy dotąd nie pocałowało mnie żadne dziecko.

Eloi przygląda się z uśmiechem, zbliżając się między kolumnami ganku. Magda nie daje mu czasu na przywitanie się, bo jednym skokiem podbiega do niego, wymachując drewnianą laleczką.

— Popatrz, popatrz! Zrobił ją Lot!

Eloi przykuca, żeby pobawić się ruchomymi rączkami kukielki.

— Twoja?

— Należy do wszystkich dzieci — odpowiada Magda, powtarzając to, co usłyszała ode mnie. — Ale ja będę się nią opiekować. Lot zrobił też łyżki i talerze dla mamy, wiesz?

Eloi kiwa głową, podczas gdy dziewczynka biegnie pokazać wszystkim nową zabawkę.

Głośno wypowiedziana myśl i usprawiedliwiające wzruszenie ramionami.

— To jest cała przygoda mojego życia. Przez ostatnie dziesięć lat nie robiłem nic innego.

— Nie wygląda na zbyt wiele... — ironizuje.

— Nie wiem, czy to mało, czy dużo. Moja historia z pewnością nie dorównuje twojej.

Biorę go za rękę, uśmiechając się kpiąco.

— Jeżeli chcesz się zamienić, ubijemy interes w mgnieniu oka.

Spogląda na mnie z powagą.

— Nie, ja nie chcę mieć twojej przeszłości. Chciałbym tylko zrozumieć, za sprawą jakiej dziwnej alchemii nie wplątałem się nigdy w nic takiego jak to, co ty przeżyłeś, i *vice versa*.

— Dobrze. A jeśli ci się uda, spróbuj też wytłumaczyć mi, dlaczego w mojej przeszłości nie ma nic, co by przypominało mi Magdę, Kathleen, to miejsce...

— Urodziliśmy się i wyrosliśmy w dwóch odmiennych światach, Lot. Po tamtej stronie są panowie, biskupi, książęta, diukowie i chłopci. Po tej kupcy, bogaci bankierzy, właściciele okrętów i płatni pracownicy. Antwerpia i Amsterdam nie przypominają Mühlhausen, ani nawet Münsteru. To miasto jest najważniejszym portem Europy. Nie ma dnia, żeby nie załadowywano tu okrętów wełną, jedwabiem, solą, gobelinami, przyprawami, futrami i węglem. W ciągu trzydziestu lat kupcy przekształcili swoje sklepy w agencje handlowe, domy w pałace, małe stateczki w dalekomorskie statki. Nie istnieje tu antyczny i niesprawiedliwy porządek, który można by wyrzucić do góry nogami, nie ma też prostych oraczy do wyniesienia na tron. Nie da

się tu wywołać żadnej apokalipsy, ponieważ ona urzeczywistnia się już od dawna.

Przerywam mu klepieniem w kolano.

— Wiem już, gdzie usłyszałem po raz pierwszy twoje imię! Wymienił je Johannes Denck, który opowiadał nam w Mühlhausen, w jaki sposób czarowałaś kupców w tym kraju. Przekonałeś go, że nic nie da się wykombinować w mieście bez pieniędzy.

Eloi sięga po monetę i obraca ją w rękach, a potem rzuca kilka razy w powietrze i łapie.

— Widzisz? Takiego pieniążka nie da się wyrzucić do góry nogami, bez względu na to jak go przekreślisz, zawsze pokazuje ci jedno swoje oblicze.

Zamyka oczy, wystawiając z przyjemnością twarz na słońce, które prześwieca między gałęziami drzewa, i szukając jednocześnie jakiegoś porządku, punktu wyjścia dla swojej opowieści.

Uśmiecha się.

— Z początku myślałem o czymś na kształt wspólnot hutterytów...

— Tych wariatów z okolic Nikolsburga?

— Właśnie ich, żyją całkowicie odizolowani od reszty świata i starają się wystarczyć sami sobie.

Z wystudowaną emfazą odwracam się w jego stronę, wyraźnie zaskoczony.

— Oni nie powiedzieliby na temat pieniędzy tego samego, co ty przed chwilą. Co się stało, że zmieniłeś pogląd?

Szuka odpowiednich słów, sprawa jest trudna, dochodzi do wniosku, że musi ująć to szerzej, ryzykując nawet pogubienie się w zbyt swobodnych dygresjach długiego wywodu.

— Apokalipsa nie jest celem, do którego należy dążyć, ona jest między nami. W ciągu ostatnich dwudziestu lat słyszałem wiele krzyków domagających się apokalipsy, ale gdyby dziś naprawdę przyszła, trzeba by było mocno się namęczyć, żeby odróżnić ją od codziennego losu przeznaczonego ludziom. Prawdziwe Królestwo Boże zaczyna się tu — wskazuje palcem swoją pierś — i tu — dotyka palcem czoła. — Czystość nie oznacza oddzielenia się od świata, potępienia go po to, aby na ślepo poddać się bożemu prawu: jeżeli chcesz zmienić ludzki świat, musisz w nim żyć.

Podnoszę się, żeby zaczerpnąć wody ze starej studni na środku podwórza. Ciągnąc za sznur z wiadrem, czuję ból w całych plecach. Spoglądam na Eloi: gdyby mi nie powiedział, że jest w moim wieku, myślałbym, że jest dużo młodszy.

— Jeśli chcesz mnie przekonać, że Batenburg był wariatem, możesz to sobie darować, sam o tym wiem. Ale być może miał poglądy niezbyt różniące się od twoich, wierzył, że wybrani już

są czysti, niezdolni do popełniania grzechów, myślał, że przeżywa już Apokalipsę. Dlatego zabijał i mordował, nie zastanawiając się nad tym.

Pociąga łyk chłodnej wody.

— W człowieku, który egzorcyzuje w innych ludziach pogardę, którą żywi dla samego siebie, dla swoich klęsk, w kimś, kto wini i sądzi innych, żeby samemu nie być ani sądzonym, ani winnym, tkwi ksiądz, który, jeśli nawet próbuje się ukryć, kracze wciąż pomiędzy krukami starej wiary. Ktoś, kto okazuje dość inteligencji, żeby zrozumieć świat, ale zbyt mało, żeby nauczyć się żyć, nie może oczekiwać niczego więcej oprócz męczeństwa. — Znowu uśmiecha się do mnie. — Ja nigdy nie mówiłem o wybranych. Powiedziałem tylko, że każdy może odkryć w sobie ducha bożego, który jest wolny, niezależny od jakichkolwiek kodeksów, niezdolny do wyrządzania szkody. Powiedziałem, że grzech znajduje się w głowie grzesznika.

Zaczynam rozumieć.

— Kiedy miałem dwadzieścia lat — ciągnie z pogodną miną — wierzylem, że Luter podarował nam nadzieję. Nie musiałem się wysilać, żeby zrozumieć, że natychmiast przehandlował ją możliwym. Stary mnich uwolnił nas od papieża i od biskupów, ale skazał na pokutowanie za grzechy w samotności, w samotności wewnętrznej udręki, pakując nam księdza do wnętrza naszej duszy, ustanawiając trybunał w naszej świadomości, osądzający każdy nasz gest, potępiający wolność duchową w imię niedającego się odpokutować zepsucia natury ludzkiej. Luter podarł na strzępy czarną księżą sutannę, aby pozszywać ją na nowo w sercach wszystkich ludzi.

Bierze oddech, bawiąc się leżącymi na ziemi wiórkami. Naprawdę chce powiedzieć mi wszystko, niemal zrewanżować mi się za moją opowieść. A ja mam ochotę go słuchać.

— Chciałbym, żebyś zrozumiał, że ja i ty wyszliśmy od tego samego rozczarowania. Ci sami ludzie, którzy chcieli zreformować wiarę i Kościół, zreformowali też starą władzę, dali jej nową maskę. Nadzieje, jakie mieliście wy, anabaptyści, były uzasadnione: zdemaszkować kłamstwa Lutera i ruszyć dalej, rozpoczynając od miejsca, w którym on się zatrzymał. Ale wasza wizja walki kazała wam podzielić świat na czarny i biały, na chrześcijan i antychrześcijan. — Potrząsa głową. — Tego rodzaju wizja jest potrzebna do wygrania słusznej bitwy, ale nie wystarcza do osiągnięcia wolności duchowej. Przeciwnie, może zbudować nowe więzienia dla duszy, stworzyć nowe moralne szantaże, nowe trybunały. Sens tego wszystkiego tkwi w historii, którą mi opowiedziałeś: w tym, co robili Matthijs, Rothmann, Bockelson, Batenburg... Różnica między papieżem i prorokiem polega tylko na fakcie, że obaj rywalizują o monopol na

prawdę, na Słowo Boże. A ja myślę, że to Słowo każdy powinien móc znaleźć samodzielnie. Pozostałem poza tymi sporami i drażyłem sprawę właśnie w tym kierunku. — Robi szeroki ruch ręką, wskazując otaczające nas podwórze. — Nie myśl, że to było łatwe. Wiele razy ryzykowałem, że zostanę uwięziony, i przez wiele lat musiałem żyć w ukryciu.

— Kathleen mówiła i o tym.

Kiwa potakująco głową.

— Sądziłem nawet, i to parę razy. O obrazę praw miejskich i oszustwo na szkodę kupca tkanin. Wygrzebałem się z kłopotów dzięki temu, że wielu ludzi w całej Europie używało mojego nazwiska, łącznie ze starym Denckiem, pokój jego duszy. Znajdowałem się zawsze w innych miejscach niż te, w których władze mnie sytuowały. Pod tym względem jesteśmy mocno do siebie podobni... Myślę o tym, w ilu ludzi wcieliłem się aż do tej chwili, ale nie mogę przypomnieć sobie dokładnej liczby.

— Ja byłem wieloma ludźmi i wielu ludzi było tobą. Tak, różnica jest niewielka.

Siadamy obok siebie na schodach, niemal instynktownie sięgam po kawałek drewna i zaczynam go obrabiać scyzorykiem. Ostry zapach piżmaczka, który rośnie wszędzie, w całym ogrodzie, jest upajający, podoba mi się, przypomina niemieckie lasy.

Uświadamiam sobie, że on chce iść dalej, powiedzieć mi coś innego, coś, z czym czekał przez długi czas.

— Z Antwerpii wszystko wydaje się jaśniejsze. Tutaj nawet taki mały dekarz jak ja może zdać sobie sprawę z wielu rzeczy, które gdzie indziej nie zwróciłyby niczyjej uwagi. Nauczyłem się czytać i pisać, nauczyłem się mówić, odwiedzając kupców w tym mieście, przekonując ich do wolnego i szczęśliwego życia. Ale przede wszystkim dowiedziałem się, co napędza świat, ludzi, religie. Widzisz, tu krzyżują się drogi kupców ze wszystkich krajów, przywozi się i wywozi wszelkiego rodzaju towary: polską sól, która płynie do Anglii i do Portugalii; szwedzkie futra dla cesarskiego dworu; złoto z Nowego Świata, przerabiane przez miejscowych rzemieślników; angielską wełnę, minerały z czeskich kamieniołomów. Ten ruch daje pracę niezliczonej liczbie ludzi: kupcom, właścicielom statków, marynarzom, rzemieślnikom, tragarzom... i oczywiście żołnierzom, żeby zapewniali bezpieczeństwo na ulicach, zdobywali nowe ziemie, uśmierzali bunty. Życie krajów i ich ludności kręci się wokół handlu. Cesarstwo Karola V bez niderlandzkiego handlu nie utrzymałoby się na nogach. Niderlandy są płucami tego imperium: większą część podatków Karol czerpie z tych terenów, a raczej od niderlandzkich kupców i rzemieślników.

— To dlatego buntują się przeciwko podatkom narzucanym przez cesarza?

— Tak. Są zmęczeni finansowaniem jego wojen i nieproduktywnego przepychu dworu. — Znowu wyjmuję monetę, rzuca ją w powietrze i łapie w locie. — Zapłacić robotnikom, przewieźć produkty, wyposażyć i otaklować statek, nająć załogę, postawić na nogi wojsko, żeby broniło ładunku przed piratami... Wszystko to możesz zrobić dzięki jednej tylko rzeczy: pieniądзом.

Nie wiem dlaczego, ale kiedy wymawia to słowo, czuję dziwny dreszcz, który wyzwala przeczucie jakiejś przewidywalnej prawdy, wciąż jednak mrożącej krew w żyłach.

— Wszyscy uzależnieni są od pieniędzy: tak kupcy, jak i cesarz, książęta tak samo jak papież... ich zbytek, wojny, handel. — Milknie, jakby zaświtała mu w głowie jakaś nowa myśl. — Jeżeli skończyłeś już wycinać te marionetki, chciałbym ci coś pokazać.

Spoglądam na niego z zakłopotaniem, ale on podnosi się i daje mi znak, żebym poszedł za nim.

— Chodź, mały spacererek dobrze nam zrobi.

* * *

— To jest port, przez który przechodzi większość towarów z całej Europy.

Zatrzymujemy się naprzeciwko wielkiego handlowego trójmasz-towca; na prowadzącym nań trapie panuje niezwykle ożywiony ruch, tragarze dźwigają na plecach wory, wkładając w to wysiłek, który wydaje się nadludzki. Nabrzeże pełne jest ludzi załatwiających interesy, marynarzy i werbowników. Nieco dalej dostrzegam hiszpański patrol i wzdrygam się bezwiednie.

— Nie, nie, stój spokojnie. Nie rozpoznają cię w tym zamieszaniu. Ci ludzie nie szukają niepotrzebnych kłopotów. Ich zasadą jest żyć i dać żyć innym. Miałeś wtedy pecha, trafiłeś na jakąś represyjną akcję. Chodź.

Eloi prowadzi mnie w kierunku murowanego budynekczku, na którym widać wyblakły szyld; nie umiem go odczytać, nie zdążyłem nauczyć się pisanego języka tego kraju.

— Tu mieści się kantor wymiany. Kupcy mogą tu wymienić pieniądze angielskie, szwedzkie albo niemieckich księstw na jakąkolwiek inną monetę, jaka jest w obiegu, w zależności od tego, w jakim kraju zawarli kontrakty. Monety się zmieniają, ale pieniądż jest ciągle ten sam; nie ma znaczenia, czyja głowa jest na nich wybita.

Idziemy w kierunku dużego, trzypiętrowego budynku i tym razem udaje mi się odczytać szyld: DOM KUPCÓW I ARMATORÓW.

— Tutaj kupcy decydują o przedsięwzięciach, o tym, jakie interesy będą dla nich najkorzystniejsze.

Przepychamy się łokciami, żeby wydostać się z ludzkiej ciżby, ze wszystkich stron otacza nas niemilkący chór języków i dialektów z całej Europy, istna wieża Babel, w której wszyscy zdają się rozumieć wszystkich.

— Widzisz te wozy? Przyjeżdżają tu z Liège, przywożą wełniane sukna z tkalni Condroza; zostaną załadowane na te statki i popłyną do Anglii, gdzie kupcy z Atwerprii zaopatrują się w wełnę u angielskich hodowców owiec.

— Ależ to idiotyzm!

Eloi śmieje się na cały głos.

— Nie. To przynosi zysk. Być może pewnego dnia Anglicy zorientują się, że bardziej opłacałoby się im rozwinąć przemysł tkacki u siebie, ale na razie funkcjonuje to w taki właśnie sposób.

Idziemy dalej, oddalając się od kanału, w kierunku centrum miasta. Droga prowadzi wąskimi zaułkami, do których nigdy nie docierają słoneczne promienie.

— Cały ten mechanizm napędzany jest przez pieniądz. Bez niego nikt tu, w Anwerprii, a może i w całej Europie, nie ruszyłby nawet palcem. Prawdziwym symbolem Bestii jest pieniądz.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Zatrzymujemy się koło budki, w której sprzedaje się kapustę z wędzonymi kielbaskami, owiewa nas przenikliwy zapach.

— Jak myślisz, w jaki sposób Karol sprawił, że w roku tysiąc pięćset dziewiętnastym wybrano go na cesarza? Zapłacił za to żywą gotówką. Kupił książęcych elektorów, ktoś podsunął mu do dyspozycji większą sumę pieniędzy od tej, jaką oferował francuski król Franciszek. A wojna chłopska? Ktoś pożyczył niemieckim książętom dość pieniędzy na wyekwipowanie wojsk, które rozprawiły się z buntownikami. A jak sądzisz, w jaki sposób Karol Piąty finansuje wojnę z Francuzami we Włoszech? I wyprawy przeciwko saraceńskim piratom? I kampanię przeciwko Turkom na Węgrzech? Myślisz może, że tutejszym kupcom wystarczyłoby ich własnych pieniędzy, żeby wyekwipować statki do tych dalekich handlowych podróży? Nie daliby rady tego zrobić nawet we śnie. To sprawa pieniędzy, rzek pieniędzy, które pożyczają się w zamian za procent od zysków. Tak to działa, mój przyjacielu.

Zadaję mu pytanie, które już od jakiegoś czasu wisi w powietrzu.

— Kto dysponuje takim majątkiem?

Eloi spogląda prosto przed siebie, a potem wskazuje stojący przed nami budynek i mówi cicho:

— Banki.

— Teraz już wiesz, gdzie gnieździ się antychryst, z którym walczyłeś przez całe życie.

— W tym budynku? — wskazują imponującą budowlę, przed której frontonem stoimy.

— Nie. W sakiwkach, które przechodzą z rąk do rąk na całym świecie. Walczyłeś przeciwko książętom i wielkim posiadaczom. A ja ci tłumaczę, że bez pieniędzy oni byliby niczym, pokonalibyście ich w jednej chwili. Ale zawsze znajdzie się jakiś bankier, który podtrzyma ich na świeczniku, finansując przedsięwzięcia.

— Rozumiem, że to miało sens w wypadku działalności handlowej, ale co taki bankier może zarobić na wojnie z chłopami?

— Jeszcze tego nie pojąłeś? Chodzi o to, żeby wrócili orać pola swoich panów, wydobywać minerały z ich kopalni. A jak już wrócą, to od wszystkiego, co zostanie wytworzone, pokażną część otrzymają właśnie bankierzy. Popatrz, Karol Piąty i księżęta to warstwa pasożytów, która niczego nie wytwarza, a za to odczuwa wielką potrzebę marnotrawienia pieniędzy... na wojny, dwory, konkubiny, dzieci, turnieje, poselstwa... Jedynym sposobem na uregulowanie należności, które są winni bankierom, jest udzielanie im koncesji, oddawanie w pacht kopalni, fabryk, ziem, całych regionów. W ten sposób bankierzy wzbogacają się bezustannie, a możni uzależniają się coraz bardziej od ich pieniędzy. Powstaje takie błędne koło.

Eloi ma tajemniczą minę, która nie zostawia wątpliwości, że bawi go to odmalowywanie mi świata ze swojego punktu widzenia. Kupuje dymiącą kielbasę i dmucha na nią przed ugryzieniem.

Wskazuje bank.

— Na pewno musiałeś słyszeć o Fuggerach z Augsburga. To oni są bankierami cesarstwa. Nie ma w Europie portu, w którym nie byłoby ich filii. Nie ma dziedziny handlu, w której nie uczestniczyliby choćby w minimalny sposób. Nasi kupcy zginęliby bez pieniędzy, które Fuggerowie oddają im do dyspozycji na finansowanie ich podróży. Karol Piąty nie mógłby przesunąć z miejsca na miejsce nawet jednego żołnierza, gdyby nie miał nieograniczonego kredytu w ich kasach. A zresztą, cesarz zawdzięcza Fuggerom swoją koronę, wojnę przeciwko Francji, krucjatę przeciwko Turkom i utrzymanie wszystkich swoich nałożnic. Odwdzieczył się im, oddając do użytkowania węgierskie i czeskie kopalnie, przekazując pobieranie podatków w Katalonii, udzielając monopolu na wydobywanie wszelkich kopalin w Nowym Świecie, i Bóg wie co jeszcze. — Kielbaska wycelowana jest prosto w stojący przed nami budynek. — Wierz mi, bez pieniędzy Fuggerów ten człowiek już dawno by się zrujnował. — Kręci głową na wszystkie strony. — A to wszystko być może w ogóle by nie istniało.

Najspokojniej w świecie oblizuje sobie zatłuszczone palce.

Robię kilka kroków, przechodząc na środek ulicy, przyglądam się anonimowej, masywnej budowli, potem rozglądam się dokoła z pewnym zakłopotaniem, w mojej duszy nakładają się na siebie sprzeczne uczucia... złość, zdumienie, także szyderstwo. Zatrzymuję się i wyrzucam to wszystko z siebie.

— Dlaczego aż dotąd nikt nie powiedział mi ani słowa o bankach?

Rozdział 42

Antwerpia, 30 maja 1538 roku

— Twoja opowieść, ta nieprawdopodobna historia Gerta w Dół i do Góry ze Studni odjęła mi dech. Nie mogłem spać po naszych rozmowach do późnej nocy. Uwielbiam ludzi, którzy potrafią opowiedzieć jakąś historię słowami, pędzlem czy piórem. Odmalowałeś Münster z mistrzostwem artystów malarzy, dzięki czemu i ja przeżyłem tę historię, a ty nawet dwa razy. Tak, Lot, dwa razy, raz w prawdziwym życiu, a drugi, żeby się od niej uwolnić. Jak tego chcesz imię, które ci nadaliśmy, patrz prosto przed siebie, spoglądaj poza te statki, co dzień czekające na podniesienie kotwicy przy nabrzeżu, które ciągnie się milami, a gdzieś tam daleko sięga otwartego morza. Morza, Lot. A nie mija nawet jeden dzień, żeby zza tego morza nie nadeszły wieści o nowych ziemiach i nowych ludach. A również o nowych zbrodniach. Za tym morzem apokalipsa pojawia się każdego ranka, razem ze słońcem. Nie oglądaj się za siebie, nie bądź więźniem własnej przeszłości. Wy płyn na morze, rzuć cumy, które wiążą cię do brzegu, stań na dziobie żaglowca i ruszaj w świat. Wyruszymy razem. Za jednym światem, który się kończy, zaczyna się następny, a ta twoja apokalipsa oraz my wszyscy tkwimy pośrodku. Pomóż mi oporządzić statek, który rzuci wyzwanie burzy.

Eloi podnosi się i robi parę kroków między budką z kiełbaskami i wielkim szarym budynkiem, a potem wraca i siada na schodku.

— O czym myślisz?

Spogląda na wytworną fasadę, na główne drzwi z masywnego drewna.

— O tym, żeby śmiertelnie ugodzić tę Bestię. I zarobić kupę forsy.

* * *

Wzdłuż mola zbitego z desek przytwierdzonych gwoździami do pali, w tej płataninie nieskończonego labiryntu brudnej wody i drewna, podążam za Eloi, który maszeruje żwawym krokiem.

Mały handlowy stateczek, pękaty i niezgrabny: pojemne ładownie, bardzo wysokie maszty, mała kabina pod mostkiem rufowym. Rzeźba Feniksa z rozpostartymi skrzydłami zdobi jego dziób; to od niej wziął imię *Phoenix*

— Lodewijk Pruytstink!

Witający nas mężczyzna wychyla się za balustradę mostka: siwa broda i włosy, ospowata twarz, małe, rozbiegane oczka.

— Polnitz, czarodziej liczydeł!

Eloi chwytając poręcz trapu i jednym susem wskakuje na pokład. Ja za nim.

Posyła tamtemu uśmiech.

— Gotz, to jest Lot, który wylazł ze studni. Mistrz w sztuce wychodzenia z tych głębokich dziur w ziemi.

— Chodźcie, chodźcie do środka.

Muszę się pochylić, żeby wejść do kabiny. Stół przylegający do frontowej ścianki, po bokach dwa krzesła, ławka przytwierdzona do podłogi. Jedyne światło wpada przez drzwi, którymi weszliśmy, jeśli nie liczyć świecy na stole.

Eloi zostawia mi krzesło i siada bokiem do mnie na ławce, Polnitz naprzeciwko mnie. Nie wygląda na marynarza.

— Dobrze, panowie. — Odwraca się do Eloi. — Przypuszczam, że naszemu przyjacielowi potrzebne będą wyjaśnienia.

— Na pewno. Ale jeśli go tu przyprowadziłem, to dlatego, że jest osobą, której szukamy.

Krzywię się nieznacznie i czekam.

Poltitz poprawia się na krześle.

— No, to nie traćmy czasu. Wiesz, kto to są Fuggerowie z Augsburga?

Nie odrywa ode mnie oczu.

— To jacyś bankierzy.

— Tak, bankierzy. — Jego oczy przyglądają mi się uważnie, wie już, co chce mi powiedzieć. — Pozwól, że opowiem ci pewną historyjkę.

Eloi przypala sobie cygaro i w milczeniu otacza się kłębam dymu.

— Dziesięć lat temu najpotężniejszym bankierem w Antwerpii był niejaki Ambrosius Höchstetter, staruszek jak wyciosany z kamienia, królował tu od dziesięcioleci. Każdy floren wydany przez węgierskiego króla Ferdynanda pochodził z jego sakiewki, w zamian za całą czeską rtęć i wiele innych rzeczy. Aby osiągnąć tę pozycję, stary Ambrosius wiele lat wcześniej był bardzo przewidujący. Rozu-

miał wagę przyjaźni z Habsburgami, ale także to, że jeśli nawet książęta dawali mu prawa do korzystania z kopalni i z ziem, to i tak duże pieniądze przechodziły przez inne ręce, brudniejsze i zręczniejsze. Przez ręce kupców z Antwerpii. Tak więc zaczął gromadzić ich oszczędności, zyski z handlowych interesów, z manufaktur i ze wszystkich małych i wielkich transakcji, które przeprowadza się w tym porcie. Każdemu, kto składał u niego niewielkie nawet sumy, płacił solidne procenty. A te pieniądze pożyczał kupcom, którzy właśnie ich potrzebowali, finansował ich działalność i zdobył taką władzę nad wszystkimi, którzy prowadzili w Antwerpii handel, że nikt nie mógł nawet marzyć o tym, żeby go zrzucić z tego tronu. — Gotz von Polnitz wpatruje się we mnie, jakby chciał mieć pewność, że nie stracę ani jednego słowa z jego opowieści. — W roku tysiąc pięćset dwudziestym ósmym Höchstetter był wciąż jeszcze „królem” Antwerpii, ale wpadł w kłopoty. Był stary, prawie oślepl, a wielu spoza tego miasta miało ochotę zająć jego miejsce. W tym samym roku niejaki Lazarus Tucher, kupiec pochodzący z Norymbergi, rozpoczął nieduży wymienny handel między Lyonem i Antwerpią. Tucher był zamożny i bystry, ale nie cieszył się względami Höchstettera, wiedział więc, że nie mógłby rozwinąć zbyt wielu swoich interesów. Od wiosny tego roku właśnie z Lyonu zaczęły napływać plotki na temat rzeczywistych rezerw gotówkowych Höchstettera; staruszkowi winni byli wszędzie znaczne sumy pieniędzy, pożyczał je kupcom, wyposażał Habsburgów, a wojna o monopol na rtec była bardzo kosztowna. Drobnе depozyty małych handlarzy i korporacji rzemieślniczych z Antwerpii znajdowały się beznadziejnie daleko, na statkach płynących do Nowego Świata, na dworze Ferdynanda i w czeskich kopalniach. Wydaje się to niewiarygodne, ale w krótkim czasie tłum klientów zażądał zwrotu złożonych u niego sum. — Gotz bierze oddech, pozwala mi wyobrazić sobie, jak to mogło wyglądać, a potem mówi dalej: — Bankructwo było nieuchronne. Höchstetter nie miał w swoich skrzyniach dość pieniędzy, aby zadowolić żądania, próbował desperacko uratować się, prosząc nawet o pomoc swoich najbardziej zagorzałych konkurentów, ale jego los był już przesądzony. W roku tysiąc pięćset dwudziestym dziewiątym młody, agresywny Anton Fugger, potomek patriarchy Jacoba zwanego Bogatym, triumfalnie wkroczył do miasta, udzielając gwarancji masie wierzycieli i przejmując za jednym zamachem obligacje, magazyny i całą działalność Höchstettera. Staruszek, oskarżony o oszustwo na szkodę oszczędzających, dokonał dni w więzieniu. W rzeczywistości młody Fugger kończył operację rozpoczętą przeszło rok wcześniej, kiedy pilotował akcję dyskredytowania Höchstettera dzięki sprytowi swojego najbardziej ambitnego agenta Lazarusa Tuchera. Antwerpia koronowała nowego króla.

— A jak skończył ten Tucher? — pytam machinalnie.

Gotz cedzi z rozwąga każde słowo:

— To nieważne, nie ma go już w tym mieście. Moja historyjka uczy podstawowego prawa: ten, kto chce zbierać od wielu ludzi ich oszczędności, musi cieszyć się powszechnym zaufaniem.

Znowu chwila przerwy. Eloi słucha uważnie, nie drgnie mu nawet jeden muskuł.

Gotz wyjmuje z kurtki niezbyt dużą kartkę papieru i kładzie ją na stole.

— Nie uwierzysz, ale w transakcjach, jakie się tu zawiera, kontrahenci korzystają po większej części z listów kredytowych. To takie kartki jak ta tutaj.

Obracam kartkę w rękach: jest to coś w rodzaju listu napisanego eleganckim pismem, z dwiema pieczęciami i podpisem na dole.

— Anton Fugger albo ktoś, kto w jego imieniu gwarantuje własnym podpisem ważność twojego depozytu w jego kasach. Kiedy masz w ręku taki kawałek papieru, jest dokładnie tak, jakbyś miał przy sobie swoje pieniądze, które jednak faktycznie są zabezpieczone w kasie Fuggera. Możesz wsiąść na statek, możesz podróżować, unikając ryzyka i kłopotu noszenia ich ze sobą. A jeśli zechcesz otrzymać swoje pieniądze z powrotem, udajesz się do którejkolwiek filii Fuggerów, rozrzuconych po całej Europie, i prosisz o ich wypłacenie, okazując twój list kredytowy. Ale najistotniejsze jest to, że właśnie dzięki prawu kredytowemu mógłbyś je odzyskać, nie chodząc do filii. — Gotz przerywa, przygląda się moim zmarszczonym brwiom, składa ręce, szuka właściwych słów i podejmuje: — Ja jestem kupcem korzennym, ty chcesz kupić mój towar i masz przy sobie taki list albo inaczej weksel, który gwarantuje twój kredyt u Fuggerów na dwa tysiące florenów. Możesz zapłacić mi tym papierem. — Wskazuje list, który trzymam w dłoni. — Wystarczy, że go odwrócisz i napiszesz na drugiej stronie, że przekazujesz twój depozyt mnie. Od tego momentu to ja mogę wycofać dwa tysiące florenów z którejs kasy Fuggerów, ponieważ gwarantuje mi to jego podpis, a nie twój. Rozumiesz? Nie muszę mieć zaufania do ciebie, to nie ty obiecujesz mi, że zapłacisz, wystarczy, żebym zaufał słowu Antona Fuggera.

Odwracam kartkę i widzę kilka wpisów, pod każdym figuruje inny podpis. List, który mam w ręku, sześć razy zastąpił bitą monetę, która nie musiała w ogóle opuszczać kasy banku.

— Jak dotąd wszystko jasne?

— Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. Jaki interes ma w tym wszystkim bankier?

Gotz kiwa ze zrozumieniem głową.

— Podczas gdy list kredytowy przechodzi z rąk do rąk, pieniądze są jednak do jego dyspozycji. Przypomnij sobie starego Höchstettera, który przyjmował oszczędności i inwestował je w zyskowych przedsięwzięciach. To właśnie robi bankier. Twoje dwa tysiące florenów, razem z pieniędzmi wielu innych oszczędzających, idą na finansowanie wyposażenia handlowych flot, werbowanie wojsk, wydobywanie minerałów, utrzymanie książęcych dworów i wiele innych rzeczy, aby wrócić potem jako podwojone do kasy Fuggerów. Fugger ma w kasie żywe pieniądze, Fugger pożycza je książętom i kupcom, Fugger inkasuje je z powrotem z zyskiem. — Zostawia mi czas, żebym się w tym połapał. — W ten sposób pieniądz rodzi pieniądz.

Jego milczenie informuje mnie, że dotarliśmy do ważnego momentu spotkania. Eloi już nie pali, założył ręce i siedzi z zamyśloną miną. Gotz w dalszym ciągu rozmawia tylko ze mną.

— Teraz już rozumiesz, dlaczego Fugger jest w stanie powiększyć swoje małe oszczędności, jeśli zostawisz mu je na dłuższy czas.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że on wypłaca pewien zysk także i tobie, ponieważ w każdym wypadku, składając w jego kasie jakąś sumę, oddałeś do dyspozycji pieniądze, umożliwiając mu w ten sposób powiększenie rozmiarów jego inwestycji.

Próbuję połapać się w tym wszystkim.

— Powiadasz, że jeśli złożę moje dwa tysiące florenów w banku i pozostawię je tam, to po roku zrobi się z nich dwa tysiące sto?

Gotz pozwala sobie na pierwszy uśmiech.

— Właśnie tak. Dzięki temu oszczędzających nie będzie kusić, żeby zbyt prędko wycofywali swoje depozyty, no i nie wystawią Fuggera na groźbę wypływu żywej gotówki z jego kas. — Znowu wskazuje list kredytowy. — Z tego punktu widzenia ten kawałek papieru ułatwia powiększenie zdeponowanych sum, bo dopóki ktoś nie pójdzie ich podjąć, mogą one rosnąć w rękach Fuggera.

Czuję trochę zamieszania w głowie, mechanizm wydaje się prosty w słowach Gotza, ale dręczy mnie wrażenie, że coś nieuchronnie uszło mojej uwagi.

— Hmm, zobaczymy, czy wszystko zrozumiałem. List kredytowy opiewa na dwa tysiące florenów. Mogę zdecydować, żeby natychmiast za coś nim zapłacić, tak jakby był pieniądzem, albo zachować go i czekać, aż depozyt wzrośnie o procenty. — Gotz śledzi moje rozumowanie, potakując wyraźnymi ruchami głowy. — No cóż, myślę, że wybór zależałby od tego, czy nie potrzebowalbym tych pieniędzy, żeby ich użyć od razu.

— Doskonale.

— To jest diabelski mechanizm.

Eloi chichocze kpiąco i odzywa się wreszcie:

— Nie mieszajmy diabła w tę sprawę. Już i tak jest wystarczająco skomplikowana.

Gotz znowu przykuwa moją uwagę.

— Cały mechanizm opiera się tylko na zaufaniu, które wszyscy okazują podpisowi Antona Fuggera. To jego słowo rządzi transakcjami.

— Tak. To jest wystarczająco jasne.

— Dobrze. — Po raz pierwszy jego spojrzenie szuka potwierdzenia u Eloi. Małeńki ruch głową mojego przyjaciela i ospowata twarz Gotza odwraca się znowu do mnie. — W takim razie przejdźmy do sedna sprawy. Co byś pomyślał, gdybym ci powiedział, że list kredytowy, który masz w ręku, jest fałszywy?

Odwracam bladeżółtą kartkę, przyglądam się dokładnie podpisom, pieczęciom.

— Powiedziałbym, że to niemożliwe.

Twarcz Gotza zdradza zadowolenie. Z małej sakiewki, którą ma u boku, wyciąga czarne pudełeczko, wyjmując czystą kartkę takich samych wymiarów jak ta, którą mam w ręku, kałamarz i długie gęsie pióro.

Pisze powoli, starając się nie zabrudzić kartki jakimś kleksem, słychać tylko skrzypienie jego pióra, poruszającego się na oczach dwóch widzów.

Roztopia płomieniem świecy czubek laseczki czerwonego wosku i pozwala dwom kroplom kapnąć na kartkę. Otwiera teraz pudełeczko, wyjmując z niego dwie małe ołowiane pieczętki i przykłada je do gorącego wosku. Obraca kartkę i podsuwa mi ją na stole.

Pismo jest identyczne, te same słowa, jednakowe pociągnięcia piórem. Te same pieczęci, także podpis Antona Fuggera znajduje się w tym samym miejscu, te same lekkie rozlania inkaustu na samogłoskach, gdzie ręka naciskała pióro trochę mocniej.

Wbijam spojrzenie w twarz Gotza, próbując pojąć, co za diabeł siedzi przede mną. On nie okazuje najmniejszego zmieszania.

— Oba są fałszywe.

— Ale jakim sposobem zdobyłeś te pieczęci?

Uspokaja mnie ruchem ręki.

— Wszystko we właściwym momencie, mój przyjacielu. Przypatrz się teraz dobrze obu tym listom.

Moje spojrzenie kilka razy przechodzi z jednego na drugi.

— Są identyczne.

— Nie całkiem.

Przyglądam się z jeszcze większą uwagą.

— Na tym są jakieś znaki na prawym marginesie, u dołu, ale prawie niewidoczne.

— Rzeczywiście. To jest tajny kod. Za jego pomocą agenci, którzy pracują dla Fuggera w filiach rozrzuconych po całej Europie, porozumiewają się ze sobą. Pierwszy symbol oznacza filię, która wystawiła list kredytowy, czyli tę, w której zostały wpłacone pieniądze. Bohomaz, który tam widzisz, mówi, że pieniądze wpłacono w Augsburgu. Drugi znak to osobisty, także zaszyfrowany, podpis agenta, który wystawił list, w tym wypadku samego Antona Fuggera. Trzeci znak to rok wystawienia.

— Skąd znasz ich kody?

Gotz udaje, że nie dosłyszał pytania.

— Gdybyś przyszedł do którejkolwiek agencji Fuggera z listem bez tych szyfrowanych znaków, zostałbyś natychmiast zaaresztowany. Nawet gdybyś umiał podrobić podpis kogoś z agentów Fuggera, jeżeli nie znasz szyfru, nie możesz podrobić listu kredytowego.

— A ty jak go poznałeś?

Cisza. Wpatrujemy się w siebie.

Eloi zachęca go.

— Powiedz mu.

Gotz wzdycha.

— Przez siedem lat pracowałem jako agent Fuggerów w Kolonii.

Myśli gnają na oślep, zamęt w głowie. Odwracam się do Eloi.

— To jest ten interes? Fałszowanie listów kredytowych i podciąganie po cichu z kas Fuggerów?

Eloi śmieje się.

— Mniej więcej. Ale to nie jest takie łatwe, jak się wydaje.

Gotz odzywa się znowu:

— Fugger i jego agenci znają osobiście swoich najpoważniejszych klientów, są to ludzie, z którymi robią najzyskowniejsze interesy. Ponadto mają wystarczająco dokładne pojęcie o zakresie wymiany, jaka się odbywa między portami od Bałtyku po Portugalie; to ich królestwo, nie zapominaj o tym. Antwerpia położona jest dokładnie w środku tych handlowych szlaków, to ich twierdza. Gdyby jutro jakiś nieznajomy z łatami na tyłku wszedł do miejscowego banku, z listem, który upoważnia go do podjęcia pięciu tysięcy florenów, raczej nie wyszedłby od nich z tą kwotą przez nikogo nieniepokoiony. Trzeba pracować nadzwyczaj subtelnie. Powoli, małymi krokami.

Gotz jest fantastyczny, gdyby nawet sprzedawał wróble na dachu, rzecz wydawałaby się najprostsza w świecie. Teraz jednak muszę się dowiedzieć, o czym tak naprawdę rozmawiamy.

— Ile?

— Trzysta tysięcy florenów w ciągu pięciu lat.

Polykam tę górę pieniędzy, której nie umiem sobie nawet wyobrazić: uderzenie w najbogatszych bankierów chrześcijańskiego świata.

— W jaki sposób?

Kiwa wyrozumiale głową, jeszcze tu jestem, to dobry znak.

— Zaraz ci to wyjaśnię.

* * *

— Przede wszystkim trzeba uruchomić działalność, która będzie przykrywką. Co wiesz o handlu towarami?

— Okradłem pewnego kupca na drodze do Augsburga i zabiłem trzech oszustów koło Rotterdamu. Prawdopodobnie jest to zyskowna działalność, ale wydaje się ryzykowna.

Gotz się cieszy.

— Świetnie. Rzeczywiście, jedną z działalności bankierów jest ubezpieczanie ładunków, ponieważ w tych czasach kupcom trudno jest podejmować w pojedynkę całe ryzyko.

— Mów dalej.

— Wyobraź sobie, że jesteś kupcem, który ma okazję uruchomić sporą wymianę handlową z Anglią. Kupujesz w manufakturach Antwpii i Ostendy rafinowany cukier trzcinowy i sprzedajesz go na placach targowych Londynu i Ipswich. Jest to bardzo zyskowny handel, a twoim zamiarem jest jak największe jego rozwinięcie. Wynająłeś dwa statki, ale właściciel zażądał, żebyś przyjął na siebie całe ryzyko transportu, łącznie ze statkami. Co robisz, żeby się zabezpieczyć?

Zastanawiam się przez chwilę i domyślam się, jak powinna brzmieć odpowiedź.

— Idę do siedziby Fuggerów w Antwpii, żeby im opowiedzieć tę historię i ubezpieczyć ładunek i statki.

Małe, czarne oczka Gotza nie ruszają się.

— Znasz już dalszy ciąg?

— Co się stanie z ładunkiem i ze statkami?

Eloi uprzedza jego odpowiedź.

— Pierwszy ładunek cukru dociera szczęśliwie do Londynu. Za drugim razem ładunek płynie do Ipswich i dwa statki, które go wiozą, wpadają w zasadzkę zelandzkich piratów.

— Będziesz więc miał prawo do pobrania piętnastu tysięcy florenów z tytułu ubezpieczenia — dodaje Gotz.

Myślę spokojnie. Dotąd wszystko jest jasne.

— A potem?

— Zamiast podejmować pieniądze, każesz je wypłacić w listach kredytowych, potwierdzając zamiar kontynuowania działalności i pozostania w dalszym ciągu klientem agencji. I rzeczywiście, poprosisz agenta Fuggerów, żeby zablokował twoje listy na trzy lata, dzięki

czemu ten, kto je zrealizuje po upływie ustalonej daty, otrzyma kwotę ze znacznym zyskiem, ale nie wcześniej.

— Trzy lata?

— Żeby zyskać na czasie. Im później nasze listy zostaną zrealizowane, tym lepiej będzie dla nas. Ponieważ w ciągu tych trzech lat rozwiniesz swoje interesy za pomocą listów kredytowych, które będą poświadczać twoje depozyty w kasach Fuggerów, ale tymczasem zaczniesz także wprowadzać do obiegu listy fałszywe, które ja ci dostarczę. Za wszystkie te listy, prawdziwe i fałszywe, będziemy kupować towary na wielu różnych rynkach, a potem odprzedamy je za dzwięczące pieniądze. Część zostanie znowu złożona w banku. To posłuży do podtrzymania żywych kontaktów z agencją i będzie potwierdzeniem, że działalność handlowa umiarkowanie się rozwija. Cała reszta będzie jak najbardziej zasłużoną nagrodą za nasz spryt.

— Skąd masz pewność, że nie odkryją nas od razu?

— To jest mój zawód. To tylko kwestia właściwej proporcji między zapłatami dokonanyymi za pomocą listów, którym odpowiadają pieniądze rzeczywiście zdeponowane w banku, i zapłatami dokonanymi listami fałszywymi. Wprowadzimy te fałszywe listy do obiegu na rynkach peryferyjnych, dzięki czemu zyskamy na czasie, a Fuggerom trudniej będzie je zweryfikować.

— Jak długo może trwać ta zabawa?

— Według moich obliczeń, jeśli zachowamy ostrożność i będziemy wprowadzać fałszywe listy w różnych miejscach, to żeby do nas dotrzeć, będą musieli poświęcić na to nie mniej niż pięć lat. A zresztą, to jest wystarczający okres, żeby zapewnić sobie środki na starość. Sto tysięcy florenów na głowę. Dobrze mówię, panowie?

Zapada absolutna cisza, wydaje się, że ustał nawet szmer wody opływającej kadłub barki.

Spoglądam na Eloi.

— A twoja rola?

Oczy mojego przyjaciela błyszczą, ale odpowiada Gotz:

— Będzie twoim współnikiem w przedsięwzięciu. — Odkasłuj. — Ostatnia sprawa, nie wolno pominąć żadnego szczegółu, będziesz musiał przyzwyczać się do używania fałszywego nazwiska.

— To żaden problem — odpowiadam, podczas gdy Eloi śmieje się jak szalony.

* * *

Wsluchuję się w dudnienie naszych kroków, gdy oddalamy się po drewnianym pomoście. Gotz von Polnitz, czarodziej liczydeł, pożegnał nas, umawiając się na spotkanie pojutrze.

Idziemy pogrążeni w tych samych myślach, być może Eloi oczekuje ode mnie zgłoszenia obiekcji.

— Jest coś, co mi się nie zgadza.

Kiwa potakująco głową.

— Wiem, o czym myślisz. Dlaczego on nas potrzebuje? Dlaczego nie zrobi wszystkiego sam albo nie zwróci się do osób, które już zajmują się handlem?

— Zgadłeś.

Eloi zdaje sobie sprawę, że ukrywanie czegokolwiek nie miałoby sensu, odtąd będziemy współnikami w interesach.

— Z tego samego powodu, dla którego nie może pokazać się w Antwerpii. Polnitz to nazwisko przyjęte dla wygody. Człowiek, którego dopiero co poznałeś, uchodzi od trzech lat za zmarłego.

— Kim więc on jest, u diabła?

Eloi uśmiecha się.

— To facet, któremu Fuggerowie zawdzięczają swoje panowanie w Antwerpii. Ich najlepszy agent, Lazarus Tucher.

Wybałuszam oczy. Eloi śmieje się i kładzie palec na ustach.

— Psss. Po tym jak uszył buty staremu Höchstetterowi i przetaił drogę do tego miasta Fuggerom, za swoje zasługi został mianowany głównym agentem filii w Kolonii. A kiedy w roku tysiąc pięćset trzydziestym piątym Anton Fugger postanowił wyposażyć wyprawę, żeby dobrać się wreszcie do złota z kopalni Nowego Świata, oddał kierownictwo tej poważnej operacji w ręce skrzętnego Lazarusa. Ale burza u wybrzeży portugalskich pochłonęła całą flotyllę, która dopiero co podniosła kotwice. Każdy marynarz w porcie może ci powiedzieć, że była to największa wpadka Antona, odkąd kieruje on interesami rodziny. Nikt jednak nie wie o tym, że jeden okręt się uratował, właśnie okręt dowódcy całej flotylli, a wraz z nim wszystkie pieniądze, które miały sfinansować wydobywanie minerałów w Peru.

— I Tucher był na tym okręcie.

Zakończenie można sobie wyobrazić, ale Eloi nie zostawiłby nigdy historii opowiedzianej w połowie.

— Popłynął do Irlandii, a stamtąd do Anglii, gdzie ukrywał się przez trzy lata, robiąc interesy z przyjaciółmi Henryka Ósmego.

— A teraz postanowił zrobić skok na kasy swoich byłych pracodawców.

— W rzeczy samej.

Kierujemy się w stronę wąskiej uliczki, która przytyka do wybrzeża, na horyzoncie wznoszą się zamglone dzwonnice Antwerpii, mewy przepatrują z góry wodę, bocian przygląda się nam ze swego gniazda na maszcie wraku osiadłego na mieliźnie.

Eloi patrzy w ziemię, zastanawia się, co chciałby mi powiedzieć.

Zatrzymuje się.

— To nie jest tylko fantastyczny przekręt.

Robię jeszcze kilka kroków, czekam, aż wypróżni worek.

— Nie chodzi wyłącznie o pieniądze.

— A o co jeszcze?

— O zaufanie. Jak ci się zdaje, jak zareagowałiby kupcy, gdyby się dowiedzieli, że po wszystkich europejskich rynkach krążą fałszywe listy kredytowe Fuggerów?

— Myślę, że nie przyjęliby już żadnego świstka z podpisem Antona Fuggera.

— Właśnie tak. A czym jest bankier niebudzący zaufania? Jest jak marynarz bez okrętu. Jeśli ludzie nie będą już akceptować jego podpisu jako rękojmi, bo będą myśleć, że jest podrobiony, będzie skończony, będzie trupem. Pamiętasz historię starego Höchstettera? Załatwili go właśnie tak, pozbawiając wiarygodności. Ludzie zaczynają wycofywać swoje depozyty z banku, a brak zaufania jest jak zaraza, rozchodzi się prędko. Kto będzie chciał robić interesy z człowiekiem, który traci klientów, zamiast ich zyskiwać?

— Chcesz powiedzieć, że Tucher chciałby załatwić także Fuggerów z Augsburga? Oszukać tych, którzy oszukują?

Eloi potrząsa głową.

— Jego interesują pieniądze. Mnie też. Ale jeśli naprawdę uda się nam podważyć zaufanie do Fuggerów, mogliby w ciągu paru lat popaść w ruinę.

Czuję, że serce bije mi mocniej, po trzewiach rozchodzi się miłe ciepłko: Ferdynand, Karol V, papież, niemieccy książęta. Wszyscy uwiązani sakiewki Chytrego Antona.

Szepczę cicho, tak jakbym zwierzał się z doznanego olśnienia:

— A wraz z nimi połowa europejskich dworów.

Także Eloi zniża głos, chociaż w zasięgu wzroku nie ma nikogo prócz nas.

— „I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły...”

Rozdział 43

Antwerpia, 2 czerwca 1538 roku

— Obejrzał ładunek?

— Tak.

— Statki?

— Tak.

— Zgłosił jakieś zastrzeżenia?

— Tylko parę pytań na temat trasy, jaką zamierzamy płynąć.

Powstały z martwych Lazarus Tucher, alias Gotz von Polnitz, czarodziej liczydeł, potrząsa z zaskokiem głową.

— Muszą uważać się za wszechmocnych. Są tak pewni swojej potęgi, że nawet przez głowę im nie przejdzie, że ktoś mógłby próbować ich okpić. Cholerne bękarty.

— No tak, ale to właśnie ich pewność siebie nam służy, czyż nie?

Gotz ignoruje moje pytanie, idzie za swoimi myślami.

— Zatwierdził na piętnaście tysięcy florenów?

— Nawet nie mrugnął okiem. Poprosił, żebyśmy złożyli u niego trzy tysiące tytułem gwarancji, i oznajmił, że zwróci je nam po pierwszej wysyłce towaru. Zrobiłem, jak kazałeś. Wręczyłem mu pieniądze bez słowa, żeby pomyślał, że mamy poważne rezerwy gotówkowe.

— Dobrze. Ale gdybym to ja był na jego miejscu, nie poszłoby tak łatwo.

— W takim razie mamy szczęście, że jesteś tu, a nie tam.

Były agent Fuggerów podaje mi kieliszek.

— Trzeba to opić. Dobrze się spisałeś. Zrobiliśmy pierwszy krok.

Barka, na której Lazarus Tucher skrywa tajemnicę swojej egzystencji, ukryta jest w zakolu rzeki. W środku robiłaby wrażenie normalnego domu, gdyby nie dziwne przedmioty zawieszane na ścianach, widoczne w każdym kącie: miecze, pistolety, instrumenty muzyczne, mapy, błyszcząca skorupa żółwia.

Wiem, że zrobiłbym lepiej, siedząc cicho, ale nieczęsto zdarza się spotkać tego rodzaju osobistość.

— Eloi opowiedział mi twoją historię.

Nie wydaje się zaskoczony.

— Źle zrobił. Gdyby nas złapali, byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyśmy wiedzieli o sobie jak najmniej.

Zagłębiam się w skórzanym fotelu.

— Chcesz powiedzieć, że Eloi nie mówił ci nic na mój temat?

Gotz wzrusza ramionami.

— Wiem tylko, że byłeś z tymi szaleńcami w Münsterze, i powiadam ci z całą szczerością, że gdybyś miał na swoją korzyść tylko to, nigdy nie dopuściłbym cię do interesu. Ale Eloi zapewnił mnie, że jesteś w porządku, a ja mam zaufanie do jego nosa; chłopak, który przez dwadzieścia lat zdołał utrzymać się na powierzchni pomiędzy rekinami tego miasta, nie dając się zrobić w konia, musi umieć oceniać ludzi.

Uśmiecham się i sączę łyk nalewki.

— Masz rację, to byli szaleńcy. Ale zdobyli miasto. Udało ci się kiedy coś takiego?

Oczy Gotza to dwa ciemne punkciki zagłębione między nożycami powiek. Nie musi mi odpowiadać, wydaje się, że anabaptysta i kupiec powinni dobrze się rozumieć.

— Trzeba być fanatykiem, żeby próbować tego rodzaju przedsięwzięcia.

— Trzeba wierzyć.

— A ty wierzyłeś, naprawdę?

Dobre pytanie.

— W porządku, powiedzmy, że to nie pieniądze mnie tam przyciągnęły.

Uśmiecha się i nalewa sobie drugi kieliszek.

— Chcesz usłyszeć naprawdę ciekawą historyjkę dotyczącą Münsteru?

— Coś, o czym jeszcze nie wiem?

— Coś, o czym wiem tylko ja, Anton Fugger i być może papież.

— Wygląda to co najmniej na tajemnicę państwową.

Potakuje w milczeniu, gładząc sobie wąsy. Przez małe okienko dochodzą krzyki mew, prócz tego panuje kompletna cisza.

— Na początku roku tysiąc pięćset trzydziestego czwartego zajmowałem się interesami Fuggerów w Kolonii. Tam zgłębiałem arkana tego zawodu i wszystko, co było potrzebne do jego wykonywania. Pewnego dnia przynoszą mi list, w którym wymieniona jest tylko pewna suma. Nie ma podpisu, jest jedynie pieczęć: wielka litera Q.

— Litera Q?

— Odcisnięta w wosku. Proszę o wyjaśnienia rachmistrza agencji, człowieka, który służy Fuggerom od przeszło dziesięciu lat, a on powiada mi, że gdy otrzymuje się taki list jak ten, trzeba przygotować pieniądze i czekać, aż ktoś po nie przyjdzie i okaże pieczęć...

Przerywam mu.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Münsterem?

Gotz niecierpliwi się odrobinę.

— Daj mi skończyć. Wypytyuję go, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, bo niby jak to jest, że wręcza się pieniądze do ręki jakiemuś nieznanemu? Stary rachmistrz opowiada mi, że kilka lat wcześniej na polecenie Rzymu otwarto nieograniczony kredyt w bankach Fuggerów dla tajnego agenta, działającego na cesarskich ziemiach. Rachmistrzowie w niemieckich filiach nazywali go *Messer Q*.

— Zwyczajny szpicel.

Gotz nie przerywa swojej opowieści.

— No więc, wypisuję list kredytowy na żadaną sumę i jestem gotowy, żeby go przyjąć. I wiesz, kto się zjawia? Jakiś księżulo. Ubrany w ciemnoszary habit z kapturem, który opada mu na oczy, zakrywając połowę twarzy. Pokazuje mi pierścień z literą Q, identyczną z tą odcisniętą na dokumencie. Lecz na widok listu kredytowego wyrzywa mi go z rąk, drze mi go przed nosem na tysiąc kawałeczków i mówi, że potrzebuje żywych pieniędzy. Ostrzegam go, że niebezpiecznie jest podróżować z taką sumą w kieszeni, ale on nalega: chce mieć złoto. No to dobrze, otwieram kasę i wypłacam mu żadaną kwotę. Po czym pyta, czy mógłbym mu wskazać wypożyczalnię koni, która ma stacje zmian na całej drodze do Münsteru. Kieruję go do największej stajni w Kolonii.

Milknie. Historia skończona. W głowie świdruje mi niejasne przecucie, nie jestem jednak w stanie wyrazić go w paru konkretnych słowach. Stawiam kieliszek na stole z lekkim drżeniem rąk.

Gotz ciekaw jest mojej reakcji.

— Czy to nie ładna historyjka? Być może do zdobycia miasta potrzeba religijnych fanatyków, ale żeby jakiś szpieg mógł się wśliznąć do środka, na to potrzeba pieniędzy. Potrzeba Fuggerów. W takie sprawy zawsze wmieszane są pieniądze.

Spostrzega moje zakłopotanie.

Ciemna kreska nalewki w butelce kołysze się powoli razem z barką. Skorupa żółwia wysyła odbłaski w kolorze hebanu.

Biała czapla zasłania kawałek nieba, oprawiony w ramę okienka.

Na mapie angielskiego wybrzeża w kącie na dole po lewej stronie wyrysowana jest róża wiatrów, która stąd wygląda jak czarno-biały kwiat.

Zagłębiony w fotelu Gotz siedzi bez najmniejszego ruchu.

Gotz. Lazarus. Różne imiona, różni ludzie. Ta sama historia.

Gustav Metzger, Lucas Niemanson, Lienhard Jost, Gerrit Boekbinder.
Lot.

— Nikt nie jest tym, na kogo wygląda.

Nie wiem, czy to ja się odezwałem, czy był to głos Gotza, a może tylko myśl, która przeleciała mi przez głowę.

Pytania same cisną się na usta.

— Kto otworzył ten kredyt?

— Tego nie dowiedziałem się nigdy. Z całym prawdopodobieństwem jakaś ważna osoba z Rzymu.

— Opisz mi człowieka, który zgłosił się po pieniądze.

— Mówiłem ci, miał zakrytą twarz. Po głosie można było poznać, że nie był zbyt stary, ale od tamtej pory minęły cztery lata...

On już jednak zrozumiał, chce mi pomóc, stara się przypomnieć cokolwiek.

— Pamiętam, że rzuciłem mu pytanie, co zamierza robić w Münsterze z tak dużymi pieniędzmi. Nie żeby to była jakaś nieproporcjonalnie wielka kwota, zdaje się dwa albo trzy tysiące florenów, lecz po co podróżować z wypchaną sakiewką?

— Żeby nie zostawiać śladów. Nie budzić podejrzeń.

Spoglądam na niego. Teraz ja muszę zastanowić się głośno i zrewanżować mu się historyjką.

— Na początku trzydziestego czwartego roku baptyści z Münsteru otrzymali pierwsze poważne zasiłki pieniężne, takie wkłady w walkę, pochodzące od różnych wspólnot, ale także od pojedynczych współbraci.

— Chcesz powiedzieć, że te pieniądze posłużyły do zaskarżenia sobie przyjaźni baptystów...

— A czy jest lepsza przepustka dla szpiega?

Znowu wsłuchujemy się w szmer powolnego nurtu i w ciche poskrzypywanie drewna.

Odzywa się pierwszy, coś między udawaną skromnością i niedowiarstwem.

— Nie znam się zbytnio na sprawach religijnych. Wytłumacz mi, dlaczego Rzym miałby wciskać swojego agenta do wspólnoty baptystów w małym północnym mieście?

— Odpowiadam bez namysłu, na gorąco dobierając słowa:

— Być może dlatego, że to małe północne miasto stawało się czymś w rodzaju latarni morskiej dla anabaptystów. Może dlatego, że ta wspólnota pokazała panom tyłek i podburzyła lud tam, gdzie nikomu przedtem to się nie udało. Może ktoś przewidujący na dworze papieskim zaczął popuszczać ze strachu.

Gotz kręci głową.

— Nie, to nie trzyma się kupy, kardynałowie mają na głowie inne rzeczy.

— Muszą myśleć, jak bronić swojej władzy.

— W takim razie dlaczego nie mieszały szyków luteranom?

— Ponieważ luteranie mogą być doskonałymi sprzymierzeńcami przeciwko zbuntowanym warstwom najbardziej upośledzonych. Kto zmasakrował chłopów pod Frankenhausen? Do spółki książe katolicy i luteranie. Kto pożyczył armaty biskupowi Münsteru, żeby ułatwić mu odzyskanie miasta? Filip Heski, wielbiciel Lutra.

— Nie, nie, to mi się nie zgadza. Luter zrujnował papieża, kopniakami w tyłek wyrzucił go z Niemiec, wszystkie dobra Kościoła przejęli książe niemieccy...

— Gotz, do podtrzymania belki potrzebne są dwie kolumny.

Były bankowiec myśli, spogląda na mnie z boku.

— Przeciwnicy, ale sprzymierzeni. To chcesz powiedzieć?

Potakuję głową.

— Tajny agent działający na cesarskich ziemiach. Od jak dawna?

— Od przeszło dziesięciu lat, tak mi mówili.

Znowu to mroczne przeczucie, miażdżący ucisk w oczach.

Metzger, Niemanson, Jost, Boekbinder, Lot.

Wielu i ten sam. Ci, którymi byłem.

Wielu i jeden. Ktokolwiek.

Człowiek z tłumu. Ukryty we wspólnocie. Jeden z naszych.

— „Ponieważ każdy uczynek, i każdą rzecz tajną, dobrą lub złą, Bóg na sąd przywiedzie”.

Gotz robi zakłopotaną minę.

— Co to znaczy?

Cisnienie ustępuje, przeczucie się roztopia.

— To jest zakończenie księgi Koheleeta. Eklezjasty.

* * *

Wybrzeże poszerza się w obie strony jak okiem sięgnąć, podczas gdy statek sunie żwawo w kierunku morza, które widać już na widnokręgu. Świt rzuca swoje promyki na lustro wody przed nami i oświetla nam drogę.

Morze. Eloï miał rację: odrywanie się od brzegu, objęcie spojrzeniem tej nieskończonej, rozfalowanej przestrzeni rzeczywiście daje poczucie wolności. Nigdy nie płynąłem po morzu i teraz odczuwam dziwny niepokój, upojenie tłumione tylko myślami z ostatniej nocy.

Załoga składa się ze sternika i ośmiu marynarzy pod rozkazami kapitana Silasa, wszyscy są Anglikami, którzy już współpracowali z Gotzem i którym możemy ślepo ufać. Rozmawiają swoim dziwnym językiem, z którego udaje mi się już rozpoznać kilka najczęściej używanych zwrotów; jak się wydaje, są to zawołania i przekleństwa.

Przybyłem do Antwerpii z myślą o wyjeździe do Anglii i pozostaniu tam na zawsze. Teraz udaję się do Anglii w interesach. Sprawy przybierają niewiarygodny obrót, wczoraj byłem nędzarzem tropionym przez strażę, dziś jestem godnym szacunku kupcem cukrowym, mającym ubezpieczenie ładunku i statków na piętnaście tysięcy florenów.

Rzucam okiem do tyłu, drugi statek płynie ćwierć mili za nami. Prowadzi go zastępca Silasa, młody walijski bukanier, który żeglował do Indii.

Kupiec Hans Grüeb płynie, żeby sprzedawać cukier w Londynie. Rysują się przed nami płaskie, pełne mew wysepki Zelandii, ziemia wydarta pazurami morzu; w miarę jak się przerzedzają, wita nas swym ciemnym błękitem Morze Północne, posepne jak myśli, które zapełniają mi głowę od ostatniej nocy.

Niewiarygodna opowieść Lazarusa zmusza mnie, żebym wrócił do wspomnień z Münsteru, być może dziś bardziej żywych po tym, jak opowiedziałem je Eloi.

Kto to mógł być? Kto był szpiegiem? Kto od samego początku pracował dla papistów? Kto przyniósł pieniądze w dowód życzliwości dla sprawy, dzięki czemu zdołał zapewnić sobie dobre przyjęcie u walczących?

Kto?

Kto był tym haniebnym zdrajcą?

Robię przegląd twarzy, miejsc, sytuacji. Moje przybycie do miasta, barykady, a potem delirium, szaleństwo. Kto pracował, żeby tak się skończyło? Powiedziałem to już Eloi. Umarli wszyscy. Nikt nie przeżył. Tylko Balthasar Merck i jego przyjaciele. Młody Krechting? Wykluczone.

Ale to też jest sposób tak samo dobry jak inne, żeby odrzucić najgorsze przeczucie.

Jeden z nas. Sprzymierzeniec. Był w stanie zdobyć zaufanie. A w odpowiednim momencie wysłać cię na rzeź.

Listy.

Listy do Magistra Thomasa.

Szpieg, który rozpoczął działalność przed rokiem dwudziestym czwartym.

W Niemczech.

Ktoś i nikt.

Frankenhausen. Münster.

Ta sama strategia. Te same rezultaty.

Ta sama osoba.

Qoëlet.

CZEŚĆ TRZECIA

Błogosławieństwo
Chrystusa

TRATTATO

VTILISSIMO

DEL BENEFICIO DI

GIESV CHRISTO

CROCIFISSO,

VERSO I

CHRI-

STIANI.



Venetis Apud Bernardinum

de Bindonis. Anno Do,

M, D, XXXIII,

Tajne oko Carafy
(1541–1543)

List wysłany do Neapolu z papieskiego miasta Viterbo, z datą 1 maja 1541 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego mojego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Neapolu.

Panie mój najdostojniejszy, wiadomości, które Wasza Wielmożność przesyła mi o porażce cesarza w Algierii i o klęsce jego wojsk na Węgrzech z ręki Turków, pozwalają memu sercu mieć nadzieję, że niebawem ten Habsburg załamie się pod ciosami swoich przeciwników, a jego ogromna władza ulegnie skruszeniu. Jeśli dodać do tego wieści z Francji o zamiarach Franciszka I, dotyczących rozpoczęcia na nowo wojny, czuję, że jest to moment szczególnie sprzyjający nadziejom Waszej Wielmożności i Waszego sługi. Nigdy dotąd cesarz nie doświadczał takich trudności w kontrolowaniu granic swoich niezmiernych posiadłości, a też i nigdy dotąd jego zadłużenie u niemieckich bankierów nie było tak wielkie i tak odległe od jego możliwości, aby mogło być spłacone.

Nie dziw przeto, że próbuje zjednoczyć chrześcijaństwo pod swoimi chorągwiami, czyniąc ustępstwa protestanckim książętom w Niemczech, aby pospieszyli mu z pomocą na węgierskich równinach i na Bałkanach przeciwko postępującemu naprzód Sulejmanowi. Luteranie w Saksonii i w Brandenburgii są już zjednoczeni i cesarz gotów jest przyjąć ten fakt do wiadomości i zgodzić się na to, by Rzym na zawsze już pozostawił te księstwa poza zasięgiem swoich wpływów.

Mimo wszystko ci, którzy pragnęliby przeciwstawić się władzy Karola V, pokładają nadzieję w nakłonieniu książąt, aby nie pozwolili mu się omamić i odnosili się do niego jak do silnego przeciwnika, z którym można się układać, ale nie wolno uznać go za sprzymierzeń-

ca. Skłonności Filipa Heskiego nie są w tym względzie dobrym sygnałem: cesarz przymknął oczy na fakt, że landgraf dopuścił się bigamii, byle tylko mieć go znowu u swego boku, a ten ostatni przystał na tak podły targ.

Ale tak to wygląda; Karol wszelkimi sposobami stara się nakłonić Kościół rzymski i luterzańskich teologów, aby usiedli przy tym samym stole, i nie ulega wątpliwości, że wytoczy w tym względzie rozstrzygającą bitwę, albowiem nie zdolawszy pokonać protestanckich ksiąząt, chciałby dziś stać się jedynym obrońcą chrześcijaństwa zjednoczonego pod sztandarami nowej krucjaty przeciwko Turkom, i pewien jest, że to uczyniłoby go niezwykłym władcą. Na ten cel gotów jest poświęcić wszelkie zasoby, jakie mu jeszcze pozostały.

Na szczęście konstatuje z przyjemnością, że zgromadzenie w Wormacji nie dało owoców tak przez niego upragnionych: luterkańscy doktorowie wciąż nieprzyjaźnie spoglądają na Świętą Stolicę i na katolickie księstwa.

A jako że osobiście znałem Lutra i Melanchtona w czasach, gdy rozpoczęli oni swój marsz ku górze, mogę dodać, że są to ludzie zbyt zarozumiali i podejrzliwi, aby mogli przystać teraz na pojednanie z Rzymem. Jest to okoliczność sprzyjająca projektom Waszej Wielmożności, a tymczasem zapobiega owemu zbliżeniu między katolikami i luteranami, które dziś byłoby tak zgubne.

Jednakże zagrożenie, którego można się spodziewać po tej stronie Alp, może wyjść z łona samego świętego Kościoła rzymskiego.

Nowe szaty, na których wdzianie Wasza Wielmożność zechciał udzielić mi swojego zezwolenia, abym mógł w dalszym ciągu służyć bożej sprawie, i powierzenie stanowiska, które jest doskonałym obserwatorium, pozwalają mi w istocie na czerpanie informacji z pierwszej ręki i na gromadzenie elementów, co do których Wasza Wielmożność w swej trosce żąda, aby nie zostały pominięte. Jeszcze raz dalekowzroczność Waszej Wielmożności okazała się nad wyraz skuteczna.

Stwierdzam przeto z całą pewnością, że to, co właśnie wyłania się tu, w Viterbo, w siedzibie Piotrowego dziedzictwa, jest stronnictwem ze wszech miar przyjaznym dialogowi z luteranami i może wspomóc aspiracje cesarza. Wasza Wielmożność zechciał określić tych ludzi mianem *Spirituali*, czyli *Uduchowieni*, czyniąc w ten sposób aluzję do kardynałów otwartych na niektóre niebezpieczne aspekty doktryny Lutra i tego nowego genewskiego herezjarchy Jana Kalwina, który jest dziś na ustach wszystkich; a jednak, choć tutejsze koło z pewnością będzie się skupiać wokół nader światłego kardynała Pole'a, muszę poinformować Waszą Wielmożność, iż krąg osób, którymi otoczył się kardynał od czasu mianowania go papieskim namiest-

nikiem dziedzictwa, obejmuje wszelkiego rodzaju wykształconych ludzi, pochodzących z połowy świata, świeckich i duchownych, których łączy wspólny zamiar otwarcia Kościoła na perfidne żądania Lutra. I właśnie owo prostoduszne akceptowanie przez wszystkie umysły ich poglądów skłoniło pilnego sługę Waszej Wielmożności do wstąpienia do tego kółka w celu zdobycia przychylności jego najwybitniejszych członków; okazali oni coś więcej nawet niż tylko zadowolenie z tego, że będą mieć w swoich szeregach wykształconego Niemca, który dobrze zna teksty powstające na niemieckich uniwersytetach.

Niech mi więc będzie wolno opisać wrażenie, jakie wywarł na mnie ów człowiek, którego bez wątpienia można uważać za twórcę kongregacji, czyli angielski kardynał Reginald Pole. Cieszy się on świetlaną sławą męczennika katolicyzmu, który musiał uciekać ze swego kraju po schizmie dokonanej przez Henryka VIII, i to wyklucza jakiegokolwiek wątpliwości co do jego wierności ortodoksyjnej doktrynie. Jest to człowiek wykształcony i subtelny, któremu obca jest wszelka podejrzliwość i zła wiara, prostoduszny zwolennik dialogu z protestantami w celu sprowadzenia ich z powrotem do głównego nurtu świętego Kościoła rzymskiego.

Jak wskazywałem wyżej, trudno się dziwić, że cesarz traktuje tego pobożnego człowieka jako obrońcę i rzecznika jego interesów.

Pole cieszy się także względami kardynała Bolonii Contariniego, który został wybrany przez papieża Pawła III do prowadzenia nowych układów z luteranami w Ratyzbonie, po załamaniu się zgromadzenia w Wormacji. Dochodzą do nich biskup Modeny kardynał Morone, książę Gonzaga z Mantui, Giberti z Werony, oraz Cortese i Badia z kurii pontyfikalnej. Wszyscy oni okazują raczej giętką postawę wobec protestanckich doktryn, zalecając przekonywanie perswazją braci, którzy zboczyli z rzymskiego gościńca i w rezultacie okazują wstręt do prześladowania tego rodzaju poglądów za pomocą środków przymusu.

Jak Wasza Wielmożność z pewnością wie, Reginald Pole jest uczonym, który studiował w Oksfordzie razem z owym Tomaszem Morusem, którego losy tak mocno wstrząsnęły chrześcijańskim światem. Jego wiarygodność jako męczennika i przyjaciela męczennika wydaje się przeto nie do podważenia. Studiów dokończył w Padwie, zna zatem dobrze rzeczywistą sytuację we Włoszech.

Nietrudno więc przedstawić sobie, na ile odpowiadają mu poglądy uczonych, którymi się otacza, a w szczególności Marca Antonia Flaminia, poety i tłumacza z łaski Jego Świątobliwości Pawła III, którego imię z pewnością obilo się już o uszy Waszej Wielmożności. Bliskie zbratanie się Pole'a i Flaminia tu w Viterbo jest moim

zdaniem nie mniej groźne, niż tamto, które zawiązało się przeszło dwadzieścia lat temu w Wittenberdze między Marcinem Lutrem i Filipem Melanchtonem. Gdy tak uparta wiara spotyka się z uczonością, rodzi się z tego prawie zawsze coś wielkiego, zarówno w dobrym, jak i w złym sensie.

Im prędzej będzie mi dane przesłać mojemu Panu najświeższe wiadomości o spiskach zawiązywanych tu w Viterbo, tym prędzej zaspokoję moje pragnienie służenia Waszej Wielmożności.

Całuję ręce Waszej Wielmożności i polecam się Waszej łasce.

Z Viterbo, 1 maja 1541 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z papieskiego miasta Viterbo, z datą 18 listopada 1541 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do przewielebnego i najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Panie mój najdostojniejszy, z zadowoleniem dowiaduję się o załamaniu się inicjatywy podjętej w Ratyzbonie przez kardynała Contariniego. Jak przewidywałem, luteranie okazali się absolutnie nieustępliwi w odniesieniu do doktryny usprawiedliwienia *per sola fede*, czyli wyłącznie przez wiarę, i pomimo przychylnego stanowiska Contariniego, zręczna dyplomacja Waszej Wielmożności umiała zapobiec i przeszkodzić zawarciu śmiertelnie groźnego porozumienia, które wydawało się już na najlepszej drodze do zatwierdzenia.

Ten obrót sprawy przyniósł gorzkie rozczarowanie ludziom skupionym wokół Reginalda Pole'a, czytam to w ich posępnych obliczach.

Mimo wszystko nie należy jeszcze chować miecza do pochwy, niebezpieczeństwo reprezentowane przez te umysły w żadnej mierze nie zostało oddalone. I właśnie spieszę zdać szczegółową relację z nowego zagrożenia, aby Wasza Wielmożność mógł doradzić wierzniemu słudze poczynienie kroków, jakie uzna za konieczne.

Rozmowy w Ratyzbonie zagrażały doktrynie zbawienia świętego Kościoła rzymskiego skażeniem poglądami luterskich heretyków.

Jak Wasza Wielmożność wie, protestanczy teologowie, opierając się na błędnej interpretacji niektórych wersatów świętego Pawła (Mat 25, 34; Rz 8, 28–30; Ef 1, 4–6), twierdzą, że ci, których Bóg upodobał sobie na swoich wybrańców od samego stworzenia świata, i tylko ci, zostaną zbawieni w Dniu Sądu. Zatem spełnianie dobrych uczynków z myślą o zapewnieniu sobie zbawienia wiecznego byłoby czystym łudzeniem się. Zbawienie miałyby być zapewnione wy-

branym nie jako nagroda za godne postępowanie, ale wyłącznie jako boży dar wiary, i nic innego. W konsekwencji żaden dobry uczynek spełniony przez chrześcijanina nie miałby wpływu na zmianę owego pierwotnego daru, otrzymanego przez niektórych tylko, wybranych ludzi, przeznaczonych w bożych planach do zbawienia.

Nie trzeba tu przypominać, jak wielkie niebezpieczeństwo stanowi ta doktryna dla dobrego chrześcijańskiego porządku, który wymaga potwierdzenia właśnie na podstawie wolnego wyboru wiary lub jej odrzucenia przez ludzi. Nie waham się zresztą stwierdzić, że właśnie doktryna znana jako usprawiedliwienie *per sola fede* jest główną kolumną, na której opierają się wszystkie podłości popełnione przez luteranów w ciągu dwudziestu pięciu lat. To architrav tej ich teologii wyróconej do góry nogami, a i źródło siły, z jaką przeciwstawiają się bez najmniejszej pokory Świętej Stolicy i podają w wątpliwość hierarchię świętego Kościoła rzymskiego, czyniąc to wszystko w imię rzekomej daremności sądu oceniającego ludzkie uczynki, a także władzy kościelnej, która ustala reguły i osądza kto jest, a kto nie jest godzien wejść do Królestwa Bożego. Wasza Wielmożność z pewnością pamięta, że jednym z pierwszych zuchwałych kroków poczynionych przez Lutra była właśnie niezgoda na przyznanie Ojcu Świętemu prawa do rzucania ekskomuniki.

A zatem to, co nie udało się kardynałowi Contariniemu, czyli zniekształcenie i okaleczenie katolickiej doktryny zbawienia *poprzez uczynki*, mogłoby teraz stać się dziełem stale powiększającego się koła zwolenników kardynała Pole'a.

Już w przeszłości miałem okazję pisać Waszej Wielmożności o niebezpiecznym oddziaływaniu na proste umysły pism młodego teologa z Genewy, który, jak się zdaje, przejął od Lutra rolę siewcy wszelakiej herezji. Mam na myśli Jana Kalwina, autora szkodliwego dzieła *Institutio christianae religioni*, czyli *Nauka religii chrześcijańskiej*, w którym zawarł on potwierdzenie i wzmocnienie wielu poglądów zrodzonych w heretyckim umyśle mnicha Lutra, a przede wszystkim owej idei znanej jako usprawiedliwienie *per sola fede*.

I właśnie to dzieło posłużyło za inspirację do opublikowania najbardziej niebezpiecznej książki, jaka pojawiła się na włoskich ziemiach od czasu perfidnych kazań Savonaroli. Zawdzięczamy ją przewrotnemu duchowi umysłów wspomnianych ludzi z Viterbo, między którymi obecnie przebywam.

Mam na myśl krótki traktacik, którego szkodliwość jest o wiele większa niż rozmiary, gdyż *został w nim przedstawiony w sposób otwarty*, językiem zrozumiałym dla każdego, pogląd, jakoby *protestancka doktryna usprawiedliwienia per sola fede nie sprzeciwiała się w istocie oficjalnej doktrynie Kościoła*.

Nie ma wątpliwości, że chodzi tu o próbę wprowadzenia przez tutejsze koło uczonych i duchownych do samego doktrynalnego centrum elementów, które ułatwiają zbliżenie między katolikami i luteranami, poprzez pełną akceptację doktryny zbawienia, propagowanej przez tych ostatnich.

Autorem owego dziełka jest benedyktyński zakonnik, niejaki Benedetto Fontanini z Mantui, przebywający obecnie w klasztorze San Nicolò l'Arena, na zboczach Etny. Ale redakcja tekstu, wprowadzającego dosłowne niemal tłumaczenia fragmentów *Nauki* Kalwina, jest dziełem Reginalda Pole'a i Marca Antonia Flaminia.

Sledztwo, które przeprowadziłem z maksymalną ostrożnością, pozwoliło mi odkryć, że kardynał Pole już w roku 1534 miał okazję spotkać się z bratem Benedetem, gdy uciekając z Anglii, trafił na jakiś czas do klasztoru na wyspie San Giorgio Maggiore w Wenecji. Albowiem Fontanini rzeczywiście przebywał tam w owym czasie. Wasza Wielmożność musi wiedzieć, że opatem klasztoru San Giorgio Maggiore był wówczas nie kto inny jak ów Gregorio Cortese, który dziś jest gorącym popiecznikiem *Uduchowionych* w kurii.

Do tego precedensu należy dołączyć fakt, że w dwa lata później, w 1536 roku, do owego klasztoru udał się też Marco Antonio Flaminio, wezwany właśnie przez opata Cortese pod pretekstem sprawowania pieczy nad drukiem łacińskiej wersji XII księgi *Metafizyki* Arystotelesa.

A więc kardynał Pole, Cortese i Flaminio. Wszyscy są przyjaciółmi i wszyscy są bardzo bliscy pojednawczej polityce kardynała Contariniego z Bolonii. To są właśnie umysły, które wydały na świat wspomniane straszliwe dzieło. Bo jeśli nawet brat Benedetto z Mantui przygotował i rozrobił glinę, to dopiero kółko tych *Uduchowionych* wymodelowało ją i przekształciło w wazę pełną herezji.

Już sam tytuł traktatu mówi wszystko, jako że dosłownie przejmuje wyrażenie używane często przez Melanchtona w jego *Loci communes*.

Brzmi on *Beneficio di Cristo* albo *Trattato utilissimo del beneficio di Giesù Christo crocifisso verso i Christiani* (*Błogosławieństwo Chrystusa*, czyli *Wielce pożyteczny traktat o błogosławieństwie Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego dla Chrześcijan*). Taki jest tytuł dzieła, którego redakcja została ukończona przez Flaminia w tych dniach i w którym stwierdza się otwarcie, że:

...wystarczy sama sprawiedliwość Chrystusa, aby uczynić z nas sprawiedliwych i godnych łaski bez żadnych naszych dobrych uczynków, które nie mogą być dobre, jeśli zanim ich dokonaliśmy, sami nie byliśmy dobrzy i sprawiedliwi w wierze.

Wasza Wielmożność sam może ocenić groźbę, jaką rozpowszechnianie podobnych idei mogłoby stanowić dla chrześcijaństwa, a w szczególności dla Świętej Stolicy Apostolskiej, gdyby spotkały się one z dobrym przyjęciem. A gdyby ta książczyna zyskała poklask wysokich osobistości Kościoła, mogłaby z tego wyniknąć w łonie Kościoła rzymskiego epidemia przychylności dla protestantów. Nie śmiem nawet myśleć, jak straszliwe skutki mogłoby to wyrzucić na politykę Świętej Stolicy względem Karola V.

A więc będę niecierpliwie czekał na nowe polecenia, pewien, że subtelny umysł Waszej Wielmożności jeszcze raz będzie umiał udzielić jak najlepszych rad swojemu gorliwemu słudze.

Polecam się z ufnością, całując ręce Waszej Wielmożności.

Z Viterbo, 18 listopada 1541 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z papieskiego miasta Viterbo, z datą 27 czerwca 1543 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego i najdostojniejszego Giovanniego Pietra Carafy, w Rzymie.

Panie mój najczcigodniejszy, piszę, aby donieść Waszej Wielmożności, że wiem już z całą pewnością, iż książka *Błogosławieństwo Chrystusa* została oddana do druku w Wenecji.

Kilka dni temu Marco Antonio Flaminio powrócił z podróży ze światą Ojca Świętego do Busseto na spotkanie z cesarzem. Przepytując jednego z paziów Flaminia, dowiedziałem się, jak przebiegała jego podróż. Tak więc podejrzenia, jakie żywiłem, okazały się uzasadnione. I w samej rzeczy, zakończywszy swój udział w spotkaniu w Busseto, gdzie spędził cały maj, Flaminio w drodze powrotnej zboczył nieoczekiwanie w kierunku Wenecji. Paż powiedział mi, że jego pan odwiedził drukarnię niejakiego Bernarda de' Bindoni, ale nie umiał podać mi żadnych innych wiadomości. Mimo to jestem pewien, że nie chodziło o nic innego, jak tylko o zlecenie druku lub może nawet o ostatnią korektę wiadomego tekstu.

Odkąd rok temu papież Paweł III powierzył opiece Waszej Wielmożności odrodzoną Kongregację Świętego Oficjum, postanawiając, że herezję będzie się zwalczać wszędzie tam, gdzie się zagnieździ, i wszelkimi koniecznymi środkami, członkowie koła *Uduchowionych* musieli stać się bardziej przebiegli. Bulla Jego Świątobliwości *Licet ab initio* i wynikające z niej ożywienie działań inkwizycji, a także w nie najmniejszym stopniu śmierć kardynała Contariniego, skłoniły Pole'a i Flaminia do poruszania się z najwyższą ostrożnością. Podejrzałem, że będą drukować tę książczynę gdzieś za granicą; co więcej, obaj oni dobrze wiedzieli, że Wenecja cieszy się szczególną

wolnością w drukowaniu i rozpowszechnianiu książek, toteż, jeśli wciąż jeszcze żywiłem jakieś wątpliwości co do powodów wizyty Flaminia w weneckiej drukarni, powyższe spostrzeżenia rozpraszają je całkowicie.

Wasza Wielmożność dobrze wie, jak groźną bronią może być drukowana książka: bez tego wynalazku Luter byłby wciąż jeszcze wykładowcą na nieznanym nikomu uniwersytecie w małej i zabłoconej saksońskiej mieścinie.

Z nadzieją, że niebawem będę mógł dostarczyć mojemu Panu nowych wiadomości, całuję ręce Waszej Wielmożności.

Z Viterbo, 27 czerwca 1543 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Rzymu z głównej siedziby kompanii Fuggerów w Augsburgu, z datą 6 maja 1544 roku.

Do najczcigodniejszego, przewielebnego kardynała Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Życzę Waszej Eminencji zdrowia i wszelkiej pomyślności, żywiąc nadzieję, że tych linijek, skreślonych ręką pobożnego chrześcijanina i najbardziej oddanego sługi świętego Kościoła rzymskiego, nie będą czytać inne oczy, a tylko Waszej Wielmożności.

Długie lata przyjaźni, która łączy moją rodzinę i Waszą Wielmożność, zwalniają mnie od potrzeby ubarwiania fałszywymi słowami prośby o łaskawość, jaką spieszę zanieść przed oblicze Waszej Wielmożności. Niejeden już raz Wasza Eminencja zechciał udzielić nam honoru świadczenia usług w interesach, jakie prowadził w Niemczech; i nieraz już zostałem zaszczycony możliwością udzielenia pomocy środkami, jakich dobry Bóg zechciał mi udzielić na tej ziemi, w sprawach handlowych i w rokowaniach, jakie Wasza Wielmożność tu podejmował; do usług tych można z pewnością zaliczyć oddanie ogromnej sumy pieniędzy do dyspozycji agentów, których Wasza Wielmożność utrzymuje na ziemi niemieckiej i na dworze cesarza.

Ale ten dług mógłby zniknąć prędko z ksiąg handlowych naszej kompanii, tak jakby nigdy nie istniał, gdyby Wasza Eminencja zechciał udzielić nam tego, o co prosimy.

Niech Wasza Wielmożność się dowie, że nasza kompania padła ofiarą niesłychanego i przerażającego oszustwa, któremu trzeba zaradzić najprędzej, jak to możliwe; a jako że przyzwolenie, aby rzecz przeciekła do wiadomości publicznej, miałoby szkodliwy wpływ na interesy rodziny, okoliczność ta skłania mnie do zwrócenia się z prośbą do Waszej Wielmożności o podjęcie pewnych działań.

Nie wnikając zbyt głęboko w szczegóły tej piekielnej machinacji, powiem tylko, że jakiś czas temu spostrzegłem pewną niezgodność rocznych bilansów kompanii; coś nie pasowało dokładnie w księgach handlowych, wydawało się, że chodzi o przecinki albo o jakieś nieznaczące sumy; pozostawało wrażenie pewnej niespójności, ale, z uwagi na niemal niemożliwy do wyliczenia ogrom interesów, jakie Fuggerowie prowadzą w Europie, można sobie wyobrazić, jak trudno jest odkryć małe niedobory. A jednak niedobór był i z każdym mijającym rokiem to wrażenie przybierało postać podejrzania, a wreszcie pewności. Wyglądało to tak, jakby położone na krańcach Europy filie myliły się minimalnie w rachunkach, jakby zbyt często zaokrąślały sumy pieniędzy wyemitowanych w postaci listów kredytowych. Dość, że zrazu myślałem, iż odpowiedzialnym za oszustwo jest jeden z naszych agentów; lecz wydawało się to dziwne, jako że dobierając ludzi, którym powierzamy prowadzenie naszych interesów, oceniamy ich pod każdym względem i często deponujemy u nas ich osobiste majątki po to, żeby ich prywatne interesy były tożsame z interesami kompanii.

I w samej rzeczy myliłem się. Oszust działał poza kompanią.

Wasza Wielmożność nie będzie w stanie wyobrazić sobie, ile pieniędzy i czasu trzeba było, żeby odkryć winnych; musieliśmy wysłać specjalnych komisarzy do wszystkich filii i agencji Fuggerów, aby skontrolowali działalność kredytową za cały rok. A tych agencji i filii jest w Europie przeszło sześćdziesiąt.

Trzeba było całego roku, żeby prześledzić wstecz, od jednego do drugiego kupca, przechodzenie wydawanych przez nas listów kredytowych, abyśmy zrozumieli, co nie zgadzało się w naszych rachunkach. Skończyło się na odkryciu, że niektóre z listów kredytowych realizowanych w naszych agencjach okazały się fałszywe.

Ale wspólnym elementem rachunków, które sprawdzaliśmy, była obecność w transakcjach pozornie nieszkodliwego kupca handlującego lnem, cukrem i wyrobami skórzanymi. I chociaż w naszych oczach mogło się to wydać czymś wielce osobliwym, prześledziliśmy jego podróże handlowe i stwierdziliśmy, że pokonuje on nader niezwykle trasy. Nie handlując dobrami zbyt cennymi, kupiec ten przemierzał dwa razy dłuższe dystanse od tych, które wystarczyłyby mu do sprzedania towaru: to, co wiózł ze Szwecji i mógł sprzedać w Antwerpii, przewoził do Portugalii; to, co pochodziło z Brestu i mogło znaleźć doskonały rynek w Anglii, trafiało do Hamburga. I tak dalej, i tak dalej. Nasz kupiec przedkładał w sumie rynki położone na krańcach Europy. Na początku myśleliśmy, że było to dyktowane nadzieją na większe zyski, ale odkryliśmy, że tak nie jest, jako że uzyskiwane przez niego ceny nie były w istocie wyż-

sze od średnich. Lecz jeszcze dziwniejszym szczegółem jest to, że okazuje się klientem posiadającym depozyty w naszej kompanii, i to od sześciu lat, to znaczy od kiedy otworzył konto w naszej filii w Antwerpii.

Człowiek ten nazywa się Hans Grueb, a więc z urodzenia jest Niemcem. Jednakże moi komisarze nie znaleźli śladu tego nazwiska na rynkach żadnego z księstw niemieckich. Wydaje się, że zjawił się po raz pierwszy w Antwerpii w roku 1538. Przeprowadziliśmy zatem dochodzenie w tym mieście i odkryliśmy, że jego współnikiem w interesach jest osobnik nad wyraz zły konduity, niejaki Loy albo Lodewijck de Schaliedecker, alias Eloi Pruystinck, jeszcze sześć lat temu zwykły dekarz notowany przez władze Antwerpii jako podejrzany o herezję.

Zdobyliśmy już pewność, że znamy winnych potwornego oszustwa na naszą szkodę. Nie wiemy jeszcze, jak zdołali oni odtworzyć wierne kopie listów kredytowych Fuggerów; mimo wszystko nie zamierzamy czekać dłużej, ryzykując dalsze szkody.

Oto więc powodem, dla którego postanowiłem zwrócić się do Waszej Wielmożności, jest to, że mając do czynienia z tego rodzaju oszustwem, nie uznaję za właściwe denuncjowania podejrzanych miejscowym władzom. Kompania poniosłaby niepowetowaną szkodę, gdyby do publicznej wiadomości przeciekła wiadomość, że w obiegu są sfałszowane listy kredytowe. Zaistniałby z pewnością straszliwy kryzys zaufania wobec naszej kompanii i w krótkim czasie narazilibyśmy się na ryzyko, że nasi klienci zaczęliby wycofywać swoje pieniądze. Pozwolę sobie dodać, iż taki obrót sprawy byłby groźny dla wielu, i to nie tylko dla Fuggerów, albowiem interesy kompanii są ściśle powiązane z interesami licznych dworów, wśród których nie ostatnim jest Święta Stolica Apostolska.

Jednakże, na szczęście dla nas i dla naszych klientów, jest wyjście z tych kłopotów, pozwalające jednym i drugim rozwiązać problem w taki sposób, aby nikt nie poniósł wielkiej szkody.

Jako rzekłem, ten Eloi Pruystinck już od pewnego czasu jest podejrzany o herezję, gdyż praktykuje i propaguje wspólnotę posiadania kobiet i odrzucenie prywatnej własności, a też, bo tak mówią moi informatorzy, neguje istnienie grzechu. Jak dotąd przebiegłość tego nędznego kacerza pozwalała jemu i jego przyjaciółom unikać oskarżeń o bluźnierstwo i odstępstwo od wiary, ale odkąd Jego Świętobliwość Paweł III przywołał znowu do życia Święte Oficjum, stawiając na jego czele Waszą Wielmożność, mogę żywić nadzieję, że i on, i jego współnicy w kacerstwie zostaną w końcu uwięzieni i postawieni przed sądem.

Jeżeli więc odwołuję się do wielkoduszności Waszej Eminencji, to

nie prosząc o nic innego, jak tylko o to, iżby zechciał skierować uwagę Trybunału Świętego Oficjum na tych przeklętych heretyków i sprytnych fałszerzy, ażeby zaprzestali rozsiewania bluźnierczych poglądów, a zarazem rujnowania naszej kompanii, a dzięki temu nikt się nie dowie o szkodach, jakie nam wyrządzili.

Pokładając pokornie ufność, iż kroki poczynione przez Waszą Eminencję okażą się skuteczne, i na potwierdzenie łączącej nas przyjaźni, całuję ręce Waszej Wielmożności.

Z Augsburga, 6 maja 1544 roku,
Anton Fugger, sługa boży.

Bazylea
(1545)

Rozdział 1

Bazylea, zapusty 1545 roku

— Nie próbujcie mi tu wmawiać, kumie Oporinusię, że nie mówiłem wam o tym. Powtarzam od dwóch lat, żebyście mieli na oku tego Sebastiana Münstera. Toć to uczeń Melanchtona, gość z jajami, o takimi, rozumiemy się? Jest autorem dzieła zatytułowanego *Cosmografia*, jakiego dotąd nikt nie widział; macie tu geografię i romans, mapy i anegdotki, ilustracje i opisy, to prawdziwa bomba! A te zapyziałe mole od Hericpetriny drukują pięć tysięcy egzemplarzy w ciągu pięciu miesięcy, nic nie koloryzują!

Pietro Perna to istna rzeka słów wypowiedzianych z niejakim trudem po niemiecku, przedzielanych włoskimi i łacińskimi wtrętami, wylewająca się bez ostrzeżenia w drukarni mistrza Oporinusa, jednej z największych w całej Szwajcarii.

— No to jak, każemy zrobić z miejsca włoskie tłumaczenie tego geniusza, czy też wolimy czekać, aż go wydrukuje kto inny? A co to takiego? — Sięga po książkę leżącą na stoliku i kartkuje ją, niemal wyciska z niej soki grubymi paluchami, a potem odrzuca z pogardliwą miną. Podchodzi do Oporinusa i niezręcznie obejmuje go ramieniem, jest bowiem niższy od tamtego przynajmniej o dwie piędzi. Ruchem ręki kieruje na drukarza naszą uwagę.

— Panowie, oto wielki Oporinus, wydrukował niedawno księgę, która zapewni mu nieśmiertelną chwałę, nadzwyczajne dzieło *De Fabrica* niezrównanego anatoma i rysownika Vesaliusa, interesuje się jednocześnie zbiorkiem dykteryjek o krążeniu krwi, tomikiem zupełnie pozbawionym ilustracji; mógłby się wydać zacofany nawet najwierniejszemu zwolennikowi Arystotelesa! Czy my nareszcie zrozumiemy, że naukowe traktaty, które nie pokazują tego, o czym piszą, nadają się tylko do kosza na śmieci?

Zaczyna kręcić się nerwowo między stołami, zacierając ręce, podczas gdy Oporinus rzuca nam zatroskane spojrzenia. Pietro Perna, Włoch, jeden z najniższych mężczyzn, jakich kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać, jeśli pominąć prawdziwych karłów, bezustannie rzucający przekleństwami, prawie zupełnie łysy i niezdolny do stania bez ruchu, jest w Bazylei osobą bardzo popularną. Zdaje się, że zjawia się tu co miesiąc, żeby doradzać w sprawach wydawniczych, przeglądać nowości, bezlitośnie krytykować niektóre dzieła, a przede wszystkim zaopatrywać się w książki zakazane, drukowane potajemnie, podejrzane o herezję; rozprowadza je potem po księgarniach wszystkich księstw, republik, państw i wielkich posiadłości północnych Włoch.

— Stankar? Dajcie sobie z nim spokój, kumie Oporinusi. Co za piekielny nudziarz!

— Nudziarz, powiadacie? — Głos drukarza aż kipi pełnym urazy zdumieniem. — Franciszek Stankar jest wielkim uczonym i subtelnym hebraistą. W następnym swoim dziele będzie porównywał anabaptystów i żydów w kwestii przyszcia...

— Przepiękne, niezwykle interesujące i godne szacunku! — Opuszcza filigranową rączkę i zamiata nią przed sobą, tak jakby chciał oczyścić przedpole z oponentów. — Waszym zdaniem, ilu lunatyków kupi te dyrdymałki?

— Bo wy nie myślicie o niczym innym, jak tylko o tym, żeby sprzedać. A są przecie książki, które dobrze jest wydawać: dodają prestiżu, dają odprawę niektórym oszczercom...

— A u mnie prestiż mają tylko takie książki, nad którymi byle robotnik spędza bezsenne noce, kumie. Krótko mówiąc, dość tych frontalnych ataków, tych dysput rozszczepiających włos na czworo, tych oskarżeń, które do nikogo już nie przemawiają. Dzisiaj hasłem dnia jest przemieszanie wszystkiego, *capito*? Przemieszanie! Rzeczy, które zatykają dech w piersi, rozumiemy się? I aż do końca nie wiadomo, czy autor to heretyk, czy prawowierny. Takie książki, jak *Błogosławieństwo Chrystusa*, rzecz napisana przez katolickiego zakonnika, ale pełna motywów drogich wyznawcom niemieckim. A wy mówicie: Stankar! Kto wam go doradził? Może nasz anabaptysta, który tam stoi?

Perna wskazuje mnie. Podchodzi. Poklepuje mnie po plecach.

— No tak! To nawet sprytnie pomyślane. Niezbyt oryginalnie, ale sprytnie. Ten Stankar aż rzyga wymysłami przeciwko anabaptystom. Nie operuje zwykłymi komunałami. Poważna rozprawa. To dobrze: czy jest lepszy sposób, żeby pokazać całym Włochom, czym wyróżnia się wasze wyznanie?

Spoglądam na niego krzywo.

— Ja? Wyznanie? — Wybucham szczerym śmiechem i oddaję mu to jego poklepywanie. — Zupełnie mnie nie znasz, kolego!

Pietro Perna podnosi się z podłogi i otrzępuje ubranie.

— Cholerny świat, ale macie rączkę, panie, nie od parady! Znałem jednego takiego we Florencji...

Oporinus podbiega z dobrotliwym uśmiechem, dobrze wiedząc, że gdy Perna zacznie mówić o Włoszech, nikt go więcej nie powstrzyma.

— Śmiało, Pietro, przejdźmy do naszych interesów. Ci panowie czekają na mnie, a wy wkręciliście się im przed nosem. Co was dziś interesuje?

Włoch kręci się jeszcze przez chwilę między stołami, co rusz biorąc do ręki jakąś książkę.

— Ta nie, ta nie, ta... też nie. O, to! — Uderza otwartą dłonią w okładkę. — Dacie mi dwadzieścia egzemplarzy tego i ze sto sztuk Vesaliusa.

Tymczasem głos dzwonu przypomina mi, że jest już zdecydowanie późno. Daję znak Oporinusowi, że zajrzę innym razem, i kieruję się do wyjścia.

— Nie, nie, zaczekajcie. — Słyszę za plecami przenikliwy głos Perny i jego szybkie kroczki. Nie reaguję, tak jakbym nic nie słyszał. — Zaczekajcie, do was mówię. Oporinus, nie spuszczaście tego z oka... trzeba przetłumaczyć trzeci tom dzieł Rabelais'go, no więc, zaczekacie czy nie? Potem Michał Servet, czytaliście jego traktat przeciwko Trójcy Świętej? Ej, panie, chybaście się nie obrazili za to, co mi się wymknęło na temat wiary?

Dogania mnie po półmilowym pościgu, ocierając chusteczką całą szerokość swojego wydatnego czoła.

— Aleście drażliwi, mój panie. Zaprawdę, wy tam na północy nie znacie się na żartach.

— To możliwe — odpowiadam, uwalniając się prędko od uścisku jego spoconej dłoni. — Musicie wybaczyć mi to klepnięcie, ale, jak pewno wicie, my na północy nie mamy zwyczaju się poklepywać, chyba że chcemy komuś dolożyć.

Mały Włoch z trudem łapie powietrze po długiej gonitwie, próbując dotrzymać mi kroku w szybkim marszu.

— Powiedziano mi, że jesteście raczej zamożnym człowiekiem, że zwiedziliście więcej świata, niż można sobie wyobrazić, że jesteście anabaptystą i interesuje was handel książkami. Jeżeli idzie o wasze wyznanie, to mam wrażenie, że rozumiem już, jak rzeczy stoją. A jak jest z całą resztą?

— Ujmijmy to tak: gdyby cała reszta była prawdą, to co mielibyście mi do powiedzenia?

— Zaproponowałbym wam interes.

Potrząsam głową.

— Ostatniej osobie, która proponowała mi coś takiego, ucięto głowę parę miesięcy temu. Dajcie sobie spokój, dobrze wam radzę!

Chwyta mnie nieustępliwie za rękę.

— Nie bądźcie przesądni, macie do czynienia z Włochem!

— Nie chodzi o przesąd. Mam na myśli to, że wszyscy, którzy zadawali się ze mną, skończyli bardzo źle.

— Ale wy żyjecie! — woła tym swoim zbyt krzykliwym głosem. — A ja jestem wielkim szczęściarzem.

Zagradza mi drogę i idzie tyłem, rozkładając szeroko ramiona.

— Posłuchajcie przynajmniej, co mam do powiedzenia! Chodzi o książkę, którą przedtem wymieniłem, *Błogosławieństwo Chrystusa*. Fan-ta-sty-czna rzecz. To znaczy, żebyśmy się dobrze rozumieli, jej treść sama w sobie mogłaby się nadać dla jakichś umarłaków, to taka nudna melasa o usprawiedliwieniu przez samą wiarę, ale liczy się to, że została napisana przez kardynałów. A to oznacza skandal, *capito*? A skandal oznacza tysiące egzemplarzy.

Podnoszę kołnierz futra, żeby osłonić się od lodowatego wiatru.

— Porozmawiajcie o tym z Oporinusem. Jestem pewien, że to go zainteresuje.

— Oporinus nie wchodzi w rachubę. *Błogosławieństwo Chrystusa* to książka, która może zainteresować wyłącznie Włochy. Takich książek nie drukuje się w Bazylei.

— A gdzie?

— W Wenecji. I rzeczywiście tam ją wydrukowano. Ale gdy tylko zabronią dalszego druku, a to jedynie kwestia paru miesięcy, być może obecny wydawca zaprzestanie drukowania dalszych egzemplarzy, rozumiemy się? A ci, co obecnie ją rozprowadzają, może nie będą chcieli mieć z nią nic wspólnego. Dobrze wiecie, że w Wenecji...

— O Wenecji wiem niewiele. Ktoś mi mówił, że są tam kanały, jak w Amsterdamie.

Mój niepożądany towarzysz zatrzymuje się nagle, tak jakby dostał ataku kolki. Chwyta się wystającego z muru kółka do wiązania koni i powoli odwraca głowę w moją stronę.

— Mówicie, że nie widzieliście nigdy Wenecji?

— Powiem więcej: „to oto miasto wokół nas, jest najbardziej na południe wysuniętym miejscem, na którym kiedykolwiek postawiłem nogę”.

Odpowiada mi obrażonym tonem, trzymając się ciągle żelaznego kółka.

— Ale w takim razie wszystko, co mi powiedziano na wasz temat, jest kłamstwem. Nie tylko nie jesteście anabaptystą, ale i nie oglądaliście tych wszystkich niewiarygodnych rzeczy, jeżeli nie możecie zaliczyć do nich Wenecji, a już na pewno nie jesteście zbyt zainteresowani handlem książkami, jeśli nigdy nie postawiliście nogi w stolicy drukarstwa, i w końcu nie możecie być takim znowu bogaczem, jak mówią, bo dzisiaj nikt, kto ma pieniądze, nie odmawia sobie podróży do Włoch.

Przyglądam mu się przez chwilę i wciąż jeszcze nie rozumiem, dlaczego ten niezdarny impertynent w ostatecznym rachunku wydaje mi się sympatyczny. W każdym razie czas, żebym się z nim pożegnał. Z jego powodu i tak już oddaliłem się sporo od miejsca, do którego zmierzałem.

— Jeżeli macie zamiar trzymać się tego żelastwa przez cały ranek, nie mam nic przeciwko temu. Ale jeśli chodzi o mnie, to muszę jeszcze przed południem oddać na stacji pocztowej ważny list.

Robi minę, jakby miał za chwilę umrzeć.

— Idźcie, idźcie, panie. I tak już wiem, że przyjmiecie moją propozycję. Nie trzeba innych powodów: to dla was jedyna szansa, żeby zobaczyć Wenecję.

Rozdział 2

Bazylea, Popielec 1545 roku

Napisałem zbyt mało słów, które przekroczą dalekie wzgórza za Franche-Comté, aby popłynąć coraz szerszą i płaską doliną Sekwany, gdzie mijają się statki zmierzające do Paryża i ku morzu. Potem będzie kanał i wybrzeża Anglii. Miesiąc, może więcej. Unikną w ten sposób wojny, ominą najemne wojska książąt niemieckich i oddziały zgromadzone na granicy Niderlandów przez wasali cesarza.

Oddaję mój list.

Został zaadresowany do widma o nazwisku Gotz von Polnitz w Londynie.

Nikt nie powiedział tego głośno, ale wiedzieliśmy, że nadszedł czas na ostatnią podróż handlową. W bezpiecznym miejscu mieliśmy dwieście pięćdziesiąt tysięcy florenów. I poczucie, że Fugger coś podejrzewa.

Gotz von Polnitz, jedyny z naszej trójki, który pozostawał zawsze w cieniu, poza wszelkim podejrzeniem, a do tego zmarł wiele lat wcześniej jako Lazarus Tucher.

Jemu właśnie powierzyłem losy osób mi najdroższych. Powiedziałem Kathleen i Magdzie: Jeśli sprawy przyjmą zły obrót, wyjdziecie razem z nim. A Lot będzie musiał puścić się biegiem, szybciej niż strażę i nie oglądając się za siebie.

Gdy tylko zszedłem ze statku, podszedł do mnie jakiś chłopiec i odradził mi wracanie do domu.

— Zgarnęli wszystkich.

Umowa z Gotzem. Jeżeli uda ci się zabrać ich ze sobą, czerwona chustka w oknie domu, w którym ukryliśmy pieniądze.

Chustka była, a może nawet jest tam dotąd. Dom należał do starego kupca, który przeniósł się do Goi w Indiach. Były także pieniądze, sto tysięcy florenów.

Miałem dołączyć do Kathleen i Magdy, umieszczonych w bezpiecznym miejscu, i dożyć spokojnie moich dni.

Ale nie miałem odwagi. Historia mojego życia mówi mi, że ten, kogo dotknę, umiera. Przyjaciele, bracia, towarzysze walki. Ciągnie się za mną smuga krwi od pewnego majowego dnia dawno temu, i tak trwa to aż dotąd.

Thomas Münzer, torturowany i stracony dwadzieścia lat temu.

Górnik Elias, ścięty mieczem przez najemnika na błotnistej ulicy.

Hans Hut, udusił się w więzieniu w pożarze własnego legowiska.

Johannes Denck, ofiara zarazy w tym oto mieście.

Melchior Hofmann, prawdopodobnie zgniół w więzieniu w Strasburgu.

Jan Volkertsz, pierwszy męczennik na holenderskiej ziemi.

Jan Matthijs z Haarlemu, poszatutowany na kawałki w pleconym koszyku.

Jan Bockelson z Lejdy, Bernhard Knipperdolling, Hans Krechting, torturowani rozżarzonymi obcęgami, straceni i wystawieni na drwiny tłumu w trzech klatkach, zawieszonych na dzwonnicy kościoła Świętego Lamberta.

Jan van Batenburg, ścięty w Vilvoorde.

Te imiona są imionami umarłych.

Ostatni niedobitek nieszczęsnej rasy, ludu, który historia postanowiła wytepić. Jedyne, który przeżył razem z kobietami dodającymi walczącemu energii i rozumu. Otylia, Ursula, Kathleen. Magda jest bezpieczna pod niebem innego kraju. Jej dwanaście lat to pęknięcie, przez które życie może się wykluczyć z półwiecza klęsk.

Jestem jedynym świadkiem tamtej epoki i wlokę za sobą wszystkich moich zmarłych, ciężkie brzemię, na dźwiganie którego nie chcę skazywać nikogo innego. Tym bardziej rodziny, którą mogłem mieć. One są bezpieczne, liczy się tylko to. Gotz zadba o nie. Przyrzekł mi to.

Być może zrobiłbyś to i dla mnie, wielki czarodzieju liczydeł, ale ja stanowiłem pewne ryzyko, byłem zadzumiony, byłem twarzą, którą wielu mogło rozpoznać. Dlatego nic nie powiedziałeś i podniosłeś kotwicę, nie oglądając się za siebie. Powiedziałeś tak na samym początku: jeżeli zrobi się gorąco, nigdy się nie znaliśmy, nie udzielimy sobie żadnej pomocy, każdy z nas będzie myślał wyłącznie o własnym losie. Zabrałeś swoją część i część przypadającą Eloi dla Magdy i Kathleen. Pokazałeś, że jesteś sukinsynem o dobrym sercu.

Kathleen. Te parę wierszy nie wyjaśnią wszystkiego, nie wystarczyłoby na to tysiąc listów. Szukali mnie, a nie was, zabraliby także kobiety i dzieci, ale nie mogli przecież dopaść upiora, jakim był Gotz, tak więc zawieź je, Gotz, w bezpieczne miejsce, do Anglii, pod opiekuńcze ramiona twoich angielskich przyjaciół i ich króla pijaka.

Kathleen. Być może wyczytałaś tamtego dnia w mojej twarzy, że

wszystko się kończy. Że nie zobaczysz mnie więcej, nawet gdyby mi się udało, gdybym zdołał uciec. Ponieważ moje przeznaczenie dopadło mnie i tysiąc utraconych przyjaciół umierało znowu razem z Eloi.

Zabrali Balthasara, który nie ujrzy już swojej żony, zabrali Daviona i Dorhouta. Wzięli Dominique'a, jego pisanie umrze razem z nim. A jeszcze van Hove, pieniądze nie przydały mu się tym razem; i Steenaerts, Stevens, van Heer. Wielki dom opustoszał. Ja uciekłem i znowu jestem sam, jeszcze raz.

Baliśmy się wściekłości Szczwanego Fuggera, ale nie byliśmy w stanie przewidzieć, że rzucą się na nas gończe psy papieża.

Nie zdradził żadnego imienia. Jego duch unosił się wolny nad udreńczonym ciałem. Powiadają, że się śmiał, że śmiał się głośno, że zamiast krzyczeć śmiał się. Wolę myśleć o nim tak właśnie, wyobrażać sobie, jak spowija go dym, a on śmieje się w twarz tym krukowi. Ale powinien być tutaj, żeby poczęstować mnie nalewką i aromatycznymi cygarami z Indii.

Widać jest moim przeznaczeniem, że zawsze muszę się wywinać, aby żyć dalej w poczuciu klęski, trawiąc ją po trochu.

Jestem stary. Za każdym razem, gdy po niebie przetacza się grzmot, podskakuję na wspomnienie tamtych armat. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, leżąc w łóżku, wiem, że otworzę je dopiero wtedy, gdy znowu ujrzę wszystkie te nawiedzające mnie upiory.

Kathleen jest teraz w miejscu oddalonym od wojny, a ja spędzę pozostały mi czas, kryjąc się między uciekinierami z połowy Europy, tropionymi jak ja przez inkwizytorów papieża albo Lutra i Kalwina. Spokojni ludzie, którzy przyjeżdżają objuczeni książkami, historiami, przygodami; literaci, prześladowani księża, baptyści; jestem tylko jedną z wielu twarzy, wystarczająco bogaty, żeby pozwolić sobie na milczenie. Pieniądze na dokończenie moich dni. Sto tysięcy florenów. I żadnego sposobu, żeby je przyzwoicie wydać.

Jestem stary. Może tylko to. Przeżyłem dziesięć różnych żywotów, nie przystając na chwilę, i jestem zmęczony. Od jakiegoś czasu nie nawiedza mnie już rozpacz, tak jakby moja dusza zamknęła się na cierpienie i nauczyła się patrzeć na tamte rzeczy z dystansu, jakbym czytał o nich w książce.

Mimo wszystko z tych stron podnosi się znowu towarzyszący mi od zawsze Czarny Cień, żeby mi powiedzieć, że żadna cena nie wyrówna starych rachunków, że nigdy nie płaci się dość i nie istnieje bezpieczne schronienie. Że jest gra, która domaga się zamknięcia; ale jeśli ma trwać do końca, to trudno. Wszystko, na czym mi zależało, jest bezpieczne, zostałem tylko ja. Ja i duchy, które mi towarzyszą. Wszystkie.

Także Lodewijck de Schaliendecker, alias Eloi Pruystinck, spalony *extra muros* 22 października 1544 roku.

Rozdział 3

Bazylea, 18 marca 1545 roku

— W Wenecji człek się gubi, nawet jeżeli mu się wydaje, że już ją dobrze poznał, rozumiemy się? Popada się w zupełne zauroczenie tym miastem. To labirynt kanałów, uliczek, kościołów i pałaców, które wylaniają się jak w sennym marzeniu, bez żadnego wyraźnego związku z tym, co widziało się do tej pory.

Odkorkowując butelkę „najlepszego wina świata”, Pietro Perna pogrąża się w swoich tyradach, jak zawsze, gdy zaczyna mówić o Włoszech. Za oknem tylnego pomieszczenia drukarni Oporinusa widać szare niebo Bazylei, przechodzące w biel, tak jakby ktoś pozbawił je zdecydowanego ubarwienia, ale, może za sprawą aromatu wina albo łańskich wtretów mojego rozmówcy, mam wrażenie, że izbę zalewają potoki słonecznego światła.

— Zdaje się, Pietro, że dopiero co mówiliście o domniemanych autorach *Błogosławieństwa Chrystusa*?

— Rzeczywiście — odpowiada, ocierając sobie wąsy wierzchem dłoni — nie traćmy z pola widzenia głównego wątku. Oficjalnie książka jest anonimowa, mówi się, że napisał ją fra' Benedetto Fontanini z Mantui, ale wszyscy zapewniają po cichu, że jest dziełem osób blisko związanych z angielskim kardynałem Reginaldem Pole'em.

Przerywam mu.

— Mam nadzieję, że nie wyrządę wam przykrości, jeśli poproszę o garść informacji na temat włoskich spraw, żeby ta historia z kardynałami cytującymi Kalwina nie wyprowadziła mnie od samego początku na jakieś manowce. Być może nie powinno się dyskutować o takich rzeczach przy winie.

Pietro Perna wybałusza na mnie oczy i nalewa sobie następną szklaneczkę.

— To jest wino Chianti, mój panie, możecie pić, ile się wam podoba, a będziecie mieli coraz lżejszą głowę. Wyrabiają je moi rodzice w posiadłości położonej niedaleko miasteczka Gaiole. To wino zaszczycało stół Cosima de' Medici, *capito?* Nie-zrów-na-ne!

Dostrzega mój niecierpliwy ruch ręką.

— Ale wróćmy do naszej rozmowy. Hiszpański medyk Michał Servet opisał Włochów jako naród zróżnicowany pod każdym względem: form rządu, języka, zwyczajów i cech fizycznych. Jego zdaniem miałyby nas łączyć tylko niechęć jednych względem drugich, brak wojennej odwagi i poczucie wyższości wobec ludów mieszkających po tamtej stronie Alp. To samo można powiedzieć o sprawach wiary: z jednej strony są ludzie nawołujący do pojednania z luteranami, z drugiej ci, co dają absolutne pierwszeństwo wojnie z herezją i odkurzają Święte Oficjum. Wśród ludu rozpowszechniona jest bardzo nienawiść do kleru, a jednocześnie sympatia dla wiary, którą nazywa się tu germańską, ale równie dobrze można by powiedzieć coś zupełnie przeciwnego, rozumiemy się? Tak jak dałoby się powiedzieć, że wielu chłopów nie wie, co to jest Trójca Święta, chodzą do spowiedzi i komunii na Wielkanoc, żeby zadowolić proboszcza, a przez resztę roku żyją swoimi starymi przesądami.

Próbuję wyobrazić sobie ziemię opisywaną przez Pietra Perne, pociągając drugą szklaneczkę jego wismienitego wina. Włochy... Może to i prawda, że nie dokonam żywota, nie odwiedziwszy przedtem tego kraju. Mam zresztą wrażenie, że wiele z tego, co przeżyłem, wzięło swój początek tam właśnie, aż po śmierć Eloi i zagładę Braci Wolnego Ducha, których wskazała Karolowi V jako heretyków i niebezpiecznych, nielojalnych obywateli właśnie inkwizycja.

Tymczasem Perna nie milknie nawet na chwilę, podkreślając każde zdanie wymownymi gestami.

— Utworzony przez książąt związek szmalkaldzki ma swojego ambasadora w Wenecji, rozumiemy się? I niemało jest takich, którzy z zadowoleniem przyjąłoby triumf luteranśkich idei w Najjaśniejszej Republice Wenecji. W żadnym razie nie wolno wam pominąć takiego miasta, mój panie. Dzięki kupcom można nabyć tam wszystko, czego może zapragnąć bogaty człowiek, zobaczyć wszystko, czego może pożądać ciekawy umysł, zaspokoić wszelkie cielesne potrzeby, jakie można odczuwać w stolicy nierządu, gdzie jedna kobieta na pięć uprawia stale albo przynajmniej sporadycznie prostytucję. A wreszcie dzięki książkom znajdzie się tam sposób na wypchanie do pełna sakiewki, byle tylko miało się tę odrobinę odwagi, której, jak się wydaje, brakuje tylko nam, Włochom.

Trzecia szklaneczka.

— Ponieważ mówicie o pieniądzach, *messer* Pietro, podsunę wam pewien pomysł. Napiszcie książkę o Wenecji, żeby skłonić do jej odwiedzenia wybitnych Europejczyków, i wskażcie w niej, gdzie będą mogli zjeść, gdzie się napić, gdzie znajdą przewodniczki gotowe pokazać uroki miasta, gdzie mogą się zatrzymać. Jestem pewien, że książka odniosłaby wielki sukces, a właściciele wymienionych w niej miejsc umieliby odwdziżyć się wam za te wzmianki.

Wyciąga ręce nad stołem i chwyta moje dłonie, zanim udaje mi się je cofnąć.

— Wierzcie mi, panie, marnujecie się tutaj. Bazylea, jak to wiecie lepiej ode mnie, jest miastem, do którego przyjeżdżają zgubić tropy najbardziej nowatorskie umysły, najniebezpieczniejsi kacerze, najwięksi buntownicy z całej Europy. Chcą tu odpocząć, pooddychać trochę spokojniejszym powietrzem. To wszystko nie dla was, przyznajcie to szczerze. Wy jesteście człowiekiem czynu.

— Być może. Ale upłynęło za mało czasu od zadania mi ostatniej rany, musi się zablźnić.

— A więc napijcie się, panie, nie ma na to lepszego remedium. Czwartha szklaneczka: czuję, że mam naprawdę lekką głowę.

Rozdział 4

Bazylea, 28 marca 1545 roku

Dom Johanna Oporinusa jest wystarczająco duży, aby pomieścić wszystkich. Wspólnota uciekinierów, którzy znaleźli przystań w Szwajcarii, liczy około dwudziestu osób, mniej lub więcej sławnych protestantów, którzy poznali najwybitniejsze umysły Reformacji, sfera psów spuszczonej ze smyczy: są to przyjaciele Bucera, Fabriciusa i Kalwina, który właśnie w Bazylei oddał do druku pierwsze wydanie swojej *Nauki religii chrześcijańskiej*.

Wielu tych świątłych ludzi nie zgadza się z ojcami Reformacji na temat struktury nowej organizacji kościelnej. Nie wszyscy akceptują koncepcję Bucera ze Strasburga i Kalwina z Genewy, polegającą na propozycji przekształcenia stolic tego ruchu w miasta-kościół. Wielu z tych, którzy uciekli aż tu, spotkało się z ostracyzmem swoich mistrzów, zajętych dziś tworzeniem nowego Kościoła, który umiałby zastąpić stary; potrzebni będą nowi doktorowie, którzy zajmą się nauczaniem katechizmu, nowi diakoni, nowi pastory i starcy, którzy będą pilnować religijnego i moralnego życia swoich wiernych.

Słowem, które rozbrzmiewa dziś od jednego do drugiego krańca ziem objętych reformą, jest zdyscyplinowanie. Budzi ono niezadowolone wolnych myślicieli; są to ludzie niewygodni dla tych, którzy pragnęliby porządku i hierarchii.

Oporinus wezwał nas, żeby przemówić do wszystkich. Nie chciał powiedzieć, o czym, ale myślę, że ma to związek z krążącymi wieściami, że wielokrotnie zapowiadany sobór ekumeniczny tym razem odbędzie się wreszcie pod koniec roku.

Jedyną znaną mi twarzą jest David Jorris, jeszcze kilka miesięcy temu przywódca holenderskiego anabaptyzmu; także on przybył tu z niewielu zwolennikami, uciekając przed prześladowaniami inkwizycji. Bocholt, sierpień roku 1536: konsylium anabaptystów;

Batenburg przeciw wszystkim, przeciwko Philipsowi i Jorrisowi, pamiętam to dobrze, miecz przeciwko słowu. Nie sądzę, żeby mnie rozpoznał, minęło prawie dziesięć lat.

Widzę, jak Pietro Perna sunie w stronę krzesła z paroma książkami w rękę i ze znudzoną miną zaczyna je kartkować, potrząsając nad nimi głową, tak jakby znalazł w nich potwierdzenie najgorszych przeczuć.

Siadam i ja, trochę z boku. W gruncie rzeczy niczego się nie spodziewam, zwłaszcza od Oporinusa i kółka jego przyjaciół. Doceńm aktywność naszego przyjaciela drukarza: Paracelsus, Servet, Socyn, to autorzy, mogący wpędzić w kłopoty, ludzie, których Kalwin gotów jest poświęcić, byle tylko umocnić swoją pozycję nowego Lutra. Ale tego rodzaju odwaga nie może już wystarczyć, i jeśli nawet czasy, w których żyjemy, nie pozwalają być może na inną, ja poświęciłem zbyt wiele sił walce, żeby ekscytować się teraz jakąś tam teologiczną dysputą.

Gospodarz daje znak, aby przerwać rozmowy, chce zabrać głos.

— Moi przyjaciele — rozpoczyna ciepłym, pokojowym tonem — zwołałem was tu dzisiaj, gdyż uważam, że pożytecznie byłoby wymienić poglądy na temat wydarzenia, które zaczyna rysować się na horyzoncie. — Jego głos się rozjaśnia. — Prawdopodobnie dotarła do was wiadomość o zwołaniu soboru, w którym będzie uczestniczyć całe podzielone chrześcijaństwo, żeby szukać porozumienia i możliwości pojednania wszystkich frakcji.

Próbuje odczytać reakcję z twarzy obecnych, Perna ziewa w swoim kącie, dyndając nogami na zbyt wysokim dla niego krześle.

Oporinus podejmuje wywód:

— No cóż, nie możemy pozostać na uboczu i przyglądać się wydarzeniu o takiej doniosłości jako milczący widzowie. Jest bardzo prawdopodobne, że aby ułatwić wzięcie udziału najwybitniejszym uczonym z kręgu luterńskiego protestu, jako miejsce soboru wybrane zostanie neutralne miasto Trydent, w połowie drogi między Rzymem i ziemiami niemieckimi, niezbyt odległe od naszej Bazylei.

— Chcielibyście zaprosić nas wszystkich na ten sobór? — Ton pytania oscyluje między ironią i niedowierzaniem, zadaje je ktoś siedzący naprzeciwko Oporinusa.

Drukarz kręci głową.

— Tego nie powiedziałem. Ale należałoby może napisać do Genewy, żeby poinformować Kalwina i jego ludzi, że nie chcemy być pozostawieni na uboczu, że my też będziemy chcieli wyrazić nasze poglądy, może nawet coś opublikować, choćby jeden dokument, który mógłby zostać odczytany w obecności katolickich kardynałów. Moglibyśmy napisać do Serveta do Paryża, poprosić go, żeby stworzył coś na tę okazję...

Z drugiego rzędu podnosi się błady, chudy mężczyzna, mówiący z francuskim akcentem; Oporinus musiał mi go przedstawiać, ale nie pamiętam jego nazwiska.

— Chyba nie sądzicie, że Luter, Melanchton i Kalwin naprawdę zechcą wziąć udział w soborze?

— A czemu by nie? Jeśli kardynałowie doszli do wniosku, żeby zwoływać sobór, oznacza to, że obawiają się rozlania Reformacji i są skłonni do kompromisu, a może nawet zamyślają otworzyć się na niektóre aspekty...

Leroux, przypomniałem sobie jego nazwisko, przerywa mu wzburzonym tonem:

— Jeśli Luter uda się na sobór, to już stamtąd nie wróci. I tak będzie z wszystkimi innymi. Jeśli papiści będą ich mieli na odległość strzału z fuzji, nie oprą się pokusie pojmania ich i spalenia. Znamy ich aż za dobrze...

Widzę potakujące głowy, niektórzy wykrzywiają usta, Perna dynda nogami i obojętnie kartkuje książki, które ma na kolanach.

Za plecami Francuza podnosi się Jorris, wysoki i jasnowłosy, machając białą ręką.

— A ja wam mówię, że gdyby Kalwinowi i Lutrowi udało się położyć rękę na niektórych tu obecnych, spotkałby ich taki sam los. Co nas obchodzi ten sobór? Przyjmując, że rzeczywiście dojdzie do skutku, będzie pułapką na głupich, i jeśli któryś z tych kruków z Genewy albo z Wittenbergi w nią wpadnie, ja z pewnością nie będę go oplakiwał!

Oporinus stara się uspokoić umysły obecnych.

— Nie, Jorris, nie powinniście tak mówić. Różnice dzielące niektórych z nas od Lutra i Kalwina nie powinny popychać do tego, żebyśmy robili z igły widły. Nie podzielam też waszej opinii na temat soboru.

Holender wzrusza ramionami i siada.

— Niech tylko sobór dojdzie do skutku, a narzucą wam jedno tylko zdanie, ich zdanie.

— Mam na myśli to — ciągnie drukarz, przewyciężając szum wywołany wystąpieniem anabaptysty — że Kalwin i Luter zrobią wszystko, aby wyłączyć nas z jakichkolwiek negocjacji, i gdyby kiedykolwiek zawarli jakąś ugodę z Rzymem, będzie to ze szkodą dla każdego, kto nie uzna w pełni ich propozycji. Co się stanie z takimi ludźmi jak Michał Servet, Lelio Socyn, Sebastian Castellion? — Spojrzenie Oporinusa wędruje po twarzach siedzących. — Co będzie z nami, bracia?

Ze stojącego w głębi i zupełnie z boku krzesła odzywa się zamieszkały w Bazylei Serres:

— Nie będzie żadnego porozumienia, Oporinus, ponieważ papiści nigdy nie ustąpią w kwestii usprawiedliwienia *per opere*, a Luter

i Kalwin z drugiej strony nie są skłonni odstąpić choćby na krok od usprawiedliwienia *per sola fede*. W ich oczach byłoby to pozostawieniem jeszcze jakiejś przestrzeni dla antychrześcijańskiej władzy papieża, dla odpustów, dla świętokupstwa...

— Nie możemy tego wiedzieć z całą pewnością, Serres. We Włoszech jest niejeden kardynał, który patrzy przychylnym okiem na pojednanie z protestantami i docenia luterzańską teologię. Jest już literatura na ten temat, być może drobne rzeczy, ale są to ważne sygnały. Wszyscy czytaliście *Błogosławieństwo Chrystusa*. Mówią, że jego autorem jest zakonnik wspierany przez wybitnych włoskich uczonych, a nawet przez jednego kardynała! To są fakty, moi bracia, nie możemy ich ignorować. Jeśli jest szansa na to, że na soborze pojawi się możliwość ponownego złączenia i radykalnej reformy Kościoła rzymskiego, jestem za tym, żebyśmy nie zostawiali inicjatywy wyłącznie Kalwinowi i Lutrowi. Idzie o naszą wolność. — Jego spojrzenie przemyka po tłumie głów, aż w końcu odnajduje Pernę. — Chciałbym usłyszeć wasze zdanie, *messer* Perna, wy lepiej od nas wszystkich znacie sytuację we Włoszech.

Mały człowieczek rozkłada króciutkie ramiona, nie spodziewał się, że zostanie poproszony o zabranie głosu, drapie się po czole i wstaje, ale nie udaje mu się wysunąć głowy ponad siedzących. Bierze długi oddech.

— Panowie, słyszałem dużo pięknych słów, ale żadne z nich nie trafiło w sedno. — Wszyscy patrzą na niego z zakłopotaniem, uderzeni jego niecodziennym, włoskim akcentem. — Możecie napisać albo zamówić najpiękniejsze teologiczne dzieła tego stulecia, jeśli to poprawi wam samopoczucie, ale nie zmienicie w ten sposób rzeczywistości. A rzeczywistość jest taka, panowie, że to nie kwestie doktrynalne wyznaczą bieg soboru, ale polityka.

Zapada grobowa cisza, mały Perna nie zna półśrodków, spostrzegam, że chwyta go oratorska wena.

— Jeśli zwołuje się ten sobór, to z powodu nacisków, jakie cesarz wywiera na papieża. To Habsburg chce złączyć katolików i protestantów, ponieważ cesarstwo wymyka mu się z rąk, i Turek Sulejman, który, jak powiadają, może zadowolić dwadzieścia kobiet w ciągu jednej nocy i nie przypadkiem nosi przydomek Wielkiego, stawia go w trudnym położeniu. Karolowi Piątemu nie zależy na tym, w jakich kwestiach teologowie się pogodzą, interesuje go zjednoczenie chrześcijan pod swoim sztandarem, żeby oprzeć się Turkom i utrzymać kontrolę nad własnymi granicami. — Potrząsa głową. — Posłuchajcie mnie teraz dobrze, tam w Rzymie jest pewna liczba kardynałów, którym bardzo podobają się stosy. Ale nie powinniście myśleć, że ci świątobliwi mężowie umierają z pragnienia, żeby upiec na nich Lutra, Kalwina, Bucera i wszystkich tu obecnych. Ponieważ, widzicie,

dopóki ci heretycy, jak oni ich nazywają, nie wypadną z obiegu, oni będą mogli spuszczać ze smyczy inkwizycję w pogoni za najbardziej niewygodnymi umysłami, przede wszystkim ich własnymi przeciwnikami politycznymi w łonie Kościoła rzymskiego. Jak świat światem, to zewnętrzni wrogowie umożliwiają szachowanie tych wewnętrznych. Oporinus ma rację, gdy mówi, że istnieje stronnictwo kardynałów, przychylne dialogowi z protestantami, i to właśnie na nich liczy cesarz, żeby zrealizować swoje plany. Ale popatrzmy, kto jest po drugiej stronie. — Perna zaczyna liczyć na swoich grubych palcach. — A więc mamy tu książąt niemieckich, a tym samym Lutra i Melanchtona. Żeby utrzymać niezależność od Rzymu i od cesarstwa, książęta nie mają żadnego interesu, by posyłać swoich teologów na sobór. Przeciwnie, gdyby z soboru wynikło, że wszyscy oni są apostatami, cesarz nie potrzebowałby już krzyczeć o obrazie majestatu i mógłby zadowolić się widokiem przegranych księstw niemieckich. Poza tym jest jeszcze król Francji, czyli wszyscy kardynałowie francuscy; dwadzieścia lat wojny świadczy o wrogości Franciszka pierwszego wobec Habsburga. Czy trzeba jeszcze czegoś innego, żeby dojść do wniosku, że będą oni głosować przeciwko projektowi pojednania? Wreszcie są kardynałowie rzymscy związani z inkwizycją, którzy chcą twardej linii i którzy będą stawiać przeszkody dialogowi z protestantami. — Perna bierze oddech, twarze obecnych wyrażają osłupienie, tak jakby do sali wszedł tresowany niedźwiedź. Jeszcze chwila i Włoch jest znowu w ataku: — Sobór, panowie, będzie wyrównaniem rachunków pomiędzy władcami Europy. Piszcie, piszcie, napiszcie, jeśli chcecie, wszystkie traktaty teologiczne świata, ale to nie wy będziecie rozgrywać tę partię, ani nie Kalwin czy Luter. Jeżeli chcecie przeżyć, musicie pomyśleć o czymś innym.

* * *

— *Messer Pietro*, zaczekajcie!

Mały człowieczek przestaje przebierać nogami w błocie, odwraca się ile trzeba, żeby mnie dostrzec, i zatrzymuje się na środku ulicy.

— A, to wy. Myślałem... — Odległość nie pozwala mi zrozumieć dalszego ciągu.

Dopędzam go.

— Co chcieliście powiedzieć? Co to znaczy, że powinni pomyśleć o czymś innym?

Włoch uśmiecha się i kręci głową.

— Chodźcie ze mną. — Bierze mnie pod ramię i odciąga na pobocze, zagłębia się w mały zaułek; jego komiczny sposób chodzenia, tak jakby podskakiwał, wyciska na mojej twarzy lek-

ceważący uśmieszek. Ten człowiek ma dziwną moc wprawiania mnie w dobry nastrój.

— Posłuchajcie, kolego. Tu nie ma już nic do roboty. Wszyscy wasi przyjaciele... — urywa na widok mojej uniesionej ręki — o, przepraszam, wszyscy przyjaciele Oporinusa to kochani ludzie, rozumiemy się? Ale do niczego nie dojdą. — Małe oczy błędzą po zmarszczkach na mojej twarzy, tak jakby czegoś szukały. — Ich zmartwienia wyczerpują się na różnicach albo na kwestiach zgodnych między ich poglądami i poglądami Jana Kalwina. A ludzie tacy jak ja i wy, kolego, wiedzą doskonale, że siły napędzające bieg świata to zupełnie co innego, rozumiemy się?

— Co macie na myśli?

Znowu ściska mnie za ramię.

— No jak to, mój panie! Nie oszukujmy się, jeśli włoski księgarz ma im tłumaczyć, jak przedstawiają się sprawy, oznacza to, że te pięknoduchy nie widzą dalej swojego nosa! Piszą teologiczne traktaty dla innych uczonych, rozumiemy się? I dopiero jak nadejdzie dzień, w którym przyjdą po nich, żeby ich przywiązać do słupa i podłożyć wiązkę słomy, może wtedy otworzą oczy! Tylko że wtedy będzie za późno. Mam na myśli to, mój przyjacielu, że walka się już rozegrała. Narobiliście hałasu tam w Niemczech, i nawet porządnie im wygarnęliście, potem byli jeszcze Holendrzy, bardzo wesołe chłopcy, głupie jak konie, a teraz Francuzi i Szwajcarzy, i Kalwin, który staje się gwiazdą buntu przeciwko papieżowi. To wszystko głupoty, mój panie, tylko władza, władza, to o nią podryniają sobie gardła. Na litość, nie mówię, że stary Luter nie przyznałby im racji, nie twierdzę, że ten mocarz Kalwin byłby innego zdania, ale to tylko pionki. Gdyby nie robili tego, co służy możliwemu, to te czarne kruki byłyby niczym, powtarzam, ab-so-lut-nie ni-czym!

Uwalniam się od jego ręki, oszołomiony tymi słowami. Perna wzrusza ramionami i rozkłada szeroko swoje niewiarygodnie krótkie ramiona.

— Ja wykonuję mój zawód, *capito*? Jestem księgarzem, krążę po świecie, widuję kupę ludzi, sprzedaję książki, odkrywam talenty ukryte pod górami papieru... Ja propaguję idee. Mam najbardziej ryzykowny zawód na świecie, *capito*? Jestem odpowiedzialny za szerzenie myśli, także tych najbardziej niewygodnych. — Wyciąga rękę w kierunku domu Oporinusa. — Oni piszą i drukują, ja to rozprowadzam. Oni uważają, że książka ma wartość sama w sobie, wierzą w piękno myśli jako takich.

— A pan nie?

Rzuca mi dumne spojrzenie.

— Ta czy inna idea ma wartość, jeżeli zostaje upowszechniona w odpowiednim miejscu i czasie, mój przyjacielu. Gdyby Kalwin wydrukował swoją *Naukę* trzy lata wcześniej, król Francji spaliłby go w gnieniu oka.

— Ciągłe nie rozumiem, dokąd właściwie zmierzacie.

Podskakuje nerwowo w miejscu.

— Do diabła, słuchacie, co mówię, czy nie? — Wyciąga z nieodłącznej torby poźółkłą książeczkę. — Weźcie *Błogosławieństwo Chrystusa*. Małe, poręczne, zrozumiałe, do tego mieści się w kieszeni. Oporinus i jego przyjaciele wiążą z tą książeczką pewne nadzieje. A wiecie, co ja w niej widzę? — mała pauza dla zwiększenia efektu — wojnę. To jest cios w sam żołądek, potężna broń. Myślicie może, że jest to arcydzieło? To mierna książczyzna, popłuczyny po Kalwinie, streszczenie jego *Nauki*. Ale w czym tkwi jej siła? W tym, że stara się przedstawić usprawiedliwienie *per sola fide* w sposób zgodny z doktryną katolicką. A co to oznacza? Że jeśli upowszechni się tę książeczkę i odniesie ona sukces, może nawet wśród kardynałów i doktorów Kościoła, to być może wy i Oporinus, i jego przyjaciele, i może wszyscy pozostali nie będziecie mieli na karku inkwizycji, która w przeciwnym razie będzie was ścigać do końca waszych dni! Jeśli ta książka zyska uznanie właściwych ludzi, nieprzejednani kardynałowie ryzykują znalezienie się w mniejszości, rozumiemy się? Książki zmieniają świat tylko wtedy, gdy ten je połknie i przetrawi.

Wciąga powietrze i przez dłuższą chwilę mierzy mnie wzrokiem, a potem mówi, przymrużając oczy:

— A jeśli przyszedłby papież byłby skłonny rozmawiać? Gdyby okazał się przeciwnikiem metod stosowanych przez Święte Oficjum?

— Papież jest zawsze papieżem.

Gest dezaprobaty.

— Ale żyć i móc w dalszym ciągu mówić swoje, to coś zupełnie innego niż umrzeć, piekąc się w ogniu.

Zapina torbę i zabiera się do odejścia, ale tym razem to ja go powstrzymuję.

— Zaczekajcie.

Zatrzymuje się. Patrzą na tego małego człowieczka, któremu ze wszystkich porów tryska przebiegłość i energia. W błysku oczu ma coś z Eloï, w stanowczości słów coś z Gotza von Polnitz.

— Co byście pomyśleli, gdybym wam powiedział, że nie zależy mi już na zmienianiu czegokolwiek?

Uśmiecha się.

— Powiedziałbym, że powinniście prędko wyruszyć do Włoch, zanim błoto tego miasta do reszty zdusi wam rozum.

— Ladacznice, interesy, zakazane książki i papieskie intrygi? Czy to właśnie obiecujecie?

Robi mały podskok i odchodzi, starając się wydłużyć krok.

— A czy jest jeszcze coś innego, co może dodać życiu smaku?

Rozdział 5

Bazylea, 28 kwietnia 1545 roku

— Słyszałem, że zamierzacie wyjechać. Może porozmawiamy o interesach?

Uśmiecha się kpiąco i zaprasza mnie do saloniku, w którym wesoło trzaska ogień na kominku i czekają dwa fotele. Na stoliku niezawodna butelka wina. Odnoszę niemal wrażenie, jakby na mnie czekał.

Zaciera ręce, pochylając się do przodu z nastawionymi uszami.

W obecności tego człowieka po prostu nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.

— Jeśli mam już włożyć w to moje pieniądze, musicie mi wyjaśnić, co zamierzacie.

Potakuje zdecydowanym ruchem głowy.

— Z pewnością, święte słowa. Ale w zamian wy powiecie mi, co ostatecznie was przekonało.

— Propozycja wydaje się do przyjęcia.

Zrywa się i podbiega do podróźnej torby, aby wyjąć z niej poźółkłą książeczkę.

— O właśnie, *Błogosławieństwo Chrystusa* fra' Benedetta z Mantui. To jest coś, na czym można w tym momencie zrobić interes. Bindoni wydrukował tę książkę w Wenecji w czterdziestym trzecim i udało mu się sprzedać kilka tysięcy egzemplarzy. Ja sam brałem udział w jej rozpowszechnianiu, moja umowa z Bindonim zapewnia mi połowę zysku ze sprzedaży.

— Przejdźcie do sedna sprawy.

Opiera stopy o podłogę i przysuwa się do mnie razem z fotelom, z chytrą miną człowieka, który umie sprzedawać futra Szwedom.

— Bindoni to człowiek odważny, rozumiemy się? Ale brakuje mu pieniędzy i szerokich horyzontów. Powiem inaczej: w Republice

Wenecji nietrudno jest sprzedawać takie, nazwijmy to, nieortodoksyjne książki jak ta; weneccjanie starają się zachować niezależność od papieża także w kwestiach religijnych, bo gdyby było inaczej, to Bindoni musiałby zapomnieć o drukowaniu *Błogosławieństwa*. Ale gdyby jakaś dobrze ustawiona osoba, obdarzona odrobiną sprytu potrzebnego do podróżowania po świecie, wzięła na siebie rozprawienie jej po całych Włoszech i zawiozła ją do Ferrary, Bolonii, Modeny, Florencji... zyskałaby dostęp do nieograniczonego, praktycznie biorąc, rynku.

— Hmm. Trzeba by było zwiększyć nakład. Macie pewność, że ten Bindoni byłby gotów spełnić nasze oczekiwania?

— Jakżeby nie? Weneccjanie z daleka wyczuwają dobry interes, a gdyby nawet nam odmówił, w mgnieniu oka znajdziemy innego drukarza, rozumiemy się? Wenecja jest stolicą drukarstwa!

Wytrzeszcza oczy i czeka na potwierdzenie z mojej strony.

Z ulicy dochodzą echa wulgarnej śpiewki, którą intonuje gromada studentów.

Znowu mile wędrowek, nowe ziemie i miasta.

— Domyślam się, że to ja jeździłbym po Włoszech z pakami książek.

— To jest przedsięwzięcie, które podzielimy między siebie, *capito*? Ja zająłbym się regionem mediolańskim i rzymskim. Wam przypadłyby tereny północno-wschodnie, Emilia i Florencja. Jednakże trzeba, żeby któryś z nas pojechał do Wenecji ułożyć się z drukarzami i zapędzić ich do roboty nad *Błogosławieństwem*. Przyznajcie, tę książkę da się sprzedać w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Spoglądam na niego z ukosa.

— Przez całe życie zwalczałem Lutra i klechów, a teraz miałbym oddawać się na służbę kardynałom, którzy się w nim zakochali?

— Dobrze płatną służbę, przyjacielu. I pożyteczną dla tych, którzy jak wy i ja myślą, że lepiej jest, kiedy książki i poglądy krążą swobodnie i nie natrafiają na swojej drodze na trybunały inkwizycji. Ja wcale was nie proszę, żebyście żenili się z autorami tej książki, lecz tylko o udzielenie im pomocy w tym celu, żeby życie stało się łatwiejsze, a może nawet po to, żeby w ogóle przy nim pozostać.

Milknie znowu, słychać tylko trzaskanie ognia i skrzypienie jadącego ulicą wozu. Ten Włoch dokładnie wie, o co mu chodzi, i sięga po dobre argumenty. Nalewa wina i podaje mi szklaneczkę. Wzdycha, a potem odzywa się braterskim niemal tonem:

— Mój przyjacielu, naprawdę chcecie spędzić resztę swoich dni w Bazylei? Naprawdę nie nudzą was niekończące się dyskusje tych ludzi? Jesteście człowiekiem czynu, mówią to wasze ręce i wasze oczy.

Uśmiecham się niewyraźnie.

— Co jeszcze wam mówi mój wzrok?

Odpowiada mi przyciszonym głosem:

— Że nie przywiązujecie już większej wagi do tego, co się dzieje, ale wciąż jesteście zdolni poddać się urokom nieznanych krajobrazów. I właśnie z tego powodu moglibyście włączyć się do tego przedsięwzięcia. W przeciwnym razie nie przyszlibyście tu do mnie, dobrze mówię?

Perna to człowiek szczególnego rodzaju, nieokrzesany i płytki, ale jednocześnie bystry i subtelny znawca ludzi. Jednoczy doktrynalną wiedzę z konkretnym sensem różnych spraw; rzadko w moim życiu spotykałem tego rodzaju mieszankę.

Wypijam wino, jego silny aromat wypełnia mi usta. Pozwalam mu ciągnąć rozmowę, wiem już, że niełatwo jest zniechęcić go do mówienia.

— Mielście do czynienia z księgami i z orężem. Walczyliście o to, w co wierzyliście, i przegraliście tę walkę, ale nie życie. Rozumiemy się, mówię o sensie życia, który łączy ludzi takich jak ja i wy, chodzi o niemożność zatrzymania się, usadowienia się w jakimś kącie w oczekiwaniu końca; mam na myśli to, że świat to jeden wielki plac, na którym stają naprzeciwko siebie narody i pojedynczy ludzie, od tych zupełnie pozbawionych indywidualnego oblicza po najbardziej wyrafinowanych, od rzezimieszków po książąt, każdy ze swoją niczym niezastąpioną historią, która opowiada też historię wszystkich pozostałych. Musieliście poznać śmierć, utratę bliskich. Może mieliście rodzinę, gdzieś tam na tych północnych ziemiach. Z pewnością wielu przyjaciół, których traciliście po drodze, nie zapominając ich jednak. I kto wie, ile rachunków do wyrównania, które na zawsze muszą zostać otwarte.

Ogień kominka oświetla mu połowę twarzy, nadając rysy jakiegoś bajecznego stworzenia, mądrego i zarazem irytującego gнома lub może satyra, który szepcze ci na ucho swoje sekrety. Jego małe oczy błyskają jednocześnie z płomieniami.

— O tym mówię, rozumiemy się? O niemożności zatrzymania się. To by było niewłaściwe. Nigdy nie jest. Powinniśmy byli wybrać coś innego dawno, dawno temu, dziś jest już na to za późno. Gna nas ciekawość, ta uparta, bezczelna ciekawość, czym zakończy się historia i jak zakończy się życie. Chodzi o to, i o nic innego. Nigdy nie gnają nas po świecie tylko zarobki, nigdy nie jest to tylko nadzieja, wojna... albo kobiety. Jest jeszcze coś innego. Coś, czego ani ja, ani wy nigdy nie umielibyśmy opisać, ale znamy to dobrze. Także teraz, w momencie, w którym wydaje się wam, że zbyt oddaliliście się od tych spraw, gnieździ się w was chęć poznania, jak to się skończy. Żeby

jeszcze coś zobaczyć. Kiedy straciło się wszystko, nie pozostaje już nic do stracenia.

Zdaje się, że przez cały czas miałem przylepiony do twarzy obojętny uśmiezek. Albo wziął się on z wrażenia, że oto słucham rad starego przyjaciela.

Perna dotyka mojego ramienia.

— Jutro wyjeżdżam do Mediolanu, jadę sprzedawać książki Oporinusa. Będę musiał spędzić tam trochę czasu, żeby dokończyć paru interesów, które zostawiłem w zawieszeniu. Potem ruszę w kierunku Wenecji. Jeśli moja propozycja was pociąga, spotkamy się w księgarni, którą prowadzi Andrea Arrivabene pod szyldem ze studnią; zapamiętajcie to nazwisko. Dlaczego się śmiejecie?

— Nic takiego, myślałem o zbieżności różnych spraw w życiu. Powiedzieliście, pod szyldem ze studnią?

— Właśnie tak. — Patrzy na mnie z zakłopotaniem.

Opróżniam szklanke. Ma rację: czterdzieści pięć lat i nic do stracenia.

— Nie martwcie się, przyjadę.

Tajne oko Carafy
(1545)

List wysłany do Rzymu z Viterbo, z datą 13 maja 1545 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do przewielebnego, najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Rzymie.

Panie mój najdosłójniejszy, donoszę Waszej Wielmożności, że stało się. Reginald Pole rzeczywiście zdecydował się zrobić pierwszy krok.

Jak Wasza Wielmożność już z pewnością wie, Jego Świątobliwość Paweł III obarczył Pole'a zadaniem zredagowania dokumentu, który ma objaśnić cele soboru, w przewidywaniu jego otwarcia w grudniu.

Tak więc właśnie dziś miałem okazję przysłuchiwać się rozmowie tego Anglika z Flaminim. Omówiona została zawartość dokumentu, który nosi wyjątkowo neutralny tytuł *De Concilio*.

Wydaje się, że pierwszym tematem wprowadzonym przez Anglika ma być właśnie określenie doktryny usprawiedliwienia. Dla przedstawienia problemu użył on delikatnych, pozornie neutralnych, ale mimo to tendencyjnych słów, już tym potwierdzając pewną zgodność między doktryną protestancką i katolicką. Tak więc jest rzeczą pewną, że kardynał ten już od pierwszych sformułowań chce zaangażować ojców soborowych w poszukiwanie kompromisu z luteranami.

Fakt wydrukowania i rozpowszechnienia *Błogosławieństwa Chrystusa* ukazuje się dziś w swoim prawdziwym świetle, jako element przemyślanej strategii.

W ciągu dwóch lat Pole i jego przyjaciele zdołali przez tę szkodliwą książeczkę zasiać w tych stronach ziarno swoich ukrytych luteranśkich poglądów, a także wszcząć dyskusje nad jej treścią, teraz zaś mają nadzieję zebrać w Trydencie owoce tych poczynań.

Niech wszechmogący Bóg uchroni nas od takiego nieszczęścia, oświecając duszę mojego Pana i podpowiadając mu przedsięwzięcie niezbędnych środków zapobiegawczych.

Całując ręce Waszej Wielmożności, powierzam się Waszej opiece.

Z Viterbo, 13 maja 1545 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

Z dziennika Q.

Viterbo, 13 maja 1545

Na fresku jestem jedną z postaci stojących w głębi.

Środek zajmują papież z cesarzem, kardynałowie i książęta z całej Europy.

Po bokach dyskretnie, niemal niedostrzegalnie zarysowane postaci, które kryją się za tiarami i koronami, ale w istocie wyznaczają całą geometrię obrazu, wypełniają go i nie zwracając na siebie uwagi, umożliwiają tamtym głowom zajmowanie środka.

Postanawiam robić te zapiski, mając w świadomości taki właśnie obraz.

W całym moim życiu nie napisałem ani jednej linijki dla samego siebie, toteż nie istnieje ani jedna stronica z zapisem przeszłości, która mogłaby zaszkodzić temu, co dzieje się dzisiaj; nie ma nawet śladu mojej drogi życiowej. Ani jednego imienia, ani jednego słowa. Tylko wspomnienia, którym nikt by nie uwierzył, gdyż są to wspomnienia bezcielesnego widziadła.

Ale teraz wszystko wygląda inaczej. Być może dziś położenie moje jest trudniejsze i bardziej ryzykowne niż w Münsterze. Lata włoskie uczą, że pałace są tak samo zabójcze jak pola bitew, tyle że tu, wewnątrz murów, wojenny zgiełk jest stłumiony, wchłonięty przez przyciszone rozmowy negocjatorów i przez bystre i mordercze umysły tych ludzi.

Nic w rzymskich pałacach nie jest tym, czym się wydaje.

Nikt nie jest w stanie złożyć obrazu całości, widzieć zarazem postaci i tło, dostrzegać ostateczny cel. Nikt, z wyjątkiem tych, którzy trzymają nici spisków, ludzi takich jak mój pan, jak papież, jak dziekani świętego Kolegium Kardynałów.

Dla pamięci: starać się rozumieć, zapisywać, nie lekceważyć pozornie nic nieznaczących szczegółów, które mogą okazać się zwornikiem podtrzymującym całą strategię.

Elementy obrazu: niebezpieczna książka; nadchodzący sobór; bardzo potężny człowiek; jego najtajniejszy sługa.

O Błogosławieństwie Chrystusa

Minęły prawie dwa lata, odkąd książka ta została wydana drukiem. Wywołała spory (kardynał Cervini zakazał już jej rozpowszechniania w swojej diecezji), ale mimo to wciąż krąży bez przeszkód, a nawet stała się szeroko znana.

„Viterbczycy” udają, że nic o tym nie wiedzą, a tymczasem przygotowują się do przedstawienia jej tez na soborze trydenckim (Reginald Pole: „Istnieje właściwe miejsce i czas na zaprezentowanie idei, i jeśli starannie się je wybierze, mogą uniemożliwić nowym trybunałom ich zablokowanie”). Pole ma nadzieję wyprzedzić Carafę i rozpowszechnić reformatorskie poglądy, zanim tamten zorganizuje inkwizycję.

Czy *Błogosławieństwo Chrystusa* może stać się obosieczną bronią i uderzyć w tego, który ją wykuł? Ale jak?

Czy należy dołożyć starań, aby sobór natychmiast ją potępił i zdemaskował autorów? Przypisać ją Pole’owi i kręgowi jego przyjaciół?

Nie, ten Anglik zaprzeczyłby wszystkiemu, jest człowiekiem zbyt wiarygodnym, aby można było posądzić go o herezję, poza tym nie ma dowodów, że to on zredagował tę książkę. Gdyby zdołał udowodnić swoją niewinność, wyszedłby z tego silniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Mój pan o tym wie, jest człowiekiem zbyt ostrożnym, aby dać taką możliwość swojemu głównemu przeciwnikowi.

Lepiej będzie utkać sieć, w którą wpadną po kolei wszyscy kardynałowie spoglądający z sympatią na protestantów. Książka, która przechodzi z rąk do rąk, z jednej biblioteki do drugiej, i zakaża każdego, kto jej dotknie. A kiedy wyciągniesz sieć, za jednym zamachem wyłapiesz wszystkie grube ryby. Trzeba pozwolić, żeby krążyła, nawet gdyby sobór ją wyklął, niech przeczytają ją przyjaciele Pole’a, niech ulegną jej urokowi, tak jak ulegają urokowi błyskotliwego umysłu tego Anglika. Tymczasem Carafa będzie działał, konstruując krok po kroku intrygę, która umożliwi mu wciągnięcie ich wszystkich za jednym zamachem w kłopoty. Tak, tak właśnie rozumuje mój pan. Ale tego rodzaju gra może wymknąć się z ręki, skomplikować się zbyt mocno nawet dla jego wszechstronnego umysłu.

O soborze

29 czerwca 1542 roku: publikacja papieskiej bulli o zwołaniu soboru powszechnego.

21 lipca 1542 roku: bulla papieska *Licet ab initio*, powołująca Kongregację Świętego Oficjum Inkwizytorskiego.

Między tymi dwiema datami wznowienie wojny między Karolem V i Franciszkiem I.

Jak się wydaje, jeśli nie sobór, to wojna, nie ma wielkiej różnicy, czy walczą ze sobą oddziały żołnierzy, czy umysły.

Dokument *De Concilio*: zakamuflowana obrona tez wyłożonych w *Błogosławieństwie Chrystusa*. Kardynałowie z grupy *Uduchowionych* chcą, żeby sobór trydencki stał się uprzywilejowanym, neutralnym forum, na którym mogliby podjąć kwestię usprawiedliwienia. Ich zdaniem sobór powinien stać się siłą przeciwstawiającą się inkwizycji, która umacnia się pod wytrawnym kierownictwem Carafy. Nie ma wątpliwości, że mój pan zrobi wszystko, żeby tezy *Błogosławieństwa* zostały potępione, zanim jeszcze staną się przedmiotem dyskusji.

O Carafie

Można by zapytać, co mistrz krojenia trupów Vesalius znalazłby w tym człowieku, którego wzrok zdaje się sięgać zbyt dalekich, pozaziemskich horyzontów. Być może wszystko jest tylko strachem, który on budzi. Albo bożą łaską niezgłębionego umysłu Stwórcy ukrytego pod maską okrucieństwa.

Kim on jest?

Mój pan jest zakonnikiem, mistrzem symulacji i udawania, z rodu tych, którzy przychodzą na świat, żeby rozkazywać; był najpierw biskupem, potem biednym teatynem ślubującym ubóstwo. Jest wrogiem cesarza, wziął go jeszcze jako infanta na kolana, już wtedy nim pogardzając; obdarzony bystrością, która mogłaby wydać się diaboliczna, gdyby nie utrzymywała go w wierze; główny architekt Świętego Oficjum, odrodzonego dla niego i pod jego przewodnictwem, to on przechowuje jego sekrety, zna jego cele i z niesłabnącą energią dba o jego rozrost jak o ukochane potomstwo, i to w wieku, który większość ludzi spędza już od dawna wśród robaków pod ziemią; apostoł tego, co egzaltuje go ponad wszystko: duchowej wojny, wewnętrznej i zewnętrznej walki na śmierć i życie przeciwko ułudom herezji, pod jakąkolwiek formą by się prezentowały.

Kim jest ten człowiek?

O samym sobie

Tajne oko Carafy.

Rozdział 6

Przełęcz Świętego Gotharda, 17 maja 1545 roku

Nie powinienem był tego robić. Czy zapanuję na nowo nad moim zachowaniem, nad umysłem?

Śmieszna, wzniosła, niesamowita perspektywa.

A może poddać się jej całkowicie?

Pofałdowane lasy Mittellandu aż do rzeki Aare, potem powolny spływ płaską i szeroką szalandą przez Olten i Suhrsee, wreszcie Lucerna, na głębszym skraju posepnego jeziora u zbiegu kantonów, gdzie wpada rzeka Reuss. Stąd na grzbiecie muła, a raczej dwóch mułów, bo jeden dźwiga bagaże i książki Perny, w towarzystwie setek podobnych, które wdrapują się objuczone zboczami surowego masywu Monte Pilatus, sapiąc na trudnych często do przebycia szlakach, ale pełnych ludzi, wozów i zwierząt. W górę i w dół tą jedyną drogą, wśród nasłonecznionych zboczy i alpejskich hal, dzikich, zachwycających lasów, obramowanych ostrymi szczytami w czystym i ostrym powietrzu, w którym na zawrotnych wysokościach rysują się skrzydła wędrownego sokoła. W ten przejrzysty wiosenny poranek kosztuję wzmacniającego odurzenia dużych wysokości. Obserwuję niepewne zapowiedzi nowej pory roku na drodze z Andermatt do Airole przez Przełęcz Świętego Gotharda, z której widać już włoską ziemię.

Jestem chyba kompletnym wariatem. Staruchem, którego opuścił rozsądek i który stacza się z gór w kierunku tego wielkiego bajzlu, spoglądającego w twarz Turkom.

Śmieszna i wzniosła wizja.

Paniczny strach, który napełnia odrętwieniem członki. Między drzewami przemyka jak błyskawica górski kozioł.

Mógłbym teraz umrzeć. W ekstazie straszliwej euforii, w porażeniu słonecznym żarem zestarzałych, obolałych mięśni. W tej chwili. Nie

wiedząc, kim jestem. Nie mając żadnego planu i z dwoma ciężkimi torbami pełnymi książek. Zanim weźmie mnie znowu w posiadanie absurdałna bezwładność, zanim pozbawiony zmysłów, bezsensowny rozum wróci na siodło muła. Dwie torby. Patrząc na głębokie włoskie doliny, poprzedzające równinę, która ciągnie się aż do morza. Idę na spotkanie upiorom pod szyldem Studni. Dekarzu, zjaw się tu przy mnie, bo nie wiem, kim jestem. I nie mam już mocnych nóg. Teraz.

* * *

Bergamo, Republika Wenecji, 25 maja 1545 roku

Czyżby naprawdę wystarczyło zaciągnąć się parę razy tymi długimi liśćmi, zwiniętymi w zamorskie cygara, które przyniosłem ze sobą z holenderskiej ziemi, żeby doświadczyć na tych wysokościach tak intensywnych, gwałtownych emocji?

Wciąż jeszcze odczuwam niepokój. To strach podobny do zawrotu głowy, którego źródłem jest poczucie obcości, wywołany urokiem nieznanego i rysującej się ogromnej szansy, płynący z niewyeks-ploatowanych regionów i z głębokiego oczarowania. Odmiennego od upojenia winem, piwem czy gorzałką. Bez tamtych aromatów i mieszaniny myśli i bezsensownego potoku słów.

Masz w sobie jakąś inną istotę. Która znika niepostrzeżenie, nie zostawiając śladów na ciele, ale ciągle te same pytania.

Wzdłuż Ticino aż do małej miejscowości Biasca. Stamtąd, w towarzystwie przewodnika, górskimi ścieżkami na wschód w kierunku Chiavenny, dolinami Calanca i Mesolcina, na prośbę Perny, żeby dostarczyć książki kółku protestanckich wygnańców, którzy z północnych Włoch napływają do Republiki Retyckiej.

Nad brzegami rzeki Mera, miejscu trudnym do przebycia, bagnistym, po części odciętym bardzo starymi ospiskami, gdzie łąd styka się z wodami jeziora Como, a wysokie i jałowe góry utrudniają dostęp. Chiavenna, klucz dolin, gdyby nie strategiczne umiejscowienie i autonomia, dzięki czemu może służyć za schronienie, miejsce to należałoby odradzić wędrowcowi.

Dwa dni postoju, aby dać odpoczynek kościom po górskich marszach, i znowu na południe, aż do miejsca, w którym Adda wpada do jeziora Lario. Pół dnia przeprawy do Lecco, na granicy terytorium Najjaśniejszej Republiki.

Stąd, po wielu wspinaczkach i zejściach, droga biegnie prosto przez równinę, aż do Wenecji. Przy dobrej obsłudze na stacjach pocztowych cztery dni podróży.

Wenecja

Rozdział 7

Wenecja, 19 maja 1545 roku

Przy pierwszym spojrzeniu z oddali, niepewnym z powodu mglistych oparów, w których słońce wygląda jak białawy krążek, wydaje ci się, że ten miraż to jeszcze morze, po którym płyniesz, a okazuje się, że to już ziemia, czy raczej pałace i kościoły wspierające się na wodzie, a w istocie na podwodnych skałach, którym nadano architektoniczne formy.

Potem ogromna barka wpływa do szerokiego kanału. Okna, balkony i ogrody tańczą jak barwne plamy i rozmywają się na obu brzegach.

Po bokach otwierają się wodne zaułki, którymi może płynąć naraz tylko jedna mała łódź, niektóre tak wąskie, że dachy domów zdają się stykać ze sobą, nie dopuszczając słonecznych promieni. Perna mówił mi o kościołach, pałacach, placach i burdelach; ale nie spodziewałem się tego cudu wodnych uliczek, nadzwyczajnej liczby łodzi wszelkich kształtów i rozmiarów, zastępujących karety, lektyki i konie. Wydaje się, że miasto to nie zna koła ani zatłoczonych arterii, że to absurdalna, zaprzeczająca wszelkiej architektonicznej logice konstrukcja, która zdaje się niemal pływać po morzu, a jest tak niezwykła, że błędnie przy niej Amsterdam i ziemie Holandii, wyrwane morzu dzięki śmiałości uporowi ludzi Północy.

Po bladym niebie śmigają mewy, siadają na potężnych, gęsto ustawionych pałach, przyozdobionych często herbami, wystającymi niczym pnie lasu z głębokiego dna; służą one do cumowania łodzi o różnych kształtach i wielkościach.

Ciasny horyzont poszerza się, aby objąć jeszcze wyspę po prawej stronie i majestatyczny, zwarty kompleks budowli o matowych barwach, nad którymi wznosi się górę bardzo wysoka i kanciasta, potężna dzwonnica, zaostrzona jak strzała.

Po lewej stronie otwiera się nowa wodna ulica, prawdziwa falująca arteria, z wejściowymi drzwiami i schodkami pałaców nurzających się wprost w falach, czego nie widziałem nigdy w żadnym kraju. Wydaje się, jakby to miasto i morze wyrosły razem.

Barka cumuje niemal pod wspaniałym balkonem pałacu o ścianach wyłożonych różowym marmurem, obok kolumny z posągami skrzydlatego lwa oraz podwyższenia, które pewnie służy do wykonywania wyroków śmierci. Narzędzia i symbole potęgi Najjaśniejszej Republiki są pierwszymi obrazami, na które powinno paść spojrzenie przybysza z obcych stron.

Za to ledwie stawia się nogę na ziemi, uderza zamieszanie, bieganie ludzi, krzyki, ścisk, pozdrowienia, kłótnie; ten zgiełk jest być może jedyną barierą, jaka oddziela morze, gdzie te hałasy są przyciszone, od reszty miasta.

I ledwo staję na nabrzeżu, zostaję rozpoznany, nie wiem na podstawie jakich oznak, jako cudzoziemiec mówiący po niemiecku. Otacza mnie ze dwudziestu chłopaków, którzy starają się ostrzec, że nie można chodzić po Wenecji, nie znając jej dokładnie, tak wielkie jest ryzyko, że się zabłądzi, wpadnie w ręce złych ludzi, padnie ofiarą oszustwa przy wymianie pieniędzy; a wskazując uprzejmie na te zagrożenia, wszyscy oni usiłują na wszelkie sposoby włożyć rękę do mojej sakiewki.

— Dostojny panie, tędy, tędy, chodź za mną, panie, szukasz miejsca na nocleg? Tak? Chodź ze mną, wielmożny panie, pokażę ci najpiękniejsze miasto świata, gdzie jest twój bagaż, dostojny panie? Na stacji pocztowej? Niedobre miejsce, mój panie, niegodne tak wybitnej osobistości.

Głos wychodzi z całkowicie bezzębnych ust i brzmi zupełnie jak u staruszka, ale chłopiec, który za kilka drobnych monet zaofiarował się pokazać mi miasto, ma nie więcej niż piętnaście lat.

— Chodź, chodź, panie, chcesz napić się wina? Nie? Życzysz sobie kobietę? Znajdziesz tu najpiękniejsze kobiety, od Konstantynopola po Lizbonę, niedrogie, panie, niedrogie, chodź ze mną. Zaprowadzę cię tam, gdzie są najładniejsze, czyściuteńkie, żadnych chorób, no i bardzo młode. Przyjechałeś tu w interesach, szlachetny panie? Jedwab? Przyprawy? Nie? Zaprowadzę cię gdzie trzeba, tu niedaleko, chodź, to bardzo ładne miejsce, pełno wielkich panów jak ty, kupców, chodź...

Nie przestaje mówić, gdy idziemy przez plac, odpowiada w weneckim dialekcie każdemu, kto tylko próbuje się zbliżyć, utrzymuje go w należytej odległości, kładąc rękę na piersi na znak, że ten cudzoziemiec należy do niego, więc niech nikt się go nie tyka.

— Chodź za mną, panie, za chwilę dojdziemy do Rialto i do Składu Niemieckiego. Tam możesz wymienić każde pieniądze, załatwić sprawy handlowe, wszystko. Ale jeżeli chciałbyś być zadowolony z wymiany, załatwisz to u mnie: dam ci pięćdziesiąt dukatów za trzydzieści dwa floreny normalnej wagi.

Plac Świętego Marka wygląda, jakby był nie częścią miasta, ale salonem do tańca w jakimś pałacu, osłoniętym pokładem wielkiego okrętu, którego głównym masztem jest potężna, szeroka u podstawy i zwężająca się u szczytu dzwonnica, a dziobowym kasztelem wieża z zegarem, pod którą właśnie przechodzimy, z dwoma admirałami na szczycie, gotowymi uderzyć w wielki dzwon.

— To jest siedziba prokuratorów świętego Marka, wielkich urzędników republiki, nazywa się Prokuracja. Teraz pójdziemy tam, gdzie są sklepy, chcesz kupić sukna? Przyprawy? Powiem ci, gdzie można je kupić i gdzie sprzedać po dobrej cenie. Chcesz zrobić jakieś interesy na Rialto? W takim razie trzymaj się blisko mnie, nie zwracaj sobie głowy ulicznymi handlarzami, to bardzo źli ludzie, nieuczciwi, szlachetny panie.

Nie jestem pewien, czy zrozumiałem wszystko, co wyszło z ust chłopaka. Mówi, patrząc przed siebie, nie wykręcając zbytnio głowy w moją stronę i posługując się językiem, który ledwo rozpoznaję w nieopisanym gąszczu głosów i twarzy. Mamroczę parę słów zachęty i w jednej chwili jestem o pięćdziesiąt kroków za nim, rozglądając się z zadartym nosem, niczym korek unoszący się w potoku. Przyglądam się twarzom ludzi, którzy zapełniają te wąskie uliczki pełne sklepów i straganów; przysłuchuję się najdziwniejszym dialektom i akcentom, słyszę język, który wygląda mi na słowiański, potem inny, prawdopodobnie arabski.

Ta brukowana uliczka rzuca mnie daleko od świata, który znałem do tej pory. Wąchałem już wiele razy zapachy przypraw, kiedy indziej wdychałem dym tytoniowy, ale nigdy dotąd nie odnosiłem takiego wrażenia jak w tej chwili, że znajduję się w miejscu, w którym krzyżują się wszystkie możliwe drogi świata. Mógłby to być suk w Konstantynopolu, port w Chinach, stacja zmiany koni w Samarkandzie, uliczne święto w Granadzie.

— A więc, wielki panie, chcesz coś kupić? Zapytaj mnie, ja ci doradzę.

Mój przewodnik wrócił do mnie i ciągnie gwałtownie za ramię. Mierzy mnie dziwnym spojrzeniem i wygląda tak, jakby zaczynał podejrzewać, że z moją głową jest coś nie w porządku.

— Widzisz, najjaśniejszy? To tutaj, co we wszystkich włoskich miastach nosi nazwę *piazza*, tu, w Wenecji, nazywa się *campo*,

uliczki, te wąskie, noszą miano *calle*, te nad kanałem *fondamenta*, a jeszcze inne *salizada* i *ruqa*...

Ulica dochodzi do kanału, jej wylot znajduje się naprzeciwko wejścia na imponujący, drewniany most. Z liczby łodzi przywiązanych do obu nabrzeży kanału po prawej stronie mostu i z nieustannego ruchu tragarzy ładujących i wyładowujących towary można odnieść wrażenie, że znaleźliśmy się dokładnie w samym handlowym centrum Najjaśniejszej Republiki.

— Rialto, panie!

Wspaniały, drewniany most, którego najwyższa część otwiera się, żeby przepuścić większe statki.

Na prawo ogromna galeria, zewnętrzne ściany pokryte na całej długości freskami.

— Malował je Giorgione, dostojny panie, i jego uczeń Tiziano*, znasz ich? Nie? Istne cuda, panie... To sławni malarze, Tiziano maluje portrety cesarza.

Na wewnętrznym dziedzińcu niewyraźny zgiełk, który unosi się nad tłumem negocjujących kupców i w którym można wyróżnić co najmniej cztery niemieckie dialekty. Ludzie Północy, jasne włosy, zwisające wąsy, zapach piwa.

— *Il Fondaco dei Tedeschi*, czyli Skład Niemiecki, dostojny panie, tu załatwisz swoje interesy. Bankierzy, agenci, bogacze. Widzisz tę agencję tam w dole? To są Fuggerowie, najwięksi bankierzy na świecie, znam ich agenta, mogę go panu przedstawić, jeśli pan sobie życzy, to mój przyjaciel, załatwiam mu damulki, a on uczy mnie twojego języka...

— Nie uważasz, że gdybym chciał zadawać się z Niemcami, zostałbym w Niemczech?

— Bardzo słusznie, panie, nie interesują pana interesy, woli pan przyjemności, no nie? Śliczne panienki...

— Miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać. Przyzwoite łóżko, porządny wikt.

— I żeby nie wpadać zbyt w oko? No pewnie, czcigodny panie, już się robi, zaprowadzę cię, dyskretne miejsce, smaczna kuchnia, dobre łóżka i chętne panienki... bardzo chętne panienki, żadnych pytań, Dwór Rampaniego, parafia San Cassiano, chodź, to niedaleko, zaraz za mostem, donna Demetra chętnie pozna takiego możnego pana jak ty...

— To już *calle de' Bottai*, dostojny panie, jesteśmy prawie na miejscu.

* Tycjan.

— Wszędzie widać nierządnicę. Czy kobiety z tego miasta uprawiają jakieś inne zawody?

— Nie tak dochodowe, panie. Rada chciała ograniczyć burdele tylko do tych w Corte Rampani, ale nie było miejsca dla wszystkich, no więc przymknęli oko i jest, jak pan mówi, no nie? O tutaj, locanda del Caratello. Uprzedzę donnę Demetrę, że pan przybył.

Dwie stojące w progu dziewczyny mówią coś w weneckim dialekcie, uśmiechają się szeroko, spod wystarczająco rozpiętych bluzek przeświecają im piersi. Trzypiętrowy dom ma drewniany szkielet wypełniony ceglami. Na drzwiach wejściowych wisi szyld z wymalowaną beczką. Mój przewodnik znika w środku, zostawiając mnie w towarzystwie młodych kurewek.

— Niemiec?

Pochyliłam się w półukłonie, one rewanzują mi się tym samym. Ta wyglądająca na młodszą próbuje przypomnieć sobie parę słów w moim języku.

— Kupiec?

— Podróżnik.

Tłumaczy moją odpowiedź przyjaciółce i obie się śmieją.

Odślania kwitnącą pierś.

— Chcesz?

Odpowiadam najuprzejmiej, jak tylko potrafię:

— Nie teraz, moja droga, muszę dać odpocząć moim starym kościom.

Być może nie zrozumiała, w każdym razie wzrusza ramionami i zakrywa pierś.

Wąską szczelinę między lasem domów przecina mostek, z wyglądu zbyt delikatny, aby mógł utrzymać dwóch ludzi. Pod nim widać spokojną wodę mulistego kanału. Uświadamiam sobie, że kompletnie straciłem orientację, szliśmy tu niekończącym się labiryntem uliczek, mostków, placów, i jestem niemal pewien, że nie poruszaliśmy się po linii prostej, w tym mieście to niemożliwe.

W drzwiach ukazuje się mój przewodnik i daje mi znak, żebym wszedł do środka.

Duże pomieszczenie, gospoda, z rzędem wielkich beczek wzdłuż ściany, duży kominek, a pośrodku stoły.

Kłaniam się czterdziestoletniej mniej więcej kobiecie, która wychodzi mi naprzeciw, o czarnych włosach i ostrych, egzotycznych rysach, które przywodzą na myśl Morze Śródziemne.

— Jestem donna Demetra Boerio. Mały Marco mówi, że szukacie noclegu, panie. Witam serdecznie.

Zwraca się do mnie w dziwnym, ale zrozumiałym języku, który

zdradza, że uczyła się łaciny, lecz samo powitanie wygłosiła po niemiecku.

Wybieram łacinę.

— Nazywam się Ludwig Schaliendecker, jestem Niemcem. Chciałbym zatrzymać się tu na kilka dni.

— Na jak długo sobie życzyacie, panie. Mamy wygodne łóżka, a pokoje nie kosztują wiele. Marco powiedział mi, że zostawiliście swoje bagaże na stacji pocztowej. Nie martwcie się, wyślę po nie chłopaka, można mu zaufać, pracuje u mnie od dziecka.

Sprawy wyjaśniają się trochę, przywołując uśmiech na moje usta.

— Gdy mój bagaż już tu będzie, zapłacę wam z góry za pokój.

* * *

Bezzębny Marco rzuca torbę na podłogę i rękawem koszuli ociera pot z oczu.

Złoty dukat sprawia, że z jego twarzy natychmiast znika zmęczenie.

— Dzięki, szcudrośliwy panie, tysięczne dzięki. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zwróć się do mnie, a na pewno będziesz zadowolony.

— Na razie potrzebuję tylko jednej wskazówki. Muszę odwiedzić pewne miejsce.

Marco rozjaśnia się.

— Mów, mów, panie, znam całutką Wenecję, masz zamiar gdzieś iść? Zaprowadzę cię, kiedy tylko będziesz chciał.

— Nie teraz. Wiesz, gdzie ma swoją księgarnię Andrea Arrivabene?

— Księgarz Arrivabene, panie, pewno, że tak. Księgarnia znajduje się tam, gdzie są Mercerie, te sklepy z różnościami.

— Ze studnią w szyldzie?

— Tak, szlachetny panie, to parę kroków stąd, zaraz za mostem Rialto. Chcesz tam iść?

— Jutro. Teraz chciałbym odpocząć.

Marco odchodzi, kłaniając się parokrotnie.

Przez małe okienko dostrzegam wyniosłe kopuły bazyliki i dzwonnicy. Więc to tam zszedłem z barki. I w jakiś sposób pokonałem labirynt uliczek tego zadziwiającego miasta, oddzielający mnie teraz od placu Świętego Marka. Nie wiedziałbym, dokąd się zwrócić, gdybym chciał przejść tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Ryzykowałbym, że znajdę się o parę kroków od ogromnego kościoła, nie zauważając go zupełnie, i dojdę nie wiadomo gdzie. I to właśnie wrażenie przeważa nad innymi: że można tu wędrować bez końca, nie docierając nigdzie albo trafiając do jakichś

tajemniczych miejsc, których nie byłbym w stanie nawet sobie wyobrazić. Za każdym rogiem, w głębi każdej uliczki oczekuje cię tutaj coś cudownego.

Wenecja. Kupcy, ladacznice i kanały obok fresków, kościołów, pałaców, warsztatów szkutniczych. Perna miał słuszną rację, w wilgotnym powietrzu tych ulic unosi się atmosfera kontrastów i nieograniczonych możliwości.

Łóżko jest wygodne, moje nogi potrzebują wypoczynku. Nie jest znowu tak daleko stąd do bazyliki, trzeba tylko pokonać ten zagnatwany labirynt mostów i krętych uliczek. Lecz przede wszystkim trzeba postarać się o jakąś łódź.

Rozdział 8

Wenecja, 1 czerwca 1545 roku

Do miasta przyjechał Pietro Perna. Zostawił mi wiadomość w księgarni Arrivabeneo, proponując spotkanie w pracowni malarza Jacopa Gastaldiego, u którego chce zamówić obraz.

Mistrz poucza jednego ze swoich uczniów, jakich kolorów ma użyć, żeby dokończyć szkic.

— *Messer* Pietro jeszcze nie przybył? — pytam od drzwi.

Ruch głową zaprasza mnie, żebym wszedł. Na sztaludze widzę duże płótno przedstawiające Wenecję z lotu ptaka, ten nieprawdopodobny labirynt wody i suchego lądu, kamienia i drewna, miejsce zamieszkania co najmniej stu pięćdziesięciu tysięcy osób rozmaitych ras, w którym jest przeszło sto kościołów, sześćdziesiąt pięć klasztorów i być może nawet osiem tysięcy domów publicznych.

Przyglądam mu się przez chwilę.

Natychmiast uderza mnie brak murów i bram, obronnych wież i bastionów. Wydaje się, że wody laguny wystarczają, aby zniechęcić największych wrogów. Skądinąd, wiele pałaców dorównuje i przewyższa swą wysokością jakiegokolwiek miejskie mury i mógłbym się założyć, że trzeba wszystkich barw palety, aby oddać odcienie marmurów i kolory, na jakie pomalowane są fasady tutejszych budynków.

Za zgodą Gastaldiego spędzam czas oczekiwania, wędrując między obrazami, tymi już ukończonymi i w trakcie malowania.

Dużo mniejszy od poprzedniego obraz przedstawia kanał zatłoczony małymi stateczkami: od najbardziej imponującej galery z czarnoskórymi wioślarzami aż po najzwyczajszą łódkę z pojedynczym wiosłem. Na ciągnącym się z boku kamiennym brzegu kanału widać Turka w długim, wschodnim kaftanie, zdobionym arabeskowymi wzorami, i co najmniej trzy wyraźnie ukazane kobiety, gdyż

wystają ponad tłum dzięki owym bardzo wysokim chodakom, które widziałem na ich nogach; mają jasne włosy, jak prawie wszystkie tutejsze dziewczęta, lecz nie z urodzenia, jak w Niemczech, tylko dzięki zwyczajowi wystawiania na słońce fryzur zmoczonych eliksirami i ułożonych na szerokim rondzie niby-kapelusza, ale bez główki.

Zaraz za tym obrazem znajdują się dwa inne płótna jednakowych rozmiarów. Dwa niedokończone portrety, jeden kobiety, drugi miejskiego urzędnika. Kobietę okrywają od góry do dołu klejnoty, nawet z jej uszu zwisają złote wisiorki, jak to mają w zwyczaju wenejanki, które ozdabiają całe ciało nadzwyczajną ilością świecidełek, pereł i szlachetnych kamieni. Urzędnik ma na sobie togę w żywych barwach, co może oznaczać, że należy do którejś z wielu koterii rządzących Najjaśniejszą Republiką.

Od bluźnierstwa do kłótni, od cudzoziemców po nocne życie, nie ma takiego aspektu życia mieszkańców Wenecji, który nie byłby regulowany przez specjalny urząd. Pietro Perna utrzymuje, że jest to naprawdę tak skomplikowany system, że ludność prawdopodobnie przestała rozumieć cokolwiek i powstrzymuje się od protestów i buntów przeciwko władzy, wyładowując wszelkie napięcia w najbardziej brutalnych zabawach, takich jak polowanie na byki czy tradycyjne zatargi Castellanich i Nicolottich o panowanie nad mostem, z okładaniem się pięściami i kijami.

Kosztowna rama ze stiukami i rzeźbieniami zamyka obraz tak samo tajemniczy: ukazuje lagunę zatłoczoną wszelkiego rodzaju statkami, między którymi wyróżnia się jeden, przyozdobiony draperiami i kolorowymi wstążkami. Stojący na nim mężczyzna, który mógłby być dożą, robi dziwny gest w kierunku otwartego morza.

— Interesujecie się malarstwem? — Ostry głos Perny niespodziewanie rozlega się za moimi plecami. — Czy tylko zadziwiła was scena na tym płótnie?

Wskazuję postać znajdującą się w centrum obrazu.

— To doża, prawda?

— We własnej najjaśniejszej osobie, w trakcie zaślubin z morzem, gdy rzuca w fale złoty pierścień, jak to nakazuje tradycja święta Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny. Wenejanie szaleją na punkcie takich rytuałów. — Ścisła mnie za ramię i uśmiecha się szeroko. — Witam w Wenecji!

— Jestem szczęśliwy, że mogę oglądać was znowu, *messer* Pietro. Skoro już tu jesteście, to mam nadzieję, że będziecie mi przewodnikiem po tym labiryncie, bo jeszcze nie zdołałem się w nim zorientować. A jeśli w rewanżu mógłbym przysłużyć się wam jakoś...

Rzuca mi ostrożne spojrzenie i nachyla się.

— O właśnie, moglibyście, moglibyście... chodzi o pewną panią, *capito*? Mam tu do niej list, ale nie mogę oddać go jej służącej, bo gdyby przydybał mnie na tym mąż tej pani, mógłby się bardzo zdenerwować. Zadawałem sobie pytanie, czy nie bylibyście tak uprzejmi ... Ma się rozumieć, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi.

— Zaprosicie mnie w końcu na kolację, którą obiecaliście mi w Bazylei?

— Proście, a będzie wam dane, mój przyjacielu, serce oszalałe z miłości nie zwraca uwagi na koszty!

Rozdział 9

Wenecja, 12 czerwca 1545 roku

Podrywa mnie na nogi dochodzący z dołu zgiełk. Słysząc wrzaski i odgłosy przewracania krzesel. Ktoś pędzi biegiem na górę po schodach. Łapię za sztylet.

Drzwi otwierają się na oścież, widzę utkwione we mnie, przerażone oczy Marca.

— Co tam się dzieje?

— Wielkie nieszczęście, panie, coś strasznego... On chce ją zabić, jestem pewien, że chce ją zabić! — Marco bełkocze coś dalej w weneckim dialekcie.

— Nic nie rozumiem. Co się dzieje?

— Il Mulo, panie mój, na dole jest Mulo, przyszedł z dwoma swoimi kamratami, chce ukarać donnę Demetrę, Boże Najświętszy, on ją zabije!

Popycham go na korytarz.

— Kto to jest ten Mulo?

— To sutener z calle de' Bottai, mówi, że donna Demetra ukradła mu dziewczyny... — Dalszy ciąg tego potoku słów staje się niezrozumiały.

Schodzę na dół. Gospoda wygląda tak, jakby przeszli tędy lanc-knechci: poprzewracane stoły, połamane krzesła. W kącie kulą się przerażone dziewczyny, widzę trzech mężczyzn, jeden trzyma nóż na gardle donny Demetry.

Mam pięć kroków do stojącego najbliżej, ma nie więcej jak trzydzieści lat, w rękę nabijany kij. Najwyższy trzyma za włosy donnę Demetrę, przykładając ostrze noża do jej skóry, trzeci znajduje się przy drzwiach.

Dostrzegają mnie. Dryblas mówi coś w weneckim dialekcie. Bezmyślna gęba mordercy. Szeft całej trójki.

Ten z kijem zbliża się, zadaje mi źle wymierzony cios, blokuje mu ramię i rozwalam nos bykiem. Zaskoczony, zatacza się do tyłu. Podnoszę z ziemi kij, spoglądam w oczy Mula i spluwam na podłogę.

Uśmiecha się krzywo. Rzuca donnę Demetrę na podłogę i krzyczy coś, celując w nią wskazującym palcem.

Odwraca się w moją stronę, łamię kij na jego ramieniu i walę go w brzuch kawałkiem, który został mi w dłoni. Kuli się, musiał dostać zdrowo.

Wyciągam sztylet i wbijam mu w nozdrze, trzymając go za włosy.

Rzut oka na tamtych dwóch: jeden trzyma się za obrzmiały nochal, wyłączony kompletnie, drugi myśli już, żeby dać nogę; czytam to w jego oczach.

— Marco!

Chłopiec stoi za moimi plecami.

— Święty Boże, panie, chcecie go zamordować?

— Powiedz mu, że jeśli zobaczę go tu znowu, rozwalę mu łeb!

Chłopiec trajkocze coś w dialekcie.

— Powiedz mu, że jeśli dotknie donny Demetry albo którejś z jej dziewczyn, znajdę go i utnę mu głowę.

Marco zbiera się na odwagę i wkłada w swoje słowa złość, której mnie brakuje.

Popycham Mula do wyjścia, ostatniej zachęty dostarcza mu soczys-ty kopniak w tyłek. Jego dwaj towarzysze wymykają się za nim.

Donna Demetra podnosi się z podłogi, poprawiając na sobie ubranie i fryzurę.

— Dziękuję wam, panie. Nigdy nie zdołam wywdzięczyc się za to, coście dla mnie zrobili.

— Wystarczy, donno Demetro, żebyście mi powiedzieli, komu dołożyłem, a będziemy kwita.

Donna Demetra stawia na nogi jedno z krzesel, podczas gdy dziewczęta podbiegają, żeby się nią zająć, a Marco podaje dzbanek wody.

— Ten Mulo jest właścicielem burdeli przy calle de' Bottai.

— I bardzo was nie lubi, tak?

Donna Demetra rozpuszcza sobie włosy.

— Kilka dziewcząt, które pracowały u niego, postanowiło przenieść się do mnie. Nie były zadowolone ze sposobu, w jaki Mulo je traktował. Niskie zarobki i ciągle pas w robocie, nie wiem, czy mnie rozumiecie...

Kiwam potakująco głową.

— Wyobrażam sobie, nie wyglądał na dobrotliwego człeka...

Donna Demetra uśmiecha się.

— Ci dobrotliwi potrafią jeszcze lepiej zaleźć za skórę, mój panie, i z tego powodu wasza dzisiejsza pomoc nie wystarczy, żeby zapobiec groźbom, jakie czyhają na człowieka w tym zawodzie.

— Rozumiem. Ale mam nadzieję, donno Demetro, że póki tu będę, zechcecie przyjąć moje usługi.

Rozdział 10

Wenecja, 20 czerwca 1545 roku

Pietro Perna pałaszuje pajdę chleba z masłem, i między jednym kęsem a drugim próbuje opisać główne danie wieczoru.

— Panowie, oto mała lekcja wyjaśniająca, jak kulinarna sztuka tych ziem umiała wzbogacić smakowo i odnowić typowy, zaalpejski przepis na suszonego dorsza. Nasi północni przyjaciele kontentują się ugotowaniem tej ryby, poprzedzając to moczeniem jej przez dwa dni. — Nachyla się ku mnie i obejmuje mnie ze współczującą miną. — Powiedział więc: cóż za niewybaczalny brak fantazji. A propos, przyjacielu, czyście jej kiedy próbowali?

— Oczywiście, wiele razy.

Włoch prycha pogardliwym śmiechem i wznosi oczy do sufitu.

— Z pewnością było to coś, czego wasze podniebienie w ogóle nie zauważyło. Natomiast smak, który poznacie dzisiaj, pozostawi wam niezatarte wspomnienie. A więc naszego wątlusza po ugotowaniu obtacza się w mące, posypuje solą, pieprzem i wschodnią przyprawą, którą nazywają cynamonem. Potem smaży się go na maśle z cebulą i czosnkiem, a po pewnym czasie dodaje rozdrobnione sardele, posiekaną pietruszkę i wino. Gdy wino wyparuje, nalewa się mleka, *capito*? Polewa się nim rybę i trzyma na ogniu dotąd, dopóki mleko się nie wygotuje. A w końcu podaje ze smakowitymi plasterkami polenty. Słuchajcie, słuchajcie, istne niebo w gębie!

Służąca księgarza Arrivabenego nakłada mi na talerz czubate łyżki, a Bindoni z religijnym namaszczeniem napełnia mój kielich. Rozmawia ze mną językiem, który jest mieszanką łaciny, niemieckiego i włoskiego; dźwięki tego ostatniego przypominają mi mowę hiszpańskich kupców, toteż udaje mi się zrozumieć niektóre słowa.

— Żaden napój nie pasuje tak do ryby, jak wina ze wzgórz z okolic Werony.

Perna podskakuje na krześle i zwraca się do mnie po niemiecku.

— Mam nadzieję, że nie zrozumieliście tego, co powiedział nasz drukarz, bo w innym wypadku musielibyście zapisać to w notesie pod tytułem: „Bajdy Bindoniego”. — Po czym mówi po łacinie: — Nasi przyjaciele nie wiedzą, że mieliście już okazję skosztować najlepszego z win Toskanii, rozumiemy się? Chcieliby wam wmówić, że jeśli chodzi o wina, to Najjaśniejsza Republika nie ma rywali.

— Dajcie spokój, *messer* Pietro, wszyscy wiedzą, że wy tam w Toskanii nie macie pojęcia o tym, co należy pić, gdy się je rybę!

— Jak wszyscy wiedzą, sam doża każe sobie sprowadzać opłatane gąsiorzy z *Mon-te-pul-cia-no!*

— Mówiono mi — wtrącam łamaną łaciną — że po odkryciu Nowego Świata kupcy z Wenecji zaczęli się martwić, że zachodnie porty mogłyby zdobyć poważne znaczenie handlowe. Ale jeśli za każdym razem, gdy mają do obgadania jakiś interes, siadają przy stole i zaczynają dyskutować o sosach i winie, z pewnością nie będą mogli przypisać swojego upadku wyłącznie Kolumbowi.

Perna mierzy mnie przez chwilę wzrokiem, potem celuje i strzela:

— Jeśli natomiast kupcy z północy nie przestaną gadać tylko o interesach, prędko znajdą się w posiadaniu góry pieniędzy, rozumiemy się, ale nie będą wiedzieli, jak je wydać, bo ich jedynym pożywieniem będą wędzone śledzie, jedynym napojem piwo, a jedyną książką Nowy Testament Lutra.

— Zgoda — uśmiecha się Bindoni — w takim razie porozmawiamy o książkach, bo przynajmniej jeśli idzie o drukowanie, Toskańczycy muszą spuścić z tonu. Co dokładnie proponujecie?

Perna wyraża się w sposób niewiarygodnie zwięzły, może po to, żeby umożliwić mi załapanie każdego słowa.

— *Błogosławieństwo*. On finansuje i rozprowadza na terytorium republiki, ty drukujesz, Arrivabene sprzedaje w Wenecji, a ja biorę Mediolan i okolice.

Bindoni drapie się po czarnej brodzie. Jest to mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, lekko łysiejący i o oliwkowej cerze.

— Powoli, Perna, nie tak prędko. Zbyt upraszczasz sprawę.

— Jak to? Ile egzemplarzy sprzedałeś do tej pory?

— Około trzech tysięcy, cały nakład. Ale teraz trzeba postępować ostrożniej. Od zeszłego roku Urząd Egzekutorów zajmuje się nie tylko nadzorowaniem gier hazardowych i bluźnierstwami, ale także gwałceniem prawa regulującego drukowanie książek.

Perna pamięta o tym, żeby wyjaśnić mi po niemiecku:

— To są weneccy cenzorzy. — Następnie spogląda z poirytowaniem na Bindoniego i pociąga łyk wina. — Ależ w Wenecji drukowano zawsze wszystko, bez żadnych kłopotów.

— Tak — odpowiada Bindoni — lecz teraz Rada Dziesięciu zrobiła się przezorniejsza. Każda książka musi otrzymać przed oddaniem do druku zezwolenie egzekutorów. Mam poważne wątpliwości, czy udzieliliby go *Błogosławieństwu Chrystusa*.

Perna spogląda na mnie, żeby się upewnić, czy wszystko zrozumiałem, a potem zwraca się do swoich dwóch przyjaciół:

— Czy byłby jakiś problem z wydrukowaniem jej potajemnie?

— Nie — odpowiada Bindoni — ale potrzeba paru tytułów na przykrywkę. Jeżeli poproszę o zezwolenie na dziewięć dzieł, to istnieje wiele szans na to, że dziesiąte przejdzie niezauważone, rozumiecie?

Perna rzuca mi bystre spojrzenie, w chwili gdy sięgam palcami po dorsza, i macha mi przed nosem jakimś rozwidlonym narzędziem.

— Wi-de-lec! — Następnie nadziewa kawałek ryby, podnosi go do ust i czeka, aż zrobię to samo. — Dzięki temu unika się zatłuszczenia palców.

Arrivabene jest zażywnym typkiem, także koło czterdziestki, ma czuprynę z przeredzonych, czarnych włosów, i mówi w trochę sztuczny sposób, prawie nie otwierając ust:

— Jeśli chodzi o druk, to nie powinno być problemów poza finansowaniem. Jaki nakład macie na myśli?

Daje znak służącej, która podchodzi z wazą długich i czarnych, na pół otwartych muszli.

Perna prezentuje nowe danie:

— To *cozze*. Można je jeść palcami. — Sięga po jedną, otwiera ją całkowicie, spryskuje paroma kropelkami soku z cytryny i wysysa mięczaka. — Posypujecie je pietruszką? Powiniście spróbować, z tartą bułką, papryką i kropelką oliwy... oczywiście tokańskiej! Myślałem o wydrukowaniu dziesięciu tysięcy egzemplarzy w ciągu trzech lat.

Bindoni zachłystuje się winem. Odkasłuje, podczas gdy Arrivabene uderza go dłonią w plecy. Odzyskuje wreszcie oddech.

— Chyba żartujesz? Za kogo mnie bierzesz? Za jakiegoś krezusa? Nie mogę zainwestować aż takich pieniędzy i aż tyle sił w jeden tytuł.

— Bo nie wyczułeś jeszcze, co to za interes — odpowiada mu Perna. — Nasz niemiecki przyjaciel może sfinansować pierwsze dziesięć tysięcy, rozumiesz? I razem ze mną rozpowszechnić je po całym półwyspie.

Arrivabene jest ciągle nieufny.

— Skąd masz pewność, że sprzedasz aż tyle?

Perna rozkłada swoje krótkie ręce.

— Ponieważ są duże szanse na to, że zostanie zabroniona. A pokątnie drukowaną książkę sprzedaje się za taką cenę, za jaką się chce,

jasne? Wiążemy duże nadzieje z jej treścią. Będzie szła jak świeże bułeczki! Zwolennicy Savonaroli, antytyrytarze, zakonspirowani luteranie, a do tego wszyscy ciekawi. Nie powinniśmy lekceważyć ludzkiej ciekawości, przyjaciele, ona jest w stanie przenosić góry...

— Hmm. Tu, w Wenecji — uściśla Arrivabene — w kręgu jej nabywców mogą się znaleźć przyjaciele Strozziiego i angielskiego ambasadora, wszyscy sympatyzują z Lutrem i z Kalwinem... a ponadto oczywiście podróżni, kupcy i ludzie uczeni.

— Jestem przekonany — zapewnia go Perna — że książka może się dobrze sprzedawać w Mediolanie, a tym bardziej w Ferrarze albo w Bolonii, gdzie jest mnóstwo studentów, także we Florencji. Rozpocznijemy od dotarcia na całe terytorium republiki, a potem, jeśli interesy będą szły dobrze, będziemy zataczać coraz szersze kręgi.

Bindoni siedzi zamyślony, gładzi sobie brodę i wodzi wokół zaczerwienionymi oczami. Próbuje zważyć złe i dobre strony przedsięwzięcia, jest w pełni świadom tych pierwszych, co do drugich zaś nie jest jeszcze całkowicie przekonany.

Perna stara się podnieść go na duchu.

— Połowa zysków dla nas i połowa dla was.

Bindoni kiwa potakująco głową.

— Jeśli trzeba ją będzie drukować potajemnie, to nie może się w niej znaleźć moje nazwisko.

Perna podaje mu rękę.

— A więc uzgodnione. Gdybyśmy byli w Toskanii, przypieczętowałbym ten interes w bardziej godny sposób, ale wobec tego, że jesteśmy na lagunie, musimy zadowolić się tym nie najgorszym winem z weneckich pagórków.

Rozdział 11

Wenecja, 10 lipca 1545 roku

Donna Demetra rozsiewa słodki i delikatny zapach niezbyt intensywnej konwaliowej esencji, która zostawia ślady jej przejścia albo obecności w pomieszczeniach budynku.

Siedząc przy biurku w przedpokoju swojego mieszkania, dzieli piórem na kartce papieru zyski z ostatniego miesiąca.

— Proszę, don Ludovico, proszę usiąść tu obok mnie.

Jej szarozielone oczy zapraszają do rozmowy, a kilka siwych kosmyków, które niesfornie uciekły przed farbką do włosów, to jedyne oznaki, jakie czterdzieści lat życia pozostawiło na twarzy tej kobiety z Korfu, córki weneckiego kondotiera i Greczynki. Jej ciało emanuje niewyczerpaną energią.

— Chciała pani mówić ze mną?

— Rzeczywiście — odpowiada z uśmiechem kobiety znającej życie. — Ale usiądźcie, proszę.

Resztki mojej uniwersyteckiej wiedzy pomagają mi zrozumieć jej niemiecki, urozmaicany łaciną i greką; ta językowa mieszanka wydaje się uniwersalną mową, do której przyzwyczajeni są kupcy z tego miasta, językiem interesów, handlu przyprawami, tkaninami i porcelaną.

Blask jej oczu ma coś magicznego, starożytnego i fascynującego. Jaśniej w nich inteligencja kobiety znającej bieg rzeczy świata, tego wielokształtnego i barwnego świata, który uczynił z Wenecji obowiązkowy przystanek w podróży.

— Muszę się wam zwierzyć, don Ludovico, że jestem w pewnym kłopotcie.

Zdanie jest dobrze przemyślane, fałszywe w swej treści i jak najbardziej szczere w tonie; zapowiada bezpośredniość, jakiej oczekuję.

Donna Demetra składa ręce na kolanach.

— Pan jest Niemcem, a ja dobrze wiem, że tam u was nie jest przyjęte, by nie rzec niezwykle rzadkie, żeby kobieta rozmawiała o interesach z mężczyzną.

— Jeżeli to jest powód waszego zakłopotania — spieszę ją zapewnić — to niczego się nie obawiajcie. Różne życiowe doświadczenia nauczyły mnie znacznie wyżej cenić naturalną praktyczność kobiet niż płaski materializm mężczyzn.

Donna Demetra uśmiecha się szerzej.

— Sądziłam, że lepiej będzie udawać wobec was naiwną szczerłość, bo zazwyczaj mężczyźni czerpią specjalną przyjemność z myśli, że znają mentalność kobiet i że mogą spoglądać na nie z wyżyn swojego doświadczenia. Aby móc pertraktować z wami jak równy z równym, trzeba udawać często zagubienie i niższość, bo w przeciwnym razie ponosi się ryzyko obrażenia waszej nader podatnej na to dumy.

Kiwam potakująco głową, błędząc wzrokiem po jej oliwkowej szyi i szerokim dekolcie.

— A więc zostawmy dumę niedorajdom i tym razem nie troszczmy się o reguły.

To właśnie chciała usłyszeć.

— Chciałabym wejść z wami we wspólne interesy i zrobić z tego miejsca najbardziej ekskluzywny i pożądany dom schadzek w Wenecji. Mam w związku z tym parę pomysłów, a wy macie pieniądze na ich realizację.

Poprawiam się na krześle i podpieram ręką policzek.

— To wyjątkowa propozycja, donno Demetro, żeby gość takiego przybytku jak ten stawał się jego współwłaścicielem.

Unosi rękę na znak, żebym pozwolił jej mówić dalej.

— Nie mam powodów do narzekań na to, jak rzeczy idą obecnie. Ale doświadczenie mówi mi, że pewne zmiany mogłyby bardzo poszerzyć zakres działalności tego domu.

Rozbawiony ukrywam zaskoczenie: między Odrą i Renem nie znalazłoby się kobiety, która wysunęłaby tego rodzaju argumenty z taką naturalnością.

— Obecnie moja firma funkcjonuje tak: mężczyźni wybierają sobie dziewczyny na ulicy albo przychodzą tutaj, spacerują korytarzem, przyglądając się siedzącym na kanapach dziewczynom, zajmują miejsce obok tej, która najbardziej się im podoba, zapraszają ją, a kiedy już postanawiają sobie iść, płacą za pokój i usługę. Co w tym mechanizmie podoba się mężczyznom?

Oczekuje mojej odpowiedzi, toteż pospiesznie porządkuję wiedzę na ten temat, żeby uratować twarz.

— Powiedziałbym, że wiele rzeczy, jeśli sądzić po tym, jak chętnie tu wracają. Na pierwszym miejscu umieściłbym naturalność tego rytuału.

— Słusznie. To jest to, co zawsze mówię dziewczętom: nie róbcie wrażenia, że jesteście w pracy, a kiedy was zapraszają, podnoście się, jakby poproszono was do tańca... Chodziłoby więc o to, żeby uczynić rzecz jeszcze bardziej naturalną. Klientowi powinno się wydawać, że uwiódł swoją wybrankę. Na parterze powinna się znajdować bardzo luksusowa tawerna, z wyborem cenionych win i kuchnią. Miejsce, do którego bogaty kupiec mógłby pragnąć przyjść tylko po to, żeby dobrze zjeść.

— Powoli, powoli, donno Demetro, czuję, że zaczyna mi się kręcić w głowie.

Śmieje się z mojego żartu i podejmuje swój wywód:

— Proszę pomyśleć, gdyby wyglądało to mniej więcej tak. O pewnej godzinie dziewczęta wchodzi do sali. Niektóre siadają, kilka obsługuje stoły, inne stają za ladą z winami. Najśmielsi klienci zapraszają je, żeby usiadły przy ich stole, ci bardziej wstydliwi proszą o pośrednictwo kelnera.

Donna Demetra wstaje powoli i jestem pewien, że sposób, w jaki to robi, przestudiowała umyślnie, żeby ukazać mi w nowej i ulotnej perspektywie swój dekolt. Staje za mną i zaczyna masować mi szyję czubkami palców. Czuję dreszcz, który wstrzymuje mi oddech.

— Ja myślę, don Ludovico, że podbicie kobiety w trakcie kolacji, choćby tylko udawane, byłoby dużo przyjemniejsze niż na kanapie w korytarzu. Chyba się nie mylę?

— Jak najśluszej...

— Drugi pomysł dotyczy powiększenia liczby dziewcząt. Piętnaście stałych i drugie piętnaście przychodzących tylko wtedy, kiedy by chciały, kiedy potrzebowałyby pieniędzy albo miały na to ochotę. Im częściej będą się wymieniać, tym większa liczba klientów będzie odnosić wrażenie, że nie mają do czynienia z kobietami uprawiającymi ten zawód, ale daje się im szansę przespania się z kobietą, do której na ulicy nie mieliby odwagi podejść.

Palce donny Demetry całkowicie usuwają sztywność mojego karku i pleców; to najręczniejsze ręce, jakie dotykały mnie kiedykolwiek.

— Dlaczego myślicie, że mógłbym się interesować prowadzeniem takiego domu?

Jej włosy ocierają się o moje ucho.

— Jeżeli jakiś cudzoziemiec przyjeżdża do Wenecji, robi to dla interesów albo... żeby się ukryć. Kupcowi proponuję zyskowny interes. Uciekinierowi działalność, która zapewnia dyskrecję i brak jakiegokolwiek ingerencji ze strony władz.

Kiwam głową.

— Byłem i jednym, i drugim. Ale powiem wam, że sprawą, która dziś najbardziej mnie interesuje, jest zdobywanie różnych informacji.

Wybuchła dźwięcznym śmiechem jak mała dziewczynka.

— Mój panie, pozwólcie zatem, że przemówi moje doświadczenie: mężczyźni zwierają się w łóżku z rzeczy, które nie wyszłyby im z gardła nawet przy konfesjonale. Ja lepiej znam mętne sprawy naszego doży niż jego osobiści doradcy.

Ta kobieta nie przestaje wprawiać mnie w osłupienie.

— No cóż, donno Demetro, myślę, że postaram się was uszczęśliwić. W mgnieniu oka będzie z was Vittoria Colonna Republiki Wenecji.

Osuwa ręce na moją pierś i przyciska usta do mojego ucha.

— Z tą różnicą, don Ludovico, że Vittoria Colonna wykonuje tę samą pracę co ja, nie przyznając się do tego. Robi miny wielkiej uwodzicielki i udaje, że nie wie, czego oczekują od niej tacy artyści jak Michelangelo.

— W takim razie powiedzmy tylko, że czeka was bogactwo.

— Was też. I być może opowiecie mi więcej o tym, w jakim celu tu przyjechaliście. Ale radzę się pospieszyć, jeżeli chcecie dla przyjemności zwierzyć się kobiecie z tego, czego nie wypowiedziała jej jeszcze intuicja.

Rozdział 12

Wenecja, 28 lutego 1546 roku

— Toczcie ostrożnie, sprowadziłem ją aż z Padwy!

Robotnicy uważnie wtaczają beczkę w głąb sali.

Znikły stare stoły, zastąpione wyrobami najlepszego stolarza Wenecji. Pomalowane na nowo wilgotne ściany zdobią barwne tkaniny, za ladą z likierami połyskuje ogromne lustro. Odbija się w nim potężna sylwetka mężczyzny o twarzy naznaczonej czasem i siwiejących włosach. Przyglądam się mu przez chwilę, żeby zobaczyć, co też z niego zostało po czterdziestu pięciu latach życia. Wydaje się, że ciało wciąż kryje nienaruszoną siłę, ale nie tryska ona już tak żywo i rzeško z oczu człowieka, który szafował nią niegdyś na barykadach. Cóż to za absurdalny cud, te lustra, których to miasto jest pełne, bo nie ma tu sklepu ani straganu bez precyzyjnie wykonanych dzieł miejscowych mistrzów szklarstwa. Odbija się w nich odwrócony symetrycznie świat, w którym lewa strona staje się prawą. Nie przypuszczałem, że mój nos jest aż tak wykrzywiony.

Ale dość tych rozmyślań, do zrobienia zostało jeszcze mnóstwo rzeczy, a dziś wieczorem ma nastąpić otwarcie.

Donna Demetra idzie ku mnie z uśmiechem na ustach.

— Dziewczyny gotowe.

— A mięsiwa?

— Kucharka robi, co może — odpowiada, rozglądając się niemal w osłupieniu. — Ten lokal w niczym nie przypomina starego!

— To przede wszystkim wasza zasługa, dobraliście wszystko ze smakiem.

— Włoży pan dziś wieczorem nowe ubranie?

— Nie obawiajcie się, wydałem tyle pieniędzy nie po to, żeby pleśniało w kufrze.

Do gospody wpada z otwartymi ramionami Pietro Perna. Staje

z rozdziawionymi ustami, dostrzega donnę Demetrę i podchodzi do niej z ukłonem, starając się przyjść do siebie.

— Składam hołd właścicielce najpiękniejszego klejnotu całej Wenecji!

— Dzięki za komplement od najwytworniejszego galanta, jakiego widziały moje oczy. Ale, *messer* Pietro, przybyliście za wcześnie, nie zaczniemy podawać przed zachodem słońca.

— Wiem o tym i zapewniam panią, że nie mogę doczekać się godziny, w której będzie mi wreszcie dane posmakować tych wspałałości, któreście przygotowali swoim bywalcom.

— Cóż zatem sprowadza was już teraz w te strony?

— Zdawało mi się, że wiedziałem, co to takiego, nim przekroczyłem próg, ale blask waszych oczu zupełnie zmacił moje myśli.

Donna Demetra wybucha śmiechem, a ja ujmuję Pernę pod ramię i prowadzę go w głąb sali.

— Dość tego krygowania się. Co się dzieje?

Robi krok do tyłu i wyrzuca przed siebie obie ręce.

— Masz pojęcie, przyjacielu? Uwierzysz w to, co ci powiem?

— Zamieniam się w słuch, mówże prędzej!

— Marcin Luter nie żyje!

* * *

Z beczek leje się strumieniami wino, a kielichy wędrują z rąk do rąk w długim łańcuchu ludzi zapełniających tłumnie tawernę. Słychać zgiełk głosów rozweselonych kobiet i mężczyzn, kupców i ludzi interesu, a nawet paru niższej rangi arystokratów.

Bindoni zмага się z udkiem bażanta, oskubuje je dokładnie z mięsa, uważając, żeby nie popłamić porządnego ubrania. Arrivabene pozwala gładzić się po włosach jednej z dziewczynek i reaguje śmiechem na słowa, które ona szepcze mu do ucha.

Perna wie dzie prym przy jednym ze stołów, opowiadając anegdotki o życiu, jakie pędził w różnych miastach:

— Nieee, panowie, Koloseum to zwykle oszukaństwo... zapewniam was, to dziura pełna parszywych kocurów i szczurów wielkich jak cielaki!

Przy sąsiednim stole czterech młodzieńców z korporacji kupców kolonialnych obdziera do kości to, co zostało z prosiaka upieczonego na rożnie, wymieniając wymowne spojrzenia z dziewczynkami, siedzącymi w głębi sali.

Za tą ciżbą głów, przy stoliku przystawionym do ściany, jakiś mężczyzna wymienia serdeczności z młodą kobietą.

Podchodzę do donny Demetry, która stoi za ladą.

— Kim są ci dwoje, tam, w głębi? Nikt nie przychodzi do burdelu ze swoją kochanką...

Donna Demetra spogląda w tamtą stronę i kiwa głową.

— Jeżeli jest to żona innego, to tak. Ona nazywa się Caterina Trivisano, jest małżonką Piera Francesca Strozziiego.

— Strozziiego? Tego, który uciekł z Rzymu? Co to zadawał się z ambasadorem angielskim?

— Właśnie tego. A ten, co z nią siedzi, to przyjaciel jej męża, zaczekaj... chyba Donzellini, tak, Girolamo Donzellini. Musiał uciec z Rzymu razem ze swoim bratem i ze Strozziim, ponieważ go tam prześladowano. To uczoney, tłumaczy ze starożytnej greki, jak mi się wydaje.

— A wiesz może, za co go prześladowano?

Donna Demetra mruży błyszczące oczy.

— Nie wiem, ale zdaje się, że w Rzymie już od jakiegoś czasu nie robią nic innego.

Śmieję się i staram zapamiętać jego nazwisko. Okazuje się, że w zasięgu ręki jest tu kółko zbuntowanych literatów.

Nieco dalej trzech typków siedzi oddzielnie, zabawiając się widokiem wesołej kompanii, otaczającej Pernę.

Tym razem donna Demetra uprzedza moje pytanie.

— Nie widziałam ich nigdy dotąd. Sądząc po ubiorze, myślę, że to cudzoziemcy.

Biorę butelkę i kieliszek, a potem ruszam w kierunku ich stolika, łapiąc po drodze strzępy przechwałek Perny: „...Florencja, mój panie, tak, jeśli chcecie, mogę zaświadczyć na piśmie, Florencja to najpiękniejsze miasto na świecie!”

Mają eleganckie ubrania, z doskonałych tkanin i świetnie skrojone, a rysy twarzy niewątpliwie wskazują na śródziemnomorskie pochodzenie. Czarne, dłuższe niż zwykle włosy mają związane na karku ciemnymi, skórzanymi rzemykami, a ich delikatne brody schodzą od uszu i kończą się ledwo zaznaczonym szpicem.

— Witajcie, panowie — zwracam się do nich po łacinie — nazywam się Ludwig Schaliendecker i jestem właścicielem tego lokalu.

Lekkie skinienie głową.

— Niestety moja łacina nie dotrzymuje kroku portugalskiemu i flamandzkiemu.

— W takim razie możemy porozumieć się za pomocą dialektu używanego w Antwerpii, jeśli to wam odpowiada. Mam nadzieję, że kolacja, jaką podano wam w gospodzie Caratello przypadła panom do gustu.

— Nazywam się João Miquez, Portugalczyk z urodzenia, Flamandczyk z wyboru — odpowiada trochę zaskoczony, a potem

wskazuje młodzieńca po swej prawej stronie. — To jest mój brat Bernardo, a to Duarte Gomez, przedstawiciel mojej rodziny w Wenecji.

Gdybym nawet żywił jakieś wątpliwości co do zamożności tego człowieka, gruba złota obrączka, jaką ma w lewym uchu, rozwiewa je bez reszty. Trochę ponad trzydziestkę, czarne przenikliwe oczy i mieszanina przyjemnych zapachów przypraw korzennych i morza.

— Zechcielibyście panowie napić się ze mną?

— Będzie nam miło wypić zdrowie tego, komu zawdzięczamy tak wyśmienite jedzenie. Jeśli zechce pan uhonorować nas swoim towarzystwem... — Eleganckim gestem podsuwa mi krzesło.

Siadam.

— Z przyjemnością, bo wie pan, dziś właśnie mój stary wróg postanowił wreszcie wyciągnąć nogi. Kusi mnie, żeby wypić za to miłe wydarzenie.

Cała trójka rzuca sobie nieczytelne dla mnie spojrzenia, tak jakby potrafili porozumiewać się tylko za pomocą myśli, ale odzywa się znowu ten sam:

— Zechce pan więc powiedzieć nam, kto był osobą budzącą pańską nienawiść.

— To tylko stary augustiański mnich, Niemiec tak jak ja. W młodości dopuścił się podłej zdrady wobec mnie i paru tysięcy nieszczęśliwców.

Portugalczyk uśmiecha się lekko, ukazując nieskazitelnie białe zęby.

— Pozwólcie więc, panie, że wzniosę toast za śmierć w mękach wszystkich zdrajców, od których niestety roi się na świecie.

Opróżniamy kieliszki.

— Panowie od dawna w Wenecji?

— Przyjechaliśmy przedwczoraj. Dołączyliśmy do ciotki, która mieszka tu już od ponad roku.

— Kupcy?

Tym razem odpowiada młodszy brat.

— Czy może nie być kupcem ktoś, kto przybywa do Wenecji? Powiedzieliście, panie, że jesteście Niemcem?

— Tak. Ale wystarczająco długo prowadziłem interesy w Antwerpii, żeby się nauczyć tamtejszego języka.

Miquez rozjaśnia się.

— Wspaniałe miasto. Nie dorównuje jednak temu... no i z pewnością nie cieszy się taką wolnością.

Uśmiecha się w sposób nie do rozszyfrowania, lecz w jego słowach kryje się wyraźna aluzja.

Napełniam znowu kieliszki. Ale nie mam obowiązku nic mówić, jestem u siebie.

— Zna pan Antwerpię? — pytam.

— Spędziłem tam ostatnie dziesięć lat, to dziwi, żeśmy się nie spotkali.

— Postanowił pan zatem przenieść swoje interesy tutaj?

— Istotnie.

— Gdy tu przybyłem, powiedziano mi, że jeśli ktoś przenosi się do Wenecji, to jest albo kupcem, albo uciekinierem. A często i jednym, i drugim.

Miquez mruga oczami, pozostali dwaj wydają się zakłopotani.

— A do którego rodzaju pan należał?

Wydaje się, że nic nie jest w stanie zmącić ich pogodnych min, jak u kota wygrzewającego się na słońcu.

— Do zamożnych uciekinierów... Ale myślę, że nie tak zamożnych jak panowie.

Śmieje się z zadowoleniem.

— W takim razie chciałbym zaproponować toast, szanowny panie — mówi, unosząc kieliszek. — Za udane ucieczki.

— Za nowe ziemie.

* * *

Ostatni klienci niepewnie kierują się do drzwi, kołysząc się niczym łódki na rozfalowanym morzu. Próbuje zachęcić Pernę do wstania od stołu, przy którym uciął sobie drzemkę.

— Co się stało z twoimi słuchaczami?

Podnosi z wysiłkiem głowę i spogląda zamglonymi oczami, a z jego gardła dobywa się niewyraźny jęk.

— To same dranie... zabrali ze sobą wszystkie dziewczyny...

— Nie myśl o dziewczynach, rzuć się lepiej na jakieś łóżko. Nie był to wprawdzie tokański nektar, ale weneckie wino też zwaliło cię na dobre z nóg.

Pomagam mu wstać i pociągam go w stronę schodów. Przed nami zjawia się donna Demetra.

— Co zrobimy z naszym eleganckim księgarzem, który tak sympatycznie zabawiał gości?

Perna wytrzeszcza na nią oczy.

— Królowa moich bezsennych nocy! — wrzeszczy swoim krzykliwym głosem. — Ta moja bezkształtna gęba nie przeszkodzi mi jej adorować, uwielbiać, u-bóst-wiać... — Po czym osuwa się jak kamień w fałdy spódnicy donny Demetry, która obejmuje go z rozbawieniem.

— Gdybym nie znała pana jako niepoprawnego uwodziciela, pomyślałabym, że ma pan słabość do mnie, kobiety ograniczonej i pełnej przywar.

Unoszę go i stawiam na nogi.

— No jakże, trzymaj się prosto!

Udaje mi się położyć go na łóżku, zupełnie już nieszkodliwego, prawie bez życia.

— A więc, Toskańczyku, na dziś masz już dosyć, zobaczymy się jutro rano...

— Nie, nie, zaczekaj — mówi cicho i łapie mnie za rękę. — Pietro Perna nie zabiera do grobu swoich sekretów. Podejdź bliżej...

Nie mam wyboru, uderza mnie jego pijacki oddech.

— Ja pochodzę — szepcze z wahaniem — ...z Bergamo. — O mało nie wybucha płaczem, tak jakby wyznał niewybaczalny grzech. — Ograniczeni ludzie... okropne kobiety... górale... nieuki... Okłamałem cię, przyjacielu, okłamałem wszystkich.

Powstrzymuję się, żeby nie roześmiać mu się w twarz. Jeszcze gdy otwieram drzwi, słyszę jego głos:

— Ale mam duszę... mam duszę Toskańczyka.

Rozdział 13

Wenecja, 6 marca 1546 roku

Schodzimy z mostka wychodzącego na calle de' Bottai. Marco ciągnie wózek wyładowany do pełna wiktuałami. Idę przed nim i natychmiast uderza mnie coś dziwnego: nie ma przejścia, uliczkę blokuje czterech barczystych typków. W jednym z nich rozpoznaję Mula.

Dostrzega ich także Marco i zwalnia. Oglądam się na niego, podchodzę i biorę wózek.

— Idź za mną — mówię.

Powoli schodzę w ich stronę, pchając wózek niczym taran.

Przypieram jednego z nich do ściany, pozostali pochylają się z nożami w rękach. Słyszę za plecami odgłosy szybkich kroków i przerażone wrzaski Marca. Wyskakują skądś biegiem trzy postaci ze szpadami w dłoniach, słysząc portugalskie przekleństwa.

Mulo i jego ludzie zatrzymują się, jeden z Portugalczyków zostaje przy mnie, dwaj inni biegną dalej, wysuwając szpady. Nożownicy Mula czmychają.

Duarte Gomez przykłada czubek klingi do gardła jedynego, który pozostał na placu.

— Z przyjemnością bym cię zabił, *señor*, jak psa.

Bracia Miquez wracają żwawym krokiem, João uśmiecha się i woła po flamandzku:

— Nie warto się wysilać, kolego!

Gomez robi tamtemu lekkie draśnięcie, pojawia się strużka krwi.

— Zmykaj stąd, bękartie.

Mulo ucieka w kierunku Canal Grande.

— Coś mi się zdaje, że jestem wam winien wdzięczność, don João.

Portugalczyk wsuwa zdobną, toledańską szpadę do pochwy, kłania się i śmieje.

— To drobiazg w porównaniu z przedwczorajszą gościnnością.

Młodszy z Miquezów, Bernardo, uspokaja donnę Demetrę.

— Nie ma się czego obawiać, *signora*. Ci czterej oberwańcy nie będą już pani nachodzić.

— Mam nadzieję, panowie, naprawdę mam nadzieję. Jestem wam nieskończenie wdzięczna.

— Jesteście tego pewni? — pytam.

— Nie ma co do tego żadnych wątpliwości — odpowiada mi starszy. — W niektórych środowiskach wieści rozchodzą się błyskawicznie. Od dziś wszyscy będą wiedzieli, że jeśli skrzywdzą was albo wasze dziewczyny, będzie to tak, jakby wyrządzili to nam.

— Macie tak potężną rodzinę?

Don João mówi powoli, starając się uchwycić moją reakcję:

— Sefardyjczycy rzeczywiście tworzą wielką rodzinę, której członkowie są przyzwyczajeni do pomagania sobie nawzajem, żeby sprostać trudnościom wynikającym z tego, że od niepamiętnych czasów jesteśmy obcy na obcej ziemi.

Na chwilę zapada kompletna cisza.

— Jestem zaskoczony. Nie rozumiem, w jaki sposób donna Demetra i ja możemy być członkami waszej rodziny.

— Jeżeli przyjmiecie moje zaproszenie na obiad, chętnie udzielię wam paru wyjaśnień.

* * *

Długa łódź przecina Canal Grande, żeby wpłynąć w rio di San Luca.

Nie mają końca przekleństwa wioślارza Miqueza, garbusa Sebastiana, który obrzuca nimi każdego, kto pojawi się przed dziobem.

Jako chłopak tak wyobrażałem sobie przewoźnika w Hadesie podczas wykładów Melanchtona o kulturze klasycznej. Ubrudzony, z gęstwą zmierzwionych włosów, które nie mieszczą mu się pod nakryciem głowy, wydziela stęchły zapach, y dochodzący od rufy aż do nas. Pochylny, naciska na bardzo długie wiosło, które niemal pionowo przechodzi przez wyżłobienie dulki.

Miquez reaguje żywo na to, co się dzieje wokół niego.

— Pamiętacie, wznosiliśmy toast za śmierć zdrajców. Miły wygląd i dobre maniery nie liczą się w porównaniu z lojalnością wiernego sługi.

Płyniemy przez rio dei Barcaroli, które rozszerza się po drodze, przyjmując wygląd małego stawu, a potem zwęża znowu na wysokości niedużego mostka.

Miquez wskazuje mi budowlę po lewej stronie.

— To kościół pod wezwaniem Mojżesza. Wenecja jest jedynym

chrześcijańskim miastem, w którym są kościoły poświęcone prorokom ze Starego Testamentu. Ale nie sądźcie, że zrobiono to przez wspólną myślność względem nawróconych na chrześcijaństwo Żydów, których nazywają tu nowymi chrześcijanami albo bardziej pogardliwie marranami. My po prostu bardzo się tu liczymy.

— Don João, bardzo mnie interesuje to, o czym mówicie. Uczucie sympatii wobec uciekinierów wszystkich wyznań to prawie instynktowny odruch u kogoś, kto przez całe życie uciekał przed księżmi i prorokami. Mam nadzieję, że nie poskąpicie mi swoich opowieści.

— Przy dobrze zastawionym stole nie będzie potrzeby ukrywania czegokolwiek.

Znowu wypływamy na Canal Grande, naprzeciwko urzędu celnego, który nosi nazwę Dogana. Nie mogę wyjść ze zdumienia dla ogromnej liczby wypływających i wpływających tu łodzi. Główną arterią Wenecji sunie istne mrowie stateczków o różnorodnych kształtach. Przy wielkim nabrzeżu San Marco cumują brygantyny i karaki, na szeroki pas wody wypływają wielkie galery, we wszystkich kierunkach suną łodzie wiosłowe i żaglowe wszelkich rozmiarów. Sebastiano nie szczędzi przekleństw, aby utorować nam drogę.

Kierujemy się ku dużej wyspie, która nazywa się Giudecca.

Rozdział 14

Wenecja, 6 marca 1546 roku

Campo Barbaro. Najdalszy kraniec wyspy Giudecca.

Wspaniała rezydencja Miquezów zwrócona jest frontonem w stronę Bazyliki Świętego Marka, która w tak słoneczny dzień jak dzisiejszy zdaje się znajdować na wyciągnięcie ręki.

Dom to prawdziwa pańska rezydencja, ma wewnętrzny ogród pełen zieleni i nieznanych roślin. Zgromadzone tu przedmioty mówią o niekończących się wędrówkach, są wśród nich dywany, porcelana, meble i tkaniny z różnych okolic, od afrykańskich wybrzeży położonych w pobliżu Hiszpanii i Portugalii aż po bramy Wschodu, po Turcję, której wpływy sięgają Adriatyku, a tutaj krzyżują się ze sztuką mauretańskiej Hiszpanii. Zdziwiająca i oryginalna mieszanka stylów. Greckie krzyże i ogromne, srebrne krucyfiksy hiszpańskie, ale także siedmioramienne świeczniki i szkatuły ze zwojami pergaminów i monetami, które zdają się pochodzić z grobowców biblijnych proroków.

Rozsiadam się na przestronnym, wewnętrznym dziedzińcu, wychodzącym na ogród. João Miquez ostrożnie otwiera drewnianą szkatułkę i częstuje mnie cygarem. Nie umiem powstrzymać się od odruchu wzruszenia i przyjemnych wspomnień.

— Miło jest spotkać kogoś, kto potrafi docenić aromaty dalekich Indii.

Myśli okrywa naraz posepny cień.

— Don João, moje życie pozwoliło mi poznać tylko w małym stopniu przepych i luksus, i zawsze musiałem zadowalać się tylko wyobraźnią. — Rozglądam się wokół siebie. — Odnoszę wrażenie, że jest pan jednym z najbogatszych ludzi w Wenecji. Przychodzi pan na kolację do mojego burdelu, ratuje mi życie i zaprasza do swojego domu. Dlaczego?

Uśmiecha się rozbrajająco i kiwa z uznaniem głową.

— Nareszcie reakcja godna Niemca. — Nalewa mi trochę wina do kryształowego kieliszka. — Gdyby nie okazał się pan człowiekiem, na jakiego wygląda, byłoby mi trudno w to uwierzyć. Wie pan, kiedy przyjeżdża się do innego miasta z zamiarem, żeby nie siedzieć w nim z założonymi rękami, trzeba zorientować się prędko, jakie możliwości daje to miasto i z kim warto się poznać. — Rzuca mi znaczące spojrzenie. — Pańscy krajanie nazywają to interesownością. A ja określiłbym to jako szukanie pewnych pokrewieństw i sympatii, które przydają życiu smaku, otwierając ciekawe perspektywy.

— Jest pan pewien — przerywam mu — że przypadkowy właściciel burdelu jest właśnie osobą, jakiej pan szuka?

— Chodzi o Niemca, który przybywa tu ze Szwajcarii. Ma on raczej nieznaną przeszłość, znaczny majątek, zgromadzony prawdopodobnie w północnych portach, zadaje się z miejscowymi księgarzami i drukarzami jak z równymi sobie, potrafi utrzymać na dystans różne gorące głowy i otwiera najładniejszy dom publiczny w mieście. Co więcej, nazywa się jak heretyk, którego na moich oczach spalono za murami Antwerpii, Lodewijck de Schaliendecker, lepiej znany jako Eloi Pruystinck.

Moje serce zaczyna walić jak szalone. Nie wolno mi stracić panowania nad sobą. Biorę głęboki oddech i próbuję się rozluźnić.

Spoglądam mu prosto w oczy.

— Dokąd pana zdaniem ma nas zaprowadzić ta rozmowa?

Jego czarne oczy kontrastują z śnieżnobiałym uzębieniem, ledwo widocznym za uchylonymi wargami.

— Obaj jesteśmy kupcami i wygnańcami. Nie musimy prawić sobie grzeczności.

— Co do tego nie ma dwóch zdań. Proszę mi zatem powiedzieć, kim pan jest.

Miquez poprawia się na krześle, jest rozluźniony, w jednej ręce trzyma cygare, w drugiej kieliszek z winem.

— Moja ucieczka rozpoczęła się dwadzieścia lat przed moim przyjściem na świat, kiedy to w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim bardzo katolicka para królewska, władcy Aragonu i Kastylii, Ferdynand i Izabella, postanowili zlikwidować ogromne długie zaciągnięte u żydowskich bankierów, podburzając przeciwko nim inkwizycję. Moi przodkowie musieli w wielkim pośpiechu schronić się najpierw w Portugalii, gdzie z oczywistych powodów przyjęli wiarę chrześcijańską, ratując w ten sposób majątek. Urodziłem się w roku tysiąc pięćset czternastym w Lizbonie, a moja ciotka, Beatriz de Luna, cztery lata wcześniej. Byliśmy bogaci i należeliśmy do grona najbardziej poważanych rodzin w Portugalii. Moja ciotka,

donna Beatrice, którą wkrótce pan pozna, pod koniec lat dwudziestych połączyła swoje losy z losami bankiera Francisca Mendeza. W kilka lat później historia się powtórzyła: portugalscy królowie, którzy dramatycznie odczuwali brak gotówki, puścili w ruch inkwizycję i rzucili ją przeciwko Żydom, żeby przejąć ich majątki. Ale my byliśmy na to przygotowani, i to od czterdziestu lat; ciotka została wdową i odziedziczyła fortunę Mendezów, ale już szykowaliśmy się do opuszczenia Portugalii na zawsze. Był rok tysiąc pięćset trzydziesty szósty, gdy znaleźliśmy się w Niderlandach. — Milknij na chwilę i wzrusza ramionami. — João Miquez, Juan Micas, Jean Miche, Giovanni Miches albo Zuan, oto jak mnie nazywano. Moje nazwisko ma tyle wersji, ile jest krajów, w których przebywałem. Cesarz Karol Piąty znał mnie jako Jehana Micasa.

Napięcie opada trochę, szczerzy wyraz twarzy mojego rozmówcy zachęca mnie, żeby mu wierzyć.

— Był pan bankierem cesarza?

— Tak — potakuje — ale on nie był tak wspaniałomyślny wobec nas, jak w stosunku do Fuggerów z Augsburga. Musieliśmy wywalczyć sobie nasz mały kącik, chroniąc go przed chciwością pańskich krajanów, którzy nie znoszą konkurencji. Po jakimś czasie cesarz także zaczął ostrzyć sobie zęby na nasz majątek i zaproponował, żeby moja ciotka wyszła za jego krewniaka Franciszka Aragońskiego, człowieka wysokiego rodu. Moja ciotka, odnosząc się ze zdrową nieufnością do matrymonialnej strategii cesarza, odmówiła. Tak więc ten bardzo katolicki władca poszedł po rozum do głowy i oskarżył nas o ukryte sympatie dla judaizmu, po czym inkwizycja dobrała się do nas jako do fałszywych chrześcijan. Niezłe, nie uważa pan? Najpierw zmuszają nas, żebyśmy zmienili wyznanie, a potem wytykają to nam. Ale liczyły się tylko pieniądze i inkwizycja w Niderlandach troszczyła się wyłącznie o interesy Karola i jego przyjaciół Fuggerów...

Przerywa i czeka, aż przełknę to, co prawie na pewno było nie tylko aluzją. Nie może wiedzieć dokładnie, kogo ma przed sobą, lecz pewne domysły i przecucia muszą go dręczyć przynajmniej tak samo silnie jak mnie.

— Wiedzieliśmy — podejmuje po chwili — że Karol Piąty nie pozwoli nam opuścić bez przeszkód swoich terytoriów, więc przygotowaliśmy pewien plan. Udałem ucieczkę z miłości z moją kuzynką Reyną, no i daliśmy nogę w kierunku Francji. Ciotka, pod pretekstem ścigania omotanej przeze mnie córki, ruszyła naszym śladem. Ja zatrzymałem się na granicy, i gdy obie kobiety były już bezpieczne, wróciłem do Antwerpii, żeby przeszkodzić konfiskacie majątku rodziny. Udało mi się to dopiero po dwóch latach denerwujących

pertraktacji z cesarzem i przekupieniu złotem inkwizytorów. I w końcu znalazłem się tutaj.

Nad jego plecami pochyła się służący i szepcze mu coś do ucha. Miquez podnosi się.

— Podano obiad. Nadal ma pan ochotę się z nami do stołu?

Ociagam się z odpowiedzią, patrząc mu prosto w oczy.

— Dziś uratował mi pan życie. Ale znalazł się pan tam nie przez przypadek, nieprawda?

Miquez uśmiecha się.

— Dobłą stroną licznej rodziny jest to, że dzięki niej ma się wielokrotnie więcej uszu i oczu. Ale mam nadzieję, że nauczy się pan cenić w nas inne jeszcze zalety.

* * *

— A kiedy rozpoczęła się pana ucieczka?

Jesteśmy w długiej i wąskiej, luksusowo wyposażonej bibliotece, są tu intarsjowane regały i stare woluminy; za jego plecami, nad biurkiem, wisi na ścianie mauretańska szabla.

— Już to panu powiedziałem, z chwilą gdy księża i prorocy zabrali się do przywłaszczania sobie mojego życia. Towarzyszyłem Münzerowi i chłopom w wojnie przeciwko książętom. Jako anabaptysta uczestniczyłem w szaleństwie Münsteru. Byłem bożym mścicielem u boku Jana Batenburga. Towarzyszem Eloi Pruystincka między wolnymi duchami Antwerpii. Za każdym razem była to inna wiara, lecz wciąż ci sami wrogowie i zawsze ta sama klęska.

— Klęska, z której wyszedł pan z porządnym mająteczkiem. Jak się to panu udało?

— Zdobyłem go, oszukując Fuggerów za pomocą ich własnej broni, ale też płacąc za to cenę, której nie zamierzałem płacić. Eloi przygarnął mnie, kiedy byłem już trupem, zaofiarował mi nowe życie, możliwości, ludzi, których pokochałem. Odezwał się we mnie stary instynkt walki, tyle że o nowe cele i nowym orężem. Wszystko funkcjonowało doskonale, dopóki nie siadła nam na kark inkwizycja. Ironią losu było to, że obawialiśmy się miejskich strażników, a zjawili się księża.

— Dziwi się pan? — wtrąca Miquez. — Powinna była powiedzieć panu coś o tym nasza historia. Zawsze myślałem, że to, co opowiadano o naciągnięciu Fuggerów, było tylko bajeczką, po Antwerpii krążyły takie plotki, ale nie wydawało się to możliwe. Ileście im podebrali?

— Trzysta tysięcy florenów. Za pomocą fałszywych listów kredytowych.

Miquez gwizdże z uznaniem.

— I naprawdę myśleliście, że Anton Szakal będzie się temu spokojnie przyglądał? Byłbym gotów założyć się, że to on nasłał na was te sępy ze Świętego Oficjum. W Niderlandach filią Fuggerów jest także inkwizycja i z całą pewnością Antonowi wygodniej było rozprawić się z wami jako z heretykami, niż zademonstrować was jako oszustów na jego szkodę. Uważam za cud, że pan żyje.

Siedzę w zamyśleniu, proste i bezpośrednie stwierdzenia Miqueza pozostawiają niewiele wątpliwości.

— Jakże stąd wnioski? Tak czy owak oni zawsze są górą. Lepiej nic nie robić, nie wychylać się.

— Dokładnie na odwrót — oświadcza z powagą Miquez. — Trzeba działać z wielką szybkością. Szybciej niż oni. Wmieszać się w tłum, obrać cel, zwieść wrogów i zawsze mieć lekki bagaż. — Wyciąga ręce, jakby chciał objąć wszystko wokół siebie. — W przeciwnym razie co nam zostanie tutaj do roboty? W Wenecji, tym burdelu dzisiejszego świata?

Próbuję go zachęcić.

— W takim razie przejdźmy do meritum. Co ma pan na myśli?

Przypała zgasłe cygaro i na chwilę jego regularne rysy giną w kłębach dymu.

— Druk. — Stara się znaleźć właściwe słowa. — Interesem może być w tym momencie drukowanie książek. To ważna sprawa nie tylko ze względu na zyski. Książka to sposób na przeniesienie idei, zapładnianie umysłów i, czego nie wolno lekceważyć, wzmocnienie relacji międzyludzkich. Dla takiej rodziny jak moja, poważanej, ale wciąż zagrożonej, a być może także szerzej, dla wszystkich Żydów decydujące może się stać zadziernięcie stosunków z literatami, uczonymi, osobami uznanymi i wiarygodnymi, które mogą wpływać na innych ludzi w bliskich im środowiskach. Jeśli pan chce, może pan to nazwać interesownym mecenatem, ale właśnie dlatego pociąga mnie nie tylko drukowanie ksiąg żydowskich. Prowadzę już rozmowy z największymi weneckimi wydawcami, jak Manuzio i Giolito. Wraz z donną Beatrice, moją ciotką, przejęliśmy drukarnie tu i w Ferrarze. Wydajemy Talmud, ale także Landa, Ruscellego, Reinosa. Wspieramy zamiłowanie do literatury. Donna Beatrice zrezygnowałaby chętnie z wszelkiej innej działalności oprócz tej właśnie. Nie wątpię, że jest ona jedną z najbardziej wykształconych kobiet w Europie. — Pochyliła się lekko nad biurkiem. — Nietrudno przyjdzie panu zrozumieć, dlaczego interesuje mnie wspieranie stronnictwa ludzi tolerancyjnych i umiarkowanych zarówno w samym Kościele, jak i poza nim, i przeskazywanie upowszechnianiu się religijnego nieprzejednania i duchowej wojny, jaką prowadzi Święte Oficjum. Potrzebuję ludzi zdolnych do wyczuwania nowych prądów intelektualnych, a także

dzieł, których zadaniem byłoby pobudzenie umysłów i wpływanie na bieg wydarzeń.

Przeglądam tytuły ksiąg ułożonych na regałach. Są tu teksty arabskie, hebrajskie, chrześcijańskie, rozpoznaję Biblię w tłumaczeniu Lutra. Po chwili wracam do rozmowy.

— Nie będę udawał, że nie interesuje mnie ta dziedzina. Przygotuję nawet tego rodzaju operację. Czy słyszał pan kiedykolwiek o *Błogosławieństwie Chrystusa*?

Spogląda w sufit, przewracając oczami.

— Nie. Ale nie mogę wykluczyć, że donna Beatrice będzie coś wiedziała o tej książce.

— Oficjalnie jej autorem jest benedyktyński mnich z Mantui, ale stoi za nią kilka poważnych osobistości, które sympatyzują z Kalwinem i z przedstawicielami umiarkowanego stronnictwa rzymskiego, które nosi miano *Uduchowionych*. Chodzi o sprytnie napisaną książkę, pomyślaną jako kij w mrowisko, gdyż zawiera dwuznaczne sformułowania, wyrażone zrozumiałym dla wszystkich językiem. Arcydzieło maskowania rzeczywistych intencji, które zaniepokoiło już wiele osób. Książkę wydano po raz pierwszy trzy lata temu, właśnie tu, w Wenecji. Od tamtej pory zainteresowanie nią nie przestaje rosnąć. Mamy już tysiąc nowych egzemplarzy gotowych do rozpowszechnienia nie tylko tutaj, ale także na terytoriach na zachód i na południe od Republiki Wenecji. Oceniamy, że w ciągu trzech lat sprzedamy dziesięć tysięcy.

Miquez kiwa z uznaniem głową i bębni cienkimi palcami po stole.

— Hmm. Bardzo ciekawe. Ambitne przedsięwzięcie, wymagające odpowiednich środków. Wspomniał pan o terytoriach położonych na zachód i południe od republiki. A dlaczego nie myślicie także o tych na północ i na wschód? Piętnaście, może dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, co by wymagało włączenia innych wydawców. Mam dobre punkty zaczepienia w Chorwacji i we Francji. Jest jeszcze Anglia, kraj nieograniczonych możliwości. Mam statki, sieć kontaktów i dziesiątki usługowych kupców, gotowych puszczać w obieg absolutnie wszystko. Żywię nadzieję, że zechce pan to rozważyć. W każdym razie byłbym wdzięczny za egzemplarz tej książki, żeby go podarować mojej ciotce, która bezustannie szuka kamieni obrazu.

— Nie ulega wątpliwości, że pańska oferta jest interesująca. Ale nie mogę nic zdecydować, nie zasięgnąwszy rady moich współników. Podjęcie współpracy z panem oznaczałoby wydatne powiększenie perspektyw całej operacji.

Miquez rozkłada ręce i uśmiecha się szeroko.

— Rozumiem doskonale. Odłóżmy więc sprawę na tak długo, jak długo wam będzie wygodnie. Wie pan, gdzie mnie znaleźć.

— A pan mnie, bo mam nadzieję, że nie zabraknie mi okazji, żeby zrewanżować się za pańską gościnność. Parę naszych dziewcząt zwróciło na pana uwagę.

Wzrusza ramionami i spogląda na mnie kąpiąco.

— Niestety kobiety pociąga często to, czego mieć nie mogą. Cieleśne rozkosze to mocno dyskusyjna materia, można je zaspokajać różnymi drogami. — Zauważa moje osłupienie i dodaje: — Ależ niech się pan niczego nie obawia, Duarte i ja nie zapomnimy o tym, że gospoda Caratello ma dobrą kuchnię i doskonale zaopatrzone piwnice.

Tajne oko Carafy
(1547)

List wysłany do Trydentu z papieskiego miasta Bolonii, z datą 27 lipca 1546 roku, adresowany do Gianpietra Carafy, członka Rady Ekumenicznej.

Do mojego Pana, przewielebnego Giovanniego Pietra Carafy.

Panie mój najczcigodniejszy, wiadomości z Trydentu, jakie nadchodzą w ciągu ostatnich miesięcy do Bolonii, mogą tylko rozweselić serce gorliwego sługi.

Nie tylko bowiem rozwiały się nadzieje cesarza na to, że luteranie wezmą udział w soborze, ale musiał on asystować ostatecznemu potępieniu protestanckiej teologii, ich doktryny grzechu pierworodnego i usprawiedliwienia *per sola fede*. Od dzisiaj należy uważać protestanckich ksiąząt, jego przeciwników ze związku szmalkaldzkiego, za apostatów i wrogów religii; w ten sposób daremnymi okazują się nadzieje Karola na przechwycenie znowu pod swoją kontrolę całych Niemiec i na poprowadzenie ksiąząt niemieckich u swego boku przeciwko Turkom.

Żadnego rezultatu nie dały też wysiłki kardynała Pole'a, wymierzone przeciwko soborowym dekretem, które sankcjonują ostateczne oddzielenie luteranów od świętego Kościoła rzymskiego, i jest to być może najważniejsze zwycięstwo Waszej Wielmożności i stronnictwa *Gorliwych*.

Pragnę zapewnić Waszą Wielmożność, że podane przez angielskiego kardynała zdrowotne powody przedwczesnego porzucenia prac soborowych nie są niczym innym jak tylko wykrętem; jego wycofanie się podyktowane było koniecznością powrotu do Viterbo w celu wyleczenia duchowych raczej ran niż alpejskiej gorączki.

Ale długie lata na służbie u Waszej Wielmożności uczą, że nie należy wznosić hymnów zwycięstwa, dopóki wróg nie zostanie

ostatecznie pokonany. Reginald Pole wciąż jest ulubieńcem cesarza i człowiekiem, w którym Karol pokłada nadzieje na zmianę kursu względem protestantów, toteż bez wątpienia ukierunkuje swoje intrygi tak, aby ułatwiły temu Anglikowi karierę i przysporzyły mu sławy.

Z tego powodu potępienie *Błogosławieństwa Chrystusa* przez ojców soborowych dostarcza Waszej Wielmożności jeszcze jednej możliwości pokrzyżowania potajemnych knowań stronnictwa *Uduchowionych* i sympatyków Kalwina, działających na terytoriach papieskich. Intencja, o której Wasza Wielmożność mnie powiadomił, aby zlecić Kongregacji Świętego Oficjum sporządzenie indeksu ksiąg zabronionych, staje się dziś nakazem chwili. Niebezpieczna książczyna Benedetta z Mantui wciąż krąży i zapładnia umysły podatne na herezję do tego stopnia, że dziś wystarczyłoby wytropić jej posiadaczy, aby ustalić listę sympatyków Pole'a i postawić ich w stan oskarżenia. Ja sam mógłbym już dostarczyć inkwizycji wiele nazwisk.

Ale to na później. Dziś być może wystarczy cieszyć się z bezpośrednich zwycięstw i czekać na decyzje o dalszych krokach, gdy obecny entuzjazm opadnie i ustąpi miejsca rozwadze.

Polecając się łasce Waszej Wielmożności, w oczekiwaniu nowych poleceń całuję Wasze ręce.

Z Bolonii, 27 lipca 1546 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

Z dziennika Q.

27 lipca 1546 roku

Luter nie żyje.

Pokonany Reginald Pole wyjeżdża z Trydentu.

Cesarz wymiotuje żółcią.

Kółko viterbczyków i wszyscy sympatycy luteranizmu robią pod siebie.

Błogosławieństwo zostało wyklęte.

Starość — może to tylko ona każe zapisywać te linijki, których nikt i nigdy nie będzie czytał. Szaleństwo.

Muszę wynotować nazwiska i miejsca. Kardynał Morone z Modeny, Gonzaga z Mantui, Giberti z Werony, Soranzo z Bergamo, także Cortese. Pewne wątpliwości co do Cerviniego i Del Monte. To przyjaciele Pole'a, ale bojaźliwi, mali ludzie.

Jego Świątobliwość Paweł III wybiera członków Świętego Kolegium z wagą w rękę: jeden *Gorliwy* na jednego *Uduchowionego*; jeden nieustepliwy przeciwko jednemu umiarkowanemu. Ta polityka równowagi będzie miała krótki żywot, trzeba będzie wyrównać rachunki. Paweł III Farnese to człowiek staroświecki, ma w głowie intrygi, nepotyzm, nieprawe dzieci do ulokowania na stanowiskach. Ostatni papież umierającej epoki, umacniający tyły za swoim tronem swoimi śmiesznymi konszachtami, nieświadom tego, że ten czas się skończył, że nadchodzą nowi żołnierze zarówno tutaj, jak i na ziemiach północnych: święci predestynowani Kalwina, kupcy poświęcający się sprawie zreformowanej wiary i jej przerażającemu Bogu; ludzie inkwizycji, gorliwi, niezłomnie oddani swemu małemu, ograniczonemu zadaniu policjantów niewolniczo wiernych obowiązkowi, pedantyczni zbieracze informacji, plotek, donosów.

Ignacy Loyola i jego zakon żołnierzy Boga, Towarzystwo Jezusowe; Ghislieri i nowi dominikanie; a z tyłu, za wszystkimi innymi, Gianpietro Carafa, człowiek przyszłości, siedemdziesięcioletni, niezniszczalny i sprawny wielki mistrz duchowej wojny, walki o rząd dusz.

A ja w samym środku. Także i ja pomiędzy tymi, którzy zapłacili cenę czasu, przeżytych wydarzeń. Luter, Münzer, Matthijs. Nie oplakuję przeciwników pozostawionych na polu walki, ale tego, kto stanął naprzeciw nich, mnie samego z tamtych czasów. Dziś mam przeciwko sobie Pole'a, pobożnego uczonego, który uważa, że Bóg pragnie, aby służono mu uczciwie. On i jego przyjaciele nie wiedzą, czym jest prawdziwa wiara, nigdy nie musieli doświadczać, czym jest ofiara, poświęcanie najpierw innych, zanim poświęci się samych siebie, i samych siebie poprzez unicestwienie innych; przez zabójstwa, tak, zagładę, zdradę dobrej wiary. Münzer, anabaptyści i kto wie ilu jeszcze; ile przekłętą dobrej wiary, ile niewinności w tym szaleństwie. Ile marnotrawstwa. Ale najgorsza jest świadomość, że tak naprawdę niewinność kryje się za uczciwością, tą najłatwiejszą postacią skrucy. A jeszcze przypadki Tomasza Morusa, Erazma, Reginalda Pole'a. Szaleni idioci, gotowi umrzeć z powodu niemożności zrozumienia istoty władzy: jak jej służyć, jak z nią walczyć.

Jesteście starsi ode mnie, zagubieni w marzeniu tak samo odległym od Tronu Piotrowego, jak i od błota nędzarzy. Budzicie mój niesmak, i chciałbym mieć taki żołądek, jaki miałem kiedyś, ale straciłem go po drodze, która doprowadziła mnie aż tutaj. Lata nie wzmacniają ducha, lecz osłabiają go, i człowiek kończy na tym, że patrzy w oczy przeciwnikom, zagląda im do wnętrza po to tylko, aby ujrzeć pustkę, nędzę umysłu i odkryć, że jest gotów okazywać łaskę głupocie.

W samym środku. Dopóki oczy nadają się do czegoś, dopóki nie odkryją, że wiara zaczyna cię opuszczać i że już tylko po pijanemu udaje ci się opuścić topór, jak staremu katowi, którego rozum się przyćmił.

Rozdział 15

Wenecja, 28 lipca 1546 roku

Mały Włoch obejmuje mnie mocno w braterskim uścisku.

— Mój przyjacielu, zrobiłem doskonałe interesy. Mediolan to wielki rynek, pełno tam nie tylko takich zjadaczy kiszzonej kapusty jak ty, ale i Hiszpanów, Szwajcarów, Francuzów. Dobrymi czytelnikami są też sami mediolańczycy, potrafią docenić wartościowe dzieło, więc sprzedałem trzysta egzemplarzy i zostawiłem setkę u mojego przyjaciela księgarza, który już niedługo prześle mi sprawozdanie ze sprzedaży.

Jedynym sposobem uspokojenia go jest ująć za ramiona i posadzić na krześle. Milknie, mierzy wzrokiem moje wymowne spojrzenie i krzywi usta.

— Co się stało? — pyta takim tonem, jakby spodziewał się katastrofy.

Siadam naprzeciwko niego i proszę jedną z dziewczyn, żeby przyniosła nam coś do picia. Odkasłużę.

— Posłuchaj, Pietro, wydarzyło się sporo różnych rzeczy. Nie wszystkie złe.

Podnosi wzrok do sufitu.

— Wiedziałem, wiedziałem, że nie powinienem się stąd ruszać...

— Daj mi dokończyć. Słyszałeś o rzuceniu kłątwy na soborze?

Potakuje.

— Jasne, będziemy musieli bardziej uważać, ale to mieściło się w naszych przewidywaniach, no nie? Więc co za problem? Będziemy ją sprzedawać dwa razy drożej i jeszcze upchniemy więcej egzemplarzy...

— Może byś posłuchał przez chwilę?

Krzyżuje ręce na piersi i mruży oczy.

— Obiecuj, że nie będziesz mi przerywał.

— Zgoda, ale mówże wreszcie, o co chodzi.

— Bindoni wyłączył się z przedsięwzięcia.

W pierwszej chwili nie reaguje, jeśli nie liczyć niedostrzegalnego uniesienia jednej brwi, siedzi bez ruchu.

— Mówi, że teraz, gdy na książce ciąży ekskomunika, obawia się kłopotów i tego, że każą mu zlikwidować drukarnię. — Unoszę rękę, żeby powstrzymać jego reakcję. — Chwileczkę! Myślę, że w rzeczywistości czekał tylko na dobrą wymówkę, żeby się wyłączyć, ale z powodu... naszego nowego współnika!

Tym razem unosi także drugą brew, a jego twarz przybiera czerwonawy odcień. Lecz nie niepokoi się zbyt. —

— Wiem. Uzgadnialiśmy, że pojedę do Padwy, żeby rozprowadzić książkę wśród przyjaciół Donzelliniego i Strozziogo. I zrobiłem to. A także mnóstwo innych rzeczy.

Czerwonawy odcień znika z jego twarzy, wzrok gaśnie, okrągła głowa pochyła się nad stołem, a gniew ustępuje przygnębieniu.

— Powiedz mi wszystko od samego początku — mówi załamującym się głosem. — Niczego nie ukrywaj.

Podają nam grappę. Perna wychyla pierwszy kieliszek i nalewa sobie następny.

— Jest pewien wielki, bardzo wielki bankier, którego interesuje przystąpienie do rozpowszechniania *Błogosławieństwa*. Oferuje w tym celu swoją sieć handlową. — Wzrok Perny ulega ożywieniu. — Mógłby zlecić przetłumaczenie książki na chorwacki i francuski... — uszy Perny zdają się unosić — ma kontakty z wielkimi wydawcami i z pokątnymi drukarniami w samej Wenecji i poza nią... — w jego oczach zapalają się błyski — i mógłby podnieść nakład o co najmniej dziesięć tysięcy egzemplarzy. — Perna aż podskakuje na krześle.

— Dlaczego nie przedstawiłeś mi jeszcze tego człowieka? Na co czekasz?

— Spokojnie, spokojnie. Bindoni nie chce o niczym słyszeć, mówi, że to zbyt gruba ryba, że nas zniszczą...

— On sam się zniszczy! Przez swoją nieudolność! Co to za bankier, jak się nazywa?

— To jeden z tych marranów, sefardyjczyk, urodzony w Portugalii. João Miquez prowadził interesy z cesarzem... Mieszka w pałacu na wyspie Giudecca.

Perna wstaje z krzesła.

— Niech ten Bindoni robi sobie w portki. Powiedziałem ci, że *Błogosławieństwo* to świetny interes, i jeżeli taki mały, przeciętny drukarz tego nie pojmuje, to jego sprawa. — Robi parę kroków, mamrocząc coś pod nosem. — Wchodzimy w interesy z żydowskimi bankierami... z największymi ludźmi interesu na świecie...

Francesco Strozzi. Rzymianin. Literat, bardzo wykształcony, czytał Lutra.

Girolamo Donzellini. Rzymianin. Literat, potajemnie wyznający luteranizm. Zna starożytną grekę. Studiuje nowe odkrycia naukowe. Był na służbie u kardynała Durante de' Duranti. Uciekł z Rzymu, ponieważ kopista, hiszpański zakonnik, doniósł na niego inkwizycji.

Pietro Cocco. Literat z Padwy. Ma jedną z najlepiej wyposażonych bibliotek w całej Najjaśniejszej Republice. Z radością zakupił *Błogosławieństwo*.

Edmund Harvel. Ambasador angielski w Republice Wenecji. Obracał książkę w rękach z zakłopotaniem i zarazem radością. Przyglądał mi się uważniej niż inni, próbując dojść, kim jestem.

Benedetto del Borgo, notariusz, Marcantonio del Bon, Giuseppe Sartori, Nicola d'Alessandria.

Zamożni literaci, zakochani w Kalwinie i w samych sobie.

Kutasy.

Pożyteczne kutasy.

Nie przyjmują do wiadomości, że zaczęła się walka, uwielbiają smakowanie pięknych idei. Skazani na to, że jako pierwsi padną ofiarą tej duchowej wojny.

Ich piękne słówka powinny zarażać umysły poważanych osób, rozbrzmiewać w salonach wykształconych ludzi. Nie szkodzi, że nie bardzo wiedzą, o czym mówią, ważne jest, żeby mówili.

Łatwiej jest poruszać się we mgle wywołanej powszechnym rozdzwiękiem poglądów.

Otwierają się nowe, szersze możliwości. Wieści, jakie docierają z soboru trydenckiego, potwierdzają słabość uczciwych *Uduchowionych*. To nie są ludzie walki, jak ich widzą weneccy literaci w swoich wyobrażeniach Kościoła. Trzeba by nimi potrząsnąć, ale jak? W najśmielszych snach nie przypuszczałem, że wdam się znowu w tak poważną rozgrywkę, ale nie przewidziałem też, że będę mógł liczyć na tak potężnego sprzymierzeńca jak Żyd Miquez, nie mniej niż ja zainteresowany powstrzymaniem marszu inkwizycji.

Jaka jest w tym moja rola? Maskować się i robić wszystko, żeby to inni rzucili się do bitwy? Pobudzić *Uduchowionych* bez wiedzy ich samych?

A tymczasem lepiej przyglądać się temu, co się dzieje w obozie nieprzyjaciela: ustalać jego siły, jego przywódców, starać się zrozumieć jego strategię.

Rozdział 16

Wenecja, 1 sierpnia 1546 roku

Na tej ziemi, która nie jest stałym lądem, człowiek co chwila zdumiewa się na widok coraz to innych kolorów, a wzięte jakby ze snów stroje ludzi zdają się stworzone po to, żeby dezorientować wędrowca dziwnymi geometrycznymi formami, pudrem i odkrytymi piersiami, wydłużonymi nakryciami głowy, fantastycznymi fryzurami i obuwiami niewiarygodnych kształtów. Wywołują niezwykle emocje i wstrząsy w każdej uliczce, gdzie bezustannie słyszy się niespodziewane wybuchy gniewu, które wydają się tak drogie niepotwarzalnym mieszkańcom tego miasta z innego świata.

Na tej ziemi, która nie jest stałym lądem, kobiety mają moc zmieniania biegu wydarzeń, wprowadzają nagle zawirowania w tok znużonych myśli mężczyzn, potwierdzają w moim umyśle głębokie wrażenie, smakowane wielokrotnie również gdzie indziej, że mają one jakieś wyższe zalety, owoc zasobów, do których nie mamy dostępu.

Na tej ziemi, która nie jest stałym lądem, obarczony tłumiącą zmysły ciekawością i napięciem spieszę z wizytą do osoby, której sława przewyższająca sławę jakiegokolwiek innej kobiety może usprawiedliwiać tok moich rozważań: do donny Beatrice Mendez de Luna.

Oczekuje mnie w jednym z wykwintnych salonów domu Miquezów: kanapy pokryte są subtelnie haftowanymi, szlachetnymi jedwabiami, na ścianach gobeliny z arabeskowymi wzorami obok scen z flamandzkiego życia Bruegla Starszego, jest też drzeworyt mistrza Dürera i urokliwy portret Tiziana, wielkiej miejscowej sławy, są intarsjowane szkatuły niezmordowanych mistrzów weneckiego stolarstwa, ludzi, którzy wstają najwcześniej ze wszystkich i ostatni udają się na spoczynek, na dźwięk dzwonu Marangona od Świętego Marka.

Przypatruje mi się badawczo połyskliwą czernią swoich oczu. Rozkwitła dojrzałość hiszpańskiej kobiety, oprawiona w ramy kruczo-

czarnych włosów z cienkimi pasemkami siwizny, wyrafinowany wdzięk, niezdradzający załężnienia. Bardzo białe zęby lśnią w aluzyjnym i niemym powitalnym uśmiechu. Wystudiowanym ruchem podnosi się z kanapy, żeby wyjść mi naprzeciw, wyciągając zgrabnie szyję przyozdobioną wschodnimi perłami.

Pochylam się w ukłonie.

— Lodewijck de Schaliedecker, Niemiec, który wywarł tak wielkie wrażenie na João, moim ukochanym bratanku, nareszcie! Niemiec, ale o flamandzkim nazwisku, i to jakim! Nosił je główny wróg religijnych i świeckich władz Antwerpii w tamtych niespokojnych dniach, gdy opuszczałam tę ziemię pracowitych i skrętnych ludzi. Jakie dziwne skojarzenia budzą imiona, nie uważa pan? Mężczyźni zdają się do nich tak okrutnie przywiązani, ale wystarczy przejść przez więcej niż jeden chrzest i parę różnych krajów, żeby odkryć, jak praktycznie, wręcz przyjemnie byłoby mieć ich wiele. Zgadza się pan?

Muskam wargami dłoń okrytą pierścieniami. Czuję, że jestem spocony.

— Bez wątpienia, donna Beatrice. Nauczyłem się rozpoznawać mężczyźni po odwadze, do jakiej są zdolni, ale już nie po imionach, jakie noszą. Odczuwam ogromną przyjemność, że mogę panią poznać.

— Odwaga. Dobrze powiedziane, *messer Ludovico*, a może po prostu Ludovico? Dobrze powiedziane. Proszę usiąść tu koło mnie. Ja też bardzo chciałam pana poznać, no i stało się.

Naprzeciwko nas, na niskim zdobionym stoliku stoi srebrna taca z szerokimi uchwytami w kształcie splecionych węży, a na niej dzbanek dymiący naparem aromatycznych ziół.

— Sława, jaką się pan cieszy, jest co najmniej enigmatyczna, wie pan o tym? — pyta, nalewając napar do dużych porcelanowych filiżanek. — Nie chciałabym się nad tym rozwodzić, ale dotyczące pana wiadomości, jakie mam od bratanka, mówiąc ogłędnie, zaskoczyły mnie. Krąg pana znajomości, dawnych i obecnych, aureola tajemniczości, jaką się pan otacza, i ścieżki, jakimi pan chadza, tworzą niewątpliwie interesującą mieszankę. Proszę mi wierzyć, jest wiele powodów, które kazały mi nalegać na to spotkanie, a pierwszy, mam nadzieję, że się pan nie obruszy, sprowadza się do tego, że chciałam doradzić panu jak największą ostrożność... w każdym ruchu, słowie, a nawet aluzji. Proszę nie brać tego za przejaw przesadnej troskliwości.

Przyglądam się, jak zmienia pozycję na miękkim wysłaniu kanapy, na której siedzimy oboje, jak pociąga gorący i aromatyczny napój. Wstrzymuję oddech.

— Zastosuję się bez wątpienia. Wezmę to pod uwagę, ale niech mi pani powie, czemu mam przypisać tak otwarte wezwanie do powściągliwości? I tak nagłące, jakby wszędzie tutaj czaiły się jakieś ukryte zagrożenia.

Odstawia filiżankę na tacę.

— Bo tak właśnie jest. Pozwoli pan, że mu udzielię paru szczegółowych wyjaśnień o tym, jak tutaj funkcjonują różne rzeczy. Ogromna potęga tego miasta, które jest mostem między Wschodem i Zachodem, nie opiera się na wodzie, na której szaleni i genialni uciekinierzy je postawili, ani na tym, że jest to tygiel artystów i uczonych, których tu pełno. Już od wieków władcy tej laguny tkają skomplikowaną pajęczynę donosicieli i szpiegów, straży i urzędników, którym nie umyka nic albo niewiele. Ludzie ci utrzymują w subtelnej równowadze stosunki z królami i dyplomatami ze wszystkich stron świata, z teologami, księżmi i najwyższymi władzami wszystkich wyznań, z właścicielami bogactw, upraw albo produktów, jakie tylko zna ziemia. A jednocześnie wewnątrz miasta rozciąga się gęsta sieć kontroli nad każdym, kto tędy przejeżdża albo zamieszkuje tu przez jakiś czas. Jedne służby zajmują się bluźnierstwami, inne prostytutkami, jeszcze inne sutenerami i burzycielami porządku, są ci, którzy kontrolują przewoźników, i inni, nadzorujący płatnerzy. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, kto tutaj rządzi, ale wszyscy muszą się bać tysiąca oczu penetrujących uliczki zawieszona nad wodą. Ta równowaga sił gwarantuje potęgę republiki, jedyną rzecz, która naprawdę się liczy, a wszystko inne jest tu grą luster odbijających zniekształcone obrazy, gdzie nic nie jest tym, czym się wydaje, a to, co rzeczywiście istnieje, często kryje się pod ciężkimi zasłonami. Niech pan weźmie na przykład dozę, jak sunie w orszaku łodzi, czczony przez ludność od swojej nominacji aż do śmierci. Mimo to on się nie liczy, nie może nawet otwierać wysyłanych do niego listów bez uprzedniej zgody doradców. By nie wspomnieć, że ku tym przebiegłym ludziom kieruje się nienawiść plebsu, a głucha niechęć, jaką od zawsze kryją oni względem samych siebie, dzieli ich na frakcje i znajduje upust w tysiącu pretekstów i podstępnych gier, kończących się okrutnym i zarazem nieumotywowanym przelewem krwi, którego ofiarą nie padają jednak nigdy ci, co dzierżą władzę. Te tłumy prostitutek i jaskrawe kolory, chmary artystów i przyjemności stołu, mój Ludovico, służą ukrywaniu szpiegów i zbirów, sędziów i inkwizytorów, którzy piędź po piędzi bezustannie wszystkiemu się przyglądają.

Mój wzrok pada na jej dekolt, wciąż jeszcze trudno mi jest przyzwyczać się do szczodrego kroju weneckich strojów. Czuję przypływy gorąca. Z niepokojem zaglądam w głęb filiżanki: papka czarnych liści. Ogarnia mnie dziwna bezwolność, zagłębiam się w kanapie. Wybucham śmiechem, bez żadnego widocznego powodu.

— Bawi to pana?

— Proszę mi wybaczyć, ale miła atmosfera naszej rozmowy pozostaje w rozdźwięku z pani ponurą opowieścią. Widziałem wojny i rzezie, lecz jestem mało obeznany z subtelnymi arkanami sprawowania władzy.

— Proszę ich nie lekceważyć. Chciałam zwrócić uwagę pana na to, że wszędzie tam, gdzie władza nie znajduje się w rękach jednego tylko księcia, ale jest rozdzielona między różne urzędy i korporacje, można uciekać się do najbardziej śmiałych manewrów. Pod warunkiem że będzie się umiało rozpoznać i wynagrodzić odpowiednie osoby, jeśli zajdzie tego potrzeba. To jest właśnie wolność, jaką można znaleźć w Wenecji, i w niej tkwi sedno tutejszego życia, a nie w jego organizacji, którą wielu chwali, ale nikt nie rozumie. — Przysuwa się bliżej, zapach olejków oszołamia mnie. — Widzi pan, my pożyczamy pieniądze. I od zawsze schlebiają nam ci sami ludzie, którzy wcześniej czy później znajdują do nas drogę. My nauczyliśmy się robić to samo. Przywiązujemy do siebie ważne osobistości, podtrzymujemy ważne rodzaje działalności, decydujemy, czy i kiedy otworzyć sakiewkę. Naszymi dłużnikami są kupcy z Rialto, a także armatorzy z Arsenалу. Patrycjuszowskie rodziny członków rady i te, które dostarczają biskupów i urzędników republice, zawsze skłonnych do rozrzutności, nam zawdzięczają pokażną część przepychu, jakim się otaczają. Dla tych ludzi nasze pieniądze są tak samo ważne jak powietrze, którym oddychają; muszą dobrze się zastanowić, zanim się nam sprzeciwią. A jeśli o nas chodzi, my też musimy pamiętać, że te związki nie będą trwały zbyt długo.

Przypomina mi się zdanie rzucone przez jej bratanka.

— Trzeba mieć lekki bagaż.

Uśmiecha się.

— Demoralizacja jest cienką nicią, którą trzyma w napięciu ciążenie przeciwstawnych interesów. To ta ostrożność, o której panu wspomniałam. — Przez jej twarz przebiega cień zaniepokojenia. — Trzeba wiedzieć, kogo się strzec, jakie są siły, które mogą złamać równowagę. Pojawia się nowa rasa inkwizytorów, ludzie przebiegłi i fanatyczni, popychani przez kardynała Carafę, niebezpiecznego jak żaden inny. Od dziesięcioleci zawsze na właściwym miejscu, promował Kongregację Świętego Oficjum, którą papież ustanowił dla niego, i od roku czterdziestego drugiego ma w ręku wszystkie nici, hodując sforę okrutnych psów gończych, wiernych i nieprzekupnych. To ich trzeba się strzec, bo wyczuwają zwierzyne, biorą ją na cel i tropią, dopóki nie padnie.

Donna Beatrice przekazuje mi cały swój niepokój, cały zadawiony strach, który zdaje się towarzyszyć jej od zarania dziejów. Wzdrygam się.

— Znam tę rasę. Ujarzmiają ludzi za pomocą strachu. Strachu przed Bogiem, przed karą i przed takimi jak oni sami. Nie możemy zgromadzić oddziałów, żeby wytoczyć im bitwę, ale możemy popchnąć innych, żeby to zrobili. Mam na myśli *Uduchowionych*, stronnictwo kardynałów wrogich inkwizycji, ale niestety są to ludzie

mało nawykli do walki; podczas gdy inni zwierają szeregi, jedynym znacznieszym ruchem, na jaki się zdobyli, jest ta książka.

Wyciągam z rękawa cienki tomik.

Kiwa potakująco głową.

— *Błogosławieństwo Chrystusa*. Przeczytałam ją z wielkim zainteresowaniem i zgadzam się z panem. Ona być może nie wystarczy, żeby utrzymać na dystans tę sforę psów, ale jest w niej siła, z jakiej nawet *Uduchowieni* nie zdają sobie sprawy. Istnieje spora grupa księży, uczonych, literatów, a także możliwych ludzi Kościoła, którzy mogą przyjąć jej posłanie. Paweł Trzeci jest bojaźliwy, ale gdyby następnym papieżem został któryś z *Uduchowionych*, może nawet ten szanowany przez wszystkich Anglik, to wtedy atmosfera by się zmieniła. — Jeszcze jeden uśmiech. — Zaczyna pan działać razem z nami, don Ludovico.

Ścisła w swoich dłoniach moją rękę.

— Co za wspaniała para!

Do pokoju wchodzi João Miquez, za nim pojawia się Duarte Gomez. Błyszczące uzębienia i stukanie butami.

— A więc, Beatriz, przyjęłaś jak należy naszego gościa? Zauważ, że on, w przeciwnieństwie do twojego zdemoralizowanego bratanka, woli kobiety.

Donna Beatrice ma gotową odpowiedź.

— Ale zgodnie z tym, co mi mówiłeś, otacza się dziewczętami w kwiecie wieku.

Zdezorientowany rozglądam się po ich twarzach. Ogarnia mnie zakłopotanie.

— Przestańcie, proszę.

Miquez pochyła się w przesadnym ukłonie, a Gomez wybucha śmiechem. Czuję się tak, jakbym się znalazł w krzyżowym ogniu.

— Przyjaciele, od niewielu osób doznałem takiej gościnności i serdeczności jak od was. Subtelne przecucia, do jakich jesteście zdolni, nie przestają mnie zaskakiwać i otwierają mi fascynujące horyzonty. Piętno ciężące na waszym ludzie ukazuje mi się teraz w całej swojej bezpodstawności. Trzeba było przejść świat wzdłuż i wszerz, żeby móc odmalować go sobie z taką jasnością. Jestem wam wdzięczny za zaufanie, jakim mnie obdarzacie. Oczekuję, João, że wróci pan, żeby zaszczyścić mój stół. Co zaś do pani, donna Beatrice, to każda z dziewcząt, które bywają w Caratello, musiałaby urodzić się trzy razy, żeby dorównać pani pod względem osobistego uroku.

João i Duarte biją z rozbawieniem brawo.

— Myślę, że wystarczy, jeśli na pożegnanie powiem tylko: możecie uważać nasze pierwsze przedsięwzięcie za uzgodnione.

Rozdział 17

Wenecja, 7 października 1546 roku

Czterdzieści pięć dukatów. Plus trzydzieści, osiemdziesiąt jeden, szesnaście. Odjąć płace dziewcząt, jedzenie i wino.

— Demetra! Skończył się atrament!

Jej żartobliwy i lekceważący głos dochodzi z kuchni.

— Policz w pamięci, Ludovico, w pamięci!

Czterdzieści pięć plus trzydzieści to siedemdziesiąt pięć. Plus osiemdziesiąt jeden: siedemdziesiąt pięć plus osiemdziesiąt jeden...

— ...cholerne sukinsyny, moja droga, jeżeli wezmą cię na cel, to już nie popuszczą. A chcieliby wśliznąć się wszędzie, usłyszeć wszystko...

Wrzeszczy jak potępieniec, a tymczasem jego ręka myszkuje pod spódnicą. Siedemdziesiąt pięć plus osiemdziesiąt jeden, to daje sto pięćdziesiąt sześć... tak, plus szesnaście.

— ...och, ale tu w Wenecji zbiry Carafy nie mają życia, nie możemy przecież pozwolić, żeby chodzili nam po głowie... żeby przychodzili i wtykali nos w nasze sprawy. Sami rozprawiamy się z heretykami i bluźniercami...

Plus szesnaście, przestań wreszcie, draniu, plus szesnaście: sto siedemdziesiąt dwa.

— ...poza tym, ślicznotko, wiesz, kto to jest kardynał Carafa? Nie? To ja ci mówię, pomarszczony i bezzębny staruszek, jakbyś go zobaczyła w nocy, zrobiłabyś ze strachu w majtki... Ja go znałem, tak, ale staruszek nie pokazuje się często, to mu się nie podoba... woli mrok jak jakiś diabeł albo czarownik.

Kątem oka dostrzegam, jak jego ręce błądzą w spódnicach i dekoltach. No więc, odjąć płace dziewcząt, to będzie...

— Wielki szpieg, chciałby wiedzieć wszystko o wszystkich, a ja, moja droga, byłbym pierwszy na liście tylko dlatego, że lubię wino i dziwki.

Dwanaście, plus piętnaście, plus...

— Nie wiadomo nawet, ile ma lat, on jest od zawsze, szpiegował już wtedy, gdy ja i twoja mamusia piliśmy jeszcze mleko. Szpiegował cesarza, króla Anglii, szpiegował Lutra, szpiegował książąt i kardynałów. Potem papież go uszczęśliwił, postawił na czele inkwizycji, więc teraz może się naprawdę zabawić. I dał się poznać, jakżeby nie... Odwołał wszystkich swoich szpiegów rozrzuconych po całej Europie, żeby umieścić ich w środku Kościoła... — Płace dziewcząt. — On urodził się, żeby szpiegować, powiadam ci, jest niebezpieczny, gdyby nie to, że w Wenecji rządzą sami, chciałby też podporządkować sobie wszystkich nas... — *szpiegował Lutra, dwadzieścia siedem skudów, szpiegował Lutra, odwołał wszystkich swoich szpiegów rozrzuconych naokoło, dwadzieścia siedem plus czterdzieści dwa, inkwizycja, on jest od zawsze, szpiegował już wtedy, gdy ja i ty piliśmy jeszcze mleko, szpiegował Lutra, dwadzieścia siedem plus czterdzieści dwa daje sześćdziesiąt dziewięć, trzeba policzyć jeszcze całą resztę, odwołał wszystkich swoich szpiegów, żeby ich umieścić wewnątrz Kościoła, inkwizycja, woli mroki, sześćdziesiąt dziewięć, wiesz, kim jest kardynał Carafa?* Trzeba dodać piętnaście za wino, nie wiadomo nawet, ile ma lat, on jest od zawsze, szpiegował cesarza, szpiegował Lutra.

Szpiegował Lutra.

Podnoszę oczy, liczby rozsypują mi się przed oczami: same dziewczęta, żadnego młynka rąk. Puste krzesło. Ciśnienie w głowie, z tyłu za oczami, u podstawy szyi, głowa cięży jak kamień.

— Gdzie on się podział?

Wzruszenie ramionami, pokazują zarobione monety.

Wybiegam na dwór. Jest noc, ślizgam się po mokrym bruku, głośny bełkot mówi mi, że idzie w stronę Rialto. Biegnę, szybciej, bo go zgubię, więc trzeba biegiem. Jeden róg, drugi, mostek, biegnę za jego głosem, na złamanie karku wśród nocy, w głębi wąskiej uliczki ciemny cień zatacza się od wypitego wina.

Moje ciężkie kroki sprawiają, że się odwraca i wyciąga z pochwy sztylet długi co najmniej na dwie piędzi.

— Nie obawiajcie się, panie! Jestem właścicielem gospody Caratello.

— Zapłaciłem, *messere*...

— Wiem o tym. Ale nie spróbowaliście wina, które trzymamy wyłącznie dla najbardziej szanownych gości.

— Nabierasz mnie pan czy co? — Mruga zaczerwienionymi oczami, musi mu nieźle szumieć w głowie.

— Bynajmniej, ja stawiam, nie mogę pozwolić, żebyście sobie poszli i nie skosztowali tej butelki.

— No cóż, jeśli tak, to prowadźcie mnie, panie, chętnie z wami pójdę.

Biorę go pod ramię.

— Ale dacie radę iść i nie skończycie w kanale?

— Bądźcie spokojni, Bartolomeo Busi bywał w gorszych opalach...

* * *

— Bartolomeo Busi, byłem kiedyś zakonnikiem, teatynem. Zanim czarne kruki Carafy wyrzuciły mnie za drzwi. Zaledwie dwa lata temu, tak, mój panie, byłem sługą bożym, i na swój sposób jestem nim w dalszym ciągu, do pioruna. Chodzę na dziwki, jasne, może trochę przesadzam z winem, ale jakby dobrze wyjaśnić te rzeczy, to one nie są dla Pana Boga wielkim problemem, bynajmniej. Teraz przyszło mi odgniatać sobie dupę w Arsenale, całymi dniami szyję żagle, popatrz pan na moje ręce! Bękarty! W klasztorze było inaczej, żyło się nie najgorzej: pilnowałem ogrodu, gotowałem w kuchni, bywało tam mnóstwo ludzi, ważni goście, kardynałowie, książęta. Myślicie może, że klasztor to jest miejsce odcięte od świata? Mylicie się, tam jest ciągły ruch, bywają też kobiety. Byłem tam na początku, obrzydliwe wieprze, nie chciałem wcale robić kariery, zawsze brakowało mi wykształcenia, cholerne szpiegi! Tak, zgoda, czasami chowałem w zanadru parę kartofli albo kawałek wołowiny, żeby to sprzedać na zewnątrz, ale nic więcej. A oni wyciągnęli historię, że ja mam być sodomita. Ja sodomita! Wszyscy wiedzieli, że zawsze podobały mi się kobiety, żadne chłopczyki ani te świństwa przeorów. Szukali tylko pretekstów. Prawda jest taka, mój drogi, że już od jakiegoś czasu sprawy przybierały zły obrót. Widać było, że wszystko przejmują w swoje ręce szpiedzy, donosiciele i zbiry. Masz ochotę ślubować ubóstwo, odnowić Kościół, uwolnić się od złodziei z Rzymu. Wszystko za plecami tego świętego człowieka, Gaetana da Thiene. Och tak, świątobliwy wielki głupiec. A kim był naprawdę? Wicie, kim on był i kto posługiwał się nim jak marionetką? To ja wam powiem, ojciec wszystkich tych szpiegów, Giovanni Pietro Carafa. Ten staruszek, tak, mój panie, tfu! Za sto lat, kiedy naszymi resztkami będą się brzydzić nawet robale, on jeszcze tam będzie, żeby szpiegować. Zostanie papieżem, ja wam to mówię. Ale pomyśl tylko, chłopie, czterdzieści lat temu był już biskupem, tak, mój drogi. Papieski legat na dworze angielskim i hiszpańskim, trzeba było słyszeć, jak opowiadał, że trzymał na kolanach cesarza, gdy ten miał siedem lat, samego cesarza! Przed rokiem dwudziestym został arcybiskupem Brindisi, a potem się zaczęło, wyczuł gówno nosem:

Lutra, cały ten burdel, i to gdzie, w samym Rzymie. No i co robi? Rzuca wszystko, by tak rzec, odmawia stanowisk i rozpuszcza po całej Europie szpiegów, żeby pracowali dla niego. A tymczasem udaje świętego razem z tym biednym głupcem Gaetanem i zakłada nasz zakon. No i jak minął rok dwudziesty siódmy, po tym, jak te Niemczury nafajdały u Świętego Piotra, wszyscy zaczynają ślinić mu tyłek i prosić go, i błagać, żeby wrócił i zrobił porządek. I co robi? Nie rzeknę, żeby się zgodził, ale powiada: trzeba wszystko zmienić i zająć się tym poważnie, bo jak nie, to Luter wyśle nas wszystkich na zieloną trawkę. No i dał się wszystkim we znaki. W trzydziestym siódmym zrobili go kardynałem, i zaraz wydaje dyrektywy, żeby uwolnić Kościół od ludzi zepsutych, od sodomitów i od heretyków, których wszędzie pełno. Od tej pory nie uwolnisz się już od szpiegów. Są wszędzie. A on niez mordowany, ciągle knuje, jakby nigdy nie miał umrzeć. Ale ja się pytam, kto każe mu to robić? W czterdziestym drugim papież, jeszcze jedna porządna osoba, daje mu w prezencie Kongregację Świętego Oficjum, ubranko skrojone w sam raz na jego miarę. Bękart! A on mówi: przyszedł czas na zrobienie porządku. I co robi? Odwołuje wszystkich szpiegów, co do jednego, nawet tych, co liczyli Lutrowi, ile razy na dzień się odlewa. Widziałem ich, Hiszpanie, Niemcy, Holendrzy, Szwajcarzy, Anglicy, Francuzi, wszyscy przewinęli się przez klasztor, żeby odebrać nowe rozkazy. A on powiada: panowie, czasy się zmieniły, jest pora siania i pora zbierania owoców, a to jest czas na żniwo. I znowu do roboty, żeby szpiegować, a mnie za drzwi, bo to gówno nigdy mi się nie podobało, mogę zrozumieć, że trzeba posprzątać własną chałupę, ale całe to zagląkanie ludziom w majtki, czekanie, że ci się wymknie jakieś niewłaściwe słowo, żeby cię zamknąć i osądzić. Pan Bóg to nie trybunał, on jest miłością, toć tak mówi Jezus, nie ja, Jezus Chrystus we własnej osobie. Ale dla nich to jest nic, musisz robić pod siebie ze strachu, i koniec. No i wyjeżdżają z oskarżeniem, że brat Bartolomeo to sodomita, i przedstawiają kupę świadków. Wstrętne świnię! Ale można powiedzieć, że mi się udało, wiecie? Bo jakbym nie był taką płotką, jak jestem, ucieliby mi głowę. No i teraz muszę pracować całymi dniami w Arsenale na kawałek chleba. A jużem stary, prawie pięćdziesiąt lat. To dlatego lubię dziwki i popijam wino. Ale wy jesteście wielkim panem, ten wasz burdel jest jak ogród rozkoszy. Co za baby! Tyle że nie mogę sobie na nie pozwolić przy tej głodowej płacy, jaką mi dają. Tylko pomacać, nic więcej. Wybaczcie mi, panie, jak myślę o tych wieprzach, krew uderza mi do głowy.

Ziołowa herbatka Demetry rozbudziła go trochę, toteż zaczyna rzucać znaczące spojrzenia na butelkę, którą postawiłem na stole. Wyciągam korek.

— Niemcy. Widzieliście może Niemców, tam, w klasztorze?

— Och, Niemcy? To jego ulubieńcy, ludzie godni zaufania, tęgie głowy. Potem są też Hiszpanie, tak, wystarczy im powiedzieć, kogo mają zamordować, a oni na pewno go załatwią. Bękarty!

— Mnie interesują Niemcy. — Napelniam mu kieliszek.

— Tak, z pewnością, widziałem tam Niemców. W kółko gadali o tym Lutrze... — Wypija wino jednym haustem. — On sam tak mówił, znaczy się Carafa, że Niemcy zauważą wszystko, są dokładni, nie to co my, oberwańcy, co to gotowiliśmy się zatracić w gadulstwie. A oni, godni największego zaufania.

— Pamiętasz jakieś nazwiska?

Mój rozmówca trąca brzuchem o blat stołu.

— Ej, żądacie zbyt wiele. Nazwiska... W klasztorze jesteś zawsze tylko Bartolomeo, Giovanni, Martino... Nazwiska nic tam nie znaczą.

— Ilu ich widziałeś?

Odbija mu się po czerwonym winie.

— Co najmniej sześciu, siedmiu, może dziesięciu, ale wliczając w to także Szwajcarów, którzy mówią tym samym językiem. Niemcy... niebezpieczni ludzie.

Głowa zaczyna mu się kiwać. Kładę przed nim na stole pieniądze.

— Powiedz naszym dziewczynom, żeby dobrze się z tobą obeszły. Budzi się na nowo.

— Mój panie, niech was Bóg wynagrodzi, powiedziałem przecie, że mam przed sobą wielkiego pana, jeżeli chcecie, opowiem wam jeszcze o innych rzeczach, jak tylko będziecie chcieli posłuchać Bartolomea, wystarczy na niego gwizdnąć...

Rozdział 18

Wenecja, 8 października 1546 roku

Most Rialto pełen jest straganów, a sprzedawcy i przechodnie tłoczą się tak tłumnie, że zda się, lada chwila powpadają do kanału. Rozpycham się łokciami, nie przejmując się tym, że ze wszystkich stron sypią się na mnie złorzeczenia. Zagłębiam się w wąskie uliczki dzielnicy Mercerie, gdzie niosą się echa pokrzykiwań sukienników i złotników, ale przynajmniej jest czym oddychać.

Stary Niemiec włóczęący się bez celu jak wielu innych. Naszła mnie myśl, żeby dotrzeć do klasztoru teatynów, ale nie mam już na to ochoty, na nic by się to nie zdało.

Klasztor. Nikt nie wie, co dzieje się we wnętrzu klasztoru, nikt nie wie, kim jesteś; masz tylko pierwsze lepsze imię, tak powiedział Bartolomeo. Ośrodek dobierania szpiegów w najmniej spodziewanym miejscu.

Niemcy, co najmniej pół tuzina Niemców. Ludzie, którzy liczyli, ile razy Luter chodzi się odlać, umieszczeni od początku we właściwych miejscach, od chwili gdy nieznaną augustiański mnich przybił swoje tezy w Wittenberdze.

Mijam rio San Salvador, idąc w kierunku San Luca. Zgiełk przekupniów cichnie trochę.

Wittenberga. Minęło życie. Moje. Luter nie żyje. Protestanci utworzyli własny reformowany Kościół, zabawa się skończyła. Szpiegów odwołuje się do Włoch, żeby powierzyć im nowe zadania. Stawką jest potęga Rzymu, może nawet papieski tron. Nowe polecenia, nietrudno wyobrazić sobie jakie: przeniknąć do opozycyjnego stronnictwa wewnątrz Kościoła rzymskiego, *Uduchowionych*, którzy chcieliby dojść do porozumienia z protestantami, śledzić każdy ich ruch i donosić o tym szefowi. Może nawet umizgiwać się do nich, chwalić ich pełne światła umysły, czekać na jakieś fałszywe posunięcie, żeby zadać śmiertelny cios. Dokładnie tak jak w Niemczech.

Tak, jak zrobili z Münzerem.

Tak, jak zrobili z anabaptystami.

„Jest... czas sadzenia, i czas wycinania tego, co sadzono...”.

Kohelet 3, 2.

Przysiadam na kamieniu nad rio dei Fuseri.

Papier kruszy się w palcach, ale można odczytać jeszcze słowa wszędzie tam, gdzie plamy i mijający czas nie zatarły śladów atramentu. Przechowane starannie listy, które opowiadają historię sprzed dwudziestu lat, gdy Niemcy płonęły od słów Magistra Thomasa. Teraz wiem już, dlaczego nosiłem je przy sobie przez wszystkie te lata. Żeby o tobie pamiętać.

Qoèlet.

Rzucam w powietrze monetę i łapię ją w locie. Znajdujący się na niej napis jest ciągle dobrze widoczny: JEDEN BÓG, JEDNA WIARA, JEDEN CHRZEST. Pamiątka jeszcze jednej kłęski. Rzadki egzemplarz, niemal unikatowy, wybity przez mennicę w Münsterze.

Gondolier rzuca ostrzegawczy okrzyk przed skrętem w wąski kanał i ginie z pola widzenia, mewy spokojnie pływają po powierzchni wody, przepatrując jej głębie.

Szpiegowaleś Lutra. Szpiegowaleś Münzera. Szpiegowaleś anabaptystów, a raczej byłeś jednym z nich. Jednym z nas. Być może nawet cię znałem.

Qoèlet.

Chłopi na równinie.

Mieszkańcy Münsteru zamknięci wewnątrz murów.

Kobiety i dzieci.

Stosy trupów.

Jesteś tutaj. Carafa nie może pozbyć się tak ważnej figury jak ty. Dobrze mu służyłeś, ale teraz jest inkwizycja, nie ma miejsca na samotnych wysłanników; teraz trzeba zbierać plotki, informacje, śledzić *Uduchowionych*, żeby wybrać najlepszy moment.

Jesteś tu. W miejscu, w którym rozgrywa się decydującą partię, jak zawsze, jak przez ostatnie dwadzieścia lat w tych stronach. Dwadzieścia moich lat.

Stosy trupów.

Magister Thomas, Heinrich Pfeiffer, Otylia, Elias, Johannes Denck. Jacob i Mathias Zieglerowie, jeszcze prawie dzieci.

Melchior Hofmann, zmarły kilka lat temu w więzieniu w Strasburgu. Wierny Gresbeck i bracia Brundt, uwięzieni i straceni za murami Münsteru. A także Mayer i Bartholomeus Boekbinderowie, którzy użyczyli mi nazwiska, padli, wytrwale broniąc miasta.

I jeszcze Eloi Pruystinck i wszyscy bracia z Antwerpii.

Procesja widm idąca brzegiem tego kanału.

Zostaliśmy tylko my dwaj.

Ostatni świadkowie odchodzącej epoki. Dwa stare, zmęczone cienie.

Opuściła mnie już tamta nienawiść, ale niewielka to strata; dzięki temu mogę być bardziej przezorny, a również bardziej przebiegły. Bardziej, niż ty byłeś kiedykolwiek.

Dziś mogę cię już wytropić.

Nabrzeże za placem Świętego Marka ciągnie się w kierunku Arsenału, gdzie niezrównane statki weneckich żeglarzy czekają na pierwsze wodowanie.

Naprzeciwno, po drugiej stronie szerokiego pasa wody, wyspa San Giorgio Maggiore, na której znajduje się klasztor benedyktynów. Basen Arsenału otwiera się po lewej stronie: cieśle pracują właśnie przy szkieletach dwóch potężnych galer.

Siadam, żeby przyjrzeć się mistrzostwu tych sławnych w świecie ludzi, ale niełatwo jest przegnać natrętne myśli.

Obraz składa się z tych samych elementów. Po jednej stronie angielski kardynał, kochany przez tych wszystkich, którzy skłaniają się ku pojednaniu z protestantami, koń, na którego postawił cesarz pokładający nadzieję w religijnym zjednoczeniu chrześcijaństwa, ponieważ imperium wymyka mu się z rąk; najbardziej znenawidzona postać przez kardynałów, którzy podsycają duchową wojnę prowadzoną przez inkwizycję.

Po drugiej stronie czarny książę Świętego Oficjum, kardynał Carafa, który kroczek po kroczeniu konstruuje swoje machinacje i gotuje się do wydania bitwy. Wezwał do Włoch wszystkich swoich szpiegów, żeby rzucić ich teraz przeciwko *Uduchowionym*. Zastępy obserwatorów, oddziały oczu i oczywiście donosicieli.

Wśród ich jest ten najważniejszy, godny największego zaufania. Najdzielniejszy, jeśli to prawda, że był w Wittenberdze i w Münsterze.

W Münsterze.

Anabaptyści, moi starzy znajomi.

Podejrzenie. Ale tylko przeczucie.

Nikt nie zetknął się tutaj nigdy z anabaptyzmem. Ale on tak, był w Münsterze i umiał wybrać odpowiedni moment na zdradę,

Elementy, jakie mam do dyspozycji: książka *Błogosławieństwa Chrystusa*, podręcznik kalwinizmu, przystosowany dla katolików; ale można by wyciągnąć też inne rzeczy. Tak jak anabaptyści zrobili z pismami Lutera. Podsycić konflikt. Zamieścić w niej jeszcze bardziej radykalne treści: od kalwinizmu do anabaptyzmu.

Podnoszę się i nie przestając rozmyślać, ruszam żwawym krokiem w kierunku placu.

Inkwizytorzy to myśliwskie psy, wyczuwają zwierzynę nosem, łapią jej trop i nie popuszczają do końca. Tak powiedziała donna Beatrice.

Potrzebny jest zając.

Jakiś cel, który wyprowadzi ich z ukrycia. Żeby jednak pościg zakończył się sukcesem, będą musieli rzucić do niego tego najlepszego, który ma największe doświadczenie. Quoëleta.

Gdyby zwierzyną był jakiś anabaptysta, może nawet Niemiec, wysłaliby jego. Tego samego, który już raz wyprowadził ich w pole w Münsterze, tego, który dobrze ich zna.

Przebiegam jak szalenciec przez plac Świętego Marka i zagłębiam się w Mercerie.

Anabaptysta we Włoszech, ktoś, kto zna się na rzeczy.

Zatrzymuję się przed Składem Niemieckim, dysząc ciężko i z sercem podchodzącym do gardła.

Biorę głębokie oddechy.

Rozgrywka między dwoma rywalami. Dwoma, którzy brali udział w tych samych bitwach.

Ale do uregulowania tylko jeden stary rachunek.

Jestem w stanie cię wytropić.

* * *

Co by się stało, gdyby *Błogosławieństwo Chrystusa* zamieniło się w książkę dużo bardziej niebezpieczną, niż jest obecnie? Co by się stało, gdyby ktoś ruszył na wędrowkę, chrzcząc na nowo ludzi z *Błogosławieństwem* w rękę?

Carafa i jego psy gończe rzuciliby się w trop za nim. Ale przede wszystkim kardynał Reginald Pole i wszyscy *Uduchowieni* musieliby wyjść w pole i stanąć do bitwy, żeby się bronić przed atakiem *Gorliwych*. Lepiej, żeby się to stało wcześniej, nim papieżem zostanie jakiś nieprzejednany „gorliwiec” — przyjaciel Carafy, lub, co gorsza, sam Carafa. Lepiej natychmiast przejść do wyrównania tych rachunków, zanim donosiciele i szpiedzy czarnego księcia zdołają wciągnąć w tarapaty uczciwego Pole’a i jego naiwnych zwolenników.

Przyspieszyć wybuch konfliktu. Zmusić Pole’a, żeby oddawał ciosy, zamiast przyjmować je tylko w milczeniu. Popchnąć tego wartościowego angielskiego myśliciela do chwycenia za broń. On musi zostać następnym papieżem. Musi utracić tego starego teatyna.

Lustro odbija naraz wszystkie te lata, lecz pozostał jeszcze błysk w oczach. Coś, co musiało migotać na barykadach Münsteru albo

pośród chłopskich oddziałów Turynii. Coś, co nie zostało zgubione po drodze, gdyż droga nie była w stanie tego czegoś uśmiercić. Szaleństwo? Nie, jedynie to, co powiedział Perna: chęć ujrzenia, jak wszystko się skończy.

Człowiek w lustrze ma dłuższe włosy. Powinna podrosnąć mu także broda. Nie tak eleganckie ubrania, żadnych weneckich tkanin, ale stare, niemieckie łachmany.

Twarz prawie przykleja się do lustra, ostry wzrok, który drąży w środku i co jakiś czas podnosi się do góry, żeby poradzić się Ojca.

— Wczoraj zapytałem pięcioletnie dziecko, kto to jest Jezus. A ono odpowiedziało: to taki posążek.

Stary szaleniec śmieje się w rozbawieniu.

Znalazłem już właściwego anabaptystę.

Tajne oko Carafy
(1547)

List wysłany do Trydentu z papieskiego miasta Viterbo, z datą 1 stycznia 1547 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do mojego najczcigodniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy w Trydencie.

Panie mój najdostojniejszy, dziwna sprawa, o której spieszę donieść, zasługuje na adekwatne rozpatrzenie.

Wiem z całą pewnością, że *Błogosławieństwo Chrystusa* zaczęło się pojawiać w różnych miejscach. W ostatnich miesiącach sprzedawano je w Rawennie, Anconie, Pescarze, a także bardziej na południe, wzdłuż adriatyckiego wybrzeża. Oznacza to, że partie tej książki dostarczane są drogą morską, łodziami zdolnymi do przewożenia większej liczby egzemplarzy. Albowiem, Wasza Wielmożność, nie może tu chodzić o kilkaset egzemplarzy, ale o tysiące, do tego stopnia, że nie sposób myśleć, aby mogła je wydrukować jedna tylko oficyna. Jeśli wziąć pod uwagę rejony, w których książka jest rozprowadzana, można dojść do wniosku, że muszą ją drukować jacyś drukarze z Wenecji albo Ferrary, a z pewnością z terenu tych państw, które najbardziej sprzeciwiają się wejściu inkwizycji rzymskiej.

Jest mi wiadomo, że władza Waszej Wielmożności nie sięga ziem Najjaśniejszej Republiki, ale mimo to mogłoby okazać się rzeczą pożyteczną uczulenie na tę sprawę inkwizytorów działających w Wenecji i na terenach podległych księciu Ercole II d'Este. W samej rzeczy nie sądzę, aby chcieli oni wystawiać sobie opinię ludzi, którzy zezwalają na drukowanie książki wyklętej przez sobór.

Dziwne wydaje mi się to, że tu, w Viterbo, nikt nie wie nic o ludziach odpowiedzialnych za tę nową akcję. Można odnieść wręcz wrażenie, że kardynał Pole i jego przyjaciele nie mają nic wspólnego

z tym rozpowszechnianiem. Wolno podejrzewać, że chodzi o dużą operację, kierowaną przez jakiś wybitny umysł, ale spoza kręgu *Uduchowionych*.

Wszakże, o czym Wasza Wielmożność doskonale wie, w Wenecji znajduje schronienie wielu radykalnych ludzi, potajemnych wyznawców luteranizmu. Pożyteczne mogłoby więc być zebranie najważniejszych informacji o ich działalności, ale bez budzenia podejrzliwości samych weneńców, którzy, jak wiadomo, są bardzo uwrażliwieni na ingerencje w ich sprawy ze strony Świętej Stolicy Apostolskiej.

Całując ręce Waszej Wielmożności, polecam się Waszej łasce.

Z Viterbo, pierwszego dnia 1547 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

Z dziennika Q.

Viterbo, 14 stycznia 1547 roku

O soborze

Cesarz nie stracił czasu. Ten stary lew ma jeszcze pazury. Wydał rozkaz, aby lancknechci wkroczyli do Trydentu. A wraz z nimi zaraza, która towarzyszy im od zawsze.

Sens tego posunięcia jest oczywisty: kardynałowie powinni być ostrożniejsi po klęsce jego protegowanego na soborze. Ten niezgula papież zaczął wysyłać sygnały Francuzom. Ale Karol wciąż jest tym samym Karolem, władcą świętego cesarstwa rzymskiego, niech nikt nawet nie próbuje knuć czegokolwiek za jego plecami.

Obrady soboru zawieszono, zostanie on przeniesiony do Bolonii, daleko od zadżumionego powiewu, jaki idzie od lancknechtów. Tak przynajmniej mówią.

O Carafie

Carafa powinien uważać, bo cesarz nie jest człowiekiem, który pozwala, żeby ktoś chodził mu po głowie, i dopiero co to pokazał. Być może z tego właśnie powodu staruszek zwleka z wypuszczeniem inkwizytorów śladem *Błogosławieństwa Chrystusa*, żeby szukali tych, co tę książkę zredagowali i tych, którzy ją mają. Reginald Pole wciąż zajmuje najwyższe miejsce w sercach wielu, podoba się papieżowi, a jeszcze bardziej cesarzowi.

Albo może jest to przemyślane opóźnienie. Może ten starzec sądzi, że czas nie dojrzał jeszcze, że do sieci musi wpaść więcej ryb, więc trzeba pozwolić, żeby ta książka krążyła w dalszym ciągu. Ale to jest igranie z ogniem, ponieważ razem z książką rozprzestrzeniają się zawarte w niej idee.

O nowej akcji rozprowadzania książki

Kto może mieć interes w tym, aby ryzykować tak wiele, drukując i rozpowszechniając *Błogosławieństwo Chrystusa*?

Jeśli Pole i *Uduchowieni* nie mają z tym nic wspólnego, to kto za tym stoi?

Jakiś kupiec, jakiś człowiek lub kilku ludzi mających zmysł do interesów. Ale dlaczego to robią? Można przecież ciągnąć zyski z innych wydawnictw, nie ma potrzeby narażania się na więzienie czy utratę życia dla prostackiego streszczenia kalwińskiej ideologii.

Jest w tym coś, czego jeszcze nie chwytam. Muszę pójść za głosem mojego instynktu.

Tiziano

Rozdział 19

Padwa, 22 stycznia 1547 roku

— Wczoraj zapytałem pięcioletnie dziecko, kto to jest Jezus. I wiecie, co mi odpowiedziało? Że to taki posążek.

Zaciekawione twarze, ledwo widoczne w świetle świecy. Ze dwunastu uczniów skupionych wokół światła, jedyni, którzy postanowili nie spać i sprzeciwić się sztywnym regułom życia w internacie. Paru poznałem dziś po południu w gabinecie anatomicznym, po wykładzie z teologii. Wystarczyło kilka rozmów na korytarzu, aby zaproponowali mi pójście z nimi do internatu prowadzonego przez benedyktynów i spędzenie tam nocy.

— Kim jest Chrystus dla prostego umysłu? Zwykłym posągami. Czy to jest bluźnierstwo? Nie, gdyż brak tu chęci obrażenia uczuć religijnych. Więc może jest to zmyślenie człowieka, któremu brak wykształcenia? Też nie. Powiadam wam, że to dziecko nie kłamało, a przeciwnie, powiedziało prawdę, i to dwa razy. Raz, ponieważ w jego oczach, kiedy uczono je klękać przed Chrystusem, był on tylko kamiennym krucyfiksem. Co wlewa w ten kamień życie? Co sprawia, że różni się on od innych kamieni? Wiedza o tym, kogo przedstawia. Wiedza, czyli to, co nadaje znaczenie różnym rzeczom, światu, a więc także posągom. A zatem, aby ten posąg ożył w naszych oczach, musimy znać Chrystusa. Czy możemy w kilku prostych słowach powiedzieć, kim jest Chrystus? Tak, miłością i łaską. Jest Bogiem, który z miłości do ludzi poświęca się na krzyżu, uwalniając ich od grzechu, zbawiając od ciemności. I wiara tylko w ten akt usprawiedliwia ludzi przed Bogiem: to właśnie jest błogosławieństwo, które niesie nam Chrystus. Jeśli więc posąg ten ożywia wiedza i miłość, naszym zadaniem jest kultywować je jako najcenniejsze ze wszystkich darów i unikać, a raczej zwalczać tych, którzy oddalają nas od nich. To prowadzi nas do drugiej prawdy, wypowiedzianej

przez owo dziecko. Bo tak naprawdę jesteśmy dziś świadkami umierania Chrystusa. Ani wiedzą, ani miłością Kościół nie ożywia Chrystusa, którego chce przybliżyć dzieciom. To zbliżenie staje się bezwarunkowym nakazem dla władzy świeckiej, dla zepsutej hierarchii Rzymu, dla uprawiającego świętokupstwo papieża, zamienia się w strach przed bożą karą, inscenizowaną przez Święte Oficjum. W tym wszystkim nie ma miejsca dla żywego Boga, lecz tak naprawdę tylko dla nieczulego, milczącego posągu. Trzeba więc stać się na nowo dziećmi, przywrócić w sobie prosty umysł dziecka pełnego mądrości, i na nowo potwierdzić zstąpienie na nas bożej łaski. Trzeba nowego chrztu, który znowu pozwoli nam uczestniczyć w błogosławieństwie Chrystusa. Mając tę odnowioną pewność, nie powinniśmy się bać wyznawania prawdziwej wiary także wtedy, gdybyśmy sprzeciwili się w ten sposób hipokryzji sądów i zepsutych ludzi. To dlatego powiadam, że gdyby ktoś zapytał was kiedykolwiek, kto mówił do was tymi słowami, nie obawiajcie się odpowiedzieć, że byłem to ja. Baptysta Tiziano.

Rozdział 20

Rovigo, 30 stycznia 1547 roku

— Właśnie wczoraj, wychodząc z kościoła, spotkałem dziecko i zapytałem je, kim jest Jezus. I wiecie, co mi odpowiedziało? Że to jest taki posąg.

Brat Vittorio wzrusza ramionami i krzywi usta w uśmiechu, ledwo widocznym pod gęstą brodą.

— Jeśli to was pocieszy, to w naszym miasteczku jest człowiek, stolarz, który będzie miał ze czterdzieści lat i który codziennie przychodzi trzy razy do kościoła, mówi Ojciec nasz przed krucyfiksem, a potem wraca do pracy. Pytałem go, skąd mu się wzięło, że tak pilnie odwiedza Naszego Pana, a on mi rzecze, że to ja sam mu powiedziałem, że trzema modlitwami dziennie wyleczy sobie chore plecy. A to jest najbliższe znane mi miejsce, dodał jeszcze, w którym mogę znaleźć Jezusa. Nie będę wam opisywał jego miny, gdy próbowałem mu wytłumaczyć, że Jezus może się znajdować wszędzie, w kobietach i w dzieciach, w powietrzu i w strumyku, w trawie i w drzewach.

Klaszczę w dłonie i rozkładam z rezygnacją ręce. Mój gest przyciąga uwagę dwóch innych zakonników. Podchodzą zainteresowani.

— Wasz przykład wcale mnie nie pocieszył, bracie. Jeśli czterdziestoletni człowiek wierzy, zupełnie tak samo jak pięcioletnie dziecko, że Jezus jest posągiem, oznacza to, że trzydzieści pięć lat wpajania pewnych zasad i reguł, dogmatów i kar ani trochę nie pogłębiło wiary tego chrześcijanina. Pytam was, jak to możliwe, żeby zmuszać dziecko do przyjmowania sakramentów, do klękania przed czymś, co w jego prostym umyśle nie może być niczym innym jak tylko posążkiem, do słuchania Ewangelii, gdy ona jest dla niego tylko bajką, i to w niczym nie lepszą od tych, które opowiada się przy kominku? Czy to wszystko wydaje się wam sensowne? Ja powiadam,

bracia, że to jest nie tylko absurdalne, ale i niebezpieczne. Jakiego wiernego wychowujemy w ten sposób? Jaką możemy mieć nadzieję, że w tej małej istocie dojrzeje szczere oddanie Chrystusowi, jeżeli od najmłodszych lat będziemy ją przyzwyczajając do pasywnego akceptowania rzeczy, których nie rozumie? Do klękania przed posągami? Ja powiadam, bracia moi, że wiara w Chrystusa powinna być świadomym i umotywowanym wyborem, a nie bajeczką wma-wianą naiwnym. A dziś żąda się właśnie tego. Żąda się, żeby wierzyć, nie rozumiejąc, żeby przyjmować wszystko w milczeniu, a nawet bać się i żyć w strachu, że zostaniemy ukarani, że postawią nas przed sądem, wsadzą do więzienia. Czy z tego rodzaju prze-świadczeń może się narodzić prawdziwa wiara? Z pewnością nie, bracia.

Trzej franciszkanie spoglądają niepewnie po sobie. Zmuszają się, żeby przerwać milczenie, jakie zapadło po ostatnich słowach. Jeden z nich daje znak dwu pozostałym, żeby podeszli do niego.

Nazywam się Tiziano i jestem niemieckim pielgrzymem udającym się do świętego Piotra. Franciszkanie z tego małego wiejskiego klasztoru przyjęli mnie serdecznie i ugościli z wielką uprzejmością.

Poszeptują cicho między sobą, przekazując pokrótce sprawę tym, co przybyli na końcu.

Brat Vittorio przyjmuje sztywną pozę, ale nie udaje mu się powstrzymać wybuchu śmiechu.

— Nie ujmuje tego w ten sposób, bracie Tizianie. Pomyślcie raczej o czymś takim: tu niedaleko, w jednej z wiosek naszej diecezji, stoi bardzo stara topola, może najbardziej imponujące drzewo, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. No więc chłopci utrzymują, że jeśli ktoś stanie pod nim podczas październikowej pełni księżyca i zje liść z tego drzewa, przyniesiony mu do rąk z wiatrem, nabędzie sił do długiego życia.

Spoglądam na niego, marszcząc brwi.

— Nie rozumiem, dokąd zmierzacie.

— Pewien pielgrzym, taki jak wy — podejmuje zakonnik, zakładając ręce za plecami — zjawił się w tym klasztorze dwadzieścia lat temu, żeby nabrać sił. Opowiedzieliśmy mu historię tej topoli i wytłumaczyliśmy, gdzie ona stoi. Był przekonany, że naturalne cuda pojawiają się w miejscach, w których Madonna pragnie pokazać się swoim synom. Poszedł tam i Madonna ukazała mu się, mówiąc: „Ciało i Krew mojego Syna dają życie wieczne”. Od tego czasu w okresie październikowej pełni Księżyca obchodzimy święto Madonny z Topoli, chłopci przychodzą, żeby przyjąć komunię świętą, a liście tego drzewa, które spadną na ołtarz, zostają poświęcone i rozdane wszystkim wiernym.

Przysiadam na jednej z kamiennych ław, które stoją przy ścianie. Braci przybyło i jest ich przynajmniej z dziesięciu. Najstarsi siadają obok mnie, inni kucają na ziemi.

— A więc — pytam, zwracając się do wszystkich — co wasz brat chciał powiedzieć poprzez tę historię o topoli?

Odpowiada młody brat o twarzy składającej się wyłącznie z nosa i wystających kości policzkowych.

— Aby zanieść Chrystusa ludziom ze wsi, nie można bawić się w zbytne roztrząsanie zawilości; niektórzy będą wierzyć, że On jest posągiem, a inni jeść Jego Ciało tak samo, jak zjadali liście z tego drzewa, gdy byli młodzi.

Teraz, gdy wszyscy już usiedli, ja zrywam się na nogi.

— „Ciało i Krew mego Syna dają życie wieczne”. Madonna z Topoli oznajmiła pielgrzymowi samą istotę wiary chrześcijańskiej. Ludzie ze wsi nie rozumieją Chrystusa, ponieważ wy przedstawiacie Go w zbyt złożony sposób. Dlatego właśnie potrzebują jakiegoś posągu albo starej legendy, żeby się do Niego zbliżyć. Bóg stał się człowiekiem i umarł na krzyżu, abyśmy także i my mogli zmartwychwstać do życia wiecznego. To jest wiara, która zbawia, i nie trzeba nic innego. Ale jest to wiara, której nie może wyznawać żaden nowo narodzony i dlatego zapewniam was, że chrzczenie nowo narodzonego nie jest warte więcej niż umycie psa. Jedynym chrztem jest wiara w błogosławieństwo Chrystusa.

Zaplątując się niemal w długiej szacie, zrywa się brat z gęstymi brwiami i czarną brodą, sięgającą oczu. Obejmuje mnie z rozpędu, a potem wpatruje się we mnie rozpalonym wzrokiem.

— Dziękuję ci Adalberto Rizzi, brat z Niemiec. Mieszkam tu od dwudziestu lat, odkąd Madonna ukazała mi się w gałęziach topoli i wieloma znakami poświadczyła swoją obecność. — Młodszy bracia patrzą na niego w osłupieniu. — Tak, tak, zapytajcie brata Michele'a, jest tutaj, czy nie mówię prawdy. Po tym ukazaniu się zacząłem mówić te same rzeczy, które ty, bracie Tizianie, wypowiedziałeś tu dzisiaj. Słowo w słowo, zapewniam cię. Ale powiedzieli mi, że coś mi się pomieszało, że potrzebuję odpoczynku i medytacji, że tak naprawdę Madonna nie prosiła mnie, żebym mówił to, co mówiłem. Przekonali mnie. A teraz czuję, że ty zwróciłeś mi to, co mi wtedy zabrano, i ognistymi słowami będę zwiastował światu wiarę w nowy chrzest i błogosławieństwo Chrystusa! — Pada na kolana, zda się, że nie jest w stanie utrzymać się na nogach. — Ochrczuj mnie, bracie Tizianie, bo to, że polali mnie wodą, jak byłem mały, nic już dla mnie nie znaczy. Ochrczuj mnie, choćby brudną wodą z tej kałuży, moja wiara wystarczy, żeby ją oczyścić.

Rozglądam się dokoła, wszyscy siedzą bez ruchu, z otwartymi ustami, z wyjątkiem brata Vittoria, który potrząsa głową, niepokieszony. Zrobiłem już dość jak na miejsce, w którym się znajduję. Lepiej nie ryzykować zbyt wymownych gestów.

— Bracie Adalbercie, ty sam możesz się ochrzcić. Sam jesteś świadkiem swojego nawrócenia.

Przez chwilę patrzy na mnie w zachwyceniu, a potem rzuca się twarzą w błotnistą wodę i zaczyna tarzać się w niej, krzycząc na całe gardło.

W sumie raczej wymowna scena.

Rozdział 21

Ferrara, 4 lutego 1547 roku

Tajemny magazyn księgarzy Usque znajduje się pod ziemią. Jedyne wejście prowadzi przez właz nie szerszy niż na łokieć, zamaskowany między deskami podłogi. Po drabince schodzi się do pomieszczenia podobnego do piwnicy. Ale jest tu sucho, właściciele w bardzo zręczny sposób zadbali, aby przechowywanych tu książek, które mogłyby narazić ich na problemy i niebezpieczeństwo, nie zniszczyła wilgoć. Specjalne luki zapewniają cyrkulację powietrza, tak więc znalazłszy się na dole, nie mogą powstrzymać się od wzdygnięcia. Jest tu chłodniej niż na powierzchni.

Nasz drukarz idzie pierwszy z latarnią w rękę. Zatrzymuje się dopiero przy stosie woluminów, ułożonych według wszelkich prawideł sztuki.

— Są tutaj, panowie. Tysiąc egzemplarzy gotowych do wysyłki. Następne będą za niecały miesiąc.

Miquez wskazuje palcem połowę wysokości stosu.

— Za kilka dni moi ludzie przyjdą odebrać pięćset sztuk, które załadują na statek na wybrzeżu. Pozostałe wezmę od razu, zabiorę je ze sobą do Mediolanu. Rachunki przedstawię do Wielkanocy.

Usque przerywa mu.

— Zostawcie mi sto egzemplarzy. Myślę, że uda mi się sprzedać je tutaj.

W świetle latarni ukazują się śródziemnomorskie rysy twarzy.

— W takim razie weźcie je z mojej partii. Powóz stoi na dworze, można natychmiast ładować.

Wracam do eleganckiej oficyny największych żydowskich drukarzy w Ferrarze. Sześć pochodni, z tuzin zapracowanych robotników, jak urzeczony przyglądam się ich zsynchronizowanym ruchom; trzeba wsunąć matrycę z tekstem, zwilżyć farbą drukarską, podłożyć arkusz

papieru, a potem opuścić stempel i dobrze docisnąć, żeby litery odbiły się na papierze. Trochę dalej zecerzy składają tekst poszczególnych stronic, układając czcionki, jedną po drugiej, w specjalnych wyżłobieniach, wyszukując je w wielkich skrzyniach, z jednym okiem na rękopisie, a drugim na maleńkich kawałeczkach ołowiu.

Jeszcze dalej pracują introligatorzy, nadając za pomocą igieł, nici i rybiego kleju ostateczny kształt każdemu woluminowi.

Miquez staje obok mnie z obojętną miną.

— Bracia Usque wydają wyłącznie dzieła poświęcone judaizmowi — mówi cichym głosem. — Zrobili wyjątek dla *Błogosławieństwa Chrystusa*.

— Wzajemne przysługi wyświadczone przez ogromną rodzinę... — odpowiadam z uśmiechem.

— Tak. I siła perswazji dobrego zysku.

Usque pyta o coś po hiszpańsku.

— Tak. Możecie zaczynać. Przed domem jest mój brat Bernardo, zajmie się ulokowaniem ładunku.

Drukarz ma ciągle niezdecydowaną minę.

— Jest jeszcze jedna sprawa, don João... — spojrzenie Miqueza mówi mu, że może nie krępować się moją obecnością. — Przyszło do mnie dziwne zamówienie. Z dworu księcia. Chcą mieć egzemplarz *Błogosławieństwa Chrystusa*.

Patrzmy na siebie z zakłopotaniem; pierwszy odzywa się Miquez:

— Sam książkę?

— Nie. Księżniczka Renata, Francuzka. Interesuje się teologią. Chiavenna. Republika Retycka.

Dwa lata temu.

Camillo Renato i jego kółko wygnańców.

Dostarczyłem im książki od Perny, udając się po raz pierwszy do Włoch.

Camillo Renato, alias Lisia Fileno, alias Paolo Ricci. Sycylijczyk, uczony, zwolennik Reformacji i predestynacji, sakramentysta, celebrował Ostatnią Wieczerzę biesiadą, która obudziła u wszystkich oburzenie. Kiedy się z nim spotkałem, gościł właśnie Lelia Socyna i innych wygnanych uczonych. Przebywałem tam krótko, ale to wystarczyło, abym się dowiedział, że objechał Europę, był w Strasburgu u Fabriciusa, a w Bolonii poddano go przesłuchaniom. Skazany w Ferrarze za herezję na dożywotnie więzienie, zdołał uciec dzięki pomocy jednej z dam na książęcym dworze. Była to księżniczka Renata. Jego wdzięczność okazała się tak wielka, że przyjął nawet imię swojej wybawicielki.

— To ważne, żeby jeszcze dziś dotarł do niej egzemplarz *Błogosławieństwa* — zwracam się do Usque.

Wyjmuję książkę z mojej torby, na biurku drukarza znajduję pióro i kałamarz. Piszę na pierwszej stronie:

Nie istnieje dobry uczynek lub działanie, które mogłyby dorównać błogosławieństwu, jakie Chrystus zsyła ludziom. Tylko Łaska otrzymana od Zbawiciela oraz niezmierny dar wiary mogą wskazać duszy jej przeznaczenie. To jest istota odrodzenia, które połączy w Chrystusie prawdziwie wierzących.

Z nadzieją ujrzenia szlachetnej damy, która uratowała naszego wspólnego przyjaciela.

Odrodzony Tiziano. Locanda del Pan.

Dwaj Żydzi patrzą na mnie w oszołomieniu.

Wręczam książkę drukarzowi.

— To jest ten egzemplarz — mówię, a potem zwracam się do Miqueza: — Nie sprzeciwiaj się.

— Odkąd zapuściłeś tę brodę, zachowujesz się raczej dziwnie — mówi z rozbawioną miną.

— Sam nauczyłeś mnie podtrzymywania przyjaźni z wysoko urodzonymi.

Potrząsa głową i żegna się po hiszpańsku z drukarzem. Na dworze czekają na nas Bernardo i Duarte. Skrzynie z książkami są już załadowane i przywiązane rzemieniami.

João obejmuje mnie

— *Hasta luego, amigo.* Zobaczymy się na wiosnę.

— Pozdrów ode mnie naszego małego przyjaciela Pernę.

Macha ręką swoim dwom towarzyszom i powóz rusza w drogę.

Rozdział 22

Wenecja, 11 lutego 1547 roku

Dziewczyna powiedziała mi, że gość miał ciemne włosy, był raczej wysoki i miał na ramieniu wytatuowaną syrenę.

Powiedziała też, że bezustannie bawił się kośćmi do gry, zawsze miał jedną w rękę, bo uwielbiał grę i mówił, że im dłużej je trzyma, tym więcej ma szczęścia.

Dziewczyna płakała. Ponieważ takie przecięcie po zbliżeniu się zostawia długą i białą szramę, która w mroźne dni robi się fioletowa i wygląda tak, jakby skóra była dotknięta chorobą.

Chociaż zdarzyło się to cztery dni temu, płakała, mówiąc o tym, bo oszpecił na zawsze jej twarz.

Demetra rzucała mi lodowate spojrzenia. Można było wyczytać w nich wymówkę, niemal oskarżenie: nie było mnie wtedy, a ona nic nie mogła zrobić. Młody Marco naraziłby się co najwyżej na cios nożem, i na co by mu się to zdało?

Dziewczyna wyznała, szlochając, że gość mówił tak jakoś dziwnie, nie, nie z takim akcentem jak ja, innym, może greckim albo słowiańskim. I nie bił jej, tylko wyciągnął nóż, a ona myślała, że chce ją zamordować, ale on powiedział, że jak będzie krzyczeć, zarżnie ją jak jagnię.

Milczałem. Naprawdę nie odezwałem się ani słowem. Spotkałem wzrok Demetry i to mi wystarczyło.

Oto co musiałem zrobić.

Greki, którzy lubi grać w kości.

Nie pamiętam, jak przemierzyłem na piechotę całe miasto. Ale zrobiłem to, bo na dźwięk dzwonu stałem pod drzwiami szulerni Mora, ze wzrokiem wlepionym w twarz olbrzyma sterczącego w drzwiach.

— Idź i powiedz Morowi, że przyszedł il Tedesco i chce z nim rozmawiać.

Goliat zniknął w głębi, ale przedtem uśmiechnął się złośliwie; możliwe, że był to zwykły wyraz jego twarzy.

Czekałem, aż wąskie wejście uchyliło się i w świetle latarni zaświeciły białe zęby Mora.

Uśmiech rekina.

Żaden z nas nie odczuł potrzeby wymienienia grzeczności.

— Jakiś Grek, może Dalmatyńczyk, lubi grać w kości, elegancko ubrany, z wytatuowaną syreną na ramieniu. Pokiereszował twarz jednej z moich dziewczyn.

Moro nie mrugnął nawet okiem, ale jego spojrzenie powiedziało mi, że wieść o tym dotarła i do niego.

— Pod jednym warunkiem, Tedesco. Płacę strażom, żeby zostawiły mnie w spokoju. Załatwisz tę sprawę gdzie indziej, nie u mnie. A swój sztylet zostawisz Kemalowi.

Kiwnąłem głową, wyciągnąłem sztylet z pochwy i wręczyłem olbrzymowi. Moro usunął się na bok, zapraszając mnie ruchem ręki do środka.

W niedużej sali panowała cisza, słychać było tylko turkotanie kostek do gry, toczących się po stołach, i stłumione przekleństwa.

Zebrali się tu przedstawiciele wszystkich chyba ras, jakie są na świecie. Niemcy, Holendrzy, wymuskani Hiszpanie, Turcy i Chorwaci, zajęci wpisywaniem punktów na tabliczkach zawieszonych na ścianach. Żadnego wina ani gorzałki, żadnej broni; Moro woli nie mieć kłopotów.

Przyjrzałem się wszystkim, jednemu po drugim, zwracając uwagę na ich ręce. Ręce wymowne, mogłyby opowiedzieć niejedną historię, ręce z brakującymi palcami, w przynoszących szczęście rękawiczkach, z pierścieniami, które rzuca się na stół i wycenia na miejscu.

A potem zobaczyłem kostkę, która obracała się w prawej dłoni jednego z nich, maleńki kościany przedmiot, śmigający tam i z powrotem między palcami za każdym razem, gdy lewa ręka szykowała się do rzucenia.

Trzeba to zrobić tak, żeby się spostrzegł dopiero wtedy, gdy poczuje, że jego policzek ociera się o bruk ulicy.

Ktoś wykręcił mu rękę za plecami, odslaniając jednocześnie jego lewe ramię.

Wyrzucił z gardła stek przekleństw we własnym języku, a w tej samej chwili z jego kieszeni wysypały się razem ze szczęściem małe sześcianiki z kości słoniowej.

A potem już tylko wył, patrząc, jak ostrze pugiinału odcina mu całkiem palce prawej dłoni.

Znaleźli je następnego ranka sprzedawcy ryb, wetknięte, co do jednego, między szczelbelki płotka odgradzającego małe targowisko.

W Wenecji jestem znowu Ludovico il Tedesco. I muszę pilnować spraw mojego burdelu.

Rozdział 23

Wenecja, 12 lutego 1547 roku

Miquez i Perna są w Mediolanie.

Il Tedesco dał wszystkim do zrozumienia, że nie warto deptać mu po odciskach i zakładać się przeciwko niemu.

Tiziano dał się poznać w trzech różnych miejscach. W Ferrarze spotkał się nawet z francuską księżniczką Renatą, przyjaciółką wygnańców, która okazała wielkie zainteresowanie *Błogosławieństwem Chrystusa*. Anabaptysta zrobił na niej wrażenie.

Mogę być z siebie zadowolony, ale to nie wystarczy. Rozmyślałem nad trasą następnej wędrówki. Treviso, Asolo, Bassano i Vicenza, potem powrót do Wenecji. Teraz, gdy przymierzyłem się już do roli anabaptyjskiego kaznodziei, mogę zrobić co trzeba w krótszym czasie. Wystarczy dziesięć dni, najwyżej dwa tygodnie.

Dziś w nocy śniła mi się Kathleen i Eloï. Zostały mi w pamięci tylko mętne obrazy, żadnych szczegółów, lecz obudziłem się z uczuciem, że coś im wszystkim zagrażało. W mojej świadomości pozostał posepny, przygniatający cień.

Przepędziłem zły nastrój, robiąc sobie spacer aż na plac Świętego Marka i odpowiadając po drodze na pozdrowienia wielu osób, których nie znam. Wracając, miałem wrażenie, że ktoś za mną idzie, może ktoś o twarzy, która mignęła mi tego ranka na Campo San Casciano. Zrobiłem duże koło tylko po to, aby potwierdzić podejrzenie. Dwa typki, długie czarne płaszcze, trzydzieści kroków za mną. Może ze straży miejskiej. Nietrudno było się domyślić, kto mógł poharatać dłoń greckiego marynarza. Muszę się przyzwycząić do tego, że ktoś może śledzić moje wędrówki po mieście. To jeszcze jeden powód, żeby czym prędzej udać się w drogę.

* * *

— Znowu wyjeżdżasz?

Zjawiła się bez szmeru za moimi plecami; szmaragdowe oczy wpatrzone w dopiero co zamkniętą torbę.

Staram się uniknąć jej spojrzenia.

— Wróć za dwa tygodnie.

Westchnienie. Demetra siada na łóżku obok torby podróźnej. Tracę czas, obwiązując chustką przegub ręki; od jakiegoś czasu nie opuszczają mnie bóle reumatyczne i muszę ograniczyć ruchy.

— Gdybyś tu był, Sabina miałaby do tej pory swoją śliczną buzię.

Spoglądam wreszcie na nią.

— Ten sukinsyn zapłacił za to. Nikt więcej nie straci nawet jednego włosa z głowy żadnej dziewczyny.

— Powinieneś był go zabić.

Powstrzymuję wzburzenie.

— Gdybym to zrobił, mielibyśmy do czynienia ze strażami. Dziś rano szli za mną aż na plac Świętego Marka.

Jeszcze jedno westchnienie, aby zdusić chęć rzucenia mi w twarz tamtej zniewagi.

— To dlatego wyjeżdżasz? Boisz się?

— Mam coś do zrobienia.

— To ważniejsze niż Caratello?

Zatrzymuję się w drzwiach. Ma rację, jestem jej winien parę słów wyjaśnienia.

— Są rzeczy, które trzeba zrobić, i koniec.

— Kiedy mężczyźni mówią w ten sposób, to albo zamierzają odejść na zawsze, albo muszą coś pomścić.

Uśmiecham się w uznaniu jej mądrości, siadając obok niej na łóżku.

— Ale ja wrócę. Możesz być tego pewna.

— Dokąd jedziesz? Czy mają z tym coś wspólnego Żydzi, z którymi wszedłeś w interesy?

— Lepiej będzie, jeżeli się tego nie dowiesz. Masz rację, jest pewien stary rachunek, który muszę wyrównać. Tak stary jak ja.

Demetra potrząsa głową, zieleń jej oczu gubi się w mgiełce bolesnego przygnębienia.

— Wiesz, Ludovico, trzeba umieć dobierać sobie wrogów. Nie rzucaj się przeciwko ludziom, którzy mogą okazać się silniejsi.

Ofiarowuję jej szczery, otwarty uśmiech. Bardziej niepokoi się o mnie niż o swój burdel.

— Niczego się nie obawiaj, wychodziłem już cało z gorszych oparów. To moja specjalność.

Z dziennika Q.

Viterbo, 5 kwietnia 1547 roku

Niedostrzegalne posunięcia. Powolne pełzanie insektów, które możesz zauważyć tylko wtedy, gdy skupisz na nich wzrok i pozwolisz się zauroczyć delikatnym poruszeniom żdźbeł trawy.

Trudno wyobrazić sobie, aby w tym mrowieniu się był jakiś porządek, jakaś zgodność, jakiś cel.

Muszę iść za głosem intuicji. Odkryć miejsce, w którym znajduje się mrowisko. Ustalić ścieżki, jakimi jest ono zaopatrywane.

Wyjeżdżam do Mediolanu. Napisałem do Carafy, że śledziłem pewien trop, aby ustalić ludzi odpowiedzialnych za nową akcję rozpowszechniania *Błogosławieństwa Chrystusa*. I tak jest w istocie. Tu, w Viterbo, nie ma już wiele do roboty, ktoś próbuje wspomóc *Uduchowionych* bez ich wiedzy, rozpowszechniając tę książkę wzdłuż i wszerz. Co oni chcą przez to osiągnąć? Przystąpienie nowych zwolenników, uzyskanie pomocy, podburzenie do rewolty na rzecz zreformowania Kościoła?

Sprawą zasadniczą jest odkryć, kim są ci ludzie, i zrozumieć, czego chcą.

Mediolan. Tamtejsi inkwizytorzy zatrzymali pewnego nawróconego Żyda, pod zarzutem udziału w rozpowszechnianiu heretyckiego dzieła *Błogosławieństwo Chrystusa*.

Zdaje się, że to weneccjanin pochodzący z Portugalii, niejaki Giovanni Miches.

Co mogą mieć wspólnego z tą historią portugalscy marrani?

Rozdział 24

Wenecja, 10 kwietnia 1547 roku

João i Bernardo Miquezowie rysują się na tle drzwi jak dwa olbrzymy w porównaniu z niskim, łysiejącym człowieczkiem, który kryje się między nimi, szmuglerem książek i znawcą win. Wybiega mi na spotkanie i ściska moją wyciągniętą dłoń.

— To naprawdę przyjemność, mój stary, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co się nam przytrafiło... Sprzedaż szła jak po maśle, praktycznie biorąc w domu samego bardzo katolickiego imperatora, ale, kurwa mać, to Święte Oficjum nie było nam do niczego potrzebne!

Powstrzymuję wylewność Perny, witając się z dwoma braćmi.

— Nareszcie z powrotem.

Ten starszy klepie mnie po ramieniu.

— Mam nadzieję, że nie wypuścisz nas o suchym gardle. Prawie nie zatrzymywaliśmy się przez całą drogę.

— Tylko wezmę butelkę. Siadajcie i opowiadajcie wszystko.

Perna podsuwa sobie krzesło i zaczyna:

— Wywinęliśmy się gładko, kurczę blade. Chcieli załatwić twojego przyjaciela Judejczyka, tak, tak, teraz się z tego śmieje, ale zapewniam cię, był w niezłych opałach, i gdyby nie brzęczące krążki, którymi sypnął temu braciszкови, nie byłoby teraz czego opijać, rozumiemy się? Miałby za całe towarzystwo szczury w mediolańskich lochach.

— Spokojnie. Opowiedzcie wszystko po kolei.

Perna uspokaja się i opiera na stole roztrzęsione ręce. Opowiada Bernardo, a João częstuje mnie ujmującym uśmiechem.

— Inkwizytorzy zatrzymali go na całe trzy dni. Oskarżyli o sprzedawanie heretyckich druków.

Spoglądam na starszego z braci, który milczy jednak, ustępując miejsca młodszemu.

— Zadali mu mnóstwo pytań. Ktoś musiał złożyć donos. Poszło dobrze, wystarczyło podsunąć właściwym osobom pieniądze i wypuścili go, nie było tam ważnych ludzi, ale następnym razem może już nie pójść tak gładko.

Chwila milczenia, Perna trząsie się, oczekuję, że João powie coś o sprawie.

Splata cienkie palce obu dłoni i opiera się łokciami o stół.

— Przesadzają obaj. Ci ludzie nic nie wiedzieli o *Błogosławieństwie*, mieli tylko ogólne podejrzenia. Ktoś podał im moje nazwisko, no i przyszli po mnie. To wszystko. Gdyby naprawdę coś wywęszyli i wpadli na nasz trop, nie przyjęliby ode mnie pieniędzy... — macha kpiąco ręką — albo zażądaliby więcej.

Nasz księgarz wybucha potokiem słów.

— Tak, tak, poszło mu łatwo, ale musimy być ostrożni. Ja też wiem, że te cztery czarne kruki nie miały o niczym pojęcia, ale kto pokaże się teraz znowu w Mediolanie? Kto? To spalony rynek, dość postawić tam nogę, żeby się sparzyć, *capito*? Całe księstwo zamknięte przed nami, nie można się tam pokazać, narazimy się tylko na niebezpieczeństwo. Jak odbierzemy pieniądze za partie książek, które tam zostawiliśmy?

— Odbijemy sobie gdzie indziej — uspokaja go João.

Nalewam drugą kolejkę wina.

— Na jakiś czas damy sobie spokój z Mediolanem. W każdym razie wszyscy musimy mieć oczy otwarte, bo inkwizycja zaczyna się lepiej organizować. Paweł Trzeci jest strachliwy i daje się wodzić za nos, ale nie będzie żył wiecznie. Cała przyszłość w ręku następnego papieża. Także i nasza.

Trzej moi współnicy potakują jednocześnie głowami. Nie trzeba dodawać ani słowa, wszyscy mamy te same myśli.

Z dziennika Q.

Mediolan, 2 maja 1547 roku

Rekomendacyjny list Carafy osiągnął pożądaný skutek, wyczytałem to na pokrytym kroplami potu czole brata Anselma Ghiniego i w afektowanym zachowaniu jego współpracowników. Wokół mnie dziwne szmery cichych szeptów. Nastawione uszy i spuszczone oczy.

Brat Anselmo Ghini, lat czterdzieści dwa, ostatnie dwa spędzone na skrupulatnym poszukiwaniu w różnych tekstach zapachu herezji, na zlecenie Świętego Oficjum. Ręce trzęsły mu się przez całą naszą rozmowę przy jednym z biurk biblioteki klasztoru dominikanów. Ani na chwilę nie ustał ożywiony ruch za moimi plecami, tak jakbym to ja był inkwizytorem. Zdenerwowanie wyczuwalne u wszystkich obecnych na sali. Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami.

Giovanni Miches, takie nazwisko podał księgarz przyłapany na posiadaniu dziesięciu egzemplarzy *Błogosławieństwa Chrystusa*. Po stwierdzeniu jego przybycia do miasta został aresztowany 13 marca. Towarzyszyli mu jego brat Bernardo, służący Odoardo Gomez i księgarz Pietro Perna, których nie zatrzymano. Pierwsze przesłuchanie przeprowadził brat Anselmo Ghini.

Zapytany o powody swojej obecności w Mediolanie Miches mówił o mającym wkrótce nastąpić jego spotkaniu z gubernatorem, księciem Ferrante Gonzagą, w celu poproszenia księcia o wstawiennictwo u cesarza w sprawie uwolnienia niektórych dóbr pozostawionych we Flandrii.

Zaprzeczył, aby w jakikolwiek sposób miał być zamieszany w rozpowszechnianie *Błogosławieństwa Chrystusa*, ale przyznał, że interesuje go drukarstwo i że jest współnikiem największych drukarzy weneckich, takich jak Giunti, Manuzio i Giolito. Miches dodał, że wie o istnieniu *Błogosławieństwa Chrystusa*, ale nie zna treści tej

książki i nie jest jej ciekaw. Ponadto stwierdził, że jest zdumiony zainteresowaniem, jakie budzi jego osoba w związku z jakimś tekstem, który krąży po Wenecji bez żadnych ograniczeń.

Nazajutrz, po następnym przesłuchaniu, z którego nie sporządzono protokołu, Miches został uwolniony. Na moje pytanie o powody takiego przeoczenia brat Anselmo odpowiedział, że przy tej okazji nie wyszły na jaw żadne nowe elementy w porównaniu z przesłuchaniem z poprzedniego dnia.

Główne dowody: Giovanni Miches jest bez wątpienia sprytnym osobnikiem, który chwali się zaskakującymi znajomościami. Nie wymienia się znajomych postawionych tak wysoko, jeżeli nie jest się w stanie udowodnić kontaktów z nimi.

Kim jest Giovanni Miches?

Brat Anselmo nie mówi całej prawdy: za dużo wahań, za dużo nielogiczności.

Dlaczego nie zatrzymano osób, które towarzyszyły Michesowi?

Dlaczego nie ma ani śladu protokołu z drugiego przesłuchania?

Dziś stwierdziłem fakty. Jutro przedstawię przyczyny źle ukrywanych obaw brata Anselma.

Mediolan, 3 maja 1547 roku

Cela brata Anselma. Nikogo, kto mógłby nas podsłuchać.

Wystarczyło mniej nawet, niż myślałem; nazwisko Carafy rzuca błąd strach.

Miches zapłacił.

Zakonnik zaczął coś tam bełkotać, gdy tylko poprosiłem go, żeby mi nie opowiadał bajek. Trząśł się, siedząc na swoim postaniu, ja stałem nad nim. Potrzebował trochę czasu, żeby przystąpić do usprawiedliwienia się.

Zasięgnęli informacji; okazało się, że Miches rzeczywiście zna gubernatora Mediolanu. Wielu szlachetnie urodzonych ma z nim jakieś stosunki, są uzależnieni od jego sakiewki, tutaj sprawy nie wyglądają tak jak w Rzymie, tu rządzi cesarz, i Gonzaga nie życzy sobie, żeby się dobierać do jego przyjaciół.

Zasięgnęli języka: gruba ryba, ma potężną rodzinę. Dlatego nie zamknęli tamtych trzech. To bankierzy, cesarz czerpał fundusze z ich kasy. A więc jak zamknąć i trzymać takiego w więzieniu? Miały po niego przyjść strażę samego gubernatora. Zatem trzeba było skorzystać i coś na tym zarobić. Oczywiście na klasztor. Nie ma w tym żadnej korupcji, to jest trudna praca, pośród tysięcznych przeszkód. Tu jest inaczej niż w Rzymie.

Błagał mnie, żebym nie składał raportu Carafie. Miał w oczach obłądny strach.

Powiedziałem mu, że od dzisiaj będzie pracował dla mnie, przekazując mi wszelkie pożyteczne informacje.

Podziękował, pocałował mnie w rękę.

Alejandro Rojas. Osobisty doradca arcybiskupa Mediolanu. Czyli hiszpański informator, którego Carafa podsunął arcybiskupowi.

Postarzał się i bardzo utył, co jest zasługą arcybiskupiego stołu. Potwierdził wszystko i dodał jeszcze inne wiadomości.

Juan Micas, alias João Miquez, alias Jean Miche, alias Johan Miches, alias Giovanni Miches. Z bogatej sefardyjskiej rodziny Miquezów, która połączyła się z Mendezami, bankierami cesarza.

Mają znaczny majątek i dramatyczne przejścia za sobą. Zawsze między sukcesem i klęską, ale też zawsze umiejący wydostać się z tarapatów. Nawrócenie na wiarę chrześcijańską nie przeszkodziło temu, aby ich wczorajsi przyjaciele zamienili się z dnia na dzień w prześladowców. Zręczni i przebiegli jak mało kto, ich bogactwo stoi kością w gardle wielu ludziom, lecz nauczyli się go bronić. Parę lat temu przenieśli się do Wenecji, gdzie rozwinęli różne przedsięwzięcia handlowe.

Nawróceni Judejczycy. Pozbawieni skrupułów bankierzy. Znani na dworach połowy Europy.

Jaki interes mogą mieć w rozpowszechnianiu *Błogosławieństwa Chrystusa*? Zwyczajny zysk? Należy w to wątpić.

Potajemni sprzymierzeńcy *Uduchowionych*? Sprawdzić.

Z pewnością mają środki i kontakty pozwalające na to, żeby ta książka rozlała się jak plama oliwy.

Inne uwagi: struktura, którą Carafa buduje dzień po dniu, jest jeszcze daleka od doskonałości. Nie wszyscy ludzie są godni zaufania. Mediolan i Wenecja to nie Rzym. Każde z tych państw ma swojego władcę, każdy władca ustala dopuszczalne granice demoralizacji.

Carafa będzie musiał wziąć to pod uwagę.

Mediolan, 4 maja 1547 roku

Mogę już stąd wyjechać. Brat Anselmo i inni tchórzliwi ludzie ruszą do roboty na każde moje wezwanie. Podróże Miqueza i jego współników w te okolice nie pozostaną niezauważone. Zbierać wszystkie liczące się szczegóły. Dobiorę się do nich wszystkich.

Tajne oko Carafy
(1547)

List wysłany do siedziby soboru powszechnego w Bolonii z księżęcego miasta Ferrara, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 15 czerwca 1547 roku.

Do najczcigodniejszego, przewielebnego kardynała Giovanniego Pietra Carafy w Bolonii.

Panie mój najdostojniejszy, dopiero teraz zdecydowałem się powiadomić Waszą Wielmożność o wynikach mojego śledztwa, ponieważ wiele było trzeba, aby zebrać elementy, z których da się złożyć kompletny obraz.

Muszę też dodać, że mimo wszystko nie można mówić z absolutną pewnością o rzeczach, które spieszę zreferować, albowiem osobnicy, z którymi mamy do czynienia, odznaczają się nadzwyczajnym sprytem i przebiegłością.

Ale przechodzę z miejsca do faktów. Po odbyciu podróży do Mediolanu, Wenecji i Ferrary oraz skontaktowaniu się z inkwizytorami w tych miastach dzięki uwierzytelniającym listom, w jakie Wasza Wielmożność mnie zaopatrzył, zdołałem zebrać wystarczające poszlaki, wskazujące na to, że niewytłumaczalny zalew całego półwyspu książką *Błogosławieństwo Chrystusa* można przypisać jednej z najmoźniejszych żydowskich rodzin Europy, której członkowie, nawróceni na prawdziwą wiarę, znani są na cesarskim dworze jako Mendesowie, od nazwiska nieżyjącego już hiszpańskiego bankiera Francisca Mendeza, zaprzyjaźnionego z cesarzem małżonką donny Beatriz de Luna. Tę ostatnią można uważać za głowę całej rodziny, obecnie zamieszkałą w Wenecji; zawsze interesowała się drukarstwem i w ogólności literaturą, oprócz handlu i innych interesów. Osoba ta wraz z bratankami finansuje nie tylko większą część wydawnictw na tematy żydowskie, ale także dzieła autorów

chrześcijańskich, wykorzystując swoją sytuację wyznawczyni dwóch religii.

Rodzina jest niezbyt duża: donna Beatriz ma córkę Reynę i siostrę, niejaką Briandę de Luna, która jest ni mniej, ni więcej tylko wdową po bracie Francisca Mendeza, Diegu, i ma córkę na wydaniu, Gracię la Chica.

Należący do rodziny mężczyźni to synowie zmarłego brata: Giovanni (którego weneccjanie nazywają Zuanem) i Bernardo Miquez. W sumie jest nie więcej niż sześcioro krewnych, w tym cztery kobiety.

Mimo to rodzina Mendesów prowadzi interesy z najważniejszymi armatorami i kupcami weneckimi na nieprawdopodobną skalę. Muszą być niezmiernie bogaci, a ich handlowe przedsięwzięcia sięgają nawet kontaktów z kilkoma najstarszymi, patrycjuszowskimi rodami Wenecji.

Ale tym, co najbardziej zainteresuje Waszą Wielmożność, jest bez wątpienia intensywny handel książkami, w którym uczestniczą oni jako mecenas, współnicy drukarzy i, bynajmniej nie na ostatnim miejscu, jako odpowiedzialni za rozpowszechnianie. W czasie pobytu w Wenecji w ostatnim miesiącu indagowałem szczególnie dokładnie tę właśnie ich działalność i dokonałem bardzo interesujących odkryć, które poprowadziły mnie tu, do Ferrary, tropem zakazanej książki.

Trzeba jednak, abym opowiedział rzecz krok po kroku.

Do Wenecji przybyłem ze słabymi poszlakami dotyczącymi udziału João Miqueza w rozpowszechnianiu *Błogosławieństwa*.

Jedyną osobą, która, jak uważałem, była w stanie udzielić mi jakichś wartościowych informacji, był Bernardo Bindoni, pierwszy drukarz *Błogosławieństwa*. Ale Bindoni to nędzny właściciel małej oficyny, zięjący zawiścią względem takich kolosów, jak Giunti albo Manuzio, małomówny i w sumie niechętnie wracający do tamtej sprawy; jeśli nawet parokrotnie wymknęła mu się jakaś aluzja, wspominał ją wyłącznie jako coś przeszłego.

Ale gdy zawiedziony opuszczałem jego pracownię, miał czelność doradzić mi, że gdybym był zainteresowany zakupieniem większej partii *Błogosławieństwa Chrystusa*, powinienem zwrócić się do Żydów.

Było to coś więcej niż tylko potwierdzenie moich domysłów.

W końcu żydowski drukarz Daniele Bomberg wskazał mi swoich kolegów, braci Usque z Ferrary.

Jestem więc w posiadłościach księcia Ercole II d'Este. Gdybym miał drukować książkę uznaną przez sobór za heretycką, wybrałbym niewątpliwie to właśnie miejsce. Albowiem inkwizycja ma tu związane ręce ze względu na księcia, człowieka o wybuchowym temperamencie, niecierpiącego najmniejszej ingerencji Rzymu w jego

sprawy. Ferrara to położona w połowie drogi między Wenecją i Bolonią, na granicy Najjaśniejszej Republiki i Państwa Kościelnego, mała, niezależna prowincja z łatwym dostępem do morza.

Praca szła mi powoli, z wyczekiwaniem, ale warto było się trudzić. Rzeczne barki spływają odnogą Padu od Ferrary aż do wybrzeża, gdzie przeładowują towar na statki handlowe, kierujące się na południe. Istnieją dobre racje, aby utrzymywać, że bracia Usque korzystają z tych środków, dostarczając partie książek na weneckie statki, które na przestrzeni paru mil mogą zbliżyć się do wybrzeża. W ten sposób wyjaśniłaby się sprawa rozpowszechniania *Błogosławieństwa* wzdłuż Adriatyku, statkami wyposażanymi przez Mendesów z Wenecji; podpływają one do brzegu naprzeciwko Ferrary i do swojego normalnego ładunku dodają książki, a potem płyną na południe, żeby okrążyć półwysep.

Jednakże wszystko to niczego jeszcze nie wyjaśnia. Albowiem, Panie mój najczcigodniejszy, tym, co wciąż się wymyka, jest odpowiedź na pytanie, dlaczego bogata sefardyjska rodzina zainteresowana jest rozpowszechnianiem chrześcijańskiej książki.

Aby zachęcić przeciwników Waszej Wielmożności, aby wspomóc kardynała Pole'a i *Uduchowionych*. Odpowiedź brzmi prawdopodobnie tak właśnie. Sprawić, żeby coraz trudniej było izolować i uderzać promotorów heretyckiej książeczyny, jak tego pragnie Wasza Wielmożność.

Będąc w Wenecji, uświadomiłem sobie, do jakich wyrafinowanych sposobów uciekają się ci bogaci Żydzi, aby przeżyć. Rodzina Mendesów opiera swoje powodzenie na precyzyjnym wyważeniu wpływów, wymianie grzeczności, udziale w przedsięwzięciach handlowych, wspieraniu inicjatyw. W ten sposób, jak dotąd, udawało się im zawsze ująć przed prześladowaniami. Wzmocnienie znaczenia Świętego Oficjum i większe nieprzejednanie działań kongregacji mogłoby narazić takich ludzi jak oni na utratę wszystkiego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa żywią oni nadzieję, że osobistości pokroju Reginalda Pole'a zdobędą przewagę nad *Gorliwymi*, gdyż są to umiarkowani, tolerancyjni uczeni, dziś gotowi rozmawiać i układać się z luteranami, a jutro być może z Żydami.

Ludzie ci są w Wenecji bardzo potężni, może nie do tego stopnia, aby byli nietykalni, ale z pewnością trudno się do nich dobrac zwykłymi sposobami. W ogólności Żydzi mają wpływ na życie tego miasta, znaczą aż tyle, że bez nich Wenecja ryzykowałaby swój upadek. Jak Wasza Wielmożność dobrze wie, porządek Najjaśniejszej Republiki opiera się na subtelnym współzależnościach kompetencji i władzy, polityki i handlu, w których prawie niemożliwe jest

znalezienie jakiegoś słabego punktu. Zaatakowanie takiej rodziny jak Mendesowie oznaczałoby naruszenie żywego nerwu Wenecji, z wszelkimi tego konsekwencjami.

Przez jakiś czas pozostanę w Ferrarze, oczekując na odpowiedź Waszej Wielmożności i próbując zebrać dalsze szczegóły rozwoju afery z *Błogosławieństwem*.

Całuję ręce Waszej Wielmożności i polecam się Waszej łasce.

Z Ferrary, 13 czerwca 1547 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

List wysłany do Bolonii z miasta Viterbo, z datą 20 września 1547 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego, przewielebnego Giovanniego Pietra Carafy.

Panie mój najdostojniejszy, wiadomość o tym, że został zamordowany syn papieża, Pier Luigi, książę Parmy i Piacenzy, dotarła aż tutaj, budząc smutne przecucia u sługi Waszej Wielmożności.

W samej rzeczy, uważam za uzasadnione wieści, wedle których zbrodni tej mógł się dopuścić Gonzaga. Nietrudno jest zresztą umieścić to zabójstwo w złożonym obrazie wypadków, jaki się wyłania; jeśli pomyśleć, że Ferrante Gonzaga rządzi Mediolanem z ramienia cesarza i że od jakiegoś już czasu ma ekspansjonistyczne zamiary wobec Piacenzy, nietrudno zrozumieć, jaka to podejrzana wymiana miała miejsce, albowiem wyeliminowanie Piera Luigiego Farnese to korzyść zarówno dla Gonzagi, jak i dla Karola V, który może wykorzystać to zdarzenie do zastraszenia Jego Świątobliwości Pawła III.

Myślę, że chodzi o cesarskie ostrzeżenie w związku ze słabymi oznakami przymierza, jakie Jego Świątobliwość zaproponował nowemu królowi Francji.

Karol nie ma najmniejszego zamiaru zmarnować sprzyjającej okazji, jaką ofiarował mu los: oto w ciągu zaledwie roku zmarło dwóch najdawniejszych jego przeciwników, odszczepienczy król Anglii Henryk VIII i wojowniczy król Francji Franciszek I. Do tego dochodzi jeszcze zwycięstwo cesarskich wojsk pod Mühlbergiem nad związkiem szmalkaldzkim; ten potężny cios zadany protestanckim książętom w niemałym stopniu podbudował cesarza.

Trudno więc byłoby się dziwić, gdyby Habsburg przypuścił atak także we Włoszech. To, czego nie mógł zyskać drogą dyplomatyczną

na soborze trydenckim, mógłby osiągnąć, osadzając na papieskim tronie własnego kandydata. Jest nim ów Reginald Pole, którego Wasza Wielmożność pragnąłby oddalić z Włoch raz na zawsze.

Dziś trzeba bardziej niż kiedykolwiek działać z należytą ostrożnością, aby uniknąć sytuacji, w której szkody będą nie do naprawienia.

Czas już, abym przeszedł do zreferowania najnowszych wypadków związanych z zadaniem zleconym mi przez Waszą Wielmożność.

Dzięki referencjom udzielonym mi przez Waszą Wielmożność nawiązałem listowne kontakty z władzami policyjnymi i z inkwizytorami w kilku wielkich miastach na całym półwyspie. Mogłem więc upewnić się, że promień działania ludzi rozpowszechniających *Błogosławieństwo Chrystusa* powiększa się: dziesięć dni temu znaleziono dwieście egzemplarzy tej książki w Neapolu. To najpokaźniejsza z sześciu konfiskat, jakich dokonano do tej pory. W dwóch z nich okazało się, że aby pokryć koszty transportu, zawierano umowy, które prowadziły do bogatej sefardyjskiej rodziny Mendesów. Ich udziału w całej operacji możemy już być bardziej niż pewni.

Otrzymałem od miejscowych władz pierwszy wykaz nazwisk osób, co do których uważam, iż należałoby przyglądać się im z pewnej odległości.

Oto one: Simone Infante w królestwie Neapolu; Alfredo Bonatti w księstwach Mantui, Modeny i Parmy; Pietro Perna w księstwie Mediolanu; Nicolò Brandani w Toskanii; Francesco Strozzi i Girolamo Donzellini w Wenecji.

Chodzi o dostawcę dworu w Neapolu, o dworzanina i faworyta księcia Mantui, o wędrownego sprzedawcę, który wymienia książki z wygnańcami z Bazylei, o członka cechu tkaczy z Florencji i o dwóch literatów, którzy uciekli z Rzymu.

Osoby te wskazują nader wyraźnie, jaką popularność i u kogo owo *Błogosławieństwo* może zdobyć we Włoszech. Dotyczy to ludzi wykształconych, pozostających w bliskich stosunkach z dworami swych panów i mogących pełnić funkcję nośników idei między szlachtą i członkami środowisk kupieckich i rzemieślniczych. Są to płotki, które mogą jednak stać się z upływem czasu niebezpieczne.

Moim zdaniem, jeśli nie ma możliwości dobrania się do potężnej rodziny Mendesów, pożyteczne mogłoby być pociągnięcie za ostatnie ogniwa tego łańcucha, aby ci sefardyjczycy poczuli na swoich karkach oddech Świętego Oficjum.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zapewnić, że oczekuję rozkazów Waszej Wielmożności i polecam się Waszej łasce.

Z Viterbo, 20 września 1547 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

Rozdział 25

Wenecja, 2 stycznia 1548 roku

Zmierzch. W salonie domu Miquezów, na tle wychodzącego na zachód okna odcina się sylwetka stojącej naprzeciwko mnie Beatrice. Oglądane pod światło rysy jej twarzy są teraz bardziej miękkie i rozlane. Popijam greckie wino, siedząc na otomanie. Nazywają je retsina. Jest aromatyczne i ma coś z zapachu żywicy nadmorskiej sosny.

Zostałem wezwany tutaj zaledwie godzinę temu, małą karteczkę przyniósł jakiś chłopiec. Pomyślałem, że są nowe wieści, ale nie ma João ani jego brata, ani nawet Duarte'go Gomeza, nikogo. Także służba gdzieś znikła po moim przybyciu. Tuż za progiem, dwa kroki od wejścia, oczekiwała mnie uśmiechnięta Beatrice.

Słysząc tylko stłumione szmery, echa bardzo dalekich głosów, gdy pociągam wino, o którym Perna nigdy mi nie wspominał, w otoczeniu dywanów, obrazów, przedmiotów w nigdy przeze mnie nieoglądanych kolorach, nawet w Antwerpii.

Niewiarygodny spokój, jakiego nie doświadczam w zaułkach i katakumbach, w których poruszam się co dzień i co noc, od zawsze. Spokój, który przynosi mi gdzieś daleko, poza tę zimę i poza wszystkie inne zimy. To nie jest to, co muszę zrobić, ale coś, co mogłoby być.

Z tą kobietą odmienną od wszystkich innych kobiet, które znałem.

Jej flamandzka wymowa, jakiej żaden Flamandczyk nie zdołałby odtworzyć, wolna od wszelkiej szorstkości, złożona z poświstywań, długich samogłosek i fonemów, jakich nigdy nie słyszałem. Są w tym echa różnych północnych języków i pieśni niesionych to przez północno-wschodni wicher, zwany tu *grecale*, to przez *libeccio*, czyli powiewy z przeciwnego kierunku, aromaty wschodu i zachodu, wywołujące dreszcz, który chodzi mi po plecach. Być może pewnego

dnia wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety ze wszystkich zakątków kontynentu stworzą jakieś nowe modulacje tych dźwięków, spokojną, paneuropejską melodię, w której odezwie się polifoniczne bogactwo tysięcy lokalnych wariantów.

Jej uśmiech. Sama. Sama, tylko ze mną. Królowa matka dynastii Miquezów, która prowadzi pertraktacje z arystokratami i kupcami, wspiera artystów i uczonych. Królowa w mieście sutenerów i kurtyzan. Poeci, którymi się opiekuje, poświęcają jej swoje strofy. Przerzucam kartki książki napisanej przez niejakiego Ortensia Landa: „Bardzo światłej i czcigodnej Beatriz de Luna”. Jej śmiech, w którym nie ma zakłopotania, lecz pełne rozbawienia współczucie.

Wypytuje mnie o Caratello, o zarządzanie, o dziewczyny. Siada koło mnie. Wcale nie żądna wiedzy o tym, kim byłem, przez jakie rzeki krwi przeszedłem i ile ich było. Kobieta, dla której nie ma znaczenia to, że miałem tak wiele imion. Kobieta ciekawa mnie *w tej chwili*. Mnie siedzącego tu *teraz*. Kobieta mówiąca mi właśnie o moich humanitarnych odruchach, oznajmiająca, że mój widok stał się dla niej wyzwaniem, że może odkryć moje ludzkie oblicze pod skorupą, którą noszę od zbyt dawna, pod tą nieczułą materią, w jaką zamieniłem moją skórę, żeby nie zostać znowu zranionym.

Jeszcze jeden łyk wina.

Ta kobieta. Kobieta, która mnie pragnie.

Beatrice.

To, co mogłoby być.

Już teraz.

Rozdział 26

Delta Padu, 26 lutego 1548 roku

Wzdłuż odnogi Padu, która łączy Ferrarę z wybrzeżem, z pięciuset egzemplarzami *Błogosławieństwa Chrystusa*, załadowanymi na dwie łodzie, oddane do dyspozycji przez braci Usque. Słońce spogląda z góry na muliste wody, które przepatrują polujące na pożywienie ptaki nad naszymi głowami i w zakolach rzeki. Kostniejemy w wilgotnym chłodzie pod grubymi, wełnianymi płaszczami.

Spostrzegam się za późno.

Płynąca przed nami łódź z połową ładunku skręca raptownie w bok: jej dziób odbija w prawo, aby uniknąć zderzenia z tratwą, która niespodziewanie wyskoczyła z trzcin na rzekę. Za moimi plecami przekleństwo sternika. W jednej chwili łódź znika w bocznym kanale, którego wejście jest niewidoczne w gęstej roślinności. Tratwa tuż za nią, na jej pokładzie trzy pochylone sylwetki.

Odruchowo sięgam po arkebus, próbuję wycelować, ale ich już nie ma.

— Za nimi! — wołam do sternika.

Ostry skręt, aby nie zostać za bardzo z tyłu. Słysząc krzyki i odgłosy skakania do wody, wpływamy do wąskiego kanału tylko po to, żeby się natknąć na przebiegających bezładnie rękami dwóch naszych flisaków. Tratwa i łódź oddalają się. Wyciągamy ich na pokład. Jednemu cieknie krew ze skroni, ma mocno zranioną głowę.

— Nie wolno ich zgubić!

Garbus Sebastiano rzuca przekleństwo i zanurza w wodzie długą żerdź, żeby odepchnąć się od dna.

Owijając głowę rannego kawałkiem płótna, zwracam się do drugiego z uratowanych.

— Co to za ludzie?

— Bandydzi, don Ludovico — odpowiada jednym tchem. —

Czyhali w zasadzce. Bezbożni bandyci. Popatrzcie tylko, co z niego zrobili!

Także i ja chwytam za żerdź, stoję wyprostowany na dziobie, przepatrując nieznajome zakole rzeki. Dochodzi mnie ponury głos przewoźnika Miquezów.

— To gorsze niż labirynt, wielmożny panie. Bagna i węże, całymi milami. Nikt stąd nie wraca.

— Na tamtej łodzi znajduje się przeszło połowa ładunku — protestuję. — Nie mam najmniejszego zamiaru go tracić.

Dostrzegam rufę naszej łodzi, nie posuwają się zbyt szybko, być może nie przypuszczają, że ktoś może ich ścigać. Jeszcze jedno zakole po lewej stronie, a potem znowu tracimy orientację w bardzo wąskim wejściu do następnego kanału. Południe, słońce w zenicie, widnokręgu nie widać, żadnego punktu orientacyjnego. Oddaliliśmy się już przynajmniej o dwie mile od rzeki.

Naciskam żerdź ze wszystkich sił, rozmyślając, że zjawilem się w Ferrarze tylko po to, żeby odebrać ładunek. Chce mi się śmiać z tego, gdzie jestem i co właśnie robię, ale się powstrzymuję, bo za moimi plecami Sebastiano spluwa, złorzeczy i spływa potem, odpychając łódź od dna rzeki.

Stwierdzam, że dwie łodzie znikły mi z pola widzenia, tak jakby połknęła je woda. Szukam jakiegoś szczegółu, jakiegoś znaku po bokach kanału, żeby dokładnie ustalić miejsce, w którym przestałem je widzieć. Martwe, przewrócone drzewo nurza się gałęziami w wodzie.

— Prędkiej, prędkiej!

Przekleństwa Sebastiana rozlegają się w rytmie ruchów jego ramion. Dopływamy do drzewa. Daję znak Garbusowi, żeby zatrzymał łódź. Badam przeciwległy brzeg żerdzią, aż w końcu odkrywam punkt, w którym trzciny są trochę rzadsze. Nie wygląda to na kanał, którym można by płynąć, ale oni nie mogli zniknąć w żadnym innym miejscu.

— Wpływamy do środka!

— Szanowny panie, tędy się nie przecisniemy, niech pan sam przyzna — upiera się Sebastiano.

Rzut oka na rannego. Krew przestała płynąć, ale stracił przytomność. Drugi flisak rzuca mi stanowcze spojrzenie i bierze do ręki małe wiosło.

— Płyniemy.

Robię przejście dla łodzi, odchylając na bok trzciny, które zamykają się nad naszymi głowami i za rufą. Badam ten gąszcz żerdzią piędz po piędzi, wychylony z dziobu. Trzciny las może rozciągać się tak samo zwarty i gęsty w promieniu wielu mil. Muszę myśleć tylko o niewidocznym szlaku wodnym, który go przecina, wyczuwać

miejsca, gdzie roślinność daje mniej oporu. Posuwamy się ostrożnie, w zupełnej ciszy. Nagle trzciny się kończą. Otwiera się widok na rozlewisko ciągnące się aż do piaszczystej wysepki.

Łódź. Pięciu ludzi: jeden ubezpiecza tratwę, pozostali czterej przenoszą dwie skrzynie. Kierują się na wąski cypel. Moi dwaj wioślarze wracają do poprzedniego rytmu, podczas gdy ja sięgam po arkebuz. Nie dostrzegli nas. Szybko prujemy stojącą wodę. Jeden z nich spogląda w naszą stronę za późno, gdy ja już celuję. Strzał podrywa wokół chmary ptactwa. Kiedy dym się rozwiewa, widzę, że ranny człowiek czołga się w kierunku swoich towarzyszy. Porzucają jedną skrzynię, ładują go sobie na plecy. Z rozpędu ładujemy na wysepce. Dobywam szpady i jako pierwszy wyskakuję z łodzi: ładuję po pas w szlamie, sterczę w nim jak pal. Znowu chce mi się śmiać. Sebastiano wyskakuje na brzeg trochę dalej i wyrывa mnie z mulistej pułapki.

— Prędeż, prędeż, panie, oni uciekają!

Wołam do drugiego z naszych wioślarzy:

— Załaduj arkebuz i zostań tu na straży.

Ruszamy zrawo po wąskim pasie ziemi. Tamci ciągną z trudem skrzynię i rannego. Ścigają ich jak pociski przekleństwa Sebastiana. Dostałem zadyszki i coraz bardziej chce mi się śmiać.

Otwiera się widok na następne rozlewisko, usiane wysepkami porośniętymi trzcina. Jeszcze trochę takiego biegu i serce wybuchnie mi w piersi.

Niespodziewanie zatrzymują się.

Zwalniam.

Sebastiano idzie koło mnie, spluwając. Oddycham pełnymi płucami, nabijam pistolet. Posuwamy się do przodu, wydaje się, że za cały oręż mają tylko kije. Ranny leży na ziemi, być może nie żyje. Twarze brudne i przerażone, okryci brudnymi łachmanami. Chudzi, włosy oblepiają im głowy niczym błotniste skorupy. Chudzi niesamowicie, bose stopy. Jesteśmy już blisko nich, podnoszę pistolet, rzut oka na biedaka na ziemi: nie zemdlał, mruga powiekami. Nie widzę krwi.

W tym właśnie momencie pojawiają się.

Krótki szelest trzciny i wyskakuje z nich ze trzydzieści obdartych widm, w rękach zastrzone kije i sierpy.

Wdepnęliśmy w gówno.

Wokół bagna jak okiem sięgnąć. Spoglądam na moje eleganckie ubranie, obok mnie garbaty Sebastiano podpiera się żerdzią; otoczeni przez dzikusów.

Więc to tak ma wyglądać koniec?

Tym razem naprawdę wybucham śmiechem. Ryczę ze śmiechu, głośno i po grubiąnsku. Wyrzucam z siebie zmęczenie i napięcie.

Musiało ich to nieźle zaskoczyć, bo przyciskają narzędzia do piersi i cofają się z zafrasowanymi minami.

Z roślinnego gąszczu dobiega zgiełk głosów. Nad wszystkimi góruje sylwetka jakiegoś typka. Oblepiony błotem habit, z szyi zwisają mu dwa związane na krzyż kawałki drewna, udające krucyfiks. W rękę ściska sękatą laskę, którą wymachuje na lewo i prawo, bełkocząc niezrozumiałe słowa.

Podchodzi do skrzyni i otwiera ją. Widzę, że podnosi oczy do nieba, jakby nagle czymś zniechęcony. Znowu pokrzykuje ostro do gromady obdartusów, jak gdyby udzielał im reprimendy.

Rusza w naszym kierunku.

— Wybaczcie, wybaczcie, bracia, wybaczcie nam. — Ma siwą brodę, dłuższą niż moja, oblepioną błotem i owadami. Oczy, dwie niebieskie głównie między zmarszczkami, w których zda się znalazł sobie schronienie wiekowy brud. Włosy opadają mu na ramiona i przypominają ptasie gniazdo.

— Wybaczcie nam, *fratres*. To prostaczkowie, całkiem jak dzieci. Żeby zarobić na jedzenie, tylko na jedzenie. *Numquam libras video**, nie wiedzą, co to jest.

W tym momencie zaczynam dostrzegać ruch na wysepkach. Trzcino-
wy las stanowi sztuczną zasłonę, widać w nim przejścia i poruszające się cienie. Duże sieci rozwieszono na sznurach i kijach tuż nad lustrem wody.

Wioska. Na Boga, te trzcinowe zarośla to wioska!

— Oni nie wiedzą, że wy misjonarze. Nie mogą wiedzieć, bo i skąd? Nie umieją czytać. Nie rzezimieszki, to ludzie nieuczenni. Ja — unosi rękę do piersi — brat Lucifero, franciszkanin.

Szuka właściwych słów.

— Nie bójcie się, wielebni bracia, ja już wiem. Wy przysłani z opactwa. — Wskazuje na skrzynię. — Bardzo chrześcijańskie książki. Oni nic nie wiedzą.

Odwraca się ku gromadzie, mówi coś, czego nie możemy zrozumieć, ale co brzmi jak uspokojenie.

— Chodźcie, chodźcie.

Jak na sygnał polana ożywa. Z trzciny wychodzą kobiety i dzieci i stają nad rozlewiskiem. Mężczyźni odchodzą grupkami w stronę domków, rozmawiając beładnie. Rannego podniesiono, mówi coś, on także przyłącza się do powszechnego zdumienia.

Sebastiano stoi z otwartymi ustami. Pociągam go za sobą i nakazuję mu milczenie.

Brat Lucifero, niosący światło ludowi odrzuconych, ukrytych między bagnami Padu niczym w fortecy nie do zdobycia. W mocza-

* Łac., nigdy nie widzieli książek.

rach, które rozciągają się od ujścia rzeki aż po granice Romanii. Ziemia niczyja, daleka i dzika jak Nowy Świat. Brata Lucifera przysłano tu prawie trzydzieści lat temu, żeby ewangelizował tych wyrzutków zapomnianych od Boga i ludzi, ale zapomniano także i o nim. Stracił kontakt z obecnym językiem i z losami państw. Zagubiony w tych bagnach, które na mapach są tylko plamą atramentu, idąc za przykładem brata Franciszka z Asyżu, przydźwigał tu krzyż Chrystusa, aby osadzić go w ruchomych piaskach tej ziemi, rzucić wyzwanie pogańskim zabobonom.

Trzydzieści lat.

Prawie nie można sobie tego wyobrazić. Trzydzieści lat oddalenia od spraw, które działy się w Kościele. Od Lutra, Kalwina, od inkwizycji i soboru. Aby krzewić wiarę opartą na czystym miłosierdziu wobec biedaków.

Nie przyjrawszy się naszym ubraniom, wziął nas za takich jak on sam misjonarzy, za brata Tiziana i brata Sebastiana, wysłanych przez opactwo w Pomposie, żeby rozpowszechniali nową doktrynę i książkę do jej nauki. Obsypał nas szczerymi pochlebstwami i poprosił, żebyśmy odprawili zamiast niego mszę. Nie mogłem się uchylić.

I w ten to sposób don Ludovico, zarządca najwytworniejszego burdelu Wenecji, stanął jako brat Tiziano wobec ludu mokradeł, aby celebrować jedyny religijny rytuał, na jaki było go stać. Ochrzczył na nowo wszystkich dorosłych. Od pierwszego do ostatniego.

Przy odjeździe przydzielono nam przewodnika i подарowano baryłkę żywych węgorzy, w podziękę za nową wiarę i za dwa egzemplarze *Błogosławieństwa Chrystusa*.

Z dziennika Q.

Viterbo, 26 lutego 1548 roku

Jeśli znam starszka, rozpocznie od płotek, jak mu podpowiedziałem. Księgarze, pośrednicy, drukarze. A jeżeli to nie wystarczy, żeby zniechęcić grube ryby, tych, co sfinansowali przedsięwzięcie, wtedy będzie musiał pomyśleć o czymś, co ich wyeliminuje. Ten starzec nigdy nie reaguje impulsywnie, potrafi czekać. Wydaje się, że także śmierć czeka na niego, nie ma ochoty go zabrać, dopóki nie doprowadzi do końca swojego planu. Nie jest łatwo usunąć takich ludzi jak Reginald Pole, a tym bardziej potężnych rodzin, jak ci Mendesowie. Trzeba wynaleźć jakiś złożony sposób, wstrząsnąć ustalonymi, wyważonymi strukturami. Bogaci weneccy Judejczycy to spryciarze przyzwyczajeni do tego, że się ich tropi, do płacenia za ratunek, do zawiązywania silnych więzów z ludźmi wykształconymi i kupcami, dzięki czemu jednoczą się z nimi niemal w jedną całość. Mendesowie obowiązkowo budzą podziw, dotyczy to zwłaszcza kobiet z ich rodziny, które musiały nauczyć się sztuki pertraktowania i uciekania się do podstępu, robienia interesów i uprawiania polityki.

Ale przeciwstawianie się Carafie jest zawsze błędem. Fatalnym błędem. Kto wie o tym lepiej ode mnie, człowieka, który służy mu od trzydziestu lat?

Tymczasem wiadomości od weneckich inkwizytorów donoszą o nowym zaniepokojeniu związanym z rozpowszechnianiem *Błogosławieństwa Chrystusa*. Wydaje się, że w wiejskich okolicach książka ta wywołuje niekontrolowane wydarzenia.

Wiadomości z Wenecji

— Inkwizycja wenecka jest na tropie franciszkanina, znanego pod imieniem *frate* Pioppo, czyli brat Topola, działającego w Polesine.

Wielu chłopów z tych stron wyznało na spowiedzi, że zostali przez niego ochrzczeni „w nowej wierze błogosławieństwa Jezusa Chrystusa”.

— Po drugiej stronie Padu rodzina rybaków odmówiła ochrzczenia własnego syna, „który nie może jeszcze zrozumieć tajemnicy Jezusa Chrystusa na krzyżu”. Nie wspomnieli ani słowem o bracie Pioppie.

— W Bassano pewna kobieta poprosiła o udzielenie jej schronienia w żeńskim klasztorze, ponieważ małżonek biciem usiłował przekonać ją do powtórnego ochrzczenia się. W domu tego człowieka znaleziono egzemplarz *Błogosławieństwa Chrystusa*.

Z prostej religijności wiejskiego ludu rodzą się najbardziej absurdalne mieszanki. Potężne idee w rękach ludzi o naiwnych umysłach. Skąd zaczerpnęli oni pomysł, żeby chrzcic dorosłych? Na pewno nie z treści tej heretyckiej broszury.

Zebrać najnowsze wiadomości.

Powiedzieć o nich Carafie?

27 lutego 1548 roku

Dlaczego staruszek nie użył jeszcze *Błogosławieństwa* jako oręża przeciwko Pole’owi i *Uduchowionym*? Dlaczego nie potępił jeszcze swoich przeciwników? Nie trzeba by mu było wiele; na książce ciąży klątwa soboru, wystarczyłoby uwięzić fra’ Benedetta z Mantui i kazać mu, żeby podał imiona swoich opiekunów i wyjawił, kto powierzył mu tekst, który potem zredagował i wydrukował.

Być może Carafa obawia się, że za prędko wyłoży swoje karty. Jeszcze czeka. Ale na co? Paweł III nie pożyje już długo i ten Anglik mógłby zostać papieżem, ku wielkiej radości cesarza, który dojrzałby w tym szansę pojednania z protestantami.

Może staruszek czeka tak cierpliwie właśnie na to, na możliwość wymierzenia w odpowiednim momencie śmiertelnego ciosu. Ale czy on myśli, że będzie żył w nieskończoność?

Z dziennika Q.

Viterbo, 4 maja 1548 roku

Brat Michele z Este, przeor klasztoru Świętego Bonawentury koło Rovigo, został przesłuchany przez inkwizytorów Najjaśniejszej Republiki 12 marca 1548 roku w związku z działalnością niejakiego brata Pioppa, podejrzanego o herezję.

Imię i nazwisko: Adalberto Rizzi, franciszkanin z klasztoru Świętego Bonawentury, zniknął pod koniec stycznia 1547 roku razem z niemieckim pielgrzymem, który mówił, że nazywa się Tiziano i który miał ochrzcić tamtego wodą z deszczowej kałuży.

Inne wiadomości od inkwizytorów weneckich

— Vicenza, 17 marca 1548 roku: zatrzymani zostali pewien stolarz i pewien karczmarz, przyłapani na tym, że szczekali podczas ceremonii chrztu. Zapytani o to, kto im wmówił, że „chrzczenie nowo narodzonych warte jest tyle, co mycie psa”, odpowiedzieli: „człowiek, który wyznaje wiarę z Niemiec i robi to w sposób przekonywający, ponieważ sam jest Niemcem”.

— Padwa, 6 kwietnia 1548 roku: student Luca Benetti utrzymuje publicznie, że „chrzest nie jest potrzebny prostym ludziom, którzy nie są w stanie poznać tajemnic wiary, a szczególnie tajemnicy błogosławieństwa Chrystusa, jakim obdarza on całą ludzkość”.

Przesłuchiwany w związku ze swoimi twierdzeniami utrzymuje, że podsunął mu je wykształcony Niemiec o imieniu Tiziano.

Elementy obrazu

Rovigo. Bassano. Vicenza. Padwa.

Wygląda to jak szlak, trasa. Podróż? Albo półkole, którego środkiem jest bez wątpienia Wenecja.

Jakiś Niemiec. Niemiec, którego obecność tłumaczy być może pochodzenie idei powtórnego chrztu.

(Czyżby anabaptysta?).

Niemiec, który podaje, że nazywa się Tiziano. Rozdaje egzemplarze *Błogosławieństwa Chrystusa* i chrzci powtórnie wieśniaków.

Niemiec Tiziano.

Skład Niemiecki w Wenecji. Freski, które namalował Giorgione i jego uczeń Tiziano na zewnętrznych ścianach budynku.

Nasz anabaptysta jest Niemcem, który mieszka w Wenecji.

To tak, jakby chciało się znaleźć igłę w stogu siana.

5 maja 1548 roku

Zawsze jest jakiś czas i miejsce, w którym każda rzecz zaczyna się i kończy. Są jednak rzeczy, które wracają. Wypływają na wierzch w zakamarkach duszy, niczym kawałki korka na powierzchnię jeziora. Tak jakby były jakimiś ponurymi groźbami albo argumentami za tym, żeby żyć dalej, pragnieniami pomszczenia się, drzazgami, odpryskami przeszłości.

Jest czas wojny i czas pokoju. Jest czas, w którym można zrobić wszystko, i czas, w którym nie ma się wyboru, ponieważ odwaga i werwa, jakie miało się w wieku dwudziestu lat, niespodziewanie nikną pod zmarszczkami na obliczu.

I człowiek zaczyna się bać przybycia posłańca. Jakie będzie następne zadanie? Boję się obrzydzenia, które ma do przebycia krótką drogę od żołądka do mózgu. Coś do ukrycia za powagą wypełnionych misji, za doświadczeniem, co jednak nie znika, a przeciwnie, staje się z każdym dniem coraz silniejsze, choćbyś chciał przepędzić je precz, niezdolny do znalezienia powodu, najmniejszego punktu zaczepienia, dla którego posłałeś tych mężczyzn i kobiety o tysiącu twarzy do piekła.

A potem pewnego dnia odkrywasz, że wmawiasz w siebie, że to nie byłeś ty. Że nie ty trzymałeś w ręku miecz. I wtedy pojmujesz, że jesteś skończony.

Z dziennika Q.

Viterbo, 10 sierpnia 1548 roku

Przybył z Ferrary protokół przesłuchania niejakiego brata Lucifera, w związku z rozpowszechnianiem herezji w gminie tak zwanych piratów znad Padu, którzy byli niegdyś plagą kupców z Ferrary, a ostatnio zostali wytepieni przez księcia Ercole II d'Este.

Przesłuchiwany okazał oczywiste oznaki szaleństwa, oświadczając, że nie wie, w jakim Roku Pańskim żyjemy, i twierdząc, że papieżem jest Leon X.

Oskarżony o wprowadzenie heretyckich i bliskich pogaństwu rytuałów w wiosce złoczyńców z mokradeł, a w szczególności o praktykowanie chrzczenia dorosłych, bronił się, twierdząc, że otrzymał takie zadanie od misjonarza, niejakiego brata Tiziana, przysłanego przez opata z Pomposy. Tenże miał mu podarować *librum de nova doctrina, Błogosławieństwo Chrystusa*, narzucając mu także powtórny chrzest.

Podarłem ten list. Inkwizytorzy z Wenecji są tylko nieudolnymi sługusami doży. Nie wiedzą nawet, czym jest anabaptyzm. Nie znaleźliby naszego misjonarza anabaptysty, nawet gdyby szukali go przez sto lat. Nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Każdy sygnał przychodzi z innej miejscowości, a wszystkie mają swoje epicentrum w Wenecji. Jak w układance. Dość zestawić wszystkie fragmenty. Jeden samotny człowiek wędruje między obszarem Republiki Wenecji i księstwem Ferrary, chrzcząc powtórnie mieszkańców i pozostawiając ślad w postaci imienia, jakie sobie wybrał. A kiedy przybywa tam inkwizycja, jego już nie ma, zanurzył się w nicości, w meandrach historii, która go wyrzygała. To jest wystarczająco oczywiste: nie chodzi o pielgrzymkę, nie można iść jego śladem. Tylko pojedyncze

punkty, wybrane tak, żeby uderzenie było pewne: ochrzcić, zostawić swoje imię dobrze już odcisnięte w uszach, i zniknąć. W przeciwnym razie po co wybrałby sobie imię tak dziwne i zarazem sławne?

17 sierpnia 1548 roku

Z zeznania brata Adalberta Rizziego, znanego także jako brat Pioppo, przyłapanego na brzegu Po od strony Ferrary 30 czerwca 1548 roku i osadzonego w więzieniu księcia d'Este:

„I on zachęcił mnie do rozważenia tego, że kiedy zapytał pięcioletnie dziecko, kto to jest Jezus Chrystus, ono odpowiedziało mu: to taki posąg. I z tego wnioskowałam, że nie należy podawać religijnej doktryny ludziom niezdolnym do jej zrozumienia...”.

„Powiedział, że uwielbienie wobec posągów i obrazów otwiera drogę ignoranckiej i prostackiej wierze...”.

„Tak, zapewnił, że nazywa się Tiziano i że udaje się do Rzymu...”.

Dziecko i posąg.

Dreszcze. Dreszcze gdzieś w środku głowy.

Dziecko i posąg.

Coś odległego, co przybliży się bardzo prędko, gnane wiatrem, który przepędza pamięć.

Dziecko i posąg.

Rozdział 27

Wenecja, 30 sierpnia 1548 roku

Ciemna sylwetka rysująca się w drzwiach. Duarte Gomez robi krok do przodu, zatrzymuje się i stuka obcasem w posadzkę. Oliwkowa cera, regularne, odrobinę kobiece rysy twarzy, zakłócone zmarszczką na czole.

Dają znak Demetrze, która każe dziewczętom wyjść.

— Co się dzieje?

— Chodź, proszę cię.

Wychodzę na dwór z asystentem Miqueza, idziemy podcieniem, a potem skręcamy w uliczkę, którą można iść tylko pojedynczo.

Stoją w niej obaj bracia. Jak dwaj najemni mordercy, czatujący na swoją ofiarę.

João góruje nad swoim bratem, ma na głowie wielki czarny kapelusz, przyozdobiony skórzaną wstęgą. Bernardo wygląda jak chłopczyk z tym śmiesznym, ledwo zaznaczonym zarostem na podbródku. Toledońskie szpady wystają spod płaszczy. Mrok gęstnieje z każdą chwilą.

— Co się dzieje, panowie? Dlaczego zachowujecie się tak tajemniczo?

Zwykły uśmiech João tym razem jest trochę wykrzywiony, tak jakby zmuszał się do niego na przekór swemu nastrojowi.

— Zatrzymali Pernę.

— Gdzie?

— W Mediolanie.

— Po cholere tam pojechał? Nie uzgodniliśmy, żeby się tam na razie nie pokazywać?

Twarze trzech sefardyjczyków posepnieją, dzienne światło niknie coraz bardziej.

— Miał dotrzeć tylko do Bergamo, odebrać pieniądze od księgarzy

i wrócić. Zdaje się, że postanowił zaryzykować. Oskarżają go o sprzedawanie heretyckich książek.

Wsluchuję się w mój oddech, odbijający się echem w całym zaułku. Opieram się o ścianę.

— Święte Oficjum?

— Można się założyć, że tak.

Zdenerwowany Gomez nie przestaje stukać obcasami po bruku.

— I co robimy?

João pokazuje zwinięty rulonik.

Płacimy i wyciągamy go stamtąd, zanim zrobią z tego poważną sprawę. Duarte wyjeżdża jeszcze tej nocy. Gonzaga jest mi winien pieniądze, zaproponowałem mu, że skreślę ten dług w zamian za dobre słowo.

— Czy to zadziała?

— Mam nadzieję, że tak.

— Psiakość! Nie podoba mi się to, João, bardzo mi się nie podoba.

— To był przypadek, jestem tego pewien. Pech, a do tego nierozwaga.

Mam jak najgorsze przecucia, nie jestem w stanie rozumować normalnie.

Starszy z Miquezów posyła mi bardziej otwarty uśmiech.

— Nie martw się. Jeszcze jestem najważniejszym finansistą w tym mieście. Nie ośmielą się nas tknąć.

Opieram się rękami o obie ściany, tak jakbym chciał odsunąć je od siebie.

— Jak długo jeszcze, João? Jak długo?

* * *

Wenecja, 3 września

Być może komuś udało się zebrać do kupy elementy tej łamigłówki. Niedobre wieści z Neapolu: Infante, nasza tamtejsza wtyczka, został zamknięty w więzieniu i będą go maglować inkwizytorzy.

Odkrywają powoli pajęczynę, którą utkaliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat.

Kardynał Carafa nie rzucił jeszcze do boju swoich najmocniejszych figur; ma związane ręce, dopóki Pole, Morone, Soranzo i wszyscy inni *Uduchowieni* cieszą się powszechnym uznaniem.

Gdyby Reginald Pole został papieżem, zanim Carafie uda się przejść do ataku, inkwizycję udałoby się powstrzymać; cała zabawa zaczęłaby się od początku, zdjęto by nawet kłatwę z *Błogosławieństwa Chrystusa*.

Lecz nasz spisek jest zbyt rozległy na jednego człowieka. Może się nawet wydać fascynujący komuś, kto doczekał piątej dziesiątki lat życia i jest w stanie docenić geometryczną harmonię całego zamysłu. Ale jest jeszcze coś do zrobienia. Coś bardziej osobistego.

Coś, co czeka od dwudziestu lat. Kiedy mięśnie zaczynają sztywnieć, a kości robią się coraz bardziej obolałe, niewyrównane dotąd rachunki stają się ważniejsze od nowych bitew i strategicznych planów.

Anabaptysta Tiziano będzie musiał uderzyć znowu, ale daleko stąd; kiedy tutaj grunt zaczyna się palić pod nogami, trzeba odsunąć zemstę jak najdalej od weneckich spraw.

Musisz zjawić się tu, żeby mnie szukać. Żebym ja mógł cię wreszcie dopaść.

Z dziennika Q.

Wenecja, 28 września 1548 roku

W Wenecji herezję można znaleźć wszędzie.

W sposobie ubierania się kobiet, umożliwiającym pokazywanie gołych piersi, w wysokich na piędź podeszwach bucików. W tysiącu wąskich zaułków, gdzie rozsiewa się szeptem zabronione doktryny. W absurdalnych fundamentach, na których wspiera się to miasto.

W Wenecji można też wszędzie spotkać Niemców. Nie ma uliczki, placu czy kanału, który nie poznałby języka, jakim mówił Luter.

Wenecja: idealne miejsce do tropienia cudzych śladów.

Piwiarnia Składu. Wzmianki na temat anabaptyzmu rzucające tu i tam, aluzje do rzezi w Münsterze, żadnej pożytecznej wiadomości. Tiziano: *Kto taki, ten malarz?* Po prostu nic.

Kółko po straganach Rialto, żeby wyczuć nastrój unoszący się w powietrzu. Spojrzenie tu i tam na moście, potem handlową uliczką Mercerie aż do placu Świętego Marka. Ludzie zajęci interesami, Niemcy handlujący futrami, nie do pomyslenia, żeby któryś z nich mógł ochrzcić na nowo zakonnika z klasztoru w Rovigo, a tym bardziej znaleźć się wśród studentów z Padwy.

Studenci; ten Tiziano musi być człowiekiem wykształconym, człowiekiem, który potrafi posłużyć się językiem uniwersytetu i porozumieć z karczmarzem i stolarzem z Bassano.

Odnoszę wrażenie, że człowiek, którego szukam, nie pokazuje się w tych miejscach.

Wenecja, 30 września 1548 roku

Archiwum inkwizycji.

Trzech Niemców zamieszanych w procesy o herezję:

— Mathias Kleber, trzydzieści dwa lata, Bawarczyk, od dwunastu lat pracuje w Wenecji jako lutnik, przyłapany na kradzieży poświęconych hostii z tabernakulum kościoła San Rocco, skazany na wygnanie, ale uratował się okazaną skrucną i nawróceniem na wiarę katolicką.

— Ernst Hreusch, czterdzieści jeden lat, handlarz drewnem, pochodzący z Moguncji, sądzony za umieszczanie napisów wychwalających Lutra na ścianach kościołów pod wezwaniem Mojżesza i Zachariasza. Zobowiązany do starcia tych napisów i złożenia ofiary w wysokości stu pięćdziesięciu dukatów na oba te kościoły.

— Werner Kaltz, dwadzieścia sześć lat, włóczęga pochodzący z Zurychu, oskarżony jako czarownik za uprawianie działalności chiromanty, alchemika i astrologa. Uciekł z więzienia dei Piombi, dotychczas pozostaje na wolności.

Profanator, fanatyk Lutra, czarownik. Próbuję wyobrazić ich sobie w różnych sytuacjach, związanych z tajemniczym Tizianem, ale nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z nich nadawał się rzeczywiście do roli misjonarza propagującego anabaptyzm.

A może zrobić coś odwrotnego: wyobrazić sobie tego Tiziana, ożywić jego widmo i kazać mu krążyć jak marionetce po uliczkach i sklepach miasta. Nie, to na nic.

W Wenecji Tiziano nie jest Tizianem. Tu jest kimś innym. Gdyby chrzcił na nowo także tutaj, to ślad tego zachowałby się w pamięci mieszkańców w jakimś zakątku miasta. Tutaj Tiziano ukrywa swoją tożsamość, a za to stara się, żeby tamte jego działania zyskały jak największy oddźwięk.

Kim jest albo kim był misjonarz Tiziano w Wenecji?

Rozdział 28

Wenecja, 18 października 1548 roku

Poprzedził ich list. To dlatego stoimy tu na nabrzeżu, wpatrując się uporczywie w wody kanału della Giudecca, w głębi którego powinni się ukazać.

Bernardo Miquez spaceruje tam i z powrotem. João stoi nieruchomy jak posąg, elegancki jak zawsze, skórzane rękawice wciśnięte za pas, szerokie rękawy kurtki trzepoczą na wietrze.

Demetra zrobiła mi na tę lodowatą jesień wełniany szalik. Powinienem być jej za to wdzięczny, bo od jakiegoś czasu gardło robi mi brzydkie kawały.

Przyglądam się wielkim barkom, które wolno dobijają do przystani, żeby pozbyć się swego ładunku, wielobarwnej, ożywionej ciżby ludzkiej.

— Do pałacu doży i Świętego Marka!

Wzdrygam się na dźwięk chrypliwego głosu wielkiego, czarnego kruka, którego niosą w klatce.

João śmieje się na cały głos na widok mojej miny.

— Gadające ptaki, przyjacielu! To miasto nigdy nie przestanie zdumiewać.

Bernardo wychyla się na samej krawędzi nabrzeża, ryzykując, że straci równowagę i wpadnie do wody.

— Są!

— Gdzie? — Wolę nie przyznawać się głośno do tego, że mój wzrok nie jest już tak ostry jak niegdyś.

— Tam, już ich widać!

Udaję, że rozpoznałem łódź, która wciąż jest tylko szarą plamą.

— To na pewno oni?

— Ależ tak! Popatrz tylko na Sebastiana!

— Na Mojżesza i wszystkich świętych proroków! Jest Perna!

Udało się! Duarte spisał się jak zuch! — João pozwala sobie na okazanie szczerzej radości.

— Obrzydliwe bękarty, haniebne gówniarze, niewiele brakowało, Chryste Panie, a zostałbym na zawsze w tej dziurze pod ziemią, w tej pleśni i zgniliznie. — Oddycha głęboko, w oczach ma jeszcze przerażenie. — To mordercy, i nic więcej. Można było oszaleć, Ludovico, mój przyjacielu, ale naprawdę były tam myszy wielkości psich szczeniaków, nie uwierzysz, musiałbyś sam je zobaczyć, o, takie, to dopiero bękarty, miesiąc w takiej latrynie, nazywają to więzieniem, żeby ich wszystkich Turki powbijają na pał, popatrz, Ludovico, o, takie wielkie myszy i strażnicy niczym potwory rodem z Apokalipsy, potrzymaj człowieka w tych lochach przez rok, a wyzna ci, co będziesz chciał, nawet i to, że... och, ale oni zapisują wszystko, absolutnie wszystko, nie pomina jednego słowa, siedzi tam zawsze taki palant z piórem i zapisuje, co mówisz, a jak szybko pisze, ani na moment nie oderwie oczu od papieru, kichniesz, a on to zapisuje, *capito?*

Nieliczne, zmierzwione włosy opadają mu na twarz, oczy zapadnięte głęboko, tylko szczęka lata mu jak zawsze i pewnie wgrzyzłaby się w kotlet usmażony przez Demetrę, gdyby nie to, że jest tak zajęta wylewaniem tego potoku słów.

Polyka wreszcie pierwszy kęs i zdaje się odzyskiwać potrzebną jasność umysłu. Na moment odrywa wzrok od talerza.

— Zgarnęli kogoś jeszcze?

— Infante w Neapolu.

Oddycha z ulgą.

— Ale to nie jest jeszcze najgorsza wiadomość.

Małe oczka Perny mierzą mnie z wyrazem zaniepokojenia.

— Kogo jeszcze?

— Benedetta Fontaniniego.

Księgarz unosi ręce, żeby przygłodzić resztki włosów, które mu jeszcze zostały.

— Święte nieba, wdepnęliśmy w prawdziwe gówno...

— Zamknęli go w klasztorze Santa Giustina w Padwie. Oskarżają o napisanie *Błogosławieństwa Chrystusa*. Ryzykuje, że będzie tam gnił do śmierci.

Perna prostuje się.

— Odtąd będziemy musieli naprawdę uważać. — Spogląda po kolei na całą naszą trójkę. — I to wszyscy, ilu nas jest. — Jego wzrok zatrzymuje się na João. — Ty też nie myśl, że jesteś dużo bezpieczniejszy od nas, bo jak oni biorą się do czegoś poważnie, robią się straszni dla wszystkich. Tu w Wenecji nic nam w tej chwili nie grozi, ale dali nam niezłe ostrzeżenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Napelniam mu kieliszek winem.

— Zrozumieli wszystko. Wiedzą, kim jesteśmy, kto ma z tym jakieś powiązania. Najpierw zatrzymali João, potem mnie i tego biedaka Infante. Następnie wyławiają Benedetta z Mantui... — Przeżuwa i przetyka to, co ma w ustach.

Duarte przygląda się nam.

— O kim tu mowa?

Perna upuszcza na talerz widelec. Zapada cisza. Lokal Caratello jest zamknięty, jesteśmy sami, trzech sefardyjczyków i dwóch podstarzałych niedowiarków siedzi wokół stołu, żeby knuć spiski; czysta radość dla każdego inkwizytora.

Perna kuli się jak kot.

— Mówimy o tym cholernym palancie, tak, panowie, o Jego Pieprzonej Eminencji Giovannim Pietro Carafie. Mówimy o *Gorliwych*. O tych, co chcieliby zrobić sobie wisioriki z jaj Reginalda Pole'a i jego przyjaciół. Cholerne bękarty, oni i ich siepacze. Jeszcze ich nie spuścili ze smyczy, ale nie będą z tym zwlekać, zobaczycie. — Rzuca okiem na João. — A tych nie kupisz, przyjacielu, rozumiemy się? Nieprzekupne gnojki.

Przerywam mu.

— Ani Mediolan, ani Neapol, ani tym bardziej Wenecja nie dopuszczają, żeby rzymska inkwizycja wtryniała nos w ich interesy.

— W interesy, użyłeś właściwego słowa. Na razie nie widzą żadnej korzyści, żeby zostawiać im wolną rękę, w tej kwestii masz rację. Ale wszystko zależy od tego, kto zasiądzie na papieskim tronie i kto będzie ustalał reguły gry, kiedy Paweł Trzeci wyciągnie kopyta. W każdym razie, żeby uniknąć ingerencji Rzymu, weneccjanie mogliby pomyśleć o porachowaniu się z nami własnymi siłami, nie czekając na Carafę i jego przyjaciół.

Przetyka kolejny kęs.

— Co za obrzydliwość, jak pomyślę o tej latrynie, przechodzi mi ochota do jedzenia.

Z dziennika Q.

Wenecja, 5 listopada 1548 roku

Dziecko, które uważa Jezusa za posąg.

Przemierzyłem miasto wzdłuż i wszerz. Szukam Niemca, zawierając intuicji; w tym celu zajrzałem do księgarni, w których mógł on kupić *Błogosławieństwo Chrystusa*.

Odwiedziłem sklep ze studnią w szyldzie księgarza Andrei Arivabene, miejsce, które Tiziano na pewno zna. Udałem, że interesuje mnie doktryna anabaptyzmu, mając nadzieję, że wskaże mi kogoś, do kogo mógłbym się zwrócić.

Wszystko na nic.

Wenecja, 7 listopada 1548 roku

Dziecko i posąg Chrystusa.

Dziecko, które wierzyło, że Chrystus to tylko posąg.

Dziecko mające *pięć lat*.

Dziecko, do którego kaznodzieja z Münsteru, Bernhard Rothmann, zwrócił się z pytaniem, kto jest Jezus.

To taki posążek.

Anegdotka powtarzana w nieskończoność w dniach tamtego szaleństwa.

W dniach Króla Dawida.

Trudno jest wracać do przeszłości. To bolesne. Wspomnienia długich, niekończących się rozmów, podbechtujących tego kaznodzieję do szaleństwa, podpowiadających zawiedzionemu, zagubionemu człowiekowi najbardziej obłądne kroki.

Przerażenie i powolny rozkład.

Ostatnie dni Münsteru.

Już za murami miasta, pierwszy dreszcz niepewności. Pragnąłem zapomnieć o tym wszystkim.

Niemiecki pielgrzym Tiziano, który ochrzcił Adalberta Rizziego, alias brata Pioppa, a także brata Lucifera i piratów z Padu, znał Bernharda Rothmanna.

Musi to być ktoś z Münsteru, ktoś, kogo znałem.

Znowu wyszedłem na ulicę, tym razem po to, żeby szukać twarzy. Odwracałem się na dźwięk każdego słowa wypowiedanego w moim języku. Przyglądałem się uważnie twarzom ukrytym za brodami, osłoniętym długimi i krótkimi włosami, naznaczonym bliznami i zmarszczkami. Niczym w halucynacji, w każdej z nich znajdowałem coś, co potwierdzało podejrzenie.

Ale i to nie zda się na nic.

Rozdział 29

Wenecja, 11 listopada 1548 roku

Niełatwo jest im wytłumaczyć, że muszę wyjechać. Niełatwo jest opowiedzieć o bardzo starym wrogu. O Kohelecie, pozornym sprzymierzeńcu od niepamiętnych czasów, zdrajcy, człowieku, który wśliznął się w nasze szeregi.

Nie będzie łatwo, ale to konieczne. Muszę wytłumaczyć podróże, jakie odbyłem w ostatnich miesiącach, opowiadając taką bajeczkę: oto apostoł Tiziano z *Błogosławieństwem Chrystusa* w jednej ręce i wodą z Jordanu w drugiej. Który chce zamknąć wreszcie rachunek otwarty przeszło dwadzieścia lat temu. Starając się skierować zbira Carafy, tak dzielnego i tak przebiegłego, na trop rzekomego heretyka, anabaptysty, skrojonego na jego miarę. Nie mam już więcej czasu do dyspozycji. Kocioł zaczął się zamykać wcześniej, niż przewidywałem, ale wiedziałem, że kiedyś się zamknie. Igram z ogniem i nie mogę już ryzykować, że oni wkroczą z nogami w sam środek mojego życia. Zawsze ten sam niewybaczalny błąd, który popełniałem przez całe życie: że oto moja przeszłość wdziera się do terażniejszości, sprowadzając ruinę wszystkiego, narażając na rzeź moich przyjaciół, współników, kochanki. Demetra, Beatrice, João, Pietro. Imiona tych, którzy mogą wkrótce umrzeć. Muszę wyjechać, zanim to nastąpi. Pociągając za sobą anioła zniszczenia i tego wiecznego siepacza, rezygnując z tego, co było mi drogie w ostatnim okresie. Powędrować aż do ostatnich rozstajów, do kresów tej pieprzonej Europy, którą przemierzyłem wzdłuż i wszerz. Zmusić go, żeby mnie ścigał aż tam i na tym śmierdzącym zadupiu wyrównać rachunki za wiele żywotów. Staniemy naprzeciwko siebie sami, tylko on i ja.

Nieważne, jak długo to potrwa, Eloï może sobie wziąć z powrotem swoje imię i nazwisko; będę tylko szalonym baptystą Tizianem.

João zastąpi mnie i zaopiekuje się burdelem i Demetrą. Będę

przenosił się z miejsca na miejsce, zostawiając wszędzie ślady, będą kołował dopóty, dopóki nie wyprowadzę tego Koheleta na światło dnia.

Perna, ty sam to powiedziałeś: trzeba się dowiedzieć, ku czemu to wszystko zmierza, rzucić na stół swój los i życie, żeby nadać im jakiś sens. Żeby znaleźć przyczynę wszystkich klęsk i umotywować to, co zostało jeszcze do przeżycia. Nie porzucam tej gry, chcę ją dokończyć. W jakikolwiek sposób.

* * *

Z osłupiałych spojrzeń i z zaciśniętych ust dobywa się tylko dźwięczny głos Beatrice:

— Podstępny, do jakich życie zmuszało moją rodzinę, nie przeszkadzały nigdy doceniać szczerości, Ludovico.

Uśmiecha się, moje słowa nie rozbroiły jej czarnych oczu.

— Pozwól więc, że zrewanżuję ci się za twoją śmiałość. Nie ty jesteś przyczyną niebezpieczeństwa, które nam zagraża: wszyscy wiedzieliśmy od samego początku, jakim zagrożeniem wychodzimy naprzeciw, podejmując wspólną akcję rozpowszechniania *Błogosławieństwa Chrystusa*. Zlekceważyliśmy soborową ekskomunikę, inkwizycję, dwuznaczną politykę weneckich potentatów. W jakim celu? Duchowa wojna prowadzona przez czarne psy Świętego Oficjum zagraża nam wszystkim. Nie uratowałyby nas udawanie, że o tym nie wiemy. Popatrz, kogo masz przed sobą: pokątnego księgarza, właścicielkę burdelu i bogatą żydowską rodzinę, która ucieka od pół wieku. No i jesteś ty: heretyk, odrzucony, złodziej i sutener. Stanowimy to, co oni chcą zmieść z powierzchni ziemi. Jeśli zwyciężą, wezmą wszystko, zajmą całą przestrzeń. Zamkną nas w więzieniu, a ci, którzy będą mieli najwięcej szczęścia, umrą.

Beatrice podchodzi do okna, za którym widać kanał della Giudecca na tle Świętego Marka. Zamienia się w ciemny cień.

— Mówiłeś o osobistym obowiązku, jakim jest wyrównanie rachunków — ciągnie. — O czarnym skrzydle, które krąży ci nad głową przez całe życie i zmiata wszystko, co jest ci drogim. Twoje zmartwienia są szlachetne i rozsądne, ale każdy musi wykonać swoją część. Ja też jestem przekonana, że byłoby wskazane rozdzielić się, ale tylko zachowując jedność w realizacji wspólnego planu. Trop Tiziana, który będzie się oddalał, siejąc herezję i zamieszanie, może wyprowadzić te psy na manowce, pomieszać im powonienie, zwalniając ich marsz w oczekiwaniu na nowego papieża. Ale jeśli to będzie twoim zadaniem, każdy z nas musi podjąć się innego.

Podnosi się João, ani cienia uśmiechu.

— Ty, ciociu, mogłabyś trzymać otwartą drogę ucieczki. Twoja charyzma i twoje znajomości na dworze w Ferrarze, gdzie jesteśmy mile widziani z tytułu pożyczek udzielanych księciu i z powodu twojej osobistej kultury, mogą dać nam wszystkim pewną przystań na wypadek jakiejś katastrofy. Ja zostanę tu, w Wenecji, żeby podtrzymywać nasze wpływy. Czas najwyższy, żeby patrycjusze i kupcy tego miasta pokazali, że doceniają tych, którzy umożliwiają im życie w przepychu i robienie interesów. A jednocześnie mogą zająć się nowymi układami, mam na myśli kontakty z tureckim dworem, nawiązane ostatnio.

Zwraca się do Perny.

— Lepiej by było, gdybyś oddalił się na jakiś czas. Będiesz moim agentem na wschodnim wybrzeżu Adriatyku. Będiesz rozpowszechniał nowe tłumaczenie *Błogosławieństwa* w Chorwacji i Dalmacji, aż po Ragusę i dalej. Ale nie będziesz się zajmował tylko książkami, zostaniesz moim agentem łącznikowym na terenach, które znajdują się poza zasięgiem inkwizycji.

Mały Włoch podskakuje.

— Sprzedawać książki Turkom? Chyba śnie! Kręcić się po tych brzydko pachnących kałużach? Oto jaki los czeka Pietra Perne, człowieka, który ma nazwisko, którego szanują w Bazylei i w Rzymie! Ludovico, powiedz coś!

— Tak, rzeczywiście, potrzebujesz nowego nazwiska. Może nie tak szanownego, ale mniej znanego siepaczom.

Perna opada na fotel, niemal w nim niknąc, jego nogi dyndają w powietrzu.

João uśmiecha się do Demetry.

— Urzekająca donna Demetra będzie dalej prowadzić Caratello, jakby nigdy nic, nadstawiając bezustannie uszu na każdą niedyskrecję swoich co ważniejszych klientów. Cenna może się okazać każda informacja. Będziemy opiekować się nią i dziewczętami podczas nieobecności Ludovica.

— Nie ma co zaprzeczać — odzywa się znowu Beatrice — że nasz los zależy w dużej części od tego, kto zostanie nowym papieżem. Będziemy czekać aż do tej chwili, i dopiero wtedy zdecydujemy, co z sobą zrobić w nowej sytuacji.

Bernardo napełnia kieliszki. João unosi swój jako pierwszy, uśmiech wrócił mu na twarz.

— A zatem za przyszłego papieża!

Rozładowujemy napięcie głośnym wybuchem śmiechu.

Z dziennika Q.

Wenecja, 14 listopada 1548 roku

Uzyskane informacje o miejscach uczęszczanych albo prowadzonych przez Niemców.

— Księgarnia Srebrna Lilia, specjalizująca się w sprzedaży książek pisanych przez luteranów i sakramentystów, własność niejakiego Hermanna Reidla.

— Friedrich von Melleren, hrabia, działacz wąskiego kółka niemieckich literatów w Wenecji, ma pałac tuż za Składem Niemieckim.

— Tawerna Czarny Las, kierowana przez Niemkę, która wyszła za weneckiego kupca. Spotykają się tam rzemieślnicy, introligatorzy, złotnicy, szewcy...

— Tawerna Il Caratello, własność Ludwiga Schaliedeckera, znanego jako „Il Tedesco”, oraz pewnej Greczynki. Ulubiony burdel dobrze sytuowanych Niemców wyższego stanu.

— Tawerna Jedwabna, miejsce spotkań kupców, własność Hansa Gastwirta. Prowadzi się tu gry hazardowe i wymienia pieniądze po korzystnych kursach.

— Warsztat Jacopa Maniera, szklarza; w każdy czwartek po niesporach ma tu zebranie wspólnota kalwińska (Włosi, Szwajcarzy i Niemcy).

Wenecja, 15 listopada 1548 roku

Dzień spędzony w Czarnym Lesie i w księgarni Hermanna Reidla.
Nic.

Nazwisko, które gdzieś słyszałem: Ludwig Schaliendecker. Tylko gdzie? Między niemieckimi odstępcami? Musiało to mieć coś wspólnego z Wittenbergą.

Ludwig Schaliendecker, współwłaściciel burdelu Caratello.
Sprawdzić jutro.

Rozdział 30

Wenecja, 16 listopada 1548 roku

Opiera się na mnie, żeby nie stracić równowagi przy wsiadaniu do dużej łodzi, która zawiezie nas na karakę braci Miquez, przycumowaną za wyspą. Drugą ręką podtrzymuje ciężką spódnicę, wspomaganą przez służącą, która uważa, żeby rąbki stroju jej pani nie zmoczyły się. Zachowuje nieskończone dostojęństwo w sytuacji, w której inne szlachetnie urodzone kobiety wydałyby się po prostu niezdarne i skrepowane zdobiącym je ryszunkiem. Nie mogę się powstrzymać od myśli, że Beatrice jest wyjątkową, promienną istotą.

Pomagam jej zająć miejsce na ławce i ułożyć zawiniętą wysoko spódnicę.

Garbus Sebastiano stoi na rufie, trzymając wiosło w gotowości.

João i Bernardo obejmują się.

— Nie bój się niczego, ciociu, zostawiam cię w dobrych rękach. Napisz mi, jak tylko dotrzecie do Ferrary, i przekazaj moje pozdrowienia księciu Ercole i księżniczce Renacie.

— A ty uważaj na siebie, João, te uliczki mogą być bardziej zdradliwe od lochów niejednego zamku. I pilnuj Bernarda, gdyby coś mu się przydarzyło, obarczę cię odpowiedzialnością.

— Nie bój się. Niebawem spotkamy się wszyscy.

João rozjaśnia się w uśmiechu.

— Życzę ci szczęścia, przyjacielu. Pilnuj się i nie ryzykuj zbyt wiele. To niebezpieczni ludzie...

— Ja też czasami taki bywam.

Sebastiano odepchnął już łódź od nabrzeża, dwaj bracia pozdrawiają nas na pożegnanie wysoko uniesionymi rękami.

Wiadomość przysłała o świcie. Pewien franciszkanin zjawił się skrycie w Caratello i powiedział, że inkwizycja planuje zatrzymanie

Beatrice. Dziś ma zostać przesłuchana w związku z donosami, jakoby miała być fałszywą chrześcijanką i potajemnie wyznawać judaizm.

Zastraszenie, słaba próba wywarcia nacisku na niewygodną dla wszystkich rodzinę; być może to szantaż, który ma wymusić rezygnację z części wiarytelnosci. Patrycjusz Najjaśniejszej robią pod siebie. Który z nich nie otrzymał pożyczek od Mendesów, jak ich tutaj nazywają? Komu nie stoi kością w gardle ich ogromny rodzinny majątek?

João kazał natychmiast przygotować karakę, nie było chwili do stracenia.

Tak więc wyruszamy, nie mając czasu nawet na zastanowienie się nad sytuacją.

Ferrara. Tam rozpocznie się wędrówka Tiziana. Tym razem będzie to długa podróż. Miasto księcia d'Este stanie się bezpiecznym domem, do którego będzie można wrócić, żeby odebrać wieści z Wenecji. Chcę skierować się ku południowi, w kierunku Bolonii, i po przekroczeniu Apeninów dotrzeć do Florencji. Przed pożegnaniem się Perna oznajmił, że nie wolno mi umrzeć, nie ujrawszy przedtem Florencji. Biedny mały Perna, wysłany na chorwackie wybrzeże. Nie wątpię, że zdobędzie szacunek także i tam; bo księgarz Pietro płacze i rozpacza, ale w końcu jego duża, łysiejąca głowa wylania się nietknięta, gotowa wyrzucić z siebie niekończący się potok słów.

A więc już blisko. Jesteśmy na końcowym etapie, na ostatnim odcinku drogi i mamy przed sobą nową przygodę. Jestem szaleńcem, starym ptakiem usadowionym na tej ławce, z siwą brodą i dolegliwościami, które nie dają mi spokoju. Jestem szaleńcem, i znowu chce mi się śmiać. Jeszcze nie mogę uwierzyć, że ponownie wędruję, by zwiastować burzę. Moje refleksje wracają do czasów, gdy to wszystko się zaczęło. Przychodzi mi na myśl, że życie splotło się z wojną, z uciekaniem, z iskrami zapalającymi równinę i z zalewającymi ją falami potopu. Powiniennem wcisnąć stare kości w jakąś dziurę i odejść w pogodzie ducha, po trochu, kołysząc w pamięci twarze kobiet i przyjaciół. A za to jestem jeszcze tutaj, żeby wystawić się ścigającym mnie psom, żeby wyrównać rachunek za wszystkie te twarze. Obsesja starego heretyka, który nie potrafi dać sobie z tym wszystkim spokoju.

Ostatnie wyzwanie, ostatnia bitwa. Mogłem umrzeć we Frankenhausem, na którymś z placów Münsteru, w Holandii, w lochach inkwizycji w Antwerpii. Jestem tutaj. Zamknąć tę grę, rozwiązać zagadkę, to już ostatnia rzecz, jaka została do zrobienia.

Z dziennika Q.

Wenecja, 16 listopada 1548 roku

Odwiędziłem Caratello. Ludwiga Schaliedeckera albo Ludovica, czyli współwłaściciela, nie było. Wyjechał nie wiadomo dokąd. Pytania rzucone tu i tam, nie chcę obudzić u nikogo podejrzeń.

Wyraźniejsze wspomnienia: Eloisius de Schaliedecker. Wittenberga. Przeszło dwadzieścia lat temu pewien człowiek przyszedł rzucić wyzwanie Lutrowi i Melanchtonowi. Sprawił, że mówił o nim cały uniwersytet z powodu jego dziwacznych poglądów na kwestię grzechu i doskonalenia się.

Być może pochodził z Niderlandów albo z Flandrii, tego już nie pamiętam.

Odświeżyć informacje. Napisać do inkwizycji w Amsterdamie i w Antwerpii. Przydałaby się rekomendacja Carafy. A to oznaczałoby poinformowanie go o moich podejrzaniach.

W każdym razie trzeba by na to miesięcy.

Kontynuować poszukiwania tu, w Wenecji. Mieć na oku Caratello, w oczekiwaniu na jego powrót.

Napisać do inkwizytorów w Mediolanie, Ferrarze i Bolonii, żeby zdobyć nowe informacje o anabaptyście Tizianie.

Tajne oko Carafy
(1548)

List wysłany do Rzymu z Wenecji, adresowany do Gianpietra Carafy, z datą 17 listopada 1548 roku.

Do najczcigodniejszego i najdostojniejszego Giovanniego Pietra Carafy.

Panie mój, właśnie dziś dotarł do mnie Wasz bardzo pilny list. To pismo dotrze do rąk Waszej Wielmożności najwyżej na dwa dni przed moim przybyciem do Rzymu. Będę gotów natychmiast wykonać zadania, które Wasza Wielmożność zechce mi powierzyć.

Moim obowiązkiem i pragnieniem jest poinformować Waszą Wielmożność, że nagle pogorszenie się zdrowia papieża Farnese oddała mnie, co konstatuje z przykrością, której nie będę ukrywał, od śledzenia bardzo obiecującego tropu związanego z rozpowszechnianiem *Błogosławieństwa Chrystusa*. Wyobraźnia podsuwa mi przeczucie, że w planach Waszej Wielmożności, mających na celu pokrzyżowanie zamiarów Reginalda Pole'a, znajduje się wykorzystanie tego właśnie traktaciku. Ufam zatem, że to nagle przyspieszenie wypadków spowoduje jedynie zawieszenie śledztwa, które prowadzę już od wielu miesięcy, jako że jest ono jeszcze dalekie od zakończenia i wyjaśnienia wszystkich wątków.

Pokładając zaufanie, że włoskie rumaki pozwolą mi jak najprędzej stanąć do dyspozycji Waszej Wielmożności, całuję ręce mojego Pana.

Z Wenecji, 17 listopada 1548 roku,
wierny sługa Waszej Wielmożności
Q.

Rozdział 31

*Finale Emilia, granica celna między księstwami
Modeny i Ferrary, 2 kwietnia 1549 roku*

Stacja zmiany koni to oddzielne domostwo położone pośrodku płaskiej, jednostajnej okolicy. Linie horyzontu przerywają tylko rozrzucone tu i ówdzie zagajniki. Koń jest zmęczony, moje plecy i nogi też.

Wewnętrzny dziedziniec pełen jest kur i wróbli, które współzawodniczą w podkradaniu sobie niewidocznych okruchów w piasku i żwirze. Stary pies szczeka na mnie bez przekonania, prawdopodobnie z poczucia obowiązku, który wszedł mu w krew w ciągu lat pilnowania tego obojścia.

— Hej, stajenny, znajdzie się miejsce dla mojej szkapiny?

Mocno zbudowany chłopak, z wąsami, które zwisają mu wzdłuż brody, wskazuje mi niskie drzwi z zamkniętym górnym skrzydłem.

Zeskakuję z trudem na ziemię i robię kilka kroków na nogach rozkraczonych wciąż od siodła.

Stajenny sięga po cugle.

— Niedobry dzień na podróżowanie.

— Dlaczego?

Macha obojętnie ręką ku zachodowi.

— Idzie burza. Droga zamieni się w rzekę błota.

Wzruszam ramionami.

— W takim razie zatrzymam się tutaj.

Stajenny kręci z powątpiewaniem głową.

— Nie ma łóżek. Wszystko zajęte.

Rozglądam się w poszukiwaniu oznak tego przepelnienia, ale dziedziniec jest pusty, a z domu nie dochodzą żadne hałasy.

Stajenny mlaska językiem, jego wąsy podskakują do góry.

— Czekamy na przybycie biskupa.

— Mógłbym przespać się w stodole.

Znowu wzrusza ramionami, znikając z koniem w stajni.

Pies wyciągnął się na słońcu, kędziorki siwej sierści wokół pyska sprawiają, że przypomina psią kopię stajennego. Spoglądając na niego, gdy wynurza się z mroku, uśmiecham się, myśląc o tym podobieństwie.

— Ile ma lat?

— Pies? Och, osiem, może dziewięć, coś koło tego. Stary, zaczyna tracić zęby. Niedługo będę musiał go zabić.

Spogląda przez wąskie szpary powiek, rozłożył szeroko łapy i tylko od czasu do czasu rusza lekko ogonem albo brwiami. Przypomina swojego pana także wyrazem psiej mordy.

Przeciągam się, prowokując kości do głośnego trzeszczenia.

— W środku dostaniecie gorącej zupy, panie, jeżeli macie ochotę. Poproście moją żonę.

— Doskonale. Ale chyba nie zamierzacie częstować nią biskupa, mam nadzieję?

Przystaje w zakłopotaniu, drapiąc się po spoconym karku.

— No tak, nieczęsto przejeżdżają tędy wielcy panowie. Nigdy nie było tu żadnego biskupa.

Pochylam się, żeby sprawdzić, czy moje kolana jeszcze funkcjonują, obracam parę razy głową i jestem jak nowy.

Stajenny stoi w zamyśleniu.

— W gruncie rzeczy to tylko kłopot. Zwali się tu cały orszak, lokaje...

— Sekretarze, służący, osobista ochrona...

Prycha ze zmartwioną miną i wzrusza ramionami.

— Będą musieli zadowolić się tym, co tu znajdują.

Wchodzi na schody, żeby wrócić do domu.

— Lokajom i ludziom z eskorty zupa powinna wystarczyć, ale dla biskupa trzeba by jakiejś dziczyzny... A tak przy okazji, kto to jest?

Stajenny zatrzymuje się przy drzwiach.

— Jego Wielbność Giovanni Maria Del Monte Ciocchi, biskup kardynał. Jedzie z Mantui, po drodze do Rzymu.

— Ach tak. Pewnie na konklawe... Powiadają, że z papieżem jest źle, ale wiadomo, że papież nie umierają tak prędko...

Wpatruje się z zakłopotaniem w czubki swoich butów, nie wiedząc, czy posłać mnie do wszystkich diabłów, czy też odpowiedzieć.

— Ja tam nic nie wiem, panie. Mam tylko przenocować biskupa i jego świtę.

— Tak, tak. Ale nie macie dziczyzny, żeby podać na kolację.

Czerwienieje na twarzy; gdyby nie dzieliły nas te schody, bałbym się, że skręci mi kark.

— Dzisiaj nie mam! To jest zwykła stacja zmiany koni, a nie zajazd! — rzuca ze złością i wchodzi do domu.

Śmieję się pod nosem i podchodzę do psa. Wydaje się, że już się uspokoił, pozwala się pogłaskać, nie ma już wcale ochoty, żeby warczeć, a może nawet i żyć. Niedługo wybije jego godzina.

— Zdaje się, że jesteś w nie lepszym stanie niż papież. Ale przynajmniej nie krąży ci nad głową chmara sepów.

Kardynał Del Monte.

Z Gorliwych czy z Uduchowionych?

Po stronie Carafy czy Pole'a?

Mantuańczyk.

Pies ziewa w moją stronę, pokazując dziurawe uzębienie.

Mantuańczyk jak *frate* Benedetto Fontanini.

Gorliwy czy Uduchowiony?

* * *

Biskupie herby na drzwiczkach karety zbryzgane są błotem. Na pokrytym żwirem dziedzińcu biwakuje z tuzin uzbrojonych ludzi. Na schodach bezustanny ruch. Stajenny podbiega ze szmatą w rękę, aby wytrzeć błoto z drzwiczek.

Znużeni żołnierze rzucają mi parę spojrzeń. Dobre ubranie, które mam na sobie, daje mi pewnie wygląd jakiegoś dworzanina.

Ze schodów zbiega drobnymi kroczkami wątlą człowieczek, elegancka peleryna i śmieszny kapelusik na głowie. Może mieć około trzydziestki.

— Jego Eminencja chciałby przed obiadem ciepłej wody — zwraca się do stajennego zarozumiałym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Wąsacz kiwa potakująco głową, z najgłupszą miną na świecie, zostawia karete i puszcza się biegiem po schodach.

Podchodzę bliżej.

— Obsługa na tych stacjach pozostawia zawsze wiele do życzenia.

Biorę go z zaskoczenia, nie znajduje lepszej odpowiedzi niż kiwnięcie głową.

— Rzeczywiście, skandaliczna...

— Człowiek takiej rangi...

Nawet na mnie nie spogląda.

— Po tak wielu milach, w tym wieku... I przy wszystkich tych zmartwieniach...

Postanawia zareagować, spogląda na mnie z góry szarymi oczkami.

— Przypadkiem jesteś pan może krajanem Jego Eminencji?

— Nie, *messere*, pochodzę z Niemiec.

— Ach, tak. — Robi minę jak ktoś, kto odkrył wielką prawdę. — Jestem Felice Figliucci, sekretarz Jego Eminencji.

— A ja nazywam się Tiziano, tak jak ten malarz. — Wymieniamy leciutkie ukłony. — Domyślam się, że udajecie się do Rzymu.

— Istotnie. Ruszamy dalej jutro rano.

— Trudne czasy...

— Tak. Papież...

Przez chwilę milczymy obaj, patrząc w ziemię, tak jakbyśmy oddawali się rozważaniu głębokich teologicznych kwestii; wiem, że chciałby odejść, ale nie daję mu na to czasu.

— Gdybym mógł coś zrobić dla Jego Eminencji, możecie zwrócić się do mnie w każdej chwili.

— To uprzejmie z pana strony... Z pewnością... Ale zechce mi pan wybaczyć, muszę wrócić do domu, żeby się upewnić, czy wszystko jest jak należy.

Odchodzi zakłopotany.

* * *

Chociaż leje jak z cebra, mam wielką ochotę zapalić cygaro. Staję pod osłoną daszku i wydycham dym prosto w burzę. Po starym psie ani śladu. Błyskają oczy kota, który zaraz potem ginie w okratowanym okienku.

Będę chrzczył metodycznie, wybierając właściwych ludzi, którzy mogliby stworzyć zaczątek prawdziwej sekty. Inkwizytorzy uwielbiają sekty, można wydziwiać nad nimi w nieskończoność, przypisać im wszystko, powszechne niezadowolenie, zarazę, prostytucję, nieplodność czyjejs żony... Potrzebni są apostołowie, którzy ruszyliby w teren chrzczić na nowo, dokładnie tak jak to robił stary Matthijs. Mam już na oku kilku mieszkańców Ferrary, ale muszę dotrzeć dalej, do Modeny, Bolonii, Florencji. Poza tym jest jeszcze Romagna. Wydaje się, że mieszkańcy tych ziem są najbardziej buntowniczy ze wszystkich poddanych papieża. Interesujące mogłoby być dotarcie do kogoś z tamtych okolic. Herezja i bunt, a potem?

Ściskam cygaro w zębach i zakładam ręce do tyłu. Dreszcz mówi mi, że lepiej wrócić do środka. Nie mogę pozwolić sobie na żadne choroby.

W dużej izbie pali się jeszcze na kominku, ktoś podsycy ogień pogrzebaczem, ciemny cień pochylony plecami do mnie na stołku. Długa, sięgająca stóp flanelowa koszula okrywa korpulentny tułów, purpurowa czapeczka na czubku łysej głowy.

Odwraca się nieznacznie, spostrzegłszy moją obecność.

Spieszę go uspokoić.

— Nie obawiajcie się, Wasza Wielbność, to tylko człowiek cierpiący na bezsenność.

Dziwny głos, coś między jękiem i prychnięciem, podkrążone oczy nad pomarszczoną skórą policzków.

— W takim razie jest nas dwóch cierpiących, mój synu.

— Czy mogę pomóc?

— Chciałem rozdmuchać ogień, żeby przeczytać parę wersów.

Podchodzę, sięgam po miech i zaczynam dmuchać w węgle.

— Bezsenność to okropna rzecz.

— Możecie mówić głośno. Jednakże gdy dożyje się sześćdziesięciu sześciu lat, nie trzeba zbyt narzekać, ale przyjmować z pokorą to, co dobry Bóg nam zsyła. Trzeba mu być wdzięcznym, że ma się jeszcze dobre oczy i można jakoś oszukać nocne godziny.

Ogień trzaska znowu, kardynał Del Monte sięga po otwartą książkę leżącą na podłodze. Dostrzegam w świetle z kominka jej tytuł i nie umiem powstrzymać zaskoczenia.

— Czytacie Vesaliusa?

Mamrocze z zakłopotaniem:

— Dobry Bóg zechce może wybaczyć ciekawość staremu, który nie pragnie dla siebie innej przyjemności prócz dotrzymywania kroku dziwactwom, jakie płodzą ludzkie umysły.

— Ja też czytałem tę książkę. Zaiste dziwaczne jest to grzebanie się w trupach, lecz czy nie sądzicie, że na końcu zda się wyłaniać z tego coś, co jest wspaniałym hołdem złożonym wielkości Boga i doskonałości jego stworzenia? Gdyby więcej było ludzi, którzy kultuwują taką ciekawość, być może udałoby się uniknąć wielu nieporozumień, jak na przykład dostrzegania zła tam, gdzie nie ma go ani śladu.

Przygląda mi się ze skrytą miną, wydaje się przypominać wielkiego, dobrotliwego niedźwiedzia, który przykucnął na stołku.

— A więc czytaliście ją? Ale co macie na myśli, mówiąc o nieporozumieniach?

Spróbuję.

— Wielu żarliwych chrześcijan ryzykuje dziś, że zostaną uwięzieni za to, że pragną odnowić Kościół rzymski i dostarczyć mu nowych soków. Wskazuje się na nich jako na członków niebezpiecznych sekt, alchemików, magów, niszczycieli. Wytacza się im procesy jako wrogom Kościoła, luteranom, podczas gdy oni nigdy, przenigdy nie śmieli podawać w wątpliwość niezachwianego autorytetu papieża i teologów. Gdyby tylko ktoś poświęcił ich poglądom jedną setną uwagi, jaką Wasza Wielbność okazuje w tej chwili, to myślę, że nie

byłoby trudno odróżnić ich od heretyków z tamtej strony Alp i od schizmatyków.

Del Monte obrzuca mnie ojcowskim spojrzaniem.

— Synu, teraz, przed tym ogniem, ja i ty jesteśmy tylko dwojgiem ludzi cierpiących na bezsenność. Jutro rano znowu będę kardynałem, biskupem Palestriny, i mógłbym nie pozwolić sobie na taką liberalność. Trudno jest harmonijnie pogodzić odpowiedzialność za ukochaną trzodę, której trzeba bronić, i dobór właściwych środków służących odnajdywaniu owiec zagubionych po drodze, tych, które zbłądziły na manowce myśli za sprawą złych ksiązek i szaleńczych dedukcji.

Postanawiam iść na całego.

— Co do mnie, to obawiam się nierozwagi i strachu sędziów, boję się, że one zniszczą ducha odnowy, dopatrując się w każdej trawce całej wiązki...

Kardynał mruga oczami.

— Macie na myśli coś konkretnego, czyż nie tak?

— W istocie. Nie wiem, czy mogę pozwolić sobie na mówienie o tym, ale późna godzina i intymność tej rozmowy dodają mi odwagi i chciałbym poświęcić kilka słów sprawie, która od dawna mnie martwi, a która odnosi się do waszego krajana.

— Członka mojej diecezji?

— To pobożny człowiek, Eminencjo. Mam na myśli brata Benedetta Fontaniniego z Mantui.

Żadnej reakcji, krok zrobiony, tak czy owak, muszę już przeć do przodu.

— Od miesiący pozostaje zamknięty w klasztorze Santa Giustina w Padwie, oskarżony o to, że jest autorem *Błogosławieństwa Chrystusa*. Podejrzewają go o apostazję.

Małe odkaszlnięcie.

— Na tej książeczce ciąży ekskomunika, synu.

— Wiem o tym, Eminencjo. Ale proszę pójść za moim rozumowaniem. Książka została obłożona klątwą przez sobór trydencki w roku tysiąc pięćset czterdziestym szóstym ze ściśle określonego powodu, bo dopiero wtedy doktorowie Kościoła ostatecznie ustalili katolicką doktrynę zbawienia, uznając za heretycką soteriologię luterzańską. Ale brat Benedetto napisał *Błogosławieństwo Chrystusa* w roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym, pięć lat przedtem, zanim doszło do ostatecznego rozstrzygnięcia tej kwestii na soborze!

Kiwa potakująco głową, nie mówiąc ani słowa.

— Brat Benedetto — ciągnę — napisał tę książkę, popychany szczerą intencją zaproponowania płaszczyzny pojednania z luterana-

mi. Nie ma w *Błogosławieństwie* ani jednej stronicy, która podawałaby w wątpliwość autorytet papieża i biskupów, nie ma w niej nic gorszącego. Po prostu przedstawia się tam w jasnych słowach doktrynę zbawienia *per sola fede*. Ale wy, Eminencjo, wiecie lepiej ode mnie, że są w Biblii wersety, które mogłyby posłużyć za tytuł do takiej interpretacji...

— Mateusz rozdział dwudziesty piąty, wers trzydziesty czwarty i List do Rzymian rozdział ósmy wersy od dwudziestego ósmego do trzydziestego.

— I do Efezjan, rozdział pierwszy, od czterech do sześciu.

Del Monte wzdycha.

— Wiem, o czym mówicie. Czytałem *Błogosławieństwo Chrystusa* i los brata Benedetta trapi także i mnie. Ale są bardzo delikatne, trudne do wyważenia kwestie, którym trzeba złożyć daninę, są trudne do uleczenia konflikty...

Pochyliam się lekko w jego stronę.

— Wolałbym nie myśleć, że uwięzienie brata Benedetta miało coś wspólnego raczej z wewnętrzną wojną, która wstrząsa Kościołem, niż z luteranami. W takim wypadku istniałaby większa niż kiedy indziej potrzeba interwencji jakiejś osobistości postawionej ponad stronnictwami, aby uniknąć sytuacji, w której niewinni stają się ofiarami konfliktu, choć on ich nie dotyczy.

Kiwa niedostrzegalnie głową.

— Potraficie wyrażać się nader jasno. Ale powiadam wam, że nie jest łatwo, zwłaszcza teraz, gdy papież jest chory, a z Rzymu dochodzą wieści o makabrycznych targach. Nie jest łatwo komuś, kto chce postępować pokojowo, pozostając poza konfliktem. Jakikolwiek gest, choćby podyktowany najzwyczajszym miłosierdziem, zostałby dziś zinterpretowany jako opowiedzenie się za jednym albo drugim stronnictwem. Tym, którzy pragną zapobiec karaniu niewinnych, pozostaje tylko apelować o litość i o rozsądek ludzi Kościoła.

Podsuwam mu podpowiedź.

— Istnieją gesty bez rozgłosu, które mogą jednak wiele znaczyć.

Spogląda na przygasające już płomienie, jakby szukał w nich czegoś. Ma zrezygnowaną i zmęczoną minę.

— Znam dobrze generała benedyktynów. — Przez chwilę waha się, jakby nie chciał dodać nic więcej. — List do klasztoru na Monte Cassino to rzecz, na jaką mogę sobie jeszcze pozwolić...

— To już byłoby wiele.

— Myślę, że teraz uda mi się już zasnąć.

Wystarczająco jasna aluzja. Czas, żebym się pożegnał.

— Eminencjo, wasza wspaniałomyślność jest rzadką rzeczą w tych

czasach. Niewielu jest świątobliwych ludzi Kościoła, którzy zgodziliby się rozmawiać z nieznanym człowiekiem w środku nocy, a nawet przyjąć jego prośbę o wstawiennictwo. Mam na imię...

Podnosi rękę.

— Nie. Jutro biskup Palestriny nie będzie mógł pozwolić sobie na takie poufałości jak tej nocy. Wolę, żebyście pozostali dla mnie cierpiącym na bezsenność erudyta, który dotrzymywał mi towarzystwa.

Z dziennika Q.

Viterbo, 25 czerwca 1549 roku

Papież Farnese jest umierający. Może umrzeć równie dobrze jutro, jak i za trzy miesiące. Szał rokowań rośnie, w miarę jak życie uchodzi ze zmęczonego ciała Pawła III.

Stosunek sił nie jest korzystny dla *Gorliwych*. Reginald Pole to faworyt cesarza, i jest u szczytu sławy. Wydaje się, że ten obrońca wiary jest w stanie uzyskać poparcie wielu kardynałów. Gdyby konklawe rozpoczęło się jutro, gra byłaby skończona. W takim wypadku rozpadłaby się cała siatka utkana przez Carafę w ostatnich latach. Na papieskim tronie zasiadłby jego wielki przeciwnik, faworyt jego najzaciętszego wroga, cesarza. Nie ma ani jednego dnia do stracenia: Carafa wzywa francuskich sprzymierzeńców, żeby podjęli kontrofensywę. Chce zburzyć obecną sytuację, zwolnić tempo, podjąć zakulisowe gry.

Król Francji Henryk II, idąc śladami swego ojca, odnowił przymerze z protestanckimi książętami. Carafa zachęca go do podjęcia wojny, ale przeszkadza temu wiele czynników: finanse w ruinie, niepewne stosunki wewnętrzne, stopniowe oddalanie się od tego, co dzieje się na włoskiej ziemi. Szef Świętego Oficjum musi wykorzystać całą swoją sztukę, aby nie dopuścić do wyniku, który byłby dla niego śmiertelny.

Panuje atmosfera rozrachunków. Ten, kto wyjdzie z nich zwycięzcą, nie zawaha się zmieść przeciwnika. Bezustannie liczy się głosy, decydująca może się okazać każda zmiana poglądów. Obiecuje się wszystko wszystkim. Przywileje do rozdania i czas, jaki pozostał, są rzeczywistymi atutami w tym konflikcie.

Carafa musi stanąć do decydującej walki właśnie teraz, gdy aspiracje cesarza sięgają szczytu; zdaje się, że starymu grozi popadnięcie w czarny humor i będzie musiał działać z zimną determinacją.

Za to tu, w Viterbo, twarze są dużo bardziej odprężone, wszystkich ogarnia ufność w nadchodzące „żniwo dawnego zasiewu”, jak lubią oni określać spodziewany wynik. Anglik rozdziela uśmiechy i nieliczne słowa pełne spokoju, podczas gdy wokół niego rośnie euforia.

Viterbo, 7 września 1549 roku

Farnese twardo trzyma się życia. *Uduchowieni* niecierpliwą się, ich uśmiechy są bardziej wymuszone, wyczekiwanie ich nuży. Obawiają się wypadków, które mogłyby zmienić korzystne dla nich układy. Nie ukrywają lęku przed każdym ruchem Carafa.

Mają ze wszech miar słuszność. Stary teatyn ma wciąż w zanadru tajną broń, *extrema ratio* wojny, której nie może przegrać: *Błogosławieństwo Chrystusa*.

Gdyby przewidywania się nie zmieniły, nie zawaha się jej użyć. Powiedział mi, żebym był czujny, ale utrzymuje jeszcze w tajemnicy swoje plany.

Mógłby wykorzystać *Błogosławieństwo*, żeby zaatakować wprost Pole'a i *Uduchowionych*, oskarżając Anglika o to, że był rzeczywistym redaktorem książki wykletej przez sobór. Mógłby wyłowić w środowisku Viterbo jakąś płótkę i zmusić ją do mówienia. Lecz musiałby to zrobić już teraz, narażając się osobiście. Byłoby to ryzykowne, Carafa nie lubi wystawiać się bezpośrednio na nieprzyjacielski ogień. Jeśli go znam, to wybierze inną drogę: rozpuszczanie coraz bardziej natarczywych i szczegółowych pogłosek na temat skutków wstąpienia Reginalda Pole'a na tron papieski. Że byłby to papież, który podtrzymuje doktryny wyklete przez sobór trydencki. Odmalowując obrazy rozpadu, snując posepne przewidywania nieuleczalnego konfliktu, dramatycznego osłabienia Kościoła rzymskiego, jego totalnego uzależnienia od świeckiej władzy cesarza.

Ponura perspektywa, która powinna przestraszyć wielu i wpłynąć na właściwe ulokowanie decydujących głosów.

Dopiero wtedy, jeszcze w trakcie konklawe, do gry wszedłby sam Carafa jako ten, który niesie porządek i przedstawia wyższe racje. Carafa, zwiastun pokoju.

Mam ochotę się śmiać.

Rzym, 10 listopada 1549 roku

Paweł III nie żyje. Wygasa jedna z najbardziej wpływowych dynastii Europy.

Była to długa agonia i teraz wszyscy wstrzymują oddech, jakby zmrozeni poczuciem nieokreślonego zagrożenia. Nie jest już kwestią, jaka rodzina ujmie teraz w dłońe cugle papieskiej władzy, gra nie toczy się już o to. Chodzi o rolę Kościoła, samą koncepcję władzy, którą będzie on sprawował. Jesteśmy u kresu pewnej epoki i w trakcie bardzo twardego starcia się dwóch frakcji, dwóch odmiennych sposobów myślenia o chrześcijaństwie.

Jedno jest pewne: nie ma powrotu do tego, co było.

Żadnych potężnych, następujących po sobie, łączących się i dzielących rodów, ale konieczność utrzymywania wyważonej konstelacji sił, układów i nowych całości, które wyłaniają się z wigorem. Kościół luterański, Kalwin i jego zwolennicy, inkwizycja, zakony miłosierdzia, jezuici, z tym ich Ignacym, który nie przepuści nikomu. A wszystko to ma stanąć wobec zmiennych losów imperiów, królestw, księstw.

Chociaż Carafa i Pole to zagorzali przeciwnicy, stawiający sobie odmienne cele, obaj zdają sobie sprawę, że Kościół będzie musiał być czymś innym, niż był dotychczas. Spoglądają do przodu, daleko od starych wzorów.

Rzym, 29 listopada 1549 roku

Kardynałowie rozpoczęli konklawe. W zaułkach Rzymu idą zakłady o to, kto wygra. Faworytem jest Pole.

Ja założyłem się, że Pole przegra.

Zgodnie z poleceniami Carafy, krążę między grupkami księży, kleryków, ciekawskich i zwykłego plebsu, który zapełnia place. Dezorientuję ich niedyskrecjami na temat prawdziwych autorów *Błogosławieństwa Chrystusa*. Nie tylko ja.

Uduchowieni z miejsca zabiorą się do rozegrania tej gry, korzystając z tego, że spóźniają się kardynałowie francuscy. Mają oni do przebycia trudną drogę, zarówno lądem, jak i morzem, przez terytoria cesarza, który utrudnia im przejazd.

Brakuje głosów, które mogłyby powstrzymać *Uduchowionych*. Carafa będzie musiał obudzić w sercach niezdecydowanych całą swoją legendarną już grozę.

Rzym, 3 grudnia 1549 roku

Czarny dym. Dwadzieścia jeden głosów na Pole'a. Potrzebuje dwudziestu ośmiu, aby osiągnąć wymagane dwie trzecie.

Wciąż pozostaje tajemnicą, w jaki sposób wychodzą stamtąd wieści, ale można być pewnym, że docierają przynajmniej kilka razy dziennie, punktualne i szczegółowe.

Rzym, 4 grudnia 1549 roku

Czarny dym. Pole uzyskał dwadzieścia cztery głosy. Jego przewaga powiększa się, ale krąży plotka, że kardynałowie francuscy niedługo się zjawią. Gdyby Carafie udało się opóźnić wybranie Pole'a jeszcze o jeden dzień, Anglik mógłby wypaść z gry.

Rzym, 5 grudnia 1549 roku

Krąży wieści, że Carafa wysunął oskarżenie.

Nie frontalny atak, to mu nie odpowiada. Raczej ostrzeżenie, wezwanie do wzięcia pod uwagę ryzykownych następstw, których należy uniknąć. Z pewnością podszeptał wielebnym uszom, jak paradoksalna i problematyczna sytuacja powstałaby w wypadku, gdyby papieżem został współautor *Błogosławieństwa Chrystusa*, książki wyklętej przez sobór. Z pewnością zarysował przed oczami tych starców groźbę walk między biskupami i papieżami, walk, które Kościół przeżywał w przeszłości.

Zasiał zwątpienie w tych, którzy oddawali już seraficzny uśmiech Anglikowi.

Dziś po południu następne głosowanie.

Przysłał mi wiadomość. Kilka słów, które wystarczająco oddają napięcie, w jakim znajduje się stary teatyn. *Uduchowieni* zawarli układ z trzema neutralnymi kardynałami: jeśli Pole uzyska dwadzieścia sześć głosów, przeniosą i swoje na niego. Gdyby tak się stało, rozkaz natychmiastowego udania się do macierzystej siedziby dominikanów.

Jeśli tak się stanie, to koniec.

Głosowanie za godzinę.

Nerwowo oszukuję czas.

Dwadzieścia pięć głosów. Brakuje jednego, tylko jednego.

Długo spoglądali po sobie.

Nie podniosła się żadna inna ręka.

Czarny dym.

Rzym, 6 grudnia 1549 roku

Kardynałowie francuscy biorą już udział w konklawe. Pole niczego nie osiągnie.

Zawiśliśmy na włosku, który jednak się nie urwał.

Rzym, 14 stycznia 1550 roku

Jakie to wyczerpujące. Siedzą tam zamknięci od czterdziestu ośmiu godzin. Nie ma zgody; każdego dnia nowe nazwisko, aż nie do wiary.

Zakłady idą nawet o to, kto nie ujdzie z tego konklawe z życiem. Ci tak potężni starcy niszczą sobie zdrowie w zamkniętych celach, w zaduchu uryny i ekskrementów. Wyobrażam sobie ich zmęczone twarze, osłabione ciała, zamglone umysły. Idealny stan dla Carafy.

Rzym, 8 lutego 1550 roku

Biały dym.

Nuntio vobis magnum gaudium. Habemus papam. Sibi nomen imposuit Iulius III.

Siedemdziesiąt trzy dni na przekroczenie połowy tego stulecia i znalezienie kompromisu: kardynał Giovanni Maria Del Monte, biskup Palestriny.

Juliusz III.

Rozdział 32

Ferrara, 21 marca 1550 roku

Wślizgujemy się w milczeniu do zaułka, nie oglądając się za siebie. Zatrzymujemy się, udając ożywioną rozmowę; nikt nas nie śledzi.

Ruszamy dalej w kierunku domu. Trzy uderzenia plus jedno.

— Kto tam?

— Pietro i Tiziano.

Drzwi otwierają się, okrągła twarz, czarna nastroszona broda i zastrzone na końcach wąsy.

— Wejdźcie, wejdźcie. Czekaliśmy na was.

Prowadzi nas przez zagracony warsztat, między narzędziami i stołami do pracy. Podłoga pokryta wiórami, które trzeszczą pod naszymi stopami.

Idziemy w górę po schodach do mieszkania, oczekują nas we czterech, zwerbowani w ostatnim roku i ochrzczeni na nowo osobiście przez Tiziana.

Stolarz podsuwa nam stołki, które pachną świeżym drewnem.

— Wyjaśniłeś wszystko?

— Lepiej, jeśli ty to zrobisz...

Kiwam potakująco głową, nie czekając, aż dokończy zdanie.

Rozglądam się po ich twarzach: budzą szacunek.

— To raczej proste. Ja i Pietro rozmyślamy nad zgromadzeniem braci na radę. Musimy się poznać, przeliczyć. — Reagują nerwowymi ruchami. — Do tej pory nie robiłem nic poza chrzczeniem. Wygłaszałem kazania i chrzcilem, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Pietro w ciągu ostatnich miesięcy przemierzył wzdłuż i wszerz Wielkie Księstwo i Marche. Teraz przyszedł czas na żniwo. Jakaś część przypadnie i dla was.

Jeden z nich przerywa mi bez wahania.

— Kiedy?

Pozostali spoglądają na niego z dezaprobatą, ale ja nie robię z tego wielkiej sprawy.

— Na jesieni. A gdzie, to jeszcze musimy zdecydować. W tej chwili trzeba ruszyć w drogę, żeby się skontaktować ze wszystkimi wspólnotami, od Ferrary po Abruzzi. Każda wspólnota będzie musiała przysłać dwóch przedstawicieli. O miejscu, jakie wybierzemy na nasz sobór, dowiedzą się po przybyciu do Ferrary. Lepiej nie narażać się na niepotrzebne ryzyko.

* * *

Ferrara, 21 marca 1550 roku, godzinę wcześniej

— Po co ten sobór?

— Musimy wiedzieć, ilu nas jest. Musimy się zorganizować.

— To niebezpieczne, Tiziano. Inkwizycja...

— Inkwizycja ledwo się domyśla, kim jestem. O tobie nie wiedzą nic, i z pewnością nie podejrzewają, że jest nas wielu. Nie martw się. W dalszym ciągu podawaj tylko moje imię, nasi współbracia powinni znać tylko to.

— Ale gdyby złapali jednego z nich, byłbyś pierwszym, którego by zgarnęli.

— Tak, mnie. Tylko mnie i nikogo innego. Znasz ich dobrze, nie interesują ich wyznawcy, oni chcą herezjarchy.

Śmiejemy się.

— Niech nas Pan Bóg strzeże, ale taki sobór wystawiłby wszystkich na ryzyko wykrycia.

— Zorganizujemy go po cichu. Posłuchaj mnie uważnie, Pietro: to dlatego nie chcę więcej niż dwóch przedstawicieli z każdej wspólnoty. Będzie nas nie mniej niż pięćdziesięciu, ale też nie więcej niż stu.

— A gdybyśmy zaczekali, co zrobi nowy papież? Nie wiemy, czy stanął po stronie *Gorliwych*, czy *Uduchowionych*...

— Nie opowie się po żadnej.

— Co?

— Nie opowie się, ja go poznałem. Nie wybierze jednego stronnictwa, a to jest trudniejsza droga, gdyż będzie musiał starać się zadowolić wszystkich; a spełnienie oczekiwań jednych to ruina drugich.

— Jak to... Kiedy poznałeś papieża?

— Zanim jeszcze go wybrali. Długo z nim rozmawiałem. Myśli o inkwizycji tak samo jak my. Jest przeciwny metodom stosowanym przez Carafę i jego przyjaciół. Wie, że jeśli da im białą kartę, zrobią

krzywdę mnóstwu niewinnych ludzi. Obiecał mi wstawić się osobiście u generała benedyktynów o uwolnienie Fontaniniego.

— Tego Fontaniniego? Benedetta z Mantui? Autora *Błogosławieństwa Chrystusa*?

— Jest już wolny. Nie wydaje ci się, że to wystarczający znak, że możemy trochę odetchnąć? Nasz sobór musimy zwołać jak najprędzej, zanim coś zakłóci tę równowagę, a może nawet ktoś zacznie przymuszać papieża. Jestem prawie pewien, że Juliusz Trzeci jest w głębi duszy otwarty na dialog z reformowaną wiarą, tylko że nie może głośno tego powiedzieć ani otwarcie dać do zrozumienia, bo wie, że jego elekcja była owocem kompromisu. Musi zachowywać się konsekwentnie. Jak wy to nazywacie? Lawirować, popierać to tych, to tamtych, żeby wilk był syty i owca cała.

— Jeżeli uważasz, że tak trzeba zrobić, będę z tobą.

Pietro Manelli idzie obok mnie ulicą delle Volte. Poznałem go we Florencji: kleryk z Marche, zbuntowany poddany papieża, jego duchowe udreki rozpoczęły się lata temu, doprowadzając do tego, że porzucił seminarium, aby coraz prędzej ślizgać się na cienkiej krawędzi, która oddziela mistyczne uduchowanie od herezji. Udzieliłem mu odpowiedzi, jakich szukał, i przywiązał się do mnie jak pies do swojego pana; to pierwszy uczeń Tiziana. Na próbę wysłałem go do jego ojczystej ziemi, żeby zbierał wyznawców. Potem dołączył tu do mnie pełen nadziei. Modli się za dużo razy na dzień, ale ma wyjątkową pamięć, pamięta miejscowości, nazwiska i zawody wszystkich ochrzczonych, pomaga mi prowadzić korespondencję ze współbraćmi. Opowiada wszystkim o mnie, nikt za murami Ferrary nie zna nikogo innego, tylko tajemniczego Tiziana. Gdyby ich zatrzymano, nie mogliby się nawzajem zdradzić: jest tylko Tiziano, zając, cel.

Przechodzimy pod arkadami przerzuconymi nad ulicą, która nigdy nie zapada w sen: ruchliwe siedlisko garbarzy, kowali i szewców w dzień, gołych ud i piersi nocą. Prześlizgujemy się w milczeniu zaułkiem, nie oglądając się za siebie. Zatrzymujemy się, udając ożywioną rozmowę; nikt nas nie śledzi.

Idziemy w kierunku domu: trzy uderzenia plus jeszcze jedno.

— Kto tam?

— Pietro i Tiziano.

* * *

W Ferrarze żyje się dobrze. Jest to miasto, w którym wszystko kręci się w szczególnym rytmie, wszystko się zazębia. Ale nie tak jak

w Wenecji. Wenecja jest skomplikowana, w Wenecji wystarczy porużyć szpilką i zawsze ryzykujesz, że ukłułeś w tyłek jakiegoś ważniaka.

Ferrara jest mała i przylepiona do rzeki, lecz i tak pozwala zagubić się w starych zaułkach. W Ferrarze jest więcej swobody, chciałoby się powiedzieć lekkości, mniej tłoku, mniej strażników i szpiegów. W Wenecji masz zawsze na sobie czyjeś oczy, a tu nie, chodzisz bez potrzeby ustawicznego zatrzymywania się, udawania, że zgubiłeś drogę, żeby zobaczyć, czy za twoimi plecami nie ma kogoś naśladowczego naiwniaka. To jest zbawienne przyzwyczajenie, ale niepotrzebne w Ferrarze, tu jesteś spokojny. Ercole II ma pełną gębę uśmiechów dla papieża, a jednocześnie pozwala, żeby w jego mieście znajdowały schronienie najbardziej aktywne i niebezpieczne umysły Włoch. Uwielbia mieć w pałacu mnóstwo uczonych i nigdy nie gasi lampki na grobie Ludovica Ariosta, którego czczą tutaj jak świętego. Musi mu być naprawdę przykro, że nie ma pod ręką ludzi tego kalibru. Poza tym jest Renata, wdowa po Alfonsie d'Este, bez skrupułów objawiająca swoje prokalwińskie sympatie. Wielu jest takich, którzy ukrywają się w fałdach jej spódnicy, żeby uciec przed siepaczami i inkwizytorami.

Także Żydom wiedzie się tu nie najgorzej, jak w Wenecji, ale tu są to przede wszystkim lichwiarze, pożyczają pieniądze na niższy procent niż ich bracia z laguny i robią doskonałe interesy. Pieniądz krąży, nie spoczywa nigdy, i to jest znakiem dobrego zdrowia miasta. Sprawiedliwością administruje się prawidłowo, nie ma zbyt wielu urzędników miejskich, policjantów i trybunałów, które poświęcają miesiące na podjęcie decyzji, kto ma sędzić sprawę bójką obciążonej trupem. Tu działają prędko, jeśli za bardzo rzucasz się w oczy, wyprowadzają cię na granice. Jeśli zamordujesz kogoś, masz za towarzysza kata, starego pijaka, który mieszka na północnych murach i w czasie pracy podśpiewuje stare sprośne śpiewki. Jeżeli dwóch ma jakieś rachunki do uregulowania, umawiają się w zaułku pojedynków, wąskiej uliczce, zamkniętej z obu stron grubymi kratami; wchodzi dwóch, wychodzi jeden. Wszystko bez zbytejnego hałasu, bez zakłócania ruchliwego spokoju tego miasta.

Mój anabaptysta czuje się tu jak ryba w wodzie.

Zebrałem pół tuzina adeptów, nie tylko mieszkańców Ferrary, gotowych wyruszyć jednocześnie do innych miast, żeby rozpowszechnić nową wiarę i chrzcić na nowo. Tymczasem dbam także o drugą połowę mojej osoby, odwiedzając Beatrice w jej domu, do którego dostają się przez wąskie wejście na tyłach.

Miquezowie przekazują mi wiadomości za pośrednictwem Chiú, karczmarza z Gorgadello, najlepszej piwnicy w mieście, tuż obok katedry. Powiadają, że przychodził tu popijać Ariosto, a ktoś pamięta, że wiele razy deklamował tu strofy *Orlanda szalonego*. Chiucchiolino,

zwany Chiú przez tych, którym udziela kredytu, jest godną uwagi osobistością: ma oczy po bokach głowy jak u ropuchy, zwrócone w dwóch różnych kierunkach. Czoło okrywa mu lwia grzywa czarnych kędziorów, gęstych i nastroszonych jak szczecina u dzika. Ważna, główna postać tego miasta. Jeśli masz jakiś problem, możesz przedstawić go Chiú, a on prędko poleci cię jakiejś osobie, która z całą pewnością rozwiąże twoje kłopoty. Chiú jest bankiem sekretów. Możesz mu powiedzieć wszystko i być pewnym, że nie otworzy przed nikim ust, że zamknie informacje w pancерnej kasie i odda ci je z procentami pod postacią porad, nazwisk i adresów, pod które możesz się zwrócić. W tym banku są także i moje tajemnice. Klucz to kilka konwencjonalnych znaków. Wino — nic nowego. Gorzałka — ważne wiadomości.

Dziś postawił przede mną gorzałkę. U Miquezów o zmierzchu.

Przemierzam miasto aż do mojego mieszkania. Mała izdebka, w której mogę pozbyć się stroju Tiziana i odpocząć kilka godzin.

Rozpalam ogień na małym kominku i stawiam wodę, żeby się zagrzała. Wenecja przyzwyczaiła mnie do częstego mycia, do tego stopnia, że zamieniło się to w nawyk. Niewygodny i kosztowny dla kogoś, kto bezustannie jest w podróży.

Rozbieram się do naga, żeby sprawdzić te pięćdziesiąt lat, jakie nałożyły się na siebie w moich kościach. Stare blizny i kilka białych włosów na piersi. Na szczęście nie dałem mięśniom czasu na zbytne rozluźnienie, siła jeszcze w nich jest, bardziej statyczna i łykowata. Ale reumatyczne dolegliwości już mnie nie opuszczają. Tylko latem miewam trochę spokoju, gdy wyciągam się jak jaszczurka na słońcu, pozwalając mu wysuszyć całą wilgoć tych nisko położonych okolic. Odkryłem też, że nie mogę już całkiem zgiąć pleców, chyba że zaryzykuję ostre klucie, i gdy tylko mogę, unikam konnej jazdy.

Dziwne, jak w starości człowiek uczy się doceniać zwyczajne ruchy, tak jakby nabierał skłonności do tracenia czasu na kołysanie się w wygodnym fotelu, w cieniu drzewa, albo obracanie się na łóżku w poszukiwaniu powodu, dla którego warto by było wstać.

Obsuszam skrupulatnie każdy zakątek ciała, wyciągam się na posłaniu i zamykam oczy. Wystarcza mi ledwo wyczuwalny dreszcz, żeby wyjąć czyste ubrania z jedyne go kufru, który ozdabia izdebkę. Moje eleganckie weneckie stroje. Szeroki kapelusz, pod którym mogę ukryć twarz, cienki sztylet do zatknięcia za pas. Słyszę dzwon: już prawie czas, żeby iść.

* * *

Jej czarne włosy na moim ramieniu pachną olejkami. Wyczuwam ciepło wciąż jeszcze przytulonego do mnie ciała, które mogą objąć w jednym uścisku rąk i nóg, i stóp.

Z trudem dawali wiarę słowom mojego opowiadania. Spotkanie z przyszłym papieżem, wstawiennictwo na rzecz uwolnienia Fontaniniego.

Nie widzę jej twarzy, ale wiem, że nie śpi i być może uśmiecha się.

Paradoks. Albo sobór pomylił się, uznając *Błogosławieństwo Chrystusa* za książkę zakazaną... albo ten papież jest heretykiem, stwierdził João.

Chciałbym coś powiedzieć, coś, co opisałoby poruszenie, które ściska mi żołądek i niemal zmusza mnie do płaczu.

Ani *Gorliwy*, ani *Uduchowiony*. Juliusz III jest człowiekiem środka. W końcu opowie się za tymi, którym lepiej się powiedzie. Gra ciągle się toczy.

Jestem za stary, żeby mówić o miłości, sprawie, którą rzuciłem w kął mojego życia i którą zawsze umiałem poświęcać, odmawiając sobie intymności takich chwil jak ta, a nawet samej możliwości przedłużenia ich do późnych lat, aby dać im szansę zmiany mojego losu.

Jak uporać się z tym patem? — pytał Duarte. Co robić z *Błogosławieństwem* teraz, gdy znajduje się ono u samej góry wykazu ksiąg zabronionych, dopiero co ogłoszonego przez wenecką inkwizycję?

Jej zdaniem nie mogło być inaczej. W gruncie rzeczy podobne historie, te nasze. Historie, których sobie nie opowiedzieliśmy. Pytania, jakich nie zadaliśmy.

Iść naprzód, powiedziała. Pewnym tonem, zadziwiając nas jeszcze raz. Inkwizycja nie może nic zrobić bez wsparcia lokalnych władz. Wenecja wie, jak się bronić przed ingerencjami Rzymu. Iść naprzód. W dalszym ciągu wzniecać niezadowolenie ludzi Kościoła.

Beatrice leży nieruchomo i pozwala mi wsłuchiwać się w jej oddech, tak jakby wiedziała, co jest ważne, jakby dzieliła ze mną te same myśli.

— Znalazłeś go?

— Kogo? — Mój głos zda się wychodzić z jaskini.

— Twojego wroga.

— Jeszcze nie. Ale czuję, że jest blisko.

— Co cię w tym upewnia?

Uśmiecham się.

— Tylko to daje mi siłę, żeby nie zostać tu z tobą do śmierci.

Z dziennika Q.

Rzym, 17 kwietnia 1550 roku

Nowy papież zmienił skład Świętego Oficjum: Carafa i De Cupis, Gorliwi, Pole i Morone, *Uduchowieni*, Cervini i Sfondrato, *niezrzeszeni*. Chce zadowolić wszystkich, a jednocześnie nikogo. Juliusz III to chwilowe zawieszenie broni, przykrywka, o którą *Gorliwi* i *Uduchowieni* będą walczyć na śmierć i życie.

Carafa spędza dni na intensywnych negocjacjach, tak jakby konklawe jeszcze się nie skończyło. Napisał mi, że umieścił wtyczki „pomiędzy tymi staruszkami, bardziej trupami niż żywymi ludźmi”. Siedemdziesiąt cztery lata, starszy od papieża, i prawie wcale nie śpi.

Chciałbym mieć jego energię. A za to siedzę beczynnie od tygodni, oczekując poleceń, chodząc na niepotrzebne przechadzki po rzymskich wzgórzach, ciesząc się z łagodnego klimatu tej pory roku, stary pryk u kresu swoich dni.

Napisałem znowu do inkwizytorów połowy Włoch, żeby uzupełnić informacje na temat Tiziana. Jeszcze nic.

Rzym, 30 kwietnia 1550 roku

Tiziano we Florencji.

Pier Francesco Riccio, marszałek dworu i sekretarz Cosima de' Medici.

Pietro Carnesecchi, stary znajomy z Viterbo, sądzony już w czterdziestym siódmym i uwolniony wskutek wstawiennictwa papieża.

Benedetto Varchi, lektor Akademii Florenckiej, pochodzi z kółka *Zapaleńców* z Padwy.

Cosimo Bartoli, konsul Akademii Florenckiej, już dawniej czytał *Błogosławieństwo*.

Anton Francesco Doni, literat, kurier między Wenecją i Florencją.

Piero Vettori, przyjaciel Marc'Antonia Flaminia, wymieniał listy z kardynałem Pole'em.

Jacopo da Pontormo, znakomity malarz, i jego uczeń Bronzino.

Anton Francesco Grazzini, zwany il Lasca, Ryba, poeta chłostający Kościół.

Pietro Manelfi, kleryk z Marche.

Lorenzo Torrentino, drukarz.

Filippo Del Migliore i Bartolomeo Panciatichi, patrycjusze.

Aktywny krąg ukrytych wyznawców luteranizmu. W różnych okresach zakotwiczeni w tym miejscu pod opiekuńczym skrzydłem księcia Cosima I de' Medici, ich mecenasa i zajadłego przeciwnika rodziny Farnese, zawsze gotowego podsyć płomień antypapieskiej polemiki we własnym interesie.

Przez całą zeszlą zimę Tiziano brodził w tej sadzawce. Tu spędził dni soboru, między zażartymi zwolennikami Reginalda Pole'a.

Inkwizytorzy donoszą, że najbardziej odpowiadało mu towarzystwo malarza Pontorma i jego ucznia Bronzina.

Prawie sześćdziesięcioletni Jacopo da Pontormo spędza noc i dzień nad pracą, która wydaje się jego największym dziełem, mianowicie freskiem w bazylice San Lorenzo, zamówionym u niego przez Piera Francesca Riccia w imieniu Cosima I. Prace prowadzone są w największej tajemnicy, w ukryciu pozostają także szkice rysunków przygotowawczych. Tylko Bronzino i bardzo nieliczne osoby mogą oglądać to, co maluje mistrz.

Pogłoski, anonimowe listy, wysyłane do florenckiej inkwizycji, niedyskretne oczy paru zakonników informują, że Pontormo szczególnie przedstawia *Błogosławieństwo Chrystusa* w apsydzie kościoła, w którym ma zostać pochowany Cosimo de' Medici.

Od zakończenia konklawe nie ma już żadnych nowych informacji o pobytku Tiziana we Florencji.

Rzym, 8 maja 1550 roku

Carafa liczył na Francuzów. Ale wieści, jakie dochodzą z Francji, głoszą, że Henryk II nie może sobie pozwolić na wznowienie wojny przeciwko Habsburgowi, w punkcie, w którym przerwał ją jego ojciec, ponieważ potrzebne są na ten cel kredyty, jakich nikt nie jest w stanie mu udzielić.

Carafa mówi, że cesarz rozpoczął starania w celu zawarcia ugody z luteriańskimi teologami, i gdyby mu się to udało, *Uduchowieni* mogliby jeszcze wziąć górę.

Carafa chce oddalić Pole'a z Rzymu. Chce, żeby wyjechał on w ogóle z Włoch.

Carafa mówi, że w Anglii zanosi się na wybuch wojny o sukcesję tronu. Zmarły Henryk VIII pozostawił chmarę dzieci, które rywalizują o koronę.

Carafa mówi, że trzeba przygotować grunt w celu odzyskania Anglii dla katolicyzmu i należy to zrobić tak, aby przedsięwzięcie zostało powierzone Pole'owi.

Carafa mówi, że muszę pojechać do Anglii, aby nawiązać kontakty ze zwolennikami wiernej papieżowi Marii Tudor, która zamierza zakwestionować prawa jej przyrodniego brata do korony.

Carafa mówi o delikatnym i bardzo doniosłym zadaniu, które może powierzyć tylko najbardziej zaufanemu ze swoich sług. Nigdy dotąd nie używał takich słów.

Carafa podaje cykuta w srebrnym kielichu.

Prędzej czy później musiało się to zdarzyć.

Carafa usuwa mnie z najważniejszej rozgrywki, którą śledziłem od samego początku.

Gwiazda Koheleta zgaśla.

Jadę do Anglii. Żeby pertraktować z czterema szlachcicami o wątpliwych przymiotach, do tego źle ubranymi ignorantami.

Do Anglii. Operacja *Błogosławieństwo* nie należy już do mnie.

Myślę, że być może nie wrócę. Może nawet w ogóle nie dojadę do Londynu. Będzie na mnie czekał po drodze sztylet jakiegoś płatnego mordercy, z dala od czyichkolwiek oczu. Mój czas się skończył. Tajemnice z trzydziestu lat napęniają strachem tego, kto szykuje się do otwarcia nowego rozdziału walki o absolutną władzę w Rzymie. Są fanatyczni i nieświadomi młodzi ludzie, jest dominikanin Ghislieri. Są jezuici. Nie ma już wiele czasu. Pora, aby sprawy przeszły w inne ręce.

Jestem zmęczony. Przerażony i zmęczony. Spakowałem bagaż i patrzę na niego tak, jakby nie był mój. Parę strzępów odziedziczonych po życiu, które kończy się bez hałasu. Od jakiegoś czasu towarzyszy mi myśl o tym, ale nie sądziłem, że przyjdzie to tak

prędko i wywoła w moim sercu tak banalne uczucie. Człowiek nastawia się nie na takie rzeczy.

Chciałbym zostawić komuś te stronice, świadectwo tego, co zostało dokonane. Ale właściwie dlaczego? I dla kogo?

To my orzemy meandry historii. Jesteśmy cieniami, o których kroniki milczą. Nie istniejemy.

Napisałem to dla siebie. Tylko dla siebie. Samemu sobie dedykuję i pozostawiam ten dziennik.

Z dziennika Q.

Londyn, 23 czerwca 1550 roku

Dni deszczu i rozmów. Głupi angielscy arystokraci, którzy knują spiski w świetle słońca, niezdolni do żadnej dyplomacji. Umieją posługiwać się szpadą, którą wszyscy noszą na widoku. Nic więcej. Wszystko rozwiąże się w rozlewie krwi i wygra ten, kto będzie miał liczniejsze wojsko.

Troje pretendentów, trzy stronnictwa. Mało prawdopodobne osiągnięcie jakiegś równowagi sił.

Edward, chłopczyk z koroną na głowie, który wybrał sobie na preceptora ni mniej, ni więcej tylko Martina Bucera, głównego teologa luterńskiego. Maria, córka z pierwszego małżeństwa Henryka VIII z Katarzyną Aragońską, a zatem pół-Hiszpanka, bardzo oddana papieżowi. I jeszcze młoda Elżbieta, która nosi w sobie krew swojej matki Anny Boleyn, ale zdaje się podzielać schizmatyczne skłonności ojca.

Grupy popierające Marię Katoliczkę przyjęłyby zyczliwym okiem powrót do ojczyzny Reginalda Pole'a jako obrońcy katolicyzmu, są już tacy, co moszczą mu tron w Canterbury. Ale nie umieją mówić o niczym innym, tylko o zagładzie przeciwników. Od wieków ci szlaccice zabawiają się wzajemnym wyrzynaniem, eliminowaniem się w rodzinnych wojnach, które bardziej przypominają barbarzyńskie zwyczaje Celtów niż sztukę polityki.

Tu jest gorzej niż na wygnaniu. Nie mam żadnych wiadomości z Włoch.

Ten sztylet mnie nie dosięgnął. Carafa daje mi jeszcze trochę czasu. Być może zastanawia się właśnie, co ze mną zrobić. Albo może wszystko to jest częścią jego planów.

Rozwiązanie zalecane przez stoików nie odpowiada mi. Żadnego

rozczarowania, które trzeba by odpokutować. Żadnego żalu za niczym.

Tu wciąż pada deszcz. Bez przerwy. Ta wyspa nie zna pór roku, każdy oddzielny dzień zamyka je wszystkie w sobie.

Umrę jednak gdzie indziej.

Londyn, 18 sierpnia 1550 roku

Moje zadanie wyczerpało się. Nie ma widoków na żadną stabilizację; wracam z wieloma obietnicami i pewnością, że absolutnie nie można ufać angielskiej szlachcie. Maria puka nie tylko do naszych drzwi, widziałem też doradców hiszpańskich. Karol V ma syna, którego chciałby powtórnie ożenić, chociaż ma on co najmniej dziesięć lat mniej niż Maria. Jeśli Carafa przewiduje powrót Pole'a do ojczyzny, będzie musiał zdać sobie sprawę, że to mogłoby oznaczać zbliżenie Hiszpanii i Anglii, wyłącznie na korzyść cesarza.

Brak zainteresowania tymi sprawami utrudnił mi pisanie sprawozdań wysyłanych do Rzymu, i teraz, szykując się do wyjazdu, czuję, że nic nie nagli mnie do powrotu. Zostaje mi tylko ciekawość, jak ta zagadka się rozwiąże, i poczucie, że mam do zrobienia ostatnią rzecz.

Chcę dać sobie czas na prześledzenie śladów. Na zrozumienie, czym jest to, co domaga się wypłynięcia na powierzchnię.

Rozdział 33

Ferrara, 2 września 1550 roku

— Literaci, malarze, poeci, drukarze. A także sekretarze dworskich pałaców, lektorzy uniwersyteccy, duchowni. Istnieje podziemny świat niechęci wobec Kościoła. Warstwa, która dotyka kluczowych punktów, ważnych postaci na dworach, tych, co głoszą idee i udzielają porad książętom. Wszyscy niezadowoleni z tego, że powiększa się władza inkwizycji i nieprzejednanych kardynałów. Nie ma miasta, w którym nie byłoby kręgu ludzi głęboko niezadowolonych i świadomych, że zaciska się sznur. Zwolennicy waldensów z Neapolu, tajni luteranie z Florencji, przyjaciele Pole’a z Padwy, miłośnicy Reformacji z Wenecji. Poza tym w Mediolanie, w Ferrarze... Tacy książęta jak Cosimo de’ Medici albo Ercole II d’Este znajdują w tych fermentach i w tych osobach oparcie, które pozwala im utrzymywać inkwizycję z dala od ich granic i w rezultacie przymusza do zapoczątkowania epoki liberalizmu i tolerancji. Stara władza szlacheckich rodów może się okazać znów użyteczna dla zapobieżenia postępowi nowej władzy inkwizytorskiej. Te upasione rodziny widzą w ingerencjach Rzymu oko wycelowane w ich dominia, wiszącą groźbę, która odbiera im przestrzeń wolności. Gdyby ujrzeli, że rośnie niezgoda na przywileje i hierarchie kościelne, mogliby zdecydować się na sprzeciw wobec trybunałów Świętego Oficjum.

Nam, baptystom, przypada zadanie, które będzie polegać na przewyciężaniu chronicznego niezdecydowania tych kręgów wykształconych ludzi, dodawaniu bodźca, popychaniu ich do wyjścia z ukrycia, zanim będzie za późno.

Ale istnieje też powszechne niezadowolenie ludności, szeroko rozlane po wsiach i wszędzie. Instynktowna i prawie zakorzeniona awersja do nadmiernej władzy kleru, podyktowana nędznymi warunkami, w jakich pogrążony jest lud. Musimy wziąć na siebie trudne

zadanie wypełnienia luki między ewangelicznym duchem plebejskim i niezadowoleniem ludzi wykształconych.

To nie musi koniecznie dziać się w świetle dnia, ale z należyтым, ostrożnym maskowaniem naszych zamiarów i wiary. Nasz sobór musi posłużyć ujednoczeniu na najbliższy okres intencji wszystkich współbraci rozsianych na półwyspie. Odbędzie się w Wenecji w październiku i będzie tajny. Ja nie wezmę w nim udziału.

— Jak to? Tylko ty możesz związać wszystkie wspólnoty! Jesteś punktem odniesienia dla wszystkich...

— Będzie za mnie mówił dokument, który ci powierzę. Jeśli to prawda, że jestem jedynym duchowym autorytetem, to lepiej, żebym został w cieniu. Żeby poznano nie twarz Tiziana, ale potęgę jego słowa.

Manelfi spuszcza z szacunkiem oczy i kładzie na biurku czystą kartkę. Zaczyna notować drobnym pismem. Będzie rzecznikiem Tiziana na soborze włoskich baptystów.

Z dziennika Q.

Antwerpia, 3 września 1550 roku

Lodewijck de Schaliendecker, alias Eloisius Pruystinck, alias Eloi.
Z zawodu dekarz.

Oskarżony o rozpowszechnianie heretyckich książek, zaprzeczanie substancji Boga, zaprzeczanie istnieniu grzechu, utrzymywanie, że mężczyzna i kobieta są istotami doskonałymi, praktykowanie kazirodztwa i konkubinatu.

Spalony na stosie jako heretyk 22 października 1544 roku, razem z wieloma członkami jego sekty, tak zwanych loistów.

Jego nazwisko wielokrotnie pojawia się w rocznikach władz Antwerpii, razem z Davidem Jorrisem, Johannesem Denckiem i kilkoma znacznymi i bogatymi miejscowymi kupcami.

Już w latach trzydziestych zatrzymywano różnych jego zwolenników i osoby wspomagające.

Pomimo skromnego pochodzenia Pruystinck był jednym z głównych filarów ruchu antyklerykalnego w Antwerpii, ale nienawidzili go też luteranie.

Został osądzony i skazany na łagodną karę w lutym 1526 roku wskutek donosu Lutra, który po spotkaniu się z nim w Wittenberdze napisał do władz w Antwerpii, wskazując, że jest groźnym człowiekiem. Uniknął kary dzięki całkowitemu odwołaniu wszystkiego i obowiązującym wtedy niskim sankcjom.

W 1544 został poddany torturom w celu skłonienia go do wyznania praktyk i bluźnierczych poglądów.

Nigdy nie rozpoznał żadnego ze swoich współników i zwolenników, podpisując w ten sposób własną ręką wyrok śmierci.

Pod wyrokiem widnieje podpis dominikanina Nicolasa Buyschera, który odebrał od niego ostatnie zeznania.

Niemiec, którego szukam, to zmarły; informacje o nim zapełniają cały zwoj akt archiwum inkwizycji w Antwerpii.

Ten nieboszczyk jest dziś w Wenecji właścicielem luksusowego burdelu.

Niemiec, którego szukam, przemierzył ziemię wzdłuż i wszerz w latach buntu anabaptystów.

Antwerpia, 4 września 1550 roku

Nicolas Bruysscher jest obecnie prawą ręką ojca inkwizytora w Antwerpii.

Około czterdziestoletni, wysoki, chudy, o spojrzeniu człowieka, który miał w swoich rękach ludzkie losy.

Przyjął mnie uprzejmie. Przypomnił wszystko bez fałszywych niedomówień, podając szczegóły nieprawdopodobnej sprawy.

Herezjarcha z Antwerpii był osobnikiem przebiegłym, światłym, zdolnym do nawiązania szerokiej sieci kontaktów zarówno z pospólstwem, jak i z wybitnymi osobami w mieście. Jeszcze dziś wielu uważa go za męczennika i bohatera. Ludzie w porcie wciąż uśmiechają się na dźwięk imienia Eloi.

Ten dekarz był heretykiem szczególnego rodzaju. Zaprzeczał istnieniu grzechu, używając trudnych do obalenia argumentów. Jego pragnieniem było stworzenie raju na ziemi. Udało mu się nakłonić bogatych kupców i rzemieślników, żeby dzielili się swoimi bogactwami i majątkami z pospólstwem. Mistrz w sztuce podchodzenia i przekonywania ludzi. Jego zwolennicy z Antwerpii prowadzili wspólne życie w nieruchomościach oddanych im do dyspozycji przez najbogatszych. Przez tę wspólnotę przeszło w ciągu lat wiele dziesiątków kobiet i mężczyzn. Eloi przyjmował wszystkich bez względu na to, jakie nieszczęścia doprowadziły ich do nędzy. To bardzo szczególny heretyk, w odróżnieniu od przedstawicieli radykalniejszych i krwiożerczych odłamów anabaptyzmu. Jednakże znalazł u niego schronienie niejeden spośród niedobitków z Münsteru czy z band Batenburga. A ponieważ umiał doskonale się maskować, mógł ciągnąć to jeszcze dłużej, gdyby nie naraził się wpływowym ludziami.

To, o czym protokoły musiały zamilczeć. Skomplikowane oszustwo na szkodę banku Fuggerów, fałszywe listy kredytowe, setki tysięcy florenów. Rzecz niewiarygodna: sami ci bankierzy z trudem tłumaczyli sobie, jak mu się to udało. Do dziś sprawa nie została wyjaśniona.

Nie odzyskano straconych pieniędzy.

Eloi miał w tym oszustwie współników. Jednym był kupiec niemiecki Hans Grüeb, który zapadł się w nicłość.

Fuggerowie nie mogli pozwolić sobie na nagłośnienie sprawy, więc zapukali do drzwi inkwizycji. Nakaz podjęcia działań przeciwko loistom przyszedł wprost z Rzymu.

Nie wszystkich ujęto. Przypuszcza się, że wielu zdołało uciec do Anglii.

Trudno powiedzieć, ilu niedobitków z Münsteru znajdowało się w szeregach loistów. Jeden na pewno umarł jakiś czas temu w więzieniu. Nazywał się Balthasar Merck.

Nieznane są nazwiska innych. Nie było ich wśród zatrzymanych.

Nieznany niemiecki kupiec, wspólnik Eloi.

Kolosalne oszustwo na szkodę bankierów cesarza.

Nie odzyskano pieniędzy.

Luksusowy burdel w Wenecji.

Mistrz maskowania się.

Niedobitki z Münsteru.

Dziecko i posąg.

Anabaptysta Tiziano.

Z dziennika Q.

Antwerpia, 7 września 1550 roku

Ta zagadka przenosi mnie w dawne czasy. Pod mury Münsteru.

Może jest to halucynacja, spostrzeżenia, które kojarzę w zupełnie dowolny sposób. Idąc tropem nieżyjącego człowieka.

Kogo? Mógłbym nim być ja sam. Ostatnie polowanie, aby odsunąć nadchodzący koniec. Co robi człowiek, który wie, że umarł? Stare długi muszą zostać spłacone. Począwszy od wspomnień, które pamięć zatarła. Tych spod tamtych murów.

Leżę w błotnistym rowie, moje życie zależy od brudnych rąk, które czepiają się mokrej ziemi. Aroganckie wąsy najemnego żołdaka, trzymającego mi na gardle ostrze sztyletu.

Zapach wilgotnej trawy, leżę rozciągnięty jak robak na ziemi niczyjej, między miastem i resztą świata. Nie ma odwrotu. Przede mną nieznane: wojsko najemników gotowych strzelać do każdego, kto przekroczy mury.

Błoto, które prześlizguje się między palcami; baszty, do których najłatwiej się dostać.

Twoje życie jest gówno warte, powiada, już możesz się uważać za trupa.

Opisuję mu w podnieceniu wszystkie umocnienia, każde przejście, zmiany wart, liczbę strażników przy każdej bramie.

Możesz przedłużyć sobie życie aż do namiotu kapitana, mówi i śmieje się. Uderza mnie i ciągnie za sobą.

Kapitan von Dhaun uratował mi życie i dał szansę.

Powiedział dokładnie tak: jeżeli tej nocy uda ci się wejść z powrotem na mury i nie zabiją cię, udowodnisz mi, że mogę ci ufać.

Tak doszło do zdrady zaplanowanej od chwili przybycia do miasta szaleńców i skrywanej przez więcej niż rok.

Ostatnie miesiące głodu i delirium są czarną plamą, która zatarła się w umyśle. Przez cały ten czas nigdy nie oglądałem się za siebie, muszę się cofnąć o piętnaście lat, żeby odszukać twarze i słowa tamtych ludzi. Stało się tak być może dlatego, że chciałem ukryć przed samym sobą, że i ja się wahałem, przez chwilę w tamtym rowie, tak jakby szaleństwo zaraziło także mnie, odwodząc umysł od wyznaczonego zadania. Może dlatego, że tamtego dnia ryzykowałem nędzny koniec, nadziany na miecze najemników, którzy jednak za sprawą jakiegoś wyroku losu woleli zaciągnąć mnie przed oblicze dowódcy.

W następnych dniach, już po masakrze, biskup von Waldeck, znowu absolutny pan Münsteru, mający za tron stos trupów, chodził, mówiąc, że tacy bohaterowie walki o chrześcijaństwo jak ja nigdy nie zostaną zapomniani, ani ich czyny i wizerunki.

Umiał kłamać, bękart. To właśnie po takich jak ja znikł wszelki ślad. Po wykonawcach gotowych znaleźć się z powrotem w rynsztoku, z którego wydobyli ich szlachetni panowie, żeby powierzać plugawe zadania.

Poprosiłem wtedy mojego pana, czarnego posłańca Chrystusa, żeby zabrał mnie z tych ziem, od tego horroru, który poszarpał mi ciało i nadwreżył moją wiarę.

Dziś, nie mając już żadnej wiary, muszę wrócić właśnie tam, żeby rozdrapać stare blizny.

Rozdział 34

Rawenna, 10 września 1550 roku

Nędza ma zawsze i wszędzie jednakowe oblicze. Chude dzieci w obdartych łachmanach. Obrzmiałe od głodu brzuchy, gołe stopy. Małe, brudne rączki, wyciągające się po jałmużnę. Nowo narodzone przywiązuje się chustą do ciała matki, żeby nie przerywać pracy, kobiety napełniają worki zbożem, grzęznąc po kolana w wielkim pojemniku, który mieści zbiory z całych żniw.

Kilku starców... kościstych, okaleczonych, jednookich.

Zaschłe błoto na drodze za południową bramą. Przylepione do murów budy, niczym bezkształtna narośl na ciele miasta, rozciągające się szeroko w kierunku pól.

W pobliżu nie widać nikogo. Prawdopodobnie wszyscy są w polu, żeby zbierać słomę na zimowe posłania i siano dla pańskiego bydła.

Tylko tych trzech typków, którzy ładują worki na wóz, gnąc spocone plecy.

Przedmieście dei Capannetti wzięło swą nazwę właśnie od tych bud. Tylko błoto i komary zdają się utrzymywać razem nadgniłe deski i trzcinę.

Łamię chleb i ser, który mam w torbie, i rozdaję dzieciom gromadzącym się dokoła mnie. Są tu maleństwa, które ledwie nauczyły się chodzić, i te większe, strzelające z procy do wróbli, które podkradają zboże ze zbiornika. Jedno z najbardziej ruchliwych podaje mi swój oręż.

Pozdrawiam wszystkie uśmiechem i błogosławieństwem. Odpowiadają ledwo dostrzegalnymi ruchami głów.

Trzech mężczyzn rzuca mi nieufne spojrzenia. Krępi i przysadziści, o wielkich głowach.

Nędza zawsze jest obrzydliwa i zdeformowana.

Z murów rozlega się gwizd.

Oczy zwracają się ku bramie. Ci trzej spieszą przykryć wóz wielką płachtą z workowego płótna. Podniecenie wzmagą się, rozwścieczeni mężczyźni klną, ile wlezie.

Coś zaczyna się dziać.

Spod sklepienia bramy wyłania się oddział jezdnych. Doliczam się tuzina. Panczerze i buńczuczne wymachiwanie włóczniami. Chorągiew z herbami biskupa.

Torują sobie drogę wśród protestów kobiet, zatrzymują się, nie mogą jechać dalej, słysząc podniecone krzyki.

Najbardziej rozwścieczona z kobiet, które sypały zboże do worków, staje przed dowódcą oddziału.

Oboje wrzeszczą niegramatyczną łaciną, zmieszaną z gwarą tych okolic, prawie zupełnie niezrozumiałą.

— Odebrać dziesięć ze zboża.

— W połowie miesiąca.

— Coraz wcześniej.

— Nie dajemy już rady.

— Żadnych dyskusji.

— Jego Wielmożność tak kazał.

Trzej mężczyźni pozostają przy wozie. Chytre miny. Jeden wchodzi na wóz, dwóch innych mocuje płachtę z konopnego płótna dobrze naciągniętymi rzemieniami.

Poborca dostrzega ich.

Wskazuje na nich ręką, rzucając jakiś rozkaz.

Kobieta chwyta za munsztuk konia i szarpie.

Ten wieprz uderza ją pejczem w twarz.

Skacze na jakąś wykrzywioną ławkę.

— Ty psi synu!

Wieprz odwraca się, wziął go już na cel.

Kamień trafia go prosto w głowę.

Pochyliła się na koniu, z rękami przy twarzy, podczas gdy naokoło wybucha piekielne zamieszanie. Chłopcy strzelają jednocześnie, niczym szereg wyćwiczonych procarzy. Kobiety rzucają się pod konie, odcinając cugle małymi nożami. Wóz rusza galopem. Krwawiący zasraniec wrzeszczy:

— Łapać ich! Łapać ich!

Konie stają dęba, wał się na ziemię, grad kamieni dosięga siepaczy. Pokazują się kije, narzędzia pracy. Z pół nadbiegają ludzie zaalarmowani krzykami.

Dwaj, którzy ładowali worki, dają mi znak, żebym szedł za nimi. Zagłębiają się w wąskie przejście między budami. Przeciskamy się coraz węższymi szczelinami, ja za nimi, wpadamy do baraku ze

stoczonych przez robaki desek, wychodzimy z drugiej strony, na brzeg strugi, niewiele większej od rowu.

Stoi tam płaska, lekka łódka, włączymy do niej, odpychają się jak w przystępie szału, pośród przekleństw, których nie jestem w stanie zrozumieć.

Przed nami otwiera się gęstwina sosnowego lasu.

Z dziennika Q.

Münster, 15 września 1550 roku

Judefeldertor jest bramą, przez którą wwozi się i wywozi towary. Wchodzą tędy chłopci ze swoimi produktami, wychodzą kupcy z towarami z manufaktur. Wozy wyładowane suknamy świadczą o tym, że najbardziej dochodowa działalność Münsteru nabrała nowej energii; zapomniano o Knipperdollingu, dawnym szefie cechu tkaczy. Ulice zapęłniają mężczyźni i kobiety, wystawiając na publiczny widok swoje codzienne życie.

Klasztor Überwasser zamieniono w szpital. Być może zostało tam parę sióstr zakonnych. Ale z pewnością nie ma już Tillbecka i Judefeldta, dwóch luterańskich burmistrzów, którzy zabarykadowali się w jego wnętrzu w dniach buntu anabaptystów.

Na wielkim placu w środku miasta w dalszym ciągu stoją naprzeciwko siebie katedra i magistrat. Świątynia została całkowicie odnowiona i przyozdobiona posągami i strzelistymi wieżyczkami, ku chwale Kościoła rzymskiego. Przed pałacem magistrackim oddziały straży, której zresztą wszędzie jest pełno.

Potem główny rynek. Ławy ustawione rzędem po bokach, przekupnie rozkładają na nich swoje towary. Wykrzykują ceny, targują się z kupującymi.

Kościół Świętego Lamberta.

Na dzwonnicy wiszą trzy klatki. Puste.

Nikt nie patrzy na nie.

Bockelson, Knipperdolling, Krechting.

Tylko ja stałem z nosem zadartym do góry, przez nie wiem ile czasu, podczas gdy wszyscy przechodzili obojętnie obok mnie; jedni szli zrobić zakupy, inni do kościoła.

Nikt nie patrzy na nie.

Nad głowami tych ludzi wisi przeszłość. Jeśli spróbują je unieść, przypomną im o niej te klatki.

Münster jest ostrzeżeniem dla całego chrześcijaństwa: wszystko wróciło do poprzedniego stanu, po tamtym złu nie ma śladu, może tylko w wiecznej symbolice najstraszliwszej kary.

Zanim wystawiono je w klatkach, ciała tej trójki, Bockelzona, czyli Króla Dawida, Knipperdollinga, ministra sprawiedliwości Królestwa Syjonu, i Krechtinga, doradcy Króla, poszarpały rozżarzone żelaza i podziurawił miecz kata.

W kościele nie rozbrzmiewają już rozpalające umysły kazania Bernharda Rothmanna, kaznodziei buntowników. Kazania, które rozpoczynały się zawsze od anegdoty o dziecku i posągu Jezusa.

Nie ma sensu rozpytywać ludzi, co się z nim stało, jako że w stosach trupów nie odnaleziono jego ciała.

Prawie bym chciał, żeby tym Tizianem okazał się on, teraz już starzec przemierzający Włochy.

Ale musiałyby ozdrowieć z szaleństwa, w które popadł po części dzięki mnie. Nasze długie dyskusje w tych nawach na temat zwyczajów biblijnych patriarchów, poligamii, bezapelacyjnego prawa moższowego podsycały w nim płomień szaleństwa.

Bernhard Rothmann, duchowy przewodnik mieszkańców Münsteru, pasterz zbuntowanych, główny wróg biskupa von Waldecka. Zapadł się potem szaleńczym zjazdem w otchłań desperacji i apokalipsy, z której nie ma powrotu. Nie. To nie Rothmann. Czy jest dziś żywy, czy martwy, nie mógłby rozpocząć od nowa.

Gdyby w mieście znalazł się jeden sprawiedliwy, Sodoma uratowałaby się.

Ale ten jedyny sprawiedliwy wyszedł poza mury. Tylko dlatego mogłem zrobić to, co zrobiłem, towarzysząc dzień po dniu, ramię w ramię, dworskiemu teologowi na ścieżce, która prowadziła do ruiny. I jeszcze dziś myślę, że tylko przyspieszyłem to, co było nieuchronne.

Jedyny sprawiedliwy poszedł sobie.

Uciekł od koszmaru i szaleństwa.

Ze schodów kościoła Świętego Lamberta popatrzyłem na rynek. Barykady z ław rzuconych jedna na drugą, pochodnie, broń, rozkazy rozbrzmiewające od jednego krańca placu do drugiego.

Nadzieje i iluzje anabaptystów, skumulowane na tym placu, zostały rozwiane przez Rothmanna, Matthijisa i Bockelzona.

Nie przeze mnie. Ja zdradziłem tylko jedynego sprawiedliwego.

I na ten plac musiałem wrócić, żeby rozliczyć się z człowiekiem, którym byłem wtedy. Nie w aulach Wittenbergi ani nawet w pałacach

Viterbo. Thomas Münzer, Reginald Pole: naiwność, niczym szaleństwo proroków, prowadzi do zdrady ideałów. Ale nie dotyczy to sensu możliwości, jakie otworzyły tamte dni i tamte czyny, ani determinacji tego, który dał natchnienie obrońcom.

To on powinien wyrównać rachunki, a nie sztylet Carafy. Ale musiałyby jeszcze żyć, po piętnastu latach od tamtej klęski, i przetrwać holenderskie bunty. Musiałaby go przygarnąć wspólnota loistów w Antwerpii, musiałby uciec przed zemstą Fuggerów, unosząc ze sobą owoce oszustwa, a wreszcie dotrzeć do Wenecji, tej ojczyzny zbiegów, i stać się właścicielem luksusowego burdelu, a jednocześnie podjąć pod imieniem Tiziana wędrowkę po Włoszech, żeby rozpowszechnić anabaptyzm.

Tak. Żeby w to uwierzyć, musiałbym być Turkiem, który nawrócił się na prawdziwą wiarę.

Mogę już wrócić do Rzymu i spotkać się oko w oko z losem sług zmęczonych i postarzałych. Banalny epilog życia wplecionego w wydarzenia zbyt wielkie, aby przywiązywać jakąkolwiek wagę do darzenia zbyt wielkiej, aby przywiązywać jakąkolwiek wagę do niepokojnych emocji szpiega u schyłku swoich dni. Mogę powiedzieć w obliczu tego wszystkiego, tych klęsk, że jeśli kiedykolwiek żyłem naprawdę i ośmielałem się na wielkie rzeczy, to tylko w dniach tamtej haniebnej i doskonałej zdrady największego przedsięwzięcia, na jakie mogli się zdobyć ludzie w ich odwadze i szaleństwie. Jasne motywacje szpiega i pełna pasji wierność przybocznego wobec dowódcy, którego podziwiałem od pierwszej chwili: tamte dni przelewają się wspomnieniami, jedynymi w swoim rodzaju, jak samo życie, pełnymi rozbieżnych wrażeń, których nie dopuszczałem do siebie, ja, tchórzliwy uczestnik wielkich spisków. Czas na rozwiązanie zagadki wyczerpuje się, i tak jest sprawiedliwie. Powinienem był zabić cię wtedy. Tylko w ten sposób wyraziłbym najwyższe uznanie dla twoich czynów. Tylko w ten sposób nie dopuściłbym do sytuacji, że oto po piętnastu latach, prawie u kresu wędrowki, pragnę jeszcze raz ujrzeć ogień w twoich oczach i poczuć chłód twojego miecza, kapitanie Gercie ze Studni.

Rozdział 35

*Lasek piniowy w Classe, w pobliżu Rawenny,
9 października 1550 roku*

Ani śladu księżyca. Ledwo rozróżniam ciemniejsze sylwetki drzew i mdły odbłask fal na plaży.

Natomiast Malcantòn wpatruje się w ciemność, tak jakby doskonale wiedział, co i w jakiej odległości ma przed sobą. Dłonie jak łopaty, i blizna, która biegnie mu od ucha do ramienia. Pewnie ktoś bezskutecznie próbował uciąć mu głowę. Ktoś, kto musiał tego żałować. Malcantòn to znaczy zła strefa, od północnego zachodu, skąd nadchodzą niespodziewane burze, siejąc zniszczenie w zbiorach, burze, które wyracają łodzie. Jeśli kogoś interesuje jego prawdziwe imię, może je przeczytać na placu w Rawennie, gdzie wywieszono je na widok publiczny, razem z okupem za jego głowę.

Także inni mogą się chwalić tym samym. Mèlga i Guacín, czyli bracia Rasi, poszukiwani są od ponad roku za zamordowanie celnika.

Tambòcc, nie więcej niż dwadzieścia lat, anielska twarzyczka, czarne loki i nieprawdopodobna siła. Zatwardziały oszust, odziedziczył ten zawód po ojcu, razem z nienawiścią do księży i wszelkiej władzy. Przykucnął teraz, opierając się plecami o drzewo, żeby wpatrywać się w noc za naszymi plecami. Z zagajnika dochodzą leśne szmery i trzepotanie skrzydeł ptaków, które rozpoznaje co do jednego.

Ten skrawek lądu i morza stopionych w jedno stanowi granicę. Przedmiot sporów między Wenecją, Ferrarą i papieżem, jest jednocześnie ziemią niczyją, labiryntem ceł, danin i podatków, które każdy z panów próbuje narzucić na wszelkie przewożone tędy towary albo produkty rolne. Rezultatem tego stanu rzeczy jest jeszcze większe niż gdzie indziej uciemienie ludzi biednych, zanik wszelkich przewozów i handlu.

To dlatego potrzebni są przemytnicy.

Znam każdą piędź płaskiego wybrzeża od delty Padu aż po tereny z tamtej strony portu Rimini. Przygodne przystanie, nieużywane nabrzeża, stare, porzucone kanały rzymskie, które umożliwiają dostanie się w głąb łądu, na szerokie, bagienne rozlewisko, ciągnące się przez wiele, wiele mil pod jednostajnym przykryciem nadmorskich sosen. Wodny, rojący się od komarów labirynt, w którym umieją się orientować tylko ci wyjęci spod prawa ludzie, usiany trudnymi do rozpoznania znakami orientacyjnymi, pułapkami, dobrze zamaskowanymi składami.

Dalmatyńscy, ale także weneccy kupcy mają wszelkie powody, żeby negocjować z przemytnikami Romanii: żadnych przeciągających się postojów w portach, żadnych podatków i łupieżczych opłat, żadnych okupów dla pasących się na tym procederze miejscowych potentatów.

Dużą część towarów przeladowuje się na pełnym morzu naprzeciwko wybrzeży, wzdłuż niewidocznej linii, gdzie na statki handlowe czekają łodzie przemytników, dobrze zakamuflowane jako rybackie. Nie jest to łatwa praca, na morzu nic nie jest pewne: oczekiwanie może trwać godzinami i dniami, przy wszelkich odmianach pogody. Gdy w końcu dojdzie do spotkania, przenosi się towar i rozlicza na miejscu. Bywa, że statki handlowe pilotowane są w kierunku tajemnych przystani przez zwinne szalupy, i rozładowuje się je na plaży, uzgadnia cenę i płaci.

Często zdarzają się zasadzki. Ryzykuje się życie i bardzo surowe kary.

Ale tylko dzięki tej niewidocznej handlowej sieci miejscowa ludność nie umiera z głodu. Tych, którzy wybierają zawód przemytnika, popycha do tego najczarniejsza nędza i instynktowna, dobrze usprawiedliwiona nienawiść, jaką wszyscy na tych ziemiach żywią względem wszelkich władz; prawie zawsze są to ludzie, których obwinia się o różne rzeczy i którzy muszą kryć się w leśnej gęstwinie, żeby ująć przed siepaczami.

Nie ma tu kobiety, starca albo wieśniaka z jakiegokolwiek osady, którzy by ich nie wspomagali, choćby nawet uporczywym milczeniem. Ponieważ część krążących tu towarów jest regularnie rozdzielana między okoliczną ludność. To jest jedyny podatek.

Zanim biskup wypuści swoich poborców, żeby odebrali dziesięcinę ze zbiorów, ich część zostaje ukryta przez przemytników w licznych składach w lesie, dzięki czemu mniej uciążliwa staje się danina obliczana od całych zbiorów, a miejscowa społeczność może łatwiej przeżyć zimę.

To właśnie działo się miesiąc temu, gdy nadjechał oddział poborców zjawiających się każdego roku coraz wcześniej.

Byli tam Malcantòn, Guacín i Mèlga, mężczyźni, którzy usypywali zboże, żeby je przewieźć do magazynów ukrytych na bagnach.

Żeby zdobyć trwałe uznanie tych ludzi, wystarczy proca i jaka taka umiejętność celowania. I trochę ognia we krwi.

Noc bez księżycy. Czekamy, aż pojawi się sygnał pochodni. Kulę się w płaszczu, moje kości nasiąkły wodą, podczas gdy Malcantòn bezustannie wpatruje się w morze.

Kanciarz Mèlga czeka w gotowości na łódce, wiosła w dulkach.

Jego brat trzyma latarnię, gotów ją zapalić, żeby dać odpowiedź.

Tambòcc ciągle nasłuchuje dźwięków płynących z lasu.

Dla nich ta noc oznacza początek nowych interesów, które ich zdumiewają, ale także zaciekawiają.

Nie mogli w to uwierzyć. Śmiali się. Zadawali wiele pytań. Zabronione? Dlaczego? Przecież i tak nikt niczego nie rozumie.

Nie. Po prostu nie wyobrażali sobie, że można robić forszę na przemycaeniu książek.

Z dziennika Q.

Rzym, 1 listopada 1550 roku

Do wykonania pozostała jedna praca. Carafa zarezerwował ją dla mnie. Delikatna i ważna jak inne zadania. Może bardziej. Tak ważna, że nie wolno jej powierzyć nikomu, kto nie należy do grona najbardziej zaufanych, najgodniejszych żołnierzy Carafy. On wie, że wiele razy wystawiał mnie na próbę, że żądał ode mnie zawsze największego wysiłku. Po tej ostatniej misji będę mógł udać się na zasłużony odpoczynek, ma się rozumieć, jeżeli będę miał taką wolę.

Przystałem z radością. Tym razem stary nie potrafił odczytać moich myśli.

Trzeba wykiwać Żydów, powiedział, tych nienawistnych pasożytów, zatwardziałych zabójców Chrystusa, którzy często nawracają się na prawdziwą wiarę dla wygody, po to tylko, żeby ciągnąć zyski z brudnych interesów. To choroba, która od środka zaraża materię chrześcijaństwa. Choroba, którą należy zwalczyć. Trzeba rozpocząć tam, gdzie zakorzeniła się najbardziej.

W Wenecji.

Powiedział, że i tym razem, czytając moje sprawozdania, zrozumiał, że jestem najodpowiedniejszym człowiekiem do tego zadania. Prawdę mówiąc, przy tej lekturze rzuciła mu się jasno w oczy powaga kwestii, to, jaką potęgę mogą zdobyć rodziny nieuczciwych lichwiarzy. Już od jakiegoś czasu analizował najlepsze rozwiązanie, a teraz czas dojrzał, wszystko jest gotowe, układy zawarte.

Wejście w życie indeksu ksiąg zakazanych na terytoriach Najjaśniejszej Republiki jest wyraźnym sygnałem, że weneckie władze pojęły w końcu wagę zajęcia kompromisowej postawy, przewyciężając pychę i arogancję, które znamionowały je od zawsze. Powód jest oczywisty: patrycjuszowskie rody Najjaśniejszej są zadłużone po szyję, ich losy całkowicie zależą od sakiewek żydowskich bankierów.

Jest to dług tak olbrzymi, że może być zlikwidowany tylko wraz z unicestwieniem wierzycieli. Wymiana tych grzeczności przyniosła obopólną satysfakcję: dla Carafy jest to demonstracja siły Świętego Oficjum w mieście najbardziej wrogim ingerencjom Rzymu, preludeum uderzenia żelazną pięścią, uderzenia, które władza inkwizytorska zastosuje na wszystkich katolickich ziemiach; dla mieszkańców Wenecji będzie to uzdrowienie finansów poprzez konfiskatę majątków bogatych Żydów.

Mechanizm już został uruchomiony. Inkwizycja i władze miejskie Wenecji zaczęły wytaczać procesy pomniejszych członkom sefardyjskiej społeczności, oskarżając ich o tajemne wyznawanie judaizmu. Ale konieczne jest dotarcie do grubych ryb.

Aby się do nich dostać, trzeba kogoś takiego jak ja. Człowieka, który ma za sobą trzydzieści lat duchowej wojny i jest w stanie wywołać w tym mieście powszechną nienawiść do Żydów, wskazać na nich jako na przyczynę wszelkiego zła, przygotowując teren ofensywie, która uderzy w całą ich wspólnotę.

Zaakceptowałem z radością.

Ukryłem zdumienie, że mój czas został przedłużony.

Pokazałem maskę gorliwości, jakiej dziś nie mam już prawa wkładać.

Ostatnia praca przed zasłużonym odpoczynkiem.

Ostatnia hańba.

Miał ją w zapasie dla tego, kto od zawsze znał tajemnice Carafy.

Myślałem, że dotarłem już do końca. Zostaje mi przyznany dodatkowy czas. Ile? I dlaczego?

Tego rodzaju spisków nie mogliby przeprowadzić silni i gorliwi dominikanie, którzy zapełniają te korytarze. Są za bardzo fanatyczni. Zbyt przejęci rolę, jaką im powierzono, niezdolni do delikatnych strategicznych posunięć, chociaż skuteczni w tropieniu na ślepo zwierzyny, jaka zostanie im wskazana. Robią wszystko w pełnym blasku słońca. Carafa przygotowuje ich do ofensywy ważniejszej niż wojna duchowa. Do ostatecznego rozliczenia po dziesięciu latach precyzyjnego planowania. Budowla, do której wzniesienia, cegła po cegle, ja też się przyczyniłem, zostanie dokończona przez innych, i już bardzo niedługo. Wydaje się, że bardzo pożądane przez cesarza bliskie wznowienie soboru będzie godziną, w której Carafa odkryje karty, przypuszczając frontalny atak na *Uduchowionych*. Napiecie na twarzach i w głosach młodych psów gończych, kierowanych przez Michele'a Ghislieriego, drapieżnego ptaka, który, zdaniem mojego staruszka, lata wysoko, wskazuje na to, że wszelkie odkładanie na potem niedługo się skończy.

Nie będę uczestniczył w tej rozgrywce, ponieważ znam wszystkie poprzednie ruchy, a Carafa dobrze wie, że dwóch ludzi może dochować tajemnicy tylko wtedy, gdy jeden z nich nie żyje.

Tymczasem jednak powierza mi ostatnią brudną krucjatę, do której nie mam już serca: muszę wymyślić nowego wroga i skierować przeciwko niemu chrześcijańskie wojska. Każdemu, kto zgodzi się przystąpić do bitwy, gwarantuje tłusty kęs: bogactwa ofiar i miejsce w raju. Wenecjanie są pierwsi, inni będą musieli iść w ich ślady.

Dla mnie, jak zawsze, zadanie przygotowania terenu do pierwszego uderzenia. Potem pozostanie tylko utrzymać tajemnicę. Pod dwoma sążniami ziemi.

Zgodziłem się z radością. Wenecja. Jest jeszcze czas na wyjaśnienie zagadki. Tym razem nie będę niezmordowanym i skutecznym sługą, którego do tej pory znał Carafa. To zagadka, którą niebawem rozwiążę, nada tempo godzinom, które mi pozostały.

Rozdział 36

Wybrzeże Romanii, 5 lutego 1551 roku

— Odniosłem sukces w Dalmacji, koledzy! — Perna puszcza kaczkę po lustrze wody. — To ludzie, którzy bardzo źle się odżywiają, ale potrafią starannie dobierać lektury, *capito*? Jeżeli utrzymamy dzisiejsze tempo, to przed nami sława dystrybutorów najpoczytniejszej książki po Biblii.

Lodowaty wiatr, w którym czuć noc, morze i żywicę. Stoimy na plaży z Pietrem Perną i João Miquezem, wymieniamy wieści i planujemy najbliższą przyszłość. Spotkanie korsarzy, jak wiele lat temu na holenderskich wybrzeżach. Ręka zagłębia się powoli w chłodny piasek, podobnie jak słońce za sosnowym zagajnikiem.

Wchodzimy do baraku rybaków. W środku pali się już ogień. Z sufitu zwieszają się schnące sieci.

Szukam wzroku João.

— Masz jakieś wiadomości o Demetrze?

Odwraca się, kiwając głową.

— Ta pani robi z ciebie bogacza. Kiedy ostatni raz zajrzałem do Caratello, nie było wolnego stolika. Wydaje się, że wszystko toczy się dobrze, nie słyszałem, żeby ktokolwiek jej przeszkadzał.

— A tu, w Romanii? — Perna potrząsa mnie za ramię. — Mam nadzieję, że nie przeoczyłeś nadzwyczajnego *sangiovese sangue di bue**. Mówią, że to marzenie, rozumiemy się?

Wyjmuję z torby grubą butelkę w słomianym oplocie, wyciągam korek i podaję mu.

— Proszę bardzo.

Perna pociąga łapczywie kilka łyków.

* Bycza krew z Sangiove, miejscowe czerwone wino.

— Musiałem pchać się aż tutaj, żebyś mnie poczęstował dobrym winem. Co tu jest jeszcze dobrego na tych mokradłach?

— Ludność tych okolic całym sercem nienawidzi kleru. Poznałem mnóstwo najróżniejszych osób, chrzcilem chłopów i rybaków, handlarzy i pijaków; wszyscy jednako uparci, wszyscy z ogniem w żyłach. Budzenie dusz nie wydaje się w tych stronach zbyt trudną sprawą.

— *A Błogosławieństwo?* — pyta João.

— Transporty przychodziły regularnie. Sprzedawałem je po dobrej cenie. Handluję z miejscowymi przemysłowcami. Surowi, srogo wyglądający ludzie, w dodatku mówią gwara, z której zrozumieniem mam trudności, ale są bystrzy i trzymają z okolicznymi mieszkańcami. Żaden nie umie czytać ani pisać, ale od razu wyczuli w tym dobry interes.

João pogwizduje do wnętrza muszli i potrząsa głową.

— To dobrze. Myślę, że będziesz musiał pokrećć się tu jeszcze przez jakiś czas.

Moje spojrzenie domaga się wyjaśnień.

— Do władz doszły pogłoski o soborze anabaptystów. Nie było aresztowań, ale wszyscy mają duszę na ramieniu. Wenecja roi się od straży, szpiegów, donosicieli, nikomu nie można ufać... Odkąd ogłosili indeks, nie spuszczają z oka przede wszystkim drukarzy, a książki nie krążą już z taką swobodą jak przedtem. No i jest pewna nowość: kilku nawróconych Żydów, nasi przyjaciele i osoby dobrze nam znane, zostało zatrzymanych pod zarzutem ukrytego wyznawania judaizmu. Znosi się na pierwsze procesy, na razie na niewielką skalę i bez większego hałasu, ale ja już widziałem takie rzeczy. To jest pierwsza czarna chmura, która zapowiada nawałnicę, nieomylny znak inkwizycji, jak w Hiszpanii, jak w Portugalii.

— Nie wydaje mi się — odzywa się Perna — żeby ten twój znajomek, papież czytujący nieprzyzwoite książki, miał wielką ochotę trzymać na łańcuchu pieski Świętego Oficjum. Niedługo zrobi się wielki burdel, rozumiemy się? Nie możemy dać się podejść.

— Wykorzystuję całą dyplomację, na jaką mnie stać — mówi dalej Miquez — żeby wysondować nastroje kupców, którzy prowadzą z nami interesy. Staram się obudzić w nich konkretne obawy przed zgubnymi konsekwencjami ewentualnego zatrzymania nas. Nie sądzę, żeby to wystarczyło. Dyplomacja i przekupstwo to niezbędne środki w tym momencie, ale i one nie zawsze są zdolne zapobiec nieszczęściu. Lepiej być przygotowanym na wszelkie ewentualności. W każdym razie, biorąc pod uwagę obecne nastroje, lepiej, żebyś został jeszcze z dala od Wenecji.

— Zgoda, ale na niezbyt długi okres. Zaczynam mieć dość tego udawania proroka, choćby ze względu na moje lata. Tiziano zasiał

już to, co miał zasiać. Sobór anabaptystów zatwierdził jedność wspólnot, które nie zgadzają się z Kościołem. Kręgi, do których należą wybitne postaci we wszystkich państwach półwyspu, wywierają nacisk na rządzących. Wielki malarz Jacopo da Pontormo, z którym los pozwolił mi się zbliżyć, przedstawia *Błogosławieństwo Chrystusa* na fresku w kaplicy, w której zostanie pochowany Cosimo de' Medici. Cudowne dzieło, widziałem jego projekt i część gotowych już malowideł, które wykonuje w wielkiej tajemnicy. Wszystkie wspólnoty działają, kamień został rzucony, a skutki pokaże przyszłość. Tymczasem konieczne jest, żebyście informowali mnie o tym, co się dzieje w Wenecji. Liczą się także drobiazgi.

Siedzimy w milczeniu. Szum fal kołysze usypiająco myśli, głowa zaczyna ciążyć. Nasze długie cienie rysują się na ścianach aż do sufitu.

Perna potrząsa nagle głową, tak jakby zbudził go jakiś niespodziewany hałas. Spogląda zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami.

— Mógłbym spróbować jeszcze trochę tego nektaru?

Z dziennika Q.

Wenecja, 24 lutego 1551 roku

W Wenecji jestem jednym z wielu. Szpiegiem w krainie szpiegów. Jest tu mnóstwo tych, którzy obserwują, notują, a potem składają sprawozdanie szefowi zmiany, często na służbie kilku zleceńodawców jednocześnie. Turcy, Austriacy, Anglicy; nie ma potęgi, stronnictwa czy przedsięwzięcia handlowego, które obywałoby się bez oczu i uszu penetrujących każdy zakątek tego miasta. Wszyscy szpiegują wszystkich w gmatwaniu podwójnych, potrójnych czy poczwórnych gier. Moim zadaniem jest wywołanie wewnątrz tego labiryntu podchodów i przeciwnych sobie sprzysiężeń powszechnego zainteresowania sprawą wciągnięcia w kłopoty Żydów.

Jak to zrobić?

Na razie ćwiczę umysł, analizując intrygi, które nadają pikanterii układowi między Carafą i weneccjanami.

21 tego miesiąca Rada Dziesięciu wygnała z Wenecji ojców barnabitów i siostry anielanki pod zarzutem przekazywania tajnych informacji zdobytych w konfesjonale gubernatorowi Mediolanu Ferrantemu Gonzadze, wasalowi cesarza. W ten sposób Carafa pozbył się konkurenta, zamknął oczy i uszy Karola V w Wenecji. Chytróść starego teatyna jest po prostu przerażająca. Nie tylko oczyszcza pole z przeciwników przed rozpoczęciem wielkich manewrów, ale pozwala mieszkańcom Najjaśniejszej potwierdzić sławę nieskazitelnych strażników własnych spraw, jedynek, którzy nie tolerują żadnych ingerencji, nawet Rzymu. Stary udaje, że sprawia mu to przykrość, zaciskając jednocześnie chwyt.

Jestem w Wenecji od paru miesięcy. Nie odwiedzam wielu miejsc, ale opłacam pewną liczbę oczu, które obserwują to, co mnie interesuje. Przed wszystkim burdel zmarłego heretyka z Antwerpii. Po nim samym ani śladu: jest dziś widmem bardziej niż kiedykolwiek. Muszę mieć cierpliwość. Zebrać inne informacje na temat Tiziana. A tymczasem wypełniać zadanie, które mi powierzono.

Z dziennika Q.

Wenecja, 9 marca 1551 roku

Oplacane przeze mnie oczy w pokojach Urzędu do spraw Cudzoziemców donoszą o dziwnym napływie do miasta w październiku zeszłego roku. Dwuznaczne osoby, drobni rzemieślnicy, kupcy, duchowni, literaci, niektórzy nawet z daleka. Około stu osób z trudem kojarzonych ze sprawami Wenecji. Żaden z nich nie pozostał dłużej niż tydzień. Czarna plama w archiwach miejscowych władz.

Nazwiska nic nie mówią. Z wyjątkiem jednego. Pietro Manelfi, syn Ippolita Manelfiego, kleryk z Ancony.

To samo nazwisko, które figurowało między członkami kółka sympatyków protestantyzmu we Florencji.

To jest kółko, z którym kontaktował się Tiziano na przełomie czterdziestego dziewiątego i pięćdziesiątego roku.

Zawsze jakiś ślad.

Zasygnalizować to nazwisko inkwizytorom z terytoriów sąsiednich księstw, Mediolanu, Ferrary, Bolonii.

Wenecja, 16 marca 1551 roku

Nadszedł list od ojca inkwizytora Romanii.

Przesłuchano kilku rzemieślników z Rawenny w związku z udzielaniem chrztu dorosłym. Utrzymują, że słyszeli o niejakiem Tizianie, który oddawał się tej praktyce nie więcej niż miesiąc temu na nizinach wokół tego miasta. Mówią też, że rzeczony Tiziano przemawiał przeciwko władzy kleru i własności kościelnej. Powiadają, że zdobył sympatię pospólstwa w tych stronach, zawsze gotowego do korzystania z każdego pretekstu do buntów i wicherzycielstwa.

Wenecja, 16 marca 1551 roku

Wskazówka od inkwizytora Ferrary.

Utrzymuje, że imię baptysty Tiziana znane jest w pewnych środowiskach tego miasta.

Wenecja, 21 marca 1551 roku

Cała noc minęła mi na zastanawianiu się nad strategią, jaką należałoby przyjąć względem Żydów. Być może jest na nich sposób.
Napisać do Carafy.

Tajne oko Carafy
(1551)

List wysłany do Rzymu z Wenecji, z datą 22 marca 1551 roku, adresowany do Gianpietra Carafy.

Do najczcigodniejszego i najdostojniejszego Pana Giovanniego Pietra Carafy.

Panie mój najdostojniejszy, dwa miesiące pobytu w tym ogromnym i dziwacznym mieście wystarczyły mi, żeby zasugerować jedyną strategię, jaka moim zdaniem mogłaby się nadawać przeciwko Żydom. Spieszę więc złożyć sprawozdanie, aby Wasza Wielmożność wyraził o niej najroztropniejszą opinię i zechciał udzielić mi przywileju dalszego służenia wspólnym celom.

Polityczne zrównoważenia sił w Wenecji są tak zawile i złożone jak jej uliczki i kanały. Nie ma mniej lub bardziej sekretnej informacji albo wydarzenia, które nie spotkałoby na swojej drodze oczu i uszu szpiega, zagranicznego obserwatora lub najemnika na żołdzie jakiegoś potentata. Ja sam musiałem zastosować tę metodę, żeby mieć dostęp do sekretnych wiadomości. Interesom, które bezustannie załatwiane są przy świetle dnia, odpowiada taka sama albo większa liczba tajemnych kombinacji, handelków i umów, odnoszących się do wszelkich przejawów życia Najjaśniejszej Republiki. Na Rialto ma swoich szpiegów sułtan, podobnie jak król Anglii i cesarz Karol. Jak Wasza Wielmożność dobrze wie, swoich informatorów miał w szeregach weneckiego kleru także Gonzaga. Wielcy kupcy manewrują w cieniu, żeby uchronić od przecieków swoje handlowe umowy i nie stracić najlepszych okazji do zarobku. Nikt, czy to książe, czy kupiec, nie mógłby przeżyć w Wenecji, gdyby nie miał do dyspozycji siatki zręcznych szpiegów, którzy są w stanie zdać prędko relację o wewnętrznych i zewnętrznych rozgrywkach władzy w republice świętego Marka.

W tego rodzaju stosunkach Żydzi nie odgrywają drugorzędnej roli. Ich połowiczna przynależność do Wenecji, rola bankierów i finansistów, podwójna religia składają się na jeden z podstawowych fundamentów handlowego i politycznego życia miasta. Ich pozycja sprawia, że z jednej strony zdają się nietykalni, z drugiej wskazuje na ich słaby punkt.

Wiele żydowskich rodzin nawróciło się na wiarę chrześcijańską, żeby wyeliminować wszelkie możliwe utrudnienia w interesach i obronić się przed jakimkolwiek atakiem. Można by wytknąć im to maskowanie się i uczynić z niego główny powód powszechnej awersji względem nich. Można by dodać do tego fakt, że w wielu wypadkach sułtan turecki korzysta właśnie z porad i ze zręczności żydowskich finansistów, żeby reprezentowali w Wenecji jego interesy. Doskonałym przykładem jest tu rodzina Mendesów, zamieszana już w rozpowszechnianie *Błogosławieństwa Chrystusa*, utrzymująca z sułtanem stosunki handlowe i dyplomatyczne. Gdyby udało się powiązać z wielkimi żydowskimi rodzinami sieć tureckich szpiegów działających na obszarze Najjaśniejszej, nietrudno by było wskazać ich władzom jako ludzi odpowiedzialnych za sprzysiężenie zagrażające interesom Wenecji.

A jako że Żydzi są nadzwyczaj doświadczeni we wmawianiu, że ich ruina oznaczałaby ruinę wszystkich, należy sprawić, aby wszyscy zrozumieli, jakie korzyści pociągnęłyby za sobą szeroka operacja przeciwko nim. Dzięki przypisaniu Żydom wszystkich intryg, każdy mógłby z większym spokojem prowadzić swoje własne. Niczyjej uwagi nie uszłaby praktyczność tej strategii.

Oskarżenie o fałszywe nawrócenie pozwoliłoby weneccjanom przejąć majątki Żydów, napełniając na nowo państwowe kasy, a zarzut sprzysiężenia z sułtanem wykluczyłby ewentualną interwencję na ich rzecz ze strony chrześcijańskich potęg.

Będę z ufnością oczekiwał zdania Waszej Wielmożności, polecając się wspaniałomyślności mojego Pana.

Z Wenecji, 22 marca 1551 roku,
wierny obserwator Waszej Wielmożności
Q.

Z dziennika Q.

Wenecja, 2 kwietnia 1551 roku

Rozpoczyna się wielka operacja.

Michele Ghislieri jest w Bergamo. Miejscowy biskup Soranzo zostaje oskarżony o to, że zezwolił na rozpowszechnianie *Błogosławieństwa Chrystusa* we własnej diecezji. Egzemplarz wyklętej książki znaleziono w jego prywatnej bibliotece.

Ghislieri będzie maglował go dopóty, dopóki go nie obali.

Wenecja, 21 kwietnia 1551 roku

Przesłuchiwany jest także biskup diecezji Como. Nawet tutaj *Błogosławieństwo* nie natrafiło na żadne przeszkody.

Uduchowieni z trudem łapią powietrze. Nie spodziewali się frontalnego ataku.

Dominikanin Ghislieri pieni się z wściekłości.

Jak można było przypuszczać, Carafa postanowił rozpocząć ostateczną ofensywę po wznowieniu obrad soboru.

Wenecja, 16 maja 1551 roku

Padają także biskupi Aquilei i Otranto.

Te same zarzuty.

Głowa po głowie, strategia Carafy nie napotyka przeszkód. Korzyść jest podwójna: oczyszczenie z wewnętrznych przeciwników i przekreślenie planów cesarza, który oparł całe swoje nadzieje na wznowieniu soboru.

Wenecja, 25 czerwca 1551 roku

Pod ciosami dominikanina, nowego młota chrześcijaństwa, upada największa opoka: Morone, biskup Modeny i członek Świętego Oficjum, zaufany doradca Reginalda Pole'a, postać nietykalna jeszcze kilka miesięcy temu.

Od dziś wszyscy przesłuchiwanym będą musieli się bronić. A wszyscy inni obawiać. Upadek tego rodzaju osobistości ostrzega, że nikt nie jest już bezpieczny. Nie wyjdzie bez szwanku nikt, kogo bodaj musnęła trucizna *Błogosławieństwa Chrystusa*.

Dojrzałe owoce mojej pracy spadają jeden po drugim. Powinienem być już trupem i zabrać pod ziemię sekrety operacji, której koncepcja powstała dziesięć lat temu.

Nieostrożność, a może zbytnia pewność siebie lub zapal unicestwienia przeciwnika. Zostaje mi jeszcze trochę czasu, tyle ile potrzeba na wbicie krzyża w serce Judejczyków.

Wenecja, 10 lipca 1551 roku

Nowy list od inkwizytora Romanii. Zasygnalizowano obecność Niemca o imieniu Tiziano na przedmieściu Bagnacavallo, między Imolą i Rawenną.

Wenecja, 29 lipca 1551 roku

W mieście na ustach wszystkich jest przesłuchiwanie kardynałów ze stronnictwa *Uduchowionych*. Sygnał nie pozwala na niewłaściwe interpretacje: wraz z postawieniem w stan oskarżenia Soranza, biskupa Bergamo, Rzym wbił swoją chorągiew wewnątrz granic Najjaśniejszej Republiki, i zrobił to rękami Ghislieriego, człowieka Carafy, pomijając inkwizytora Wenecji.

Tymczasem pierwsze owoce przyniosły moje anonimowe listy do miejscowej inkwizycji: nad Żydami zaczyna unosić się aura nieufności; plotki o utrzymywaniu starych praktyk religijnych przez marranów i o dwuznacznych interesach głównych żydowskich rodzin. Kupieckie środowisko Wenecji nie daje posłuchu tym wieściom: ich interesy powiązane są podwójną nicią z żydowskimi bankierami. Ale trwające już procesy podsycają wrogość, która, jak się wydaje, może się szerzyć. Potrzebna jest iskra, która wywołałaby pożar.

Skupiłem uwagę na kilku podejrzanych Lewantyńczykach, którzy mogliby się okazać użyteczni w tych okolicznościach. Poinstruowany

jak należy Turek, który zeznałby przed władzami weneckimi, że jest szpiegiem sułtana na żołdzie potężnej żydowskiej rodziny, wywołałby oczekiwaną reakcję.

Wenecja, 8 sierpnia 1551 roku

Inkwizytor Ferrary sygnalizuje obecność Pietra Manelfiego w mieście.

Wenecja, 21 sierpnia 1551 roku

Carafa występuje w pierwszej osobie. Oskarżył *Uduchowionych* przed soborem o zwłokę i o to, że nigdy nie zrobili nic, żeby przeszkodzić rozpowszechnianiu *Błogosławieństwa*. Utrzymuje, że Pole i jego przyjaciele nigdy nie chcieli zdać sobie sprawy z heretyckiego znaczenia książki Fontaniniego z powodu ich dwuznacznych intencji pojednania z luteranami. Oskarża ich o to, że pozwolili omotać się ideom protestanckim. To bardzo poważny zarzut.

Stary teatyn nigdy nie wystąpił osobiście na polu bitwy. Jeśli *Uduchowieni* nie będą umieli właściwie zareagować, są skazani na unicestwienie.

Rozdział 37

Ferrara, 11 września 1551 roku

Via della Gattamarca. Nazwiska ludzi nie mówią nic, nazwy różnych miejsc nigdy nie pojawiają się przypadkiem.

Smród gnoju i ściierwa. Wysuszone trupy kotów, kępki pogniecionych piór, które musiały należeć do kur, zanim myszy zjadły ich z kośćmi. Wszędzie odchody, prawie nie da się postawić nogi, żeby w coś nie wdepnąć. Nie zagląda tu nikt, chyba że na ukradkowe i podejrzane spotkania, prawdziwe tajemne ścieżki znajdują się wewnątrz budynków, gmachów nakrytych dachem, pełnych korytarzy i przejść w skomplikowanej gmatwaninie domów mieszkalnych, warsztatów, sklepów. Ta wąska uliczka jest składnicą ekskrementów i śmieci pod otwartym niebem.

Pietro Manelfi jest roztrzęsiony, drobiazgowy, przestraszony.

— ...i wiele razy miałem wrażenie, że jestem śledzony, szpiegowany. Ale jak ci mówiłem, przede wszystkim chodzi o całe to rozpytywanie, o wymienianie mojego nazwiska w tawernach przez osoby, których nikt nigdy nie widział na oczy. I jeszcze to, że poza miastem współbracia również zaczynają czuć ich oddech na karku, w Romanii, w Marche. Słyszysz się mnóstwo rzeczy, jest indeks ksiąg i całe to zamieszanie z *Błogosławieństwem*. Nie tak miały iść sprawy; mówiłeś, że ten papież miał być bardziej umiarkowany, a wygląda na to, że nikt nie jest już bezpieczny, nawet kardynałowie, a co dopiero my. Kręci się za dużo ludzi, którzy się o nas dopytują, siedzą nam na karku, coś szykują. Także tutaj. Widziałeś, co się przydarzyło Giorgiowi Siculowi? Książę spalił go bez zastanowienia. Na naszym soborze w Wenecji mówiło się o tajnych zwolennikach, o maskowaniu naszej wiary, ale co zrobisz, jak cię wezmą w swoje łapy i zaczną maglować, używając do tego rozżarzonego żelaza? Jeżeli ci się uda, to resztę życia spędzisz w lochu.

— Dość tego, Pietro! Rozumiem zdenerwowanie tym, że nas tropią, ale straszliwy smród tej speluny, w której się ze mną umówiłeś, zaciemnia ci umysł. Myślałeś, że rzymski kler stanie się naszym sprzymierzeńcem? Albo że książęta zniżą się do tego, żeby powiedzieć słowo na naszą korzyść? Gdyby tak było, to po co mielibyśmy się maskować? Nie rozumiesz, że próbują nas zastraszyć? To jest ich strategia: podejrzewać wszystkich, żeby ten, kto ma powody do obaw, zrobił fałszywy krok i się odsłonił.

Także on śmierdzi potem i strachem.

— Ale jeżeli mnie zatrzymają? Ja nie chcę skończyć jak Siculo!

— Mów im o mnie, tylko o mnie, i przedstaw pełny obraz. Powiedz, że to ja podbechtałem cię do fałszywych wierzeń, że byłeś słaby i że ja byłem zręczny w przedstawianiu fałszu jako słusznej doktryny.

Zaciska w podnieceniu dłoń.

— A jeśli złapią ciebie?

Przyciskam go do ściany, twarzą w twarz.

— Posłuchaj mnie dobrze, Pietro, wyjedź z Ferrary. Wróć do Marche, zamknij się w jakimś klasztorze, ucieknij na szczyt góry, wszędzie, gdzie tylko będziesz się mógł poczuć bezpiecznie i gdzie przejdzie ci ten strach. Nie podobają mi się tchórze, których paraliżuje parę pytań, zadanych przez kogoś w okolicy. — Puszczam go, żeby sztywno zjechał na dół. — Strach może być sprzymierzeńcem, jeżeli ostrzega cię, żebyś był ostrożniejszy i chytrzejszy. Ale jeżeli robisz pod siebie, wróg znajdzie cię po zapachu gówna.

Oddalam się jak najszybciej od tego smrodu.

Rozdział 38

Ferrara, 2 października 1551 roku

Chiú poczęstował mnie gorzałką. Zamieniam dwa słowa i żegnam się prędko, żeby pognać do mieszkania Miquezów.

Beatrice stoi koło dużej klatki. Przywieziony z Indii kos dziobie z jej ręki jabłko.

Podczas każdego spotkania z nią rozumiem, dlaczego nie mam już wielkiej ochoty na wędrówki, żeby werbować takich typków jak ten Manelfi. Stoję, spoglądając na nią i czekając, aż spostrzeże moją obecność.

— Ludovico! Chcesz napędzić mi strachu, pokazując mi się taki upačkany?

— Wybacz mi, ale nie miałem czasu ubrać się porządniej.

— Mam dla ciebie wiadomość od João.

— João-João.

Odwracam się błyskawicznie w stronę klatki, a Beatrice wybucha śmiechem.

— To zdumiewające, jak one potrafią naśladować ludzki głos.

Podaje mi zalakowany liścik.

Na pierwszy rzut oka można wpaść w zakłopotanie: szereg zdań wychwalających życie na wsi.

— Spróbuj z użyciem tego. — Beatrice podaje mi cienką, podziurkowaną blaszkę o rozmiarach zwykłej stronicy. — To nasz rodzinny szyfr. Używamy go od wielu lat, żeby uchronić się od niedyskretnych oczu. Nałóż tę blaszkę na list.

Wycięte w blasze kawałki oddzielają słowa, fragmenty zdań, sylaby, które z miejsca nabierają sensu.

*Nowy. pies. z rzymskiej wsi. niemiec. polowanie. trujące ziło.
Przygląda się. czyta. doradza. Ciągłe w środku. zamknięty. nie
pokazuje. twarzy. pomaga pasterzom liczyć trzodę. żeby. oddzielić
ziarno od plewy. Służy panu. nie. wkładając. jego stroju. Nie próbuj.
wracać. do. laguny. Szukają. malarza. Nowe wieści. Nadejdą.*

Człowiek Carafy staje obok weneckiego inkwizytora. Niemiec.
Świecki.

Szuka Tiziana.

Qoèlet.

Mam go.

Oto co muszę zrobić.

Qoèlet

Rozdział 39

Wenecja, 6 października 1551 roku

Głęboka noc. Giudecca rysuje się na tle nieba jako długi rząd domów i drzew. Łódź dobija powoli do drewnianego pomostu na tyłach Ca' Barbaro, dając znak wiosłarzowi, żeby przestał wiosłować, i zarzucam linę na pal cumowniczy.

Plącę pospiesznie, czekam, aż policzy, i odpycham łódź w kierunku laguny, ryzykując utratę równowagi.

Moje kroki odbijają się na deskach jak na bębnie. Drzwi wejściowe. Pukam.

Nic.

Głośniejsze.

Skrzypienie okna, które otwiera się nad moją głową.

— Podajcie nazwisko!

— Ludovico. Wróciłem.

Drzwi otwierają się niespodziewanie na oścież, przyćmione światło oświetla lufę pistoletu.

— Duarte, to ja!

Przeciera zaspane oczy.

— Do diabła! Oszalałeś? Co tu robisz?

— Muszę porozmawiać z João.

Wchodzę do przydomowego ogrodu. Hałas na schodach.

— Kto to?

— Ludovico!

Przekleństwa po portugalsku.

Ma na sobie koszulę obrobioną koronkami, luźno rozpuszczone włosy na ramionach.

— Dlaczego wróciłeś? Napisałem ci...

— Wiem, co mi napisałeś. Ale nie ma już czasu. Musimy porozmawiać.

João przeciera sobie oko palcem wskazującym i środkowym.

— Och, do diabła, jesteś szaleńcem. Wejź do środka.

Prowadzi mnie do biurka.

— Inkwizycja wszczęła dochodzenie w sprawie soboru twoich przyjaciół anabaptystów. Imię Tiziano już wyskoczyło, i to nieraz. Przyjazd tu jest głupim posunięciem z twojej strony.

Podsyca ogień na kominku. Potem siada, trąc w dalszym ciągu oczy, żeby przepędzić z nich sen.

Spogląda na mnie z wyrazem twarzy człowieka, który oczekuje wyjaśnień.

— Jak dawno temu dowiedziałeś się o tym Niemcu?

Powstrzymuje ziewanie.

— Parę tygodni temu. Nie pokazuje się publicznie, nie można się do niego zbliżyć.

— Kiedy przyjechał do Wenecji?

— Tego nie wiem. Sześć miesięcy temu, może więcej.

Rzucam przekleństwo przez zaciśnięte zęby.

— A ja powiedziałbym, że wtedy, gdy zaczęły się zatrzymania Żydów.

João robi poważną minę.

— Mówią, że jest specjalnym doradcą inkwizytora, że spędza cały czas na czytaniu książek, które drukuje się w Wenecji, szukając w nich najdrobniejszych choćby śladów herezji.

— Zostaw w spokoju te plotki. Chodzi o coś zupełnie innego.

— Co masz na myśli?

— Nie wydaje ci się rzeczą dziwną, że Rzym wysłał jednego ze swoich ludzi do Wenecji, a jednocześnie rozpoczynają się tu aresztowania Żydów?

Skacze na nogi, nagle przebudzony, i robi parę nerwowych kroków, z oczami utkwionymi w podłogę.

— Myślisz, że doszli do porozumienia, żeby nas wpędzić w kłopoty?

— To jasne. A jeśli jest to Niemiec, o którym myślę, to człowiek Carafy. Najlepszy.

Przeciąga ręką po brodzie i prycha głośno.

— Musimy się upewnić, czy jest tak, jak mówisz. Od pewnego czasu jednak coraz trudniej uzyskać informacje. Robią wokół nas coś w rodzaju pustyni. A jakby im to nie wystarczało, bez przerwy mają nas na oku. Nawet Caratello jest pod obserwacją. Musiałem wysłać moich szpiegów, żeby kontrolowali ich szpicli.

Zatrzymuje się, unikając mojego spojrzenia.

Ponagliam go.

— Powiedz mi wszystko.

— Wyskoczył jakiś Turek, taki drobny kanciarz, który kręcił się często w okolicy Arsenалу. Zaczął obrzucać nas gównem. Mówi, że dostał pieniądze od bogatego Żyda za przekazywanie Turkom wszelkich informacji na temat weneckiej floty.

Uklucie w nadgarstku sprawia, że zaciskam zęby.

— Musimy podjąć jakieś działania, João. Zanim będzie za późno.

Wstrząsa nim dreszcz. Sięga po ciężki płaszcz i owija się nim. Złoczone arabeski rzucają błyski od ognia, gdy zagłębia się w fotelu przed kominkiem.

Zmęczenie znikło, jego głos jest znowu taki jak zawsze.

— Powiedz mi, co masz na myśli.

Z dziennika Q.

Wenecja, 20 października 1551 roku

Trzy dni temu Pietro Manelfi sam zgłosił się do inkwizytora w Bolonii.

Rozdział 40

Wenecja, 2 listopada 1551 roku

Chłopczyk wie, co ma robić. Chłopczyk ma dziesięć lat. Wraz z uderzeniem dzwonu doręcza do pałacu list z ustalonym wcześniej znakiem na odwrocie złożonej kartki, odciskiem węża, który owija się wokół klingi szpady. List informuje:

Niemiec jest w Wenecji. Ustalone miejsce i czas.

Chłopczyk dobrze wie, że ma nalegać, żeby Jego Ekscelencja przyjął go natychmiast, bo inaczej czekają go baty, więc popłakuje, że pan, który go wysłał, powiedział mu, że to pilne, bo jak nie, to będą kłopoty „dla mnie i dla ciebie”.

Chłopczyk podobny do amorka, ze złotymi kędziorami, sięgającymi ramion, i ząbkami białymi jak pierwszy śnieg, przypomina wytresowaną kunę domową: nalega, popłakuje, wręcza list i znika.

Miejsce, to kościół Świętego Jana, za Składem Tureckim.

Człowiek bez twarzy jest punktualny. Jak ustalono, siada w konfesjonale i czeka.

Łysiejący człowieczek po drugiej stronie kraty zaczyna swoją historię.

Mówi o życiu rybaka, o tym, jak rzadko chodzi do kościoła, od ilu lat się nie spowiadał. Ale kościoły podobają mu się, przemawiają do niego swoim spokojem, a zwłaszcza ten, taki mały, na uboczu, że na jego widok nabrał ochoty, żeby oczyścić sobie sumienie.

Człowiek bez twarzy przeklina w duchu. Nie czekał tu bynajmniej na tego pedantycznego, wyszczekanego kurdupla, mówiącego z tokańskim akcentem.

Siedzi w milczeniu, czeka, aż tamten skończy.

Człowieczek chrypi o tym, jak to ciężko oprzeć się pokusie

hazardu. I jak mu ciążyą te wygrane pieniądze, które chciałby przeznaczyć na jakiś dobroczynny cel.

Przeciska coś przez szczelinę pod kratą, jakiś przedmiot błyska w świetle przechodzącym przez zasłone, klinuje się na krawędzi i pchnięty jeszcze raz, spada siedzącemu w konfesjonale na kolana.

Człowiek bez twarzy czuje się zakłopotany.

Głos tamtego tonie w podziękowaniach, odczuwał po prostu potrzebę pozbycia się tego ciężaru, na szczęście są jeszcze świątobliwi ludzie, gotowi wysłuchać grzesznika, po czym zaczyna cichnąć. Ostatnie słowa przypominają, że prędzej czy później wszyscy skończymy przed obliczem Najwyższego.

Za kratką konfesjonatu nie ma nikogo.

Człowiek bez twarzy wzdyga się. Wychodzi przed konfesjonał: żywej duszy.

Otwiera dłoń, która zacisnęła się na monecie. Widać wyraźne litery zarówno na awersie, jak i na rewersie; podnosi monetę do oczu, żeby jej odcyfrować. Widzi napis w swoim ojczystym języku.

JEDEN BÓG, JEDNA WIARA, JEDEN CHRZEST.

PONAD WSZYSTKIM SPRAWIEDLIWY KRÓL.

A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO.

MÜNSTER 1534

Człowiek bez twarzy pospiesznie rusza do wyjścia.

Oślepia go światło dnia. Zatrzymuje się. Po małym człowieczku ani śladu.

Królestwo Syjonu. Münster. Wenecja.

A między nimi morze czasu wypełnione tajemnicą.

Niemiec. Który nosi nazwisko nieżyjącego człowieka.

Widmo, które aż tu przyniosło tę monetę.

Wszystko odbywa się zbyt prędko, niespodziewanie, pod żarem lejącym się z nieba na bruk.

Mały placyk ożywia się dziwnymi postaciami. Z przeciwnych stron nadbiegają dobrze zbudowani młodzi ludzie z opętańczymi uśmiechami na ustach. Jedni mają na sobie kaftany Nicolottich, drudzy Castellanich. Najpierw obrzucają się wyzwiskami, leci parę kamieni, pokazują się kije, potem całą scenę wypełnia bezładna gmatwanina oszalałych ciał.

Oślupiały człowiek bez twarzy, odepchnięty pod ścianę, próbuje dotrzeć do wąziutkiej uliczki, dotykającej kościoła Świętego Jana.

U jego boku zjawia się ogromna postać i popycha go w tamtą stronę. Człowiek bez twarzy cofa się, uderzony niewiarygodnym widokiem kobiety mającej dwa metry wzrostu, w szerokim jak ta uliczka kapeluszu, nad którym wystaje wysoka fryzura Meduzy, kobiety o białej twarzy i oczach w sinych obwódkach, z odkrytymi

sutkami pomalowanymi na karminową czerwień, wycelowanymi w niego na wysokości jego twarzy. Podchodzi w bardzo wysokich butach, jak na szczudłach, i uśmiecha się.

Człowiek bez twarzy nie jest pewien tego, co widzi. Odwraca się i próbuje przyspieszyć kroku, zagłębiając się w coraz węższy zaułek.

W głębi czeka na niego chłopczyk o buzi amorka. Daje mu szerokie znaki ręką: chodź tutaj, panie, chodź, tędy.

Amorek ma dziesięć lat i wie, co ma robić.

Człowiek bez twarzy nie może uczynić nic innego, jak iść ku tej kaskadzie złotych loków. Kiedy dostrzega po prawej stronie drzwi otwarte szeroko na mroczną sień, jest już za późno, żeby się cofnąć. W okolicy jego krocza połyskuje sztylet, który amorek trzyma pewną ręką.

Człowiek bez twarzy nie jest pewien tego, co widzi.

Przejmuje go brat sefardyjczyka, teraz czuje chłód ostrza sztyletu na swojej szyi. Łagodne rysy i cień uśmiechu na twarzy. Drzwi zamykają się za jego plecami. Człowiek bez twarzy schodzi wąskimi schodami w kierunku młłego światła pochodni. Czuje przykry zapach pleśni i wilgoci, która w jednej chwili przesywa jego kości.

Wierny przyjaciel sefardyjczyka wkłada mu na głowę kaptur i związuje ręce za plecami. Nikt się nie odzywa.

Sadzają go na wykrzywionej ławie.

Człowiek bez twarzy nic nie widzi, nie czuje już upływającego czasu. Brat sefardyjczyka mówi, że będzie musiał zaczekać, wyjaśnienia nastąpią w odpowiednim momencie, nie wcześniej. Potem znowu cisza.

Człowiek bez twarzy czuje, że członki ogarnia mu odrętwienie, jest mu bardzo zimno, zgina plecy, wyciąga nogi, zaczyna odczuwać wielkie znużenie.

Po niekończących się minutach trzy głuche uderzenia w głębi piwnicy. Brat i przyjaciel sefardyjczyka biorą go pod ręce i unoszą, a potem ciągną wąskim przejściem. Człowiek w kapturze nie stawia oporu, chwije się na nogach, słyszy chlupotanie łodzi na wodzie. Każą mu wejść.

Garbus zanurza żerdź i popycha łódź w labirynt kanałów pod osłoną mroku.

Człowiek w kapturze nie wie, jaki czeka go los.

Sefardyjczyk oczekuje w bezpiecznym domu, wychodzącym na Sacca della Misericordia. Człowiek w kapturze wysiada z łodzi i zostaje poprowadzony do wnętrza. Szybko pokonuje schody, a potem sadzają go w wygodnym fotelu.

Sefardyjczyk siada naprzeciwko niego. Człowiek w kapturze wyczuwa zapach cygara i dostrzega słabe światło.

Sefardyjczyk zachowuje się uprzejmie i ma jasne poglądy. Mówi, że żaden człowiek, który znalazł się w nieprzyjemnym położeniu więźnia, nawet najsilniejszy, nie może przewidzieć losu, jaki go czeka w najbliższej przyszłości. A jeśli w takim położeniu znajdzie się ktoś, kto jest przyzwyczajony decydować o losach innych ludzi, można sobie wyobrazić zakłopotanie, w jakim go to stawia. A jednak parę szczegółów, które w przybliżeniu wyjaśniają, co właśnie się dzieje, może trochę zmniejszyć ten ciężar.

Sefardyjczyk mówi, że w Wenecji trzeba być szczególnie ostrożnym w dobieraniu sobie informatorów. Że w Wenecji jest to prawdopodobnie najpopularniejszy zawód po nierządzie, a nawet można powiedzieć, że niczym nie różni się od tego ostatniego. W Wenecji informatorzy bardzo prędko zmieniają zdanie. A zresztą szpieg nie żąda niczego więcej oprócz dobrej zapłaty i bezpieczeństwa dla własnej osoby; ten, kto potrafi zapewnić jedno i drugie, będzie korzystał z jego usług. Dlatego można przypuszczać, że podobne nietakty powodowane są niskimi wynagrodzeniami oferowanymi przez inkwizytorów albo zbytnią szczodrością ich przeciwników. I śmieszne jest, że takie sute zapłaty pochodzą od ludzi, którzy zawsze nosili miano skąpców i lichwiarzy.

Człowiek z kapturem na głowie słyszy, że tamten chodzi w kółko.

Po chwili głos rozlega się znowu. Mówi, że pokładanie zaufania w niezbyt oddanych informatorach było na pewno lekkomyślnością, ale nie jedyną. Pozbawienie przeciwnika dróg ucieczki jest w istocie posunięciem tak samo nieostrożnym. A zaciskanie sznura na gardle całej społeczności, rysowanie przed nią przyszłości pełnej cierpień i śmierci może wywołać tylko zaskakujące reakcje. Najlepiej broni się człowiek przyparty do muru. Wojna, nie tylko duchowa, jest sztuką tak samo wyrafinowaną jak dyplomacja, która od tamtej pochodzi. Żydzi zmuszeni są celować i w tej sztuce, wbrew samym sobie. Gdy wróg nas otacza, organizuje się spiski; wobec śmierci trzeba walczyć.

Sefardyjczyk zapowiada, że będzie mnóstwo innych rzeczy do omówienia, na przykład sprawa Turka, który chełpi się, że jest na żołdzie Żydów na zlecenie sułtana. Ale wszystko w odpowiednim czasie. Bo najpierw, po kilku godzinach odpoczynku, czeka go następna podróż.

Człowiek w kapturze wyciąga się na posłaniu i zapada w niepokojny sen.

Rozdział 41

Wenecja, 3 listopada 1551 roku

Lodowate przebłyski świtu.

Rozglądam się po krótkich, spienionych falach laguny, które mają przynieść mi Klęskę. Postawić mnie naprzeciwko jego twarzy.

Wyspa San Michele. Kościół, klasztor, cmentarz.

W ciągu paru dni sumują się czyny całego życia. Dochodzi do ostatecznej rozgrywki, której wyniku nie można przewidzieć.

Nie wolno było dopuścić do jakiegokolwiek zwłoki. Stary baptysta, heretycki zając Tiziano wreszcie wysłędzony. Tropiący go myśliwy jest w Wenecji. Żydzi chwyceni w potrzask, z którego droga prowadzi prościutko na szafot.

Za jednym zamachem walą się dziesięciolecia spisków i ataków, zdrad i odwrotów, porywów i wyrzutów sumienia. Jednodniowi, tragiczni prorocy i królowie; kardynałowie, papieże i nowi papieże; bankierzy, książęta, kupcy i kaznodzieje; literaci, malarze, szpiedzy i doradcy, no i sutenerzy. Prowadzący wszędzie tę samą wojnę. Należę do tych, którzy mieli najwięcej szczęścia. Cieszyli się przywilejem uczestniczenia w niej. Nędzarze czy szlachetnie urodzeni, bękarty czy bohaterowie, nikczemni szpiedzy czy rycerze upokorzonych, zachłanni żołdacy czy prorocy nadchodzącej epoki... wszyscy opowiedzieli się po jakiejś stronie, przyjęli jakąś wiarę, podsyłali płomień nadziei albo próżności. Polem bitwy było miejsce, gdzie spotkali tych, którzy rozszarpali ich ciała; wiarą to, co zdradziło ich w ostatnim dniu; płomieniem stos, na którym palą się dotąd jeszcze. To oni prowokowali niepewny los i wywoływali nieustającą ruinę. Dzień po dniu napełniali puchar trucizną, która miała ich zabić.

Musimy prosić o przebaczenie za los zbyt nam przychylny. Do końca cieszyć się jego darem. Przygotować ostatni plan. Próbować szaleńczej ucieczki.

Nie pozostało już wiele czasu na oczekiwanie. Niepewne światło brzasku zaczyna oblekać w kształty nagrobki i białe krzyże, ustawione w luźnym szyku schodzącym aż do wody.

Dzwonnica kościoła góruje nad płaską wyspą, odcinając się na tle gwiazd, które znikają jedna po drugiej. Bryza od morza każe się kulić pod wełnianym płaszczem. Zmęczenie daje się wyczuć we wszystkich członkach i w pulsującym bólu za prawym okiem. Uwaga wychwytuje najmniejsze rzeczy, każdy szczegół, żąda przerwy po długich, bezsennych nocach z João, w trakcie których opracowywaliśmy operację w najdrobniejszych szczegółach. W oddali łodzie wracających z połowu rybaków, którzy okrążają szerokim łukiem podstępne mielizny odpływu. Zrywają się do lotu pierwsze mewy, inne tkwią nieruchomo na spokojnej wodzie.

Powinienem być spięty, poruszony. A odczuwam tylko znużenie i rwanie w kościach, a także pewne niezdecydowanie. Być może w gruncie rzeczy nie chciałbym się tego dowiedzieć. Wolałbym trwać w podejrzeniach, które towarzyszyły mi przez wszystkie te lata. Odwrócić stronicę i rozpocząć jakiś spokojniejszy rozdział, złożony z miękkich posłań i równie przyjemnych doznań. Opuścić pole bitwy i wreszcie odpocząć.

Ale umarli wracaliby, żeby zadawać mi pytania. Wszystkie te twarze, które naciskają na pamięć i mówią, że ostatniemu człowiekowi, który pozostał na nogach, przypada wyrównanie rachunków. Odkrycie prawdy. Być może jestem to winien bardziej im niż samemu sobie, tym, którzy zostali na polu bitwy, prorokom zdradzonym przez ich własne proroctwa, chłopom, którzy chwyтали do rąk motyki jak miecze, tkaczom, którzy stawali się żołnierzami, żeby strącać z tronów biskupów i księżęta, towarzyszom całego życia. Winien to jestem także Żydom, dziwnemu ludowi pielgrzymów bez celu, ludowi, który towarzyszył mi na ostatnim odcinku drogi.

A może nie. Czasami myślę, że było to złudzenie, które służyło tylko temu, żeby kontynuować, żeby wyznaczać nowe szlaki, żeby się nie zatrzymywać, a teraz powinienem przyznać, że tym, co przede wszystkim mnie zdradziło, były upływające lata.

Może i jedno, i drugie razem. Nie jestem już w stanie nadawać rzeczom takiej samej wagi co kiedyś. A jednak powinienem. Teraz, kiedy uzyskam potwierdzenie, jakiego szukałem tak długo; teraz, gdy historia może znaleźć swoje zakończenie. Ale jest mi niemal przykro. Ponieważ wiem, że tak czy owak będę zawiedziony. Zawiedziony tym, że dotarłem do końca, zawiedziony odkryciem człowieka, który przez trzydzieści lat sprzedawał nas wrogom. To idiotyczne, śmieszne, że doświadczam przede wszystkim pragnienia, aby go poprosić o przypomnienie przeszłości, o ożywienie na nowo wszyst-

kich tych twarzy. Jedyne człowiek, który naprawdę zna moją historię, który wciąż może porozmawiać ze mną o tamtej pasji, o tamtej nadziei. Jest to głupie i banalne pragnienie starca. Nic innego. Albo może jest to tylko zmęczenie, które ciągnie mnie wstecz, zatarty sen, który tłumi myśli.

Na horyzoncie pojawia się łódź, kieruje się prosto na wyspę.

Dobrze, czas z tym skończyć.

Garbus dobija do małego pomostu. Pomagają wysiąść człowiekowi w kapturze. Sefardyjczyk rozwiązuje mu ręce i zdejmuje kaptur. A potem cofa się i wsiada z powrotem do łodzi.

Starzec rozciera sobie nadgarstki, mruga zaczerwienionymi oczami, ma twarz naznaczoną zmęczeniem i siwe, zmierzwiłone włosy. Podnosi jedną rękę do brwi, żeby rozmasować sobie głęboką bliznę, a potem wbija spojrzenie we mnie.

Próbuję zetrzeć wszystkie te lata z jego oblicza.

Quèlet.

Odzywa się pierwszy.

— Akcja godna kapitana Gerta ze Studni.

— Kiedy się tego domyśliłeś?

Jego dłoń uciska starą ranę.

— Wróciłem do Münsteru. — Kaszle, kuląc się w ciemnym płaszczu. — Szukałem cię latami, i w końcu to ty mnie odnalazłeś.

— Ale domyśliłeś się już wcześniej.

— To nie było takie znowu trudne: baptysta Tiziano, sutener noszący nazwisko heretyka, Antwerpia, niedobitki z Münsteru. Trzy dni temu zdobyłem ostateczne potwierdzenie. Dobrze pomyślana pułapka. Tylko ty mogłeś ją zastawić.

— Powiedziano mi, że zginąłeś w Münsterze, próbując sforsować blokadę wojsk biskupa.

Opiera się o jeden z nagrobków, kładzie ręce na kolanach, wbija wzrok w ziemię. On też nie jest już w wieku odpowiednim dla lodowatych świtów, takich jak ten. A przede wszystkim nie ma już powodu, żeby nie pamiętać.

— Wyszedłeś z miasta na wiosnę trzydziestego czwartego, żeby szukać w Holandii pieniędzy i amunicji. Wyświadczyłeś mi przysługę, bo z przykrością patrzyłbym, jak i ciebie połyka ruina, którą starałem się przyspieszyć. Zjawiłem się w Münsterze z zadaniem: miałem przyłączyć się do walki anabaptystów z biskupem, stać się jednym z nich pod każdym względem, pomóc im przekształcić miasto w Nowe Jeruzalem, a w odpowiednim momencie sprawić, żeby ich nadzieje się rozwiały. Zgłosiłem się do Bernharda Rothmanna z sutym datkiem

na sprawę i powiedziałem mu, że jestem byłym najemnikiem, który przez długi czas pozostawał poza Münsterem. Więcej niż moja opowieść zdziałały pieniądze.

Patrzę na pochylonego człowieka, męcę się z rozpoznaniem tego, któremu powierzyłem obronę rynku w dniach, w których Münster znalazł się w naszych rękach. To już tylko relikwiarz mojego przybocz- nego, Heinricha Gresbecka.

— Przywarłem do ciebie — ciągnie — ponieważ powiedziano mi, że walczyłeś u boku Thomasa Münzera; byłeś jedynym człowiekiem, na którego mogłem liczyć. Przybycie Matthijsa, jego szybki koniec i niespodziewany jednogłosny wybór Bockelzona na jego następcę bardzo ułatwiły mi robotę. Brakowało tylko tego, żebyś ty sobie poszedł. Zostałem zaufanym człowiekiem Bernharda Rothmanna, z którego pozostał już tylko cień żarliwego kaznodziei, podburzającego anabaptystów przeciwko biskupowi. Odkurzyłem moje lektury z Wittenbergi, spędzałem dni i noce, dyskutując z nim o urzędzeniu Nowego Syjonu, o zwyczajach patriarchów z Biblii, żeby pomóc jego chwiejnemu umysłowi urodzić najbardziej śmiertelne idiotyzmy. Ale nawet i to nie było trudne, a niedługo potem Bockelson ogłosił się Nowym Dawidem, królem Syjonu, i za podszeptem nadwornego teologa Rothmanna wprowadził poligamię, żeby przywrócić zwyczaje Ojców. To była katastrofa. Nie pamiętam, ile kobiet stracono za to, że nie chciały podporządkować się nowemu łaadowi. Mam z tych miesięcy niejasne wspomnienia, jak ze snu. Głód, wywracanie domów do góry nogami w poszukiwaniu ostatniego bochenka chleba, dzieci w roli sędziów, ze śmiercią w oczach, żeby szukały nadwyżek na ulicach. Błede i wychudzone szkielety, które wlokły się po mieście całkiem już nieświadome tego, co się dzieje. Mogłem wyjść i pozwolić, żeby koniec przyszedł sam. Ale za sprawą jakichś dziwnych podszeptów czułem, że ostatni, miłosierny cios mogłem zadać tylko ja. Musiałem położyć kres tej agonii. — Prostuje z trudem plecy, tak jakby dźwigał jakiś ciężar. Jego oczy wpatrują się w nieokreślony punkt laguny. — Przeskoczyłem przez mury, pokonałem pół mili, jakie je dzieliło od linii biskupa, ryzykowałem, że dostanę kulę, zwałem się do jakiegoś rowu i przeleżałem w nim wiele godzin pewien, że gdybym uniósł głowę, stałaby się celem dla najemników von Waldecka. Złapali mnie i uniknąłem śmierci, budując z gliny modele murów i wskazując punkty, które można było pokonać. Nie wystarczyło; musiałem dowieść prawdy moich słów, wdrapując się nocą z powrotem na mury i wracając nietknięty do obozu. Pamiętasz? Sam powierzyłeś mi kontrolę nad basztami. Znałem każdą ich piędź. Tylko ja mogłem to zrobić. Zadać ten dobijający cios.

Zgina się znowu, przygnieciony własnym ciężarem.

Podaję mu poźółkłe kartki, między palcami sypie się kurz. Czyta, odsuwając stronicę i mrużąc oczy.

— Zachowałeś je przez cały ten czas... — oddaje mi listy, które napisał do Magistra Thomasa dwadzieścia pięć lat temu.

— Już wtedy byłeś opłacany przez Carafę?

— Brałem udział w układaniu mozaiki, która powstawała przez całe dziesięciolecie. Kiedy mnie zwerbowali, byłem tylko pomocnikiem bibliotekarza na uniwersytecie w Wittenberdze. Miałem obserwować Lutra. Wtedy tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że ten mały i ociężały augustiański mnich jest w stanie rozpętać burzę. Carafa jako pierwszy zrozumiał, że książęta niemieccy posłużą się nim jak taranem, aby zburzyć bramy Rzymu i ukarać arogancką latorośl, której Fuggerowie kupili cesarską koronę. Moja rola w tym zagmatwanym planie polegała na tym, żeby pobudzić ognistego ducha największego przeciwnika Lutra, Thomasa Münzera, i podsyć ogień chłopskiego buntu przeciwko książętom i ich dworskiemu odstępcy. Podczas gdy bunt gorzał w całych Niemczech, Rzym zyskiwał na czasie, a Carafa starał się przekonać kardynałów, że Luter stanowi zagrożenie. Ale potem sprawy uległy przyspieszeniu. Chłopięcy cesarz okazał się bardziej ambitny niż przewidywano. Kiedy uczynił z siebie obrońcę katolickiej wiary na terytorium rozciągającym się od Hiszpanii po Czechy, stał się w oczach Rzymu bardziej niebezpieczny niż małe księstwa niemieckie. Od tej chwili protektorzy Lutra stali się naszymi potencjalnymi sprzymierzeńcami przeciwko cesarzowi. A tymczasem zbuntowani chłopci zaczęli siać groźbę. Ich rewoltę należało zdusić. Te listy posłużyły do naoliwienia całego mechanizmu. Dały mi awans na polu walki.

Stary Gresbeck bierze oddech, kaszle znowu, wreszcie spogląda na mnie. Uśmiecha się krzywo.

— Po splądrowaniu Rzymu w dwudziestym siódmym Carafa wykorzystał swoją zdolność przewidywania, nikt nie śmiał mu się sprzeciwiać, bo on przewidział wszystko od samego początku: luteranie rzeczywiście okazali się ludźmi bezbożnymi, którzy nic sobie nie robili z ekskomuniki i ograbili miasto papieża. Zaczął gromadzić władzę, wspiął się w hierarchii kościelnej i rzucił wiele innych trafnych ostrzeżeń.

Słowa machinalnie wychodzą mi z ust:

— Sieć szpiegów we wszystkich państwach.

Gresbeck kiwa potakująco głową.

— Udawało mu się zawsze uzyskiwać informacje wcześniej niż innym, dzięki wielu parom oczu, które utrzymywał w każdym kluczowym miejscu. Gdzie tylko działy się jakieś ważne rzeczy, można się było założyć, że staruszek ma tam swojego człowieka.

Postanawiam ponaglić go trochę.

— Dlaczego kazał ci wyprowadzić w pole anabaptystów z Münsteru? Co to miało wspólnego z Rzymem?

— Rzym jest wszędzie, Gert. W was żył duch rewolty przeciwko możnym. Luter nakazywał bezwarunkowe posłuszeństwo. To wystarczyło, bo z władcami można zawsze się ułożyć. Z wami nie, wy chcieliście wyrwać się spod ich jarzma, głosiliście wolność i nieposłuszeństwo. Carafa nie mógł pozwolić, żeby tego rodzaju idee się rozpowszechniały. Opierając się na moich szczegółowych sprawozdaniach, mógł poznać siłę zwartej, pracy naprzód masy, zobaczył, co może zdziałać taki pojedynczy kaznodzieja jak Thomas Münzer. Trzeba było zdusić anabaptystów, zanim staliby się poważnym zagrożeniem.

— Carafa odwołał wszystkich szpiegów pod koniec lat trzydziestych. Ściągnął ich do klasztoru teatynów.

Wydaje się zdumiony.

— Brawo, jak się o tym dowiedziałeś? — Wstrząsa nim dreszcz, ale mówi dalej: — Byliśmy potrzebni we Włoszech. Carafa znalazł się w punkcie, w którym mógł otrzymać od papieża zatwierdzenie swojego projektu na utworzenie Świętego Oficjum. Motywacje były jak najszlachetniejsze: przeciwstawić się za pomocą nowych środków rozpowszechnianiu się herezji. W rzeczywistości te środki staruszek wykorzystywał przeciwko swoim wewnętrznym przeciwnikom w Rzymie. Stawką w grze było coś więcej.

— Tron papieski — dreszcz wstrząsa także i mną.

— I unicestwienie przeciwników. Trochę pomieszał mu szyki Anglik Pole, to swego rodzaju twarda sztuka, ale Carafa potrafił zagrać kartami, jakie miał w ręku. O włos, ale mu się udało.

— *Błogosławieństwo Chrystusa.*

— Rzeczywiście. Ja czuwałem nad całą operacją. Przynajmniej dopóki Carafa uznawał, że mnie potrzebuje. Od samego początku wiedzieliśmy, że za Fontaninim i za jego książką stoi Pole i krąg jego przyjaciół. Wiedzieliśmy, że *Uduchowieni* kardynałowie czytali tę książkę i w niej znaleźli zachętę do zbliżenia się z luteranami. Gdyby się im udało, Karol V zjednoczyłby chrześcijaństwo pod swoim sztandarem do krzyżowej wyprawy przeciwko Turkom i dziś nie miałby już przeciwników. Ale Pole nie został papieżem i obecnie *Uduchowieni* padają jeden po drugim pod ciosami inkwizycji. Stary teatyn i tym razem okazał się sprytniejszy: obrócił broń przeciwników przeciwko nim samym.

Słońce wynurzyło się z laguny, jego tarcza rzuca na wodę krwistoczerwoną smugę. Myśli wikłają się w mojej głowie, ale muszę zapanować nad nimi, chcę się dowiedzieć wszystkiego, czas jest drogi.

— A co mają z tym wszystkim wspólnego Żydzi? Carafa zawarł układ z weneccjanami, prawda?

Znowu potakujące kiwnięcie głową, uciekające w głąb, coraz mniejsze oczy.

— Żydzi są towarem na wymianę. Na ich upadku skorzystają wszyscy, bo jeżeli marranów uzna się za winnych potajemnego wyznawania judaizmu, weneccjanie będą mogli skonfiskować ich majątki. Carafa podaje im ich na srebrnym talerzu, a w zamian zatyka w Wenecji chorągiew inkwizycji, uruchamiając operację w wielkim stylu w miejscu słynącym ze swojej niezależności od Rzymu. Wielu będzie władców w Europie, którzy na wieść o tym poczną lodowaty dreszcz. Także i tym razem, kapitanie, znajdziesz się po drugiej stronie.

Milczymy przez jakiś czas, słychać tylko powolne falowanie przypyływu i krzyk mewy.

— Takie masz zadanie? Sprowadzić kłopoty na Żydów?

Przez jego twarz przebiega cień, głos staje się cichym szeptem, tak jakby coś przeszkadzało mu mówić.

— Po to zostałem przysłany do Wenecji.

Znużenie przenika do wszystkich zakamarków ciała, głowa boli coraz bardziej, przyciskam palec do skroni i także opieram się o jakiś grobowiec, żeby dać wytchnienie nogom.

Heinrich Gresbeck przepatruje horyzont, potem spogląda znowu na mnie; mijające lata nie oszczędziły go, noc była długa i bezsenna dla nas obu.

— A co będzie tym razem nagrodą za trudy?

Uśmiecha się.

— Prawdopodobnie prędko koniec.

— Taka ma być zapłata dla najwierniejszego sługi?

Wzrusza ramionami.

— Tylko ja znam całą historię od początku i Carafa nie może ryzykować, utrzymując mnie w obiegu. Nie teraz, gdy szykuje się do przejęcia władzy.

Mój wzrok bezwiednie przesuwają się po grobach. Na każdym mógłbym odczytać nazwisko jakiegoś towarzysza, przebiec znowu drogi, które doprowadziły mnie aż tutaj. Ale nie jestem w stanie odczuwać nienawiści. Nie mam już siły, żeby nim gardzić. Patrzę na Gresbecka i widzę przed sobą tylko starego człowieka.

Rozdział 42

Wenecja, 3 listopada 1551 roku

Łódź wypływa z powrotem na lagunę. Bernardo i Duarte popychają ją jednoczesnymi pociągnięciami wiosła. Sebastiano na rufie, gotów użyć swojej żerdzi, żeby wyminąć mieliznę albo dać im zmianę. João na dziobie, u mojego boku. Naprzeciwko mnie siedzi człowiek w kapturze.

Czeka na nas jeden z handlowych statków Miquezów, stojący na kotwicy o milę za miastem, w ciszy małej tylko uderzeniami wiosła w wodę i krzykami mew.

Więc to tak ma się skończyć pojedynek, który trwał całe życie?

Rzucają nam linę z karaki Miquezów i spuszczaają sznurową drabinkę. Słyszę, jak Gresbeck wybucha pod kapturem odrażającym śmiechem, który w moich uszach brzmi niczym posępne przeczcucie śmierci. Może także w uszach João, bo na krótką chwilę gubi on swój przysłowiowy uśmiech i warczy:

— *¿Porque coño te ries?**.

— Panowie, wiem, że mielibyście sobie wiele do powiedzenia. Niestety sytuacja nie pozwala na pogrążanie się we wspomnieniach. — Patrzy prosto w twarz Gresbecka: — Jak się domyśliliście, Ekscelencjo, jestem João Miquez. Człowiek, którego usiłujecie wystrychnąć na dudka.

Na twarzy Gresbecka nie pojawia się żadna zmarszczka, siedzi bez słowa.

* Hiszp.: „Dlaczego się śmiejesz, do cholery?”.

Dla João nie jest to dzień uśmiechów.

— Musieliście zawrzeć z dziesięcioma szujami z rady jasną dla obu stron umowę, która pozwala wam uznać za wystarczające najbardziej śmieszne, szyte grubymi nićmi kłamstwa, takie jak zeznania tego... jak on się nazywa? Tanusin Bey, zdaje mi się, to on oskarża moją rodzinę, że jest głową szpiegowskiej sieci sułtana w Najjaśniejszej. Pytam się, z jakiego rynsztoka żeście go wyciągnęli? Wyobrażam sobie, że dla was to żadna trudność przekonać pierwszego lepszego rzezimieszka, żeby był na wasze usługi.

Milczący Gresbeck siedzi bez jednego drgnienia.

— A co powiecie na temat procesów o potajemne wyznawanie judaizmu? — ciągnie Miquez. — Najpierw zmusiliście nas, podpalając pęki słomy pod stosami, żebyśmy pocałowali krzyż, a teraz wmawiacie nam, że zrobiliśmy to dla wygody i w rzeczywistości jesteśmy tymi samymi ludźmi co zawsze. — Kiwa głową, jakby potakiwał sobie w duchu. — No dobrze. Przysłano was tutaj z Rzymu, żeby nas stąd przepędzić. I weneccianie pozwalają wam na to, a raczej pomagają wam w tym procederze. Popęniają szaleństwo i zrujniają się tylko. Wy i ja wiemy to dobrze. Nie ma ani jednego miejscowego kupca, który by w ciągu ostatnich pięciu lat nie robił interesów z moją rodziną. Nie ma ani jednego wśród tych szakali z rady, który nie zaciągnąłby u nas pożyczek. Bez weneckich Żydów Wenecja straci handlowe szlaki, sułtan przejmie je, jeden po drugim, interesy upadną, a to miasto stanie się znowu tylko splunięciem na mapie, wciśniętym między wielkie mocarstwa. Ci pełni pychy arystokraci skazują się na to, że zostaną małymi, wiejskim pankami. — Wzdycha. — Ale trudno. Jeżeli tak żeście postanowili, to wiedźcie, Ekscelencjo, że my nie damy się załatwić, nie odpowiadając ciosem na cios. Kupcy uzależnieni od mojej sakiewki już zapowiedzieli, że zawieszą wszelki handel ze Wschodem, jeżeli władze nie położą kresu temu zaślepionemu polowaniu na Żyda. A wracając do was, jeśli prawdą jest, co mówi obecny tu wasz stary znajomy, myślę, że kardynał Carafa tym razem będzie musiał się obejść bez swojego głównego agenta.

Gresbeck w dalszym ciągu wpatruje się w niego bez mrugnięcia okiem, siedzi ze zrezygnowaną miną i zmęczeniem na twarzy, oddychając ciężko.

João wstaje i robi parę kroków w zamyśleniu.

— Nie brak wam bystrości, mój panie, i z pewnością jesteście w stanie zrozumieć, na czym mi zależy.

Siada z powrotem. Cisza. Tylko chlupotanie fal i stłumione kroki na pomoście. Światło dnia wchodzi przez dwa duże boczne okna, oświetlające kabinę kapitana — stół, dwa fotele, posłanie.

Wstanie jest dla mnie niewymowną męką. Gresbeck rzuca mi pogodne spojrzenie. Przysiadam na krawędzi biurka i przyglądam się brzegowi mapy Adriatyku. Kolej na mnie.

— Z tego, żeśmy spotkali się wreszcie, wynika pewna korzyść: nie potrzebujemy już oszukiwać się nawzajem. W pięćdziesiątym roku życia nie mam już w żyłach świętego ognia buntu, a do tego nie śpię od dwóch nocy. Zmęczenie pomoże mi wyrazić się jasno i zwięźle. — Uciskam palcami skroń, żeby złagodzić migrenę. — Twój pieprzony szef ma siedemdziesiąt pięć lat. W tym wieku większa część ludzi spoczywa już pod ziemią. Chciałbym wiedzieć, czego ten stary degenerat chce od samego siebie, od swoich ludzi i od nas. Pytam, na czym tak naprawdę polegał plan, który realizował przez wszystkie te lata. Zwyciężyć herezję? Ukarać nędzarzy za ich próby odegrania się? Ustanowić trybunały sumienia, żeby móc kontrolować ludzkie myśli? Pytam się, do czego mu posłużyło zdobywanie całej tej władzy. Także i teraz, kiedy głowy kardynałów ze stronnictwa *Uduchowionych* padają jedna po drugiej, a w Wenecji rozszerza się opozycja przeciwko Żydom, pytam się, dlaczego on to robi. Nie chodzi mu o pieniądze sefardyjczyków, nie o interesy Najjaśniejszej ani o wyrównanie rachunków z wrogimi mu *Uduchowionymi*. I nawet nie o tron papieski, Heinrich. Nie w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Aż dotąd Carafa nigdy nie wysuwał siebie jako kandydata na papieża. Stawką w grze jest coś więcej, niż to wszystko razem wzięte. Coś, co wisi nad naszymi głowami. Żeby zrozumieć, co się tu dzieje i co nas czeka, musimy poznać aż do końca jego zamysłu.

Gresbeck uśmiecha się pod wąsem, bez cienia arogancji.

Bierze chrapliwy oddech i mówi dobitnie:

— Chodzi o Plan. Ten, nad którym Carafa pracuje przez całe życie. To, co wypełnia usta najskromniejszego księżula ze wsi, co wypisane jest na wojskowych chorągwiach, na mieczach zdobywców Nowego Świata, na frontonach parafialnych kościółków i wielkich katedr. — Skanduje słowa, które padają jak kamienie: — Ku większej chwale bożej. — Potrząsa niemal niedostrzegalnie głową. — Chodzi o narzucenie światu pewnego porządku. Doprowadzenie do tego, aby Kościół Piotrowy pozostał bezdyskusyjnym sędzią losów poszczególnych ludzi i całych narodów. Carafa lepiej niż ktokolwiek inny zrozumiał, na czym opiera się tysiącletnie panowanie. Na prostej przesłance, którą jest bojaźń boża. A gigantyczny i złożony system ma ją zaszczerpić obyczajom i świadomości ludzi. Jej rozpowszechnienie pozwoli kierować wiedzą, obserwować i oceniać dusze ludzkie, analizować każdą próbę śmiałego wyjścia poza nią. Carafa podjął się szaleńczego zadania unowocześnienia fundamentów tej potęgi, dostosowania ich do nowych czasów. Jego ambicją jest dotarcie do

wszelkich słabości struktury Kościoła po to, by uczynić z nich jego siłę. Luter był jego najzagorzalszym wrogiem i najlepszym sojusznikiem. Nie naruszając tej bojaźni bożej, augustiański mnich postawił wszystkich wobec konieczności zmian. Pierwszymi, którzy to zrozumieli, byli najbardziej inteligentni ludzie, tacy jak Carafa, jak Pole, jak założyciele nowych zakonów klasztornych. Jedyni, którzy po przeszło trzydziestu latach zostali jeszcze w grze. Trzeba było znaleźć odpowiednią obronę przeciwko wyzwaniu rzuconemu przez Lutera. I na tym zrodził się konflikt: Pole i *Uduchowieni* byli skłonni układać się, byle tylko zachować jedność chrześcijaństwa. Carafa nie, on wolał pozostawić protestantów ich własnemu losowi, niż narazić absolutną władzę Kościoła na najdrobniejsze choćby zarysowanie; jego zdaniem trzeba było oddać luteranom cios za cios, oczyścić własne szeregi i stworzyć nowe struktury, które sprostałyby wyzwaniu. Gdyby *Uduchowieni* wygrali, Rzym nie miałby już prymatu. Gdyby jakimkolwiek zakonnikowi albo wręcz takiemu świeckiemu człowiekowi jak Kalwin dano możliwość dyskusowania z następcą Piotra jak równy z równym, co by się stało z tysiącletnim porządkiem? Co by się stało z Kościołem rzymskim? Co by się stało z Planem?

Gresbeck milknie, wyczerpany.

Miquez nie panuje nad sobą.

— W punkcie, w którym jesteśmy, trzeba raczej zapytać o co innego, mój panie. Co będzie z nami?

Ten sam spokojny ton głosu.

— Zostaniecie poświęceni.

Patrzę mu prosto w oczy.

— Ku większej chwale bożej.

— Tak. I tym razem, panie Miquez, nie będzie tak jak w Portugalii, w Hiszpanii albo w Niderlandach. Tym razem będzie to na zawsze. Zostało już przygotowane postępowanie inkwizycyjne wobec donny Beatrice, rozpocznie się ono za parę dni. Wenecjan interesują tylko wasze pieniądze. Carafa chce zademonstrować siłę inkwizycji. Chce was ubezwłasnowolnić, otoczyć pustynią i zmiażdżyć. I lekcja ta ma być ostrzeżeniem dla wszystkich. Nie możecie kupić sobie ratunku, jak to robiliście w przeszłości; ludzie Carafy są nieprzekupni, mają do spełnienia misję i doskonale znają swoje rzemiosło. Nie ma takiej kupieckiej organizacji, która by ich przestraszyła, nic nie ma dla nich znaczenia. Macie rację, Wenecja poniesie niepowetowane szkody, ale kto nie potrafi przystosować się do nowych czasów, skazuje się na śmierć.

João posępnie, siedzi sztywno i bez słowa jak mahoniowa figura.

Gresbeck zwraca się do mnie.

— Także i twoi anabaptyści zostaną zmieceni. Od pierwszego do ostatniego.

— To niemożliwe.

— Pomysł z tym Tizianem był dobrze opracowany. Ale nie istnieje plan doskonały; jeżeli zaufa się niewłaściwej osobie, jest to błąd, za który się płaci.

Czuję ucisk w żołądku.

— Dwa tygodnie temu Pietro Manelfi oddał się w ręce inkwizytora Bolonii. Ma naprawdę zaskakująco dobrą pamięć. Podał wszystkie nazwiska, zawody i miejscowości, z których pochodzą członkowie sekty. Oczywiście mówił też o Tizianie. Jeśli zachowa tak przychylną postawę, uzyska przebaczenie.

Oddycham głęboko, wali mi w skroniach. Ogarniają mnie złe przeczucia.

— Widziałeś się z nim.

Odkasztuje.

— Byłem na jego tropie od jakiegoś czasu, miałem nadzieję, że doprowadzi mnie do ciebie. Kiedy wiadomość dotarła do mnie, prędko udałem się do Bolonii. Ledwo zdążyłem się z nim zobaczyć, bo inkwizytor Leandro Alberti postanowił wysłać go do Rzymu, żeby nie brać na siebie tak poważnej sprawy. W tej chwili Manelfi znajduje się przed Świętym Oficjum i powtarza swoje zeznania. Dni wszystkich tych, których ochrzciłeś w tych latach, są już policzone. — Jego szare oczy przenoszą się ze mnie na João. — Byliście świętni. Wydrukować *Błogosławieństwo Chrystusa*, skontaktować się ze wszystkimi tymi wykształconymi ludźmi, to było coś. Godne podziwu było także podejście Pontorma. Anabaptyzm był ideą tak absurdalną, że mógł funkcjonować. Ale nie mogliście wygrać. Nie z Carafą.

João wyciąga szybkim i eleganckim ruchem szpadę.

— A więc, Ekscelencjo, pozwólcie przynajmniej, żebym miał przyjemność osobiście posłać was do piekła, odbierając wam rozkosz cieszenia się owocami waszej brudnej roboty.

Gresbeck nie rusza się, nie patrzy na szpadę.

Podnosi rękę.

— Nie. Nie powiedziałeś nam wszystkiego. Wiedziałeś, jaki los cię spotka, wiedziałeś to od chwili, w której spojrzaleś mi w twarz. Mogłeś milczeć. Mogłeś nic nie mówić i pozwolić się zamordować, zostawiając nas w niepewności.

Uśmiecha się.

— Mój czas się skończył, Gert. Kiedy Żydzi znajdą się na kolanach, Carafa będzie chciał mnie zabić. Wiem o zbyt wielu rzeczach.

— Jest coś jeszcze, czy nie tak?

— Nie ma doskonałego planu. Nie istnieje spisek, który byłby nieczuły na nieprzewidziane wypadki. Zawsze zachodzi coś nieoczekiwanego, jakiś mały szczegół, który grozi zawaleniem się całości

w ostatniej chwili. Coś, co uważamy za rzecz nieistotną i niegodną uwagi, a co niespodziewanie staje się dźwignią, która może wywrócić całą machinację.

João opuszcza szpadę.

— O czym on mówi?

— Ja też nie mam już tego ognia w żyłach, Gert — podejmuje Gresbeck. — Jestem już trupem. Nie robi mi wielkiej różnicy, czy to będziesz ty, czy zbir Carafy. Przez całe życie wykonywałem rozkazy. Ale mogę pozwolić sobie na inny koniec niż ten, który czeka mnie za najbliższym rogiem. Mogę zdać się na ciebie, kapitanie Gert, na mojego przeciwnika przez całe życie.

— Dlaczego?

— Ponieważ jesteśmy dwiema stronami tej samej monety, ponieważ walczyliśmy w tej samej wojnie i żaden z nas nie wychodzi z niej jako zwycięzca. Pole należy do Carafy, nadzieje biedaków utoneły w błocie, ale ze sceny musi zejść także Quèlet.

Tym razem ja się uśmiecham, mówię powoli, jakbym ważył każde słowo na końcu języka:

— Mylisz się, Heinrich, bo choć może łatwo ci w to uwierzyć, nie znajdujemy się w takim samym położeniu. Ty walczyłeś w wojnie, którą prowadził kto inny, słuchałeś rozkazów, odegrałeś jakąś rolę w cudzych planach. Służyłeś przez całe życie celom, których osiągnięcia nie pozwolą ci nawet oglądać; na tym polega twoja klęska. Nie zostałeś pobity na polu bitwy jak tysiące nędzarzy i heretyków, którzy walczyli przeciwko wielkim panom i potędze Rzymu. Nie pozostaje ci nic, nawet sens tego, co robiłeś. I dlatego musisz dać mi ostatnią szansę, ponieważ ona jest także szansą dla ciebie, żebyś zachował życie, które sprzedałeś komu innemu.

Gresbeck siedzi w milczeniu. Wkłada rękę pod kaftan i wręcza mi złożoną kartkę.

— Manelfi podał nie tylko nazwiska swoich współbraci. Opowiedział inkwizytorowi pewną historię. Historię heretyka, który wędrował, chrzcząc ludzi, oraz pewnego kardynała, który później został papieżem. Gdyby ta historia dotarła do właściwych uszu, spowodowałaby załamanie się całego planu Carafy.

* * *

Et in primis interrogatus de quis eum initiavit doctrinae anabaptistae, respondit:

We Florencji Tiziano zaczął objaśniać mi doktrynę anabaptyjską i ochrzcił mnie na nowo, mówiąc, że nie byłem ochrzczony, gdyż

będąc dzieckiem, nie miałem wiary, a potem przedstawiał mi inne dawne poglądy anabaptystów, to znaczy, że chrześcijanie nie mogą sprawować urzędów i funkcji we władzach miejskich, w rządach i w królestwach, i to jest jedna z pierwszych zasad anabaptystów; nie było jednak jeszcze u tamtych anabaptystów zdecydowane przeciwko boskości Chrystusa ani innych nowych artykułów, jakie zostały sformułowane i zatwierdzone na soborze, który odbył się w Wenecji, jak to powiedziałem wyżej.

I rzeczony Tiziano mówił, że anabaptyści cieszą się łaskawością Naszego Pana Juliusza III, i że mógłby poświadczyć, że spotkał go osobiście, zanim obrano go Papięzem.

Interogatus an credat dectum Ticianum convenisse ad cardinalem Ioannem Mariam Del Monte, respondit:

Rzeczony Tiziano powiedział mi, że rozmawiał ze wspomnianym wyżej przewielebnym kardynałem przez całą noc na różne tematy. W szczególności zaś o tej bardzo sławnej książeczce Beneficium Christi i o jej autorze, bracie Benedectie Fontaninim z Mantui. Tiziano mówił mi, że dyskutował z Jego Eminencją o herezji zawartej w tej książce i doszli do wniosku, że nie ma w niej żadnej herezji. Item prosił, żeby Jego Eminencja wstawił się za rzeczonym Fontaninim, uwięzionym w Padwie, uznając go za niewinnego. Sprawił, że Fontaniniego potem uwolniono, ja wierzyłem opowiadaniom Tiziana.

Item Tiziano zadawał się z wieloma literatami, dworzanami i nawet panami, próbując wszystkich przekonać o słuszności doktryny anabaptystów i wspomnianej książki Beneficio di Christo. Tak czynił we Florencji z dworzanami Cosima de' Medici, i jeszcze w Ferrarze, z księżniczką Renatą d'Este.

Item wymieniony w moim zeznaniu Tiziano, którego nazwiska nie znam, dopuścił się tego samego, przekonując Naszego Pana do doktryny anabaptystów, i o ile mi wiadomo, przyniósł tę doktrynę do Włoch, i ciągle chodzi, przekonując i nauczając tej doktryny.

Gresbeck czeka, aż João również przeczyta.

— To jest najbardziej zaskakująca część zeznania Manelfiego, które złożył on Leandrowi Albertiemu, inkwizytorowi w Bolonii. Jedna kopia już dotarła do Rzymu, razem ze skruszonym, i możecie być pewni, że zostanie dokładnie oczyszczona, jak tylko któryś z ludzi Carafy rzuci na nią okiem. Drugą kopię, opatrzoną podpisami i pieczęciami, otrzymałem od samego Albertiego, z poleceniem przekazania jej osobiście Carafie. Skopiowałem ten fragment, a potem

złożyłem cały dokument w filii Fuggerów w Składzie Niemieckim. Jest to z pewnością najcenniejszy depozyt, jaki przechowywali oni kiedykolwiek w swojej okutej kasie, ale na szczęście nie wiedzą o tym; tu jest napisane jasno i wyraźnie, że osobnik poszukiwany przez inkwizycję, czyli nowochrzczeniec Tiziano, mógł kontaktować się z kardynałem Del Monte, zanim został on papieżem, i przekonać go o niewinności *Błogosławieństwa Chrystusa*, i to do tego stopnia, żeby skłonić go do ujęcia się za autorem. Fontanini rzeczywiście wyszedł z więzienia dzięki wstawiennictwu kogoś bardzo możnego. Generał benedyktynów zna osobiście papieża Del Monte. Istnieją oczywiste dowody na prawdziwość tej opowieści.

Potwierdza ją także mój głośny śmiech.

— Wydaje się szaleństwem, ale tak właśnie jest.

Miquez jest zakłopotany.

— Wciąż nie rozumiem, co może być w tym tak cennego.

Gresbeck odpowiada mu poważnym tonem:

— Ghislieri i jego przyjaciele przygważdżają *Uduchowionych*, jednego po drugim, zarzucając im odpowiedzialność za rozpowszechnianie *Błogosławieństwa Chrystusa* w ich diecezjach. Na soborze trydenckim Carafa mówi wprost, że nie przeszkodzili obiegowi książki, a w wielu wypadkach nawet go wspierali. Jak myślicie, co by się stało, gdyby ci sami inkwizytorzy dowiedzieli się o zainteresowaniu papieża autorem i treścią *Błogosławieństwa Chrystusa*? Co by się stało, gdyby przesłuchiwani kardynałowie, powołując się na to świadectwo, unicestwili ciężar wysuwanych przeciwko nim zarzutów?

João pochyla się nad stołem.

— Carafa byłby załatwiony. Ale kto może nam zagwarantować, że ten dokument naprawdę istnieje?

— Ani ja, ani wy nie mamy już nic do stracenia.

Rozdział 43

Wenecja, 5 listopada 1551 roku

Osiem godzin snu po dwóch dniach bez zmrużenia oka nie wystarcza, by odrętwiały pięćdziesięcioletek mógł przyzwoicie zapiąć swoją długą kurtkę. Dopiero po trzeciej próbie odzyskuję w końcu starą zażyłość z codziennymi czynnościami. Pozwalam, żeby w moim żołądku odezwały się dolegliwości potrzebne do przepędzenia zmęczenia.

Gresbeck jest już w atrium, owinięty w płaszcz, opiera się plecami o dużą szafę, odrzuciwszy głowę do tyłu, tak jakby próbował się skoncentrować, biorąc długie oddechy. Nie będzie miał przy sobie broni palnej. Tylko jakiś krótki sztylet, minimum zabezpieczenia. Jest tak samo stary jak ja. Bardziej zmęczony. Mogę być spokojny.

Rwanie w nadgarstku zawsze mocno owiniętym cienką, różnobarwną wschodnią tkaniną, złożoną kilkakrotnie na długość pięciu palców, tak żeby okrywała trochę mniej niż połowę przedramienia.

Wejdzie do agencji, nie budząc niczyich podejrzeń. Ma tam wolny wstęp, Fuggerowie wiedzą, z kim się zadawać.

Wkładam dopasowane rękawiczki z ciemnej, miękkiej i błyszczącej skóry, wyrób hiszpańskich garbarzy, подарowane mi przez Bernarda Miqueza.

Dziwna rzecz, ale wyrównywanie rachunków nie przebiega tak, jak się oczekiwało. Patrzę na swoje odbicie w zbytkownym lustrze, wysokim jak ja i dwa razy szerszym, w rezydencji Miquezów na samym cyplu Giudekki. Twarz okolona rzadką, siwą brodą.

Spędzi tam tylko tyle czasu, ile będzie trzeba, żeby odebrać plik dokumentów, nie wymieniając żadnych grzeczności.

Stary garb na nosie lekko wykrzywia jego czubek w lewo. Włosy związane na karku i posmarowane oliwą, podarunkiem od Beatrice. Pistolety zatknęte za pas, dotykam rękojeści noża na plecach.

Podejdzie do mnie i wręczy mi małą płócienną torbę z dokumentami w środku.

Zakrywam broń, podciągając na ramię kraj płaszcza. Rzut oka na Heinricha odbijającego się w lustrze, w tej samej pozycji.

W łodzi czeka na nas Sebastiano.

Po odebraniu torby wyjdziemy z przeciwnej strony składu, prosto na Canal Grande. A stamtąd do Caratello. Potem w stronę stałego lądu.

Niespodziewanie zjawia się João, u niego wszystko w porządku. Daję znak Gresbeckowi, idziemy.

Wpływamy w rio del Vin, pomiędzy kopułami Bazyliki Świętego Marka i dzwonnica kościoła pod wezwaniem proroka Zachariasza. Sebastiano popycha łódź, ja i Gresbeck siedzimy naprzeciwko siebie. Długo rozcieram sobie zeszywniałe mięśnie szyi, żeby je rozluźnić. Żaden z nas nie czuje potrzeby mówienia. Bierzymy łagodny zakręt i wpływamy do szerokiego i krętego rio di San Severo. Przepływamy pod paroma mostkami aż do rio di San Giovanni, potem w lewo, otwiera się kanał, dalej na wprost.

Znalazłszy się na stałym lądzie, popędzimy na złamanie karku do Trydentu, doliną rzeki Brenty. Dwa dni konnej jazdy, z postojami tylko po to, żeby zmienić konie, w eskorcie sześciu najlepszych ludzi Miqueza. Za wszelką cenę musimy dotrzeć do Pole'a.

Na skrzyżowaniu z rio dei Miracoli skręcamy w lewo, aż do rio del Fondaco, tuż obok Składu Niemieckiego. Wsiadamy na brzeg.

Trzeba doręczyć do rąk kardynała Pole'a zeznanie Manelfiego. Może to zrobić tylko Heinrich.

Pięćdziesiąt kroków i jesteśmy w środku. Przy wejściu widać grupki ludzi, spogląda na mnie Duarte. Małe skinienie głową. Gresbeck idzie koło mnie. Wchodzimy na czworoboczny dziedziniec składu.

Na środku znajduje się studnia, do której podchodzi się po dwóch kamiennych stopniach. To moje miejsce. Panuje tu ożywiony ruch, kręcą się ludzie interesu, jest nieodłączna piwiarnia.

Gresbeck skręca do podcieni po lewej stronie, kierując się prosto do agencji Fuggerów. Wchodzi do środka, naprzeciwko trzeciej arkady.

Dotykam rękojęści pod płaszczem.

Cztery ściany dziedzińca wypełniają trzypoziomowe portyki. Pięć arkad na parterze, po dziesięć na wyższych piętrach, im wyżej, tym są one mniejsze.

Po prawej stronie rozmawiają z ożywieniem cztery osoby, licząc na palcach.

Przy wyjściu od strony Canal Grande stoi człowiek oparty o kolumnę. W kącie w głębi, za moimi plecami, grupa Niemców przekazuje sobie jakieś papiery.

Mój wzrok przesuwa się dalej. Widać zaaferowanych ludzi, bezustannie wchodzą i wychodzą, przemierzają portyki. Z pierwszego piętra dobiegają hałasy piwiarni, pogrążeni w rozmowach klienci stoją twarzą do dziedzińca.

Po obu stronach głównego wejścia, za przechodzącymi ludźmi, dwaj ubrani na czarno mężczyźni.

Wyraźne wyrzuszenia pod płaszczami.

Wpatrują się w drzwi banku.

Cholera.

Gresbeck jest jeszcze w środku. Ci czterej po prawej stronie w dalszym ciągu liczą na palcach. Stojący najdalej wskazuje agencję ruchem ręki, który może oznaczać „czekaj”. Spogląda w kierunku arkad na wyższych piętrach, za moimi plecami. Odwracam się. Jeszcze jeden zbir obserwuje bank z piwiarni. Mężczyzna oparty o kolumnę stoi nieruchomo. Wzrok skierowany w tę samą stronę.

To jest pułapka.

Chcą nas podejść.

Rzut oka na główne wejście. Dwa czarne kruki są zaniepokojone zamieszaniem, którego odgłosy dochodzą z zewnątrz.

Na dziedziniec składu wchodzi Duarte na czele grupy kupców z Rialto. Zgiełk rośnie.

Agencja.

W moim kierunku idzie Gresbeck. Unosi rękę z wycelowanym pistoletem.

Znowu wystrychnąłeś mnie na dudka.

Strzela.

Jakiś człowiek za moimi plecami pada z krzykiem na ziemię, zwrócony twarzą do studni. Słyszać odgłos żelastwa uderzającego o ziemię.

Kupcy wbiegają na dziedziniec.

Gresbeck wyciąga w moją stronę torbę.

— Ruszaj się, do diabła!

Słyszę niewyraźne hałasy, zostaję wessany przez zbiegowisko, przepycham się pod prąd przez tłumek, którzy teraz mnie osłania, popychanie i wrzaski we wszystkich językach.

Przede mną wyrasta Pietro Perna. Wrywa mi torbę z ręki, zamieniając ją na taką samą. Puszczą do mnie oko.

— *Habemus papam!*

Wyślizguje się z tłoku w kierunku głównego wejścia. Zeznanie Manelfiego jest już bezpieczne.

Poddaję się zalewowi kupców z Rialto, którzy pchają się w przeciwnym kierunku, do wyjścia na Canal Grande. Nie widzę Gresbecka, docieram do bramy dosłownie uniesiony falą rozwrzeszczanych ludzi, którzy robią wrażenie oszalałych. Uderzenia, krzyki. Strażnik przy wejściu w jednej chwili wywraca się na ziemię. U mojego boku pojawia się Gresbeck, otwiera się wolne przejście i obaj zeskakujemy do łodzi.

Dalej, jazda, do Caratello.

* * *

Przepluwamy pod mostem Rialto, Sebastiano popycha łódź z całej siły, skręcamy w rio San Salvador.

Ręce trzęsą mi się z podniecenia. Czuję przyplwy gorąca od głowy aż po stopy.

Nie jestem pewien, co właściwie się wydarzyło. Twarz siedzącego naprzeciwko mnie Gresbecka wydaje się spokojna, zaskakująco obojętna.

Kiedy kierujemy się na prawo, żeby wpłynąć w rio degli Scoacimini, każe mi podać proch strzelniczy i nabija na nowo swój pistolet. Odwraca się do tyłu i daje mi znak, z uspokajającym wyrazem twarzy: nikt nas nie goni.

Próbuję zebrać myśli, przeciągam dłońmi po policzkach.

— Skąd wzięłeś tę pukawkę?

— Gert, u Fuggerów można złożyć wszystko. Więc czemu się dziwisz? Ale jak widzisz, nie pomyliłeś się, ufając mi. Nie zrobiłeś błędu nawet w Münsterze, pokładając we mnie zaufanie, bo Heinrich Gresbeck był dobrym przybocznym i zastępcą.

— Myślałem, że strzelałeś do mnie.

— To byli najemni mordercy Carafy. Zwierzyną byłem ja. Zadaję sobie pytanie, w jaki sposób znaleźli się tam, żeby na mnie czekać.

Rio dei Fuseri, płyniemy nim aż do rio di San Luca, żeby znowu wypłynąć na Canal Grande. Kierujemy się prosto do rio dei Meloni.

— Heinrich, Fuggerowie wiedzą, z kim się zadawać. Ich przysłowiowa powściągliwość znika w obliczu ludzi, którzy mogą im zagwarantować, że będą mieli po swojej stronie także Pana Boga. To oni zawiadomili Carafę.

Ukazuje się wlot do rio Sant'Apollinare, skręcamy. Jesteśmy prawie na miejscu.

Gresbeck potrząsa głową.

— Polowanie dopiero się zaczęło. Jak dotrzemy do Trydentu? Jeśli nawet uda się nam dojechać, Carafa będzie na nas czekał z otwartymi ramionami.

Łódź dobija do nabrzeża.

Usta wykrzywiają mi się w coś, co być może przypomina uśmiech.

— Jesteśmy już starzy, Heinrich, Spróbujemy.

Gresbeck wyjmuje z kieszeni mały notes. Pożółkłe stronic, owinięte kawałkiem skóry i obwiązane sznurkiem.

— W kasie Fuggerów było także to. Są to jedyne ślady, jakie po mnie zostaną. Zatrzymaj je, kapitanie, są twoje.

Wsuwam notes do rękawa. Wskakujemy na nabrzeże.

Jeden za drugim przemierzamy ciasny zaułek do tylnych drzwi Caratello.

Wyrównywanie rachunków nie wygląda tak, jakby się tego człowiek spodziewał.

Rozdział 44

Wenecja, 5 listopada 1551 roku (w chwilę później)

— Pieprzone śwynie, zausznicy Żydów! — Uderzenie w twarz. —
Skończyło się wasze świętowanie!

Pietro i Demetra przywiązani do krzeseł, opuchnięci.

— Ty zasrany lilipucie, chcę się zabawić, zanim upieczecie się tu
jak na rożnie!

Rozchodzi się zapach smoły.

Wkraczam do środka z oboma pistoletami gotowymi do strzału,
Mulo nie ma nawet tyle czasu, żeby się odwrócić, rąbię mu z bliska
w kark. Wali się na ziemię.

Celuję z drugiego pistoletu.

Gresbeck unosi swój.

Jest ich trzech.

Nie zdążyli sięgnąć po broń.

Gapią się wytrzeszczonymi oczami w lufy.

Jak sparaliżowani.

Kątem oka dostrzegam torbę. Leży na kontuarze. Zeznanie Manel-
fiego.

Muszę podkraść się bliżej, żeby do niej sięgnąć.

Ale to Heinrich rusza pierwszy w jej kierunku, wzdłuż ściany,
opiera rękę na gładkim marmurowym blacie.

Już ją ma.

Jakiś cień na schodach, za jego plecami.

— Uważaj!

Odwraca się błyskawicznie, ostrze prześlizguje się po twarzy, jego
pistolet strzela, trafia tamtego prosto w pierś, najęty przez Mula zbir
stacza się po stopniach schodów.

Ten przy kominku wywraca kopniakiem beczkę, smoła rozlewa się
po rozżarzonych węglach i wybucha płomieniem sięgającym sufitu.

Rzuca się na mnie ze sztyletem w dłoni.
Ból w lewym ramieniu, jak ugryzienie psa.
Wrzeszczę głośno.

Chwytam go za włosy na karku i w chwili, gdy traci równowagę,
miażdżę mu głowę o kant lady.

Płomienie pną się po zasłonach, rozprzestrzeniają po podłodze,
sięgając stóp Perny i Demetry.

Prędko, nie bacząc na przeszywający ból.

Rozwiązuję krępujące ich sznury.

Uwalniam Demetrę.

Teraz Pietro. Syczy przez zaciśnięte zęby:

— Sukinsyny!

Przez ścianę ognia widzę Gresbecka wyciągającego puginał.

Jeden na jednego.

Tamten się waha.

Heinrich uśmiecha się.

Błyskawicznym rozmachem ciska sztylet.

Słysząc charkot, dusza bękarta opuszcza go razem z rzygowinami.

Dostaję ataku kaszlu, całą izbę wypełnia dym. Demetra mdleje,
ciągnę ją jedną ręką. Do wyjścia. Jesteśmy na dworze. Za mną
struga krwi. Mojej. Kręci mi się w głowie, nogi uginają się pode mną.

Perna kaszle.

— Torba... zeznanie...

Odwracam się. Gresbeck gdzieś zniknął.

Muszę się cofnąć. Jestem osłabiony, wymioty ściskają mi żołądek,
wzrok mam zamglony. Oddycham głęboko, nie wolno mi zemdleć.
Robię parę kroków w kierunku drzwi, odległość zdaje się nieskoń-
czona.

Stojąc w progu, dostrzegam jego sylwetkę pośrodku izby. W rękę
trzyma torbę.

Między mną i nim jest ściana ognia.

Wąskie przejście między dwoma przewróconymi stołami.

— Tędy!

Ugina się pode mną jedno kolano.

Za jego plecami, pośród dymu podnoszą się strzepy, które były
twarzą Mula. Ściska w rękę pogrzebacz.

Krzyczę, podczas gdy on zadaje cios.

Padają obaj.

Tracę ich z pola widzenia. Nie, Gresbeck podnosi się, zatacza. Nie
ma już w rękę torby, rozgląda się wokół.

Chwila.

Wystarczająca, żeby zobaczyć, jak wałą się na niego belki powały.

Rozdział 45

Wybrzeże koło Ferrary, cztery dni później

Marynarze wyciągają na suchy ląd długą i wąską szalupe.

Zdrową ręką pomagam Demetrze podtrzymać rąbki spódnicy, zmoczone wodą. Z drugiej strony Perna, zanurzony po pas w wodzie, przeklina półgłosem.

Przystajemy na piasku pod zamglonym słońcem, które nie grzeje.

Demetra dotyka moich bandaży.

— Uważaj, żeby nie zamoczyć rany. I jedz dużo mięsa, straciłeś mnóstwo krwi.

Uśmiecham się do niej, jej makijaż ledwo skrywa siniaki na twarzy.

— Nie martw się, opatrzyłaś mi doskonale tę poszarpaną rękę. Będzie jak nowa.

João i Bernardo ściskają rękę małego Pietra.

— Będziesz tu bezpieczny?

Perna rozkłada ręce, szwy na policzku nie pozwalają mu otworzyć całkowicie jednego oka.

— Daj spokój, João, wyobrażasz sobie mnie między muzulmanami? Nie do twarzy mi w turbanie, poza tym ci ludzie nie piją wina. A właściwie nie pijają nic innego prócz wody! Nie, dziękuję, ale to nie dla Pietra Perny z Lukki. Wolę tu zostać.

Spogląda z zadowoleniem na Demetrę.

— Będę miał doskonale towarzystwo.

Bernardo obejmuje go, unosząc nad ziemię.

Duarte całuje go w nietknięty policzek, który natychmiast czerwienieje.

Szmaragdowe oczy Demetry jaśnieją.

Głaszczę ją po twarzy.

— I czym się teraz zajmiesz?

— Myślę, że spróbuję od nowa w innym miejscu. Albo może przyjmę propozycję Pietra. Nie martw się, dam sobie radę.

Perna ma zakłopotaną minę.

— Ferrara to w dalszym ciągu dobre miejsce, *capito*? Dobry punkt wyjściowy, żeby coś rozpocząć. Mam jeszcze sporo kontaktów tu i tam, po całych Włoszech, będę miał pełne ręce roboty. W dalszym ciągu będzie się drukować książki, mój przyjacielu, nie obawiaj się, sprytni ludzie znajdą sposób na obejście indeksów, a któregoś dnia może nawet uda się je zlikwidować. Bądź pewien, zawsze będzie potrzebny ktoś, kto ruszy w drogę, żeby sprzedawać książki.

— Jeżeli ty tak mówisz, Pietro, to brzmi jak gwarancja.

Wzruszony Perna wybucha śmiechem, obejmujemy się.

João wskazuje ścieżkę na krawędzi lasu.

— Powóz czeka na was.

Pietro sięga po swoją torbę.

— Do widzenia, niemiecki mądralo — mówi i zniża głos: — Pilnuj dobrze tyłka, jak się znajdziesz między tymi pohańcami, no i nie tykaj ptaszka tam, gdzie nie trzeba, rozumiemy się? — dodaje z uśmiechem. — Do widzenia wszystkim, ilu was jest!

— Życzę ci szczęścia, Ludovico — mówi Demetra. — I miłej podróży.

— Wszystkiego najlepszego dla was obojga.

Oddalają się po mokrym piasku. On mały i krągły, ona wysoka i elegancka. Wchodząc między drzewa, Perna ogląda się, żeby pomachać nam ostatni raz na pożegnanie. Woła coś, ale wiatr unosi jego słowa na morze.

Patrzemy, jak znikają między sosnami.

Obok mnie staje João.

— Musimy ruszać. Łódź donny Beatrice na pewno dopłynęła już do statku.

Wita nas na pokładzie flagowego statku floty Miquezów. Wiatr potargał parę kosmyków jej fryzury, nie odbierając niczego z kobiecego uroku, a nawet dodając zmysłowego wyglądu, który chwytą za podbrzusze i za serce.

Całuję jej dłoń, przytrzymuję ją przez chwilę w moich.

— Perspektywa podróży u twego boku, Beatrice, osładza przegraną.

Delikatnym ruchem dłoni odgarnia włosy z twarzy.

— Przegraną, Ludovico? Naprawdę tak uważasz? Czyż nie jesteśmy żywi i wolni, gotowi pruć morskie fale?

Bernardo rzuca parę rozkazów kapitanowi statku, z jednej strony pokładu na drugą lecą gwizdy i polecenia.

— Masz rację — odpowiadam z uśmiechem.

Nie dodaję ani słowa. Do kabiny odprowadza ją córka i młoda służąca.

João daje mi znak z mostka rufowego, żebym do niego podszedł.

— Kapitan mówi, że wieje pomyślny wiatr. Lepiej go nie stracić. Najwyżej za jakieś dwa dni dopłyniecie do Lissy. Potem do Ragusy. Następne dwa dni do Korfu. Jak już znajdziecie się w Zante, będziecie poza zasięgiem weneckich statków.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Opuszcza spojrzenie.

— Ja i Bernardo wracamy do Wenecji.

— Oszalałeś? Oni chcą was zabić.

Sefardyjczyk spogląda na skąpaną we mgle linię brzegu.

Wzdycha.

— Nie zrozumiesz tego, Ludovico. Jesteśmy rodziną, musimy bronić naszego majątku. Moim zadaniem jest wydostać co tylko się da z pazurów weneccjan. Wierz mi, nie ja dokonałem takiego wyboru. Instynktownie odwracam się w kierunku kabiny Beatrice.

Miquez uśmiecha się.

— W pewnym sensie ja też, jak wszyscy, których widzisz na tym statku, jestem na liście płac.

Spogląda znowu na brzeg.

— Nie możemy zostawić wszystkiego w Wenecji.

— Myślisz, że dadzą sobie sprzętnąć łup sprzed nosa, po tym, co zrobili, żeby was wystrychnąć na dudków?

— Nie jestem aż tak naiwny. Będę musiał uciec się do dyplomacji, podstęp, a może i użyć siły. Całej potęgi, jaka znajduje się w arsenale Miquezów.

Zmusza mnie do uśmiechu.

— Poza tym jest jeszcze jeden powód, żeby tam wrócić. Rodzina, o której ci mówię, jest tak liczna jak cały naród. W Wenecji jest pięć tysięcy marranów, jak ich tam nazywają, i wszystkim grozi więzienie albo i śmierć. Trzeba znaleźć sposób, żeby wyprowadzić stamtąd jak największą ich liczbę.

Kiwam potakująco głową.

— Co będziemy robić na ziemiach sułtana?

— Konstantynopol spodoba ci się, zobaczysz. Największe miasto świata, przeszło pół miliona ludzi. Także i tam jest wielu, którzy są nam winni względy, z Sulejmanem na czele.

— Jakiego rodzaju względy? Te, o które oskarżał cię niejaki Tanusin Bey?

Uśmiecha się.

— Ludovico, dom Miquezów jest tak wielki jak świat. Jeżeli zamykają się jakieś drzwi, to w tej samej chwili otwierają się inne. —

Klepie mnie mocno po plecach. — *Hasta luego*, mój przyjacielu. Zobaczymy się w Konstantynopolu.

João schodzi na pokład główny, gdzie czeka już na niego Duarte razem z bratem.

Schodzą do małej łodzi, uwiązanej przy burcie statku. Jej żagiel rozwija się z głośnym kłaśnięciem.

Patrę, jak odpływa w stronę brzegu, podczas gdy kapitan statku rzuca rozkaz podniesienia kotwicy.

* * *

Zdrętwiały z zimna na pełnym morzu u wybrzeży Romanii przestałem przepatrywać horyzont.

Wyciągam pod kocem na koi obolałe kości. Czekają na mnie Beatrice, ale najpierw muszę uporać się z gmatwaną myślą i wrażeń, które mnie osaczyły.

Zniszczone kartki, to już prawie proch po trzydziestu przeżytych latach.

Moneta jednodniowego królestwa.

Egzemplarz książki, która nie zostawiła po sobie śladu.

Pełen zapisków notes.

Najdziwniejszy spadek, jaki los mógł mi powierzyć.

Heinrich Gresbeck, człowiek o takim czy może jakimś innym nazwisku, to ostatnia twarz, jaka zajmuje miejsce w galerii widm. Być może swoje najlepsze dni spędził u mojego boku. Może takim właśnie powinienem go pamiętać.

Pragnął paść z mojej ręki, a nie z ręki najemnych morderców Carafy. A padł ofiarą najśmieszniejszego z moich przeciwników, i własnej machinacji. Mulo, nędzny sutener, który postanowił natychmiast pomścić afront, korzystając z nagonki przeciwko Żydom. Powinienem był zabić go wtedy. Śmiech, który mi towarzyszył ostatnimi czasy, znowu podchodzi do gardła; losy władców i ludzi zawisły od czynu ostatniego głupka.

Zeznanie Manelfiego spłonęło. Ludzie nie dowiedzą się nigdy, że te kilka stron mogło na zawsze zmienić bieg wydarzeń. Uciekają szczegóły, pomniejsze cienie, które zaludniały historię, giną w zapomnieniu. Stręczyciele, mali źli duchowni, bezbożni przestępcy, stojący poza prawem, siepacze, szpiedzy. Anonimowe groby. Imiona, które nie mówią nic i które przecięły się ze strategicznymi planami, wojnami, powodowały ich zapaść, czasami w upartej, świadomej walce, kiedy indziej za sprawą czystego przypadku, jakiegoś pojedynczego czynu czy słowa.

Byłem wśród nich. Po stronie tych, którzy rzucili wyzwanie porządkowi świata.

Kłęska po kłęsce, poddawaliśmy próbie siłę Planu. Za każdym razem traciliśmy wszystko, żeby przeszkodzić jego urzeczywistnieniu. Gołymi rękami, nie mając wyboru.

Oglądam po kolei wszystkie twarze, tę tłumną procesję kobiet i mężczyzn, których zabieram ze sobą do innego świata.

Piersią wstrząsa szloch, wypluwam z siebie tę gmatwaninę myśli.

Bracia moi, oni wcale nas nie pokonali. Wciąż jesteśmy wolni, żeby pruć fale morza.

* * *

Na pokładzie wiatr smaga mi twarz zwróconą w kierunku zachodzącego słońca. Obracam w rękę notes. Rozwiązuję sznurek przytrzymujący stronice. Przebiegam je oczami. Daty, miejsca, imiona. Sposptrzeżenia zapisane bardzo drobniutkim pismem.

Na kolana pada mi złożona kartka. Inna od pozostałych.

Do Giovanniego Pietra Carafy

Panie, to ostatni list człowieka, który służył Wam przez przeszło trzydzieści lat.

Nowa epoka, której zręby staracie się wznieść, musi zapomnieć o swoich anonimowych rzemieślnikach, dzięki którym wydarzenia mogły wpasować się w plany. W kronikach pozostaną sławne imiona zwyciężonych i zwycięzców do dyspozycji tych, którzy będą chcieli odtworzyć kiedyś zawiłe dzieje epoki i tego, co ona stworzyła. Po milczącej armii najemnych żołnierzy, nieznanych budowniczych labiryntu, nie zostanie żaden ślad, gdy ich czyny odejdą w dal, a życie ustąpi przed nadchodzącą przyszłością. Tak więc nie chodzi o nic innego, tylko o to, aby przyspieszyć moment owego zapadnięcia się w nicłość, o tyle czasu, ile go trzeba na uchylenie się przed ostateczną egzekucją.

W półwieczu, które jest już za nami, umarła niewinność wraz z nadziejami, do których zniszczenia ja się przyczyniłem; nie żywię żadnych złudzeń, że ucieknę od losu, który, jak mi wiadomo, na mnie czeka; tym, co mnie popycha, nie jest pragnienie życia, albowiem poza owym Planem nie znaczę już nic, jestem tylko starym bezbronnym najemnikiem, otoczonym umarłymi. Tymi, którzy zostali na polu bitwy, i tymi, którzy przejmują świat na własność. Nie ucieknę przed żadnym z nich, ale moja rola wyczerpuje się na tym. Inni doprowadzą ów Plan do końca. Spieszę na spotkanie z moim ostatnim, starym przeciwnikiem i mam nadzieję, że to on zgasi oczy, które tak wiernie służyły Wam przez całe życie. To życie zbroczone krwią, które upływało

dziesięciolecie po dziesięcioleciu wraz z tysiącami innych, a które teraz chcę zakończyć tak, jak sam tego pragnę.

Nie możecie nic zrobić, nawet wymawiać sobie, że nie przewidzieliście zdrady najlepszego swojego agenta na ostatnim odcinku drogi: umysł ludzki dokonuje dziwnych ewolucji i nie istnieje plan, który mógłby przewidzieć je wszystkie.

Ale dzięki temu żadne zwycięstwo nie może być całkowite i pełne. Także i Wasze.

Dlatego to nikt nie umiera na próżno, nawet ten, który ostatnim swoim gestem udziela Wam tej lekcji.

Wasz obserwator
Q.

Epilog

Stambuł, Boże Narodzenie 1555

Cuius regio, eius religio.

W każdym kraju religia księcia, który w nim panuje.

Z księżętami zawsze można dojść do ugody. Załatwić doskonałe interesy.

To właśnie postanowiono dwa miesiące temu w Augsburgu, podpisując układ, który sankcjonuje podział dóbr, ziem i wyznań w całym cesarstwie. Nowy papież Paweł IV pozostawia protestantom terytoria wyrwane do tej chwili Kościołowi i błogosławi osiągnięty wreszcie pokój.

W ten sposób definitywnie zamknięto pokrywkę, którą Luter, marionetka niemieckich panów, uniósł prawie czterdzieści lat temu, dając na kilka dziesięcioleci upust nadziejom, buntom, zemstom i przywracaniu starych porządków. Czterdzieści lat, tyle było trzeba, aby jeszcze raz pozbawić narody prawa do wyboru własnej drogi, a ludzi prawa do wyznawania ich wiary.

Tak kończy się pewna epoka. Osłabiony Karol V, władca chylącego się ku upadkowi imperium, zamierza abdykować, zostawiając w spadku młodemu Filipowi długi i przyszłe wojny.

Blednie też gwiazda wielkich Fuggerów, przyćmiona kredytami niemożliwymi do odzyskania. Przez prawie pół wieku finansowali roszczenia i aspiracje Habsburga, teraz podzielił jego los.

Cuius regio, eius religio. Ten, kto nie godził się na to, aby panoszył mu się nad głową jakiś książę, albo nie związał się z jednym tylko krajem, nie ma wyboru. Przykładem tego jest los, jaki spotkał weneckich Żydów.

Gdy 21 sierpnia 1553 roku palono na Rialto księgi Talmudu, João zapewnił już drogę ucieczki na Wschód prawie tysiącowi sefardyjskich Żydów. Po edykcie Juliusza III, stosach, aresztowaniach,

ustanowieniu getta nie dało się zrobić nic więcej. Dziś to samo dzieje się gdzie indziej, za sprawą Pawła IV.

Heinrich Gresbeck zdawał sobie sprawę, że rzeczy przybiorą taki obrót. Wenecja będzie dźwigać ciężar hańby, bo otworzyła pole najbardziej obłudnym i okrutnym prześladowaniom. Uciekając po raz nie wiadomo już który, biblijny lud zabiera ze sobą skarb doświadczenia, wiedzy, znajomości świata. Otwiera się przed nim inne imperium, które przygarnie go, doceniając jego wartość. Ale razem z Żydami wyjeżdża też wielu chrześcijan, mężczyzn i kobiet bez własnej ziemi, przenoszących swoją egzystencję na drugi brzeg Morza Śródziemnego, pomiędzy niewiernych, którzy dotąd uczyli świat nienawiści, a teraz, jako jedyni, przygarniają nas, nie pytając o nasze religijne przekonania.

Ich niekwestionowany władca Sulejman Wspaniały, którego imię wystarczy szepnąć, aby przyprawić o dreszcz każdego weneccjanina, jest najbogatszym i najpotężniejszym człowiekiem na świecie, panem imperium, które rozciąga się od Krymu po Słupy Heraklesa, od Węgier po Bagdad. Ten głęboki znawca ludzi i narodów zasiada na tronie, który należał do Konstantyna Wielkiego, w aurze niezwyciężonego wojownika i mądrego tyrana. Nie można pojawić się przed jego obliczem, nie pamiętając o tym, że jest zdobywcą Mezopotamii, że to on poprowadził swoje wojska pod mury Wiednia, że zwyciężył pod Mohaczem i że jest człowiekiem, który jednym skinieniem głowy mógłby zamknąć drogi handlu ze Wschodem, sprowadzając Wenecję do roli maleńkiej portowej miasteczki.

Jeżeli zaczniesz mnie wypytywać o kontynent, który muskają także i jego posiadłości, opowiem mu moją historię, trwając w przekonaniu, że będzie umiał ocenić ją wyżej od sprawozdań swojego ambasadora.

Nie ma już niczego, co mogłoby dać jakąś naukę. Nie ma żadnego planu, do którego trzeba by się dostosować. Żyję, i to wszystko. Nie mam już nic wspólnego z drugą połową świata, z tamtą daleką ziemią, która zniknęła na moich oczach we mgle pewnego zimowego dnia. Zostawiam ją książętom, którzy umacniają się na swoich tronach i decydują o tym, jaką wiarę mają wyznawać ich poddani; nowym bankierom, którzy spieszą zająć miejsce po Fuggerach, recytując z pamięci teksty Kalwina. I samemu Kalwinowi, który rzuca na stos Miguela Serveta, uczonego i teologa. Zostawiam ją inkwizytorom, którzy palą księgi; Reginaldowi Pole'owi, który wczoraj był rzecznikiem pojednania, a dziś jest arcybiskupem Canterbury i prześladowcą angielskich protestantów.

Ale przede wszystkim zostawiam ją twórcy Planu, który właśnie jest realizowany. Giovanniemu Pietrowi Carafie, który 23 maja 1555 roku wstąpił na papieski tron jako Paweł IV, w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat.

— Jeszcze w łóżku?

Nie usłyszałem, jak wchodziła do pokoju. Odwracam się z wysiłkiem.

Beatrice pochyla głowę, żeby zajrzeć mi w oczy.

— Sultán nie będzie zachwycony, że dwóch tak wybitnych niewiernych każe mu czekać na siebie.

Siedząc na łóżku, opasuję jedną ręką jej kibić, drugą obejmuję ją w żelaznym uścisku.

— Każ czekać możnym, a dasz im do zrozumienia, że się ich nie boisz.

— Tak, a oni skrócą cię o głowę.

Wybuchamy śmiechem. Podnoszę się i idę do łazienki, pociechy mojej starości. Za każdym razem gdy tu wchodzi, a dzieje się to co najmniej dwa razy dziennie, doświadczam wzruszenia połączonego z radością, że spotkał mnie taki los. Na podłodze i na ścianach ceramiczne płytki lśnią błękitem i morską zielenią. Całą jedną połowę zajmuje wielka wanna, szeroka na dwa sążnie. Napełnia się ją w sposób ciągły dzięki dwom rurom z zimną i gorącą wodą. Strumień ciepłej wody, ogrzewanej w zbiorniku piętro wyżej, można regulować według własnego uznania i mieszać z zimną, którą doprowadza druga rura.

W tym bajecznym mieście łazienki są oznaką wyższej kultury i świadczą o nieznanym w Europie docenieniu ciała i osobistej higieny. Są wszędzie, mają różne rozmiary i wszelakie kształty, ale wszystkie uwalniają ciało i umysł od zmęczenia i wpływów klimatu.

Zanurzam się w rozkosznym cieple i nieruchomieję. Niech sultán czeka.

Podrywam się dopiero wtedy, gdy do pokoju wpada z niemiłosierdnym hałasem Josséf.

— Mam nadzieję, staruszk, żeś się nie utopił?

Obnosi z dumą swoje najlepsze ubranie, ulubione buty z cholewami do kolan, luźne jasne spodnie, długą watowaną bluzę z haftami na piersiach, zakrzywiony kindżał z rzeźbioną rękojeścią za pasem i typowe dla tych okolic, niebieskie nakrycie głowy, przy którym bieleje pióro umocowane złotą spinką.

— Przed pójściem do sultána musimy spotkać się z innymi ludźmi. Pospiesz się, Samuel czeka już na nas dobry kawał czasu. Leniwiejesz w towarzystwie agów z tego miasta.

Rzuca do wody kawałek mydła, obryzgując mi twarz. Podaje wielki kawał płótna.

— Rusz się wreszcie!

* * *

Na wielkim krytym bazarze można znaleźć wszystko. Przeszedłszy za Samuelem i Josséfem między niezliczonymi stoiskami i przemierzwszy wąskie korytarzyki między rzędami sklepów, wchodzę do lokalu, w którym królują korzenne przyprawy i nasiona.

Moje powonienie atakuje wszelkiego rodzaju zapachy. Naokoło rozstawione są niskie stoły, zajęte przez mężczyzn, którzy przyszli tu, żeby załatwić interesy, pogadać z przyjaciółmi albo wypalić nargile.

Na spotkanie wychodzi nam dwóch otyłych, uśmiechniętych Turków, którzy kłaniają się nisko.

Jeden z nich serdecznym gestem obejmuje Josséfa, a potem odwraca się do towarzysza.

— Przedstawiam ci bardzo szacownego Josséfa Nassiego, chodzącą legendę. A to jest jego nie mniej szanowny brat Samuel. — Rozjaśnia się w szerokim uśmiechu. — Tych ludzi, znanych w Wenecji jako João i Bernardo Miquez, uważa się za głównych wrogów Najjaśniejszej Republiki tylko dlatego, że są naszymi przyjaciółmi. Zapewniam cię, że gdyby wrócili do Wenecji, zawiśliby na kolumnach Świętego Marka.

Śmieją się z zadowoleniem, kolega tamtego nie kryje swojej admiracji.

Kolej na sefardyjczyka Josséfa.

— Mimo wszystko nie wykluczam możliwości, że pewnego dnia tam wrócimy. Bo chociaż Wenecja ma takich władców, jest to wspaniałe miasto. Panowie, przedstawiam wam mojego współnika Ismaela, wielkiego podróżnika, który z bardzo zimnych okolic dotarł aż tutaj, przeżywając po drodze wszelakiego rodzaju przygody. To zacięty wróg wszystkich władców Europy.

Dwaj otyli kupcy pochylają się znowu w pełnym szacunku ukłonie.

Zapraszają nas do stołu, jeden z nich zabiera się do nabijania cybucha wodnej fajki, podczas gdy drugi prosi Josséfa, aby opowiedział jego przyjacielowi o swojej niewiarygodnej ucieczce z Wenecji.

— Innym razem. Czekają na nas na sułtańskim dworze i nie chciałbym zmarnować tych kilku chwil, jakie mamy do dyspozycji, na puste przechwałki. Lepiej pogadać o interesach.

— Z pewnością. — Turek klaszcze w dłonie i w chwilę potem chłopiec w białej tunice stawia na stole tacę z parującym dzbankiem i paroma filiżankami. Nalewa ciemny płyn o nieznanym, mocnym aromacie.

Spoglądam na Josséfa.

Odzywa się do mnie po flamandzku, w języku dni spędzonych dawno temu w Antwerpii.

— To jest właśnie interes, który musimy obgadać. Spróbuj.

Nieufnie pociągam mały łyżeczek. Gorący płyn spływa do gardła, ma mocny, gorzkawy smak, natychmiast czuję, że wraca mi wigor, a zmysły odzyskują ostrość. Wypijam większy łyk i na języku zostają mi ziarenka fusów, które osiadły na dnie filiżanki.

— Dobre to, ale nie rozumiem...

— Tutaj nazywają to kahveh. Otrzymuje się to z krzewu, który rośnie w różnych regionach Arabii.

Kupiec kładzie na stole woreczek z zielonymi ziarenkami, Josséf bierze z niego pełną garść.

— Poddaje się je paleniu, miele na proszek i już są gotowe do rozpuszczenia we wrzącej wodzie. W Europie będą za tym szaleć. — Wyczuwa moje zakłopotanie. — Sułtan daje wprawdzie do zrozumienia, że docenia nasze usługi i informacje, jakich mu dostarczamy, ale dobrze jest mieć też pod ręką inne projekty i dobre interesy do zrobienia. Wierz mi, nieokrzesani Europejczycy docenią, jedną po drugiej, te drobne rozkosze, dzięki którym życie nabiera nowych wartości.

Uśmiecham się i myślę o mojej wannie wypełnionej ciepłą wodą.

— Tu już powstają lokale, w których można degustować odświeżające napoje — ciągnie Josséf. — Takie miejsca jak to tutaj, gdzie się rozmawia, załatwia interesy i pali te fantastyczne wodne fajki. Zobaczysz, nie trzeba będzie wielu lat, żeby wprowadzić tego rodzaju zwyczaj do Europy. Musimy tylko sprawić, żeby naszymi kupieckimi szlakami zaczęły podróżować worki z tymi cennymi nasionkami, no i pokazać, jak się z nich korzysta.

— Josséf, wiesz przecież, że Europa nie lubi rozkoszy.

— Europa się skończyła. Teraz, gdy się wreszcie dogadali, zaczną prowadzić nowe wojny, śniąc w dalszym ciągu o barbarzyńskiej supremacji. A nam zostawią cywilizowanie świata.

Chłopiec napełnia znowu filiżankę.

Pociągam fajkę. Moje członki ogarnia odprężenie, zagłębiam się w poduszkach.

Uśmiecham się. Nie ma planu, który byłby w stanie przewidzieć wszystko. Inni ludzie będą unosić dumnie głowy, inni knuć zdrady. Czas nie przestanie dostarczać w obfitości klęsk i zwycięstw tym, którzy nie zrezygnują z walki.

Pociągam rozkoszne drobne łyki.

Czeka mnie ciepło kąpieli. Niechby te dni trwały bez końca.

Tak, niechby życie potoczyło się dalej bez żadnego planu.

*Osoby, miasta,
dokumenty*

Reverendi Viri
D. MARTINI LUTHERI SS.
THEOLOGIE DOCTORIS ET PRO-
FESSORIS IN ACADEMIA WITENBERGENSI

CELEBERRIMI VITA ATQUE RES GESTÆ VIGINTI
 et octidua docti commentariis
 JOHANNIS STULTICI

I. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 II. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 III. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 IV. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 V. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 VI. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 VII. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 VIII. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 IX. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 X. Annotatio ad vitam Martini Lutheri



XI. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XII. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XIII. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XIV. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XV. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XVI. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XVII. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XVIII. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XIX. Annotatio ad vitam Martini Lutheri
 XX. Annotatio ad vitam Martini Lutheri

Vizna, Typis Johannis Maderi Anno 1616.

W ulotnym druku z roku 1616 przedstawiono główne etapy życia Marcina Lutra. „Dlatego też kto tylko może, a w tym przypadku powinien, niechże ich bije, dusi i dźga [...] a czyniąc to winien myśleć, że nie ma nic bardziej trującego, groźnego i diabolicznego od buntownika, a uśmiercenie go jest jako zabicie wściekłego psa; jeśli nie uderzysz go ty, on uderzy ciebie, a wraz z tobą cały kraj”. (*Przeciwko morderczym i rozbójniczym bandom chłopskim*, 1525).



Thomas Müntzer na piętnastowiecznym sztychu Christoffela van Sichema. „Powiedz mi przeto, nędzny i obrzydliwy pasożycie, któż to ustanowił cię księciem nad tym ludem?”. (List do grafa Mansfeldu z 12 maja 1525 roku).



Jan Matthijs na sztychu van Sichema. W tle jego śmierć w trakcie oblężenia Münsteru.

„Bóg zamierzył zamieść swoje klepisko!”.



Jan z Lejdy na sztychu Heinricha Aldegrevera z roku 1536.

„Anabaptyjska epopeja i legendy stworzone przez wrogów przedstawiły nas jako potwory przebiegłości i przewrotności. Cóż, w rzeczywistości oni właśnie byli jeźdźcami Apokalipsy. Piekarz prorok, poeta stręczyciel i wyrzutek bez imienia, uciekający przez całe życie”.



Bernhard Knipperdolling na sztychu Heinricha Aldegrevera z roku 1536.
„My rozpoczęliśmy tę walkę i my doprowadzimy ją do końca”.



Melchior Hofmann na sztychu van Sichema.

„To jeden z najdziwniejszych proroków, jakich kiedykolwiek spotkałem, jedyny w swoim rodzaju i ustępujący pod względem szaleństwa i zdolności krasomówczych tylko wielkiemu Matthijsowi”.

Poza granicami Europy: Beatriz de Luna i João Miquez na ilustracji Arthura Szyka z roku 1932.





■ Posiadłości Karola V
 ■ Święte Cesarstwo Rzymskie

„Europa, w której polityczne decyzje zależą od niemieckich bankierów, w której religijne wierzenia figurują na chorągwiach band najemników, a całe narody podporządkowane są prawu wojennemu. Europa, którą przemierzają kolumny uciekających wygnańców, w której bunty zdeperowanych ludzi spotykają się z jednomyślną odpowiedzią starych rodów i wschodzących handlowych potęg. Zawsze z tą samą zasraną odpowiedzią armat i ludobójstwa, ognia i miecza...”.



„...Nigdy nie interesowało nas niesprecyzowane wzywanie o pokój: dziś, jak cztery wieki temu, wojna ma bardzo mocną rację bytu, dobrze zakorze-
nioną w kryminalnych decyzjach gospodarczych i politycznych wielo-
narodowych potęg i państw. Tak Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej,
jak i cesarstwa Karola V. Tak jak wywołującą wymioty rację mają etniczne
czystki i prześladowania, rację, z którą my nie mamy nic wspólnego i którą
zwalczamy od niepamiętnych czasów [...]. Byłoby rzeczą niemoralną
i bezsensowną, gdyby nie wykorzystywało się każdej publicznej platformy
i każdej okazji do ukazywania szaleństwa rządzących i apatii rządzonych”.
(Z komunikatu prasowego autorów niniejszej książki przeciwko bombar-
dowaniu Jugosławii przez lotnictwo NATO, 1 kwietnia 1999 roku).



Widok Norymbergi od strony południowej. Drzeworyt Wilhelma Pleydenwurffa i Michaela Wolgemuta, 1493 rok. „Imponujące wieże cesarskiej fortecy przypominają nam o tym, o czym już wiemy: że jest to jedno z największych, najpiękniejszych i najbogatszych miast całej Europy”.







Widok Antwerpii. Na dole, port w tym mieście według rysunku Albrechta Dürera. Po prawej, most Rialto z widoku Wenecji Jacopa de' Barbari. „Potrzeba poszerzania rynków zbytu dla swoich produktów popycha burżuzję do szukania ich na całej kuli ziemskiej. Wpycha się ona wszędzie, osiada i nawiązuje kontakty wszędzie”. (K. Marks i F. Engels, *Manifest komunistyczny*).



Ścinanie głów chłopom po bitwie pod Frankenhausen. „A przeto całkowita suma wynosi: za 80 ściętych, z których 69 wylupiono oczy i ucięto palce, florenów 114 i dwa centymy. Od wymienionych należy odjąć: 10 florenów otrzymanych od mieszkańców Rothenburga; 2 floreny otrzymane od Ludwiga von Huttena; pozostają 102 floreny. Do nich należy dodać żołąd za dwa miesiące, po 8 florenów każdy, to jest 16 florenów, facit: 118 florenów i dwa centymy”. (Pokwitowanie kata Augustina, zwanego Straszliwym, dla margrafa).

Die Gründelichen Vnd rech-
ten Haupte Artickl aller Baur-
schafft vnd Hynderfessen der
Gaiselichen vnd Weldi-
chen oberkaytē von
wölichen sy sich
beschwere ver-
mainen.





Ein erbarmliche aufrühr der Paurſchaft
Thoman Münzer in Thüringen/ vnd dū
pöret ſich das volck wider die fürſten/ herſ
wider die geiſtlichen. Solicher aufrührliche
100000. erſchlagen vnd gericht. Die jarzal
büchſtaben des nachgeſetzten verſplins/

Torturowani chłopci, według kroniki z roku 1548. „Zostałem poddany torturom w koszarach Secondo Celere (II Oddział Pogotowia Policyjnego) w Padwie. Przywiązali mnie do stołu ze zwisającą głową i zmusili do przelknięcia wielu litrów słonej wody. Bili mnie, łamiąc mi żebra i wywołując uszkodzenie ucha wewnętrznego. Poddawali mnie wstrząsom elek-



vnd gemeinden erhüb sich durch Paurenkrieg.
gieng gantz Teütschland/do ein
asssten/oberkeiten/vnnd mertheils
öcker wurdend allenthalben ob
ises paurenkriegs stadt in den zal

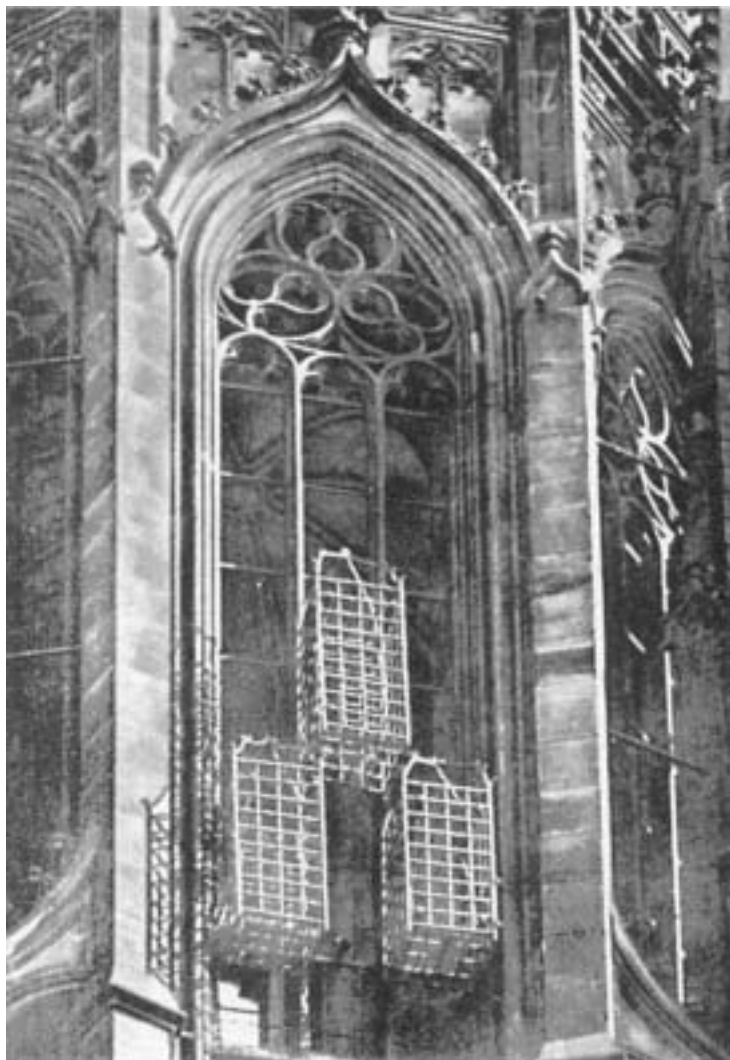
trycznym, podłączając przewody do genitaliów, i przypalili mi pachwinę. Pokroili mi uda i pośladki, a potem posypywali rany solą”. (Cesare di Lenardo, maj 1982 roku, cyt. w: Luther Blissett Project, *Nemici dello Stato* (Wrogowie państwa), Derive Approdi, Rzym 1999 rok, str. 63).



Towarzystwo anabaptystów, szkalująca ilustracja Heinricha Aldegrevera. „Przerażające orszaki dwudziestu, trzydziestu pedofilów kroczyły alejkami cmentarzy na równinie modeńskiej, żeby oddawać się niesłychanym orgiom, niszczącym dzieciństwo ich własnych synów albo synów ich znajomych”. (Spisał reporter Luigi Spezia, *ibid.*, str. 149).



Wykręcanie rąk rozżarzonymi obcęgami, z: R. Vaneigem, *Il Movimento del Libero Spirito* (Ruch Wolnego Ducha), Turyn 1995 rok. Poniżej: „Jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest”, zawołanie wybite na monecie królestwa z Münsteru.



Klatki, w których wystawiono trupy przywódców z Münsteru. „Nikt nie patrzy na nie. Nad ich głowami wisi przeszłość. Gdyby spróbowali je unieść, przypomniałyby im o niej te klatki”.



Z antyanabaptyjskiego pisma „Newe Zeytung”: Dawid obala na ziemię Jana z Lejdy w stroju Goliata.



Antyklerykalna ulotka z końca XVI wieku. „Ja sodomita! Wszyscy wiedzieli, że zawsze podobały mi się kobiety, a nie chłopczyki i wszystkie te świństwa opatów”.



Popiersie papieża w stylu Arcimbolda, według rysunku Thomasa Stimmera.

DE ORTV ET ORIGINE
MONACHORVM.



Gignitur fortis in pascuis pastorem dicitur,
Terra uero uisus horrenti dicitur erit.
Hinc tandem uisus in loco uento profundi,
Dixit ad materis fuppletit dicitur.
Hinc, quodlibet dicitur pascuis fratres
Dicitur, uero uisus, uisus dicitur.
Miseris Placit pascuis ut adit dicitur,
Dicitur lacus si quis dicitur.
Et ficut dicitur uisus dicitur pascuis.

Non equidem fuppletit, uisus, uisus dicitur
Dicitur uisus uisus, fuppletit, uisus.
Kax, malum peperit, lacus quod dicitur, et ali
Dicitur, fuppletit, uisus quod dicitur dicitur.
Dicitur, fuppletit uisus dicitur, uisus dicitur
Dicitur, fuppletit uisus dicitur, uisus dicitur
Dicitur, fuppletit uisus dicitur, uisus dicitur
Dicitur, fuppletit uisus dicitur, uisus dicitur
Dicitur, fuppletit uisus dicitur, uisus dicitur

„Skąd biorą się zakonnicy”, ulotka z roku 1545, z pracowni Lucasa Cranacha.

Podziękowania

Autorzy pragną podziękować wymienionym niżej osobom za ich nieodzowny wkład w powstanie tej książki. Są to: Silvia Urbini, Andrea Alberti, Susanna Fort, Guido Novello Guidelli Guidi, Gianmassimo P. Vigazzola, Antimo Santoro.

Spis treści

Prolog	7
Część pierwsza — Mincarz	19
Część druga — Jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest	153
Część trzecia — Błogosławieństwo Chrystusa	399
Epilog	685
Osoby, miasta, dokumenty	693
Podziękowania	719